

ELIZABETH MOON

POLOWANIE



Elizabeth Moon

Polowanie

(Hunting Party)

Przełożył Marek Pawelec

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Podziękowania](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

Podziękowania

Dziękuję wszystkim, którzy wspierali ten projekt: Alexis i Laurie, które dały wszystkiemu początek słowami: „Czemu nie polowanie na lisy i statki kosmiczne?”; Margaret, która pomogła mi odzyskać porzucane kawałki tekstu po kompletnym padnięciu komputera; kilku cierpliwym przyjaciołom, którzy przeczytali pierwsze wersje książki i wyłapali różne problemy logiczne; mojemu mężowi Richardowi, który woli nowe rozdziały od ciepłych posiłków i posprzątanego domu; synowi Michaelowi, który w końcu nauczył się dawać mi spokój do chwili, gdy zadzwoni zegar kuchenki (o ile nie trwa to dłużej niż piętnaście minut). Dziękuję również wszystkim miłym pracownikom sklepu Vica – Vicowi, Marthcie, Johnowi, Debbie i Penny – których zainteresowanie i pomoc nie pozwalały zamyślonej pisarce zapominać o mleku, chlebie i innych koniecznych artykułach. Szczególne podziękowania należą się tym razem Vicowi Kysorowi Jr., który w rozmowie nad ladą mięsną w sklepie ojca stworzył pewną postać i rozwiązał dla mnie problem. Oczywiście wszystkie niedoskonałości w tej książce są wyłącznie moją winą – nawet najlepsi pomocnicy nie zrobią wszystkiego.

Rozdział 1

Heris Serrano opuściła swój pokój w małym, ale przyzwoitym hotelu portowym na stacji Rockhouse i ruszyła do przystani jednostki, którą miała dowodzić, przekonana, że wygląda jak idiotka. Nikt na jej widok nie roześmiał się w głos, ale to mogło tylko znaczyć, że przechodnie woleli naśmiewać się za jej plecami, niż ryzykować konfrontację z byłą oficer Zawodowej Służby Kosmicznej.

Heris starała się nie patrzeć na ludzi, którzy zgromadzili się w porcie dzielnicy handlowej. Jej uszy płonęły – czuła rzucane za plecami spojrzenia. Nie mogła ukryć swojego wojskowego rodowodu, nawet gdyby zmieniła sposób chodzenia – należała do ZSK prawie od urodzenia jako córka oficerów, wnuczka i bratanica admirałów, członek rodziny służącej od niezliczonych pokoleń w wojsku. Nawet w pierwszym, żalonym roku na Akademii czuła się niemal jak w domu przez całe życie słyszała historie o tej uczelni, opowiadane jej przez rodziców, wujów i ciotki.

A teraz wylądowała w stroju przyozdobionym złotymi sznurami, którego kolor mógłby zadowolić jedynie planetarnego admirała z jednego z pomniejszych księstw, a wszystko to z powodu kaprysów starej bogaczki mającej więcej pieniędzy niż rozumu. Wszyscy ci zajęci swoimi sprawami oficerowie i członkowie załóg statków kupieckich muszą śmiać się za jej plecami. Fiolet i szkarłat nie są normalnymi barwami mundurów, rękawy pełne złotych epoletów wyglądają niedorzecznie, a złoto-zielone obszycie kołnierza, mankietów i klap zdradza wszystkim, że oficer ZSK stoczyła się tak nisko, że teraz będzie wozic bogate ekscentryczki po kosmosie w czymś bardziej przypominającym posiadłość niż statek kosmiczny.

Doki handlowe kończyły się odrapaną szarą ścianą z okratowaną bramą. Heris wsunęła do czytnika swoją kartę. Kraty odsunęły się, po czym opadły z powrotem za jej plecami, więżąc ją między bramą a stalowymi drzwiami z niedużym okienkiem. Kolejny czytnik – i tym razem drzwi otworzył człowiek wyciągający rękę po jej dokumenty. Podała wymagany w cywilu pakiecik: licencję pilota, certyfikaty pięciu specjalizacji, imperialny dowód tożsamości, opis przebiegu kariery wojskowej (tylko zarys), listy polecające i – co najważniejsze – umowę o pracę z lady Cecelią de Marktos. Człowiek – pracownik ochrony stacji lub rodziny Garond, tego Heris nie wiedziała – przejechał ręcznym skanerem nad tym ostatnim dokumentem i oddał jej cały pakiecik.

– Witamy na północnym pokładzie, kapitan Serrano – rzekł bez śladu sarkazmu w głosie. – Mogę w czymś pomóc?

Przez chwilę ścisnęło ją w gardle, gdy przypominała sobie słowa, które usłyszałaby po przejściu przez podobną bramkę w komercyjnych dokach, gdzie stały lśniące szare krążowniki ZSK. Gdzie widok jej szarego munduru z błyszczącymi insygniami spowodowałby energiczne saluty i powitanie godne towarzysza broni: „Witamy we Flocie”. Ale nie może wrócić tam, gdzie dopadłaby ją przeszłość. Zrezygnowała ze swojego stopnia. Nigdy więcej nie usłyszy tych słów.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała cicho. – Wiem, gdzie dokuje statek. – Nie mogła jeszcze wymówić jego nazwy, choć miała nim dowodzić. Dorastała wśród jednostek noszących imiona wywodzące się od nazw bitew, potworów czy starszych okrętów z długą historią. Nie mogła jeszcze powiedzieć, że objęła dowodzenie statkiem *Sweet Delight*.

Na wszystkich stacjach północną część zajmowały pomieszczenia arystokracji. Bogactwo i przywileje spotykało się wszędzie, i w ZSK, i w komercyjnych dokach, ale tutaj królowało wyłącznie bogactwo i ci, którzy mu służyli. Plastik pokładu zasłonięto puszystymi wykładzinami, a

sklepy nie miały szyldów, tylko logo sieci. Każde stanowisko dokowe było wyposażone we własną służbę z dwoma wejściami: jedno, oznaczone napisem „brama towarowa”, prowadziło do pomieszczenia pełnego stojaków i półek na zaopatrzenie, drugie zaś do elegancko wyposażonego salonu dla odlatujących. Karta wsunięta przez Heris do czytnika wyczarowała kolejnego odzwiernego, tym razem służącego w liberii, który zaprowadził ją do salonu. Stały tam potężne sofy i fotele obite lawendowym pluszem i zarzucone poduszkami w jaskrawych kolorach oraz stoły i postumenty z czymś, co zapewne było bezcennymi dziełami sztuki, choć dla niej wyglądało jak nadtopione pozostałości kosmicznej bitwy.

Sam kołnierz wejściowy nie był pilnowany. Heris zmarszczyła brwi. Nawet cywile powinni mieć kogoś, kto pomimo ochrony doku strzegłby głównego wjazdu statku. Zatrzymała się na chwilę przed przekroczeniem granicy, która formalnie oddzielała stację od jej jednostki. Gruby lawendowy plusz, którym wyłożono korytarz, zasłaniał wszystkie kluczowe przewody łączące statek z układami podtrzymywania życia stacji. Tak jak podczas poprzedniej wizyty, Heris pomyślała, że to bardzo niebezpieczne. Te przewody powinny być widoczne. Nawet cywile muszą stosować się do przepisów.

Z wnętrza statku wydostawało się ciepłe powietrze, ale nie pachnące przyprawami, które zapamiętała z rozmowy kwalifikacyjnej, a kwaśnym smrodem poranka po całonocnej zabawie. Zmarszczyła nos i poczuła, jak sztywnieją jej plecy. Statek może i formalnie należy do kogoś innego, ale ona nigdy nie pozwalała na bałagan na dowodzonej przez nią jednostce – i teraz też do tego nie dopuści. Okazało się, że wkroczyła prosto w środek rodzinnej kłótni, choć usłyszała głosy dopiero po przekroczeniu dźwiękoszczelnego ekranu korytarza. Jednym spojrzeniem oceniła sytuację: wysoka, kanciasta i siwowłosa kobieta o donośnym głosie – jej pracodawczyni – i trzech ponurych, przesadnie wystrojonych młodzieńców, których Heris nie wpuściłaby na swój statek, oraz ich dziewczyny. Wszystkie były rozczochrane, a jedna wciąż spała na lawendowej kanapie, która doskonale pasowała do pluszowego dywanu i ścian. Na wykładzinie widoczne były ślady wymiotów. W momencie przekraczania bariery Heris usłyszała, jak młodzieniec o brązowych włosach, ubrany w wymiętą koszulę, odpowiada na wybuch starszej kobiety płaczącym głosem:

– Ależ, ciociu Cecelio, to niesprawiedliwe...

Heris pomyślała, że niesprawiedliwością jest fakt, że tacy jak on, zepsuci bogaci smarkacze nie przechodzą szkoły życia w obozie dla rekrutów. Posłała pracodawczyni swój zwykły poranny uśmiech, którym zawsze witała załogę mostka.

– Dzień dobry, milady.

Młodzież – wszyscy poza dziewczyną pochrapującą na kanapie – wbiła w nią wzrok. Heris poczuła, jak czerwienieją jej uszy, ale zignorowała to, wciąż uśmiechając się do Cecelii Artemisii Veroniki Penelopy, obdarzonej większą liczbą tytułów niż komukolwiek potrzeba, nie wspominając już o pieniądzach.

– Ach – powiedziała dama, reagując na jej pojawienie się natychmiastowym opanowaniem emocji. – Kapitan Serrano. Jak miło widzieć panią na pokładzie. Nasz odlot ulegnie niewielkiemu opóźnieniu... – spojrzała na brązowowłosego młodzieńca – dopóki mój siostrzeniec się nie rozgości. Zakładam, że pani ma już swoje rzeczy na pokładzie?

– Wysłano je wcześniej, milady – potwierdziła Heris.

– Dobrze. W takim razie Bates zaprowadzi panią do kabiny. – W tym momencie Bates wyłonił się z jakiegoś korytarza i uprzejmie się uklonił.

Kapitan była ciekawa, czy zostanie przedstawiona siostrzeńcowi damy teraz, czy później – była pewna, że gdyby dać jej szansę, potrafiłaby zetrzeć z jego twarzy ten paskudny grymas. Ale nie pozwolono jej na to. Bates – wysoki, elegancki i tak bardzo inny od popularnego wizerunku lokaja, że miała problemy z uwierzeniem w jego realność – poprowadził ją wyłożonym pluszem korytarzem do jej kabiny. Wolałaby raczej znaleźć się na mostku. Ale nie na tym mostku, lecz takim na Rapięcie czy choćby na nędznym wojskowym holowniku.

Bates stanął obok drzwi kajuty.

– Czy pani kapitan życzy sobie teraz przekodować zamek?

Spojrzała na jego nieprzeniknioną twarz. Czy chciał zasugerować, że na pokładzie są złodzieje? Że ktoś może naruszyć prywatność jej kabiny? Kabiny kapitana? Wiedziała, jak nisko upadła, przyjmując posadę kapitana jachtu należącego do bogatej damy, ale nie miała pojęcia, że będzie musiała zamykać własnąabinę.

– Dziękuję – odpowiedziała, zupełnie jakby sama o tym pomyślała.

Bates dotknął magnetycznym prętem płytki zamka, a ona przyłożyła do niej dłoń. Po chwili rozległ się bezbarwny, ale przyjemny głos. – Proszę podać nazwisko. – Podała je, a zamek zadzwieczał i potwierdził jej tożsamość. – Witam w domu, kapitan Serrano. – Bates podał jej spore kółko z prętami.

– To pręty do przekodowywania zamków w kajutach załogi statku i pomieszczeniach operacyjnych. Wszystkie są oznaczone, a pełen schemat jednostki znajdzie pani na swojej konsoli. Załoga będzie czekać na mostku w dogodnej dla pani chwili.

Nie wiedziała, czy może poprosić Batesa o przekazanie załodze, kiedy mają się jej spodziewać, czy też personel domowy nigdy nie robi takich rzeczy. Zorientowała się już, że te dwie grupy prawie nie mają ze sobą styczności.

– Mógłbym przekazać wiadomość panu Gavinowi, inżynierowi pokładowemu – zaproponował Bates niemal przeproszającym tonem. – Odkąd opuścił nas kapitan Olin... – Heris wiedziała, że został wyrzucony – lady Cecelia często prosi mnie o kontaktowanie się z nim.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Za godzinę. – Zerknęła na zegar w kajucie, cywilny model, który zostanie zastąpiony egzemplarzem z jej bagażu.

– Philip panią zaprowadzi – oświadczył Bates.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć, że to niepotrzebne – nawet na tej wyperfumowanej i wyściełanej parodii statku sama potrafi znaleźć drogę na mostek – ale zamiast tego powtórzyła tylko „dziękuję”. Jeszcze nie będzie ujawniać swojego charakteru.

Umieściła swój patent kapitański na ścianie, pozostałe dokumenty powędrowały do szuflady. Jej bagaż postawiono w kącie biura – prosiła, żeby go nie rozpakowywać. Za gabinetem mieściła się mniejsza kabina i łazienka. Kolejne pomieszczenie było sypialnią, znacznie większą niż sypialnie admirałów na większości okrętów; ktoś mający jej stopień nie mógłby dostać takiego wspaniałego pokoju nawet na stacji. Ten apartament najwyraźniej miał przyciągnąć do pracy na jachcie prawdziwego kapitana.

W ciągu godziny rozpakowała skromną garderobę, książki oraz kostki danych z pozycjami referencyjnymi i upewniła się, że wyświetlacz biurkowy potrafi je obsłużyć. Zegar na ścianie pokazywał nie tylko czas stacji, ale również standardowy czas Służby; dobrze jej znane bloki barw oznaczały cztero-, sześć- i ośmiogodzinne wachty. Wreszcie przejrzała biografie załogi na biurkowym wyświetlaczu. I odrzuciła wszystkie żale. A także całą przeszłość – lata służby i rodzinne

tradycje. Od tej chwili jest kapitanem jachtu i będzie się starała jak najlepiej pełnić tę funkcję.

Nawet się nie zorientują, co na nich spadło.

* * *

Niektórzy zaczęli jednak podejrzewać, co ich czeka, zaraz po jej pojawieniu się na mostku. Pomimo lawendowych i turkusowych zdobień statku mostek pozostał funkcjonalny, choć jego niewielkie wymiary i lśniące wykończenia sprawiały, że wyglądał jak zabawka. Załoga musiała się mocno upchnąć i Heris zanotowała sobie w pamięci, kto przy kim się ustawił i kto najbardziej chciał, żeby wszystko już się skończyło. Oni z kolei mogli na własne oczy zobaczyć, że choć ubrała się w fiolet i szkarłat, jej postawa wskazuje na spuściznę po wielu pokoleniach dowódców.

Spojrzała im w oczy. Niebieskie, szare, brązowe, czarne, zielone, orzechowe: bystre, nieprzytomne, zmartwione, przestraszone, wyzywające... Pan Gavin, inżynier – chudy i siwiejący – zawołał skrzekliwym głosem:

– Kapitan na mostku!

Pierwszym nawigatorem była młoda, radosna kobieta; stała blisko łącznościowca, pryszczatego młodzieńca z nieobecny wyrazem twarzy, który Heris nauczyła się łączyć z najlepszymi technikami komunikacyjnymi. Technicy środowiskowi – powszechnie nazywani kretami z powodu konieczności przeciskania się przez rury – patrzyli na nią ponuro. Musieli podejrzewać, że zdążyła już sprawdzić rejestry statku. Oni zawsze uważali, że dziwne zapachy na pokładzie nie są ich winą, gdyż to inni ludzie beztrąsko wkładają niewłaściwe rzeczy do nieodpowiednich rur, powodując problemy. Młodszy technicy Gavina, próbujący zdystansować się od kretów, wyglądali czysto i schludnie. Heris przeczytała ich kartoteki – jeden z nich cztery razy oblał test na dyplom trzeciej klasy. Pozostali młodszy – brzuchaty mężczyzna od nawigacji i rozwichrzona kobieta z łączności – zostali zatrudnieni za bardzo niską stawkę.

Jak zwykle na nowej jednostce, Heris zaczęła od ogólników. Niech się odprężą, niech sobie uświadomią, że ona nie jest głupia, szalona ani złośliwa. A potem...

– Teraz w sprawie alarmów ćwiczebnych – zaatakowała, gdy poczuła, że się odprężają. – Zauważyłam, że od chwili zadokowania nie przeprowadzono żadnych alarmów. Dlaczego, panie Gavin?

– Cóż, pani kapitan... Po odejściu kapitana Olina uważałem... wie pani... że nie mogę sobie pozwalać na przekraczanie swoich uprawnień.

– Rozumiem. Zauważyłam też, że wcześniej, aż od ostatniego lądowania na planecie, nie przeprowadzono żadnych ćwiczeń. Przypuszczam, że to była decyzja kapitana Olina. – Sądząc po wyrazie twarzy Gavina, nie to było powodem, ale z wdzięcznością skorzystał z tej okazji.

– Tak, kapitanie. W końcu to on tutaj dowodził. – Ktoś z tyłu się poruszył, ale byli tak ściśnięci, że nie miała pewności kto. Dowie się. Nagle uśmiechnęła się do nich radośnie. Wprawdzie to tylko jacht, ale mimo wszystko to statek kosmiczny, i na dodatek jej statek.

– Będziemy przeprowadzać ćwiczenia – oznajmiła i odczekała chwilę, żeby to do nich dotarło. – Alarmy ćwiczebne ratują życie. Oczekuję, że wszyscy pierwsi przygotują swoje działy.

– Ale na pewno nie będzie czasu na ćwiczenia przed startem! – odezwał się z kwaśną miną drugi nawigator. Wbiła w niego wzrok do chwili, aż się zaczerwienił i dodał: – Pani kapitan... Przepraszam, madame.

– To się okaże – odpowiedziała, nie komentując jego braku manier. – Wiem, że wszyscy szykujecie się do startu, ale chciałabym pomówić z pilotem i pierwszym nawigatorem.

Przepchnęli się na przód grupy. Wiedziała, że gdy tylko załoga wyjdzie poza właz, zaczną się narzekania. Ignorując to, wbiła twarde spojrzenie w pierwszą nawigator.

– Sirkin, tak?

– Tak jest, pani kapitan. – Energiczna, jasnooka... Heris miała nadzieję, że jest tak dobra, na jaką wygląda. – Brigidis Sirkin, kolonia Lalos.

– Tak, widziałam pani kartotekę. Imponujące wyniki egzaminu kwalifikacyjnego. – Sirkin znalazła się na pierwszym miejscu listy z idealnym wynikiem, co zdarzało się rzadko nawet wśród personelu szkolonego przez ZSK. Młoda kobieta zarumieniła się i uśmiechnęła. – Chciałabym się dowiedzieć, czy to pani wykreśliła końcowe podejście z Dublinu do tego miejsca. – Heris była bardzo ciekawa reakcji Sirkin.

Rumieniec na twarzy dziewczyny pogłębił się.

– Nie, pani kapitan. Ja nie... To jest nie do końca.

– Hmm. Zastanawiałam się, czemu ktoś, kto tak pięknie zaliczył egzamin, wybrał tak nieekonomiczne rozwiązanie. Proszę mi to wyjaśnić.

– Cóż, proszę pani... Kapitan Olin był dobrym dowódcą i nie chcę mu nic zarzucać, ale lubił... robić różne rzeczy na swój sposób.

Heris zerknęła na pilota. Na jego plakietce widniało nazwisko Plisson; zanim trafił tutaj, latał jako pilot u innej bogatej damy.

– Czy pan miał z tym coś wspólnego? – zapytała. Pilot rzucił Sirkin gniewne spojrzenie.

– Wydawało jej się, że może maksymalnie skrócić czas przelotu – rzucił. – Jakby nigdy nie słyszała o przestrzennych sztormach. Pewnie można by to nazwać racjonalnym podejściem, gdybyśmy byli na okręcie wojennym, ale nie zatrudniono mnie po to, żebym zabił milady.

– Aha. Czyli uznał pan, że oryginalny kurs Sirkin jest niebezpieczny, a kapitan Olin zgodził się z panem?

– Cóż... Tak, pani kapitan. Ale pani pewnie będzie trzymała jej stronę, biorąc pod uwagę pani wyszkolenie we Flocie.

Heris posłała mu szeroki uśmiech, co wywołało jego zdziwienie.

– Wcale nie mam większej ochoty na rozniesienie nas po kosmosie niż ktokolwiek inny – zauważyła. – Ale widziałam dzieło Sirkin wyłącznie po wprowadzeniu poprawek przez kapitana Olina. Sirkin, jak wyglądał pani pierwotny kurs?

– Jest w komputerze nawigacyjnym, pani kapitan. Mam go przesłać na pani konsolę?

– Proszę. Przyjrzę mu się i zobaczę, czy również moim zdaniem jest niebezpieczny. Plisson, latał pan kiedyś we Flocie?

– Nie, pani kapitan. – Sądząc po sposobie, w jaki to powiedział, uważał to za potworną karę. Nie była pewna, czy chce mieć pierwszego pilota, który nie ma serca do latania.

– W takim razie proponowałabym, żeby nie oceniał pan sposobu działania ZSK, dopóki nie będzie pan miał okazji się przyjrzeć. Wojna jest wystarczająco niebezpieczna bez pozwalania sobie na beztroskę. Oczekuję od was obojga profesjonalnego podejścia do pracy. – Skierowała się do wyjścia, ale po chwili znów się odwróciła, kompletnie ich zaskakując. – A przy okazji, możecie się spodziewać alarmów. Kosmos jeszcze mniej chętnie niż ja wybacza niechlujstwo.

Lady Cecelia zauważyła cień w korytarzu za ledwie na chwilę przed wejściem jej nowej kapitan na pokład. Nie trafiła na najlepszy moment. Wolałaby dokończyć besztanie siostrzeńca i jego towarzystwa na osobności. Personel domu, w tym także Bates, miał dość rozumu, żeby nie pokazywać się w takich chwilach.

Jednak zatrudniła byłego wojskowego – a może nawet nie byłego, sądząc po jej postawie i wyrazie twarzy. Oczywiście, nie mogła się spóźnić – pewnie nawet jej włosy i paznokcie rosły według harmonogramu. Cecelia miała ochotę zetrzeć protekcyjność z tej ciemnej twarzy, która wyłaniała się z fioletowo-szkarłatnego munduru. Ona na pewno nie ma siostrzeńców, a jeśli nawet ma, to wychowywano ich w jakimś obozie szkoleniowym. Zapewne sądzi, że łatwo byłoby zdyscyplinować Ronniego i jego bandę. Niestety, od chwili narodzin Ronniego Cecelia zdawała sobie sprawę, że jest mu pisane zostać rozpieszczonym smarkaczem. Był czarujący, bystry, jeśli miał ochotę, przystojny aż do bólu z gęstymi brązowymi włosami, orzechowymi oczami i dołeczkami na policzkach – ale do głębi zepsuty przez rodzinę i otoczenie.

– Ależ to niesprawiedliwe – jęknął teraz. Spodziewał się, że ciotka pozwoli całej dwudziestce, czy ilu ich tam było, kolegów oficerów i ich ukochanych obojga płci podróżować razem z nią. Ignorując chłopaka, Cecelia uśmiechnęła się do nowej kapitan – tylko nie waz się ze mnie śmiać, jędo – i zawołała Batesa, by zaprowadził ją do jej pomieszczeń. Heris odeszła więc, niemożliwie przytomna jak na tak wczesny poranek (jej snu nie zakłócały żadne zabawy młodzieży); jej szczupła sylwetka sprawiała, że dziewczęta obecne w pomieszczeniu zdawały się mizerne i nieatrakcyjne, choć wcale nie wyglądały aż tak źle. W dzisiejszych czasach dziewczyny potrafiły robić ze sobą straszne rzeczy, ale te były przyzwoite, z dość dobrych rodzin. Oczywiście nie aż tak dobrych jak jej czy Ronniego (z wyjątkiem Bubbles, tej chrapiącej na kanapie), ale dość przyzwoitych.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie za oddalającą się kapitan, odwróciła się z powrotem do Ronniego.

– Niesprawiedliwe jest to, młodzieńcze, że wdierasz się w moje życie, zajmujesz miejsce na moim jachcie i utrudniasz pracę moim pracownikom, a wszystko dlatego, że zabrakło ci rozumu, by trzymać język za zębami w sprawach, o których gentlemani nie rozmawiają.

Chłopak nadał się. Potrafił się dąsać już jako niemowlę; jego urocze napady złości wywoływały wtedy zachwyty rodziców. Ale Cecelii wcale nie podobała się jego naburmuszona mina.

– Powiedziała, że jestem lepszy. Odsyłanie mnie jest niesprawiedliwe, skoro ona tak uznała. Chciała być ze mną...

– Wyznała ci to w sypialni. – Chyba ktoś musiał go już uświadomić? Czemu akurat ona ma mu to wyjaśniać? – I nawet nie wiesz, czy naprawdę tak myślała, czy po prostu każdemu to mówi.

– Oczywiście, że tak myślała! – Urażona duma młodego samca spowodowała wybuch gniewu. – Jestem lepszy!

– Nie zamierzam się spierać – oświadczyła Cecelia. – Przypomnę tylko, że może i jesteś lepszy w łóżku z ulubioną śpiewaczką księcia, ale w tej chwili z rozkazu twojego ojca i króla znalazłeś się na pokładzie mojego jachtu, a śpiewaczka pozostała z księciem. – Pogroziła chłopakowi palcem. – Ty jesteś tu, on tam, i paplaniem niczego nie zyskasz, poza chwilowym rozbawieniem swoich kolegów z koszar.

Ronnie zachichotał, a wstrętny George – który zapracował na ten powszechnie używany w

towarzystwie przydomek – zarzał.

Cecelia dość dobrze знаła ojca wstrętnego George'a i zignorowała jego rzenie, traktując je jako nieświadome kopiowanie manier ojca. Przypuszczała, że chłopak nawet nieźle pasował do mesy młodszych oficerów Królewskiej Służby Kosmicznej, gdzie dzieci arystokratycznych rodów i bogaczy obnosiły się ze swoimi kupionymi patentami. – Poza tym to ty się przechwalałeś – kontynuowała, ignorując wymianę spojrzeń między siostrzeńcem i jego koleśkiem – a nie ta... hmmm... dama. I to ty masz kłopoty i ciebie odesłano, a ja na nieszczęście przebywałam na tyle blisko, że mogłam ci pomóc. – Ronnie otworzył usta, by powiedzieć coś, czego z pewnością nie chciałyby usłyszeć, więc nie dała mu dojść do słowa. – Ułożyło się to lepiej, niż mogło, młody Ronaldzie, i sam to zrozumiesz, kiedy już przestaniesz się nad sobą uzalać. A ja jestem przesadnie uprzejma, pozwalając ci zabrać ze sobą całe to towarzystwo... – machnęła ręką w stronę pozostałych – choć robicie tłok na moim statku i marnujecie mój czas. Gdyby nie fakt, że Bubbles i Buttons i tak wybierali się do Bunny'ego...

– Cóż, tak naprawdę... oni wcale nie chcą lecieć.

– Nonsens. Już przesałam wiadomość, że ich przywiozę. Sezon w terenie wszystkim wam wyjdzie na dobre. – Posłała mu kolejne ostre spojrzenie. – I nie życzę sobie, żeby któreś z was przed startem wymykało się ze statku i stwarzało jakieś problemy na stacji. Wystarczającym utrudnieniem jest fakt, że musimy czekać na wasze bagaże. Każę twojemu ojcu pokryć opłaty wynikające ze zmiany harmonogramu startu. Mam nadzieję, że odliczy to z twojego kieszonkowego.

– Ale to nie... – Wyciągnęła rękę, zanim zdolał dokończyć, zdecydowana teraz rzucić bombę.

– A przy okazji, moja nowa kapitan jest byłą oficer Zawodowej Służby Kosmicznej, więc z nią nie próbuj swoich sztuczek. Pewnie mogłaby cię zawiązać w supełek i nawet się przy tym nie spocić. – Cecelia odwróciła się na pięcie i odmaszerowała, zadowolona, że mają teraz coś, poza bólem głowy, czym będą mogli się zająć.

Tak naprawdę sytuacja wyglądała fatalnie. Żyła na własnym jachcie tylko dlatego, że chciała unikać wszelkich komplikacji rodzinnych, tak jak unikała małżeństwa i zaangażowania się w politykę.

Mogli znaleźć jakiś inny sposób na utrzymanie Ronniego z dala od stolicy przez rok czy coś koło tego. Nie musieli wykorzystywać jej, jakby była tylko podręcznym meblem. Ale to wszystko znów nosiło ślady działań Berenice – starsze siostry są po to, by służyć rodzinie.

Zapasy. Będzie musiała porozmawiać z Batesem i upewnić się, czy zamówił wystarczającą ilość dodatkowej żywności – po ostatniej nocy zaczęła podejrzewać, że może potrzebować jej więcej. Kiedy młodzi ludzie zabierali się do jedzenia, wręcz je pochłaniali. Z uczuciem ulgi dotarła do własnego apartamentu. Ten żaloszny dekorator przysłany przez Berenice uparł się, żeby urządzić cały statek w lawendzie i beżu, z motywami jaskrawej zieleni i kremowego, ale tu go nie wpuściła. Może młodzi ludzie faktycznie lubią lawendowe plusze, ale ona ich nie znosi. Tutaj, w swoich własnych pokojach, chciała mieszkać po swojemu. Jaśniejsze kolory, wypolerowane drewno, rzeźbione fotele pełne poduszek.

Zatrzymała się przy biurku. Intarsje z drewna tworzyły wzór kwiatów i winogron, i dopóki nie nacisnęła centralnego kwiatu, mebel można było uznać jedynie za antyk ze Starej Ziemi. Na blacie ukazał się schemat pokładu z zaznaczonymi pozycjami ludzi. Grupka kropek w salonie oznaczała Ronniego i jego przyjaciół. Kropka w jej sypialni – to była Myrtis, pokojówka. Kapitan przebywała w swoim apartamencie, a osobą idącą w jej stronę musiał być Bates. Dotknęła palcem tej ostatniej kropki i z głośnika rozległ się jego głos.

– Tak, madame?

– Niech kucharz sprawdzi, ile Ronnie i jego przyjaciele zjedli zeszłej nocy; wydaje mi się, że pochłonęli całkiem sporo.

– Kucharz ocenił, że konieczne jest zwiększenie zamówienia o piętnaście procent, i przygotował już nowe, które czeka na pani akceptację.

– Dziękuję, Bates. – Mogła się domyślić. Zazwyczaj byli o dwa kroki przed nią – ale na tym polegała ich praca. Przełączyła ekran na dolny pokład, znalazła kropkę oznaczającą kucharza i dotknęła jej. Kucharz przesłał zamówienie na jej konsolę, a ona je obejrzała. Wygląda na to, że mimo sześciu dodatkowych osób na pokładzie jedzenia wystarczy na trzykrotnie dłuższy lot. Choć, pomyślała, nie zaszkodziłoby, gdyby aż do przylotu na planetę Bunny’ego byli na głodowych racjach. Z pewnością okazałoby się to tańsze i wymagałoby znacznie mniej miejsca. Kucharz zauważył, że będą musieli włączyć dwie dodatkowe chłodnie i uruchomić jeszcze jedną pełną sekcję hydroponiki.

To spowoduje kolejną kłótnię między załogą a personelem. Technicy środowiskowi byli członkami załogi pani kapitan i Cecelia wiedziała, że nie powinna się do nich wtrącać. Jednakże hydroponika pracująca na potrzeby kuchni podlegała pod „ogrodnictwo”, a to oznaczało personel – jej personel. Felix, główny ogrodnik, i dwoje pomocników pilnowali, by w jej prywatnym solarium nigdy nie brakowało kwiatów, a kucharz zawsze miał do dyspozycji świeże warzywa. Felix i technicy środowiskowi ciągle wdawali się w jakieś spory. Bardzo jej się nie podobało, że poprzedni kapitan pozwalał, by konflikt narastał tak długo, aż w którymś momencie sama musiała uspokajać buntujący się personel.

Odszukała ikonę Felixa, dotknęła jej i poinformowała go o dodatkowej sekcji hydroponicznej. Chciał wykorzystać połowę sekcji dla nowego zestawu roślin egzotycznych, których szczepki właśnie zakupił. Zdjęcia tak zwanych warzyw nie zrobiły na niej wrażenia, jednak Felix upierał się, że gdyby do czasu przylotu na planetę Bunny’ego udało mu się uzyskać nasiona, mógłby za nie wytargować od tamtejszej głównej ogrodniczki ulubione przez Cecelię (i wyjątkowo rzadkie) grzyby. W końcu wzruszyła ramionami; to, co nie będzie jej smakować, można podać Ronniemu i jego koleśiom.

– A co z kretami? – zapytał w końcu po wygranej dyskusji. – Musi im pani powiedzieć, że mam zgodę na hodowanie roślin.

– Przekażę naszej nowej kapitan Serrano, że wyraziłam zgodę na wykorzystanie przez ciebie dodatkowej sekcji hydroponiki na hodowlę warzyw.

– Jeśli będą mi sprawiać kłopoty, wyślę im halobety – oświadczył Felix.

I z pewnością by to zrobił, bo kiedyś już się to zdarzyło. Był geniuszem w swoim fachu, ale podobnie jak większość tego typu ludzi, miał paskudny charakter. Cecelia znosiła go dla wspaniałych owoców, świeżych warzyw i mnóstwa kwiatów, które tak zachwycaly wszystkich gości zapraszanych na obiady. Żaden inny znany jej jacht nie potrafił zapewnić sobie samowystarczalności w zakresie zaopatrzenia w zieleninę.

Ponownie spojrzała na ikonę kapitan i zauważyła, że przemieszcza się w stronę mostka. Teraz lepiej jej nie przeszkadzać, musi tam zebrać załogę. Cecelia zatrzymała palec nad kontrolką. Mogłaby z łatwością podsłuchać pierwszą odprawę kapitan... ale zrezygnowała. Zamiast tego przesłała na jej konsolę wiadomość o hydroponice i wywołała ekran rozliczeń.

Konsola wyświetliła kolorowy schemat kosztów przelotu w towarzystwie szóstki młodych ludzi i dla porównania lotu bez pasażerów. Właściwie nie było wielkiej różnicy, a zresztą Berenice i tak przesłała pieniądze na pokrycie wszystkich wydatków. Sprawdziła stan finansów Ronniego i

zaczęła usta. Berenice dopuściła go do srebrnej linii rodzinnej i już z tego korzystał. Ubrania od Hardina, akcesoria Vetrisa, Spaulding... Cecelia gwizdnęła. Zaczął od zajęcia dwóch komór ładowni, ale w tym tempie będzie potrzebował kolejnych dwóch.

Jej biurko zadzwoniło.

– Ciociu Cecelio – rozległ się płaczliwy głos. – Proszę... Muszę z tobą porozmawiać.

Nie, to nieprawda. Musi jej posłuchać.

– Ach, Ronnie. Właśnie chciałam cię zapytać, czy zabrałeś ze sobą sprzęt myśliwski.

– Sprzęt... Co?

– Strój jeździecki, siodła...

– Ja... Nie! Oczywiście, że nie. Ciociu Cecelio, tylko dlatego, że ty jesteś tak szalona, by jeździć na tych wielkich i głupich zwierzętach przez skały i...

– Przypuszczałam – przerwała mu jadowitym tonem – że to stąd wzięły się twoje dość duże zamówienia u Hardina, Vetrisa i Spauldinga. Ale skoro nie, to może zwrócisz część tych zakupów, cokolwiek to było, i sprawisz sobie przyzwoity zestaw jeździecki. Jak dobrze wiesz, lecimy do Bunny'ego na sezon, a ponieważ zostałam tobą objuczona, równie dobrze ty możesz objuczyć konia i nauczyć się czegoś pożytecznego. – Podobał jej się ten żart, zazwyczaj cięte odpowiedzi przychodziły jej do głowy o wiele za późno.

Jak niedawno odkryła z zadowoleniem, ostatnio zamiast ordynarnych przekleństw zapożyczonych od niższych klas znów stały się modne wyszukane żarty i barokowe obelgi. Kiedy Ronniemu zabrakło tchu (co, jak zauważyła, przy dłuższych frazach następowało coraz częściej), zaczęła dalej mówić, by nie dopuścić go do głosu.

– Nie obchodzi mnie to, że nie lubisz koni i jeździectwa, ani fakt, że nikt z twojego otoczenia nie uważa polowania za dobry sposób spędzania czasu. Nie obchodzi mnie, czy będziesz cierpiał przez cały rok swojego wygnania. Jeśli chcesz, możesz się zamknąć w swojej kabinie – ale z całą pewnością nie będziesz marudził w mojej, podobnie jak nie pozwolę ci przeszkadzać w moich przyjemnościach. Jeśli jednak nie zamówisz sobie odpowiednich strojów, sodeł i tak dalej, zrobię to za ciebie, obciążając twoje konto. – Choć właściwie rozsądniej byłoby poczekać z tym, aż dotrą na miejsce – wszyscy naprawdę dobrzy siodlarze zlatywali się tam na sezon. Ale zbyt się zdenerwowała. I wyglądało na to, że on również. Oświadczył jej, że może sobie zamawiać na co tylko ma ochotę, ale on nie będzie naśladował rozrywek starej ciotki, która ma więcej pieniędzy niż rozumu, i prędzej go piekło pochłonie, niż zobaczy go na koniu, goniącego w deszczu przez pola za jakimś niewinnym, bezbronny zwierzęciem.

– Jeśli naprawdę myślisz, że lis jest bezbronny i niewinny, młody Ronaldzie, to jesteś głupszy, niż myślałam. – Nie była pewna, które z nich zerwało połączenie. Nieważne. Zadzwoniła do swojego osobistego asystenta u Spauldinga i zamówiła wszystko, na co miała ochotę. Oczywiście znali już wymiary Ronniego. Z wielką przyjemnością pomogą bogatej ciotce zrobić niespodziankę niemal równie bogatemu siostrzeńcowi. W ostatnim przypływie złości kazała obciążyć swój rachunek, a nie Berenice. Nie chciała już słuchać żadnych pytań nadopiekuńczej matki, która tak zepsuła swojego bachora.

Rozdział 2

Heris ruszyła do swojej kabiny, zastanawiając się po drodze, czy cywile znają pokładowe obyczaje. Czy wiedzą, że powinni się trzymać swojej strony biurka? Sirkin wiedziała. Podczas gdy Heris wywoływała na terminalu pliki, młoda i energiczna dziewczyna stanęła po drugiej stronie biurka.

Przyjrzała się pierwotnemu kursowi wytyczonemu przez Sirkin. Bezpośrednie poziomy ciąg, żadnych gwałtownych zmian kursu, przyzwoite odległości od znanych przeszkód. Nie różnił się wiele od tego, jaki sama by wytyczyła, choć jednostki ZSK mogły i często ścinały marginesy bezpieczeństwa na rzecz szybkości.

– I kapitan Olin odrzucił ten kurs? Czemu?

– Uznał, że jest zbyt ryzykowny. Tutaj... – Sirkin dotknęła palcem wyświetlacza, który powiększył obraz, ukazując więcej szczegółów. – Twierdził, że tak bliskie podejście do T-77 z ciągiem 0,06 jest samobójstwem. Zapytałam o powody, ale odpowiedział tylko, że to on jest kapitanem i z czasem sama zrozumie.

– Hmm. – Heris nachyliła się nad wyświetlaczem. – Czy sprawdziła pani informacje na temat T-77 w źródłach?

– Tak, pani kapitan. – Heris spojrzała na dziewczynę zdziwiona, po czym doszła do wniosku, że to może być poprawny tytuł wśród cywilów. W ZSK używano „sir” w stosunku do obu płci – chodziło o wyrażenie szacunku, a nie rozróżnienie typu chromosomu. – Według Bairda i Logana, T-77 to anomalia grawitacyjna, nic więcej. Ciro spekuluje, że to wypalona gwiazda. Ale wszystkie źródła zgadzają się, że nie jest tak niebezpieczna jak Sprol Gumma i można tam całkowicie bezpiecznie przelatywać z prędkościami rzędu 0,2. Zachowałam się ostrożnie. – W jej głosie zabrzmiał żal.

Heris potrzęsnęła głową.

– Kapitan Olin musiał mieć jakiś powód. Pani względna prędkość byłaby tam stosunkowo niska – czy sugerowała pani zwiększenie ciągu dla osiągnięcia większej prędkości?

– Nie, proszę pani. Kapitan oświadczył, że tam jest niebezpiecznie już przy 0,06, a przyspieszanie tylko pogorszyłoby sytuację.

– Jeśli chodziło mu o interakcję przyspieszenia i masy, to nie jedyne czające się tam niebezpieczeństwo. – Zagryzła w zamyśleniu wargę. Od dawna nie odwiedzała tej okolicy i żałowała, że nie ma dostępu do map i danych wywiadowczych ZSK.

– Ale czemu mi tego nie powiedział? – Sirkin zaczerwieniła się, przez co wyglądała na jeszcze młodszą. – Mogłam wytyczyć nowy kurs, dla większego ciągu...

– Nie chciał w ogóle zbliżyć się do T-77 – uznała Heris. – Zobaczmy, co jeszcze chciał ominąć. – Przyjrzała się reszcie kursu Sirkin, porównując go z kursem Olina i w razie potrzeby wywołując dodatkowe informacje. Z wolna zaczynała pojmować logikę rozumowania Olina. – Nie chciał zbliżyć się do przeszkód uznanych za mało bezpieczne, prawda? Kazał pani ominąć Palec Cumbera, zamiast skorzystać ze skrótów przez Obrączkę – a to bezpieczny skrót, z którego wszyscy korzystają. Poleciał pani polecieć tamtędy... Ale dlaczego? – Podniosła wzrok; w oczach Sirkin widziała podobne zdziwienie. – Czy lady Cecelia miała wyznaczoną datę przylotu? Czy prosiła go o przybycie w jakimś określonym terminie?

Sirkin kiwnęła głową.

– Chciała być osiem dni przed planowanym przylotem, żeby zdążyć na jakieś przyjęcie rodzinne. Olin oznajmił, że to niemożliwe, i to był jeden z powodów, dla których postanowiła zmienić kapitana. Uznała, że za wolno lata.

– Słyszałaś ją? – Heris pozwoliła sobie unieść brew.

Sirkin znów się zaczerwieniła.

– No... To znaczy Tonni z personelu powiedział inżynierii, a pan Gavin przekazał mnie.

– Z personelu?

– Wie pani, tutaj jest personel domowy, którym kieruje Bates, i załoga statku kierowana przez kapitana – przez panią. Nie powinniśmy się do siebie wtrącać, ale nasze krety zawsze kłócą się z ogrodnikami milady.

Heris poczuła się tak, jakby trafiła do jakiejś farsy. Ogrodnicy na pokładzie statku? Ale nie mogła pozwolić, by dziewczyna zauważyła jej zmieszanie.

– Kiedy my mówimy „personel”, mamy na myśli oficerów nie na stanowiskach liniowych – wyjaśniła, jakby chodziło tylko o niejasność terminologii.

– Och. – Sirkin najwyraźniej nie miała pojęcia, co to znaczy, ale Heris nie zamierzała jej wyjaśniać. Najważniejsze jest przygotowanie statku do podróży. Powinna lepiej poznać resztę załogi, a do tego służyć inspekcje. Jeszcze raz spojrzała na wybraną przez Oliną trasę i potrząsnęła głową.

– Zastanawiam się... To wygląda tak, jakby kapitan wiedział o tych rejonach coś, czego nie zamieszczono w katalogach. – Była ciekawa, co to mogło być. Często pojawiały się plotki o „pirackich wybrzeżach” i „gniazdach piratów”, mające tłumaczyć spóźnienia statków lub brak ładunku. Ale to tylko plotki... Poza tym Olin podlatywał znacznie bliżej do punktów uznanych w katalogach za bardzo niebezpieczne; koło T-89 był tak blisko, że nawet ona nie odważyłaby się tego zrobić krążownikiem. Oczywiście, krążowniki mają znacznie większą masę. A więc w pierwszym etapie podróży wlekli się powoli, potem pędzili prosto i pewnie, a na koniec znów nadłożyli drogi. Serrano pomyślała o szmuglu, ale zachowała obojętny wyraz twarzy. Później będzie mogła dojść do tego, co i z kim szmuglował kapitan Olin.

– Pani jest najkrócej w załodze? Dlaczego zdecydowała się pani na tę pracę, a nie jakąś inną?

Sirkin zaczerwieniła się.

– Cóż... Chodzi o... moją przyjaciółkę. – Sądząc po rumieńcach i tonie głosu, raczej o kochankę. Heris jeszcze raz się jej przyjrzała: niebieskie oczy, brązowe włosy, szczupła, przeciętna twarz. Bardzo młoda i bardzo emocjonalna.

– Na pokładzie tego statku?

– Nie, proszę pani. Jest jeszcze w szkole, na trzecim roku konserwacji systemów okrętowych. Gdybym zatrudniła się na statku korporacyjnym, oczekiwaliby ode mnie pozostania na zawsze. – Heris wiedziała, że wcale nie, ale dla tak młodej dziewczyny nawet podstawowe pięcio – czy dziesięcioletnie kontrakty wydawały się wiecznością. – Kiedy ona ukończy szkołę – właściwie nie jest najlepsza w swojej grupie – chciałobyśmy być razem, na tym samym statku, w tej samej kompanii.

– Czyli ta praca jest do czasu, aż twoja przyjaciółka ukończy szkołę?

– Tak, proszę pani. Ale wcale nie traktuję jej przez to mniej poważnie. – Była to szczerą, pełną zaangażowania młodą dziewczyną. Heris pozwoliła sobie na uśmiech.

– Mam nadzieję. Kiedy planujesz opuścić lady Cecelię?

– Przyjaciółka ukończy szkołę, gdy my będziemy na tej planecie, gdzie polują na lisy, to jest na Sirialis. – Sirkin lekko się skrzywiła. – Lady Cecelia spodziewa się wrócić do systemu Cassiana jakieś sześć miesięcy później, a ona nie weźmie żadnej pracy poza planetą do czasu, aż się z nią skontaktuję.

Masz nadzieję, pomyślała Heris. Widziała już rozpad tego rodzaju młodzieńczych romansów, gdy jedno z partnerów odleciało z planety na rok albo więcej.

– Będiesz musiała pamiętać o swoich obowiązkach – powiedziała. – To normalne, że się o nią martwisz, ale...

– Och, nie martwię się o nią – zapewniła Sirkin. – Potrafi o siebie zadbać. I nie pozwolę sobie na nieuwagę.

Heris kiwnęła głową, mając nadzieję, że nie złożyły sobie przysięgi wyłączności czy innych podobnych bzdur. Nieraz widywała, jak w porcie doręczano członkom załogi kostki z wiadomością od niewiernej kochanki, która z brutalną szczerością opisywała, co się stało. Jak dotąd zawsze zdarzało się to jej najlepszym młodym kadetom.

– To dobrze. Zamierzam wprowadzić doszkalanie załogi z dodatkowych specjalności – czy chciałabyś dostać inny przydział na mostku, czy coś wymagającego ubrudzenia rąk?

Sirkin rozpromieniła się i Heris omal nie wystraszyła się, że powie „ekstra”, ale nie zrobiła tego.

– Cokolwiek pani zechce, pani kapitan. Miałam dwa semestry teorii napędu i jeden konserwacji, ale zaliczyłam też podwójny kurs z komunikacji i teorii komputerów. – Bardzo błyskotliwa dziewczyna, jeśli przy tym była najlepsza w swojej klasie z nawigacji. To się Heris podobało.

– W takim razie spróbujemy cię dać do komunikacji; będziesz mogła poznać praktyczne aspekty korzystania z pokładowych systemów komputerowych.

– Tak jest, pani kapitan.

– W takim razie to wszystko. – Sirkin ukłoniła się i wyszła. Bez salutowania.

Heris próbowała nie poddać się nachodzącej ją fali nostalgii. Wzruszyła ramionami i głęboko wciągnęła powietrze. Nigdy więcej salutowania, nigdy więcej starych znajomych, którzy mogliby posłużyć informacją na przykład na temat jej nowej załogi. To może przyjdzie później, gdy dorobi się znajomych w kapitańskiej gildii, ale nie teraz.

W tej chwili najbardziej potrzebowała informacji. Zgodnie z rejestrami statku, cała załoga, oprócz jednej osoby, została zaangażowana przez jedną agencję pośrednictwa pracy. To była dobra firma; sama postanowiła zgłosić się właśnie do nich ze względu na ich reputację. Dostarczali załogi dla głównych linii komercyjnych i korporacji handlowych. Lady Cecelia była członkiem ważnej rodziny i z pewnością nie przysłaliby jej śmieci... a jednak miała wrażenie, że przynajmniej połowa tych ludzi mieści się poniżej średniej. Nie spodziewała się tego, biorąc pod uwagę wysokość pensji, jaką zaoferowała jej lady Cecelia i jaką wypłacała załodze. Za te pieniądze powinna była dostać coś więcej. Tak naprawdę tylko Sirkin sprawiała wrażenie godnej zaufania, i to tylko na podstawie kartoteki.

Wystukała numer lokalnego biura Usmerdanz i po przebicciu się przez kolejne poziomy wreszcie dotarła do kogoś, z kim naprawdę mogła porozmawiać.

– Kapitan Serrano... Tak. – Najwyraźniej właściciel gładkiego głosu odnalazł jej kartotekę. – My... umieściliśmy panią u lady Cecelii...

– Tak – przerwała mu. – Zauważyłam, że Usmerdanz skierowało tu wszystkich pozostałych

członków załogi, i zastanawiałam się, czy mogłabym uzyskać od was jakieś informacje na ich temat.

– Wszystkie istotne informacje powinny znajdować się w kartotece statku – oświadczył głos ostrym tonem. Z ich punktu widzenia to ona była nieznanym człowiekiem; mieli ją na liście niecały tydzień, a w przypadku kogoś o jej pozycji, rezygnującego bez żadnego wyjaśnienia ze służby wojskowej, zawsze musiały się pojawiać jakieś pytania. – Pliki kapitana Olina na pewno nie są zakodowane.

– Przeglądałam kartotekę statku – odpowiedziała – ale nie znalazłam niczego, co odpowiadałoby... profilom psychologicznym Floty. Czy okresowe oceny załogi są przeprowadzane przez kapitana na pokładzie, czy...

– Cóż, właściwie nie ma ustalonych procedur. – Ostry ton znów skrył się za aksamitem. – Oczywiście na jednostkach komercyjnych zawsze obowiązują jakieś korporacyjne wytyczne, ale nie na prywatnych jachtach. Zazwyczaj tego rodzaju raporty sporządza kapitan. Niczego pani nie znalazła?

– Niczego – potwierdziła Heris. – Tylko dane, które znalazły się w ich podaniach. Pomyślałam, że może państwo...

– Och, nie. – Tym razem to on jej przerwał. – Absolutnie nie zajmujemy się tego rodzaju rzeczami. – Najwyraźniej wcale im na tym nie zależało. W końcu trudno byłoby im polecać kogoś, o kim wiadomo, że sprawiał problemy na poprzedniej jednostce – dlatego lepiej nie wiedzieć. Heris spotkała się już w Służbie z takim samym podejściem. – Skoro nie znalazła pani niczego w kartotece statku – mówił dalej jej rozmówca – to obawiam się, że nie możemy pani pomóc. Moglibyśmy dostarczyć niepełne dane na temat przeszkolenia, ale nic więcej. Przykro mi.

Zanim kierownik o gładkim głosie zdążył się rozłączyć, Heris zadała jeszcze jedno pytanie.

– W jaki sposób wybieracie członków załogi dla poszczególnych pracodawców?

Zapadła długa cisza.

– Co takiego? – Głos nie był już uprzejmy, brzmiała w nim złość.

– Zauważyłam, że tylko Sirkin – najnowszy członek załogi – uplasowała się wysoko w swojej klasie, ale powiedziała mi, że ze względów osobistych szukała krótkoterminowego kontraktu. Pozostali zaliczają się do średniej klasy. A przecież lady Cecelia płaci bardzo wysokie pensje – zastanawiałam się, czemu nie polecacie na te stanowiska ludzi o najwyższych kwalifikacjach.

– Oskarża nas pani o wysyłanie lady Cecelii niewykwalifikowanych członków załogi?

– Ależ skąd – zapewniła Heris, choć tak właśnie uważała. – Ale nie wysyłacie jej swojej śmietanki, prawda?

– Wysłaliśmy panią – przypomniał głos.

– Właśnie. Wiem, że nie jestem na szczycie waszej listy kapitanów... i nie powinnam być. – Tak jak przypuszczała, wyznanie złagodziło nieco gniew w głosie po drugiej stronie linii.

– Cóż, to prawda. – Heris przeczekwała wyraźne sapania i pochrząkiwania rozmówcy. – Pani kapitan Serrano, sytuacja wygląda tak. Bywają dobrzy ludzie – wykwalifikowani – którzy nie nadają się na każde stanowisko. Wie pani, co mam na myśli, na pewno nawet w ZSK mieliście takich, którzy są pewni i godni zaufania w zwykłych sytuacjach, ale nie powierzylibyście im dowodzenia krążownikiem w bitwie.

– To prawda – zgodziła się Heris, jakby sama nigdy o tym nie pomyślała.

– Dlatego staramy się zatrzymać naszych najlepszych – śmietankę, jak to pani ujęła – na

stanowiska, na których to ma największe znaczenie. To prawda, że lady Cecelia jest cennym klientem i jej rodzina jest bardzo ważna, ale... z drugiej strony jej jacht nie jest jednostką flagową korporacji Geron, prawda?

– Absolutnie nie.

– Ma dobry statek, stosunkowo nowy, regularnie poddaje go przeglądom, nie oszczędza na naprawach i konserwacji, podróżuje powoli i bezpiecznymi trasami. Nie potrzebuje kogoś, kto umie sobie poradzić z transporterem kolonialnym wiozącym dwadzieścia tysięcy osób czy potrafi manewrować w konwoju frachtowców. A inni potrzebują. Na prywatne jachty proponujemy ludzi, którzy są stabilni emocjonalnie, spokojni... – Heris pomyślała, że właściwym słowem jest „leniwi”. Bez inicjatywy. – Posłuszni i gotowi dostosować się do zmiennego harmonogramu.

– Rozumiem – powiedziała, udając zadowolenie. Faktycznie rozumiała i wcale jej się nie podobało nastawienie agencji do niej i jej pracodawczyni. Z pewnością nigdy nie powiedziano lady Cecelii, że jej bezpieczeństwo uważane jest za mniej ważne od ładunku zamrożonych embrionów czy transportu chemikaliów. Zaufała agencji, a ta wysłała jej śmieci. Heris nigdy dotąd nie myślała, że tak łatwo jest wepchnąć bogaczom wybrakowany towar. – W każdym razie dziękuję – dodała, jakby żadna z tych myśli nie przeszła jej przez głowę. – Rozumiem, że w cywilu wszystko wygląda trochę inaczej, po prostu potrzebuję czasu na przystosowanie się.

– Jestem pewien, że świetnie sobie pani poradzi – zapewnił głos znów pełen aksamitu. Chciał być zadowolony z niej, chciał, żeby lady Cecelia była z niej zadowolona i żeby wszyscy byli zadowoleni ze wszystkiego.

Prawdę mówiąc, Heris zdecydowanie nie czuła zadowolenia, ale wiedziała, że się przystosuje, choć bynajmniej nie w taki sposób, jak oczekiwała agencja. Doprowadzi tę przydzieloną jej załogę obiboków do jakichś przyzwoitych standardów, wyjdzie poza niskie wymagania agencji i uczyni z jachtu lady Cecelii jednostkę, którą mógłby się poszczycić każdy kapitan. Wiedziała, że lady Cecelia chce wylecieć najszybciej jak to możliwe, ale opóźnienie spowodowane przez jej siostrzeńca dało Heris czas na przeprowadzenie rozmów ze wszystkimi członkami załogi. Te krótkie, pięciominutowe spotkania potwierdziły jej początkowe wrażenie: większość nie była w najwyższej formie. Dobrze, że przynajmniej zastała statek w dobrym stanie – solidny kadłub, komponenty kupione wyłącznie od właściwych dostawców, regularne przeglądy w najlepszych dokach serwisowych. I tak miało być z załogą, wymamrotała w duchu. Ale to nic, lady Cecelię chyba nie na wszystkim oszukano.

Ich wylot przypadał dopiero na trzecią wachtę. Lady Cecelia przesłała jej wiadomość, że wolałyby przespać ten moment. Heris doskonale to rozumiała, ona też tak robiła na statkach, którymi nie dowodziła. Do tej pory wszystkie systemy statku pracowały już na pełnych obrotach – zgodnie z przepisami jednostka musiała przetestować wszystkie systemy na sześć godzin przed odlotem.

Heris zjawiała się na mostku dwie godziny przed wyjściem z doku, osobiście sprawdzając po drodze wszystkie ładownie z atmosferą i te urządzenia, od których zależało ich życie. Wszędzie napotykała lśniąca nowością obudowy i nowiutkie nalepki inspekcyjne z wciąż wyraźnie widocznymi datami. To znaczy, że wszystko jest w porządku... a odczuwany przez nią niepokój musi wynikać z faktu, że przebywa na cywilnym statku upstrzonym pluszem w jaskrawych kolorach, a nie na przyzwoitym okręcie.

Za sterami siedział ponury pilot, marszcząc wąskie brwi. Założyła własny zestaw słuchawek i wsłuchiwała się w transmisje. Pilot potwierdzał dane przesłane już przez komputer: numer rejestracyjny *Sweet Delight*, cel podróży, planowaną trasę, charakterystyki radiolatarni, ubezpieczenia. Heris weszła w jego pole widzenia i pokazała mu gestem, że przejmie ten uciążliwy obowiązek. Na ekranie

dowódcy pojawiły się listy wymaganych pozycji. Nie potrafiła pojąć, czemu oficer wylatującego statku musi potwierdzać zamknięcie każdego z kont otwartych podczas wizyty na stacji, za każdym razem powtarzając numer autoryzacyjny danego banku – tak jednak wyglądała procedura obowiązująca od niepamiętnych czasów. Nawet na jej krążowniku ktoś musiał formalnie potwierdzać, że splecono wszystkie konta. W przypadku dużego statku mogło to trwać godziny – tutaj to była zaledwie drobna uciążliwość.

– Dziękuję, *Sweet Delight* – odezwał się urzędnik biura zarządu stacji, kiedy doszła do końca. – Ostatnie listy lub przesyłki? – Bates poinformował ją, że lady Cecelia chce wysłać worek, do którego dołączono listy załogi. Posłała Sirkin, żeby zniosła go do zarejestrowanego urzędnika pocztowego stacji. Meble i dekoracje z zewnętrznej poczekalni zostały już zebrane i upchnięte w ładowni. Kiedy Sirkin wróci, jacht zostanie zhermetyzowany i rozpocznie się końcowa procedura wyjścia z doku.

Wydawało się, że w porównaniu z większymi jednostkami o liczniejszej załodze, do których się przyzwyczaiła, trwało to zaledwie chwilkę. Jej załoga zamknęła i zablokowała zewnętrzne i wewnętrzne włazy, załoga stacji zrobiła to samo po drugiej stronie rękawa dostępowego. *Sweet Delight* wypełniony własnym powietrzem momentalnie zaczął inaczej pachnieć. Została jeszcze godzina końcowych testów systemów. Nie zauważyła, by coś pominęli, choć nie знаła wszystkich sekwencji dla tego pojazdu.

– Holownik na stanowisku, kapitan Serrano – oświadczył pilot. Ustawiał teraz zaczepy jachtu, by ochronić go przed chwytkami holownika. Jachty były zbyt małe, żeby zmieścić się w standardowe chwytki, dlatego wyposażano je w specjalne pierścienie, które zapewniały holownikom dobry chwyt i równocześnie chroniły kadłub jachtu przed uszkodzeniami. Heris spojrzała na pokładowy zegar: dwie minuty do wylotu. Przełączyła jeden z kanałów komunikacyjnych na częstotliwość holownika.

– Kapitan Serrano, *Sweet Delight*. – Proszę. Wreszcie to powiedziała, oficjalnie, do innej jednostki... i gwiazdy z tego powodu nie zgasły.

– Holownik 34 – nadeszła rzeczowa odpowiedź. – Pozwolenie na chwyt.

– Pozwolenie na chwyt. – Pomimo zaczepów poczuła silny wstrząs. Nawet w tych czasach rzadko udawało się idealnie dopasować względne prędkości. Kontrolki stanu na jej konsoli zmieniły kolor: od czerwonego, poprzez pomarańczowy i żółty, do zielonego.

– Wszystko zapięte – oznajmił kapitan holownika. – Na twój sygnał.

Na innym kanale jej konsoli dyżurny zarządca stacji czekał na sygnał.

– Kapitan Serrano, *Sweet Delight*, proszę o pozwolenie na wylot, na wasz sygnał.

– Udzielam pozwolenia. Proszę o potwierdzenie stanu gotowości. Spojrzała na szmaragdowe panele.

– Pełny stan gotowości. – Piętnaście sekund. Liczyła czas razem z kapitanem holownika i zarządcą stacji, ale tak naprawdę to skoordynowane komputery oderwały jacht od stacji. Holownik pociągnął jacht – wciąż bezwładny, z wyłączonym silnikiem – z dala od stacji i zatłoczonych szlaków. Heris wykorzystwała ten czas na sprawdzenie dokładności zewnętrznych czujników jachtu przez porównanie z danymi holownika i stacji. Wszystko zdawało się działać tak jak powinno. Czuła się bardzo dziwnie, lecąc bezwładnie, nawet bez włączonego silnika układowego, ale pojazdy cywilne zawsze ruszały „na zimno”, gdyż firmy holownicze zdecydowanie preferowały taki sposób startowania.

W razie aktywnego napędu jakiś dureń zbyt łatwo mógłby nacisnąć niewłaściwy klawisz.

Kiedy kilka godzin później osiągnęli przydzielony im sektor odpalenia, kapitan holownika znów nawiązał połączenie.

– Potwierdzam bezpieczny sektor Blue Tango 34, proszę o pozwolenie na zwolnienie.

– Udzielam pozwolenia na zwolnienie zaczepów – odpowiedziała Heris i kiwnęła głową pilotowi i Gavinowi. Holownik zwolnił zaczepy i zaczął się wolno oddalać. – Panie Gavin, napęd układowy. – Zauważyła, że pilot schował już uchwyty i sprawdzał na podglądzie, czy mechanizmy blokad właściwie je zabezpieczyły.

– Napęd systemowy. – Silnik podświetlny rozjarzył odpowiadający mu zestaw paneli. – Prawidłowy rozruch. – Heris sama to zauważyła... i niepostrzeżenie głęboko odetchnęła. Uruchamiali już silnik w ramach kontroli systemów, ale to wcale nie oznaczało, że ponownie równie gładko zaskarpuje.

– Uaktywnić – poleciła. Sztuczne ciężenie jakby się zawahało, gdy napęd statku zaczął działać ze zdecydowanie większą siłą niż wcześniej holownik. Potem wszystko się wyrównało, jakby jacht leżał na jakiejś planecie. – Panie Plisson, statek jest pański. – Pilot będzie miał stery aż do chwili, gdy przyjdzie pora na pierwszy skok – i podczas sekwencji kolejnych skoków. Heris jeszcze raz połączyła się z holownikiem. – *Sweet Delight*, potwierdzam uaktywnienie silnika, potwierdzam włączenie, potwierdzam kurs.

– Hej, Sweetie. – Kapitan holownika zrezygnował z oficjalności. – Odwiedź nas jeszcze kiedyś. Holownik 34 żegna. – Heris dopiero teraz się odprężyła, zdając sobie sprawę, że „Sweetie” to prawdopodobnie po prostu skrót nazwy jachtu, a nie obelga. W końcu nawet kapitanowie holowników Służby nazywali Yorktowne „Yorkie”.

No i proszę, pomyślała, lecę. Tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłam, by moja szefowa mogła uganiać się na końskim grzbiecie za lisami, a ja spędzić miesiąc w domu gościnnym, zaprzyjaźniając się z innymi kapitanami gildii. Ta myśl nie wydała jej się jednak pociągająca.

* * *

Heris słyszała, że od kapitanów jachtów – inaczej niż na regularnych liniach – oczekuje się dotrzymywania gościom towarzystwa, schlebiania im i nadszkiepcowania. Ona jednak nie zamierzała współpracować, jeśli o tym właśnie myślała lady Cecelia. Jasno da do zrozumienia, że jest kapitanem, a nie artystką. Ponieważ na jednostce nie ma osobnej mesy dla oficerów, będzie jeść przyzwoite kosmiczne posiłki w swojej kwaterze.

Cecelia z kolei słyszała od swojej siostry, że kapitanowie Floty są zimni, brutalni i gruboskórni (co zapewne znaczyło, że nie padali na kolana przed jej urodą). Sama czerpała zbyt dużą przyjemność z posiłków, by zapraszać na nie nudziarza.

* * *

Pierwszego wieczoru podróży Heris zjadła kolację w swojej kabine, studiując przy tym stos raportów konserwacyjnych i sprawnościowych. Kucharz przygotował zdumiewająco smaczny posiłek – spodziewała się bezbarwnego konserwowego jedzenia, a tymczasem mogłaby się założyć, że chrupiące liście sałaty nigdy nie były w zamrażarce. Brakowało jej mesy oficerskiej, ale obecni na pokładzie *Sweet Delight* oficerowie raczej nie zapowiadali się na interesujących towarzyszy posiłku.

Dobrze, że lady Cecelia nie skąpiła na świeżym jedzeniu i jakości obsługi technicznej. Heris pokiwała głową nad ekranem pełnym danych. Wśród wszystkich dostawców nie znalazła ani jednego o podejranej reputacji. Jeśli lady wynajmowała niekompetentnych pracowników, to raczej nie z pobudek ekonomicznych. Kwoty na rachunkach wystarczyłyby na pokrycie kosztów wyposażenia i przeglądów znacznie większego i groźniejszego statku niż jacht, ale Heris podejrzewała, że część pieniędzy szła na kosmetykę w rodzaju dekoracji. To przypomniało jej, że powinna powiedzieć lady Cecelii o konieczności zdarcia pluszowych osłon rur i przewodów.

Zrezygnowała z kremowego deseru, zadowolając się kolejnym kawałkiem miętowego selera, potem wsunęła tacę do podajnika zwrotnego i wywołała dane z kolejnego przeglądu. Jak dotąd – jeszcze sobie nie pozwalała myśleć o przyszłości – nic się nie zepsuło.

* * *

– Podejrzewam, że oczekujesz od nas ubrania się – burknął Ronnie. Leżał rozciągnięty na leżance do masażu, a jego zgrabne ciało wciąż ociekało potem po ćwiczeniach na przyrządach gimnastycznych. Cecelia spojrzała na niego krzywo – sama miała ochotę na masaż, ale nie na lepkich poduszkach, które po sobie pozostawi. Kiedy wybierała luksusową skórzaną tapicerkę, nie przypuszczała, że będzie kiedyś musiała się nią dzielić. Sprzedawczyni wspomniała o tym potencjalnym problemie, ale zbyła to wzruszeniem ramion. Teraz była zirytowana, jakby wina wcale nie leżała po jej stronie.

– Tak – oznajmiła. – I pospieszcie się, jedzenie nie robi się lepsze od czekania.

– Dziękuję, lady Cecelio – powiedziała Raffaele. Wyglądało na to, że ta szczupła i ciemnoskóra dziewczyna – choć nie aż tak jak kapitan Serrano – jest towarzyszką George’a. – Ci młodzieńcy nigdy nie ubraliby się przyzwoicie, gdyby ich pani nie zmusiła, a jeśli oni tego nie zrobią, my też nie możemy.

– Czemu? – Nie miała nastroju na trzymanie się konwenansów. Zauważyła, że dziewczyny wymieniły spojrzenia.

– Po prostu głupio bym się czuła, to wszystko. Ja w czerwonej sukni i chłopcy w szortach?

Cecelia zachichotała.

– Jeśli masz się czuć głupio tylko dlatego, że jakiś pacan nie dorasta do twoich oczekiwań, to będziesz miała ciężkie życie. Zakładaj to, co chcesz, i zignoruj ich.

Nastąpiła kolejna wymiana spojrzeń. Zanim któraś z dziewcząt zareagowała, odezwał się Ronnie.

– Ty właśnie to robisz – i dlatego nigdy nie wyszłaś za mąż i żyjesz samotnie na tym żalnym stateczku!

Cecelia zmiażdżyła go wzrokiem.

– Po to mam pieniądze i pozycję – niezależną od sojuszników – by robić to, co chcę, i dlatego mogłam ci pomóc, gdy wpakowałeś się w to łajno. Pewnie nie wiesz, że pierwotnie zaproponowano twojemu ojcu, żeby wepchnął cię na rudowiec do Versteen?

– Nie zrobiliby tego! – Ronnie sprawiał wrażenie przerażonego.

Cecelia wzruszyła ramionami.

– Nie zrobili, ale głównie dlatego, że znalazłam się pod ręką i dałam się przekonać. Gdyby twoja matka... Cóż, nieważne. Chodzi mi o to, że gdybym była zwyczajnym członkiem tej rodziny i wyszła

za mąż za jakiegoś odpowiedniego człowieka, raczej nie mogłabym cię zabrać. Nieustannie traktujesz to jak swego rodzaju wygłup, ale zapewniam cię, że większość mężczyzn – dorosłych, takich jak twój ojciec i jego przyjaciele – uważa fakt nadużycia zaufania kobiety za hańbę, pomijając już implikacje polityczne. – Ronnie zaczerwienił się. – A teraz idź i zrób z siebie cywilizowane towarzystwo do kolacji. Was także to dotyczy, młode damy. Nie uważam, aby stroje, które nosicie na przyjęciach z rówieśnikami, były odpowiednie. – Właściwie nie miała pojęcia, w co ubierały się we własnym towarzystwie, ale doskonale pamiętała siebie w wieku dwudziestu trzech lat.

Kiedy wyszli, Cecelia pomacała leżankę do masażu i wzdrygnęła się. Zdecydowanie zbyt mokra. Skierowała na nią suszarkę, ale potem zrezygnowała z masażu i postanowiła zamiast tego popływać. Ekran prywatności – płynny kryształ przełączany wyłącznie od środka – odizolował ją w mlecznej kopule, na którą wysłała projekcję nisko zwieszonych drzew. Włączyła system udźwiękowania basenu i zsunęła się do wody przy pierwszych dźwiękach Księżycowego przypływu Delisanade'a. Być może pozostali uznaliby jej wybór za zbyt sztampowy, ale ona potrzebowała tych powolnych dźwięków do rozładowania napięcia. Otoczyła ją woda. Pozwoliła ciału i myślom połączyć się z wodą i muzyką, płynąc leniwie w rytm dźwięków.

Kiedy poczuła, że zaczyna się odprężyć, rozległ się brzęczyk zegara i głos Myrtis przypomniał jej, że pora się ubrać.

– Brzydkie słowa, brzydkie, brzydkie słowa. – Tak mówiła w dzieciństwie, zanim jeszcze nauczyła się jakichś przekleństw. Bolał ją żołądek. Gdyby nie Ronnie i jego banda, odłożyłaby kolację do czasu, aż ona będzie gotowa – i nikt nie będzie jej przeszkadzał. A jej leżanka do masażu nie zostałaby przepocona. Wyszła z basenu, rozchlapując wodę, i odruchowo wyłączyła ekran prywatności, po czym zdała sobie sprawę, że mając na pokładzie gości, powinna być ostrożniejsza. Na szczęście wszyscy poszli się ubierać – żadne z nich nie wróciło tu, by zadać jej jakieś głupie pytanie. Nie żeby sami nie pływali nago, ale nie miała ochoty wystawiać swojego ciała na porównanie z ich młodymi ciałami.

Włożyła podgrzany szlafrok i stała nieruchomo, czekając, aż Myrtis wytrze jej włosy. Potem wsunęła nogi w ciepłe kapcie, wzięła podgrzany ręcznik i ruszyła do swojego apartamentu, wycierając po drodze wilgotne jeszcze włosy. Ostatnio zrobiły się rzadsze i szybciej schły – nie lubiła suszarek i wołała raczej pójść na posiłek z wilgotnymi włosami niż skorzystać z suszenia.

Myrtis rozłożyła już w sypialni jej ulubioną wieczorową suknię z bogatego złotobrazowego shi-jedwabiu z koronką w kolorze kości słoniowej. Cecelia pozwoliła pokojówce wytrzeć jej ciało, nasmarować olejkami i wypudrować, a potem pomóc jej w założeniu sukni. Myrtis, w przeciwieństwie do Aublice, jej pierwszej pokojówki, nigdy nie widziała jej młodego ciała. Traktowała Cecelię z profesjonalną poprawnością i sympatią osoby, która od piętnastu lat pracuje dla tej samej pracodawczyni i ma nadzieję pracować jeszcze całe lata. Potem Cecelia usiadła i Myrtis rozczesała jej krótkie włosy z pasmami czerwieni i siwizny oraz założyła wyszukany naszyjnik z bursztynów i emaliowanej miedzi, dzięki któremu koronki wyglądały jeszcze delikatniej. Te dziewczęta mogą być o pięćdziesiąt lat młodsze, ale bez wątplenia rozpoznają projekt Marice Limited i wywrze to na nich odpowiednie wrażenie. Nie będą wiedziały, że naszyjnik zaprojektował specjalnie dla niej sam Marice, ani czemu to zrobił... ale to nie ma znaczenia.

* * *

Pieczeń drobiowa pachniała tak, że spięty żołądek Cecelii zaraz się rozluźnił. Rozejrzała się

wokół i skinęła głową Batesowi. Ruszyła obsługa składająca się z ludzi i automatów. Człowiek podawał plastry pieczonej piersi i sosjerkę, ale okruchy znikwały bez ingerencji ludzkiej ręki.

– Czy cały czas jada pani w ten sposób, lady Cecelio? – zapytała Bubbles. Cecelia pomyślała, że trzeźwa i wyleczona z kaca dziewczyna jest całkiem ładna, tyle że jej suknia wyglądała tak, jakby miała pęknąć po następnym kęsie. Wcale nie była taka pulchna – to suknia była za ciasna. Jasnozielony kolor podkreślał białą skórę i blond loki, choć zupełnie nie pasował do ciemnoczerwonej sukni Raffaele. Trzecia dziewczyna, Sarah, przystroiła się w błękit, który wyglądałby całkiem dobrze, gdyby nie jedwabny materiał w wytłaczane łuski – dzieło d’Albianian.

– Tak – odpowiedziała Cecelia. – Czemu nie? Kucharz jest geniuszem, stać mnie na to, więc...

– Proszę opowiedzieć nam o swojej nowej kapitan. Czemu wybrała pani oficera Floty Kosmicznej?

– Czemu można ją było zatrudnić? – dorzucił wstrętny George.

Był mniej przystojny od Ronniego, co Cecelii nie przeszkadzało, ale błyszczał tak, jakby go pomalowano lakierem, a to sprawiało, że mu nie ufała.

– Mój poprzedni kapitan bardzo mnie rozczarował – wyjaśniła, jakby mieli prawo pytać. Zawsze łagodniała przy dobrym jedzeniu, co zresztą było jednym z powodów, dla których pilnowała, by go nie zabrakło. Nie zamierzała się przyznać, że gdyby kapitan Olin trzymał się jej harmonogramu, już dawno by stąd odleciała i nie byłaby dostępna w chwili skazania Ronniego na wygnanie. Po co tracić dobrą amunicję? – Chciałam większej skuteczności – wyjaśniła między kęsami, kazać im czekać. – Lepszego dowodzenia. Wszyscy przychodzili do mnie i narzekali na różne rzeczy albo załoga kłóciła się z personelem. Pomyślałam, że oficer Zawodowej Służby Kosmicznej – wyraźnie zaakcentowała te słowa – będzie wiedział, jak utrzymać dyscyplinę i wypełniać moje polecenia.

– Zawodowi mają fioła na punkcie dyscypliny – zauważył George tonem osoby uważającej to za niedorzeczność. – Pamiętasz, Ronnie, jak Currier się przeniósł? Nie wytrzymał sześciu tygodni. Te wszystkie bzdury... Przecież całe to stawanie na baczność, salutowanie i sprzątanie niczego nie daje.

– No nie wiem... – Buttons, średni syn Bunny’ego, był zdumiewająco podobny do ojca, gdy pocierał nos kciukiem. Cecelia uznała, że chodzi raczej o gest, a nie rysy twarzy. Wąski nos i karmelowe włosy odziedziczył bowiem po matce. – Nie da się niczego osiągnąć bez dyscypliny... – I tak samo jak matka, w każdym sporze stawał zawsze po drugiej stronie, pomyślała Cecelia. Kiedy była dziewczyną, było to nawet zabawne, ale jako żona Bunny’ego wywołała parę skandali towarzyskich, wybierając zdecydowanie nieodpowiednie chwile, aby zauważyć, że nie wszyscy się zgadzają. Cecelia wciąż pamiętała incydent z nożami do ryb. Ciekawa była, do którego z rodziców podobna jest Bubbles.

– Nie chodzi mi wcale o dyscyplinę. – George przerwał mu, jakby miał prawo, a Buttons wzruszył ramionami, najwyraźniej do tego przyzwyczajony. – Chodzi o tę niedorzeczną tresurę, którą zawodowi nazywają dyscypliną. Nie mam nic przeciwko testom sprawnościowym i egzaminom kwalifikacyjnym – przy obecnej technice nawet najlepsze rodziny mogą czasem wyprodukować bezmózgich cudaków. – Cecelia pomyślała, że sam stanowi tego najlepszy dowód. – Ale... – kontynuował George, nieświadomy opinii gospodyni, zbyt uprzejmej, by ją głośno wyrazić – naprawdę nie widzę żadnego powodu do trzymania się archaicznych form zachowań wojskowych, nie mających żadnego odniesienia do współczesnych działań wojennych.

Tym razem Buttons tylko wzruszył ramionami znad swojego talerza. Na jego twarzy malował się zachwyty typowy dla większości gości Cecelii, którzy po raz pierwszy zetknęli się z geniuszem jej

kucharza. George rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego rozmówcy, ale stwierdził, że wszyscy zajęli się posiłkiem, więc niedbale wzruszając ramionami, także zabrał się do jedzenia.

Reszta kolacji minęła we względnej ciszy. Po pieczeniu drobiowej przyniesiono sałatkę ze świeżych warzyw w mocno schłodzonym sosie przyprawionym pietruszką; było to ulubione danie Cecelii, którym nieodmiennie zaskakiwała swoich gości. Wyjaśniała im, że budzi w ten sposób uśpione wcześniej przez pieczeń podniebienia. Następnie pojawiły się chrupkie plastry odległego potomka ziemniaka, każdy na rozecie z krewetkowego puree. Sztuka, której nie potrafił chyba nikt poza jej kucharzem, polegała na lekkim podgotowaniu ziemniaków przed usmażeniem, tak by na zewnątrz były prawie chrupkie, a w środku puszyste. Zauważyła, że młodzi ludzie poprosili o dodatkowe porcje ziemniaków i pieczeni. W końcu Bates przyniósł drobne ciastka nadziewane doskonale przyprawionymi owocami, a wszystko to polane sosem czekoladowym i cynamonowym. Po jednym dla każdego, choć Cecelia wiedziała, że później będzie na nią czekało jeszcze kilka ciastek, bezpiecznie ukrytych przed młodymi ludźmi.

Starannie smakując swoje ciastko, Cecelia zauważyła, że pełne żołądki wyraźnie ich rozleniwily. Wyglądali teraz tak, jakby mieli ochotę rozciągnąć się w fotelach i na kanapie. Nie w mojej jadalni, pomyślała i uśmiechnęła się. Na coś w końcu przydały się eleganckie, ale niewygodne krzesła, które wmusił jej rekomendowany przez Berenice projektant.

Cecelia nie знаła aktualnych trendów młodzieżowej mody i wcale jej to nie interesowało. Za czasów jej młodości wielkie rodziny podtrzymywały zwyczaj spędzania czasu po kolacji osobno przez kobiety i mężczyzn. Nie podobało jej się to i na własnym jachcie nie przestrzegala takich zwyczajów – albo zapraszała wszystkich gości do kontynuowania rozmów w salonie, albo wymawiała się i znikala, pozwalając im robić to, na co mieli ochotę.

Tego wieczoru, mając za sobą dobry posiłek, poczuła się wystarczająco udobruchana, by poświęcić młodym ludziom jeszcze trochę czasu. Może dobrze nakarmieni i wyleczeni z kaca okaza się zabawni, może usłyszy jakieś nowe plotki, ponieważ żadne z nich nie wykazywało w tym względzie najmniejszej powściągliwości.

– Przejdźmy do salonu – zaproponowała, wstając. Młodzi ludzie wstali, tak jak powinni, ale Ronnie zmarszczył czoło.

– Jeśli pozwolisz, ciociu Cecelio, wolałbym raczej obejrzeć program. Mamy ze sobą własne kostki. – Ciemnoskóra dziewczyna, Raffaele, otworzyła usta, jakby miała zaprotestować, ale zaraz je zamknęła.

– Proszę bardzo. – Cecelia usłyszała chłód we własnym głosie. Będą ją obrażać? Na jej własnym jachcie? Nie zniży się do tego samego, ale im nie zapomni.

Buttons ponownie próbował interweniować.

– Poczekaj, Ronnie... Naprawdę powinniśmy...

– Nie szkodzi – rzuciła Cecelia, machając dłonią. Temperament, za który zawsze obwiniała swoje rude włosy, wrócił pod kontrolę. – Jestem pewna, że macie rację, zanudzilibyście się tylko rozmową ze staruszką. – Odwróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając ich samych.

Przynajmniej nie będzie musiała spędzać więcej czasu w tym obrzydliwym lawendowym pomieszczeniu. Przez chwilę bawiła się myślą o ponownym urządzeniu jachtu i obciążeniu rachunkiem siostry, ale szybko wracający po napadach złości rozsądek przypomniał jej, że byłoby to niedorzeczne. Tak jak wtedy, gdy pokłóciły się z Berenice, a później odkryły, że ich bracia zainstalowali w pokoju podsłuch, dzięki czemu dostarczyły rozrywki całej bandzie małych chłopców.

Prychnęła i potrzęsnęła głową. Tym razem miała prawo do złości, nie była przygotowana na śmiech.

Rozpoznając objawy burzy, Myrtis włączyła jej ulubioną muzykę i czekała, gotowa zdjąć jej biżuterię. Cecelia uśmiechnęła się do niej w lustrze, gdy sprawne palce pokojówki rozpinają naszyjnik.

– Młódzież woli oglądać kostki rozrywkowe – oznajmiła. – Przypuszczam, że będę czytać do późna. – Tak naprawdę miała ochotę podpiąć się do systemu i udać się na długą, męczącą jazdę, ale to oznaczałoby kolejną kąpiel na ochłodę, a podejrzewała, że młodzi ludzie nie położą się spać zbyt wcześnie. Kiedy Myrtis podała jej wyłaczany szlafrok, wsunęła się w niego i przeszła do swojego gabinetu. Tutaj, przy zamkniętych drzwiach i włączonym wieczornym oświetleniu solarium, mogła wyciągnąć się w ulubionym fotelu i przyglądać się nocnemu życiu. Dwie jaszczurki wiatrakowe splotły się wokół pierzastej paproci ze wzniesionymi do góry skrzydłami, drżącymi i lśniącymi delikatnymi barwami. Dwa miniaturowe konie zanurzyły głowy w rzeźbionej fontannie, by napić się wody. Oczywiście nie były prawdziwymi końmi, ich geny wywodziły się z innych gatunków. W słabym świetle raz wyglądały całkiem realnie, a raz magicznie, w zależności od jej nastroju.

Coś przemknęło pośród pełnego cieni maleńkiego lasu. To zanurkowała sere-sowa. Potem ptak przysiadł ze szponami zaciśniętymi na ofierze, wpatrując się srebrnymi oczami w sieć srebrzystych pnączy, których nawet on nie odważył się przebyć. Maleńkie konie uniosły głowy, rozdymając szeroko nozdrza. Spłoszyły się, ale wróciły do wody, gdy sowa zaczęła się pożywiać. To Kass i Vikka, pomyślała Cecelia. Jej ulubiona klacz ze swoim roczniakiem. W dziennym świetle klacz miała złotomiodowy grzbiet z brązowymi plamami, biały brzuch i ciemną grzywę. Była prawie idealną miniaturą jej konia wyścigowego – większość hodowców maleńkich zwierząt wołała bardziej egzotyczne kolory, które nie pochodziły od genów koni.

Kiedy klacz poprowadziła młode z powrotem w gąszcz, Cecelia westchnęła i zaciemniła okno. Teraz miała przed sobą obraz, który sprawiał jej najwięcej przyjemności: jej gabinet w Orchard Hall, którego okna wychodziły na stajnie. Za podwórzem widać było otwartą górną połowę bramy prowadzącej do boksów i konie czekające niecierpliwie na poranne karmienie. Gdyby chciała, mogłaby ożywić wspomnienie w długiej pętli, która obejmowałaby cały dzień. Mogłaby włączyć dźwięki i nawet zapachy (choć Myrtis pociągałaby później nosem i spryskiwała wszystko miętą). Ale nie mogła przejść przez tamte drzwi, te z wygodną staromodną klamką, i wkroczyć w dawne życie. Wzruszyła ramionami, zła na siebie za takie uzalanie się nad sobą, i wywołała kolejny widok: nadmorski krajobraz z wysokości latarni. Dodała ścieżkę dźwiękową i zapachową i głęboko wciągnęła pachnące solą powietrze. Powiedziała Myrtis, że będzie czytać do późna, więc będzie czytać. I nie kostkę, a prawdziwą książkę, która wymaga znacznie lepszego skupienia. Pozwoliła sobie na przyjemność wybrania ulubionej: Rodziny Dialan Seluun, jadowitej i dowcipnej satyry na pompatyczność wielkich rodzin sprzed czterech pokoleń.

– Jej wdzięczna młodzieńcza pierś otarła się o przeciwnika i Marilisa zauważyła, że nie ma dłoni ni macek, którymi mogłaby chwycić broń... – Jak zwykle wzbudziło to jej śmiech. Choć znała tekst na pamięć, i tak ją śmieszył. Pod koniec pierwszego rozdziału przestała wreszcie gniewać się w duchu na Ronniego i jego przyjaciół. Zawsze może po prostu ukryć się w kabinie i czytać. Będą myśleć, że się dąsa, i nie przyjdzie im nawet do głowy, że boli ją brzuch ze śmiechu.

Rozdział 3

Heris nie miała pojęcia, że dowodzenie jachtem może być tak skomplikowane. Przecież był mały, na pokładzie przebywało niewielu ludzi... W miarę jak przegryzała się przez instrukcje, schematy i rozkłady, zaczynała żałować, że nie zaczęła tego robić kilka tygodni przed pierwszą podróżą. Godziny nie wystarczały. Siedząc przed biurkowym ekranem, klęła pod nosem. Kwatery właścicielki oddzielone od kwater personelu, a to wszystko oddalone od kwater załogi. Cztery pełne i niezależne systemy hydroponiczne: dla załogi, personelu, jedzenia i kwiatów. Kwiatów? Odłożyła to na później. Załoga statku, jej ludzie, odpowiadają za wszystko, co jest związane z układami podtrzymywania życia, a nie za jedzenie dla personelu i kwiaty. To oni utrzymują zasilanie, okablowanie i połączenia komunikacyjne. Jednym z niewielu wspólnych zadań jest zaopatrywanie załogi w jedzenie. Oczywiście nie robi tego osobista kucharka madame, tylko jej asystenci.

W końcu Heris wyruszyła na poszukiwanie kogoś, kto mógłby ją oświecić. Wybrała najstarszego rangą pracownika na pokładzie: Batesa. Nie wchodziła mu w drogę, czego chyba od niej oczekiwano, ale żaden kapitan nie może dobrze dowodzić, nie mając odpowiedniej wiedzy.

– Kto to robi w domu na planecie? – zapytała.

Bates wydał wargi i milczał. Postanowiła to przetrzymać. Może i jest lokajem, ale ona jest kapitanem.

– To... się zmienia – powiedział w końcu. – Bardziej niż kiedyś i bardziej niż powinno, jak mówią niektórzy. Pierwotnie wszystkim zajmował się personel domu, chyba że zawaliła się ściana czy coś takiego. Potem domy stały się bardziej stechnicyzowane – kanalizacja, rury z gazem, elektryczność... – Heris nigdy nie myślała, że posiadanie w domu kanalizacji oznacza stechnicyzowanie domu. – Wtedy – mówił dalej Bates – właściciele musieli się uciekać do pomocy zewnętrznych fachowców. Wzywać elektryka czy hydraulika, gdy coś się zepsuło. Niektórzy zatrudniali pracowników, którzy mogliby się tym zajmować, ale większość tych ludzi uważała się za zbyt dobrych, by być u kogoś na służbie.

– Czyli... zazwyczaj są to ludzie z zewnątrz?

– Przeważnie, poza naprawę dużymi domami. Oczywiście tam, dokąd lecimy, wszystkim zajmuje się personel, ale ma pod swoją opieką całą planetę.

– Cała planeta to jeden dom?

– Tak... Myślałem, że pani wie. Posiadłość lorda Thornbuckle'a to właśnie planeta.

Właściwie to oczywiste, że superbogacze posiadają całe planety... ale myślała o nich jako o posiadaczach ziemskich, a nie właścicielach wszystkiego na planecie – infrastruktury, domów, pracowników. Przypomniała sobie, że ZSK również posiadała kilka planet: jedne dla ich zasobów, inne na bazy szkoleniowe. Czyli to nie różni się tak bardzo od dużej bazy wojskowej. Natychmiast przestały ją dręczyć pytania typu: gdzie kupują jedzenie? Gdzie uczą dzieci?

– Czyli lord... eee... Thornbuckle ma już cały personel pomocniczy? Techników, krety i całą resztę?

– Tak, pani kapitan. Poza sezonem populacja planety nie przekracza dwustu tysięcy mieszkańców, ale w sezonie będzie tam przynajmniej dwa tysiące gości, a to oczywiście oznacza kolejnych dwadzieścia tysięcy członków załóg statków i personelu, wałęsających się po stacjach i domach gościnnych.

Dom gościnny kojarzył się jej z takim miejscem, gdzie żołnierze Floty pili, oddawali się

hazardowi i rozrywkom. Sądząc po wyjaśnieniach Batesa, tutaj również była to tania baza dla załóg statków i personelu domowego poza służbą... czyli innymi słowy, miejsce Hazardu, picia i rozrywek. Większość bogatych gości przybywających własnymi jachtami zostawiała je zadokowane „na ślepo” przy stacjach (przydział odpowiedniej stacji zależał od ich rangi). Bates twierdził, że wakacje na planecie są przyjemniejsze dla załogi i personelu oraz tańsze niż utrzymywanie dużych stacji orbitalnych, które mogłyby wszystkich pomieścić. Placówka mieściła się na dużej wyspie; tamtejsze kluby, bary, miejsca rozrywki – to było wszystko, czego mógł chcieć personel na wakacjach.

– Nie ma żadnych burd? – zapytała Heris, pamiętając zachowanie żołnierzy. – Nie potrzeba żadnych... – Jak oni nazwaliby patrole naziemne? – Żadnych służb porządkowych?

– Jest milicja – wyjaśnił Bates, krzywiąc się z niesmakiem. – Oczywiście zawsze znajdują się tacy, którzy nie potrafią się zachować, dlatego ktoś musi pilnować porządku. To zrozumiałe, że na wyspie normalna struktura dowodzenia... nie obowiązuje. Na przykład ja nie byłbym odpowiedzialny za to, że któryś z młodszych ogrodników z tego statku wpakował się w kłopoty. Może milady miałyby inne zdanie i coś by mi później powiedziała, ale nie milicja. Widzi pani, my wszyscy mamy tam swoje miejsca.

Bary dla szeryfów, podoficerów i oficerów, pomyślała Heris i wywołała listę oddziałów gildii kapitańskiej. Znalazła jeden w domu gościnnym. Czyli od niej też będą oczekiwać, że przesiedzi sezon łowiecki w towarzystwie innych kapitanów jachtów. Czemu miałyby to być gorsze od spędzania czasu na przepustce z oficerami Floty? Znała odpowiedź, ale szybko ją odrzuciła. Wstąpiła do gildii kapitańskiej i chwilowo nic więcej nie mogła zrobić.

– Przypuszczam – powiedziała, przyglądając się uważnie Batesowi – że gdyby... pojawił się jakiś problem... ze strony personelu, zostanę o tym poinformowana?

– Tak, kapitan Serrano. – Uśmiechnął się do niej, wyraźnie zadowolony.

Nie rozumiała powodu jego uśmiechu.

– To wszystko bardzo się różni od sytuacji w Zawodowej Służbie Kosmicznej – rzuciła, żeby zobaczyć jego reakcję.

– Tak, pani kapitan, niewątpliwie. – Jego uśmiech poszerzył się. – Różni się nawet od sytuacji w większości cywilnych domostw. Lady Cecelia lubi robić wszystko po swojemu.

Tego Heris sama się domyśliła na widok lawendowego pluszu. Może służący w rodzaju Batesa czerpali przyjemność z dziwactw swoich pracowników, ale ona nie. Jeszcze nie.

– Muszę pana ostrzec – poinformowała go – że zamierzam przeprowadzać takie same ćwiczenia ratunkowe, jak na pokładzie okrętu wojennego. Rozumie pan, to kwestia bezpieczeństwa. Czy... eee... personel odbywa na pokładzie sesje treningowe?

– Normalnie nie, choć mamy przydzielone miejsca i obowiązki na wypadek różnych sytuacji awaryjnych. Kapitan Olin nigdy nie uważał tego za konieczne. – Heris wyczuła w głosie Batesa lekki niesmak, choć nie wiedziała, czy to dotyczy kapitana Olina, czy jej propozycji.

– Obawiam się, że kapitan Olin miał dziwactwa zupełnie nie pasujące do kapitana statku kosmicznego – rzekła, po czym zdała sobie sprawę, jak dziwnie to zabrzmiało. Dziwactwa sugerowały działania związane z przedmiotami pochodzącymi z katalogów w rodzaju Pasjonaci i Wyobrażenia. Jedyna znana jej osoba wyrzucona ze Służby z powodu „dziwactw” – brała udział w tym sędzie wojennym – upierała się przy dzieleniu swoją fascynacją przewodami kanalizacyjnymi i elektrycznymi z ludźmi, których ten temat wcale nie interesował. Teraz przypomniała sobie nagle, że oskarżony lubił też napychać sobie usta piórami. Była pewna, że dziwactwa kapitana Olina były

raczej natury etycznej, a nie zmysłowej.

Bates już się nie uśmiechał.

– I te ćwiczenia będą... niezapowiedziane?

– Tak. Przykro mi, zdaję sobie sprawę, że to niewygodne, ale nigdy nie wiadomo, kiedy może pojawić się prawdziwe niebezpieczeństwo, dlatego ćwiczenia muszą być niespodziewane. W ten sposób możemy się dowiedzieć, co jest nie tak, i lepiej się przygotować. – Urwała. – Ale gdyby chciał pan najpierw urządzić treningi, mogę poczekać z ćwiczeniami. Niezbędnym minimum jest wyznaczenie każdemu członkowi personelu stanowiska awaryjnego, gdzie będzie bezpieczny i jednocześnie nie będzie przeszkadzał załodze w jej zadaniach. Idealnie byłoby, gdyby personel mógł czasem pomagać załodze, na przykład sprawdzać, czy śluzy awaryjne są zamknięte, czy system wentylacyjny działa zgodnie ze specyfikacją i tym podobne.

– A co z lady Cecelią i jej gośćmi?

– Oni również muszą mieć bezpieczne stanowiska awaryjne. Muszą przećwiczyć ewakuację tak samo jak wszyscy inni. Gdyby coś się przydarzyło – choć to mało prawdopodobne – musimy wiedzieć, gdzie są i jak ich ratować.

– Rozumiem. – Bates był zdumiewająco ponury, jakby nigdy wcześniej nie pomyślał o niebezpieczeństwach grożących w czasie podróży kosmicznych. – Czy są na to jakieś standardowe procedury?

– Wy... nigdy nie przeszliście żadnego szkolenia?

Wyglądał na niezadowolonego, ale zdeterminowanego.

– Nie, kapitan Serrano. Z tego, co wiem, żaden z kapitanów lady Cecelii nigdy nie urządził ćwiczeń, które obejmowałyby personel, właścicielkę lub jej gości.

Heris zdołała nie jęknąć, choć w środku aż się spieniła na myśl o niekompetencji kapitanów. Czy nie mieli żadnej dumy zawodowej?

– W takim razie najlepiej będzie, jak z nią porozmawiam, prawda? – powiedziała łagodnie. – Jeśli nie zdaje sobie sprawy z wagi tych ćwiczeń, może panu bardzo utrudniać życie. A później, jeśli będzie pan miał czas... może moglibyśmy popracować nad ustaleniem zadań dla personelu.

Bates odprężył się i uśmiechnął. Heris wzięła od niego listę stanowisk personelu oraz ich specjalizacji i wróciła na swoją stronę statku, starając się nie kłąć głośno.

Zgodnie z wymogami przepisów, baza danych jachtu zawierała pełny tekst standardowych procedur awaryjnych dla załóg i pasażerów. W tej chwili Heris uznała personel za równy pasażerom. Zdecydowała się wydrukować kopię – będzie imponująco gruba, z pieczęcią Komisji Transportu na okładce – i przekonać lady Cecelię, że to nie są tylko jej zachcianki.

Ostatni raz plik otwierano – właściwie wcale nie powinno jej to dziwić w dniu wypuszczenia jachtu ze stoczni. Przez te wszystkie lata... Jej żołądek zwinął się na myśl o różnych możliwych sytuacjach. Nie, nie powinna oczekiwać, że lady Cecelia bądź jej koszmarne niekompetentny personel zaliczą ćwiczenia awaryjne, zanim nie zapoznają się z instrukcjami. Zaczęła się zastanawiać, jak wygląda właściwa procedura – o ile taka istnieje – poinformowania bogatej właścicielki, że jej statek od lat jest bardzo niebezpiecznym miejscem.

Wydruk wylądował na podajniku. Wzięła go do ręki. Pieczęć Komisji Transportu wyglądała mniej imponująco, niż się spodziewała, ale księga i tak miała swoją wagę. Zajrzała do środka, krzywiąc się na urzędowy język. Był równie koszmarny jak wytyczne Floty. Wszystko to, co nieistotne, wypisano z

najdrobniejszymi szczegółami, łącznie z wymaganiami co do sposobu udokumentowania wykonania, a sprawy najważniejsze ukryto w ogólnikach. Na przykład jak wysoko nad poziomem pokładu należy umieścić znaki ostrzegawcze, jaka powinna być wielkość liter, ich kolor... Znieruchomiła. Znaki ostrzegawcze? Jakie znaki ostrzegawcze?

Przeskoczyła do spisu treści i wyszukała rozdział WYMAGANE OZNACZENIA I KARY ZA BRAK OZNACZEŃ. Pomimo aktualnych nalepek inspekcyjnych *Sweet Delight* brakowało przynajmniej pięćdziesięciu pozycji – i to tylko z pierwszej strony instrukcji. A kary, gdyby to zostało zauważone przez inspekcję, byłyby zdumiewająco wysokie. Na przykład pasażerowie powinni mieć dostęp do tej instrukcji oraz wykazu indywidualnych procedur awaryjnych dla jednostki. Wiedziała, że taki wydruk nie istnieje.

– Ale za to jest – wymamrotała – ten głupi fioletowy plusz.

– Kapitanie? – Heris obejrzała się. Koło drzwi stał Gavin z przepaszającą miną. – Pukałem – poinformował – ale pani chyba nie słyszała.

– Przepraszam, panie Gavin – odpowiedziała. – O co chodzi?

– O te oceny załogi, o które pani pytała. Nigdy nie robiliśmy czegoś takiego, kiedy dowodził tu kapitan Olin. Nie do końca jestem pewien, czego pani chce...

Heris miała ochotę odpowiedzieć, że jego głowy na talerzu, ale tak naprawdę wcale nie był najgorszy z nich wszystkich.

– Panie Gavin, chciałabym się dowiedzieć, jak pańskim zdaniem radzą sobie wszyscy członkowie załogi: czy znają swoje obowiązki i czy właściwie się z nich wywiązują?

Pewnie zrobiłby ponurą minę, gdyby tylko miał dość odwagi.

– Jak dotąd lady Cecelia zawsze była z nich zadowolona – powiedział. – Jeśli nie dochodzą do niej żadne narzekania...

– Panie Gavin, nie można powiedzieć, że lady Cecelia ma odpowiednie kwalifikacje, aby ocenić umiejętności nawigatora lub inżyniera, prawda? To moje zadanie, ale ponieważ jestem tu nowa, proszę o pańską pomoc. Teraz to jest pańskie zadanie.

– Ale... Cóż, pani kapitan, wszyscy muszą wiedzieć, że to robię.

– Muszą?

– I nie lubię mówić rzeczy, które, wie pani... Ktoś nowy, tak jak Sirkin, to co innego, ale pozostali... Latamy razem od bardzo dawna i nie chcę ranić niczyich uczuć. Nie żeby coś źle robili, ale pani chce ich ocen...

Heris pozwoliła sobie na gniewne spojrzenie.

– Panie Gavin, jest pan oficerem na tym statku, pełnił pan funkcję zastępcy kapitana Olina, tak jak teraz jest pan moim zastępcą. Pańskim obowiązkiem jest stawianie na pierwszym miejscu bezpieczeństwa statku, a przyjaźni na drugim. Nikogo nie musi ranić fakt, że zostanie przez pana oceniony. Nie ma w tym niczego wstydliwego, jeśli tylko ogólna sprawność jest zadowalająca. Ale jeśli nie czuje się pan na siłach wypełniać swoich obowiązków...

– To nie to – zaprotestował.

– Bardzo dobrze. W takim razie oczekuję, że pańskie oceny wylądują na moim biurku w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Bardzo źle się stało, że kapitan Olin nie przeprowadzał regularnych ocen, by załoga zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest to ważne, ale skoro tego nie robił, teraz pan będzie musiał wykonać to zadanie.

– Tak, pani kapitan – odparł, ale nie ruszył się do wyjścia. Nadal stał z ponurą miną.

– Ma pan jeszcze jakiś problem? – zapytała po dłuższej chwili Heris.

– Cóż... Chodzi o te alarmy ćwiczebne, o których pani wspominała. Muszę wiedzieć, kiedy je pani planuje, żeby wszystko przygotować.

Heris ledwie powstrzymała się przed walnięciem czołem w biurko.

– Panie Gavin, cały sens alarmów ćwiczebnych polega na tym, że nie są planowane. Awarie też nie są planowane. Spodziewa się pan, że wszechświat da panu znać, kiedy będzie zamierzał przebić kamieniem kadłub statku?

– Cóż... Nie, ale to nie to samo...

– To jest to samo, jeśli ćwiczenia mają mieć jakiś sens. Gdyby pan wiedział, że coś ma pójść nie tak, oczywiście by się pan przygotował. Tak jak ja. I wszyscy inni. Czy widział pan na stacji raport o Flower of Sanity? – Gavin kiwnął głową. – No to pamięta pan, że tam napisano, że to wyszkolenie załogi i procedury awaryjne pozwoliły im uratować wszystkich pasażerów, choć zdarzyło się to wtedy, gdy większość załogi była po służbie? Jestem pewna, że wszyscy pasażerowie – i nawet załoga – narzekali na nieplanowane ćwiczenia alarmowe, ale to właśnie dzięki nim nauczyli się działać w sytuacjach awaryjnych.

– Rozumiem, ale... to duży statek, komercyjny liniowiec. Nasz to tylko mały jacht. To niemożliwe, by...

Heris znów mu przerwała.

– Proszę sobie wyobrazić, że spięcie spowodowało pożar w skrzynce numer siedemnaście. Co nadal działa w tym przedziale – w biurze kapitana?

Wbił w nią zdziwione spojrzenie.

– Cóż, musiałbym spytać Finniego, ale myślę...

– Nie ma czasu na myślenie, panie Gavin. Jest tylko czas na działanie. Skrzynka siedemnasta zawiera bezpieczniki dla nieparzystych pomieszczeń w tym korytarzu, świateł górnych w pomieszczeniach z bezpiecznikami w skrzynce osiemnastej i gniazdek elektrycznych we wszystkich łazienkach w tym korytarzu. A ponieważ ze skrzynką siedemnastą są połączone jeszcze trzy inne, pożar ma duże szansę zniszczyć również skrzynki numer szesnaście, osiemnaście i dziewiętnaście. To oznacza wyłączenie wszystkich dmuchaw w kajutach załogi, wszystkich górnych świateł, gniazdek ściennych, świateł w korytarzach i terminalach komunikacyjnych, ponieważ wszystkie terminale pokojowe zasilane są ze skrzynki dwudziestej. Tutaj jest ciemno, panie Gavin, i gdzieś na pokładzie szaleje pożar. Czy pan chociaż wie, czy drzwi się otworzą?

– Nie... Nie wiedziałem...

– I dlatego właśnie, panie Gavin, przeprowadzamy alarmy ćwiczebne. Żebyśmy nie wylądowali odizolowani w ciemnych, pozbawionych powietrza pomieszczeniach, z szalejącym gdzieś pożarem. – Zanim zdążył coś powiedzieć – a w tej chwili wszystko wywołałoby jej wściekłość – rzuciła w niego swoją kopią wydruku instrukcji. – Proszę, niech pan zacznie od przeczytania tego. Wydrukuję dodatkowe kopie i oczekuję, że razem z szefami sekcji dokona pan w ciągu czterdziestu ośmiu godziny odpowiednich modyfikacji. – Mężczyzna był zbyt wstrząśnięty, by zareagować, wziął tylko księgę i wyszedł.

Heris przyglądała się, jak zamykają się za nim drzwi, po czym potrząsnęła głową. Bycie kapitanem na jachcie starej damy okazało się znacznie gorsze, niż sądziła.

Lady Cecelia nigdy nie myślała o sobie jako o starej damie. Wiek nie miał z tym nic wspólnego, podobnie jak liczba kuracji odmładzających. Jak długo potrafiła jechać na koniu za psami, lecieć statkiem tam, dokąd miała ochotę lecieć, robić to, na co miała ochotę, oraz radzić sobie z tym, co przynosiło jej życie, nie była stara. To prawda, nie startowała już w dziedzinach, w których kiedyś zdobywała szczyty, ale uznała to za skutek wyrośnięcia ze starych zainteresowań – i rozwinięcia nowych – w ramach naturalnego przejścia od jednych spraw do innych. Starzy są ludzie, którzy przestają się zmieniać. Niektórzy przestają w wieku dwudziestu lat, większość koło czterdziestki czy pięćdziesiątki starzeje się w ciągu jednej dekady. Mogą żyć jeszcze trzydzieści do pięćdziesięciu lat – po odmłodzeniu nawet dłużej – ale już jako staruszkowie. Inni – na przykład jej babka Serafina – zdają się pozostawać pełni życia i ciekawości aż do samej śmierci.

W tym, że nie czuła się staro, pomagało jej też trzymanie się z dala od rodziny. Nic tak nie przypomina o wieku jak dorastające dzieci, które zmieniają się w sprawiających kłopoty dorosłych. Zwłaszcza jeśli uważają ją za starą damę i tak ją traktują. Nie przyglądała się sobie, przebierając się w strój treningowy z miękkiego weluru, nie chciała, by cokolwiek przypominało jej o wieku. Jeśli młodzi ludzie są w sali gimnastycznej, wyrzuci ich. Teraz jej kolej.

Ale zastała salę pustą, cichą i pachnącą jej ulubionymi aromatami, poduszki już dawno wyschły. Cecelia zamknęła drzwi i nastawiła symulator. Tego ranka będzie jeździć, nikim się nie przejmując.

Godzinę później, odświeżona przyjemną, choć wymagającą wysiłku przejażdżką po placu treningowym, wyłączyła symulator i schowała kostkę. Jej goście nie byli ludźmi, których chciałaby mieć za towarzyszy jazdy. Nie miała ochoty słuchać tego, co mogliby mieć dopowiedzenia. Spojrzała na panel – wszyscy byli jeszcze w swoich kabinach. To dobrze. Rozebrała się, wzięła prysznic i zanurzyła się w basenie; tam włączyła ekran prywatności i zwiększyła nieco przepływ wody. Płynęła energicznie, walcząc z prądem, po czym wyszła, wytarła się do sucha i ubrała w podgrzany szlafrok. Kolejny rzut oka na konsolę potwierdził, że już zaczęli się ruszać. Chwyciła strój do ćwiczeń i ruszyła do swojej kabiny, gdzie powinna być bezpieczna.

Nie spotkali się przy śniadaniu. Cecelia zjadła w swoim apartamencie, co i tak często robiła, nie zwracając uwagi na młodzież. Miała własny porządek dnia: rozmowa z kucharzem, wysłuchanie raportu Batesa, zapoznanie się z tym, co kapitan uznał za stosowne przekazać jej o stanie statku. Za czasów Olina często sprowadzało się to do suchego stwierdzenia, że statek leci zgodnie z planem. Zastanawiała się, jak będzie z Serrano. Pierwszego dnia raport miał dwie strony i był pełen niezrozumiałych szczegółów na temat powodów przeniesienia czegoś z jednej ładowni do drugiej. Tak jakby Cecelię to obchodziło. Jeśli tylko personel wie, gdzie co jest, i może znaleźć to, czego ona potrzebuje, nie chce martwić się czymś takim jak „środek masy” czy „potencjalna interferencja rezonansu”.

Tego ranka była tylko jedna strona z nagłówkiem: „Alarmy ćwiczebne”. Cecelia zamrugała. Czemu miałoby to ją obchodzić? Zakładała, że ćwiczenia odbywa załoga, a poza tym jachty, w przeciwieństwie do liniowców, nie muszą narażać pasażerów na tego rodzaju niewygodę. Zaczęła czytać, odnosząc się niechętnie do samego pomysłu. Ta Serrano wciąż musi uważać siebie za wojskowego dowódcę. Ma przydzielić stanowiska alarmowe jej personelowi domowemu? Ona i jej goście mają się nauczyć wykonywać procedury alarmowe? To absurd! Pamiętała ćwiczenia przeciwpożarowe, które odbywały się dawno temu, gdy chodziła jeszcze do szkoły Sorgery, i tak

samo jak wszyscy doskonale wiedziała, że te ćwiczenia były bezwartościowe. Gdyby faktycznie doszło kiedyś do pożaru, żywiol nie czekałby, aż ludzie wstaną z łóżek, znajdą przydzielonego im partnera i „cicho, nie rozmawiając i bez przepychania się, zejść po schodach”.

Argumentacja kapitan Serrano brzmiała jednak nieco sensowniej. Tak naprawdę Cecelia nigdy nie pomyślała o tym, że poza spóźnionym posiłkiem czy chorobą członka załogi może się wydarzyć coś nieprzyjemnego. Nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństw zagrażających małemu jachtowi lecącemu przez ogrom przestrzeni międzygwiazdnej. Wszyscy, których znała, podróżowali przez kosmos, a rzadkie wypadki i zaginięcia wcale nie wydawały się bardziej przerażające niż katastrofy na planetach: zderzenia samolotów, pociągów czy limuzyn, czasami znikanie jachtów. Przez chwilę niemal poczuła kruchość statku i ogrom wszechświata, ale szybko odepchnęła od siebie takie myśli. Przypominało to rozważania o kruchości czaszki, rozmiarach konia i wysokości zbliżającego się płotu... Jeśli się o tym myśli, człowiek na zawsze zamyka się w bezpiecznym kokonie, a to niedorzeczne.

Mimo wszystko... może trochę ćwiczeń to nie taki zły pomysł. Nie aż tyle i z pewnością nie bez odpowiedniego ostrzeżenia (a jeśli akurat będzie w basenie?), ale trochę ćwiczeń nie zaszkodzi. Wywołała Batesa.

– Tak, madame. Kapitan Serrano rozmawiała już ze mną na ten temat – uważa to za ważne dla pani bezpieczeństwa. Chciałaby, żebym zapoznał pani personel z instrukcjami, choć to wymagałoby czasu...

– Przed ćwiczeniami?

– Tak, proszę pani.

– Przypuszczam... że należało to zrobić już wcześniej, choć dotąd nikt nie narzekał.

– Kapitan Serrano wydaje się bardzo kompetentna, madame. – To znaczyło, że Bates ją popiera. Szlag. W takim razie ona też powinna się zgodzić, bo jeśli Bates coś popiera, zawsze stawia na swoim, niezależnie od siły jej oporu. Nie raz żałowała, że to nie on jest kapitanem. Miał dar dowodzenia.

– No dobrze. Zajmijcie się tym razem z panią kapitan, ale jeśli będzie ci sprawiała za dużo kłopotów, nie wahaj się dać mi znać.

– Nie sądzę, żeby tak miało być, madame. Ona nie jest taka jak inni. – Cecelia nie wiedziała, co miał na myśli, ale nie zapytała. Zamiast tego wolała spytać, jak młodzi ludzie radzą sobie ze śniadaniem, choć wcale jej to nie interesowało. Bates odpowiedział, że zdają się być zadowoleni i przeglądają teraz w salonie stare kostki rozrywkowe. Cecelia odczuła absurdalną irytację faktem, że są zadowoleni. Jako jej goście powinni się nią przejmować. Postanowiła pójść do ogrodu i pobawić się z miniaturowymi konikami. One zawsze przychodzą po cukier.

* * *

Ronnie przyglądał się ukradkiem Raffaele i zastanawiał, czy słyszała o śpiewaczce operowej. Właściwie nigdy dotąd nie zwracał na nią uwagi, myśląc o niej jako o dziewczynie George’a. Teraz zauważył, że gdy unosi głowę, ma przyjemny zarys twarzy. Szczupła, ale nie wątła, zdawała się nieświadoma własnego wdzięku. Śmiała się z czegoś, co powiedział Buttons. Siedząca obok Bubbles machnęła ręką przed jego twarzą.

– Obudź się, skarbie. Patrzysz wprost przez Raffę, jeszcze zrobię się zazdrosna. – Bubbles

emanowała bardzo wystudiowaną zmysłowością, od srebrnych paznokci do blond loków, od głębokiego dekoltu obcisłej bluzki aż do rozcięć w długich czarnych spodniach. Nie licząc śpiewaczki operowej, zawsze uważał Bubbles za najbardziej seksowną ze znanych mu dziewczyn, ale w tej chwili go męczyła. Śpiewała piosenkę z kostki, ale dzięki znajomości ze śpiewaczką operową doskonale słyszał miejsca, w których brakowało jej oddechu i delikatnie fałszowała.

– Przepraszam. Zastanawiałem się, co będziemy robili przez cały ten czas u twojego ojca. Przecież nie będziemy polować na lisy.

– To nie jest takie złe – rzucił Buttons, podnosząc wzrok. – Właściwie czasami nawet to lubię. Jeśli podkrećmy satelity pogodowe, żeby nie było tak zimno i mokro...

– Ojciec się dowie – wtrąciła się Bubbles. – On lubi autentyczność.

– Nie bardzo rozumiem, jak można mówić o autentyczności, gdy nawet lisy nie są prawdziwymi lisami – mruknęła Sarah. – Czytałam gdzieś, że tak naprawdę zostały sztucznie stworzone na bazie genów kotów. – Ronnie wątpił w jej zainteresowanie bioinżynierią. Dziewczyna podpisała razem z Buttonsem drugi poziom umowy przedślubnej i teraz czekała ją pierwsza oficjalna wizyta u jego rodziny. Najwyraźniej próbowała w ten sposób zdobyć dodatkowe punkty.

– Chimera – wyjaśnił Buttons tonem wykładowcy, który powodował, że ubywało mu przyjaciół w regimencie. Prawdę mówiąc, on nie potrafił po prostu odpowiedzieć na pytanie, musiał wyjaśnić wszystko, co się z nim wiązało. – Nikt nie zawracał sobie głowy ratowaniem genów rudych lisów ze Starej Ziemi, więc ludzie taty skorzystali z opisów i użyli tego, co się dało. Na szczęście Hagworth zrobił już wcześniej szakale z psów. Największym zainteresowaniem cieszyły się dwa gatunki lisów. Prawdziwy problem polegał na stworzeniu właściwego koloru i puszystej białej kity. Nasze neo-lisy częściowo wywodzą się z lisa długouchego, częściowo z szakala i po trochu z kota i szopa pracza.

– Nie wiedziałem, że ktoś uratował geny szopa, sądziłem, że to zbyt powszechnie występujące zwierzę.

– Tylko do skrzyżowania z małą pandą – wyjaśnił Buttons. Ronnie nie spodziewał się, że przyjaciel wie takie rzeczy, ale w końcu jego ojciec był entuzjastą polowań i zachowania gatunków. Buttons kontynuował wykład na temat możliwości genetyki, a tymczasem Ronnie pozwolił myślom odpłynąć... do śpiewaczki operowej, w której łóżku nauczył się rzeczy znanych mu wcześniej wyłącznie z plotek, do księcia, którego zazdrość tak łatwo udało się wzbudzić, i do tej nocy w mesie, kiedy się tym pochwalił... W tej chwili jakoś nie wydawało mu się to tak mądre jak wtedy. Może ciotka Cecelia miała rację i faktycznie jest draniem. Nie. Książę powinien być postąpić bardziej honorowo.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ramię Bubbles, zastanawiając się, czy coś z tego wyjdzie. Nie potrafił jednak wymyślić, co mogłby powiedzieć, i po kilku sekundach dziewczyna cofnęła rękę i wyciągnęła się na kanapie obok niego. Na tej samej, gdzie tak ciężko się pochorowała. Zaczął się zastanawiać, czy to pamięta. W tej chwili wyglądała całkiem zdrowo, choć jej ponura mina dobrze oddawała również jego odczucia.

– Myślę, że powinniśmy trochę poćwiczyć – zaproponował George. – Twoja ciotka ma tutaj symulator jeździecki. Godzina dziennie i żadne z nas nie będzie musiało martwić się siniakami od siedzenia w siodle.

– Symulator? – burknął Ronnie. – Rób, co chcesz, George, ale ja nie mam zamiaru objąć się na mechanicznym koniu. Wystarczy mi sam pomysł objiania się na prawdziwym. Czy wiesz, że ciotka ośmieliła się zamówić mi odzież jeździecką?

– Cóż, będzie ci potrzebna. – Buttons przyjął pozę podobną do Bubbles i w ten sposób zajęli obie kanapy. Ronnie zaczął się zastanawiać, czemu właściwie uznał, że wygnanie będzie w ich towarzystwie bardziej znośne niż w samotności. Traktowali go tak, jakby miał obowiązek dostarczać im rozrywki, a przecież to wszystko nie było jego winą. – Na początek sprawdzi cię instruktor mojego ojca – mówił dalej Buttons – a potem przydzielą ci wierzchowca...

– A on jest straszny – wtrąciła się Bubbles. – Z tego, co wiem, nie ma już w znanym nam kosmosie wojska, które wciąż korzystałoby z koni, ale on zachowuje się jak modelowy instruktor musztry. Będziesz musiał przynajmniej przez dwie godziny klusować, zanim zdecyduje, jakiego konia ci dać.

– Chciałbym zobaczyć, jak sprawdza ciotkę Cecelię – rzucił Ronnie.

– Jej nie będzie testować – odpowiedział Buttons, szczerząc zęby. – To wieloletni gość i prędzej poprosi ją o sprawdzenie koni. – „Proszę sobie wybrać, na co pani ma ochotę, milady, choć nie ma tu nic godnego pani” – to wszystko, co jej powie.

– Naprawdę jest taka dobra?

Buttons spojrział na niego zdziwiony.

– Nigdy nie widziałeś jej na koniu?

– Nie. Rodzina nie ma zbyt wysokiego mniemania o jej hobby. – Jego ojciec mówił o tym dostatecznie często; słyszał też, jak matka rozmawiała z innymi ciotkami o „biednej Cecelii, która zmarnowała swoje życie na konie”.

– Trudno to nazwać hobby, Ron. Ta kobieta pięć razy wygrała wszechzwiązkowe indywidualne mistrzostwa jazdy terenowej i przez piętnaście lat mieściła się w pierwszej piątce zawodników. – Buttons obrócił się do Bubbles. – Pamiętasz, jak dopiero uczyliśmy się jeździć i stary Abel na nas wrzeszczał, a ona go uciszała?

– To dzięki niej pierwszy raz udało mi się skoczyć – powiedziała Bubbles, siadając prosto. W tej chwili wyglądała trochę poważniej niż zwykle. Czy to możliwe, żeby lubiła polowanie? Ronnie doznał krótkiej i nieprzyjemnej wizji ożenku z kobietą, która poluje na lisy. Nie. Nigdy w życiu. – To był ten stary, siwy kuc, który sprawiał wrażenie, że lubi nas zrzucać. Nie krzyczała na mnie, po prostu wszystko mi wytłumaczyła.

– Tak, a potem wsiadła na dobrego konia i pokazała, co powinniśmy byli robić. Abel był wściekły.

Ronnie poczuł, jak ściska mu się żołądek. To niesprawiedliwe, że wiedzą o jego ciotce więcej niż on sam. Że podziwiają ją za rzeczy, o których on nie ma pojęcia i za które jego rodzina wcale jej nie szanuje. To wszystko toczy się nie tak, jak zaplanował. Spodziewał się, że przyjaciele zbiorą się wokół niego, będą go wspierać i robić to, co on chce... a tymczasem oni wymieniają się opowieściami o jego ciotce, starej pannie.

– Czy wszyscy polują tam razem? – zapytał Buttonsa. Jeśli już nie można uniknąć tematu koni, przynajmniej może odwrócić uwagę od ciotki. – Swoją drogą, ile koni ma twój ojciec?

– Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: nie. Z głównego domu, w którym zamieszkamy, wychodzą na polowania trzy grupy. Każda ma własne tereny. Zostaniemy przydzieleni do którejś z nich w zależności od naszych umiejętności jeździeckich. A co do koni, przypuszczam, że jest ich wiele tysięcy. W stajniach głównej posiadłości mieści się około pięciuset, choć nie używamy ich aż tylu. Konie do polowań, spacerowe, młodziki w trakcie szkolenia. – Ronnie próbował wyobrazić sobie pięćset koni przebywających w jednym miejscu, ale mu się nie udało. W Akademii było ich dziesięć, do szkolenia młodych oficerów, i nie miał pojęcia, co to jest „koń spacerowy”. Nie

zamierzał jednak pytać.

– Nie polujemy codziennie – dorzuciła Bubbles. – Niektórzy tak robią, ale większość jeździ co drugi dzień. Zwłaszcza gorsi jeźdźcy, którzy dość szybko czują się nieco obolali.

– Ja na pewno będę obolała – oświadczyły równocześnie Raffa i Sarah.

– Czy nie ma tam niczego innego do roboty poza polowaniem? – zapytał Ronnie, mając nadzieję, że w jego głosie nie słychać było desperacji.

– Są też inne rodzaje polowań – zapewnił Buttons. – Nie wszystkie na końskim grzbiecie. Możesz strzelać do kuropatw i bażantów. Choć to nie jest właściwy sezon, można łowić ryby w strumieniach. A pod dachem... No cóż, można robić takie rzeczy, które zdaniem mojego ojca są normalnymi zajęciami: bilard, karty, amatorskie przedstawienia.

– O rety. – Jest gorzej, niż się spodziewał. Miał wrażenie, że tego nie przewidziała nawet jego matka. Podróż z bogatą ciotką na pokładzie jej prywatnego jachtu wydawała się dobrym pomysłem. Może jednak byłoby lepiej, gdyby dostał jakiś nudny przydział w bazie na krańcu kosmosu. Przynajmniej nie musiałby polować na lisy i praca mogłaby mu wypełnić czas.

– Na planecie są też inne ciekawe miejsca – zauważyła Bubbles – ale nie możemy się stamtąd wyrwać więcej niż jeden raz. Musimy to sobie zostawić na chwilę, gdy już będziemy bardzo zdesperowani. Biedny Ronnie.

Miał ochotę na nią warknąć. Potrzebował autentycznego współczucia, a nie naśmiewania się z niego. Chciał, żeby zrozumieli, że to wszystko nie było jego winą.

– Nie jestem zdesperowany – oświadczył stanowczo. – Jeśli chcecie wiedzieć, mogę równie łatwo polować na lisy, jak i zająć się innym dowolnym sportem. Może będę przeskakiwał przez płoty i pędził w biegu...

– W galopie – poprawiła go Bubbles.

– Wszystko jedno. No wiecie, jestem wysportowany i w doskonałej formie, czy to może być dla mnie za trudne? – Próbował to powiedzieć z pełnym przekonaniem, ale Bubbles, Buttons i Raffaele parsknęli śmiechem. Raffaele? A co ona wie o jeździe konnej? Próbując ukryć złość, roześmiał się razem z nimi.

– Lepiej spróbuj na symulatorze ciotki – zasugerował Buttons, wciąż się śmiejąc. – Przekonasz się, że masz parę mięśni, które wcale nie są takie wyćwiczone. – Potem spowaźniał. – Tak naprawdę powinieneś sobie poradzić, Ronnie. Masz rację, jesteś wysportowany i całkiem możliwe, że po kilku lekcjach będziesz mógł jeździć w polu. Ale to wcale nie przypomina prawdziwej jazdy.

Ronnie zaczął się zastanawiać, czy nie mógłby ukryć się w swojej kajucie na całe dni i noc i oglądać kostki rozrywkowe aż do przybycia na rodzinną planetę Buttonsa. Pewnie nie. Będzie musiał wymyślić, co mają robić. Coś zabawnego, coś, co pozwoli mu znów objąć dowodzenie grupą. A może by wykręcić jakiś nieszkodliwy numer starej damie lub załodze?

– Może masz rację – powiedział bez przekonania. – Najpierw zobaczę, jak ty wyglądasz na tym symulatorze, a potem... cóż, zobaczymy.

– Myślę, że powinniśmy trochę popływać – zaproponowała Raffaele. – Chodźcie, dziewczyny. Pobawimy się w wodzie. – Zanim Ronnie się zorientował, dziewczęta zniknęły, a jego najlepsi przyjaciele przyglądali mu się błyszczącym wzrokiem.

– No dobra – rzucił George. – Opowiedz coś o tej śpiewaczce operowej. Czy to prawda, że śpiewaczki mają specjalnie wyćwiczone mięśnie?

Rozdział 4

– Nie pytałam, czy „dobrze pracuje” – warknęła Heris. – Zapytałam o poziom usuwania siarki. Wiecie czy nie? – Z każdym dniem narastał jej niepokój o podstawowe struktury i systemy jachtu. Wyciągnięcie odpowiedzi z załogi okazywało się trudniejsze, niż się spodziewała.

Krety popatrzyły po sobie, po czym Timmons odpowiedział:

– Cóż, w zasadzie tak, kapitanie. W tej chwili jest trochę poniżej normy, ale zazwyczaj działa w ten sposób, ponieważ maziak chce bogatego w siarkę mułu dla swoich warzywek.

Heris potrzebowała chwili na przetłumaczenie sobie ich slangu i zrozumienie, że ogrodnik lady Cecelii chce większej zawartości siarki w mule po pierwszym oczyszczeniu. Ale wciąż nie udzielili oczekiwanej odpowiedzi. Pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiała stal.

– Nie pytam o to, czy jest poniżej normy. Jak przedstawia się liczbowo poziom eliminacji siarki? – Znow nastąpiła wymiana ukradkowych spojrzeń między kretami. Tym razem odpowiedzi udzielił Kliegan.

– To jest... eee... trzy dziesiąte poniżej pierwszej kreski, czyli...

– Czyli... – ponagliła go Heris. Czuła, jak jej złość narasta.

– Cóż, według podręcznika jeden koma osiem, ale ten system nigdy nie działał lepiej niż jeden koma sześć, tuż poniżej pierwszej kreski. Przeważnie jedziemy na dwóch kreskach poniżej, czyli koma siedem czy coś koło tego. System nie jest w pełni wykorzystywany, więc to nie jest takie ważne. Może obsługiwać pięćdziesięciu ludzi, a nie mamy tylu na pokładzie.

Heris na chwilę zamknęła oczy, dokonując stosownych obliczeń. Eliminacja siarki była tylko jednym z ważnych czynników, ale za to kluczowym dla prawidłowego działania statku, ponieważ błędy mogły wpłynąć niekorzystnie nie tylko na zdrowie pasażerów, ale i na wiele elementów statku. Delikatny sprzęt komunikacyjny nie lubił obecności rodników siarki w atmosferze. Zsumowała liczbę członków załogi statku, personelu domowego i rodziny właścicielki.

– Gdybyście nie zauważyli – powiedziała szorstko – mamy na pokładzie pięćdziesiąt jeden osób, a przed sobą długą podróż. Zakładam, że podczas pobytu w porcie przepłukaliście zbiorniki i dokonaliście inokulacji... – Ale ich spojrzenia niedwuznacznie zdradzały, że tego nie zrobili. – A ostatni przegląd statku został przeprowadzony na stacji Baklin przez Diklosa i Synów?

– Tak jest, proszę pani – potwierdził Timmons. – Nie popisali się, pacany, bo system nigdy nie wyrobił się do specyfikacji, ale kapitan Olin mówił, żeby się nie przejmować...

– Och, doprawdy? – Heris z trudem kontrolowała wyraz twarzy. Najpierw ten dziwny, nieekonomiczny kurs wbrew żądaniom właścicielki, a teraz przyzwolenie na wadliwy sprzęt środowiskowy – na to nie zgodziłby się żaden kapitan przy zdrowych zmysłach. Niewydanie polecenia przepłukania i naładowania zbiorników na Rockhouse mogło być celowe – zemsta za zwolnienie – ale wcześniej narażał również własne życie. Co mogło być warte aż takiego ryzyka!? – Lepiej zobaczmy, jak źle to wygląda – rzuciła energicznie. – Ubierzcie się, pójdziemy obejrzeć...

– Pani też, pani kapitan? – zapytał Iklind.

Zauważyła, że prawie nigdy się nie odzywa, pozwalając wypowiadać konieczne kwestie gadatliwemu Timmonsowi. Ale teraz wyglądał na zmartwionego.

Heris uniosła brwi. Na innych statkach to działało, tutaj też powinno.

– Sądził pan, że nie będę chciała sprawdzać osobiście?

– Cóż, nie w tym rzecz, pani kapitan, tylko... tam potrafi naprawdę paskudnie śmierdzieć. – „Paskudny smród” nie był dobrym opisem woni w przypadku wadliwego obwodu siarkowego, a była pewna, że nie chodzi tylko o płuczki siarkowe. Gdy tylko pH przekroczy właściwą granicę, zaczynają szwankować inne obwody enzymatyczne i cała chemia idzie w kosmos.

– Dlatego właśnie założymy kombinezony – wyjaśniła. Kiedy się nie ruszyli, dodała: – Za pięć minut w służbie wejściowej numer cztery.

– Pełne kombinezony? – zapytał Timmons. – W nich jest potwornie gorąco...

– Woli pan ryzykować, wiedząc, że system nie działa prawidłowo?

– Tam tylko śmierdzi – rzucił Timmons. Kiedy posłała mu wściekłe spojrzenie, zmiękł. – Dobrze, pani kapitan. Kombinezony. – Ale kiedy odchodził, usłyszała, jak mruczy pod nosem: – Cholerna kupa bzdur. To, co może się dziać w tym obwodzie, mogłoby przyprawić jedynie o lekki ból głowy.

Heris szybko wydała Gavinowi rozkazy na najbliższą godzinę: które przedziały zamknąć, kogo z załogi postawić w stan gotowości w kombinezonach na wypadek jakichś kłopotów. Potem założyła własny kombinezon – kupiła go z zaliczki i wcale na nim nie oszczędzała. Jeśli coś jeszcze na tym cholernym jachcie miałyby się zepsuć, to jej kombinezon nie ma prawa – w przeciwnym razie jej rodzina odziedziczyłaby pokaźną sumę gwarantowaną przez producenta, firmę Xeniks, na wypadek awarii. Nie martwiła się zbytnio – w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat Xeniks tylko dwukrotnie wypłacał odszkodowanie.

Alarm włączył się, gdy jeszcze tylko jeden korytarz dzielił ją od służby. Przez chwilę myślała, że coś się stało na mostku, ale potem zdała sobie sprawę, co jest przyczyną alarmu. Jeden z durniów nie zaczekał na nią.

* * *

– Pani kapitan! – krzyknął jej w ucho Gavin.

Heris zmniejszyła głośność systemu komunikacyjnego kombinezonu.

– Co się dzieje? – zapytała. – Jestem w tej chwili w E-7. – Spadająca przed nią z sufitu szara bariera ciśnieniowa błyskawicznie zablokowała korytarz.

– Komputer twierdzi, że tam są niebezpieczne chemikalia – jakieś związki siarki – a według czujnika ruchu ktoś tam wszedł i się nie rusza.

– Proszę natychmiast przysłać tu drużynę pomocniczą – poleciła, klnąc w duchu cywilów, a zwłaszcza poprzedniego kapitana statku. – Tylko niech pan dopilnuje, żeby zapięli hełmy. Wchodzę tam. – Pomimo zaufania do legendarnych kombinezonów Xeniksa przez chwilę zadrżała. Gaz był bardziej niebezpieczny niż wiele rodzajów broni, ale równocześnie tak powszechny w dziejach, że ludzie niewystarczająco się go bali. Przecisnęła się przez barierę, która rozciągnęła się w kołnierz i zaraz za nią zamknęła. Czujniki chemiczne kombinezonu obudziły się, dając spodziewane odczyty: siarkowodór, na razie jeszcze w niegroźnym dla życia stężeniu.

Heris ruszyła biegiem, choć zdawała sobie sprawę, że niemal na pewno jest już za późno. Za rogiem natknęła się na Timmonsa. Założył kombinezon, ale nie zamknął hełmu. Prawdopodobnie zamierzał to zrobić, kiedy dotrze do samego wjazdu. Leżał na podłodze, z jedną ręką wyciągniętą w stronę Iklinda; ten leżał w otwartym wejściu i nie miał na sobie żadnego kombinezonu.

Najpierw podeszła do Timmonsa, zamknęła jego hełm i przełączyła wewnętrzne butle tlenowe na pełną moc. Jej kombinezon wyposażony był we wszystkie leki niezbędne w razie standardowych

wypadków przemysłowych – ale nigdy ich nie używała, nie miała wykształcenia medycznego. Będzie musiała polegać na grupie pomocniczej. Iklind nie oddychał, ale nic dziwnego – według monitora nad włazem, stężenie siarkowodoru przekraczało tu 1000 ppm. Wewnątrz ktoś – zapewne Iklind – zerwał plombę ze zbiornika szlamu, który przepełnił się zdecydowanie powyżej bezpiecznej granicy. Przez klapę zbiornika lała się czarna smuga.

Heris podniosła z podłogi klucz, zamknęła pokrywę, docisnęła uszczelkę i zatrzasnęła właz. Monitor wskazywał teraz, że stężenie siarkowodoru wynosi 200 ppm; wciąż było groźne, ale już nie stanowiło śmiertelnego zagrożenia. Pomyślała, że mieli szczęście, że w zbiorniku nie włączono miesadła (a właściwie dlaczego?), bo wtedy stężenie byłoby przynajmniej dziesięciokrotnie większe.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Grupa pomocnicza – to musiał być drugi oficer maszynowni i starszy kret, aktualnie po wachcie – wyłoniła się zza rogu i znieruchomiła. Nawet przez hełmy widać było, że otwierają szeroko oczy ze zdziwienia.

– Ruszać się – warknęła. – Weźcie Timmonsa do medboksu, może jeszcze ma szansę. – Miała wrażenie, że strasznie powoli się poruszają, kiedy wynosili Timmonsa na drugą stronę bariery chroniącej przed skażeniami. Potem wywołała mostek.

– Iklind zginął – poinformowała. – Zatrucie siarkowodorem. Wygląda na to, że otworzył zbiornik szlamu bez odzieży ochronnej. – Gavin zaczął coś mówić, ale mu przerwała. – Mamy tu trzy problemy. Po pierwsze, Timmons. Czy medyczna SI będzie w stanie poradzić sobie z zatruciem siarkowodorem? Po drugie, musimy pozbyć się reszty skażenia, a system jest zbyt przeciążony, żeby je wchłonąć, chyba że przypadkiem mamy ładownię pełną odczynników. Trzeci problem to oczywiście Iklind. Potrzeba nam oceny medycznej i prawnej; porozmawiam o tym z lady Cecelią. Och, i jeszcze jedno: nie polecimy dalej w takim stanie. Niech Sirkin wytyczy kurs do najbliższej większej placówki naprawczej, w miarę możliwości na trasie naszej podróży.

– Medboks... Nie wiem, pani kapitan – odpowiedział Gavin. – Nie jest... wie pani... przygotowany na jakieś większe problemy.

Heris udało się na niego nie warknąć.

– Przynajmniej może pan przedstawić mi problem. Wiem tylko, że to trucizna na poziomie komórkowym i że jest na nią jakieś antidotum. Teraz niech pan przyśle tu kogoś z rejestratorem, żebym mogła udokumentować pozycję Iklinda i odczyty monitora. Potem będziemy mogli wyciągnąć jego ciało. – W chwili, gdy to mówiła, zdała sobie sprawę, że mocno nadwyręża zasoby załogi.

* * *

– Milady – rzekła Heris – mamy parę problemów.

Tylko tego mi trzeba, pomyślała Cecelia. Problemów ze statkiem. Zaraz zacznie narzekać, że tutaj jest zupełnie inaczej niż w wojsku. Kiwnęła głową, próbując przybrać chłodny i nieobecny wyraz twarzy. Zazwyczaj w połączeniu z wyprostowanymi plecami zniechęcało to rozmówcę do narzekania.

– Zginął członek załogi, technik środowiskowy o nazwisku Iklind.

– Co?! Atak serca? Zawał? – Wbrew chęci niereagowania poczuła, że serce skacze jej do gardła, a głos brzmi skrzekliwie.

– Nie, milady. – Heris próbowała w delikatny sposób powiedzieć o wszystkim swojej pracodawczyni – biorąc pod uwagę jej wiek – ale nie wymyśliła niczego lepszego od nagiej prawdy.

– Zginął zatruty siarkowodorem w wyniku otwarcia zbiornika szlamowego bez kombinezonu ochronnego. Dodatkowo drugi członek załogi cierpi na ciężkie zatrucie z tego samego powodu.

– Ależ wszystko, co mamy, to medboks! – Cecelia poczuła się tak, jakby właśnie spadła z konia w pełnym galopie. Jeden członek załogi martwy, drugi ciężko chory. Czy właśnie takie są skutki zatrudnienia kapitana po wojsku? Spróbowała przypomnieć sobie specyfikację jednostki medycznej.

– To standardowy przemysłowy środek toksyczny – poinformowała ją Heris. – Urządzenie ma właściwe leki i oprogramowanie do leczenia – oczywiście sprawdziłam to, zanim do pani zadzwoniłam.

– Och, ja... – Cecelia uświadomiła sobie, że się skuliła i znów wyprostowała.

– Bardzo mi przykro, że przekazuję pani tak szokujące informacje. Może powinnam kogoś do pani wezwać?

Cecelia zrozumiała, że kobieta daje jej czas na dojście do siebie, i nie wiedziała, czy ma się złościć, czy być wdzięczna.

– Odkąd jestem właścicielką *Sweet Delight*, nie straciłam jeszcze ani jednego członka załogi. – Przepelniała ją mieszanina różnych uczuć i z trudem próbowała jasno myśleć. – Powiedziała pani, że to trujący gaz ze zbiornika szlamowego? Czy ktoś włożył coś do środka?

Heris ledwie powstrzymała się przed okazaniem zdziwienia, że ktokolwiek – nawet bogata stara dama – może podróżować przez kosmos, nie mając pojęcia o najgroźniejszych i najpowszechniejszych zarazem produktach przemian środowiskowych.

– Nie, milady. Szlam produkuje kilka toksycznych gazów, które normalnie są konwertowane w nieszkodliwe związki chemiczne wykorzystywane w pani sekcji hydroponicznej, jeśli system środowiskowy działa sprawnie. To nie był sabotaż, po prostu nieszczęśliwy wypadek. Iklind najwyraźniej postanowił otworzyć zbiornik bez właściwej odzieży ochronnej, a Timmons próbował go uratować, ale nie zamknął swojego hełmu.

– W takim razie kto uratował Timmonsa? – zapytała Cecelia.

– Ja – wyjaśniła Heris. Cecelia otworzyła szerzej oczy, ale nic nie powiedziała. – Poinformowałam ich, że chcę przeprowadzić inspekcję systemu, i mieli się ze mną spotkać – odpowiednio ubrani – przy włączu wejściowym. Zamiast tego... – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czemu Iklind nie założył kombinezonu albo czemu Timmons nie zamknął hełmu... ale się dowiem.

– Dobrze, kapitanie. – Cecelia najwyraźniej ją zwalniała. – Spodziewam się jutro usłyszeć od pani więcej na ten temat.

– Właściwie to nie wszystko – dodała ostrożnie Heris. Tym razem w jej spojrzeniu pojawiło się jawne wyzwanie.

– Co? Jeszcze coś się stało?

– Zdaję sobie sprawę, że statek właśnie został odnowiony i urządzenie go było dość kosztowne...

– Zrobiła to moja siostra – rzuciła Cecelia. – O co chodzi?

– Cóż... Pani główny system środowiskowy jest przeciążony, dlatego wybrałam się na inspekcję. On nie działał zgodnie ze specyfikacją. Pani poprzedni kapitan nie kazał oczyścić systemu i odświeżyć go we właściwym czasie...

– Musiał to robić! Pamiętam rachunki za takie rzeczy. – Cecelia wywołała oprogramowanie finansowe i kiwnęła głową, gdy znalazła właściwą kwotę. – Proszę, Diklos i Synowie, ogólna konserwacja, stacja Baklin.

– Przykro mi, milady. Dostała pani rachunek, ale prac nie wykonano. Poznałam to po zbiorniku otwartym przez Iklinda, a później kazałam innym kretom – technikom środowiskowym – sprawdzić filtry i komory bakteryjne. To jeden wielki bajzel. Obwód siarkowy ma duże problemy, a to wpływa na pobór azotu w sekcji hydroponicznej. W tej chwili sytuacja nie jest niebezpieczna, ale będziemy musieli uważać, dopóki nie dotrzemy do stacji naprawczej. Zalecałabym zrobienie tego najszybciej, jak to możliwe. Wybierając inny zestaw punktów skokowych, możemy dotrzeć do wskazanego przez panią celu o dzień później, niż pani chciała.

Cecelia patrzyła na nią gniewnie.

– Nie zauważyła pani tego wszystkiego przed wylotem.

– To prawda, milady, nie zauważyłam. – Cecelia czekała na zarzuty, że sama przyspieszyła czas wylotu, ale niczego takiego nie usłyszała. Twarz jej kapitan zdawała się całkowicie pozbawiona wyrazu. – Przyjęłam za dobrą monetę rejestr wskazujący, że przeprowadzono oczyszczenie i regenerację, oraz świeże nalepki inspekcyjne. Ma pani rację, nie należało tego robić. Rejestry wielokrotnie fałszowano, ale zdarzało się to nawet w Zawodowej Służbie Kosmicznej. – Kapitan nie zareagowała na krzywy uśmiech Cecelii. Ta zaś zaczęła się zastanawiać, czy ona kiedykolwiek się uśmiecha. – Ale dwa dni temu zauważyłam anomalie w danych i zaczęłam śledzić ich źródło. Pani krety – przepraszam, technicy środowiskowi – twierdzili, że to wina ogrodnika. Ale prawda jest taka, że pracy nie wykonano. Wierzę, że udokumentowanie tego i odzyskanie pieniędzy od Diklosa i Synów będzie możliwe, a pani reputacja powinna to ułatwić.

– Ach tak. – Cecelia czuła się wytracona z równowagi. Przygotowała się na uniki i usprawiedliwienia, dlatego przyznanie się kapitan do winy zupełnie ją zaskoczyło.

– Zdaję sobie sprawę, milady, że jednym z powodów zmiany poprzedniego kapitana był fakt, że nie trzymał się wyznaczonych przez panią terminów. Jednak w tym przypadku uważam, że pani Bezpieczeństwo wymaga przeprowadzenia napraw układu w trybie awaryjnym.

– Wydawało mi się – burknęła Cecelia – że kazałam zainstalować układy podtrzymywania życia dużo silniejsze, niż kiedykolwiek będę potrzebować, właśnie na wypadek, gdyby coś się zepsuło.

– Tak, milady, to prawda. Ale obecność pani gości i ich służących spowodowała, że limit wydajności systemu został przekroczony, i byłoby bardzo niemądrze lecieć dalej bez usunięcia awarii.

– A to będzie wymagało...

– Sześciu dni podróży do najbliższej placówki remontowej, której mogłabym zaufać, oraz dwóch dni w doku. Przy rozsądnym kursie i sprawnym silniku powinniśmy przylecieć do celu, jak już powiedziałam, spóźnieni tylko o jeden dzień.

– Przypuszczam, że to lepsze niż osiem dni poprzednim razem, co kosztowało mnie balast w postaci młodego Ronniego, bo nie byłoby dostatecznie ostro i głośno protestować. – Cecelia wzruszyła ramionami. – No cóż. Niech pani robi to, co uważa za najlepsze, to pani jest kapitanem. – Ale kobieta nadal nie odchodziła. – Coś jeszcze? – zapytała.

– Usilnie zalecałabym pewne ograniczenia w ciągu najbliższych sześciu dni. W tej chwili na statku nie ma zagrożenia, ale wolałabym go uniknąć.

– Ale to tylko sześć dni... – zaczęła Cecelia, po czym urwała. – Widzę, że pani naprawdę się martwi. – Ku jej zaskoczeniu kapitan lekko się uśmiechnęła.

– Tak, i nie mogę tego tłumaczyć wyłącznie danymi. Choć przebywam na tym statku dość krótko, czuję, że coś jest nie tak.

– Intuicja oficera Floty?

– Tak jest. Intuicja, której nauczyłam się nie ignorować. Wprowadziłam dość ostre ograniczenia aktywności załogi i zalecałabym je również pani personelowi i gościom.

– W rodzaju?

Kapitan zaczęła odliczać na palcach.

– Zmiana diety w celu zminimalizowania obciążenia systemu siarką i azotem – w ciągu sześciu dni utrata masy mięśniowej w wyniku diety niskobiałkowej nie powinna być zauważalna, a jeśli ktoś ma szczególne potrzeby, można to uwzględnić. Ograniczenia zużycia wody, włącznie z basenem, ponieważ woda przechodzi przez te same systemy i w nieunikniony sposób przedostają się do nich związki organiczne. Ponadto ogrody muszą być potraktowane jako element układu podtrzymywania życia...

– Ogrodnicy będą przeszczęśliwi! – Cecelia z bólem pomyślała o swoich zwierzętach. Być może uda się je zamrozić, ale to zawsze wiąże się z ryzykiem. I piękne kwiaty, świeże owoce i warzywa – wszystko to trzeba będzie posadzić od nowa albo przez całą drogę do Bunny’ego jeść konserwową żywność.

– Przykro mi, milady, ale technicy środowiskowi twierdzili, że przyczyną działania systemu poniżej specyfikacji był fakt, że pani ogrodnicy zażądali wyjątkowo wysokiego stężenia siarki w szlamie dla jakiejś szczególnej uprawy.

– Rozumiem. Czyli przylecimy na stację kosmiczną głodni, spragnieni, brudni i znudzeni...

– Tak. Ale żywi i zdrowi.

Cecelia poczuła, jak ogarniają ją fala rozpacz. Mogła sobie wyobrazić, co powiedzą Ronnie i jego przyjaciele. Do tej pory już i tak było wystarczająco źle. Miała ochotę pozwolić sobie na napad furii, tak jak w młodości – ale już z tego wyrosła; nie miała dość energii na takie wybuchy.

– No dobrze. Proszę mi przekazać szczegółowe wymagania, poinformuję personel i pozostałych.

– Dziękuję, milady. – Jej kapitan wyglądała tak, jakby chciała ją przeprosić, ale nie dodała nic więcej. Ukłoniła się sztywno i szybko wyszła. Cecelia ciężko westchnęła i wywołała kucharkę. Równie dobrze może się do tego zabrać od razu.

* * *

Takomin Roads znajdowała się w miejscu idealnie nadającym się do remontu pojazdów międzygwiazdnych i w zasadzie do niczego więcej. Nawet próżniowiec, któremu całkowicie zbrzydło życie na statku, nie wybrałby na odpoczynek tej ponurej, zimnej planety, wokół której krążyła stacja. Głębiej w układzie Merice oferowała piękne, płytkie oceany, a Golmerrund wspaniałe szczyty i lodowce... ale Takomin Roads znajdowała się blisko czterech zmapowanych punktów skokowych, z których jeden najwyraźniej związany był z planetą. Heris zatrzymała się tam kiedyś z grupą bojową i rozmiar instalacji oraz fachowość personelu wywarły na niej duże wrażenie.

Delight wyposażono w sprzęt komunikacyjny ustępujący klasą tylko krążownikowi, który Heris musiała opuścić. Mogła wysłać wiadomość tuż po wyjściu z lotu nadświetlnego i dotarła ona do bazy na długo przed nimi, biorąc pod uwagę konieczne wyhamowanie jachtu. Pan Gavin, wciąż blady z powodu jej kazania i śmierci Iklinda oraz ciężkich obrażeń Timmonsa, przedstawił jej swoją ocenę zakresu wymaganych prac, włącznie ze specyfikacjami każdego elementu. Zaniósł to do kretów, a kiedy zatwierdzili ocenę bez żadnej dyskusji, uparła się, aby przedyskutować z nimi każdą pozycję.

– Jestem pewien, że pan Gavin ma rację – wciąż powtarzał młodszy z nich, Ries, rzucając koledze nerwowe spojrzenia. Przed wypadkiem Heris praktycznie go nie spotykała.

– A ja nie. – Dała już sobie spokój z martwieniem się o reputację Gavina, znacznie bardziej zależało jej na bezpiecznym doprowadzeniu jachtu do remontu i jak najszybszym wylocie.

– Przypuszczam, że chce pani, żebyśmy sprawdzili te rzeczy w instrukcji – powiedział starszy technik, Kliegan.

– Chcę, żebyście zajęli się swoją pracą – oświadczyła. – Jeśli nie jesteście pewni, oczywiście musicie sprawdzić specyfikacje.

– Cóż, jestem pewny, ale...

– W takim razie czy to jest prawidłowe, czy nie? Niech mi pan nie mydli oczu. – Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jakim cudem lady Cecelia przeżyła tyle lat, mając tak niekompetentną załogę jachtu. Czy bogacze nie potrafią zauważyć nawet takich rzeczy? Przypuszczalnie tak. Wystarcza im błyszcząca powierzchnia, nawet jeśli ukrywa zachodzący pod spodem rozkład.

– Tak – powiedział po chwili.

Kiwnęła głową. Postanowiła, że na koniec podróży zasugeruje lady Cecelii – nie, będzie nalegać – żeby wymieniła najmniej kompetentnych członków załogi. Może uda im się znaleźć na Takomin Roads kogoś, kto zastąpi Iklinda.

Specyfikacje remontu trafiły do przekazu razem z autoryzacją kredytową lady Cecelii. Zanim *Delight* znajdzie się o godzinę świetlną od Takomin Roads, zakłady naprawcze powinny zdążyć przygotować sprzęt, odpakować niezbędne elementy i przesunąć robotników do nieoczekiwanego zlecenia.

Tak przynajmniej myślała Heris. Ale pierwsza wiadomość, jaką otrzymała, zaczynała się od wyjaśnienia, że wykonanie pracy w ogóle jest niemożliwe, a w następnej (dzień później) oświadczone, że naprawy można przeprowadzić, ale nie w takim czasie, jakiego zażądała. Heris nie pokazała wiadomości lady Cecelii – to ona odpowiada za remont, a właścicielka jachtu, podobnie jak admirał, nie musi chcieć słuchać o problemach, które można rozwiązać na niższym poziomie. Zresztą wyklócanie się z firmami remontowymi należało do jej obowiązków jako kapitana krążownika. Ci, którzy się nie kłócili, trafiali na sam koniec kolejki i dostawali najgorsze części.

Natychmiast wysłała własną wiadomość, wskazując na udziały lady Cecelii w firmach, których jednostki dostarczały spółce Velarsin & Co Ltd. sporo pracy. Zignorowanie tak ważnego udziałowca mogłoby mieć niekorzystny wpływ na przyszłe kontrakty. Pominęła, jakby była zbyt trywialna, długą listę prac, które ulegną opóźnieniu, jeśli stacja zajmie się jednostką lady Cecelii. W końcu zakłady remontowe skapitulowały, informując o tym na pół godziny przed dokowaniem, gdy holownik stacji trzymał już zaczepy *Delight*. Heris przyglądała się dokowaniu krytycznym wzrokiem – nie miała zaufania do ich pilota – ale na szczęście nie musiała korzystać z jego umiejętności, gdyż SI stacji gładko umieściła ich na stanowisku osiemdziesiątym siódmym.

– Mam nadzieję, że jest pani zadowolona! – burknął potężny mężczyzna w szarym kombinezonie, kiedy połączyła się z Velarsin & Co. – Musieliśmy przez panią opóźnić tuzin prac, przez co stracimy premię.

– Będę zadowolona, gdy naprawy zostaną ukończone właściwie i w terminie – odpowiedziała.

Prychnął, na pół gniewnie, na pół z szacunkiem, jak wszyscy znani jej kierownicy stoczni Floty.

– Mam pani wymagania – rzekł. – Są równie paskudne, jak pani zdaniem żęzy tego statku.

– Nie jestem zdziwiona. – Heris posłała mu uśmiech. – Zanim przejęłam dowodzenie tym statkiem, przeprowadzono jego pozorowany remont; przypuszczam, że jacht od lat nie spełniał wymagań specyfikacji. Kiedy wasi ludzie wejdą na pokład?

– Już czekają przy śluzie – wyjaśnił. – A ja razem z nimi. Chcę osobiście zobaczyć kapitana prywatnego jachtu, który potrafi naginać zasady na samej górze.

– Świetnie. Będę tam za pięć minut. Muszę poinformować właścicielkę.

Kiedy Heris zadzwoniła do Cecelii, ta sprawiała wrażenie urażonej.

– Wciąż nie rozumiem, kapitan Serrano, czemu nie możemy zostać na pokładzie. Przecież po podłączeniu do układów środowiskowych stacji nie musimy się martwić skażeniem na pokładzie...

Tłumaczyła to już wcześniej, ale wytłumaczyła ponownie, cierpliwie, choć stanowczo.

– Milady, nawet najlepsze ekipy remontowe nie mogą otworzyć systemu, nie powodując jakichś wycieków. Będzie tu śmierdzieć, a co gorsza, mogłaby pani zostać wystawiona na działanie siarkowodoru lub innych toksycznych substancji. Najbezpieczniej będzie zapieczętować pomieszczenia załogi, personelu i właściciela, a to oznacza brak wymiany powietrza. Wszystkie ekipy remontowe pracują w kombinezonach. Milady, do zabicia pani wystarczyłoby raz zaciągnąć się gazami z tych przewodów. – Nie musiała nic więcej mówić, lady Cecelia najwyraźniej była przejęta. Teraz mogła zająć się przekazaniem ciała Iklinda wraz ze skromnymi dowodami wypadku odpowiednim siłom policyjnym. – Ekipa już czeka, milady, a im szybciej zaczniemy...

– Dobrze. – Cecelia powiedziała to szorstko, ale już bez protestu. – Gdzie będziemy mieszkać? – Heris pomyślała, że prawdziwy problem polega na tym, że lady Cecelia nigdy wcześniej tu nie była i nie wie, jakie warunki zastanie. Zresztą te jej bachory też prawdopodobnie narzekają.

– Pani, milady, ma zarezerwowany apartament w Selenor, gdzie zatrzymują się prezesi firm transportowych. Niestety mają tam ograniczoną przestrzeń i młodym ludziom musiałam wynająć pomieszczenia w innym hotelu, na innym poziomie. Zdaję sobie sprawę z niewygody...

Tym razem w głosie pracodawczyni dosłyszała odrobinę ciepła.

– Mogę z tym żyć. W takim razie spotkajmy się na kolacji, będę chciała wysłuchać pani raportu. O dwudziestej lokalnego czasu. – Tak naprawdę prace zaczną się dopiero za sześć godzin. Heris miała nadzieję osobiście nadzorować robotników podczas pierwszej zmiany. Ale może przyjść do hotelu, szybko zdać raport i wrócić na statek. Była pewna, że nie będzie musiała zostać na kolacji.

– Oczywiście, milady. Kiedy będzie pani opuszczać statek, będę przy włazie technicznym. Proszę kazać Batesowi zadzwonić, kiedy personel opuści statek.

– Dobrze.

Heris posłała swojej załodze twarde spojrzenie.

– Panie Gavin, ubierze się pan w kombinezon i razem z technikiem środowiskowym będzie pan obserwował pierwszą zmianę. Reszta ma zarezerwowane miejsca w kwaterach przejściowych dla załóg, niecałe piętnaście minut stąd. Oczekuję, że będziecie dyspozycyjni. Przez cały czas będziecie się wymieniać, tak aby na pokładzie statku były przynajmniej dwie osoby z załogi. – Dostrzegła lekkie poruszenie, nic więcej. Wiedzieli już, że lepiej nie protestować.

– Sprawdził pan podłączenie powietrza stacji do każdego pomieszczenia? – zapytała.

– Wszędzie oprócz apartamentu właścicielki – wyjaśnił. – Zamierzałem zrobić to wtedy, gdy milady opuści statek. Komputer twierdzi, że wszystko jest w porządku, ale...

– Proszę to zrobić, a ja pójdę wpuścić ekipy remontowe. Lady Cecelia właśnie opuszcza pokład.

Zwolniła załogę i poszła do służby technicznej na spotkanie z majstrem ekipy. Wszyscy robotnicy mieli już na sobie kombinezony ciśnieniowe chroniące przed skażeniem i trzymali pod pachami hełmy. Po szybkim ruchu powiek zorientowała się, że majster rozpoznał, z kim ma do czynienia.

– Jestem kapitan Serrano – przywitała się. – A pan jest...

– Key Brynear – przedstawił się i na jego twarz wypłynął uśmiech.

– Przepraszam, że pytam, ale pani jest byłym zawodowym oficerem, prawda?

– Zgadza się. – Heris zastanawiała się, czy będzie dalej drażył ten temat, ale on tylko kiwnął głową.

– To pewnie dlatego udało się pani nastraszyć kierownictwo. Nieczęsto zdarza im się słyszeć prawdziwe rozkazy. Cóż, pani kapitan, zobaczmy, co pani tu ma. – Nie tracił czasu na pytania o wysłane wcześniej szczegóły, polecił tylko swoim ludziom założyć hełmy i kiwnął głową Heris. Ona również założyła kombinezon, zamknęła hełm i poprowadziła ekipę do wnętrza.

– Zaczniemy od dołu – powiedział majster przez radionadajnik kombinezonu. Słyszała jego głos przez hełm, ale nie potrafiła zrozumieć słów, gdyż generował irytujące echo. – Najpierw to, co najgorsze, a potem będziemy mogli oszacować potrzebny czas.

Heris nigdy nie lubiła ćwiczeń w kombinezonach; nawet po tym, jak kombinezon ocalił jej życie, i tak go nie lubiła. Nie znosiła uczucia zamknięcia, odgłosu własnego oddechu i syku powietrza z butli. Wystarczy go na dwie godziny, a zewnętrzne gniazda pozwolą na podłączenie się w dowolnym pomieszczeniu do powietrza stacji, ale mimo to czuła się przyduszona.

Na najniższym poziomie układów środowiskowych czekali jej technicy, ubrani już w kombinezony. Nawet w tych strojach wyglądali żałośnie.

– Pan Brynear – przedstawiła majstra. – Będzie kierował remontem.

– A to są moi kierownicy zmian – rzekł Brynear. – Hera Santana, pierwsza zmiana, Allie Santana, druga zmiana, i Miko Aldovar z trzeciej. Jeśli mnie nie będzie, zastąpi mnie jeden z nich. Przypuszczam, że będę tu przez większość czasu, ale być może będę musiał grzebać w magazynie, jeśli faktycznie jesteście w tak złym stanie, jak pani twierdzi.

Nadzorcy zmian, w odróżnieniu od robotników w pomarańczowych strojach, mieli na sobie dwukolorowe, pomarańczowo-srebrne kombinezony, a na ich hełmach widać było ich nazwiska oraz pozycje. Według lokalnego czasu, obecnie była tu druga zmiana. Szef pierwszej machnął ręką Brynearowi, po czym wyszedł. W słuchawkach rozległ się głos szefa drugiej zmiany.

– Pani kapitan, proszę kazać załodze zabezpieczyć pomieszczenia.

– Oczywiście. – To polecenie Heris mogła wydać bezpośrednio komputerowi. Włazy zostały zamknięte, zmienił się kolor lampek kontrolnych i wszyscy podpięli swoje kombinezony do gniazd powietrza. Od tej pory będą musieli uważać, żeby nie zaplątać się w swoje przewody. – Potwierdzić zewnętrzne powietrze – powiedziała i odczekała, aż wszyscy się zgłosili, zanim kiwnęła głową Brynearowi.

Majster wskazał na jednego z pokładowych techników środowiskowych.

– Obejrzyjmy płuczkę, która na komputerze wygląda najgorzej. W pierwszej warstwie ochronnej widać było smugi czarnego szlamu na złączach wewnętrznej pokrywy i przeżarte korozją nity.

Heris zauważyła, że czujniki gazowe natychmiast zaświeciły na czerwono.

– Mówiła pani, że kto zrobił konserwację? I kiedy? – burknął jeden z lokalnych techników.

– To nieważne, Tare – rzekł Brynear i podszedł, aby uważniej się przyjrzeć. Kiedy stuknął kluczem w płuczkę, z wnętrza wypłynęło jeszcze więcej szlamu. Wszystkie odczyty na półce z płuczkami wykraczały poza skalę. – To problem właścicielki, nasze zadanie polega na naprawieniu tego bałaganu. I od razu mogę powiedzieć, że potrzebujemy więcej sprzętu. Miała pani rację, pani kapitan, to zdecydowanie remont awaryjny. – Heris z zadowoleniem stwierdziła, że majster wydaje polecenia bardzo stanowczo, zupełnie jak w dokach Floty, a udzielane jej wyjaśnienia świadczyły, że doskonale rozumie wszystkie szczegóły techniczne.

– Będziemy musieli opróżnić cały system – a ta stocznia pobiera opłaty za niebezpieczne odpady. Z drugiej jednak strony jeśli to jest aż tak gęste, można by odzyskać sporo metanu, co pozwoliłoby pokryć część opłat za przechowanie. Mamy tu remont dużego zbiornikowca, któremu będzie potrzebna inokulacja hydroponiki. Może uda mi się z nimi dogadać.

– Najpierw bezpieczeństwo, potem szybkość – oświadczyła Heris. – Pieniądze też się liczą, ale dopiero w trzeciej kolejności.

– Dobrze. Wyssiemy wszystko, przesortujemy, wyczyścimy, naprawimy i włożymy z powrotem podstawowe szczepy. Jak wyglądają kwatery mieszkalne? Mielście tam poważne skażenie?

– Nie, prawdopodobnie z powodu nadmiarowych filtrów. Ostatniego dnia wciąż miałam wrażenie, że coś czuję, ale czujniki nie reagowały.

– W takim razie spróbujemy je tylko przemyć. To oszczędzi trochę czasu, zwłaszcza że tu na dole będzie go potrzeba znacznie więcej.

– Szacunkowo ile?

– To będzie zależało od tego, czy będziemy wymieniać jednostki, czy je naprawiać...

– Wymieniać. Wszystko, co tylko możecie.

– Przy pełnych ekipach czterdzieści sześć godzin. I to ostro wydając pieniądze pani właścicielki. Można by to zrobić poniżej czterdziestu dwóch godzin, gdyby wszystko poszło dobrze, ale tutaj nie pójdzie. Może potrwać nawet trochę więcej.

– Niech pan zrobi wszystko, co można – poprosiła Heris.

* * *

Nie oczekiwała od cywilnej firmy remontowej prawdziwej szybkości, ale kiedy ekipy Bryneara weszły na wysokie obroty, zdała sobie sprawę, że oni zarabiali tutaj właśnie na prędkości. W połowie zmiany cztery potężne węże odsysały szlam ze *Sweet Delight* do zbiorników w stoczni, a połowa uszkodzonych płuczek została już wymontowana. Zauważyła, że Brynear skrupulatnie zanotował wszystkie elementy, które można było naprawić. Potem wspólnie udokumentowali stan płuczek, komór i rur – lady Cecelia nie powinna mieć najmniejszych problemów z wyciągnięciem odszkodowania od Diklosa i Synów czy też pozwaniem kapitana Olina.

W drugiej połowie zmiany w śluzie wejściowej zaczęły się gromadzić nowe elementy: płuczki, komory środowiskowe, części i przyrządy sterownicze. Brynear sprawdził je w towarzystwie Heris.

– Nie mamy dość sprzętu, żeby dać wam pełny zestaw identycznych części – powiedział. – Dostaniecie trzynaście Shnairsin i Lee 4872, takich samych jak oryginalny sprzęt, i siedem Plekhsowów 8821. Osobiście wolę te drugie – często używamy ich na wymianę i uważam, że są wytrzymalsze – ale dałbym wam jednolity zestaw, gdybym tylko mógł. Parametry wydajnościowe są identyczne. Proszę. – Heris spojrzała na wydruk i podała go swoim kretom.

– To wystarczy – zapewniła. – A co z komorami środowiskowymi? I obwodami?

– Będzie pani potrzebowała nowych komór – każda kultura albo przerosła, albo została skażona przez inne. I znów mamy Shnairsin i Lee, ale zalecałbym Tikman. Udało im się stworzyć wykładzinę, która naprawdę jest lepsza – mamy z nią do czynienia od około pięciu lat.

– Więc niech będzie Tikman – zdecydowała Heris. Wojsko znalazło nową wykładzinę polimerową od siedmiu lat, ale nie wiedziała, że jest już dostępna również na rynku cywilnym. – A obwody?

Brynear zmarszczył brwi.

– To zależy, czy zgodzi się pani na trochę wżerek. Możemy wyciąć najgorsze i załatać – mamy dobrych pracowników i gwarantuję, że nie będzie pani miała problemów z turbulencjami na złączach. Albo możemy wszystko wyciągnąć i ułożyć od nowa. Wżerki... nie są niebezpieczne, kiedy wytniemy te naprawdę paskudne kawałki, a potem będzie można je wymienić w ciągu roku albo dwóch. Na tym może pani bezpiecznie dolecieć do celu. A położenie nowych rur zajęłoby trochę czasu.

– Podobnie jak znalezienie wszystkich uszkodzonych miejsc i ich naprawa – zauważyła Heris. – Chcę mieć bezpieczny statek, panie Brynear. Wezmę na siebie awanturę z właścicielką, jeśli trochę się spóźnicie. Ale...

– Lepiej, żeby to było tego warte. Rozumiem. Powiem pani, że naprawdę jestem zaszokowany Diklosem. Kiedyś byli niezli. Powierzyłbym im własny statek, gdybym nie mógł dotrzeć tutaj.

– Pomyłki się zdarzają – zauważyła ponuro Heris. – Ale nie na moim statku, nie drugi raz. A teraz, jeśli ma pan wydruki z szacunkami, pójdę spotkać się z lady Cecelią.

Rozdział 5

Nawet w swoim krzykliwym fioletowym mundurze Heris czuła się znacznie lepiej w doku, mając pod nogami przyzwoite, chropowate blachy pokładu, a nie pluszowy dywan. Wszyscy tutaj pracowali na statkach i dzięki temu byli jej bliscy, rozumiała ich. Po długim marszu, od którego rozbolały ją nogi, opuściła dok Velarsin & Co. Ltd i weszła w sektory komercyjne. Pomyślała, że dobrze zrobiła, każąc zabrać swoje rzeczy razem z bagażem pracodawczyni. Korytarz z jednej strony ograniczony był lśniącymi rurami transportowymi, z drugiej były witryny sklepów, hotele i jadalnie. Nie zauważyła logo żadnej wielkiej sieci, ale często lokalne firmy w niczym im nie ustępowały. Heris zatrzymała się, by sprawdzić wyświetlacz z mapą, po czym postanowiła przejechać resztę drogi do hotelu lady Cecelii tramwajem. Jak zwykle dobre hotele mieściły się daleko od zgiełku i odgłosów ciężkiej pracy.

* * *

Przeszła przez wąskie drzwi, nad którymi umieszczono jedynie metalową płytę z wygrawerowaną nieco archaicznymi literami nazwą Selenor, i doznała szoku: znalazła się w holu sięgającym aż do gwiazd. Po chwili szok minął, gdy zdała sobie sprawę, że to tylko złudzenie optyczne. Geometria tego miejsca pozwalała na umieszczenie na całej wewnętrznej ścianie ogromnego ekranu.

Podszedł do niej uśmiechnięty recepcjonista.

– Pani musi być kapitan Serrano. Lady Cecelia opisała nam panią.

– Tak.

– Pani pokój jest już gotowy, pani kapitan. W różowej wieży, numer 2314, tuż obok apartamentu lady Cecelii. Lady poinformowała nas, że nie wie, kiedy pani przyjdzie, ale przypuszczała, że będzie pani chciała od razu coś zjeść.

– To bardzo miło z jej strony. – Faktycznie była głodna, ale najpierw musi spotkać się ze swoją pracodawczynią.

– Kazała pani powiedzieć, że sama będzie odpoczywać. Ale chwileczkę. Świeciło się zmieniło, to znaczy, że wstała. Dam jej znać, że pani do niej idzie, dobrze?

– Tak, dziękuję.

Rury spadowe różowej wieży wypełniał ciepły kwiatowy aromat, przywodzący Heris na myśl lato na jednej z planet porośniętych naturalnymi łąkami. Znalazła się w małym holu w pastelowych kolorach i od razu poczuła się jak jedna wielka plama fioletu. Drzwi do apartamentu lady Cecelii otworzyły się i do zapachu letniej łąki dołączył się powiew jodłowego lasu. Heris poczuła, jak starannie dobrane stymulanty ożywiają jej mózg, i skrzywiła się.

– Ach, kapitan Serrano. I jak wygląda *Delight*? – Lady Cecelia ani na chwilę nie przestawała być damą. Miała na sobie suknię wieczorową, kremową i pofałdowaną, a siwiejące włosy spięła w kok nefrytową klamrą. Heris zauważyła w głębi pokoju stół zastawiony dla dwóch osób; ciekawa była, kto będzie gościem. Całą bawialnię apartamentu wyłożono różowym pluszem, na którego tle kremowe meble wyglądały niczym chmury na wieczornym niebie.

– Brakuje sporo kluczowego sprzętu – odpowiedziała. – Wyraziłam zgodę na wymianę części zamiast naprawy, ponieważ tak będzie szybciej, a Diklos powinien pokryć koszty. Ekipy naprawcze dokonują pełnej rejestracji uszkodzeń do wykorzystania w sądzie.

– Aha. I rzeczywiście wylecimy stąd w ciągu czterdziestu ośmiu godzin?

– To bardzo prawdopodobne, ale nie mogę tego zagwarantować. Górna granica to sześćdziesiąt godzin. – Heris rozejrzała się wokół. – Proszę mi wybaczyć, milady, ale chciałabym się umyć i coś zjeść, zanim wrócę na statek.

Lady Cecelia uniosła brwi.

– Wrócić na statek? Ależ musi pani odpocząć. Sądziłam, że zje pani kolację razem ze mną. Nie pamięta pani? – Heris rzeczywiście zapomniała, ale nie mogła się do tego przyznać. Zresztą statek był najważniejszy.

– Biorąc pod uwagę to, co się stało ostatnim razem, gdy statek przebywał w stoczni...

– Nonsens. Potrzebuje pani snu tak samo jak wszyscy inni. Przynajmniej proszę tutaj zjeść kolację. Niech pani pójdzie się odświeżyć, zdejmie ten mundur i chwilę się odpręży. – Heris zaczęła się zastanawiać, czy właściwie zinterpretowała nacisk na słowa „ten mundur”.

– Milady... wołałaby, żebym nie nosiła tutaj pani munduru?

Lady Cecelia skrzywiła się, po czym westchnęła.

– Wołałabym, aby moja siostra Berenice nie kazała mi skorzystać z usług jej dekoratora, chcąc mi zrekompensować kłopoty z jej synem. Wołałabym mieć dość rozumu, żeby odmówić, ale ta zmiana moich planów przez Ronniego i jego przyjaciół tak mnie poruszyła...

W głowie Heris zaskoczyły trybiki.

– Pani... nie lubi tego lawendowego pluszu?

– Oczywiście, że nie! – Lady Cecelia omal nie spaliła jej wzrokiem. – Czy ja wyglądam na głupią staruszkę, której by się to podobało? – Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi, więc Heris zachowała niewzruszony wyraz twarzy. Lady Cecelia potrząsnęła głową i parsknęła w sposób, który zarówno mógł wyrażać złość, jak i rozbawienie. – No dobrze. Pani mnie nie zna, więc nie mogła mnie ocenić. Ale rzeczywiście nie lubię tego pluszu i pozbędę się go najszybciej, jak tylko będę mogła, nie urażając siostry. Pani mundur to kolejna rzecz wmuszona mi przez Berenice. Kapitan Olin zawsze ubierał się na czarno, ale Berenice uznała, że to nudne i staromodne.

– Tym niemniej – odezwała się ostrożnie Heris – między czernią a krzykliwym fioletem jest cała gama innych możliwości.

Lady Cecelia znów parsknęła, tym razem wyraźnie z rozbawieniem.

– Nie wie pani najlepszego: Berenice chciała, żebym zgodziła się na kremowy mundur z fioletowymi i różowymi lamówkami. Powiedziała, że im bardziej będzie krzykliwy, tym większe zrobi wrażenie na nowym kapitanie. Fiolet był najciemniejszym z kolorów, które mi zaproponowała.

– Aha. Czyli nie miałaby pani nic przeciwko temu, gdybym to... troszkę zmodyfikowała?

– Proszę bardzo. – Lady Cecelia znów się skrzywiła. – Choć nie przypuszczam, żeby mogła pani zorganizować tu pełną zmianę dekoracji.

Heris uśmiechnęła się szeroko, zaskakując w równym stopniu samą siebie, jak i swoją pracodawczynię.

– Szczerze mówiąc, milady, od kiedy tylko weszłam na pokład, chciałam zerwać ten lawendowy plusz ze ścian kołnierza wejściowego – zapewniam, że ze względów bezpieczeństwa.

– Względy bezpieczeństwa? – Teraz to lady Cecelia uśmiechnęła się; nigdy dotąd Heris nie widziała na jej twarzy tak promiennego uśmiechu. – Cóż za wspaniały pomysł!

– Na pani statku ukryto mnóstwo rzeczy, które powinny być widoczne – tak jest ładniej, ale trudno zauważyć w porę problemy. Niewątpliwie nie mamy czasu na pełną zmianę wystroju, ale usunięcie części dekoracji raczej nie przedłuży postoju.

– Cóż, dobrze. A co do kolacji...

– Pozwoli pani, że się przebiorę. Dziesięć minut?

* * *

Heris wróciła do apartamentu pracodawczyni w stroju, który założyła po raz pierwszy od czasu opuszczenia Służby. Ponieważ lady Cecelia ubrała się w suknię wieczorową, ona również założyła suknię; na widok pełnego zaskoczenia drugiej kobiety odczuła wyraźną satysfakcję.

– O rety! Nie miałam pojęcia, że tak wyglądasz! – Lady Cecelia zaczerwieniła się. – Przepraszam. To było niewybaczalne.

– Wcale nie, choć to pani mundur sprawiał, że wyglądałam całkowicie inaczej. – Heris doskonale wiedziała, jakie wrażenie robi w dopasowanym lśniącym gorsecie i falującej wokół jej nóg czarnej spódnicy. Nie dysponowała wzrostem Cecelii, ale nauczyła się wykorzystywać kolor i krój strojów do zrekompensowania tego niewielkiego braku. – Mam jeszcze jedno pytanie służbowe, zanim przejdziemy do kolacji: co z dochodzeniem w sprawie Iklinda?

– To nie problem. – Lady Cecelia usiadła na swoim miejscu i wzięła do ręki serwetkę. – Dzięki zebranej przez panią dokumentacji i dowodom medycznym Timmonsa jego śmierć zostanie potraktowana jako oczywisty wypadek.

Heris usiadła. Wiedziała, że nie powinna kontynuować tego tematu przy stole, ale dręczyło ją wiele pytań.

– Chciałabym...

– Nie teraz – ucięła lady Cecelia. – Możemy porozmawiać o tym później, jeśli będzie pani chciała, choć wolałabym poczekać do jutra tutejszego czasu. Do tej pory ekipa śledcza powinna potwierdzić przyczynę śmierci i będę więcej wiedzieć.

Heris zamrugnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że lady Cecelia zajęła się prawnymi problemami śmierci Iklinda, podczas gdy ona pracowała na statku; spodziewała się, że sama będzie musiała się tym zainteresować.

Grupka kelnerów wniosła kolację. Heris wbiła wzrok w maleńki trójkącik udekorowany zieloną gałązką.

– To płetwa lassaferańskiej ślimakoryby – wyjaśniła lady Cecelia. – Przystrojona marynowanym zillikiem. Hodowaliśmy to na pokładzie, zanim...

Heris spróbowała płetwy, którą przyprawiono musztardowym sosem – miała dziwny, nieco winny smak, doskonale zrównoważony zillikiem. Jadała już w miejscach serwujących tego rodzaju jedzenie, zazwyczaj na przydziałach politycznych, ale Służba preferowała mniej egzotyczną kuchnię. Nigdy nie było czasu na spędzanie całych godzin przy stole. Miała nadzieję, że i teraz kolacja nie zajmie jej wielu godzin – dzięki odprężeniu po przebraniu się w wygodniejszy strój uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona.

Następnie podano ostrą zupę; jej czerwono-żółty kolor kontrastował z bladością ślimakoryby. Ryba i warzywa, doskonale zestawione smaki z odpowiednią ilością przypraw, sprawiły, że oczy

kapitan wypełniły się łzami.

– To sikandryjski chowder – wyjaśniła z uśmiechem lady Cecelia. – Dobry, gdy jest się zmęczonym. Często to jadałam w trakcie zawodów. – Heris zaczęła się zastanawiać, o jakich zawodach mowa, ale nie zapytała. Mogłaby zjeść dwie porcje chowderu i jeszcze drugie tyle podawanych do niego sucharków.

– Wspaniale – rzekła, gdy skończyła jeść zupę.

– Pomyślałam, że będzie pani smakować – przyznała lady Cecelia. – Zamierzam spróbować ich piezonego drobiu z ryżem, ale jeśli chce pani jeszcze zupy, proszę tylko powiedzieć.

Uprzejmość walczyła z apetytem, ale w końcu wygrała uprzejmość i Heris pozwoliła kelnerowi zabrać talerz i przynieść następny, z plastrami zamarynowanej i podpieczonej po uduszeniu kurzej piersi. Plastry były ułożone w kształcie skrzydeł łabędzia, jego ciało uformowano z ryżu. Głowa wraz z szyją zostały pięknie ukształtowane z wygiętej trawki przyprawowej. Ostrożnie spróbowała ryżu – imbir? musztarda? kolendra? – po czym zaczęła go pochłaniać z niemal nieprzyzwoitym pośpiechem. Była bardziej głodna, niż sądziła. Plastry kurczaka szybko zniknęły, tak samo jak trawka.

Następne danie wydawało się Heris zupełnie nie na miejscu, ale zdawała sobie sprawę, że lady Cecelia może ustanawiać własne standardy. Mimo wszystko talerz wyhodowanych hydroponicznie melonów i truskawek zupełnie jej nie pasował. Z uprzejmości skosztowała odrobinę jadowicie zielonego melona. Lady Cecelia wyraźnie nabrała ochoty na rozmowę. Zaczęła od pytań o literaturę. Jeden z jej bratanków powiedział, że nikt w Akademii nie czytał Siilvaasa – czy to prawda? Heris uzupełniła swoją odpowiedź (nie, to nieprawda, czytają Siilvaasa, ale tylko jego sławną trylogię) komentarzem o nieco bardziej współczesnym pisarzu. Przez kilka minut rozmawiały na temat ostatnich prac Kerlskvana, badając wzajemnie zakres własnej wiedzy. Lady Cecelia nie czytała jego pierwszej powieści, a Heris trzeciej, najnowszej.

Przyniesiono sery, pozostawiając na stole owoce. Heris ucięła plaster pomarańczowego sera z Jebbilah i przeszła do zagadnień sztuk plastycznych.

– Jeśli o mnie chodzi – rzuciła lady Cecelia – lubię obrazy koni. Im wierniejsze, tym lepiej. Poza tym kompletnie nie znam się na malarstwie i wcale nie chcę się znać. Gdy byłam małą dziewczynką, zmuszano mnie do studiowania malarstwa, ale od tamtej pory – nic. – Uśmiechnęła się, by nie zabrzmiało to zbyt ostro. – Pozwoli pani, że zapytam: co pani wie o koniach?

– Nic – przyznała Heris – poza tym, że w Akademii musieliśmy zaliczyć lekcje konnej jazdy. Powiedzieli nam, że oficerowie muszą umieć siedzieć na koniu przy okazji różnych ceremonii. – W jej głosie zabrzmiała podobna pogarda, z jaką jej pracodawczyni wyrażała się o malarstwie. Każdy, kto woli malunek konia, dobry czy zły, niż jeden z ekspresyjnych obrazów Gorginiego...

– Nie lubi ich pani? – zapytała lady Cecelia.

– Czego? Koni? Szczerze mówiąc, milady, dla próżniowca są tylko dużymi, brudnymi i śmierdzącymi zwierzętami, które koszmarnie źle wpływają na układy podtrzymywania życia. Kiedyś musiałam dokonać inspekcji komercyjnego transportowca przewożącego gdzieś konie – choć nie potrafię sobie przypomnieć powodu – i pamiętam, że było tam strasznie. Oczywiście nie winię zwierząt – żyły dotąd na planecie, gdzie było dla nich dość miejsca. Ale w ładowni statku kosmicznego? Nie.

– Podobała się pani jazda na koniu? – Twarz lady Cecelii przybrała dziwnie łagodny wyraz, który zupełnie do niej nie pasował.

Heris wzruszyła ramionami.

– To nie było takie okropne, jak niektóre innercechy, których musieliśmy się nauczyć. Prawdę mówiąc, nawet nieźle sobie radziłam. Ale to takie bezużyteczne – czemu ktoś miałby jechać dokądkolwiek na koniu?

– Tylko na cywilizowanych planetach, gdzie nawet deszcz nie pada bez pozwolenia – odpowiedziała lady Cecelia. Heris miała wrażenie, że słyszy w jej głosie irytację, ale wyraz twarzy pozostał łagodny. Niejasno przypomniała sobie, że jej pracodawczyni chce dotrzeć na rozpoczęcie „sezonu polowań na lisy”, co ma jakiś związek z końmi.

– Oczywiście – przyznała. – Wielu ludzi lubi na nich jeździć. Rekreacyjnie.

– Tak. – Tym razem bardzo wyraźnie usłyszała w głosie pracodawczyni jad. – Wielu ludzi. Na przykład ja. Czy pani lekcje w Akademii obejmowały jazdę w terenie?

– Nie. Jeździliśmy wyłącznie w kółko.

– Czyli nie miała pani do czynienia z prawdziwą jazdą?

Heris nie bardzo rozumiała, czemu jazda w zamkniętym kole miałaby nie być prawdziwa. Koń był duży i śmierział jak koń. Ból mięśni po jeździe też był bardzo realny. Ale sądząc po wyrazie twarzy jej pracodawczyni, lepiej było nie pytać.

– Owszem, poza tymi lekcjami nigdzie nie jeździłam – przyznała ostrożnie.

– Aha. W takim razie proponuję zakład. – Jej oczy tak rozblęły przy tych słowach, że Heris poczuła się zaniepokojona.

– Zakład?

– Tak. Jeśli remont zostanie ukończony i opuścimy stację w czterdzieści osiem godzin od chwili przylotu – nie, pięćdziesiąt, bo na pewno będzie pani potrzebowała trochę czasu na przygotowanie się do wylotu – to pani wygra i ja zgadzam się przez dziesięć godzin słuchać pani wykładu na temat malarstwa. Jeśli jednak dojdzie do opóźnień i pani przegra, będę mogła wykorzystać te dziesięć godzin na naukę jazdy konnej – takiej prawdziwej – na moim symulatorze.

– Interesująca propozycja – powiedziała Heris, skubiąc ser. – Ale zakłada pani, że chciałabym panią zanudzać dziesięcioma godzinami dyskusji o sztuce, a ja wcale nie mam na to ochoty – podobają mi się dzieła niektórych artystów, ale nie jestem ekspertem. Chciałabym natomiast, żeby poznała pani lepiej własny statek. Zatem jeśli wygram, będzie pani przez dziesięć godzin uczyć się, jak sprawdzić, czy ekipy remontowe dobrze wykonały swoją pracę.

– Jest pani aż tak pewna, że wylecimy w ciągu pięćdziesięciu godzin?

– Jestem pewna, że w taki czy inny sposób obie nauczymy się czegoś wartościowego – oświadczyła Heris.

Cecelia zarumieniła się.

– Pani naśmiewa się ze mnie – wcale nie uważa pani jazdy na koniu za coś wartościowego!

– Nie, milady. Nie naśmiewam się z pani, to byłoby nieuprzejme i głupie. Pani uważa to za ważne, i choć ja do tej pory tak nie sądziłam, być może byłam w błędzie. Jeśli przegram, będzie pani miała szansę przekonać mnie do jazdy konnej. A ja jestem całkowicie pewna, że mogłaby pani oszczędzić sobie wielu wydatków i kłopotów, gdyby wiedziała pani trochę więcej o zasadach działania własnego jachtu. Czy zawsze bierze pani konia... – z trudem przypomniała sobie właściwe słowo – którego przyprowadził stajenny, i od razu na niego wsiada? Czy nie nauczono pani, żeby osobiście sprawdzić... uprząż i spojrzeć na stopy...

– Kopyta – poprawiła ją chłodnym tonem lady Cecelia.

– Kopyta i upewnić się, czy nie ma jakichś problemów?

– Rozumiem, co pani chce powiedzieć – przyznała Cecelia. – Faktycznie, niczego nie przyjmuję na słowo. – Z jej policzków znikło zaczerwienienie i sprawiała teraz wrażenie, jakby jej wcześniejszy dobry humor minął. – W takim razie dobrze: jeśli pani wygra, zajmę się studiowaniem budowy mojego jachtu, a jeśli ja wygram, pani poświęci się jeździe konnej. Zgoda?

– Oczywiście. – Heris sięgnęła ponad stołem i uścisnęła dłoń pracodawczyni. W końcu co ma do stracenia? Symulator to nie prawdziwy koń, nie może na nią nadepnąć, ugryźć jej ani przed nią uciec.

Już chciała coś powiedzieć, gdy rozległ się dzwonek. Lady Cecelia dotknęła kontrolki na panelu sterowania stołu i głos portiera oznajmił, że jej siostrzeniec z przyjaciółmi właśnie udają się do jej apartamentu.

– Nie! Nie chcę ich widzieć! – krzyknęła lady Cecelia.

Heris zauważyła, jak szybko zmienił się kolor jej twarzy.

– Przykro mi, milady, już są w rurze.

– Niech to szlag! – Lady Cecelia uniosła się z krzesła, a obsługa ruszyła jej na pomoc. Odpędziła ich gestem, usiadła z powrotem i zerknęła na Heris. – Przepraszam, pani kapitan, za ostatnią chwilę i najbliższą godzinę. Pozbędę się ich, gdy tylko będę mogła.

– Ciociu Cecelio, to niewybaczalne! – krzyknął Ronnie, gdy tylko drzwi się otworzyły. – Ta twoja obrzydliwa kapitan umieściła nas daleko stąd i nie mają tam nawet... – Urwał gwałtownie, gdy Heris obróciła się w jego stronę. Widok jego opadającej szczęki sprawił jej dużą przyjemność.

– To pani kapitan – oświadczył zupełnie niepotrzebnie George. Młodzi mężczyźni sprawiali wrażenie zawstydzonych, blondynka otworzyła usta i zamknęła je ponownie; tylko ciemnoskóra dziewczyna rzekła cichym głosem:

– Śliczna sukienka, kapitan Serrano. – Heris zauważyła, że Ronnie posłał jej zdeglustowane spojrzenie, więc uśmiechnęła się do dziewczyny. Ma na imię Rafraele, przypominała sobie.

– Dziękuję – odpowiedziała uprzejmie. – Cieszę się, że ci się podoba.

– Może zainteresuje was wiadomość – odezwała się sztywno lady Cecelia – że to ja zatwierdziłam przydzielenie wam tego hotelu. Jeśli chcecie kogoś winić, winicie mnie. Kapitan Serrano była zbyt zajęta ratowaniem naszego statku, żeby tracić czas i energię na utrudnianie wam życia.

Twarz Ronniego przybrała dziwny kolor, o dwa odcienie ciemniejszy od różu.

– Niewybaczalne jest natomiast – kontynuowała Cecelia – wasze wtargnięcie w czasie mojej kolacji, przerwanie prywatnej rozmowy oraz obrażenie mojej kapitan. Przepraszam teraz kapitan Serrano – albo możesz sam zorganizować sobie powrót do domu, aby przyjąć czekającą cię tam karę, na którą niewątpliwie zasługujesz.

– Tu i teraz... – zaczął George, ale lady Cecelia uciszyła go wzrokiem.

Ronnie spojrzał najpierw na jedno, potem na drugie, i lekko wzruszył ramionami.

– Przepraszam, ciociu Cecelio... i kapitan Serrano. Ja... wcale nie chciałem być nieuprzejmy. Ja po prostu...

– Chciałeś, żeby wszystko działało się po twojemu. Wiem. Ale to całkowicie niewystarczające przeprosiny. Nazwałeś kapitan Serrano „obrzydliwą”, teraz należy odpowiednio zareagować. – Heris nie zdawała sobie sprawy, że jakiś cywil może przemawiać jak admirał. Nagle wyobraziła sobie lady Cecelię w pełnym mundurze galowym ze sznurem na ramieniu.

Rumieniec Ronniego pogłębił się i chłopak wydał wargę, rzucając Heris wściekłe spojrzenie.

– Przepraszam, kapitan Serrano – wydusił przez zęby – że określiłem panią mianem „obrzydliwej”. Zachowałem się nieuprzejmie.

Heris kiwnęła głową na znak, że przyjmuje przeprosiny. Nie chciała nic mówić, żeby nie pogorszyć stosunków między ciotką i siostrzeńcem.

– Możesz odejść – oznajmiła lady Cecelia. Podniosła kieliszek i pociągnęła z niego, choć Heris wątpiła, by w tej chwili potrafiła rozróżnić, czy ma w nim wodę, czy wino. Dziewczęta natychmiast się odwróciły, George cofnął się o krok, ale Ronnie nadal stał w miejscu, jakby chciał zaprotestować. – Już – dodała lady Cecelia. – I nie oddalajcie się zbyt od hotelu, jeśli nie będziecie mieli ze sobą komunikatorów. Ostrzegę was godzinę przed wylotem i nie będę się zbyt przejmować, jeśli nie zdążycie wrócić na pokład.

Ronnie uklonił się sztywno, odwrócił na pięcie i niemal wypchnął pozostałych z apartamentu. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, lady Cecelia potrząsnęła głową.

– Naprawdę mi przykro – rzekła. – Ronnie jest... najstarszym synem w rodzinie, pierwszym wnukiem w naszej części rodziny i dumą rodziców. Powiedziałabym, że go zepsuli, zanim jeszcze się urodził, jeśli można w jakiś sposób rozpieszczać embriona w zbiorniku. To, w co teraz się wpakował... – Rozłożyła ręce. – Przepraszam. To nieuczciwe, że panią tym zanudzam.

Heris uśmiechnęła się i pociągnęła z kieliszka napełnionego wodą. Podczas trwania remontu nie mogła sobie pozwolić nawet na chwilowe oderwanie się od rzeczywistości.

– Lady Cecelio, nie nudzi mnie nic, co ma związek z panią. Może mnie zaskakiwać, ale proszę się nie obawiać, że mnie pani zanudzi. Chętnie porozmawiałabym na ten temat...

– Pewnie uważa pani, że potrafiłaby go naprostować. – Lady Cecelia była teraz dość ponura.

Heris wzruszyła ramionami.

– Wychowywanie pani siostrzeńca nie jest moim zadaniem – chyba że pani o to poprosi. A wtedy... nie wiem. Zazwyczaj gdy miałam do czynienia z kimś z jego klasy społecznej, sam zgłaszał się do Służby i mogłam bazować na jego motywacji.

– Musi pani nami pogardzać.

– Czemu? Bo ma pani zepsutego siostrzeńca? Widziałam dzieci admirałów, które sprawiały takie same problemy.

– Naprawdę? Myślałam, że dzieci wojskowych zaraz po urodzeniu salutują położnej i trzaskają piętami, gdy tylko nauczą się stawać. – Choć powiedziała to zmęczonym głosem, słychać w nim było prawdziwe zaciekawienie. Heris roześmiała się.

– Marzenie rodziców! Nie, milady, rodzimy się dokładnie tacy sami jak wszyscy i tak samo trzeba nas ucywilizować. Zachowanie pani siostrzeńca wydaje się logicznym skutkiem nadmiaru przywilejów, ale wcale nie jest gorszy od innych.

– Bogu dzięki choćby za to. – Lady Cecelia spuściła wzrok. – Przez cały czas wyobrażałam sobie, że pani patrzy na mnie z góry za to, że mam takiego siostrzeńca. – Heris miała nadzieję, że jej twarz nie zdradziła, że dokładnie tak myślała, i potrząsnęła głową.

– Milady, jak sama pani zauważyła, byłam zbyt zajęta, żeby przejmować się pani siostrzeńcem. Tym bardziej że pani załoga... – Czy to właściwy czas, by podejmować ten temat? Nie. Uśmiechnęła się i rzekła: – Jeśli ma pani ochotę o nim porozmawiać, proszę bardzo. Chętnie posłucham.

– Wplątał się w kłopoty – zaczęła lady Cecelia. Heris słuchała historii o śpiewacze księcia i całej reszcie, emanując na zewnątrz spokojem, ale w duchu odczuwała satysfakcję. Właśnie czegoś

takiego spodziewała się po tego rodzaju młodzieńcu. Nie wiedziała, że był w Królewskiej Służbie Powietrzno-Kosmicznej – i teraz zaczęła się zastanawiać, czemu zwalono go na głowę ciotce, skoro całą sprawę powinien był załatwić jego pułkownik.

– Ponieważ moja kochana siostrzyczka na to nie pozwoliła – wyjaśniła ponuro lady Cecelia. – Niewątpliwie powinni byli wysłać go na rok do... ja wiem... Xingsan, gdzie jego regiment ma warsztaty. Albo gdzieś, gdzie mógłby robić coś pożytecznego. Ale Berenice się wtrąciła i załatwiła mu roczny urlop naukowy – urlop naukowy w wojsku! – pod warunkiem, że nie pokaże się w stolicy.

– Hmmm – mruknęła Heris; ciekawe, dlaczego siostra Cecelii ma tak duże wpływy u króla.

– Czy... eee... Ronnie przypomina wyglądem swojego ojca? – wyrwało jej się.

Lady Cecelia prychnęła.

– Tak, ale to nie jest prawdziwa odpowiedź na pani pytanie. Ronnie jest ZE – Widząc zdziwione spojrzenie Heris, wyjaśniła: – Zarejestrowanym Embrionem. Wy chyba też ich macie?

– Słyszałam o nich. – Posiadanie ZE kosztowało więcej niż roczna pensja, a płaciło się wcale nie za technikę, lecz za ubezpieczenie. W tym wypadku oznaczało to również, że Ronnie nie począł się w wyniku przypadkowego romansu.

– W każdym razie – mówiła dalej lady Cecelia – moja siostra Berenice uznała, że powinnam zabrać Ronniego. Nigdy nie podobał jej się mój sposób życia, ale akurat wtedy byłam na miejscu.

– Ponieważ kapitan Olin się spóźnił – zauważyła Heris.

– Tak. Zazwyczaj bywam w stolicy tylko na rodzinnych spotkaniach w interesach i odlatuję najszybciej, jak to możliwe. W tym roku spóźniłam się na spotkanie – przez co moimi udziałami dysponował mój pełnomocnik, i to nie tak, jak bym sobie życzyła – i przyleciałam akurat wtedy, gdy Ronnie popadł w niełaskę. Najwyraźniej nadmiernie sobie popił z okazji uczestniczenia po raz pierwszy w głosowaniu nad swoimi udziałami i przy tej okazji zaczął się przechwalać romansem ze śpiewaczką.

– Czyli... pani siostra zmieniła wystrój pani jachtu...

– I płaci za wydatki Ronniego. Do pewnej wysokości. A ja jeszcze powinnam jej być wdzięczna. – Lady Cecelia skrzywiła się, a Heris zaczęła się zastanawiać, jaka jest prawdziwa przyczyna niesnasek w jej rodzinie. Czekwała w skupieniu na wypadek, gdyby lady Cecelia chciała coś jeszcze powiedzieć, ale starsza kobieta poprosiła obsługę o przyniesienie deseru. Heris ucieszyła się z zabrania resztek serów i owoców, ale wcale nie miała ochoty na słodczyce. Potrzebowała kilku godzin snu.

– Proszę mi wybaczyć – rzekła – ale muszę skontaktować się z ekipą remontową na pokładzie i moim oficerem wachty.

– Och, oczywiście. Proszę bardzo. – Lady Cecelia zachowała obojętny wyraz twarzy. Czyżby sądziła, że Heris jest nią znużona? Kapitan poczuła przyływ sympatii dla starszej kobiety. Uśmiechnęła się.

– Mam zakład do wygrania, pamięta pani?

To wywołało szczery uśmiech, na który miała nadzieję. Lady Cecelia uniosła kieliszek w toaście.

– Zobaczmy. Mam wrażenie, że będzie pani doskonałą amazonką.

Heris roześmiała się.

– Zobaczmy, co przyniesie los i moja umiejętność poganiania robotników. Do zobaczenia później.

Lady Cecelia przyglądała się, jak jej kapitan opuszcza pokój, i zastanawiała się, co ta kobieta naprawdę myśli. Najwyraźniej ma większe kwalifikacje niż tylko umiejętność prowadzenia statku: jest czytana, dobrze się ubiera, wie, co robić z całym zestawem sztuców używanych przy kolacji, a także wykazuje się zdumiewającym taktem. Mogłaby stać się kimś znacznie jej bliższym niż siostra Berenice. Wyobraziła sobie, jak jadą razem przez pola treningowe... a potem odpoczywają wspólnie przy kolacji. Nie. Ta kobieta nigdy tak naprawdę nie odpoczywa, podczas gdy ona... Lady Cecelia zamierzała zakończyć wspaniałą kolację spacerem po uroczym hotelowym ogrodzie, a później spać w luksusowym łóżku tak długo, jak tylko będzie miała ochotę.

Spacer i starannie dobrane zapachy ogrodu pomogły jej usunąć napięcie, którego przyczyną była gburowatość jej siostrzeńca, i z zadowoleniem wsunęła się w ciepłe, pachnące łóżko. Słyszała, jak Myrtis sprawdza wszystkie ustawienia pokoju, i wymruczała, żeby obniżyć trochę temperaturę, po czym usnęła, zanim poczuła na policzkach chłodniejsze powietrze.

Tak jak się spodziewała, poranek przyniósł kłopoty. Nie był to pierwszy przypadek śmierci jej pracownika, po prostu pierwszy na jej jachcie i najbardziej gwałtowny. Skontaktowała się już z firmą prawniczą poleconą przez doradców rodziny. Jasnooki młodzieniec w oficjalnej czerni czekał na nią przy recepcji, gdy wyłoniła się z sypialni i poprosiła o śniadanie. Sprawdziła lokalną godzinę i aż gwizdnęła – był późny ranek głównej zmiany. Potem skontrolowała status kapitan; tak jak się spodziewała, Serrano pracowała już na jachcie.

Młodzieniec zaczął mówić, zanim jeszcze wszedł do pokoju.

– Lady Cecelio, jestem pewien, że to panią bardzo poruszyło, ale zapewniam, że nasza firma ma duże doświadczenie...

Uciszyła go jednym gestem.

– Chwileczkę. Zamierzam zjeść śniadanie i zapraszam pana do przyłączenia się. O interesach mogę rozmawiać dopiero po śniadaniu, choć zapewniam, że nie jestem poruszona, a gdybyście nie mieli doświadczenia, nikt by mi was nie polecił. – Młodzieniec wiercił się podczas całego śniadania, odmawiając poczęstowania się. W końcu jego zdenerwowanie tak jej się udzieliło, że zrezygnowała ze skorupiaków w puree z mieszanych bulw. I tak nie były zbyt dobre, za mocno przyprawiono je koprem i jakąś lokalną przyprawą, która piekła w język. Zakończyła śniadanie dużym ciastkiem i srebrną miseczką jakiegoś czerwonego dżemu – całkiem smacznego – po czym kiwnęła głową. – Teraz może pan mówić. Jakie są straty?

– Pani załogant... który zginął... – Zdawał się być wstrząśnięty faktem, że ona nie rozpacza. Czyżby sądził, że starsze kobiety nigdy nie mają do czynienia ze śmiercią?

– Technik środowiskowy Nils Iklind – wyrecytowała lady Cecelia. – Złamał rozkaz kapitan założeń kombinezonu ochronnego, otworzył mocno przepełniony zbiornik szlamu i zginął zatruty siarkowodorem. Widział pan kostki danych?

– Tak, proszę pani... lady Cecelio. Przeglądali je nasi starsi partnerzy i uważają, że bardzo łatwo będzie udowodnić śmierć na skutek wypadku.

– A więc w czym problem?

– Cóż... – Młodzieniec znów zaczął się wiercić, a lady Cecelia już zaczęła układać w duchu notatkę, którą wyśle do rodzinnych prawników, wyjaśniając im, że polecona firma nie jest odpowiednia. – Chodzi o związki, madame. Uważają, że zawiniła kapitan, wysyłając go w niebezpieczne miejsce... bez odpowiedniego nadzoru i pozwalając mu tam wejść bez kombinezonu. Tym bardziej że drugi członek załogi również nie miał właściwie założonego kombinezonu.

Cecelia pociągnęła nosem.

– A skąd kapitan miała wiedzieć, że otworzy właz, zanim ona tam dojdzie? Czemu nie zaczekał?

– Nie w tym rzecz. Upierają się, że kapitan powinna tam być, by dopilnować wykonania rozkazu założenia strojów ochronnych. Albo przynajmniej inny oficer. Oczywiście na większych statkach towarzyszyłby im nadzorca. Powinien nim być Iklind, ale on nie działał w tej roli. A rejestry konserwacji i ćwiczeń ratunkowych...

– To efekt zaniedbań kapitana Olin. Kapitan Serrano poinformowała mnie, że rozpoczęła szkolenie załogi i wprowadzanie właściwych procedur.

– Ale nie ukończyła jeszcze tego procesu i właśnie na tej podstawie związki protestują. Będę musiał porozmawiać z kapitanem...

– Jest na pokładzie statku, nadzoruje remont. Musiałby pan ubrać się w kombinezon. – Rozległ się cichy dzwonek. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła dyskretne migotanie kontrolki komunikatora. – Przepraszam na chwilę.

– Może to biuro dzwoni do mnie – zasugerował młodzieniec, ale Cecelia uciszyła go gestem i przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się kapitan Serrano – ale mamy nowy problem, który może pomóc rozwiązać stary.

– A mianowicie? – zapytała Cecelia.

Młodzieniec po drugiej stronie stolika wyglądał tak, jakby usiłował ekspresowo powiększyć sobie uszy, co nadawało mu bardzo dziwny wyraz twarzy.

– Pan Brynear znalazł w jednej z płuczek pewne... przedmioty. To może wyjaśniać, czemu Iklind zaryzykował wejście bez kombinezonu, a także dlaczego kapitan Olin zgodził się na sfałszowanie dowodów przeprowadzenia remontu.

– Hmm. Woląaby pani przedyskutować to osobiście?

– Tak, ale to wyraźnie problem stróżów prawa. Pan Brynear udokumentował swoje odkrycie. – To oznaczało, że policja została już wezwana. Cecelia zaczęła się zastanawiać, czego dopuścił się kapitan Olin. Przemysł? Ale czego? Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak duża jest „płuczka” i co by mogło się w niej zmieścić. Ale nie mogła o to pytać przez niezabezpieczoną linię telefoniczną.

– Wygląda na to, że mam sporą szansę na wygranie naszego zakładu – zauważyła. – Gdzie możemy się spotkać? Mam ze sobą prawnika.

– Możemy wszyscy zgłosić się do pani albo pani może przyjść do biura firmy remontowej. Pani prawnik powinien wiedzieć...

– Przyjdziemy. – Miała wrażenie, że jeśli będzie rozmawiać o kłopotach gdzie indziej niż w swoim pokoju, wciąż będzie miała takie miejsce, do którego mogłaby przed nimi uciec. Wyjaśniła młodzieńcowi w kilku zdaniach zaistniałą sytuację. Ten przełknął głośno ślinę i poprosił o zgodę na skontaktowanie się ze swoim biurem. – Kiedy będę się przebierać – dodała i ruszyła do sypialni. Co powinna założyć w sytuacji, gdy członek jej załogi zginął w wypadku, który mógł wiązać się z

przemycem, a towar – cokolwiek to było – znaleziono na jej jachcie? Co mogłoby wyrazić jej niewinność, oburzenie i wolę pozostania dobrym i uczciwym obywatelem? Nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze z tego rodzaju rzeczami. Berenice natychmiast wiedziałaby, jaką chustkę i broszkę dobrać oraz jaka para butów wywarłaby odpowiednie wrażenie. W końcu zdecydowała się na ciemny oficjalny strój oraz kapelusz ukrywający sterczące na czubku głowy zbuntowane loki.

Kiedy wyszła z sypialni, młodzieniec wyjaśnił, że w biurze firmy remontowej spotka się z nią jego starszy partner – on tylko ją tam odprowadzi i przekaże mu dokumenty sprawy. Cecelia uśmiechnęła się, czując w duchu złość. Od razu powinni byli przysłać starszego partnera, zwłaszcza że na pewno zażądali od jej rodziny bardzo wysokich honorariów.

Rozdział 6

– Lady Cecelia? – Siwowłosy mężczyzna zerknął na młodszego, który podał mu swój tablet i odszedł.

– Tak, a pan to...

– Ser Granzia. Ma pani absolutną rację, że nie należało tutaj przysyłać młodszego partnera. – Zaoferował jej ramię, które przyjęła. – Powinniśmy byli wiedzieć, że nie poprosiłaby pani o pomoc prawną, gdyby chodziło tylko o jakiś błahy problem. Osoba, która podjęła tę decyzję, została już właściwie pouczona.

Cecelia pozwoliła, aby mężczyzna zaprowadził ją do biura firmy remontowej. Pełna szacunku sekretarka poinformowała, że panowie Desin i Brynear czekają na nią w sali konferencyjnej. Wyglądało na to, że Ser Granzia zna drogę – kierował nią bardzo subtelnie, ale nieomylnie. Cecelia zauważyła, że szary tweedowy dywan z frontowych pomieszczeń ustąpił miejsca łatwym do utrzymania powierzchniom odbijającym światło sufitowych lamp. Otwarte drzwi po obu stronach korytarza prowadziły do małych biur, zapchanych terminalami, częściami i różnymi schematami. Nie rozpoznawała tu niczego znajomego. Za zakrętem znów pojawił się dywan, tym razem intensywnie zielony i znacznie bardziej puszysty. Podwójne drzwi na końcu korytarza prowadziły do obszernej sali konferencyjnej z takim samym widokiem z okna jak w jej apartamencie hotelowym. Czekają tam cztery osoby: wysoki mężczyzna w konwencjonalnym stroju biznesowym, niższy w wymiętym kombinezonie, jakaś pozbawiona wyrazu persona, niewątpliwie reprezentująca policję, i kapitan Serrano. Na dużym polerowanym stole z brasodrzewu leżała paczka, coś małego umieszczonego w dużej torbie lub worku.

– Właścicielka, jak przypuszczam? – odezwał się wysoki mężczyzna. – Madame, jestem Eniso Desin. To jest majster Brynear, który odpowiada za remont pani jednostki, i pan Files, lokalny inspektor CenComu.

– Lady Cecelia de Marktos a Bellinveau – przedstawił ją Ser Granzia. Cecelia już od dłuższego czasu nie słyszała, by przedstawiano ją tak oficjalnie, i teraz przypomniała sobie, czemu tak tego nie lubiła. Brzmiało to strasznie głupio. – Z klanu Aranlake, fides de Barraclough. – Można to było tak ciągnąć jeszcze przez pięć linijek. Pełny tytuł zawierał źródła genetyczne, związki polityczne oraz status społeczny męskich i żeńskich linii sześciu pokoleń... ale zazwyczaj rezerwowano go dla ignorantów, na których należało wywrzeć odpowiednie wrażenie.

– Tak, jestem właścicielką – oświadczyła, gdy Granzia zrobił przerwę dla nabrania powietrza.

– W rejestrze statków – rzekł Files – figuruje pani jako lady Cecelia Marktos. Zakładam, że chodzi o panią?

– Tak – potwierdziła Cecelia. – W rejestrze nie przewidziano miejsca na te wszystkie tytuły. Powiedziano mi, że to będzie wystarczające.

– I jest pani tą samą lady Cecelia, na którą zarejestrowano jacht oznaczony SY-00021-38-HOX?

– Tak, oczywiście, że to ja. – Jej ton zdradzał, co myśli o tym pytaniu.

Inspektor spojrzał na kapitan Serrano, po czym znów skupił na niej swoją uwagę.

– W takim razie z przykrością muszę panią poinformować, że pani statek zaangażowany był w nielegalną działalność o charakterze przestępczym. – Cecelia zaczęła się zastanawiać, na czym mogłaby polegać nielegalna działalność nie mająca charakteru przestępstwa, ale nie zapytała. – Jak długo pani kapitan... Serrano... jest pani oficerem dowodzącym?

– Od kiedy opuściłam Court. Zwolniłam poprzedniego kapitana z powodu niekompetencji i za odmowę wykonywania moich poleceń, a kapitan Serrano właśnie odeszła z Zawodowej Służby Kosmicznej. Zgłosiła się do agencji zatrudnienia, z której usług korzystam, a oni gorąco mi ją polecili.

– A ta agencja to...

– Nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą. – Cecelia zaczynała odczuwać irytację. Cokolwiek się stało, miała pewność, że kapitan Serrano nie brała w tym udziału. Ta kobieta mogła być sztywną wojskową służbistką, ale na pewno nie kryminalistką. – Może byłby pan tak uprzejmy i wyjaśnił mi, o jakiego rodzaju działalności kryminalnej mowa.

– Czy wie pani, co to jest? – Files wskazał leżącą na stole paczkę.

– Nie. – Poczwała, jak jej brwi się unoszą, i to zarówno z powodu irytacji, jak i niewiedzy. Nie lubiła, gdy ludzie próbowali takich sztuczek. – Może zechciałby pan to wyjaśnić?

– W stosownym czasie, madame. Jest pani pewna, że nigdy wcześniej tego nie widziała?

– Już raz mówiłam... – zaczęła zirytowanym tonem, ale w tym momencie wtrącił się Ser Granzia.

– Przepraszam, ale jeśli chce pan postawić jakieś zarzuty lady Cecelii bądź jej kapitan, chyba pamięta pan, że ma obowiązek o tym poinformować.

– Wiem – potwierdził Files. – Ale jeśli ta dama nie ma z tym nic wspólnego, jej odpowiedź może pomóc...

– Myślę, że lady nie będzie odpowiadać na dalsze pytania do czasu, aż nie wyjaśni pan w satysfakcjonujący sposób, co to pańskim zdaniem jest. – Głos Ser Granzii, choć uprzejmy, nie krył nieustępliwości.

– Uważamy, że to jest przemywany towar. Nie został jeszcze poddany ekspertyzie sądowej, ale po pobieżnym zapoznaniu się z nim przypuszczam, że są to chronione prawem dane.

– Ma pan na myśli tajemnice handlowe? Coś, czym mógłby się zajmować szpieg przemysłowy?

– Możliwe. Ponieważ takie dane to jest tajemnica...

– Są tajemnicą – mruknęła Cecelia.

Files skrzywił się.

– Wszystko jedno, madame. Są tajemnicą. W każdym razie nie zgłoszono żadnej kradzieży. Być może nic o niej nie wiadomo. To nie jest tak samo jak z klejnotami w sejfie.

– Czy to mogą być dane wojskowe? – zapytała Heris Serrano.

Cecelia popatrzyła na swoją kapitan, a ta odpowiedziała jej zagadkowym spojrzeniem.

– Możliwe – przyznał Files. – Dowiemy się po analizie. – Najwyraźniej nie zamierzał dzielić się z nikim tą sprawą.

– W takim razie Flota powinna o tym wiedzieć. – Nawet nedorzeczny fioletowy mundur nie mógł pozbawić Heris Serrano powagi. Cecelia spróbowała wyobrazić sobie poprzedniego kapitana w tym samym stroju i doszła do wniosku, że wyglądałby jak fioletowy psiak uwiązany na postronku. Ta kobieta zaś wyglądałaby w jego czerni niebezpiecznie. – Śledczy Floty powinni brać udział w tym dochodzeniu.

– Ja to ocenię – burknął Files i spojrzał na Ser Granzie. – Ma pan jakieś uwagi prawne, Ser Granzia?

– Owszem, jeśli to są tajemnice wojskowe, kapitan ma rację: przy szczegółowym badaniu

powinien być obecny przedstawiciel Floty. W przeciwnym razie wszyscy możemy znaleźć się w kłopotach. Niewątpliwie pamięta pan wyrok w sprawie wojsko kontra Stillinbagh?

– Dobrze. – Files wyglądał na rozzłoszczonego. – Poinformuję lokalnego attache wojskowego.

– Może zaczekamy, aż pan się tym zajmie? – zaproponował Ser Granzia.

Cecelia zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie usłyszała groźbę w jego głosie. Files zaczerwienił się, poprosił o komunikator i przemówił do niego. Następnie odłożył go ostrożnie, chociaż pewnie najchętniej rzuciłby nim o ścianę, i poinformował pozostałych, że attache niedługo się tutaj zjawi. Cecelia nie miała ochoty czekać na kolejne informacje.

– Pani kapitan Serrano – zaczęła, ignorując Filesa – czy może mi pani powiedzieć, jak to znaleziono?

Jej kapitan uśmiechnęła się, zadowolona, że ją o to zapytano.

– Tak. Pamięta pani, że udzieliłam zgody firmie Velarsin i Co. na wymianę wszystkich uszkodzonych elementów systemów podtrzymywania życia, zamiast kazać je naprawiać na miejscu?

– Oczywiście – potwierdziła Cecelia.

– Zrobiłam tak, kierując się zarówno względami bezpieczeństwa, jak i czasem. Może pamięta pani także, że poprosiłam pana Bryneara o udokumentowanie stanu tych elementów jako dowodu w sprawie o odszkodowanie od Diklosa i Synów. – Cecelia kiwnęła głową. – Niektóre części da się naprawić i zostaną zrefundowane. Podczas badania usuniętych elementów technicy pana Bryneara znaleźli w kilku z nich ukryte przedmioty. Co najciekawsze, między innymi w płuczce, którą mieliśmy zbadać, gdy Iklind zginął z powodu braku kombinezonu ochronnego.

Cecelia niczego nie rozumiała.

– Ale jaki to ma z tym związek? – Zanim Serrano odpowiedziała, doznała olśnienia. – Och, on wiedział, że tam coś jest? Coś, co pani by znalazła?

– Nie wiemy tego na pewno, milady. – Heris zerknęła na Filesa, który najwyraźniej wolałby, żeby nic już nie mówiła. – Daje się tu zauważyć ciąg zdarzeń, który rzuca podejrzenie na Iklinda i część aktualnych lub byłych członków załogi. Przeplukanie i naładowanie systemu, którego nie wykonał Diklos i Synowie. Dziwnie nieekonomiczny kurs do Court, który wybrał pani poprzedni kapitan, przez co pani się spóźniła. Wyraźny pośpiech, z jakim Iklind próbował dotrzeć do płuczki przede mną, za co zapłacił własnym życiem.

– Myśli pani, że on coś przemyślał? Iklind i... kapitan Olin? – Najpierw poczuła gniew: jak on śmiał! A potem strach... że nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje na jej statku. W jaki sposób dostarczano przemycane przedmioty na jacht? Czy Olin otworzyłby statek przed piratami?

– To jest możliwe, madame – odezwał się Files, rzucając Heris ostre spojrzenie. – Zdarza się, że załogi statków robią takie rzeczy bez wiedzy właściciela. Oczywiście czasami właściciel również bierze w tym udział.

– Żartuje pan. – Tylko tyle mogła powiedzieć. Co za impertynent z tego człowieka!

– Czy sugeruje pan, że lady Cecelia brała udział w domniemanym nielegalnym działaniu? – zapytał Ser Granzia. – Proszę pamiętać...

– Pamiętam wyrok w sprawie Sihil-Tomaso, Ser Granzia – przerwał mu Files. – Nikogo nie oskarżam, po prostu odpowiedziałem na pytanie lady Cecelii. – Uśmiechnął się z wyższością. – Sytuacja wygląda tak: procedura wymaga zatrzymania dowodów, a także zabezpieczenia miejsca, w którym je znaleziono. Obawiam się, że w tym przypadku tym miejscem jest statek. – Cecelia nie

wierzyła własnym uszom. Czy cały świat zwrócił się przeciwko niej?

– Wcale nie, panie Files – przerwał inspektorowi zdecydowany głos jej kapitan. – Płuczki nie znajdowały się na pokładzie statku, kiedy znaleziono w nich te przedmioty. Zostały w całości usunięte. Wszystkie elementy układu podtrzymywania życia znajdują się w dokach, a na pokładzie *Delight* umieszczono nowy i pusty sprzęt.

– Ale tam były – zaprotestował Files. – Na statku z ukrytą kontrabandą. Może tam być tego więcej, schowanego w innych miejscach. Nie ma znaczenia, gdzie znajdowały się płuczki, kiedy znaleziono dowody...

– Wręcz przeciwnie. – Uprzejmy głos Ser Granzii krył w sobie teraz stalowe tony. – Zgodnie z przepisami dotyczącymi dowodów, datującymi się jeszcze z czasów sprawy Essex kontra Jovian Mining Ltd., zatrzymanie pojemnika nie obejmuje zatrzymania pojazdu, który przewoził pojemnik, jeśli odkrycia dokonano wtedy, kiedy pojemnik nie znajdował się na pokładzie.

– Ale wiemy, że kontrabanda znajdowała się na pokładzie – powiedział głośniejszym głosem Files.

– To nie ma znaczenia, panie Files. – Ser Granzia nie podniósł głosu, ale Cecelia zobaczyła, że inspektor aż się kurczy. – Wytyczne są jasne i działają na korzyść mojej klientki. Oczywiście będę rad, jeśli otrzymam lokalne orzeczenie, ale jestem pewien, że potwierdzi ono obowiązujące zasady. No dobrze, mamy więc skontaktować się z Flotą? Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zrobimy to razem.

Files wyglądał na rozzłoszczonego, ale kiwnął głową. Ser Granzia obrócił się do Eniso Desina, starszego partnera Velarsin i Co.

– Czy możemy skorzystać z pańskiego sprzętu?

– Oczywiście, Ser Granzia. Ale obawiam się, że nie możemy zaoferować lady Cecelii pełnej rekompensaty za nadające się do naprawy elementy systemu, dopóki nie zostaną zwolnione z aresztu. Przykro mi, ale...

– Rozumiem – przyznał Ser Granzia. – Faktycznie, byłoby to nieuczciwe. Moją klientkę usatysfakcjonuje zarejestrowanie przedmiotów oddanych do depozytu, a jeśli zostaną zwolnione i wciąż będą warte naprawy, może zechcecie państwo stanąć do przetargu?

– Och, z pewnością – potwierdził Desin. – Pan Brynear zapewnił mnie, że przynajmniej sześćdziesiąt procent elementów jest wartych naprawy.

– To wspaniale. – Cecelia zastanawiała się, czy nie powinna czegoś powiedzieć, ale Ser Granzia nie dał jej szansy. – No dobrze... Panie Files, wydaje mi się, że odkrycie przedmiotów ukrytych w płuczkach sugeruje, że Iklind podjął próbę ich usunięcia, ryzykując swoje życie. Prawdę mówiąc, świadczy to o jego udziale w jakiejś nielegalnej działalności i niewinności kapitan Serrano. Wydaje mi się, że należałoby wydać nakaz przeszukania, ograniczony do prywatnej własności Iklinda oraz przeznaczonych dla niego magazynów i szafek.

– Ale... – Cecelia tylko tyle zdążyła powiedzieć, zanim dłoń prawnika zacisnęła się na jej nadgarstku.

– To wcale nie musi – mówił dalej – narażać lady Cecelii na niewygody ani wpływać na jej plany, zakładając, że poprowadzi pan sprawnie przeszukanie.

– Racja. – Files wyglądał tak, jakby opuściła go cała energia. Cecelię ciekawiło, czy Ser Granzia nie ma jakichś hipnotycznych zdolności. – Zajmę się tym, jak tylko skontaktujemy się z wojskiem.

Zanim się zorientowała, jak do tego doszło, siedziała za stołem w prywatnym biurze Desina, mając

przed sobą tacę z gorącymi bułeczkami i różnymi napojami, a naprzeciwko Heris Serrano. Ser Granzia został w sali konferencyjnej z Filesem i Desinem, którego asystent przyniósł poczęstunek, a potem zostawił je same. Cecelia przyglądała się, jak jej kapitan nalewa sobie filiżankę czegoś gorącego z kanelowanego dzbanuszką. Kobieta miała w sobie coś, czego nie potrafiła jeszcze zdefiniować, ale bardzo się jej podobało. Zawsze była spokojna, zdawało się, że nigdy nie działa wbrew sobie. A jednak nie była niewrażliwa... Zresztą ktoś, kto z przyjemnością czytał Siilvaasa, nie mógł być niewrażliwy.

– Może pani wygrać nasz zakład, milady – odezwała się nagle, oferując Cecelii parującą filiżankę, ale ta pokręciła głową. Miała ochotę na coś zimnego i wybrała stojącą w lodzie butelkę soku owocowego.

– Okoliczności się zmieniły – zauważyła Cecelia. – Może powinnam się wycofać?

– Nie, zakład to zakład. – Krótkie czarne włosy Serrano zafalowały, gdy potrząsnęła głową; Cecelia zaczęła się zastanawiać, czy to czasem nie peruczka. – Zobaczmy, jak mi pójdą lekcje na pani mechanicznym koniu. – Miała ujmujący uśmiech, który odejmował jej ładnych parę lat.

– Hmm. Mimo wszystko uważam, że naszą umowę zepsuło wtrącenie się oficjalnych czynników. Może zatem pozwolę pani przekazać mi trochę wiedzy na temat statku? Zdażyłam się już przekonać, że moja ignorancja jest wręcz karygodna.

Spojrzenie ciemnych oczu Heris sprawiło, że Cecelia poczuła się nagle jak nowicjuszka stojąca pod czujnym okiem sędziego do pierwszych wyścigów. Czemu kobieta z takim darem dowodzenia zrezygnowała z kariery wojskowej? Cecelia nie mogła uwierzyć, że chodziło o coś hańbiącego. Błąd? Spór? Jak dotąd nie wydawała się chętna do sporów, nawet wtedy, gdy Ronnie ją obraził.

– Jeśli ma pani ochotę – powiedziała Serrano – z przyjemnością pokażę pani jej własny statek. Ale nie będę tego uważała za wynik naszego zakładu, dopóki faktycznie nie wygram.. choć mimo największych wysiłków pani firmy prawniczej obawiam się, że wylecimy stąd spóźnieni.

Cecelia prychnęła.

– Zaczynam wierzyć, że tegoroczny sezon jest pechowy. Zostałam zaproszona na otwarcie – planowałam choć raz przylecieć wcześniej, a nawet wziąć udział w inauguracyjnym balu. Ale Olin za późno przywiózł mnie na Court, potem zrzuciono mi na barki młodego Ronniego, a teraz jeszcze to. Jeśli nie będę uważać, złamię nogę czy coś podobnego i polowanie całkowicie mnie ominie.

– Jak długo to trwa? Jeśli więcej niż kilka dni, zdążymy przynajmniej na część sezonu.

Cecelię znów zaskoczyła jej ignorancja, ale przypomniała sobie, że nawet wśród jej klasy nie wszyscy interesowali się polowaniami na lisy.

– Sezon to sezon – wyjaśniła łagodnie. – A w tym wypadku to planetarny kwartał. Najlepiej poluje się na lisy wtedy, gdy jest dostatecznie chłodno, by konie nie przegrzały się podczas długiej pogoni, i wystarczająco wilgotno, by psy mogły złapać trop.

– Czyli...

– Och, przylecimy, zanim się skończy, jeśli nie wydarzy się nic więcej. Ale to otwarcie – ten pierwszy dzień – całe to podniecenie... – Cecelia zapatrzyła się przed siebie. – Pani tego nie zrozumie. Ja tak to kocham, i w mokre, i suche dni, że jestem jedną z ostatnich odlatujących. To wszystko po prostu jest inne.

– Czy pani kiedyś żeglowała? – zapytała Serrano.

– Żeglowała? Ma pani na myśli po wodzie? – Kiedy Serrano kiwnęła głową, potwierdziła. – Tak,

trochę. Bunny ma domki letniskowe na archipelagach, pamiętam, że któregoś popołudnia żeglowaliśmy na takiej małej łódce, niewiele większej od stołu. Czemu pani pyta?

– Ponieważ pani opis polowania przypomina mi sezon regat w domu moich dziadków na Lowein. Tam też na rozpoczęcie sezonu wszystkie łodzie, od małych żaglówek do rejowców, płyną w paradzie wzdłuż wybrzeża. Wszyscy chcą tam być.

Cecelia rozpoznała w jej głosie nutę tęsknoty. – Ściagała się pani na żaglówkach?

Heris uśmiechnęła się.

– Robiłam to razem z kuzynem, zanim wstąpiłam do Akademii. To była klasa Rix, choć nic to pani nie mówi, podobnie jak mnie terminy związane z jazdą konną. I jednego lata pływałam w załodze większego jachtu.

– Po przejściu na emeryturę wróci pani tam i będzie żeglować?

Twarz Serrano zastygła w nieprzeniknionej masce.

– Nie, milady. Na Lowein wracają oficerowie Floty. Nie pasowałabym tam i nie mam ochoty przynosić wstydu rodzinie.

– Nie mogę sobie wyobrazić, by mogła pani komukolwiek przynieść wstyd – wyznała Cecelia. – Czy to taka hańba zostać kapitanem mojego jachtu? – Zaskoczyło ją, ile złości wzbudziła w niej ta myśl.

– Nie, absolutnie nie – powiedziała Heris z przekonaniem. – To nie ma nic wspólnego z tym... z tym wszystkim. – Zdołała przywołać na twarz wymuszony uśmiech. – To zresztą nieistotne, Daleko mi jeszcze do emerytury, a w tej chwili mamy inny problem: jak dowieźć panią na czas na polowanie. Porozmawiam z Sirkin i zobaczę, czy nie da się czegoś wykombinować.

– Mając na uwadze pani troskę o moje bezpieczeństwo? – To miał być żart, ale zabrzmiał trochę ostrzej, niż Cecelia zamierzała.

– Tak, z zachowaniem troski o pani bezpieczeństwo. – Serrano znów była poważna. – Jest jeszcze jedna sprawa, milady. Chodzi o pani załogę.

– Co, myśli pani, że wszyscy są przemytnikami? – spytała Cecelia znów lekkim tonem. Potem potrząsnęła głową. – Przepraszam. Próbuję żartować, ale mi nie wychodzi.

– Nic dziwnego. Zakłócono pani plany, straciła pani w wypadku członka załogi, niemal oskarżono panią o przemyt i musiała pani przez kilka dni podróży stosować się do rygorystycznych ograniczeń. Szczerze mówiąc, uważam, że pani zdumiewająco dobrze się trzyma.

– Naprawdę?

– Tak. Mimo wszystko musimy porozmawiać o załodze. – Serrano urwała, by się napić z filiżanki i ugryźć ciastko. Cecelia zauważyła ciemne plamy pod jej oczami – czy za krótko spała? A może to na skutek zmartwień? Sama też wzięła ciastko. W porównaniu z dziełami jej kucharza wydawało się twarde i bez smaku. – Znalazła pani załogę przez agencję zatrudnienia. Kto pani polecił tę firmę?

– Panią też przez nich zatrudniłam – przypomniała Cecelia.

– To trochę wstydliwe, ale... oni nie przysłali pani swoich najlepszych ludzi. Przyznali się do tego, kiedy ich poprosiłam o przekazanie pewnych informacji na temat członków załogi.

– Ale... ale ja jestem Bellinveau Z pewnością nie mogliby...

– Powiedzieli – przerwała jej Serrano – że nie potrzeba pani ludzi z takim doświadczeniem, jakie jest wymagane na większych statkach. Ich najlepsi ludzie idą do dużych linii towarowych i pasażerskich, gdzie mają szansę awansować...

– Płacę bardzo wysokie pensje – zauważyła Cecelia. – To powinno coś znaczyć, jeśli moje nazwisko to za mało. – Nie lubiła, gdy jej przerywano, i nie podobało jej się sugerowanie, że jej statek jest mniej ważny niż komercyjny liniowiec.

– To oznacza, że dostaje pani ludzi nie tylko niekompetentnych, ale i chciwych. – Heris wytrzymała jej wzrok i Cecelia znów poczuła siłę jej ciemnego spojrzenia. Potem kapitan rozluźniła się i na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Oczywiście oprócz mnie. Ja nie tyle wykazałam się pazernością, ile bardzo chciałam dostać szybko pracę w cywilu. Ale z powodu mojej przeszłości nie dali mnie na jednostkę cywilną – duże korporacje wolą szkolić ludzi na swój własny sposób i uważają, że doświadczenie z wojska jest przeszkodą. Ma pani też bardzo dobrą nawigator, Sirkin – była najlepsza na egzaminach i jestem bardzo zadowolona z jej pracy. – Cecelia odniosła wrażenie, że słowa „bardzo zadowolona”, które padły z ust kapitan Serrano, u kogoś innego oznaczałyby tuzin kwiecistych przymiotników. – Ale pozostali, milady, potraktowali pani jacht jako spokojną posadkę, gdzie dostają duże pieniądze za niewiele pracy, a pani wcześniejsi kapitanowie zdawali się z tym zgadzać.

– Ale wszystko działało tak gładko – zaprotestowała Cecelia, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zauważyła jakieś problemy. Właściwie nie. Jak długo przylatywała tam, dokąd chciała, i w stosownym terminie, uważała, że ze statkiem wszystko jest w porządku. – Kazałam regularnie przeprowadzać kontrole i konserwacje. Nie wiem, co jeszcze mogłam zrobić. – Mówiąc to, uświadomiła sobie, co czułaby, gdyby ktoś powiedział coś takiego o stajni, w której trzyma swoje konie. Pogardzała właścicielami, którzy nie interesowali się szczegółami zarządzania stajnią. Najwyraźniej popełniła ten sam błąd w sprawie własnego statku.

Serrano wcale nie wyglądała na zaskoczoną.

– Chciała pani powiedzieć, że płaciła za kontrole i konserwacje. I ufała pani załodze. Myślę, że przez jakiś czas miała pani uczciwych, nawet jeśli nie najlepszych członków załogi, którzy całkiem dobrze wypełniali swoje obowiązki. Dobry kapitan powinien pokierować zdyscyplinowaną załogą, nawet jeśli jest pozbawiona polotu. Ale Massimir Olin nie był dobrym kapitanem. Nie jestem pewna, ale podejrzewam, że szukał właśnie takiego statku: małej, ale szybkiej jednostki należącej do kogoś, kto nie zna się na statkach ani przestrzeni, a za to może odwiedzać okolice dużych ośrodków handlowych. Oczywiście pozwoliła mu pani wybrać nowych członków załogi, a kiedy stary Titinka miał zawał, zatrudnił Iklinda – i tej samej agencji, co pozostałych.

– Ale ona ma bardzo dobrą opinię – zauważyła Cecelia. Nigdy nie pomyślała o sobie – niezależnej aż do granic ekscentryzmu i bez skłonności do romantyzmu – jako o czyjejś ofierze. Obraz siebie samej jako tłustej owcy otoczonej drapieżnikami wydał jej się równocześnie odrażający i niedorzeczny. – To najlepsza agencja w tej dziedzinie. – To oczywiste, że żaden Bellinveau nie zniżyłby się do czegoś gorszego.

– Ma dobrą opinię – zgodziła się Serrano – ale żadna agencja nie jest odporna na nieuczciwość. Gdzie jest krew, tam zbierają się pijawki, a gdzie bogactwo...

– Znam to powiedzenie – przerwała jej Cecelia – ale nigdy nie przypuszczałam, że będzie odnosić się do mnie. Jestem stara i wolna, i spodziewam się, że tak pozostanie, a kiedy umrę, moje pieniądze wrócą do rodziny...

– Zapewnia pani załodze darmowy środek transportu. Płaci pani wystarczająco dobrze, żeby wiedzieli, że ma pani więcej, pracują dla pani najlepsze firmy. Ale myślę, że Olinowi chodziło o to, że mogła pani polecieć w pewne miejsca, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, i zabrać go ze sobą.

Cecelii w tej chwili nie obchodziły motywy działania Olina.

– Chciała pani coś powiedzieć na temat mojej załogi? – zapytała. Nagrodą za powrót do tematu był błysk w oku Serrano.

– Tak, chciałam. Zamierzałam zasugerować wymianę najgorszych członków załogi po sezonie łowieckim, ale biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, myślę, że ma pani powody i usprawiedliwienie, aby przeprowadzić pewne zmiany od razu. Zakładając, że nie zechce pani zacząć ode mnie.

– Proszę się nie wygłupiać! – zaprotestowała Cecelia. – Nie winie pani za to wszystko.

Serrano wzruszyła ramionami.

– A mogłaby pani. Dobrzy kapitanowie nie pozwalają na takie rzeczy. W każdym razie potrzebuje pani kogoś na miejsce Iklinda.

Martwię się całym działem środowiskowym, dlatego proponowałabym również pozbyć się kilku młodszych techników, zatrzymując tylko tego, który przeżył wypadek. Wydaje mi się, że pan Gavin jest uczciwy, choć kompletnie pozbawiony inicjatywy, ale sądzę, że da się go uratować dobrym przeszkoleniem. Pani pilot... Właściwie, pomijając jego maniery, nie mogę narzekać na jego umiejętności. Ale zdecydowanie bronił wybranego przez Olina kursu, chociaż wiadomo było, że nie zdąży pani przylecieć na czas. Podejrzewam, że współpracował z kapitanem. Moglibyśmy sobie poradzić bez pilota; mam odpowiednie uprawnienia i kwalifikacje, a koszt napraw mógłby posłużyć za pretekst do pozbycia się tego człowieka.

– Ale czy możemy tutaj znaleźć dobrą załogę?

– Tak. Prawdę mówiąc, pytałam już o to pana Bryneara. Ponieważ jest to duża stacja remontowa, zawsze są tu jakieś załogi. Ktoś zachoruje i musi zostać, ktoś jest niezadowolony i opuszcza swój statek – choć tego rodzaju ludzi raczej byśmy nie chcieli. Velarsin i Co. oraz inne firmy wynajmują ich na czasowych kontraktach, a opinie na temat ich pracy dają nam jakąś podstawę do oceny. Są tu także ludzie pracujący przy remontach, którzy chcieliby podjąć pracę na statku. Jeśli zaliczyli właściwe egzaminy i porozmawiamy z ich kierownikami, możemy znaleźć jakichś dobrych załogantów. Ale wszystko zależy od pani, milady.

To dokładnie to, przed czym Cecelia się broniła. Chciała, żeby jej statek funkcjonował idealnie, ale bez konieczności podejmowania przez nią jakichkolwiek decyzji. Dla niej był to po prostu środek transportu... choć oczywiście doskonale wiedziała, co myśleć o takich ludziach, którzy traktowali w ten sam sposób konie.

– Zawsze pozostawiałam to w gestii moich kapitanów – powiedziała powoli. – Czy prosi mnie pani o udział w rozmowach, czy...

– Jeśli pani sobie życzy. Nie zaszkodziłoby, gdyby pani wiedziała, czego szukam w potencjalnych pracownikach. Ale raczej chodziło mi o to, że nie zwolniłabym pani pracowników, gdyby nie przypadki ciężkiego zaniedbania z ich strony. Zakładam, że kiedy nabyła pani statek, udzielono pani informacji na temat wymaganej wielkości załogi.

– Cóż... Szczerze mówiąc, nawet wtedy zdałam się całkowicie na agencję zatrudnienia. Powiedziałam im, co kupiłam, i poprosiłam o skompletowanie załogi. – Po wyrazie twarzy kapitan zorientowała się, że nie postąpiła właściwie. – Zachowałam się głupio, prawda? Tak jak pewni znani mi ludzie, którzy zbankrutowali na stajniach koni wyścigowych. Po prostu nigdy nie pomyślałam, że takie same rzeczy mogą się dziać również tutaj, na prostym, małym jachcie.

Wyraz twarzy Serrano nie zmienił się, ale jej wzrok złagodniał.

– Niewątpliwie miała pani na głowie inne sprawy. Może przyszlaby pani przynajmniej na kilka przesłuchań i zaczęła zapoznawać się z niektórymi terminami? Zrobi to wrażenie na starających się o pracę, a mnie nie będzie przeszkadzać.

– Dobrze. Przyjdę. – Pozna każdą śrubę i nit na swoim statku, tak jak kiedyś nauczyła się anatomii koni oraz roli każdego kawałka metalu i skóry w uprzęży. Jak mogła sobie pozwolić na taką niefrasobliwość?

– I proszę siebie nie obwiniać – dodała Heris. Cecelia zamrugła. Czy ta kobieta potrafi też czytać w myślach? – Niech pani pamięta, że ja wciąż nic nie wiem na temat koni.

* * *

– Witam na pokładzie, milady – rzekła Heris. Opuszczenie doku opóźni się o osiem godzin, ale i tak była zadowolona. Lepsza praca wykonana wolno i dobrze niż pośpieszenie i niedbale. Sześć godzin wcześniej przeprowadziła z Brynearem inspekcję wymienionych części i wiedziała, że system działa zgodnie ze specyfikacją. Jej nowa ekipa środowiskowa знаła się na swojej robocie, a Timmons szybko się uczył, bo nie chciał stracić pracy. Zwolniony pilot głośno narzekał na pozostawienie go na kompletnym odludziu, więc lady Cecelia zapłaciła mu w końcu za przelot na jedną z wewnętrznych planet systemu, mimo że doradca prawny nie uważał tego za konieczne. Lady Cecelia opowiedziała jej z satysfakcją o burzliwej bitwie między firmą Diklos i Synowie, firmą ubezpieczeniową i jej prawnikami. Sądziła, że w najgorszym razie odzyska pieniądze, ale udało się też przekonać związki, że śmierć Iklinda była skutkiem najprawdopodobniej zaniedbań ze strony firmy Diklos... więc teraz spółka będzie miała również do czynienia ze związkami. Personel lady Cecelii wszedł na pokład kilka godzin wcześniej. Heris przekazała Batesowi instrukcje na wypadek awarii, a on przyjął je bez komentarza. Niedługo rozpoczną ćwiczenia awaryjne, porządne ćwiczenia, i to będzie porządny statek.

– Dziękuję, pani kapitan. – Lady Cecelia i jej pokojówka spokojnie weszły na pokład, jakby nic się nie stało, choć Heris zauważyła błysk w oku pracodawczyni na widok jej nowego munduru. Udało jej się znaleźć chwilę czasu na wizytę u dobrego krawca, i choć strój nadal był fioletowy, nie miał już szkarłatnych, beżowych i kremowych wyłogów oraz mniej więcej połowy złotych sznurów. W kołnierzu wejściowym na statek wciąż leżał puszysty dywan, ale ściany były gołe, gotowe do inspekcji, a przewody i rury oznaczono kolorami, zgodnie z wymaganiami Wydziału Transportu.

Za lady Cecelią kroczył jej siostrzeniec z przyjaciółmi. Heris przyglądała im się z pogardą ukrytą za kamienną twarzą. Bogate, zepsute bachory, pomyślała. Zmarnowane talenty, jeśli w ogóle jakieś mieli, roztrwoniony materiał genetyczny oraz bogactwo, jakiego wymagało ich wychowanie.

– Witam na pokładzie – rzekła oschle i ruszyła z powrotem do doku.

Chciała jeszcze powiedzieć parę słów Brynearowi. Bates czekał na gości w przejściu, by sprawdzić, czy czegoś nie potrzebują.

– Słyszałem, że założyła się pani z właścicielką – powiedział Brynear, uśmiechając się do niej.

– Zwolniła mnie z zakładu, biorąc pod uwagę okoliczności – wyjaśniła kapitan, odpowiadając uśmiechem. Podobały jej się jego nieustępliwość i kompetencja. Przypominał jej najlepszych ludzi, jakich znała, ale w tej chwili wcale nie miała ochoty na wspomnienia. – Założyłyśmy się, że nauczę się czegoś o tym, co ją fascynuje – o koniach! – i jeśli mam być dobrą kapitan, muszę ją zrozumieć.

– Gdyby to nie było nieuprzejme i wścibskie, zadałbym pani pytanie – rzucił Brynear.

– Byłoby i nie udzieliłabym odpowiedzi – odcięła się ostro. Potem nieco złagodniała. – Wiem, o co by pan zapytał, i nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać. Po prostu chciałam podziękować za dobrą robotę wykonaną w pośpiechu. Cieszę się, że byliśmy w stanie wepchnąć się w wasz harmonogram... i przepraszam, że go zakłóciłam.

– Zawsze może pani zakłócać moje plany – oświadczył Brynear. – Dałbym to pani jasno do zrozumienia, gdyby nie wylatywała pani tak szybko.

– A pan może w każdej chwili naprawiać mój statek – przyznała z uśmiechem. Był atrakcyjny, ale nie aż tak. A poza tym tamte wspomnienia wciąż zbyt wyraźnie żyły w jej pamięci. – Żałuję, że musimy już wylatywać, i dziękuję.

– Proszę bardzo, pani kapitan. – Zasalutował jej po cywilnemu i odszedł.

Heris wróciła na statek i z przyjemnością zademonstrowała załodze, że równie dobrze radzi sobie z wychodzeniem z doku i cumowaniem do holownika jak były pilot.

* * *

– Nie należało obrażać kapitan – oznajmiła ostro Raffa. Przez dwa dni od chwili wylotu ze stacji remontowej Cecelia okazywała młodym ludziom chłodną uprzejmość. – Nie krzyw się – dodała. – Postąpiłeś niewłaściwie i dobrze o tym wiesz.

– Nie miałem pojęcia, że ona tam jest. Nie wiedziałem, że ciotka Cecelia ją zaprosiła. To naprawdę pech. Nigdy nie prosiłem, żeby zabrano mnie na tę niedorzeczną wyprawę, to był pomysł mojej matki.

– Wolałbyś raczej nadzorować ekipę dokerów na Scavell czy Xingsan? – zapytał Buttons. – Daj spokój, Ronnie, nie jest tak źle. Przyznaję, nie zamierzałem zjawić się w tym roku w domu na sezon – tak samo jak Bubbles – ale przecież odwiedzenie ojca nie jest jakimś strasznym poświęceniem.

– Nie o to mi chodziło – zaprotestował Ronnie. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu współczucia, ale zobaczył miny, z których jasno wynikało, że ich nudzi, a nudziarza zdecydowanie nie chcieli zaakceptować.

– Może poszlibyśmy popływać? – zaproponowała Bubbles. – Skoro znów możemy korzystać z basenu, pływanie będzie miłą odmianą.

Pozostali zgodzili się na jej propozycję. Ronnie wiedział, że powinien przełknąć swoje żale i pójść razem z nimi, ale zbyt mocno pogrążył się w cierpieniu.

– Idźcie – rzucił. – Ja jeszcze raz spróbuję Żebraka. – Była to gra komputerowa, w którą grali, dopóki im się nie znudziła. Ronnie nigdy nie przekroczył ósmego poziomu.

Tak naprawdę wcale nie zamierzał grać w Żebraka. Chciał załagodzić napięte stosunki z kapitan Serrano. Osobiste przeprosiny powinny to załatwić – dzięki wrodzonemu wdziękowi radził sobie nawet z ostrzejszymi przeciwnikami. Żadna kobieta w jej wieku nie może się oprzeć jego młodzieńczemu czarowi.

Wykąpał się, założył świeży kombinezon i spojrzął w lustro. Przyglądził włosy. Niewinność? Nie. Potargał włosy. Łobuziak? Tak, to powinno być bardziej skuteczne. Poczekał, aż pozostali zamkną się pod kopułą basenu, po czym ruszył zakrzywionym korytarzem, prześlizgnął się przez właz do części przeznaczanej dla załogi i dotarł na mostek. Okazało się to dość proste – zapamiętał drogę na podstawie planu wywołanego na komputerze.

Mostek wcale nie wyglądał tak, jak tego oczekiwał. Poza pilotowanym przez niego małym

krażownikiem szkoleniowym nigdy nie wchodził na pokład żadnego statku. Przyjrzał się niewielkiemu pomieszczeniu pełnemu ekranów i paneli sterowania, fotelom wachty wciśniętym jeden obok drugiego i oddalonemu zaledwie o długość ramienia stanowisku dowódcy. Coś się tutaj działo... Wyczuwał napięcie w cichych głosach podających jakieś niezrozumiałe liczby. Spodziewał się tu ciszy, nawet nudy. Myślał, że jego obecność będzie mile widzianą odmianą w monotonnej wachcie. A tymczasem wyglądało na to, że nikt go nie zauważa. Kapitan Serrano wypowiadała właśnie serię liczb, jakby miały jakieś znaczenie tutaj, pośrodku kosmosu. To pewnie jedno z tych jej głupich ćwiczeń czy coś takiego.

Ronnie wkroczył do zatłoczonego pomieszczenia z pewnością siebie biorącą się z młodości i jego uprzywilejowanej pozycji.

– Przepraszam, pani kapitan, ale chciałbym z panią porozmawiać, kiedy będzie pani miała chwilę czasu – powiedział uprzejmym tonem, jakby miał pełne prawo przebywać w tym miejscu i robić to, co robi. Spodziewał się szybkiej odpowiedzi.

Nie spodziewał się natomiast silnego uderzenia otwartą dłonią w twarz. Rzuciło go na oparcie czyjegoś fotela. Sięgnął ręką w poszukiwaniu równowagi i trafił na poręcz biegnącą wzdłuż ściany. Jego policzek płonął żywym ogniem. Poczł wściekłość, ale wciąż był zbyt zszokowany, żeby się poruszyć. Serrano nadal podawała załodze jakieś liczby, cicho i monotonnie. Ktoś je powtarzał i szybko przesuwiał dłonie po panelach kontrolnych. Dokładnie w chwili, gdy zdołał dojść do siebie, poczuł wykręcanie wnętrzości, znane mu z lotu szkoleniowego: jacht pokonywał serię punktów skokowych.

Złość zniknęła, zastąpiona przez strach. Przejścia skokowe... Byli blisko przejść skokowych, i gdyby przeszkodził, wszyscy mogliby zginąć. Poczł wyrzuty sumienia, choć nie był z tego powodu zbyt zadowolony. Przełknął przeprosiny, które chciał wypowiedzieć – należało poczekać i upewnić się, że już jest bezpiecznie.

I właśnie wtedy kapitan Serrano odwróciła się do niego z gniewnym wyrazem twarzy.

– Nigdy więcej nie wchodzi na mój mostek, mister – warknęła. Ronnie powiódł wzrokiem po pomieszczeniu; nikt nawet na niego nie spojrzał. – Precz stąd.

– Ale ja... ja chciałem coś powiedzieć.

– Nie chcę tego słyszeć. Precz z mostka.

– Ale ja chciałem przeprosić...

Zrobiła krok w jego stronę i zdał sobie sprawę, że się jej boi – niższej o głowę kobiety! – i to tak, jak nie bał się nikogo od czasów dzieciństwa. Zrobiła kolejny krok, a on puścił poręcz i cofnął się.

– Możesz przeprosić moją załogę za to, że omal nas nie zabiłeś. A potem wyjść stąd i nigdy nie wracać.

– Ja... przepraszam – powiedział Ronnie, przetykając głośno ślinę. Wszystko szło nie tak, jak sobie zaplanował. – Ja... naprawdę przepraszam. – Heris podeszła jeszcze bliżej, a on znów się cofnął. Wyciągnęła rękę... i wcisnęła klawisz na ścianie. Właz opadł kilka cali przed jego nosem. Na wyświetlaczu powyżej zapalił się napis WEJŚCIE NA MOSTEK: ZADZWONŃ PO POZWOLENIE. Ronnie stał jeszcze chwilę przed włazem, aż uświadomił sobie, że policzek wciąż go boli, a ona nie zamierza go wpuścić z powrotem. Wtedy naprawdę się zezłościł.

– To nie była moja wina – relacjonował później George'owi. Wydawało się, że nikt inny nie zauważył śladu na jego policzku. – No wiesz, trochę tak, ale przecież nie chciałem przeszkadzać w trakcie wykonywania skoków. Nie musiała mnie w taki sposób potraktować. Co za cholerna

wojskowa arogancja! Ona mnie uderzyła – członka rodziny właścicielki! – a przecież mogła mi wszystko wyjaśnić. Tylko poczekaj, jeszcze wyrównam z nią rachunki.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytał George, ale jego oczy zablęśły. Kochał intrygi, zwłaszcza zemstę. To on był autorem ich najlepszych popisów w szkole, włącznie z pomysłem pojawienia się martwego szczura na tacy podczas bankietu dla zarządu szkoły.

– Oczywiście – potwierdził Ronnie. – Ona ma wiele obowiązków, a my do czasu dotarcia na planetę Bunny’ego nie mamy nic do roboty i jeszcze zdążymy się sobą znudzić. – Z chwilą podjęcia decyzji poczuł się znacznie lepiej. – Najpierw musimy dostać się do komputera i dowiedzieć się trochę więcej na jej temat.

– Zawsze możesz nieco ubarwić jej ćwiczenia – zasugerował George.

– Właśnie. – Ronnie wyszczerzył zęby. Dobry atak zawsze jest w stanie pokonać obronę, jak gdzieś to kiedyś przeczytał.

Rozdział 7

Heris mogłaby przysiąc, że *Delight* dobrze zareagował na zmianę załogi. Bez wiecznie niezadowolonego pilota i nieudolnych kretów, a za to z dodatkiem dwóch energicznych i chętnych do pracy nowo zatrudnionych, sojusze w ramach załogi zmieniły się i ustaliły na nowych zasadach. Zdaniem Heris, zdecydowanie zdrowszych. Jeszcze nie do końca spełniali jej wymagania, ale teraz przynajmniej się starali. Nikt nie narzekał na alarmy ćwiczebne. Nikt nie snuł się po statku z apatycznym wyrazem twarzy, który wcześniej tak bardzo ją martwił. Może był to tylko efekt strachu przed utratą pracy, a może kryło się w tym coś więcej.

Bardzo nieszczęśliwie się złożyło, że uderzyła siostrzeńca właścicielki. Zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała, że tylko ona za to odpowiada. Pozwoliła na pozostawienie otwartego wjazdu na mostek, ale wydawało jej się, że na tak małej jednostce, z nieliczną załogą, jest to bezpieczne. Nie zauważyła, kiedy wszedł i ją przestraszył, a uciszyła go w sposób, który mógł się okazać ryzykowny – zwłaszcza przy niektórych ludziach. Źle się z tym czuła, nawet pomimo faktu, że przelecieli bezpiecznie przez bardzo trudny zestaw punktów skokowych.

Zadzwoniła do lady Cecelii, gdy tylko zakończyli skoki, i wyjaśniła sytuację.

– To moja wina, nie zabezpieczyłam mostka.

– Proszę się nie przejmować. Przez całą podróż zachowywał się nieznośnie, matka zepsuła go do granic przyzwoitości.

– Ale należało...

Cecelia znów jej przerwała.

– Zapewniam panią, że to żaden problem. Jeśli chce pani poczuć się ukarana, proszę zgłosić się dzisiaj na pierwszą lekcję jazdy.

Heris musiała się roześmiać.

– Dobrze. Za dwie godziny?

– Będę czekać. Na razie wystarczy zwykły strój gimnastyczny. Heris skończyła wprowadzać konieczną dokumentację przejść punktów skokowych, dopilnowała kilku pomniejszych zadań i pozostawiła mostek panu Gavinowi.

* * *

– To – oświadczyła radośnie Cecelia – jest pani szkoleniowy wierzchowiec. – Heris spodziewała się czegoś w rodzaju metalowego lub plastikowego konia na sprężynach, a tymczasem stojąca przed nią skomplikowana maszyna w niczym nie przypominała prawdziwego zwierzęcia. Gdyby nie siodło – tradycyjne skórzane siodło – umieszczone na cylindrycznym elemencie, prawdopodobnie wykonanym z plastiku, mógł to być równie dobrze robot przemysłowy, pełen wystających elementów, złączy, gniazdek i kabli pospinyanych obejmami. Heris widziała coś podobnego w paru barach na Durango... tylko że to były mechaniczne byki na potrzeby rodeo.

Cecelia wyjaśniła jej, że przegubowa część z przodu pełni rolę końskiego karku i głowy, co pozwala jeźdźcowi używać prawdziwych wodzy. Chwilowo wodze wisiały na haku obok.

– W głowie zamontowano czujniki – tłumaczyła – które rejestrują nacisk wodzy i przekazują te informacje do oprogramowania. Jeśli szarpnie pani za mocno, urządzenie zareaguje jak prawdziwy

koń. Dodatkową informacją będzie sygnał dźwiękowy. – Wspornik za siodłem uniósł do góry hełm wirtualnej rzeczywistości. – Ustawiłam go na poziomie dla początkującego. Będę kontrolować tempo i kierunek jazdy, na początek proszę po prostu wyczuć krok. – Stała przy panelu sterowania, wyposażonym w kilka gniazd na dodatkowe moduły oraz zwykłą paletę płytek dotykowych.

Heris przyjrzała się urządzeniu. Wcale nie podobały jej się obowiązkowe lekcje jazdy w Akademii, ale to urządzenie chyba służyło tylko do tego, aby człowiek wyglądał na nim głupio. Ale zakład to zakład i była winna Cecelii dziesięć godzin lekcji. Im szybciej na to wsiądzie, tym szybciej będzie po wszystkim.

– Nie musi pani od razu używać hełmu WR – dodała Cecelia. – Może na początek po prostu wsiądzie pani i zsiądzie z tego kilka razy, a potem zaczniemy marsz stępa?

– Dobrze. – Heris próbowała sobie przypomnieć, jak się wsiada na konia. Na prawdziwym koniu trzeba było wsadzić lewą stopę w strzemień, złapać wodze i oprzeć się jedną ręką na karku przed siodłem, ale tutaj zamiast karku były tylko dwa cylindry wyglądające jak wąskie rurki. Oparła obie dłonie w tym miejscu i podciągnęła się do góry. Przy akompaniamencie cichego syku hydrauliki urządzenie przesunęło się w bok i Heris spadła na pokład.

– Przepraszam – powiedziała Cecelia, próbując ukryć uśmiech. – Nie byłam przygotowana na skorygowanie takiego sposobu wsiadania. Musi pani podejść bliżej i mocniej odepchnąć się prawą nogą. Prosto do góry, a potem ją przełożyć. Jeśli zawisnie pani w taki sposób u boku prawdziwego konia, straci pani równowagę i zwierze może na panią nadepnąć.

Heris spróbowała ponownie, tym razem skutecznie. Przez chwilę macała prawą nogą, aż w końcu trafiła w strzemień. Cecelia podeszła i trochę poprawiła jej stopę.

– Na razie ciężar ciała spoczywa na palcach. Zaczniemy od prostego, uniwersalnego siadu. I chwilowo bez wodzy, przynajmniej do czasu, aż nauczy się pani dobrze siedzieć. Proszę po prostu chwycić łęk siodła przed sobą. Podłączę jeszcze parę czujników. – Przypięła do ubrania Heris z tuzin różnych kabelków, przez co poczuła się tak, jakby opadło ją stado komarów. Cecelia cofnęła się do panelu kontrolnego i dotknęła jakiegoś przycisku. Maszyna szarpnęła i Heris przez chwilę zastanawiała się, czy znowu zostanie zrzucona, ale potem szarpanie przeszło w rytmiczne wznoszenie i opadanie. Przypominało to nieco jazdę na prawdziwym koniu.

– To... dziwne – mruknęła. Może i musiała zaliczyć lekcje jazdy, ale nie musiała powstrzymywać się od komentarzy.

– I kosztowne – odpowiedziała Cecelia. – Większość symulatorów jazdy ogranicza się do trzech rodzajów chodu, po jednej prędkości na każdy, i można jechać tylko po kole albo prosto. Ten symulator utrzymuje mnie w dobrej formie. – Tym razem Heris nie zdradziła głośno swoich myśli: do utrzymania starej damy w formie wcale nie potrzeba aż tak wyszukanego urządzenia.

– Pozwoli pani, że spróbuję hełmu – zaproponowała zamiast tego. Jeśli zasłoni twarz, żadna niepotrzebna mina nie zdradzi jej reakcji.

– Proszę bardzo. Myślę, że będzie pani zaskoczona.

Hełm wyposażono w zwykłe złącza i paski do regulacji. Heris założyła go, nie schodząc z siodła. Kiedy jej wzrok dostosował się do nowego pola widzenia, zobaczyła unoszącą się miarowo końską szyję z parą uszu, leżące na karku wodze oraz długą linkę, którą trzymał ktoś stojący w środku obramowanego na białą kręgu.

– To nie przypomina pani – zauważyła. – Kim jest ten brązowowłosy mężczyzna z ręką na temblaku?

– Przepraszam. – Przez chwilę w hełmie zabrzmiał męski głos, po czym zaraz się zmienił. – Ktoś, z kim kiedyś trenowałam. Tak jest lepiej? – Teraz była to Cecelia, ale młodsza – z rudozłotymi włosami, odziana w sweter i bryczesy do jazdy konnej. Była pełna życia, szczęśliwa i znacznie bardziej atrakcyjna, niż Heris sobie wyobrażała.

– Tak, to zdecydowanie przypomina konia. – Oczywiście, symulator krążownika wyglądał jak krążownik, a symulator holownika w najdrobniejszych szczegółach przypominał holownik. Symulatory tak właśnie miały działać, ale może Cecelia o tym nie wiedziała.

– Dowolnego konia – rzuciła Cecelia i przez hełm przemknęła zdumiewająca procesja końskich karków i uszu: czarnych, brązowych, białych, szarych, krótkich, długich, wąskich, grubych, z grzywami i bez. Heris zamrugnęła.

– Faktycznie. – Ale czy zmiana umaszczenia i długości szyi może być trudna? Przecież nie przypomina to przejścia, powiedzmy, z mostka okrętu flagowego w rodzaju Descanta na mostek holownika czy promu. Wszystkie konie wyglądają w zasadzie tak samo – są dużymi, śmierdzącymi czworonogami, noszącymi na grzbiecie człowieka, który nie ma lepszego środka transportu. Obraz powrócił do początkowego koloru szyi i uszu – jasnobrązowego z żółtawym odcieniem.

– Teraz pojedziemy z powrotem. – Heris spodziewała się zatrzymania i ruchu do tyłu, a tymczasem oznaczało to ciasny zakręt i krążenie w przeciwną stronę, znów przodem do kierunku jazdy. Następnym razem przygotowuje się, że to oznacza zwrot, a nie zatrzymanie.

Po pierwszej godzinie miała za sobą jazdę po wirtualnych okręgach w obu kierunkach, zatrzymywanie i zwroty, a od kłusu rozbolewały ją nawet uda. Pamiętała to z czasów Akademii. Wydawało się to pozbawione sensu, ale nieszkodliwe, dlatego postanowiła potraktować tę jazdę jako dobre ćwiczenie. Kiedy ściągnęła hełm, Cecelia uśmiechnęła się do niej.

– Czy jest tak źle, jak się pani spodziewała?

– Nie...

Dopiero później pomyślała, że uśmiech Cecelii powinien być ją ostrzec.

– Ja jeżdżę znacznie szybciej.

– Pani... się ściga?

– To nie wyścigi. To konkursy. Wie pani, na czym to polega?

Heris poszukała w pamięci, ale niczego nie znalazła. Zapewne chodzi o jakieś konkursy sportowe. Ale jakie?

– Chciałaby pani zobaczyć? – zapytała Cecelia.

– Tak, oczywiście. – Wszystko to, czym tak bardzo przejmują się jej pracodawczynie, powinno być dla niej ważne.

Ale zupełnie nie spodziewała się, że to, co zobaczy w kostce wręczonej jej przez Cecelię, pozbawi ją tchu.

– Pani... to robiła? To pani na tym żółtym koniu?

– Na kasztanie. Tak, to moja ostatnia mistrzowska jazda.

– Ale te... te przeszkody były takie wielkie. A koń pędził tak szybko.

Cecelia uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej zachwycona jej zdziwieniem.

– Tym właśnie różni się ten symulator od innych. Można na nim robić wszystko... poza wpadnięciem do wody lub nadeptaniem przez prawdziwego konia.

– To znaczy, że mogłabym się tego nauczyć? Skakać przez takie przeszkody?

– Prawdopodobnie nie, ale mogłaby pani do tego się zbliżyć. – Cecelia wyciągnęła pierwszą kostkę i włożyła kolejną. – Tak właśnie wygląda polowanie na lisy – zrobiłam tę kostkę trzy lata temu.

– Pani zrobiła?

– Cóż, miałam kontrakt z Yohsi Sports. Zamontowali simkamerę na moim hełmie i miałam wszystkie kable...

Heris miała wrażenie, że wpada w kolejną studnię tajemnic. Co wspólnego ma „noszenie kabli” z siecią sportową? Ale dość już miała zadawania pytań, które musiały brzmieć strasznie głupio, więc po prostu kiwnęła głową. Tym razem kostka przedstawiała widok z siodła. Zobaczyła przemykającą między końskimi uszami zieloną trawę, a potem zdecydowanie za szybko zbliżający się kamienny mur... który po chwili został z tyłu, a przed nią pojawił się kolejny. Z przodu biegły szczekające małe białe-brązowe zwierzęta, a wszędzie wokół tłoczyli się inni jeźdźcy i konie.

– To są ścigane przez panią lisy? – zapytała w końcu, gdy za kolejnym murem pojawiło się następne pole i mur, i tak bez końca. Niektóre pola były zielone, inne błotniste, mury różniły się wysokością i obecnością rowów, ale wszystko to sprawiało dość monotonne wrażenie. Nie było tak interesujące jak zmieniające się warunki jazdy terenowej. Cecelia zakrztusiła się, po czym zaczęła się śmiać aż do utraty tchu.

– To są łowy! Lis ucieka, psy łapią jego trop i gonią go, a konie biegną za psami. – Przestała się śmiać. – Przepraszam, to niegrzeczne, skoro nigdy nie miała pani z tym do czynienia, ale myślałam, że wszyscy wiedzą o psach i lisach.

– Nie – powiedziała Heris przez zaciśnięte zęby.

Miała ochotę dodać, że niektórzy mają co innego do roboty, na przykład muszą walczyć, żeby ludzie tacy jak ona mogli podskakiwać na koniu i nagrywać kostki rozrywkowe. Ale to nie byłoby całkiem sprawiedliwe i zdawała sobie z tego sprawę. Taka jazda zapewne wymaga naprawdę dużych umiejętności, choć nadal nie wiedziała, na co one komu, gdy się już je zdobyło.

– Proszę. – Cecelia podała jej jeszcze jedną kostkę. – To tekst starej książki na ten temat, jednej z niewielu zachowanych. Może zechce ją pani obejrzeć. Bunny zorganizował na jej podstawie całe polowanie, choć wiemy, że zwyczaj pochodzi jeszcze sprzed dwudziestego wieku na Starej Ziemi.

Heris nieufnie przyjrzała się kostce podpisanej Surtees. Najwyraźniej oczekiwano od niej zapoznania się z nią w wolnym czasie.

Historyczne bzdury na temat koni uważała za jeszcze bardziej bezsensowne niż aktualne bzdury na temat koni.

– Jeśli mam być uczciwa, myślę, że pora umówić się na pierwszą lekcję zapoznania się ze statkiem, czy jak chce to pani nazwać. Będzie pani miała jeszcze dzisiaj czas dla swojej uczennicy?

Heris pomyślała o tych wszystkich rzeczach, które wolałaby robić, ale kiwnęła głową. W końcu Cecelia jest jej pracodawczynią i należałoby spróbować zarazić się jej entuzjazmem.

– Oczywiście. Kiedy chciałaby pani zacząć?

– Cóż, może po obiedzie?

– Dobrze. – A więc jedzenie zawsze stoi na pierwszym miejscu. Z drugiej strony właściwie tak powinno być.

– Mogłaby pani zjeść ze mną – zaproponowała Cecelia – i dać mi fory. Nawet nie wiem, czego

powinnam się nauczyć.

Posiłki z właścicielką jachtu. Heris jęknęła w duchu, po czym przypomniała sobie, że jeden już ma za sobą... i wcale nie było tak źle.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Jestem do pani dyspozycji.

* * *

Heris nie miała żadnego odpowiednika symulatora jazdy, który mógłby Cecelii pomóc, ale skorzystała z czegoś niemal równie dobrego: trójwymiarowych projekcji komputerowych.

– To bardzo zgrabny kadłub – zaczęła. Zawsze należy rozpoczynać od pozytywnych aspektów. – Pojemność i prędkość są dobrze zrównoważone...

– Ale moi kapitanowie zawsze mówili, że w porównaniu z innymi statkami to powolna barka – wtrąciła się Cecelia. – Nie można oczekiwać, że luksusowy jacht będzie konkurował...

– Obie wiemy, że pani byli kapitanowie mieli własne powody do takich komentarzy – ucięła Heris. – Może i jest to luksusowy jacht, ale korzystamy z bardzo podobnych kadłubów do... – Urwała, zanim zdążyła powiedzieć, do czego właściwie ich używają. – ...do misji wymagających całkiem sporych prędkości. Ma pani wystarczająco mocny napęd – ktokolwiek go projektował, nieźle się spisał. No dobrze, pozwoli pani, że oznaczę kolorami poszczególne systemy, a pani zacznie się uczyć, jak to działa.

Okazało się, że Cecelia jest zdolną uczennicą. Zdumiewająco dobrze orientowała się w trójwymiarowych strukturach i zauważyła kilka rzeczy, zanim Heris o nich wspomniała.

– Tak, faktycznie ta przestrzeń została zmarnowana – to kompromis projektowy, ale nie taki zły. Proszę się zastanowić nad alternatywami. Gdyby przeprowadzić chłodziwo tędy, mielibyśmy niepożądane nagromadzenie przewodów tutaj...

– A to powinno być utrzymywane w stałej temperaturze.

– Tak. A teraz dodajmy obwody elektryczne.

Obie przestały zwracać uwagę na upływ czasu, aż wreszcie komputer Cecelii zabrzączał, przypominając o kolacji. Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– Ja nie... To wcale nie jest nudne. Mogłabym się tego nauczyć.

– Oczywiście. Cieszę się, że pani nie zanudziłam. – Heris wstała i przeciągnęła się. Będzie potrzebowała gorącej kąpieli, żeby pozbyć się bólu mięśni. – Muszę już iść – jest parę spraw, których powinnam dopilnować.

– Cóż, dziękuję. W takim razie jutro?

– Z przyjemnością – odpowiedziała, choć tak naprawdę wcale nie miała ochoty na kolejną jazdę. Ale musiała być sprawiedliwa: Cecelia okazała się tak pilną uczennicą, o jakiej mogła tylko marzyć.

Po kilku dniach Heris doszła do wniosku, że lekcje jazdy sprawiają jej więcej przyjemności, niż się spodziewała. Bóle mięśni zniknęły, potrafiła już utrzymać równowagę i poradzić sobie z symulatorami. Jazda na symulatorze okazała się znacznie mniej nudna niż ćwiczenia na zwykłych urządzeniach wysiłkowych na sali gimnastycznej czy pływanie pod prąd w basenie. I nie mogłaby sobie życzyć bardziej troskliwej nauczycielki.

Jako uczennica Cecelia miała własne podejście do myślenia o różnych systemach, zazwyczaj porównując je z końmi, co nieco Heris irytowało, ale jeśli dzięki temu lepiej je rozumie, to czemu

nie? Przynajmniej się uczyła i zwracała uwagę na pewne rzeczy, co w przyszłości mogło jej ocalić życie.

Heris nie zapomniała jednak o alarmach ćwiczebnych. Osobiście przeprowadziła szkolenie personelu domowego oraz Cecelii.

Pracodawczyni zaproponowała, aby oddać ustalenie przydziałów dla młodych ludzi w ręce Batesa, i Heris się zgodziła. Jak dotąd skutecznie udawało jej się unikać Ronniego.

Po pierwszym niezapowiedzianym alarmie ćwiczebnym doszła do wniosku, że nadawałby się na kostkę komediową. Poprzedniego wieczoru wprowadziła parametry do głównego komputera, korzystając z funkcji, dzięki której nawet ona nie знаła godziny rozpoczęcia alarmu. Wszystko powinno być proste: niewielki pożar w jednym z pomieszczeń. Ale nic nie poszło tak jak powinno. Alarm uruchomił się o czwartej w nocy czasu pokładowego. Heris była przekonana, że to jej ćwiczenia, ale mimo to zareagowała tak, jak w każdej sytuacji alarmowej. Członkowie załogi, o których miała najlepsze mniemanie, przybyli na swoje stanowiska alarmowe na czas, ale inni się spóźnili, w jednym przypadku nawet o trzy minuty. (Siedziałem w ubikacji – tłumaczył się delikwent. – Miałem pewien problem).

Cecelia zgłosiła się na czas, podobnie jak Bates i kucharz (który, widząc fałszywy „pożar”, czym prędzej „zgasił” go odwróconym koszem na śmieci, postępując jak najbardziej prawidłowo). Czwórka młodych ludzi dotarła na wyznaczone im stanowiska mocno spóźniona (choć podenerwowana), a dwóch wcale się nie pojawiło.

– Muszą gdzieś być – stwierdziła poinformowana o tym fakcie Cecelia.

– Och, są w ładowni numer pięć; zignorowali całą tę sytuację.

– Ależ nie mogą! Kto to jest?

– Ronnie i George – wyjaśniła Heris ze zniecierpliwieniem. – Ponieważ przydzieliła im pani stanowiska za pośrednictwem Batesa...

– Z przyjemnością udzielię im reprimendy, ale czy jest pani pewna, że usłyszeli tam alarm?

– Wszystkie pomieszczenia mają sygnalizację alarmową. Oni celowo się ukrywają. Mogłabym ich trochę przstraszyć. Myślą, że to po prostu głupie ćwiczenia... ale nie wiedzą, na czym polega domniemany alarm. Gdybym wyłączyła tam zasilanie i sztuczne ciśnienie albo zmniejszyła nieco ciśnienie...

– Proszę to zrobić – przerwała jej Cecelia. Na jej policzkach znów pojawiły się rumieńce. Heris pomyślała, że jedną z zalet jej ciemnej skóry jest fakt, że trudniej uwidaczniają się na niej emocje. – Ma tam pani czujniki?

– Och tak. – Heris wywołała charakterystykę pomieszczenia. – Ma pani bardzo dobry system wewnętrznego monitoringu, zapewne po to, by umożliwić personelowi kontrolę załadunku. Widzi pani? – Ronnie i George siedzieli z nadętymi minami nad jakimś wydrukiem. Nie czekała, by usłyszeć, co mówią, tylko sięgnęła do urządzeń sterujących. Młodzieńcy nagle przestali rozmawiać i spojrzeli na siebie.

– Nie mogła tego zrobić! – krzyknął cienkim głosem George.

– Czemu on w taki sposób mówi?

– Ciśnienie powietrza – wyjaśniła Heris. – Założę się, że właśnie strzeliło im w uszach. – Jej palce znów przebiegły po klawiaturze i obaj młodzieńcy zbledli. – Lepiej niech pani stąd idzie. Chyba wolałaby pani nie wiedzieć, co się z nimi będzie działo... do czasu, aż pani powiedzą. Nie

zrobię im krzywdy.

– Wiem – zapewniła Cecelia, ale wyszła niechętnie.

* * *

– Jeśli dostaniesz się do komputera, będziesz mógł ustawiać jej ćwiczenia – wyjaśnił George. – Nie zorientuje się. – Oparł się o worek z płótna oznaczony napisem: „Żyzne ziarna. Zawiera rtęć. Nie spożywać”.

– My też nie – zauważył Ronnie. – Nie chcę być budzony w środku nocy.

– Nie musisz. Na tym polega cały urok. Przygotujesz ćwiczenia, po czym odetniesz od obwodu nasze alarmy.

– Będzie wiedziała, kto to zrobił. Nadal sędzę, że powinniśmy zacząć od wewnętrznego monitorowania. Ona spędza teraz mnóstwo czasu z ciotką Cecelią i musi powiedzieć coś, co będzie można wykorzystać. – Mieli ze sobą wydruk specyfikacji obwodów komunikacyjnych, pozostawionej w niezabezpieczonym pliku na jedną z sesji szkoleniowych Cecelii. Dostanie się do zabezpieczonych plików okazało się znacznie trudniejsze. Ronnie podejrzewał, że kapitan niech – ją szlag Serrano nie zostawia swoich plików niezakodowanych.

– Ale co ci może zrobić? Jesteś siostrzeńcem właścicielki – raczej nie może wyrzucić cię przez służbę.

– Może. – Ronnie wbił wzrok w specyfikację, usiłując przypomnieć sobie wszystko to, czego uczono go na zajęciach. Ten mały zawijas coś mówi na temat sposobu oddziaływania na siebie tych dwóch kanałów, prawda? Przyłożył kciuk do linii idącej z salonu Cecelii, a drugi palec do wychodzącej z sali gimnastycznej. Trzeba by podpiąć się do obu. Gdyby tylko mieli ze sobą Skunkcata... Scatty był najlepszy w takich rzeczach.

– Tutaj jest bezpośrednia linia kapitana na mostek – podpowiedział George. Chłopak miał dobre pomysły, ale często trochę przesadzał. Ronnie nie miał zamiaru przeszkadzać w komunikacji kapitan z mostkiem, po prostu chciał widzieć, jaka będzie bezradna, gdy znajdą już sposób sabotowania jej rozkazów.

Nagle strzeliło mu w uszach, potem jeszcze raz. Później po wyrazie twarzy George'a zorientował się, że w żołądku przyjaciela dzieje się taka sama rewolucja, jak w jego własnym. George coś powiedział, ale go nie słuchał. Obniżenie ciśnienia powietrza... Zmiana sztucznego ciężenia... Czy to może być prawdziwa awaria? Nagle zaczął się pocić i zrobiło mu się zimno od parującej ze skóry wilgoci. Nie. To trwa zbyt długo. Ta suka kapitan coś z nimi zrobiła, i to celowo.

– Wychodzimy! – krzyknął, przerywając George'owi w pół słowa. – Zanim zadziałają blokady ciśnieniowe.

Ale blokady już się uaktywniły. Nie potrafił otworzyć zabezpieczonego przez blokady włazu, ale postanowił, że nie wezwie pomocy. Jego żołądek zaprotestował przeciwko kolejnej fali zmiany ciężenia... a tymczasem ciśnienie powietrza znów spadło, wywołując jeszcze jedno bolesne klucie w uszach.

George zzieleniał.

– Ja... chyba...

– Nie w zmiennym ciężeniu. George, opanuj się. – Nie mieli nic, co by się nadawało na woreczek

na wymiociny. Wszystkie pojemniki w ładowni – pudła, worki, rury – miały na sobie plomby. Nagły wzrost ciśnienia rozpląszczył ich na pokładzie, po czym powoli wypuścił z objęć. Wróciło normalne ciśnienie powietrza. Żołądki nadal podchodziły im do gardła, ale George zdołał nie wymiotować. Przełknął obrzydliwy smak w ustach i przetoczył się na plecy. Nagle potwornie rozboleła go głowa.

Ktoś uderzył w zamknięty właz.

– Jest tam ktoś?

George zaskrzeczał i właz się otworzył. Zobaczyli nieznanego członka załogi w pełnym kombinezonie próżniowym.

– O rety, chyba nie siedzieliście tutaj przez całe ćwiczenia, co? – Nie czekając na odpowiedź, mężczyzna mówił dalej. – Nikt nie ma tu przydzielonego stanowiska, macie szczęście, że was znalazłem. Robimy kontrole ciśnieniowe we wszystkich pomieszczeniach...

– Proszę nas stąd zabrać – wydusił z siebie Ronnie, wstając z wysiłkiem. – Ta cholerna kapitan...

– Przecież to nie jej wina – zaprotestował tamten, jakby zaskoczony jego słowami. – Alarm został wygenerowany przez komputer, tak jak wszystkie inne. Nie dostaliście broszur?

– Tak, dostaliśmy – burknął George. – Dziękuję. Niech mi pan po prostu pozwoli przejść. – Przepchnął się obok członka załogi i ruszył korytarzem do najbliższej toalety, skąd po chwili dobiegły donośne odgłosy wymiotowania.

Ronnie miał nadzieję, że uda mu się niepostrzeżenie przemknąć do własnej sypialni, ale w salonie natknął się na bardzo rozzłoszczoną ciotkę Cecelię. Powiedziała wszystko to, czego się spodziewał i co mówiła już wcześniej, podobnie jak inni, ale tym razem to wcale nie była jego wina. To ta kapitan. Arogancka, sztywna i wredna suka. Ale on zamierza wyrównać z nią rachunki. Skoro ciotka Cecelia nie chce go widzieć przez dwa dni, to dobrze. Może jeść we własnym pokoju, robi to z przyjemnością. Dzięki temu będzie miał więcej czasu na przemyślenie, co powinien zrobić. Włożył trochę wysiłku w pełne skruchy przeprosiny, ale ciotka odwróciła się. Zignorowała go. Nikt go dotąd nie ignorował.

* * *

Kiedy kilka dni później Ronnie ponownie zjawił się w jadalni, wyglądał na skruszonego i zdecydowanego, aby dobrze się zachowywać. Wreszcie udało mu się rozwiązać problem, a przynajmniej pierwszy etap. Dzięki posiadanej specyfikacji nie miał większych problemów z podłączeniem się do urządzeń monitorujących w salonie ciotki. I w sali gimnastycznej. Nie odważył się jeszcze monitorować kajuty kapitan, ale i tak już całkiem – sporo usłyszał. Przekonał się, że ta głupia kapitan naprawdę lubi jego niedorzeczną ciotkę. Spodobały jej się lekcje jazdy konnej, tak samo jak uczenie Cecelii zasad działania jej własnego statku. Obie kobiety polubiły swobodne wieczorne rozmowy, kiedy to opowiadały sobie nawzajem o przeszłości.

Jego natomiast potwornie nudziły te rozmowy o książkach, których nigdy nie czytał, o obrazach, których nie oglądał, i o muzyce, której unikał. (Opera! Podobało mu się ciało śpiewaczki operowej i konkurowanie z księciem o jej względy, ale nie utwory, które wykonywała na scenie. Trudno mu było uwierzyć, że ktoś w rodzaju jego ciotki naprawdę lubi te wszystkie skrzeki). Nie było natomiast w tych rozmowach żadnych krwistych plotek, kłótni o polityce – a sposób, w jaki omawiały interesujące je tematy i odnosiły się do siebie, kojarzył się z taśmą edukacyjną.

Ale niektóre tematy zafascynowały go. Na przykład przeprowadzona przez ciotkę analiza sposobu

działania rodzinnych przedsiębiorstw. Jego ojciec nie wyjaśnił mu tego dostatecznie. Albo opowieść kapitan Serrano o przyczynach wystąpienia z Floty, którą ciotka wyciągnęła z niej ze zdumiewającym taktem. Nigdy nie sądził, że ktoś z Zawodowej Służby Kosmicznej mógłby się odważyć nie wykonać rozkazu, wszyscy byli takimi cholernymi sztywniakami. To nie miało sensu, musiała wiedzieć, że w taki czy inny sposób straci okręt. Niemal poczuł się winny, że podsłuchuje – nie spodziewał się usłyszeć tej kobiety tak poruszonej, i to z takiego powodu – ale podobało mu się, że ma taką władzę. A więc można ją dotknąć, wcale nie jest niezwyciężona. Zdecydował, że zacznie od czegoś prostego. Czegoś, co mogłoby być wypadkiem i co trudno będzie z nim powiązać.

* * *

Heris używała już wodzy; ciche dźwięki w słuchawkach mówiły jej, jak radzi sobie z napięciem, zanim jeszcze symulator reagował przez skręcenie w jedną czy drugą stronę. Jeśli ton w obu słuchawkach brzmiał tak samo, naciągała wodze równomiernie – wyższy ton oznaczał większą siłę. W miarę jak Cecelia stopniowo włączała czujniki symulatora, odkrywała, jak topornie zachowywał się jej pierwszy „wierzchowiec”. Cecelia pokazała jej kostkę z nagraniem z pierwszej lekcji i mogła już śmiać się z nowicjuszki, która nie potrafiła nawet utrzymać pozycji na jedno okrążenie. W obecnym programie nowicjuszka zostałaby już zrzucona na ziemię. Heris słuchała, jak Cecelia wyjaśnia jej następny manewr, i próbowała właściwie zareagować. Brązowa szyja i uszy zmieniły pozycję, poczuła ruch siodła i zmianę napięcia trzymanyh wodzy. Symulator szarpnął. Tym razem Heris była na to przygotowana; kontrolując ruch nogami i ręką... galopowała. Podobało jej się to. Po okręgu. Prosto. Znow po kole. Dzisiaj pierwszy raz miała próbować „skakać”. Nie mogła się już doczekać i wiedziała, że sobie poradzi. Na jej drodze pojawił się niewielki biały płotek.

– Trzymaj nogi tuż przy bokach konia – przypomniła jej Cecelia. Płotek zaczął coraz szybciej się przybliżać. Potem koński grzbiet wzniósł się w górę i znow opadł, a ona chwyciła garść metalowych rur. Iluzja zniknęła, symulator znow zamienił się w masę metalu i plastiku.

– Nieźle – oceniła Cecelia. – Wreszcie sięgnęłaś po właściwą rzecz. Miałam kiedyś uczennicę, która złapała za hełm. I nie spadłaś na ziemię.

Heris zamrugnęła i głęboko odetchnęła.

– Ufff. Prawdziwy koń nie zatrzymałby się, żeby pozwolić mi odetchnąć, prawda?

– Nie. Jeśli złapiesz grzywę w taki sposób, zazwyczaj uda ci się utrzymać na grzbiecie, ale dość wysoko wyskoczyłaś z siodła. Myślę, że potrzebujesz jeszcze więcej ćwiczeń. Do roboty.

Przez resztę tej sesji, tak samo jak następnej, Heris ćwiczyła pozycję, jaką powinna przyjąć w czasie wykonywania skoku. Potem założyła hełm i zobaczyła przed sobą trasę pełną przeszkód.

– To nic wielkiego – rzuciła radośnie Cecelia. – Ale jeśli widzisz więcej niż jedną przeszkodę, nie możesz się na nich zbyt skupiać. No dobrze, przejdźmy do kłusu.

Po tej lekcji Heris stała się prawdziwą miłośniczką jazdy.

– To przypomina podskakującą na falach łódkę – usiłowała wytłumaczyć Cecelii. – Właściwie to jest bardziej podobne do górskich kajaków. – Cecelia popatrzyła na nią tępym wzrokiem. – Nigdy nie próbowałaś?

– Nie. Tak jak mówiłam, niewiele miałam do czynienia z żeglowaniem.

– Ale to jest podobne. – Heris przyglądała potargane włosy. – Tyle że zamiast płotków masz skały rozbijające fale.

– Skoro tak mówisz... Osobiście zawsze porównywałam to do muzyki. Wszystko brzmi wspaniale, dopóki nie wypadniesz z rytmu, bo wtedy czeka cię porażka.

– W każdym razie to mi się podoba. Wcale nie chcę jeszcze kończyć. Oczywiście jeśli mi pozwolisz...

Cecelia zachichotała.

– Dziesięć godzin jazdy minęło podczas, poprzedniej sesji. Naprawdę myślisz, że pozwoliłabym potencjalnej miłośniczce jazdy skończyć, zanim złapie bakcyła? Byłam pewna, że tak będzie. Poczekaj tylko, aż przyjdzie ci skakać przez prawdziwy tor przeszkód – niski, ale prawdziwy.

– A ty... mi nie mów, że nie podoba ci się poznawanie własnego statku – odpowiedziała Heris.

– To prawda. – Cecelia potarła nos. – Wiem, że twoim zdaniem muszę być szalona, żeby porównywać to z zarządzaniem stajnią, ale w ten sposób to wszystko nabiera dla mnie sensu.

– Wszystko, co działa, ma sens. – Heris chętnie dodałaby coś więcej, ale do sali gimnastycznej wszedł Ronnie w towarzystwie reszty młodzieży.

– Ciociu Cecelio, czy możemy skorzystać z basenu? – zapytał uprzejmie, choć wyraz jego twarzy zdradzał, co sądzi o ćwiczeniach dwóch starszych kobiet. Nie zaszczycił Heris ani jednym spojrzeniem.

– Tak, przez jakąś godzinę. Ale powinieneś poświęcić trochę czasu na jazdę, Ronnie.

– Będę miał dość jazdy u Bunny'ego. Zostawimy symulator dla was. Dobrze się pani bawi, pani kapitan?

Były to pierwsze słowa, jakie skierował do niej od czasu wydarzenia na mostku. Wyraz twarzy miał tak obojętny, że równie dobrze mogła to być uprzejmość, jak i zniewaga.

– Tak, dobrze – odpowiedziała. – Lady Cecelia jest doskonałą nauczycielką.

– Niewątpliwie. – Heris pomyślała, że mógłby być bardzo przystojny, gdyby wydymał wargi tylko w chwilach prawdziwej pasji. Jego głos zabrzmiał teraz ostrzej. – Szkoda, że będzie pani musiała zmarnować nowo nabyte umiejętności w domu gościnnym... choć z tego, co słyszałem, można się przejechać po plaży na osle.

Heris nie zamierzała zareagować na tak dziecinną zniewagę, ale zrobiła to Cecelia.

– Wręcz przeciwnie, Ronnie, zabieram kapitan Serrano ze sobą. Do czasu przylotu na planetę będzie wystarczająco dobrze jeździć konno. – Jej policzki płonęły, a włosy zdawały się jeżyć. Heris zamruła – do tej pory nie słyszała o tych planach.

– Zabierasz ją... ale... ona... ona jest... – Ronnie spoglądał to na jedną, to na drugą, a później na swoich przyjaciół.

– Pani wybacz, lady Cecelio – rzekła Heris, mrugając porozumiewawczo do pracodawczyni. – Jak pani zapewne pamięta, muszę pilnie wracać na mostek.

– Ach tak, oczywiście. – Cecelia zwolniła ją machnięciem ręki i odwróciła się z powrotem do siostrzeńca. Heris opuściła salę gimnastyczną drugimi drzwiami. Nie do końca zmyśliła tę wymówkę – przygotowała kolejne ćwiczenia, tym razem wyłącznie dla załogi, i musiała się przebrać. Cała załoga razem z nią założyła pełen zestaw czujników, dzięki czemu będzie mogła później szczegółowo przeanalizować przebieg ćwiczeń. Pierwotnie zarezerwowała sobie piętnaście minut na przebranie, ale wejście Ronniego nieco skróciło ten czas.

W kajucie ściągnęła z siebie przepocony strój do jazdy konnej, spędziła minutę pod prysznicem i z wprawą założyła mundur. Ktoś, kto nie potrafi umyć się i ubrać na inspekcję w ciągu jedenastu minut,

nie przeżyłby szkolenia w Akademii. Potem wzięła plastry czujników i przyczepiła je na głowie, ramionach, dłoniach, piersi, krzyżu i stopach. Urządzenie rejestrujące wylądowało w kieszeni. Trzy minuty. Zebrała resztę wyposażenia, patrząc jednym okiem na odczyt zegara. Maski tlenowa, filtr, infopręt do zamków włazów, infopręty kontrolujące panele sterowania... Nigdy nie wyciągała z kieszeni tych małych plastikowych pakietów, których tak dawno temu nauczyła się używać, a pod prysznicem przylepiała je do ściany w wodoszczelnej torebce.

Dobrze. Wyszła z kajuty i bez pośpiechu ruszyła w stronę mostka, włączając po drodze rejestrator. W ciągu najbliższych dwóch minut coś się zepsuje – bez uruchamiania alarmu po stronie personelu, chyba że zawiodłaby blokada. Poczwała jeżące się na skórze włoski. Jazda na elektronicznym wirtualnym koniu była dobrym ćwiczeniem, ale prawdziwe emocje dopiero miały się pojawić.

Kiedy dokładnie o zadanej godzinie wchodziła na mostek, załoga właśnie zauważyła na monitorach jakieś nieprawidłowości.

– Nie wiem, co to jest – rzekł dyżurny kret – ale lepiej sprawdźmy. Odłączam to z obwodu...

– Kapitan na mostku – zauważył z wyraźną ulgą Holloway. – Pani kapitan, coś się dzieje w środowiskowym...

Heris przełączyła ekran dowodzenia na sekcję środowiskową i omal się nie uśmiechnęła. Kiedyś już coś takiego widziała, jednak wcale się z tym nie zdradziła.

– Odizolować ten przedział – poleciła.

Dłonie kreta przebiegły po konsoli.

– Pani kapitan, wentylator nie daje się wyłączyć.

A więc to nie całkiem taki sam problem. Miała nadzieję, że to tylko odczyty, bo sam związek niemożliwie śmierział i mógłby wnikać we wszystkie porowate materiały. Kret miał dość rozsądku, by odciąć linię zasilającą wentylator.

– Dobra robota – pochwaliła go, ale wtedy wentylator znów się włączył. Włosy zjeżyły jej się na karku, gdy patrzyła, jak Gavin odcina zasilanie całej sekcji. Zacięcie się wentylatora mieściło się w parametrach podanych przez nią komputerowi. Uruchomienie go po odcięciu zasilania zdecydowanie wykraczało poza zapamiętane przez nią parametry. Czyżby była aż tak nieprecyzyjna? Czy mogła zapomnieć zamknąć linię decyzyjną gdzieś w zestawie problemowym? Wentylator stanął. Wysłuchiwała wydanych przez Gavina rozsądnych rozkazów usunięcia zanieczyszczenia, opartych na przypuszczalnym składzie skażenia. Potem – i już jej to nie zaskoczyło – wiatrak znów się uruchomił. Gavin spojrzał na nią z troską i niesmakiem.

– Chwileczkę – powiedziała. Zablokowała polecenia komputera kodami ze swojej konsoli, dzięki czemu wyeliminowała wszystkie podprogramy wprowadzone w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. W ten sposób usunęła także niektóre poprawki, które trzeba będzie później powtórzyć. Drugi rozruch wentylatora zdecydowanie przekroczył zadane przez nią parametry – najwyraźniej ktoś się wtrącił. Do statku albo jej ćwiczeń. Wpadła w furję, ale jednocześnie poczuła radość walki. To przeciwnik, z którym może walczyć. Doskonale wiedziała, kogo za to winić; został wygnany z mostka zaledwie przed sześćdziesięcioma trzema godzinami.

Tym razem wentylator znieruchomiał na dobre i mogła kontynuować ćwiczenia, stwierdzając z zadowoleniem, że załoga całkiem dobrze zareagowała na bardziej złożony problem.

Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Cecelii. Uznała, że ją lubi i że to nie jej wina, że ma zepsutego siostrzeńca, podobnie jak fakt, że obarczono ją opieką nad nim. Gdyby mogła dać nauczkę Ronniemu, nie angażując w to Cecelii... Ale z drugiej strony to ona jest właścicielką jachtu i ma

prawo wiedzieć, co się dzieje. Gdyby sytuacja dotyczyła siostrzeńca admirała, wiedziałaby, co zrobić (nie żeby jakiś siostrzeniec admirała mógł bezkarnie posunąć się tak daleko).

Ale przede wszystkim musi się dowiedzieć, jak to zrobił i kiedy.

– Sirkin, szkolilaś się w systemach komputerowych. Chcę, żebyś sprawdziła wszelkie wejścia z ostatnich... sześćdziesięciu godzin i zidentyfikowała wszystkie źródła. – Sirkin zamrugła, ale nie wyglądała na zniechęconą. Heris pomyślała, że młodzież w jej wieku wciąż wierzy w cuda.

– Coś konkretnego, pani kapitan?

– Wprowadziłam wczoraj parametry problemowe dla dzisiejszych ćwiczeń. To, co się stało, wskazuje, że ktoś grzebał w systemach. Chcę wiedzieć kiedy, z którego terminala i w jaki sposób. Dasz radę?

– Tak... Tak myślę. – Sirkin zmarszczyła brwi. – Czy to ten dureń, który zamknął się w ładowni?

Heris rozejrzała się wokół. Cała załoga słuchała.

– Możliwe – przyznała. – Ale kiedy się dowiesz, masz powiedzieć mnie, a nie całemu światu.

– Tak jest.

* * *

Ronnie rzucił się na wyściełany kremowy fotel i przeciągnął się rozkosznie. Siedzący na fioletowym krześle George wręcz pękał z ciekawości.

– No i?

– No i... – Ronnie usiłował zachować pozory zimnego wyrachowania, ale wyraz twarzy George'a spowodował wybuch śmiechu. – No dobra. Zrobiłem to. Powinieneś być ich widzieć, gdy próbowali wyłączyć wentylator, który nie dawał się zatrzymać.

– Wentylator. – Najwyraźniej nie zrobiło to na George'u żadnego wrażenia albo potrafił lepiej niż Ronnie przybierać obojętny wyraz twarzy. Zdaniem tego ostatniego, była to jedyna rzeczą, którą robił lepiej.

– Wyjaśnię ci – stwierdził Ronnie z wyższością. – Nasza droga kapitan przygotowała kolejny alarm ćwiczebny, tym razem wyłącznie dla załogi. Podłączyłem się do systemu – pamiętasz? – i czekałem właśnie na coś takiego. Przerobiłem nieco program – właściwie wystarczyło tylko dodać pętlę – i puściłem dalej.

– Czyli wentylator wciąż się włączał. A oni nie potrafili go wyłączyć. – Na twarzy George'a pojawił się uśmiech. – To zupełnie niepodobne do ciebie – takie subtelne...

– No cóż... – Ronnie oglądał swoje paznokcie. – Plus ten śmierdziuch...

– Śmierdziuch?

– Nie wspominałem, że nasza droga kapitan wprowadziła do komputera trzy scenariusze, a ten, korzystając z zadanych parametrów, miał wygenerować jeden z nich? Jeden scenariusz dotyczył ćwiczeń chemicznych. Udało mi się podmienić zbiornik, który miał uwolnić kolorowy dym, na taki, który paskudnie śmierdzi. – Ronnie uśmiechnął się krzywo, usatysfakcjonowany wyrazem twarzy George'a i własnym geniuszem. – Nasza kapitan była bardzo niezadowolona.

– Kiedy to odkryje... – George przeszedł od zachwyty do troski.

– Nigdy tego nie odkryje. Będzie myślała, że to jej własny zestaw parametrów – nawet jeśli go

wywoła, zobaczy tylko tę pętlę. Wszyscy czasami popełniają takie błędy.

– A ten zbiornik?

– George, nie jestem głupi. Przez cały dzień przemalowywałem zbiorniki do ćwiczeń w taki sposób, żeby miały złe oznaczenia. Wszystkie. Będzie myślała, że to skutki działalności poprzedniego kapitana... tak jak to tajemnicze coś, co zatrzymało nas na Takomin Roads. To pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, gdy zdecydowaliśmy się na niej zemścić. Może szukać odcisków czy czego tylko chce: osobiście wyciągnęła tę butlę z magazynu i umieściła tam, gdzie została uaktywniona. – Ronnie znów się przeciągnął. Czasami sam nie mógł uwierzyć w swoją błyskotliwość. – Zresztą uważa mnie za głupiego młodzika – tak jej wciąż powtarza ciotka Cecelia – i nie będzie mogła uwierzyć, że rozwydrzony młody dureń – ulubione określenie kochanej ciotuni – mógłby coś zepsuć na jej własnym podwórku. – Ponieważ George nadal miał wątpliwości, nachylił się w jego stronę i rzekł żarliwie: – Jesteśmy bezpieczni, daję słowo. Ona nie ma prawa się zorientować, a gdyby nawet zaczęła coś podejrzewać, odwiedzie ją od tego głędzenie ciotki Cecelii.

Rozdział 8

– Mamy drobny problem – oznajmiła Heris swojej pracodawczyni. Znajdowały się teraz w sekcji hydroponicznej zarezerwowanej na kwiaty. Cecelia odesłała ogrodników.

– Znów? – zapytała z lekkim uśmiechem.

– Twój siostrzeniec – wyjaśniła Heris. – Mogę sobie z nim poradzić, ale jeśli to zrobię, prawdopodobnie przybiegnie do ciebie z płaczem. Mogę też całkowicie go zignorować, ale on może trochę utrudnić życie załodze.

– Ciekawe, czemu, kiedy mówisz o „utrudnieniu”, myślę o czymś strasznym. – Cecelia spojrzała tak, jakby miała na nosie okulary i musiała coś przez nie przeczytać. Heris przypomniał się portret jednego z jej przodków.

– Cóż, prawdopodobnie mogę to ograniczyć tylko do utrudnień. – Heris pogłaskała puszysty liść jakiejś nieznannej jej rośliny. Miała dziwne lawendowe kwiaty i przy dotyku wydzielala ostry aromat.

– Mam nadzieję, że nie masz alergii na tę roślinę – zauważyła Cecelia. – Niektórzy nabawiają się po niej swędzenia na wiele dni.

– Przepraszam. – Heris spojrzała na swoje palce, ale nie były zaczerwienione.

– Ma jadalne bulwy o dość przyjemnym smaku. – Cecelia popatrzyła na rośliny, jakby udzielała im wzrokiem błogosławieństwa. – Mam nadzieję, że Bunny zechce się wymienić za tę odmianę, dlatego właśnie ją hodujemy. Oczywiście musieliśmy ją przesadzić po... hmmm... tamtym incydencie.

Heris nie zastanawiała się dotąd, jakie, poza niewygodami, były skutki tamtych wydarzeń.

– Straciłaś wszystkie uprawy w ogrodzie? – zapytała. – Myślałam, że nic im się nie stało. – Zaczęła się zastanawiać, jaki jest związek między roślinami i Ronniem; miała nadzieję, że Cecelia po prostu myśli o dwóch sprawach równocześnie.

– Straciliśmy tylko część. – Cecelia patrzyła teraz na rząd roślin pokrytych drobnymi żółtymi owocami. – Nie wiem, co ci ogrodnicy sobie myślą. Połowa z nich jest już przejrzała i nie nadają się do rozmnażania, nie ma sensu ich trzymać. – Zerwała jeden owoc i spróbowała go, po czym zerwała jeszcze jeden dla Heris. – Pytasz o Ronniego. Mówiłam ci już wcześniej – mam dość tego chłopaka. Jeśli zasługuje na karę, zrób, co chcesz, bylebyś go tylko trwale nie okaleczyła. Musiałabym później tłumaczyć się Berenice i jego ojcu i byłoby mi niezręcznie przyznać się, że się na to zgodziłam. Ale poza tym... – Przesunęła dłonią po gardle.

Heris jadła żółty owoc, który smakował podobnie jak pomidor, i przyglądała się twarzy Cecelii.

– Naprawdę się tym martwisz – zauważyła.

– Chyba najbardziej denerwuje mnie to, że on nie jest do końca zły. Może taki ci się wydaje...

– Wcale nie – zaprotestowała Heris. – Pamiętasz, mówiłam ci już, że widziałam wielu takich młodych oficerów. Zresztą ja też taka byłam.

– Ty?!

– A co, naprawdę myślałaś, że urodziłam się na baczność, z rączką przystawioną do czoła? – Wyraz twarzy Cecelii zdradzał, że rzeczywiście tak sądziła. Heris wybuchła śmiechem. – Trzeba było mnie zobaczyć w wieku szesnastu lat. Ale chyba nie powiesz mi, że sama zawsze zachowywałaś się grzecznie?

– Jako szesnastolatka? Cały czas spędzałam z końmi – odpowiedziała Cecelia. Potem bardzo mocno się zaczerwieniła. – Oczywiście pojawił się pewien młodzieniec...

– Aha!

– Ale to nie przeszkadzało w jeździe – nic mi nie przeszkadzało – i nic też z tego nie wyszło. – Heris nie potrafiła stwierdzić, czy Cecelia cieszy się z tego, czy nie. – Ale Ronnie... Ma rozum i nie wątpię w jego odwagę. Po prostu jest zepsuty i tak mi z tego powodu przykro...

– Tak naprawdę on potrzebuje czegoś, czego nie może mu dać żadna z nas – możliwości przekonania się, że przez swoją niefrasobliwość może wpakować się w permanentne kłopoty, i świadomości, że tylko on sam może sobie ułożyć życie. W jego wieku tego rodzaju sytuacje zazwyczaj bywają niebezpieczne – a nawet śmiertelnie groźne.

– Myślisz, że możesz coś zrobić?

– Sądzę, że potrafię go przekonać, żeby nie bawił się więcej moim kosztem. Ale to nie pomoże – będzie winił mnie albo ciebie, a nie własną głupotę.

– To wina tej bandy, z którą się pałęta – oświadczyła Cecelia.

Heris nie protestowała, choć jej zdaniem Ronnie miał równie fatalny wpływ na swoich przyjaciół, jak oni na niego. Ale to nie jej siostrzeniec i nie miała wobec niego nawet śladowego poczucia winy. Tymczasem Cecelia czuła się winna. Nie raz już opowiadała o tym, jak rodzina próbowała na nią wpłynąć, by zachowywała się zgodnie z ich standardami, i coś z tego musiało zostawić ślad w jej psychice, nawet jeśli nie zmieniło jej zachowania.

Cecelia zerwała jeszcze jeden żółty owoc. Heris pierwszy owoc niezbyt smakował, więc nie wzięła następnego. Przyglądała się, jak Cecelia ogląda, dotyka i wącha rośliny. W końcu starsza kobieta odwróciła się do niej.

– No dobrze. Zrób, co możesz. Nie spodziewam się cudów i nie będę mu współczuć, jeśli przyjdzie do mnie z płaczem.

– Może jednak nie przyjdzie. Jak sama zauważyłaś, ma parę zalet.

– Zechcesz mi powiedzieć, co planujesz, czy obawiasz się, że mogę coś zdradzić?

– Nie, jestem pewna, że tego nie zrobisz. Ale tak jak poprzednio, moje metody nie są całkiem chwalebne.

– W takim razie nie będę pytać. Po prostu pamiętaj, żeby przyjść na czas na lekcję – dzisiaj mamy wyższe przeszkody i będzie ich więcej.

– O tym nie pomyślałam... Nie używaj symulatora, dopóki go nie sprawdzę, dobrze?

– Ronnie by go nie dotknął. Jest nieznośny, jeśli chodzi o konie.

– On nie zrobiłby tego z twojego powodu, ale żeby dobrać się do mnie. Przyjdę na czas... a nawet trochę wcześniej i upewnię się, czy nikt przy nim nie grzebał.

* * *

Ronnie był kompletnie zaskoczony, kiedy po wyjściu George'a z pokoju dotknął klawiatury komputera. Myślał o kolejnym wspaniałym numerze, o czymś, co jeszcze bardziej wytrąciłoby panią kapitan z równowagi. Lubiała jeździć na symulatorze ciotki Cecelii... Ciekawe, co by się stało, gdyby symulator znalazł się pod jego kontrolą, a nie ciotki? Pomyślał o szalonym galopie przez wyjątkowo wysokie płoty. Niewątpliwie kapitan musiałaby błagać o zmiłowanie – a Cecelii wydawałoby się, że nic złego się nie dzieje, że tylko puściły jej nerwy. Przez chwilę rozkoszował się obrazem swojego triumfu: ciotka pełna pogardy dla nieudolnego jeźdźca, wystraszona i zawstydzona kapitan, obie

kobiety zmieszane. Nigdy tego nie odkryją, miał co do tego pewność.

Sięgnął do konsoli. Dokona tylko wstępnego przeglądu pola bitwy i upewni się, że jego wejścia są nienaruszone. Przebiegł palcami sekwencję, która powinna była wszystko przed nim otworzyć, ale ekran zgasł.

Prawdopodobnie przy wprowadzaniu polecenia popełnił jakiś prosty błąd. Ponownie wstukał sekwencję, mamrocząc pod nosem na temat własnej nieuwagi. Coś trzasnęło głośno w drugim końcu pokoju. Miał wrażenie, że to drzwi, ale kiedy zawołał, nikt nie odpowiedział. Najwyraźniej mu się wydawało. Ekran wciąż świecił pustką. Wcisnął klawisz połączenia – bezskutecznie. To dziwne. Nawet jeśli pomylił się w sekwencji, ekran powinien coś pokazać. Nacisnął po kolei wszystkie przyciski na klawiaturze, ale ekran nie ożył. Nagle zrobiło mu się gorąco. To niemożliwe. Niemożliwe, żeby zrobił coś tak głupiego – jego sekwencja nie zawierała funkcji odcięcia się od sieci.

Wbił wzrok w ekran. Zaczął odczuwać wyraźny niepokój. Oczywiście nie musi wprowadzać poleceń tutaj – spokojnie może przenieść się na konsolę w kajucie George'a lub Buttonsa – ale wolałby się nie przyznawać, że zrobił coś tak głupiego. Zwłaszcza że jego pomysł wydawał się świetny. Kapitan przyjdzie za parę godzin na lekcję jazdy i na pewno najpierw dobierze się do oprogramowania...

W końcu prychnął niezadowolony, wyłączył komputer i ruszył do drzwi. Nie otworzyły się. Szarpnął mocno za klamkę, łamiąc sobie paznokcie, ale drzwi nawet nie drgnęły. Walnął pięścią, klnąc pod nosem, ale skutek był taki sam, jakby uderzył w wielki głaz: dłoń go rozbolała, a drzwi nawet się nie poruszyły.

Sięgnął do komunikatora, by połączyć się z Georgem, ale komunikator nie działał; mimo potrząsania i grzebania w przełącznikach z głośników nie wydobył się żaden dźwięk. Nagle zrozumiał. To nie mógł być przypadek. Znów rzucił się do konsoli terminala. Po włączeniu przełącznika ekran ożył, ale na nic nie reagował. Żadnego tekstu, żadnych obrazów... Nic.

– Szlag! – Wyrzucił z siebie wiązkę wszystkich znanych przekleństw, którą zakończył słowami: – To nieuczciwe!

Kątem oka zobaczył jakiś ruch na ekranie. Dopiero wtedy dotarło do niego, że choć on jest odcięty od świata, z zewnątrz nadal można go obserwować. Podszedł bliżej.

NA WOJNIE I W MIŁOŚCI WSZYSTKO JEST DOZWOLONE. NIE GRZEB W MOIM STATKU.

Wszystko stało się oczywiste. Ale on nie zamierzał się poddać. Spróbował usunąć wiadomość, ale bezskutecznie, wykrzywiające się do niego litery nie chciały zniknąć. W końcu Ronnie odwrócił się i z wściekłością kopnął w ścianę między swoim pokojem a łazienką. Z głośnym szumem wody nastąpiło przepłukanie ubikacji, potem drugi i trzeci raz.

– Nie możesz mi tego zrobić! – krzyknął w stronę sufitu. – To jacht mojej ciotki!

Włączył się prysznic, ale automatyczne drzwi kabiny, które powinny się zasunąć, nawet nie drgnęły. Łazienkę wypełniła gęsta para. Z przerażeniem zauważył, że kratka odpływu nie otworzyła się. Woda szybko wypełniła brodzik, po czym zaczęła przelewać się szczeliną pod drzwiami. Ronnie zerwał wszystkie ręczniki z wieszaka i rzucił je na podłogę. Jeśli woda dostanie się do sypialni i zrobi plamę na dywanie, nie tylko ciotka Cecelia będzie wściekła, ale przede wszystkim jego matka.

Kiedy wszystkie ręczniki już przemokły, odpływ w końcu się otworzył, z prysznicza przestała się lać woda i wszystko spłynęło.

Ronnie miał kompletnie przemoczone buty i spodnie aż do kolan. Czuł potężny ból głowy. Spojrzał ze złością na otaczający go bałagan. Wrzucił część ręczników do brodzika prysznicza – lepsze to niż chodzenie po nich – a resztę powiesił na suszarce. Podłoga zrobiła się śliska, co mogło być niebezpieczne. Sięgnął głębiej do szafki i znalazł sprzęt czyszczący, którego nigdy nie używał: gąbkę – dla odmiany suchą – szczotki z długą i krótką rączką oraz dwie butle płynu do czyszczenia, zieloną i niebieską. Zebrał gąbką wilgoć z podłogi, ale mimo to nadal wydawała się śliska.

Wcześniej tylko mu się wydawało, że jest zły. Teraz wpadł w prawdziwą furję. Nigdy nie przypuszczał, że stać go na taki gniew. Po raz pierwszy w życiu zamiast walić w ściany, drzwi czy meble, podszedł do terminala i usiadł. Tak jak podejrzewał, na ekranie widniał teraz nowy tekst:

ZOSTANIESZ W SWOJEJ KAJUCIE. DOSTANIESZ TUTAJ POSIŁKI.

Nie był głodny, nie obchodziły go żadne wojskowe racje. Przywołał w myślach wszystkie obelgi, których zazwyczaj nie pozwalał sobie wymawiać, ale zrobił to w milczeniu. Nie zamierzał dawać jej satysfakcji.

Jak ona to zrobiła? W jaki sposób wszystko odkryła? Nie była aż taka bystra – musiała być niemal równie stara jak ciotka Cecelia. Siedział cicho i gotował się z wściekłości, patrząc na ekran. Nagle ekran zgasł, a po chwili pojawił się ponownie w prawie normalnej konfiguracji. Prawie, bo ikona łączności została zastąpiona przez czarny romb.

Ostrożnie, jakby się bał, że ekran może go ugryźć, dotknął ikony obsługi. Pojawiło się menu: jedzenie, ręczniki, ubrania, temperatura powietrza, woda, pomoc medyczna. Wydawało mu się, że normalnie jest tam więcej pozycji, ale... nigdy nie zwracał na to uwagi. Zazwyczaj służba czekała w pobliżu, nie musiał ich wzywać. Dotknął pozycji „ręczniki”. Ekran opustoszał i pojawił się migający niebieski komunikat:

NIEDOSTĘPNE.

– Co to znaczy niedostępne?! – warknął. W łazience zabalgotał sedes: to było ostrzeżenie. Zaciśnął usta, zdumiony, że może być jeszcze bardziej wściekły. A więc zostały mu tylko mokre ręczniki. Cóż za małostkowa zemsta. Ta kapitan musi pochodzić z bardzo prostej rodziny. Kiedy on się mścił, robił to z klasą. Znow dotknął panelu, aby powrócić do menu obsługi. Pomyślał o wypróbowaniu wszystkich dostępnych opcji, ale w końcu zdecydował się tego nie robić. Świadomość, że inne polecenia też nie działają, tylko jeszcze bardziej by go rozwścieczyła.

Wycofał się z menu i spojrzął na główny ekran. Ten odpowiedział mu niewinnym spojrzeniem. Brak łączności i niewątpliwie brakujące funkcje innych ikon. Czego jeszcze mógłby spróbować? Informacji? Dotknął małego niebieskiego znaku zapytania.

Ekran mignął i przez dobrych dziesięć sekund wyświetlał napis: DOBRY WYBÓR, zanim pojawiło się samo menu informacji. Jeszcze nigdy go nie włączał, ponieważ nie sądził, by tak mały statek jak ten mógł kryć jakieś większe niespodzianki. Teraz zobaczył tam pozycje, które na pewno nie zostały wymyślone przez jego ciotkę.

1. CO ZŁEGO ZROBIŁEM?
2. CO TERAZ MOGĘ ZROBIĆ?
3. CO TY ZAMIERZASZ ZROBIĆ?
4. CO INNI WIEDZĄ NA TEN TEMAT?

Wyglądało to jak kiepski pomysł na grę strategiczną. Nie zamierzał mieć z tym nic wspólnego – to musi być pułapka – ale po dłuższej chwili siedzenia przed ekranem uświadomił sobie, że jest zmęczony i głodny. Obiecano mu jedzenie, ale dotąd się nie pojawiło... a on zaczął się zastanawiać, ile kapitan faktycznie wie.

Wybrał pierwszą pozycję. Komputer powiedział pełnym radości elektronicznym głosem: „Dobry wybór”. Ronnie aż podskoczył. Nie znosił obdarzonych głosem komputerów szkoleniowych, na które czasami się natykał. Temu głosowi nadano szczególnie beztrioską intonację. Ekran został oczyszczony, po czym wypełniła go lista jego przewin. Nie zostały wyrażone słowami, jakich użyłaby jego ciotka. Posługując się dokładnie takimi samymi terminami jak jego instruktorzy z przeszłości, kapitan przedstawiła jego działania skierowane przeciwko niej. I zrobiła to, miał wrażenie, bez urazy. To też go zabolalo. Nie traktowała go jak zepsutego bogatego bachora, lecz niekompetentnego młodego oficera, jednego z wielu. A on nie lubił być jednym z wielu.

Z rozgoryczeniem dowiedział się, że jego wejścia do sieci zostały odkryte i wykorzystane przeciwko niemu – kapitan nagrała całą jego rozmowę z Georgem (potem mu ją odtworzono), a z próbek jego mowy sporządziła wiadomość dla pozostałych przyjaciół, że ma ochotę spędzić trochę czasu w samotności.

– Oczywiście – poinformował radośnie komputerowy głos – oni myślą, że planujesz tu jakieś podstępne działania przeciwko kapitan i załodze.

– Ależ ja... – Urwał, słysząc, że w łazience znów zaczyna się lać woda. Najwyraźniej miał się nie odzywać.

– Jeśli masz jakieś pytania – powiedział głos – możesz wybrać je z menu, kiedy zostaną wyświetlone. – Zupełnie jakby kapitan znała pytania, które chciałby zadać. Po kolejnym akapicie wykazu jego przewin znalazł listę pytań. Wybrał jedno dotyczące butli, bo naprawdę nie mógł zrozumieć, czemu przemalowanie ich miałyby być tak poważnym wykroczeniem. I tak przeznaczono je wyłącznie do alarmów ćwiczebnych. Jakie to miało znaczenie, czy któraś z nich zawierała czerwony dym, niebieski dym czy śmierdzący gaz?

Zadzwonił jego komunikator. Tym razem rozległ się głos kapitan Serrano.

– Zapytałeś o butle. Czy wiesz, jakie związki chemiczne zawierają?

– Ty... Nie. – Ledwie zdołał powstrzymać swoją pierwszą reakcję.

– W takim razie nie zdajesz sobie sprawy, że niektóre z tych związków są toksyczne, a inne łatwopalne?

– Naprawdę? – Nie potrafiłby ukryć zaskoczenia, nawet gdyby próbował. – Przeznaczono je do ćwiczeń, tak napisano na etykietach, a rzeczy używane w czasie ćwiczeń muszą być nieszkodliwe, prawda?

Zaśmiała się. Choć nie chciał tego przyznać, jej śmiech brzmiał przyjemnie.

– Wiesz co, rzucę ci na ekran ich szczegółowy skład. Czy przemalowywałeś te butle według jakiegoś systemu, czy robiłeś to losowo?

– Cóż... – Ronnie próbował sobie przypomnieć. – Przeważnie malowałem je na taki kolor, jaki miały butle w sąsiedniej skrzyni. W ten sposób wiedziałem, które już przemalowałem. Ale kilka stało luzem i te po prostu pomalowałem na pomarańczowo z brązowym paskiem. Większość z nich była niebieska z dwoma zielonymi paskami, a jedna biało-szara.

– A potem zamieniłeś etykiety skrzynek?

– Tak. Skąd pani wie, że je przemalowałem? – Postępował tak ostrożnie, że nie mógł uwierzyć, iż to zauważyła.

– A jak myślisz, skąd wiedziałam, w której ładowni siedziałeś z Georgem? – zapytała. Nie miał pojęcia. Sądził, że robiła te same numery ze wszystkimi ładowniami. – Zastanów się nad tym. – Komunikator ucichł.

Zawartość ekranu uległa zmianie: teraz pokrywały go wzory chemiczne i charakterystyki reakcji. Ronnie zaczął je studiować. Powinien znać większość z nich, widział je na wykładach. Ale nigdy nie miał powodu, żeby uważniej im się przyjrzeć. Złapał się na tym, że mamrocze coś pod nosem, i szybko rzucił nerwowe spojrzenie w stronę ubicacji, ale tym razem klozet się nie odezwał.

– ...utlenia metaliczny proszek i... O rety! – To naprawdę mogło się zapalić. Oстрыm ogniem. – Mogłem zrobić cholerną bombę! – krzyknął niemal triumfalnie. Odpowiedziała mu cisza. Nie potrzebował ostrzegawczego bulgotu kanalizacji ani uwag komputera, by zrozumieć, że odpalenie bomby na pokładzie statku w głębokiej przestrzeni międzygwiazdnej nie byłoby bardzo mądrą rzeczą, a odpalenie jej zupełnie nieświadomie byłoby poważnym dowodem głupoty.

Zrobiło mu się zimno, prawie tak samo jak wtedy, gdy uświadomił sobie, że wszedł na mostek podczas wykonywania przez statek skoków. Gdyby kapitan wybrała inną butlę – szaro-białą, którą przemalował na pomarańczowo i czerwono, zamiast niebiesko-szarej przemalowanej na czarno i zielono – mogłoby dojść do prawdziwej katastrofy. Prawdziwego – rzucił kolejne spojrzenie na ekran, żeby się upewnić – końca podróży. Dla wszystkich.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem stwarzać prawdziwych problemów.

Zamiast odpowiedzi ekran znów się zmienił; teraz pokazywał zapis całej – słowo po słowie – jego rozmowy z Georgem. Na ekranie wyglądało to gorzej, o wiele gorzej. Tak, jakby faktycznie chciał narobić problemów – dręczyć i poniżyć kapitan, przestraszyć i podzielić załogę.

– Wcale nie chciałem, żeby to tak wyszło – wyszeptał, ale zdał sobie sprawę, że wtedy myślał inaczej, gdyż sądził, że jest bezpieczny.

Jedzenie, które wreszcie się zjawilo, było nijakie i bez smaku.

* * *

Heris zesła z symulatora po ostrej jeździe terenowej na dużym czarnym ogierze. Za każdym razem, gdy ściągała hełm, nie mogła uwierzyć, że siedzi na metalowo-plastikowym symulatorze. Cecelia kiwnęła głową.

– Naprawdę bardzo dobrze. Niewątpliwie zakwalifikujesz się do polowań dla średnio zaawansowanych. W zależności od tego, kto tam będzie, może nawet pojedziemy wspólnie raz czy dwa razy.

– Jesteś pewna, że chcesz mnie ze sobą zabrać? – zapytała Heris. – Wiem, że to nie...

– To nie jest zbyt powszechne, ale ja i tak robię to, na co mam ochotę. To jeden z moich

przywilejów. Bunny nie będzie miał nic przeciwko temu, pod warunkiem, że potrafisz przyzwoicie jeździć i nie sprawisz kłopotów, a tego jestem pewna. Poza tym miło mi się z tobą rozmawia – tam nie ma zbyt wielu samotnych starszych kobiet, a czasy, gdy mężczyźni chcieli ze mną rozmawiać, już dawno minęły.

Heris nie była pewna, czy podoba jej się założenie, że ona również przekroczyła już ten wiek... ale w końcu faktycznie nie udawała się tam na łowy. Nie pogodziła się jeszcze z utratą swojego okrętu – choć potrafiła już myśleć o nim jako o „drugim statku”, a nie jedynym – i będzie musiała przestać myśleć o swojej załodze – w szczególności o pewnych jej członkach – zanim będzie mogła przyjmować czyjeś zaloty... jeśli ktokolwiek ich spróbuje.

– O co chodzi? – zapytała Cecelia. – Nie chcesz jechać? Wolałabyś raczej zostać w kwaterach gościnnych z innymi kapitanami?

– Nie! – zaprotestowała ostrzej, niż zamierzała. – Męczy mnie nawet myśl o innych kapitanach. Owszem, bardzo chciałabym zobaczyć, jak wygląda posiadłość urządzona z myślą o polowaniach na lisy, tylko po prostu... nie chciałabym, żebyś myślała, że musisz to zrobić, bo powiedziałaś o tym w obecności Ronniego.

– Nonsens. Powiedziałam, bo tak chciałam, a opinia Ronniego nie ma najmniejszego znaczenia. – Cecelia spojrzała twardo na swoją kapitan. – A przy okazji, w jakim on jest stanie?

– Idealnie zdrowy. – To była prawda, nawet jeśli nie cała. Chłopak się nie nudził, ponieważ kazała mu wykonywać prace, które powinien był zaliczyć na podstawowych kursach. Matematyka, chemia, biochemia, systemy okrętowe, historia wojskowości, taktyka... Kiedy się tym zajmował, w jego kabynie działała kanalizacja, światło i regularnie pojawiało się jedzenie. Kiedy miał napad złości – co nie zdarzyło się już od kilku dni, czyżby czegoś się nauczył? – musiał sobie radzić z innymi problemami, a później i tak odrobić zadania. – Jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu, może niedługo do ciebie dołączy.

– Co z nim zrobiłaś? Przykułaś go łańcuchami w hydroponice, żeby kopał ziemniaki? – Cecelia podniosła rękę. – Nie, nie mów mi, nie chcę wiedzieć. Ale nie mogę się doczekać wyników.

– Podobnie jak ja – przyznała Heris. W tych rzadkich chwilach, gdy osobiście udzielała Ronniemu lekcji przez interkom, okazał się znacznie bardziej interesujący, niż się spodziewała. Był bardzo inteligentny, wręcz błyskotliwy, i bardzo żałowała, że nigdy dotąd nikt nie zmusił go do pracy. Mógłby się nawet nadawać do Zawodowej Służby Kosmicznej.

* * *

Któregoś ranka Ronnie pojawił się na śniadaniu z miłym uśmiechem na twarzy. Zgodnie z sugestią Heris, kilka dni wcześniej Cecelia zaczęła jadać śniadania z młodzieżą. W ten sposób, argumentowała kapitan, ich zmowa będzie mniej widoczna. Zauważyła, że Ronnie jest czysty, schludnie ubrany i nie ma żadnych siniaków – z czego się ucieszyła – a z jego twarzy znikł wyraz wiecznego niezadowolenia.

– No? – odezwał się George. – Opowiedz nam wszystko.

– Jakie wszystko? – Ronnie przyjrzał się talerzowi z tostami, po czym wybrał kromkę pełnoziarnistego chleba z rodzynkami.

– Powiedziałeś, że coś planujesz. – George spojrzał po pozostałych, szukając wsparcia, ale oni najwyraźniej nie chcieli się przyłączyć. – Mówiłeś, że...

Ronnie posłał mu rozbawione spojrzenie.

– Mówiłem wiele rzeczy, George, które nie nadają się do powtarzania przy śniadaniu. A teraz jestem głodny. – Uśmiechnął się do Cecelii. – Przepraszam, ciociu Cecelio, czy mogę się poczęstować tym curry?

Zareagowała uśmiechem. Cokolwiek się stało, nie zamierzała przeszkadzać.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że nie chorowałeś.

– Absolutnie nie. – Zajął się curry, a później całą resztą dań, które Cecelia uważała za odpowiednie na śniadanie w towarzystwie.

George dwukrotnie otwierał usta, próbując coś powiedzieć, ale w końcu wzruszył ramionami i zajął się swoim omletem. Buttons, zwykle małowówny o poranku, zjadł tosta, przeprosił i odszedł, a dziewczęta, po rzuceniu serii spojrzeń to na ciotkę, to na Ronniego, również się oddaliły. Cecelia jadła dalej swoje obfite śniadanie, próbując ignorować sygnały, które wszyscy tak ewidentnie starali się przekazać. W końcu przy stole zostali oprócz niej tylko George i Ronnie. Ten ostatni jadł tak, jakby nadrabiał zaległości z kilku dni, a George, wyraźnie zaintrygowany, posyłał mu znaczące spojrzenia. Cecelia z trudem powstrzymywała się od śmiechu. W sumie cała ta sytuacja była niedorzeczna. Oto George próbuje obronić Ronniego (trochę za słabo i za późno) przed potwornościami, na jakie może go skazać stara ciotka. W końcu postanowiła interweniować, zanim Ronnie się przeje albo George dostanie zawału.

– Wiesz, nie zamierzam go skrzywdzić – poinformowała George'a.

Młodzieniec zaczerwienił się i omal nie zadławił babeczką.

– Ona ma rację – potwierdził Ronnie równie uprzejmym tonem. – Możesz bezpiecznie zostawić nas samych.

– Ale... ale mówiłeś...

– Wszystko w porządku – zapewnił go Ronnie. – Naprawdę. Widzę, że nie jesteś głodny. Może pójdziesz zagrać w coś z pozostałymi? Niedługo do was przyjdę.

George, wciąż zmieszany, zdołał wykrztusić, że nie zamierza w niczym przeszkadzać i że Ronnie będzie wiedział, gdzie go znaleźć. Potem uklonił się Cecelii i opuścił jadalnię w sposób zupełnie pozbawiony wdzięku.

– Faktycznie dobrze wyglądasz – zauważyła Cecelia. W spojrzeniu orzechowych oczu Ronniego krył się łobuzerski wdzięk, który widziała w nim od samego urodzenia.

– Nic mi nie jest – powtórzył. – Czemu miałoby mi coś być?

– No cóż... – Cecelia złożyła serwetkę gestem, który, jak wiedziała, zdradzał mężczyznom w ich rodzinie kobiece niezdecydowanie. – Dość mocno obraziłeś się na moją nową kapitan, a kiedy nabrałam wątpliwości, czy twoja wiadomość do mnie – ta o uczeniu się do egzaminów – była do końca prawdziwa, i przycisnęłam George'a...

Ronnie zaczerwienił się, ale mimo to zdołał się uśmiechnąć.

– Złamał się i zdradził ci, że zaplanowałem jakiegoś psikusa? Na pewno tak zrobił. Cóż, takie miałem plany, ale... zmieniłem zdanie. Faktycznie studiowałem do egzaminów, ale jeśli powiesz o tym George'owi...

– Rozumiem. – Cecelia już miała mglisty obraz tego, co Heris musiała zrobić, ale wciąż pozostawało tajemnicą, jak to zrobiła. – Nie chcesz, żeby George się dowiedział, że zmieniłeś zdanie i uczyłeś się. Musiałeś potwornie się nudzić, Ronnie, żeby się na to zdecydować. – Miała nadzieję,

że jej głos nie zadrżał od powstrzymywanego śmiechu.

– To jedyna rzecz, jaką mogłem robić w tej kajucie. – Cecelia pomyślała, że niewątpliwie mówi prawdę. Jej kapitan okazała się prawdziwym skarbem. Cudo. Miała ochotę chwycić Heris w objęcia i zatańczyć z nią na korytarzu... ale gdy wyobraziła sobie jej minę, omal nie parsknęła śmiechem. Zauważyła, że Ronnie przygląda się jej nieco podejrzliwie.

– Cieszę się, że nie jesteś chory i nie zrobiłeś niczego okropnego, na co kapitan Serrano musiałaby mi się poskarżyć. Dobrze, że miałeś dość rozsądku, by tak dobrze wykorzystać ten czas. Muszę przyznać, że bawi mnie konieczność oszukania George'a. Cóż, teraz jestem stara i nie muszę się już przejmować opiniami przyjaciół, ale kiedy byłam w twoim wieku, ich zdanie również wiele dla mnie znaczyło.

– Nawet ty? Myślałem, że ty nigdy nikim się nie przejmowałaś. – Ton wyrażał więcej szacunku niż słowa.

– Nie przejmowałam się niektórymi członkami rodziny – i wcale się tym nie chwale. Ale miałam przyjaciół – takich, którzy dzielali moje zainteresowania – i bardzo liczyło się dla mnie to, co oni myśleli. Tak więc ukryję przed Georgem twoje studia, czegokolwiek one dotyczyły, i będę udawać, że nic nie wiem – co w sumie nie odbiega od prawdy.

– Dziękuję, ciociu Cecelio – powiedział. Coś w jego oczach zdradzało, że nie jest do końca szczery, ale łatwiej było wytrzymać jego przesadną uprzejmość niż ciągłe narzekania. – Przypuszczam – dodał – że powinienem poprosić cię o pozwolenie na skorzystanie z symulatora.

– Oczywiście. Niektórzy z twoich przyjaciół – dzieci Bunny'ego i Raffaele – sporo z niego korzystali. Zrobiłam harmonogram, żebyśmy sobie nawzajem nie przeszkadzali.

– A pani kapitan? – zapytał. Zauważyła napięcie szczęk, które on zapewne uznał za dobrze ukryte. – Czy dobrze sobie radzi?

– Ależ tak. Szkoda, że nie zaczęła wcześniej, nadawałaby się do otwartych konkursów. Ale będzie całkiem dobrze radzić sobie w terenie, gdy tylko nabierze trochę doświadczenia. – Uśmiechnęła się, widząc na jego twarzy niedowierzanie i zazdrość. – Jestem pewna, że ty też byłbyś dobry, gdybyś spędził na symulatorze tyle samo czasu. Jesteś właściwie zbudowany.

– Ale ja nie interesuję się końmi – zauważył Ronnie. – Matka pewnie uznałaby, że mnie skaziłaś swoimi pasjami.

– Cóż, spróbuj. Może ci się spodobać bardziej, niż sądzisz. Rodzina wychowała cię w przekonaniu, że to niedorzeczne, bo moi rodzice chcieli wydać mnie za mąż w ramach jakiegoś sojuszu handlowego, a ja chciałam tylko zawodowo jeździć konno. Czy miałam rację, czy nie, to nie ma wpływu na prawdziwą naturę tego sportu.

– No dobrze. – Wyciągnął ręce obronnym gestem i Cecelia uświadomiła sobie, że podniosła głos. Ten stary spór z rodzicami i wujami wciąż budził w niej emocje. Gdyby nie byli tak koszmarnie uprzedzeni, ona nie upierałaby się tak mocno. Przestałaby jeździć po roku czy dwóch latach, a po utracie Buccinatora z pewnością wyszłaby za mąż. Jeśli nie za Pierce-Konstantina, to za kogoś równie rozsądnego. Ale oni usiłowali jej zabronić udziału w zawodach, kiedy prowadziła w klasyfikacji do dorocznej nagrody, i wtedy się zbuntowała.

Zdała sobie sprawę, że właściwie ma z Ronniem więcej wspólnego, niż sądziła.

Większość dużych stacji kosmicznych trzymała się jednego z trzech podstawowych schematów projektowych: koła, cylindra i zetownika w przypadkach, gdy wymagane były szczególne efekty rotacyjne. Kiedy Heris wywołała specyfikację stacji na Serialis, którą jej pasażerowie nazywali „planetą Bunny’ego”, odniosła wrażenie, że wykonała kolejny krok w stronę oderwania się od rzeczywistości. Antyczny zamek wirujący majestatycznie w nieważkości? Tym razem nie próbowała sama tego zrozumieć – zadzwoniła do swojej pracodawczyni i przesłała jej obraz stacji, na której mieli dokować.

– Czy jest na to jakieś wytłumaczenie, czy też mam przyjąć, że to skutek jakiegoś arystokratycznego szaleństwa?

– Określenie „szaleństwo” nie odbiega daleko od prawdy – przyznała Cecelia. Sądząc po tonie jej głosu, reakcja Heris ani jej nie zaskoczyła, ani nie obraziła. – W tej rodzinie już od paru pokoleń widoczna była pewna... eee... ekscentryczność. Niektórzy sądzą, że to dzięki temu tak szybko się wzbogacili – mają zmysł do pieniędzy w tym miejscu, gdzie pozostali mają zdrowy rozsądek. Co się zaś tyczy tej stacji, zobaczymy, czy potrafię ci to wytłumaczyć.

– Nikt – oświadczyła Heris, przyglądając się wirującym powoli na ekranie krenelażom, wieżyczkom, schodom, łukom i krużgankom, co wyglądało całkowicie absurdalnie – nikt nie może tego wytłumaczyć. – Próbowала podążyć wzrokiem za schodami prowadzącymi w górę do kwadratowej wieży, ale wieża nagle znalazła, się nie tam, gdzie powinna... Schody musiały zatem prowadzić w dół. Pomyślała, że ktoś zrobił błąd na wyświetlaczu.

– Zaczęło się dwa pokolenia temu od wuja Bunny’ego, Pirdicha – mówiła dalej Cecelia, ignorując jej komentarz. – Właśnie wtedy udało im się usunąć najcięższe zniszczenia dokonane przez pierwotnych kolonistów, podczas gdy lordowie Grande Caravan wmawiali im, że to jest niemożliwe.

– Ta stacja jest dowodem, że to było możliwe?

– Tak, Pirdich chciał udowodnić, że potrafi rozwiązać problemy uznane przez wszystkich za niemożliwe do rozwiązania, budując niesamowitą stację kosmiczną. Rodzina Bunny’ego od dawna kochała się we wczesnym okresie przemysłowym na Starej Ziemi, dlatego tę stację zbudowano według projektu artysty z tamtych czasów. Nie znam jego nazwiska, nigdy nie interesowałam się rysunkiem. Jest dziwna, prawda? Ale jeśli uważasz ją za niesamowitą, poczekaj, aż zobaczysz wnętrze i fontannę na centralnym placu. Wszystko tam jest dziełem tej samej osoby i jest cudownie pokręcone.

Heris nie powiedziałaaby, że „cudownie” to odpowiednie słowo. Z jej doświadczeń wynikało, że niektóre projekty stacji kosmicznych sprawiały wszystkim kłopoty, zwłaszcza kapitanom dokujących do nich statków. Kreatywność nie powinna wychodzić przed ergonomię.

– Czy wszystkie trzy stacje są tak samo pokręcone jak ta? – zapytała. Jeśli nie, może zdoła przekonać Cecelię do zadokowania gdzie indziej niż na tej prestiżowej, ale ewidentnie niepraktycznej stacji.

– Oczywiście, że nie. Kiedy mieli już unikalną i niesamowitą stację, chcieli, żeby każda była inna. Proszę. – Cecelia przesłała Heris nowe obrazy ze swojego komputera: stylizowana szyszka sosnowa w srebrze i szkarłacie oraz coś, co wyglądało jak niedbale rozrzucony stos materiałów konstrukcyjnych, które ktoś skleił pośrodku bryłą czegoś lepkiego. – Osobiście uważam, że ta jest najgorsza – skomentowała Cecelia. – Ten prefekt Dzaniana to wina ciotki Bunny’ego, Zirip, która wyszła za Dzaniana i uparła się, że uwielbienie rodziny dla Starej Ziemi jest patologią. Nie da się tam zadokować niczego dużego, bo te sterczące na zewnątrz części nie pełnią żadnej funkcji, a

hangary są ukryte pomiędzy nimi. Jest tylko jedno stanowisko na przyzwoitej wielkości statek i właśnie tam przeładowują zaopatrzenie. Zirip powiedziała mi kiedyś, że uważa tę stację za miłą, bo jest tam dużo ciasnych, intymnych pomieszczeń. Ale Zirip była tego typu osobą, która przerobiła garderobę na sypialnię i gabinet, a z pokoju zrobiła salę taneczną. Aż do tamtej pory sądziłam, że szaleństwo w tej rodzinie przenosi się wraz z chromosomem Y.

Heris zrobiło się żal kapitanów jednostek towarowych, którzy musieli pozbywać się ładunku na tej stacji, ale pomyślała, że pewnie już się do tego przyzwyczaili.

– A ta... hmmm... szyszka?

– To symbol. Przynajmniej tak mi powiedzieli. Poleciałam tam raz promem rodzinnym. Dokuje się całkiem przyjemnie, ale szybko zmęczyły mnie brązy, zielenie i ciągle te same zapachy. To najbardziej pojemna stacja i dokuje tam większość jachtów gości. – Heris westchnęła. Zadowolony ton osoby, która wie, że dokuje w najbardziej prestiżowym miejscu, oznacza, że nie ma żadnej nadziei na przekonanie Cecelii do skorzystania z innej stacji.

Jeszcze raz przyjrzała się informacjom dla przylatujących jednostek. Może stacja wygląda jak dziwny zamek unoszący się w przestrzeni, ale wyposażono ją w dobrze zaprojektowane hangary dokowe, sygnały naprowadzające, łącza komunikacyjne i komputerowe, listy standardowego i dostarczanego na życzenie sprzętu oraz złączy – i to wszystko było całkowicie normalne, dokładnie takie jak na Takomin Roads. Zaciekawilo ją, kto w tej rodzinie miał dość rozsądku, żeby tak praktycznie zaprojektować tę część stacji.

– Jakiego rodzaju infrastruktura jest tam dostępna dla załogi nie będącej na służbie? – zapytała. Spodziewała się ostrej reakcji i faktycznie taka była.

– Jaka znowu załoga nie na służbie? Już mówiłam, że cała załoga uda się do domów gościnnych. – Cecelia sprawiała wrażenie zirytowanej.

– Milady. – Oficjalny ton powinien ją otrzeźwić. – Ma pani całkowicie nowy zestaw elementów układu podtrzymywania życia, a przelot z Takomin Roads nie trwał wystarczająco długo, by załoga osiągnęła właściwe standardy przeszkolenia. Chciałabym zostawić na pokładzie dyżurną załogę.

– Zarząd stacji nie zgodzi się na to. Wszyscy wysyłają swoje załogi do domu gościnnego i statki zostają zabezpieczone. Co, boisz się, że na pokład dostaną się jacyś przemytnicy?

Heris nie odpowiedziała, choć uważała, że w razie czego przemytnicy nie mieliby żadnego problemu z dostaniem się na statek pozostawiony bez załogi na prywatnej stacji. Czekwała. Cecelia nie jest głupia, sama pomyśli o tym za parę minut. Po dłuższej chwili ciszy znów rozległ się głos jej pracodawcy, nieustępliwy, ale już bez złości.

– Rozumiem. Właśnie tak myślisz. No ale ktoś faktycznie włożył coś w moje płuczki. – Heris z rozbawieniem zauważyła, że teraz to były „jej” płuczki. Przynajmniej już wie, co to jest. – Czy dowiedziałaś się, co w ogóle ukryto na tych kostkach?

– Nie – przyznała Heris. – I wątpię, żeby nas o tym poinformowano, chyba że sprawa dotrze do sądu. Chodzi mi o to, że potrzebujemy mieć kogoś na pokładzie. Jeśli ty się na to zgodzisz, zarząd stacji nie będzie mógł odmówić.

– Ale co z wydatkami? Ponadto załoga spodziewa się wakacji w domu gościnnym – czy nie będą się buntować?

– Wyobraź sobie, że podczas pobytu na planecie na statku pęknie rura i brudna maź zaleje ci cały dywan. Nie lubisz tego lawendowego pluszu tak samo jak ja, ale wyobraź sobie ten bałagan. Pomyśl, jak zareagowałaby twoja siostra. A co do załogi, to mój problem. Jeśli będą się złościć, to na mnie.

Czas, by zapracowali na te pieniądze, które im płacisz.

– Ty naprawdę jesteś zdeterminowana, prawda? – Pytanie było lekko złośliwe.

– Tam, gdzie w grę wchodzi bezpieczeństwo i integralność tego statku, owszem – potwierdziła Heris.

* * *

Potrzebowała autorytetu Cecelii, by zarządca stacji zmienił zdanie.

– To absolutnie niezbędna procedura – oświadczył. – Trzymamy się jej z pewnych powodów – po prostu nie możemy pozwolić, żeby beczynne załogi statków snuły się po stacji i pakowały w kłopoty.

– Nie będą – zapewniła Heris. – Zajmą się poznawaniem nowych systemów, zainstalowanych niedawno na tym statku. W czasie swojej zmiany na statku będą mieli bardzo mało czasu na beczynność – a jeśli będzie pan nalegał, mogę zakazać im opuszczać jednostkę, choć wolałabym dać im trochę wolnego czasu. Lady Cecelia jasno dała do zrozumienia, że wymaga dokładnego przeszkolenia załogi, po tym, jak mieliśmy tu pewne incydenty... – Nie powiedziała jakie, a on nie zapytał.

– Tak, ale... naprawdę nie mamy tu infrastruktury...

– Sześć osób równocześnie na całym statku. Nie więcej niż trzy poza pokładem.

– Tylko trzy? – spytał zarządca.

Heris uśmiechnęła się pod nosem. Wygrała.

– Tak. Będą pełnić całodobowe wachty i mają mnóstwo pracy, w związku z czym wolałabym pozwolić im na jedzenie posiłków na stacji, zamiast zatrzymywać z nimi kucharza.

– Ach, rozumiem. Linia kredytowa lady Cecelii?

– Oczywiście: konto statku, z limitem... – Musiała wprowadzić jakieś ograniczenie, bo inaczej załoga i dostawcy stacji mogliby zacząć oszukiwać.

– Proponowałbym trzydzieści dziennie na osobę – rzekł zarządca. Utargowała do dwudziestu; przejrzała już reklamy dostawców i wiedziała, że załoga może dobrze się najeść za piętnaście.

Później musiała powiedzieć o tym załodze. Nie spodziewała się wielkich problemów, i rzeczywiście wysłuchali jej w pełnej szacunku ciszy, choć zauważyła trochę rzucanych w bok spojrzeń. Nowi członkowie załogi, którzy nigdy nie byli w domu gościnnym, byli zadowoleni z możliwości spędzenia tam wolnego czasu. Ci przyzwyczajeni do obijania się przez cały kwartał na pełnej gaży mogli narzekać, ale zbyt dobrze pamiętali zwolnienie pilota. Heris miała nadzieję, że niektórzy z nich sami postanowią się zwolnić, bo nie miała wątpliwości, że może znaleźć lepszych. Kiedy zapytała o ochotników na pierwszą turę, zgłosiła się Sirkin i najnowsi członkowie załogi – właśnie tego się spodziewała. Zaplanowała krótsze tury i częstsze zmiany (wbrew protestom Cecelii i zarządcy stacji), twierdząc, że nieużywane umiejętności idą w zapomnienie. Prawdę mówiąc, nie chciała pozostawiać niektórych członków załogi zbyt długo na pokładzie.

Do czasu dokowania – odbyło się bez żadnych incydentów, gdyż wbrew pozorom dziwnie wyglądająca stacja była całkiem dobrze zaprojektowana – Heris przygotowała harmonogram i zaplanowała tyle pracy, by załoga na pokładzie nie miała czasu się nudzić. Najbardziej zaufanych ludzi rozproszyła po wszystkich zmianach; miała nadzieję, że tak samo stało się z ewentualnymi

agentami przemytników. Potem przysłała pora na spakowanie się i przygotowanie do podróży na planetę.

* * *

– Miałaś rację – powiedziała Heris do swojej pracodawczyni, gdy wyszły z kołnierza na centralny plac stacji. – Nie mogę uwierzyć. – Wzorzysty obiekt na środku był równie niesamowity jak sama stacja, a dodatkowo szokował strumieniem wody płynącej pod górę. Sam ten fakt nie byłby szokujący: każdy widział odwrócone fontanny czy płynął w parku rozrywki takim strumieniem stworzonym przez niewielkie generatory sztucznego ciężenia. Ale ten strumień nie płynął w korycie, przeskakiwał w powietrzu z jednego widocznego kanału do drugiego. – To hologram, prawda?

– Nie, to jest prawdziwe... na swój sposób. Możesz włożyć rękę i się przekonać. – Cecelia była przesadnie zadowolona z siebie. Po chwili namysłu Heris zdecydowała się nie wsadzać ręki do wody. Nie zamierzała też pytać, jak stworzono tę iluzję. Cecelia uśmiechnęła się szeroko. – Widzę, że nie zapytasz, więc ci podpowiem: błony Spirlina.

Błony Spirlina zawieszane w wodzie drastycznie zwiększały jej napięcie powierzchniowe. Były bardzo podobne do ludzkiej skóry, która często reagowała na zawarte w nich związki chemiczne efektem fluorescencji nawet do czterech dni po kontakcie.

– Rozumiem. – Heris rozejrzała się wokół. Na tę część stacji składały się ogrody zaprojektowane zgodnie z takimi samymi dziwacznymi standardami jak reszta stacji i fontanna, schody, niskie ściany i tarasy z siedzeniami, które tutaj optycznie nie pasowały – przechodziły płynnie od kanciastych do falistych, potem zakrzywionych i z powrotem kanciastych, a w niektórych przypadkach przez zniekształcenie perspektywy sugerowały nieprawdziwą wielkość lub odległość. Kwietniki zawieszane pod irytującymi kątami były pełne dziwnych roślin. Kiedy spojrzała w górę, zobaczyła jeszcze jeden ogród i głowy ludzi chodzących po suficie. Zachwiała się, tracąc na chwilę równowagę. Cecelia złapała ją za ramię.

– Tamto to hologram. Przepraszam, należało cię ostrzec. Prawie nikt nie spogląda do góry.

Po czymś takim Heris bała się nawet pomyśleć, jaki prom będzie na nich czekał w doku... ale okazało się, że z zewnątrz wygląda całkiem zwyczajnie, choć był znacznie bardziej luksusowy niż modele komercyjne czy wojskowe. Prom zawiózł bezpiecznie grupę lady Cecelii na powierzchnię planety. Cecelia i Heris podróżowały w przedziale dziobowym, młodzież w głównym, a pokojówka lady i paru dodatkowych służących na rufie. Gdy weszli już w atmosferę, steward podał obiad. Tuż przed zachodem słońca, gdy nadeszła chwila lądowania, Heris poczuła, że już prawie pogodziła się z faktem, iż jest pasażerką.

Rozdział 9

– Mieliśmy nadzieję, że dotrze pani na dzień otwarcia, lady Cecelio – rzekł kościsty, niewysoki mężczyzna stojący u wejścia do stajni. Opuściły główny dom – który Heris ledwie zdążyła zobaczyć poprzedniego wieczoru po przyjeździe z lądowiska promów – i znalazły się przed grupą budynków równie dużych jak sam dom. Zbudowano je z bladożółtego kamienia, a okna i drzwi obramowano szarym kamieniem. Główna brama wykonana była z metalu i składała się do środka.

– Czasem tak bywa – odpowiedziała Cecelia. – Chciałabym ci przedstawić Heris Serrano, która jest w tym roku moim gościem. Jest nowicjuską w polowaniu, ale z jazdą powinna sobie całkiem dobrze poradzić.

– Miło mi, pani. – Mężczyzna spojrzął uważnie na Heris; odniosła wrażenie, że jest poddawana inspekcji. Najwyraźniej jednak kontrola dobrze wypadła, bo na jego ustach pojawił się uśmiech. – Proszę wejść, czeka na panią.

– Teraz zobaczysz – rzuciła Cecelia, gdy przekroczyły łukowatą bramę i znalazły się w szerokim, wyłożonym ceglami przejściu między rzędami boksów. Za kolejną bramą widać było jeźdźca kłusującego na koniu po placyku.

– Lady Cecelia! – Witający je mężczyzna był szczupły, opalony, wyprostowany i energiczny. Ze sposobu, w jaki ułożyły się zmarszczki na jego twarzy, widać było, że rzadko się uśmiecha. To był Neil, który nadzorował szkolenie i przydziały koni dla jeźdźców. – Najwyższy czas, zatrzymałem dla pani dwóch dobrych kandydatów. – Zerknął tylko na Heris, po czym przywołał kogoś gestem, by przyprowadził konia.

– Najpierw poznaj Heris Serrano. Jest w tym roku moim gościem; przeszkoliłam ją wstępnie na symulatorze.

Mężczyzna znów spojrzął na Heris, tym razem uważniej, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Cecelię.

– Z pełnym oprogramowaniem?

– Z tym, którego sama używam. Jest nowicjuską, ale za to bardzo dobrą. Robi już metrowe skoki, ale tylko na symulatorze, i potrzebuje praktyki, zanim wyjedzie w pole...

– I nie chce pani, żebym traktował ją jak dzieciaka, któremu wydaje się, że potrafi jeździć, bo raz utrzymał się na grzbiecie konia w galopie, tak?

– Chcę, żeby miała solidne doświadczenie. I chcę, żebyś ty ją nadzorował, a nie jeden z twoich asystentów, chyba że masz jakichś lepszych niż ostatnim razem.

– Niestety. Odchodzą, kiedy są już bardzo dobrzy. – Ponownie zmierzył wzrokiem Heris. – Myślę, że zaczniemy od czegoś rozsądnego. Szesnaście?

– Dobrze.

– Musi mi pokazać w kole, że opanowała podstawy, a zaraz potem zacznie jazdę w terenie.

– Dziękuję, Neil.

– Żaden problem. – Wciąż przyglądał się Heris, jakby nagle wyrosły jej łuski, po czym kiwnął głową i zawołał: – Przyprowadźcie mi gniadą klacz z siedemnastki, siodło szesnaście i oliwkowe wędzidło! – Dopiero teraz zwrócił się do Heris. – Lady Cecelia mówi, że jest pani obiecującą nowicjuską; ta klacz da pani szansę udowodnienia, że to prawda. Jest godna zaufania i potrafi skakać, ale nie jest wystarczająco szybka do jazdy w terenie. Jeśli się nada, będzie pani mogła jej

używać do czasu zakwalifikowania się do odpowiedniej grupy.

Szczupła dziewczyna przyprowadziła konia, który wydał się Heris niemożliwie wielki; miał tak ciemnobrązową maść, że kiedy nie stał w słońcu, wydawał się czarny. Cecelia kiwnęła głową.

– To z nasienia Buccinatora?

– Tak. Z klaczy Cullross. Są dwa, drugi jest jasnym kasztanem. Zanim pani coś powie: wiem, że nie pokazałem go w zeszłym roku, ale milord zabronił, bo to miała być niespodzianka. Chce go pani wypróbować?

Heris zauważyła rumieniec na policzku Cecelii i zachwyt, który nadał jej wygląd małej dziewczynki.

– Oczywiście. – Błyskawicznie znalazła się na końskim grzbiecie, wybijając się lekko z ręki, która zapewniła jej podparcie. Heris widziała swoją pracodawczynię na kostkach treningowych na grzbiecie wielu koni i zdawało się jej, że wie, jak to wysokie, tyczkowate ciało, czasami niemal zbyt sztywne, będzie wyglądać w siodle. A jednak teraz Cecelia wyglądała lepiej – jakby zlała się z koniem w jedno.

– Proszę, sir. – Ktoś inny przyprowadził mniejszego, brązowego konia dla Heris. Mężczyzna uklonił się, a Heris bez niczyjej pomocy wsiadła na koński grzbiet.

– Chodźcie obie – powiedział Neil. – I tak musicie rozgrzać się w środku.

Siedząc na pierwszym żywym koniu od czasu Akademii, Heris odkryła, że skoordynowanie ruchów nóg i dłoni jest trudniejsze, niż przypuszczała. Podobało jej się, że siedzi tak wysoko, i wolałaby móc się rozglądać, a nie kierować zwierzęciem. Jadąca przed nią na ciemnym koniu Cecelia zdawała się nie mieć tego rodzaju problemów. Heris ustawiła się za nią, mając nadzieję, że jej koń pójdzie spokojnie za tamtym, a tymczasem ona będzie mogła sobie przypomnieć wszystkie lekcje.

Wewnętrzny plac treningowy miał kształt otoczonego murem owalu. Skręciły w prawo, a Neil przeszedł na środek, skąd miał lepszy widok. Heris wciąż czuła się dziwnie. To nie było mechaniczne urządzenie czy elektroniczny obraz; siedziała na zwierzęciu, żywej istocie, która pachniała jak zwierzę i taka też była w dotyku (gdy wreszcie odważyła się dotknąć jego karku). Czuła jego oddech na swoich nogach.

Symulacje są efektywnym narzędziem szkoleniowym, pomyślała. Nawet prowadzenia statku kosmicznego nauczyłaś się na symulatorach, więc to oczywiste, że potrafisz jechać na tym zwierzęciu. Poczula, że koń zwalnia, ponieważ niewystarczająco go ponaglała. Cecelia wspominała, że niektóre konie wymagają silniejszego nacisku nóg. Heris docisnęła mocniej, a koń uniósł wyżej głowę (jak na obrazie w WR!) i ruszył szybciej. Mężczyzna mówił, że to klacz, a klacze to samice... czyli ona ruszyła szybciej.

– W drugą stronę – polecił Neil. Niemal bez chwili namysłu Heris skróciła jedną z wodzy i przesunęła lekko nogi, a klacz gładko zakręciła, by ruszyć w przeciwnym kierunku. To działało. Działo na symulatorze, ale sprawdzało się też na prawdziwym koniu. Spojrzała na Cecelię jadącą po drugiej stronie placu. Jej pracodawczyni wcale nie wyglądała na swój wiek, mogła być w wieku Heris lub młodsza.

– Przyspieszcie do kłusu – polecił Neil.

Kłus okazał się zupełnie inny niż na symulatorze. Z początku nie umiała utrzymać równowagi i natychmiast wyczuła niezadowolenie Neila. Potrzebowała przejechać pełen obwód, żeby zrozumieć, na czym polega jej błąd – utrzymanie równowagi na symulatorze było stosunkowo łatwe, ponieważ

ten nie przemieszczał się względem statku, a tymczasem koń poruszał się po ziemi. Gdyby nieco bardziej wychyliła się do przodu... Spróbowała – i nagle wszystko było w porządku. Cecelia miała rację – to przypominało trochę taniec.

To doświadczenie pozwoliło jej przyjąć odpowiednią postawę w galopie już po paru krokach. Napór zimnego powietrza na twarz upajał i wcale nie miała ochoty się zatrzymywać.

– Nada się – rzucił Neil do Cecelii, po czym zwrócił się do Heris. – Dobrze, pani kapitan. Proszę wrócić do marszu i przyprowadzić klacz do środka. Może pani przyjrzeć się, co robi lady Cecelia. – Heris zwolniła, pamiętając o wyprostowaniu pleców, i podprowadziła klacz do Neila. Koń Cecelii znów maszerował stępa. Heris była zaskoczona jego rozmiarami. Nawet z wysokości siodła wyglądał imponująco. Kiedy Heris zatrzymała klacz, wierzchowiec Cecelii przyspieszył do kłusu. Kapitan zauważyła, że kobieta nie czekała na sygnał Neila. Przyglądając się kłusującemu ogierowi, zaczęła się zastanawiać, czemu Cecelia już wcześniej jej nie wyprzedziła. Jej koń poruszał się o wiele szybciej... Potem Cecelia znów zwolniła. Szyja ogiera wygięła się w łuk, a kroki skróciły. Heris patrzyła zafascynowana.

– Zobaczmy, jak poradzicie sobie na paru przeszkodach – rzekł Neil. Poprowadził je do innego owalu, gdzie przygotowano cztery małe przeszkody. – Pani pierwsza – zwrócił się do Heris. – Proszę po prostu przejść do kłusu i przeskoczyć te małe białe zapory.

Heris zebrała wodze i pchnęła klacz do kłusu. Przeszkoda stała w miejscu, a ona się do niej zbliżała, podczas gdy na symulatorze wydawało się, że jest odwrotnie. W chwili, kiedy o tym pomyślała, klacz zebrała się do skoku i Heris pochyliliła się na jej grzbietem. Okazało się, że wrażenie było takie samo jak na symulatorze. Zawróciła klacz, czekając na kolejne polecenia.

– Teraz proszę spróbować tych przeszkód – polecił Neil. Następne skoki również poszły gładko. Siedziała w siodle dobrze i pewnie, ale wiedziała, że przeszkody są niskie. Potem pokonała te same zapory w pełnym galopie. Neil zawołał i pojawiło się kilku krzepkich młodzieńców, aby przestawić przeszkody. Znów skoczyła – najpierw kłusem, potem galopem – i ekipa zmieniła wysokość przeszkód i dzielące je odległości. Neil nie komentował jej skoków, dopóki nie było po wszystkim. Wtedy zawołał ją do siebie. – Lady Cecelia ma rację – oświadczył. – Jest pani solidnie wyszkoloną nowicjuską. Później zobaczymy, jak pani sobie poradzi w terenie.

Teraz przyszła kolej na Cecelię. Potężny ciemny koń pokonał przeszkody w kłusie; wyglądał przy tym tak, jakby prawie nie odrywał się od ziemi. Potem przeszkody podwyższono i zmieniono odległości. Heris przyglądała się, jak ciemny ogier wzbija się w górę, unosząc nogi wysoko nad przeszkodami, jak zbiera się w sobie i rozciąga w miarę, jak przeszkody ustawiano bliżej lub dalej od siebie. A Cecelia, którą kiedyś uważała za starą, bogatą ekscentryczkę... latała razem z koniem, jakby była jego częścią.

Kiedy skończyły, wróciły razem do stajni. Cecelia poinformowała Neila, że przyjdzie później, aby objeździć drugiego konia.

– Teraz chcę dopilnować, żeby Heris się rozgościła – wyjaśniła. – Musi poznać parę osób i dowiedzieć się, gdzie co jest.

– Oczywiście – zgodził się Neil. – Ale proszę dać mi znać, zanim pani tu przyjdzie.

W drodze do domu Heris rozglądała się już z dużo większą swobodą. Podobnie jak sam dom, wszystkie okoliczne budynki albo wzniesiono z kamienia, albo je nim wyłożono. Większość miała także kamienne lub ceramiczne dachy. Przypominało to kostkę z obrazami Europy na Starej Ziemi.

– To wygląda trochę jak starsze części Akademii – zauważyła, obracając się za kims jadącym

wąską brukowaną uliczką wzdłuż kamiennych budynków.

– Tutaj także zdecydowała ekonomia – zauważyła Cecelia. – Musisz pamiętać, że tę planetę zasiedlono zaledwie dwa stulecia temu. Przodkowie Bunny’ego mieli pieniądze, owszem, ale znacznie taniej było sprowadzić tutaj robotników i budować z lokalnego kamienia, niż postawić całą fabrykę, która produkowałaby tradycyjne materiały budowlane. Podejrzewam, że po prostu skopiowano projekty ze starych książek, dlatego przypomina to wyglądem Starą Ziemię. Jeśli ktoś się z nich naśmiewał, na pewno zarzekali się, że to celowe. – Obeszła okrągły klomb pełen jaskrawoczerwonych kwiatów. – Oczywiście od samego początku zadbano o wszystkie wygody, mimo wszystko nie chcieli budować kopii antyków.

– Ale skąd konie? Zawsze je tu mieli?

– Chyba tak. Na kolonialnych światach zawsze mają konie, bo to tani środek transportu, na dodatek same się mnożą. W rolnictwie również korzysta się z pracy koni. Czy widziałaś wiele światów na wczesnych etapach osadnictwa?

– Nie. Poza przepustkami, spędzałam czas na statkach lub w biurach.

– No tak. Cóż, większość importuje zwierzęta pociągowe. Główne rasy tych zwierząt wywodzą się od konia, wołu lub wielbłąda.

– Wielbłąda? – Heris nie była pewna, czy wie, jak wygląda wielbłąd.

– I jeszcze lamy – dodała Cecelia. – Widziałaś kiedyś wielbłądy?

– Nie.

– Ja też nie, tylko na zdjęciach. Jedna z wczesnych ras koni ze Starej Ziemi powstała w tej samej kulturze, która używała wielbłądów. To brzydkie stworzenia z garbatymi grzbietami. Podobno dało się na nich jeździć, ale nie bardzo wiem jak. – Cecelia wołała jednak teraz myśleć o tym, że jutro rano znów będzie polować. Była pewna, że Heris szybko zakwalifikuje się do łowów, może nawet do grupy zielonych, ale na razie interesował ją jedynie jutrzejszy poranek.

* * *

To nieważne, że ominął ją dzień otwarcia, z farsą starożytnych ceremoniałów zaczerpniętych z Surteesa i Kiplinga, wciąż miała przed sobą całe polowanie. Cecelia wystawiła głowę przez okno i odetchnęła głęboko. Tak. Dość chłodno, świeżo i sucho. Dzisiaj dostanie nowego wierzchowca. Syna Buccinatora. Czasami bogowie nagradzają człowieka za nieznane zasługi.

Personel Bunny’ego podał przed polowaniem znakomite śniadanie. Cecelia lubiła dobre jedzenie, ale tego dnia ledwie zauważyła zarówno zestaw tradycyjnych dań, jak i ich smak. Grupa zielonych, składająca się z najbardziej doświadczonych i najlepszych jeźdźców, niewiele rozmawiała przy śniadaniu. To był dopiero początek sezonu, może później się rozkręca. Na razie wszyscy chcieli tylko jednego: koni, chłodnego powietrza, prędkości, pościgu.

Po śniadaniu Cecelia ruszyła w promieniach wstającego słońca w stronę stajni. Po raz pierwszy od czasu zrezygnowania z zawodów była tak szczęśliwa. O to właśnie chodzi w życiu: smaczne i ciepłe śniadanie w brzuchu oraz dobry koń do jazdy przez otwarty teren aż do końca dnia. W sakwach przy siodle czekały na nią jej ulubione przekąski na lunch; w tej kwestii Bunny nie usiłował wymuszać niezbyt mądrej tradycji – jeśli ktoś chciał termopak z krewetkami w słodkim sosie, proszę bardzo. Cecelia wołała ciepłą kanapkę z indykiem, piklami i serem oraz gorącą kawę.

Syn Buccinatora, potężny i czujny, już na nią czekał. Dosiadła go, ujęła wodze, kiwnęła głową

stajennemu i powoli ruszyła w stronę wyjścia. Przejechała pod kamiennym łukiem i znalazła się przed frontem głównego domu, gdzie zebrała się już grupa myśliwych pod wodzą Bunny'ego. Podkowy stuknęły na kamieniach, a jeźdźcy na końskich grzbietach rozmawiali pewnymi sobie głosami.

Psy czekały na słońcu, machając ogonami i kręcąc się wokół łowczych ubranych w szkarłatne kurtki. Bunny uśmiechnął się szeroko na powitanie.

– Podoba ci się, prawda?

– Ty draniu! Mogłeś mi pozwolić zobaczyć go w zeszłym roku.

– Nie był gotów. Ale jesteś pierwszą osobą, która bierze go na łowy. Szkolono go, ale nigdy jeszcze nie polował.

– Jesteś nad wyraz hojny. – I faktycznie. Pozwolić gościowi zabrać niedoświadczonego konia w pole, na polowanie w najtrudniejszym terenie... Nie sądziła, by sama na coś takiego się zdobyła, gdyby to był jej koń i jej ziemia.

– Nie mógł trafić w lepsze ręce – odpowiedział Bunny. – Jedno ustępstwo – zaczniemy dzisiaj z lisami Long Tor. – To znaczyło mniej jazdy przez las, a więcej po otwartym terenie, ale za to pola oddzielone były przeszkodami w postaci kamiennych murów, no i będą mogli jechać szybciej.

– Ale będzie zabawa – skomentowała Cecelia. Podjechali pozostali jeźdźcy i zaczęli witać się z gospodarzem, więc się oddaliła.

* * *

Lisy Long Tor biegingy długą, krętą trasą przez otwarte zbocza i trudne wąwozy, po czym zawracały prawie do miejsca startu. Syn Buccinatora dowiódł swoich możliwości przy murach i rowach, biegnąc z wytrzymałością i prędkością godną potomka tak wspaniałego konia. Cecelia go nie poganiała. Nie miała powodu się popisywać; wszyscy wiedzieli, że potrafi wspaniale jeździć, i zdawali sobie sprawę, że koń jest jeszcze zielony. Znacznie ważniejsze było zmęczenie młodego, wciąż pełnego energii wierzchowca i tchnięcie w niego pewności siebie przed następnym biegiem. Wrócili do domu w złotym słońcu popołudnia. Kiedy Cecelia przejechała przez bramę, Neil przywitał ją podniesionymi do góry kciukami.

– Spokojny, chłodny, bez żadnego zadrapania... Jest pani z niego zadowolona?

– Spełnił wszystkie pokładane w nim nadzieje. Ani razu się nie spłoszył, ani razu się nie zawahał. Biegłby nawet szybciej, gdybym go poprosiła. Właściwie z początku musiałam go hamować.

– To dobrze. Właśnie taką miałem nadzieję. Powinien być gotów pojutrze, a jutro, jeśli pani chce, może pojechać na starej Plotce.

– Daj mu dwa dni wolnego – poprosiła Cecelia. – To jego pierwszy sezon. Jutro trochę jazdy po płaskim, a pojutrze po powrocie z polowania przyjdę i trochę z nim poćwiczę.

– Myśli pani, że będzie miała dość energii?

Cecelia posłała mu niby oburzone spojrzenie. Zawsze próbował sugerować, że jest za stara, ale oboje zdawali sobie sprawę, że to tylko żart.

– Jak dobrze wiesz, mogłabym przeszkolić jeszcze trzy konie. Mam ci udowodnić?

– Nie, po prostu proszę jutro dobrze zmęczyć Plotkę. Pozwoliłem Calowi wziąć ją na otwarcie, ale powiedział, że zleciał już po paru pierwszych płótkach. Pani przyjaciółka kapitan Serrano radzi

sobie całkiem dobrze, na pierwszy bieg zamierzam przydzielić ją do niebieskich.

Cecelia wróciła do domu w pełni usatysfakcjonowana. Żeby tylko Heris i młody Ronnie zdali sobie sprawę, jaka to świetna zabawa.

* * *

Heris przez kilka godzin jeździła po płaskim terenie i skakała przez przeszkody na torze treningowym. Zdawała sobie sprawę, że decyzja Neila o przydzieleniu jej do grupy niebieskich była nagrodą. Wróciła do domu zeszywniała, choć właściwie nie obolała, gotowa na gorącą kąpiel.

Kamienny budynek był olbrzymi – cztery poziomy nad ziemią i jeden poniżej, zdumiewająca liczba pokoi, korytarzy, schodów, haków, ramp, wind, balkonów i innych elementów architektonicznych, dla których Heris zabrakło nazwy. Na poziomie ziemi były pokoje przeznaczone do siedzenia i czytania oraz pomieszczenia, w których odbywały się tańce, obiady, lunche, śniadania oraz gry hazardowe i bilard. Wysokie sufity i duże pokoje przywodziły Heris na myśl pokład startowy jej krążownika. Większość pokoi gościnnych mieściła się na pierwszym piętrze, wraz z kolejną biblioteką i pokojem dla kobiet z widokiem na ogród różany. Cecelia poinformowała ją, że na drugim piętrze również znajdują się pokoje dla gości oraz apartamenty rodzinne, zaś na trzecim (tradycyjnie) pomieszczenia dla służby.

Heris miała sypialnię wielkości całego jej apartamentu na jachcie. Z dwóch okien wychodzących na wschód roztaczał się widok na budynki rozproszone pośród zielonych pól. Na czarnym biurku z polerowanego drewna stała biała waza pełna pachnących róż, obok niej ustawiono biurkowy komputer. Łazienka zdumiała ją jeszcze bardziej. Była wielka i wyposażona we wszystkie luksusy, o jakich tylko można marzyć. Obejrzała z podejrzliwością jakieś dwie dziwne dysze i postanowiła zostawić je w spokoju. Skorzystała z wanny, odprężając się w bulgocącej gorącej wodzie, a potem wysuszyła włosy, rozbawiona nieco, że poświęca na to aż tyle czasu. Pomyślała, że to bardzo nietypowa dla wojskowej sytuacja.

Cecelia zapewniła ją, że może założyć na kolację tę samą sukienkę, którą miała na sobie w czasie ich wspólnego posiłku na Takomin Roads. Dodała do niej prosty, lecz elegancki srebrny naszyjnik, po czym ruszyła labiryntem korytarzy do opadających wdzięcznymi krzywiznami głównych schodów. Słyszając dobiegające z oddali głosy, poczuła się onieśmielona niczym pierwszego wieczoru w mesie na nowym statku.

Cecelia czekała przy schodach. Jej krótkie włosy tworzyły wdzięczną falę srebra i kasztanu. Założyła tak podziwiany przez Heris bursztynowy naszyjnik i długą, zdobioną koralikami tunikę w brązach i ochrach na luźną suknię w kolorze miedzi. Aż trudno było uwierzyć, że jest starszą damą, która spędziła cały dzień na koniu. Uśmiechnęła się.

– Pomyślałam, że przedstawię ci parę osób.

– Dziękuję – odpowiedziała Heris. Woląla niczego się nie spodziewać, ale i tak poczuła się zaskoczona. Mężczyźni byli ubrani w tradycyjną czerń i biel, kobiety w długie suknie. Wszyscy wyglądali bardziej jak atleci niż bogaci próźniacy. A jednak całe to otoczenie, ubrania i biżuteria wyglądały trochę karykaturalnie. Zatrzymała wzrok na ciemnowłosej piękności osłoniętej mgiełką srebrzystego jedwabiu, który zdawał się utrzymywać na miejscu wyłącznie dzięki jej afektacji.

– To Contessa – wyjaśniła Cecelia. W jej oczach pojawiły się wesołe iskierki. – A raczej tak lubi być nazywana. To rodzaj zabawy – odgrywanie postaci z historii, a właściwie z powieści

historycznych. Przeczytali wszystkie powieści z tamtej epoki i wchodzą w role różnych postaci.

– Powieści takie jak Surteesa i Kiplinga, które mi pożyczyłaś?

– To dopiero początek. Będziesz musiała zajrzeć do biblioteki Bunny’ego. Chodź, musisz go poznać.

Heris usiłowała stłumić ciekawość, czy gospodarz, lord Thornbuckle, także odtwarza jakąś postać. Czy niemądry wyraz jego twarzy jest prawdziwy, czy tylko specjalnie przybrał taką minę. Przywitał ją dłużej i cieplej niż Cecelię, dodając wyrazy ubolewania, że nie udało im się dotrzeć na dzień otwarcia sezonu.

– Miałyśmy małe opóźnienie – wyjaśniła Cecelia.

– Słyszałem od dzieci – rzekł. – To miło z twojej strony, że je ze sobą zabrałaś. Przepraszam... Porozmawiamy po kolacji. – I odwrócił się, by przywitać kogoś innego, delikatnie wzruszając przy tym ramionami w sposób sugerujący, że wolałby raczej nadal rozmawiać z Cecelią.

– Musisz też poznać Mirandę – oświadczyła Cecelia. – Jego żonę, matkę Buttonsa i Bubbles, choć trudno w to uwierzyć. Uwielbia odmłodzenia jak kociaki śmietaną.

I faktycznie, Heris nie podejrzewałaby nawet, że ta słodka blondynka jest w wieku Bubbles... a co dopiero starsza od niej. Miranda wyrecytowała uprzejme formułki powitalne i przedstawiła obie kobiety pułkownikowi Barksly. Ten przyjrzał się nieufnie Heris, zanim oddalił się na drinka – przynajmniej tak powiedział. Heris podejrzewała, że pójdzie prosto do komputera i zacznie jej szukać w jakiejś bazie danych oficerów. Życzyła mu w duchu szczęścia. Miranda wyznała Cecelii, że znów mają problemy z „tą Consuelą”, a Cecelia zdobyła się na stosowne wyrazy współczucia, zanim przeprosiła gospodynię, mówiąc, że „musi przedstawić niektórym ludziom kapitan Serrano”.

Heris nigdy nie lubiła rozmów przed kolacją, a tutaj zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Czuli się nie na miejscu w tych wysokich, chłodnych pokojach z niby-antycznymi dekoracjami, otoczona ludźmi, których stroje kosztowały więcej, niż wynosiła jej gaża we Flocie. Ale kiedy już niemal zdecydowała się wymknąć stąd i zjeść coś skromnego w swoim pokoju, rozległ się dźwięk gongu i ktoś (nie widziała kto) poprosił gości do stołu. Nagle wszyscy ruszyli z miejsca. Przydzielono jej partnera do posiłku (ucieszyła się, że jednak czytała Kiplinga) i wreszcie zasiadła przy długim polerowanym stole pod pseudobaronialnymi flagami.

Okazało się, że jej partnerem jest jeden z odległych kuzynów Bunny’ego, „desperacko spragniony polowań”. Heris nie miała problemów z udziałem w konwersacji, ponieważ kuzyn potrzebował jedynie słuchacza dla swoich opowieści o łowach w dniu otwarcia, dzisiejszym polowaniu, sprawności jego konia, urodzie pogody, sprycie lisa i nieudolnym prowadzeniu psów przez nowego łowczego.

– ...kompletnie nic niewart, a w miarę upływu dnia było coraz gorzej. Bunny nigdy nie powinien był pozwolić Cockranowi przejść na emeryturę.

– Nonsens! – obruszył się krzepki mężczyzna z drugiej strony stołu. – Cockran nie czuł się dobrze już od dwóch sezonów i teraz czeka na odmłodzenie. Bunny nie miał wyboru. Zresztą Drew wcale nie jest taki zły. Ta para szczeniaków sprawiała mu trochę kłopotów, ale stare wygi świetnie sobie radziły. A ten ostatni bieg...

– Ale nie było cię na miejscu, nie widziałeś, jak psy rozbiegły się po lesie...

Do tego wszystkiego przez cały czas podawano obfite, ale stosunkowo niewyszukane potrawy, którym dużo brakowało do elegancji posiłków serwowanych przez Cecelię, choć niewątpliwie mogły okazać się bardziej sycące. Heris zastanawiała się, czy w domu Bunny’ego trzymają się

tradycyjnego zwyczaju, że kobiety wcześniej odchodzą od stołu, czy też bardziej nowoczesnego, zgodnie z którym zwolennicy mocniejszych alkoholi przenoszą się do jednego pokoju, a pozostali do innego. Okazało się, że są bliżej tego drugiego. Z uczuciem ulgi przeszła do „pokoju kawowego”, a gadatliwy kuzyn postanowił utopić swoje żale w brandy.

– Jest pani byłym wojskowym, prawda? – zapytał ktoś za jej plecami. Był to pułkownik, którego przedstawiono jej wcześniej. Nazywał się Barksly. Heris stłumiła westchnięcie. Dwóch nudziarzy jednego wieczoru? Ale pułkownik mrugnął do niej. – Właściwie zasługuje pani na medal – Laurence Boniface rzadko zdobywa tak cierpliwego słuchacza. Większość pań już na początku ściąga konwersacyjne wodze i próbuje się z nim ścigać.

– Podawano smaczne jedzenie – zauważyła skromnie Heris.

Mężczyzna roześmiał się.

– A ja myślałem, że rozpoznała pani beznadziejny przypadek. Proszę mi jednak powiedzieć: Królewscy, Zawodowi czy siły lądowe? – Nie zamierzał zrezygnować z pytań.

– Zawodowi. – Powiedziała to krótko i stanowczo; może zrozumie sugestię?

– Aha. – Niemal słyszała zgrzyt obracających się w jego głowie trybików. – Spotkałem kiedyś admirała Serrano na przyjęciu w ambasadzie na Seychartin.

– Jeśli miał dwa metry wzrostu i bliznę od lewego ucha przez cały policzek, to mój wuj Sabado. A jeśli była mojego wzrostu, z dużą ilością warkoczy, to ciotka Vida. – Właściwie w ciągu ostatnich piętnastu lat mianowano ośmioro admirałów Serrano, ale tylko ta dwójka służyła na Seychartin już w randze admirała.

– Czyli pani ciotka. Jest pani bardzo do niej podobna.

– Tak słyszałam. – Heris przygotowała się na kolejne pytania; wiedziała, że pułkownik już je zadaje w myślach. Ale jego następne słowa dotyczyły zupełnie czegoś innego.

– Nieczęsto się zdarza, żeby oficerowie zawodowej floty pasjonowali się jeździectwem.

– Lady Cecelia potrafiłaby przekonać każdego – odpowiedziała z ulgą. Może chwilowo nic jej nie grozi, choć tego rodzaju pułkownicy mają zwyczaj przeprowadzać ataki z flanki na późniejszym etapie znajomości. – Wygrała ze mną zakład i zobowiązałam się przejść szkolenie pod jej kierunkiem. A w trakcie treningów odkryłam, że to mi się podoba.

– Aha. – Tym razem powiedział to innym tonem. – Wie pani, lata temu, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, zdarzyło mi się ją widzieć podczas jednego z konkursów jeździeckich. Pamiętam, że zmokłem i zmarzłem, stałem w paskudnym deszczu i na przenikliwym wietrze. Nudziłem się, choć lubiłem konie, bo nie widziałem niczego spoza pleców dorosłych. Czasem tylko udało mi się dostrzec przemykającą czapkę i nic więcej. Ludzie jęczeli lub bili brawo, a ja nie miałem pojęcia czemu. Najchętniej wróciłbym do domu, gdybym tylko mógł. A potem wszyscy zaczęli mówić: „jedzie!” i ktoś nawet nie wiem kto – posadził mnie na swoich ramionach. Z deszczu wyłonił się olbrzymi koń z siedzącą na jego grzbiecie rudowłosą kobietą, po czym przeskoczyli coś, co wydawało mi się wysokie na cztery metry i równie szerokie. Oczywiście wcale nie było tak wielkie, ale skok i tak wywarł na mnie olbrzymie wrażenie. Przez cały rok chciałem być dżokejem.

– I został pan dżokejem? – zapytała Heris. Stwierdziła, że naprawdę ją to interesuje; mężczyzna potrafił opowiadać w taki sposób, że przyciągał słuchacza.

– Och nie. W tym wieku trudno jest dochować wierności marzeniom. Trochę później zapragnąłem grać w bardzo ostrą odmianę piłki, popularną w naszej szkole, a kiedy nauczyłem się grać, spodobało mi się. Prawdziwa jazda przyszła później, ale wtedy wiedziałem już, że chcę spróbować kariery w

wojsku albo siłach bezpieczeństwa.

– Chciałabym ją wtedy zobaczyć. Oczywiście pokazała mi kostki, ale teraz, kiedy jeździłam już na prawdziwym koniu, przypuszczam, że kiedy tam się jest i to widzi, efekt jest całkiem inny.

– Była wspaniała – zapewnił pułkownik z uśmiechem. – Ale pani nie ma jeszcze przydziału do grupy polujących?

– Niebiescy – wyjaśniła Heris. – Neil mówił, że pojedę pojutrze. Jutro czeka mnie kolejna sesja skoków przez płoty.

– Bardzo dobrze. Jeśli przydzielił panią do niebieskich, to znaczy, że dobrze sobie pani radzi. Pozwoli pani, że przedstawię ją innym członkom grupy. – Zaprowadził ją do grupki ludzi rozmawiających o dzisiejszych polowaniach. Heris była ciekawa, z którą grupą on sam jeździł. Cecelia wyjaśniła jej zasady działania systemu, ale wciąż wydawał jej się dziwny. Na przykład nie rozumiała, czemu poziomy zaawansowania grup nie miały nazw zaczerpniętych z ksiązek, tylko określano je zwykłymi kolorami. Jeśli wszyscy tak są zainteresowani odtwarzaniem historii...

– Ach – odezwał się wysoki i kościsty blondyn – kapitan Serrano, nowa przyjaciółka lady Cecelii. Wszyscy o pani słyszeliśmy. – Heris nie miała czasu zastanowić się, co to miało oznaczać, bo mówił dalej. – Neil bardzo panią wychwala. Oczywiście Cecelia jest dla niego wzorem, teraz już nie tylko jako jeździec, ale i nauczycielka. Czy to prawda, że aż do dzisiejszego dnia nie wsiadała pani na prawdziwego konia?

Heris pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Ależ skąd. Prawda jest taka, że jeździłam bardzo niedużo i wiele lat temu, po czym nie wsiadałam na konia, odkąd skończyłam... och... dwadzieścia trzy lata.

– Nigdy pani nie skakała?

– Nigdy.

– Mówiłam ci, Stef, symulator lady Cecelii jest już legendarny. – Powiedziała to rudowłosa kobieta mniej więcej tego samego wzrostu co Heris, ubrana w intensywnie zieloną suknię z szerokimi rękawami. Heris zwróciła uwagę na bransoletę na jej nadgarstku.

– Faktycznie musi taki być. – Wysoki mężczyzna potrząsnął głową. – Może i mnie by pomógł. Potrzebowałem pięciu sezonów, żeby przejść z grupy czerwonych do niebieskich, a teraz ugrzęzłem w niej od dziesięciu lat. – Wszyscy roześmiali się, a rudowłosa kobieta obróciła się do Heris.

– Proszę mi powiedzieć, czy po symulatorze jazda na prawdziwym koniu wydała się pani łatwa?

– Właściwie nie była łatwa, ale symulator na pewno bardzo mi pomógł. Już po drugiej jeździe czułam się tak, jakby to była kontynuacja tego samego treningu.

Nagle koło grupki rozmawiających pojawiła się Cecelia.

– Przepraszam, że przerywam, ale jutro masz wcześniej lekcję, a ja o świcie wyjeżdżam z zielonymi. Poza tym jest do ciebie wiadomość ze stacji. – Uśmiechnęła się i wszyscy odpowiedzieli uśmiechami, które wskazywały, jakim poważaniem cieszy się Cecelia. Niemal miała ochotę odmówić, tylko po to, żeby zobaczyć ich reakcję, ale to byłoby płaskie, więc pożegnała się i poszła za Cecelią.

– Wiadomość? – spytała po drodze.

– Nic poważnego Ci ludzie, których zostawiłaś na pokładzie...

– Wachta – poprawiła ją Heris.

– Wszystko jedno. Chcieli ci przekazać, że pozostali dotarli bezpiecznie do domu gościnnego i że

nowy sprzęt jak dotąd działa prawidłowo. Prosiłaś o regularne raporty?

– Oczywiście. Gdyby się nie zgłaszali, skąd miałabym wiedzieć, czy wszystko dobrze działa?

– Masz rację. Gdyby chodziło o stajnię, a nie statek, zachowałabym się tak samo jak ty. Kiedy zajmowałam się konkursami, traciłam wiele czasu, dzwoniąc do domowej stajni, żeby sprawdzić, czy o wszystkim pamiętali – choć oczywiście pamiętali.

– Bo ich sprawdzałaś – zapewniła Heris. – Zadzwońię do nich. Coś jeszcze?

– Cóż... Owszem. Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona.

– Nie pocuję. – Ale nie miała całkowitej pewności. Na swoim terenie – a planetę lorda Thornbuckle'a właśnie tak traktowała – Cecelia przestrzegała zwyczajów, których Heris obawiała się, zatrudniając się u bogatej starej damy.

– Niektórzy z nich są potwornymi plotkarzami – zaczęła cicho Cecelia. – Nie chodzi o to, że będą po prostu powtarzać to, co powiedziałaś. Oni to upiększą, ponieważ jesteś tutaj moim gościem, a moją przeszłość przeżuli już na papkę, ty zaś jesteś dla nich nowością. Wiem, że sobie z tym poradzisz, ale nie zdziw się, jeśli usłyszysz, że jesteśmy kochankami czy coś w tym stylu.

– Kochankami! – Heris omal się nie zadławiła. – My?

– To dość prawdopodobna plotka. – Cecelia wzruszyła ramionami, a Heris cała się zaczerwieniła.

– Przepraszam – powiedziała natychmiast. Zdała sobie sprawę, że jej reakcję można uznać za obraźliwą. – Po prostu... To znaczy...

– Nie jesteśmy. Ale ponieważ nigdy nie wyszłam za mąż, próbowali na wszelkie możliwe sposoby tłumaczyć powody mojej samotności. Ta banda niebieskich jest najgorsza – zwłaszcza Stef woli raczej plotkować niż jeździć, co zresztą widać, gdy wsiądzie na konia.

– Wiesz – odezwała się Heris, gdy pokonywały kolejne schody. – Możesz być pewna, że nie rozmawiałabym z nimi o tobie... czy Ronniem.

– Wiem. Nie o to chodzi. Ja po prostu... chcę, żebyś się tu dobrze bawiła, Heris. Nie jako mój kapitan, a mój gość. I pomyślałam, że w wojsku możecie nie mieć do czynienia z tego rodzaju plotkami.

– Czyżby? – Heris roześmiała się. – Przypuszczam, że plotkują tak samo jak tutaj. Niektórzy tego nie lubią, ale inni nie mogą się powstrzymać od zgadywania, kto z kim chodzi do łóżka i jakich przy tym używają gadżetów. Nie martw się, potrafię sobie poradzić.

– To dobrze. – Cecelia pokonała jeszcze kilka stopni, po czym zatrzymała się i obróciła do Heris. – Jeśli będziesz uważać na polowaniu, prawdopodobnie bardzo szybko przejdiesz do zielonych. Zwracają uwagę na kilka rzeczy: jak sobie radzisz ze skakaniem przez płoty, czy konie są po powrocie zmęczone i czy przeszkadzasz w polu.

– Chcesz, żebym jeździła z zielonymi? – Heris zaczynała już rozumieć, jak dużym szacunkiem cieszą się zieloni jeźdźcy, ale nie wiedziała, czy Cecelia chce konkurencji.

– Oczywiście, że tak! Na bogów, dziewczyno, nie sprowadziłabym cię tutaj, gdybym sądziła, że ugrzęzniesz na cały sezon w niższych grupach. To nie byłoby uczciwe wobec ciebie ani zabawne dla mnie. Idź już i odpocznij. Będę chciała wysłuchać twojego sprawozdania z jutrzejszego dnia.

* * *

W czasie ostatniej wizyty u krawca usunięto niewielką fałdkę z tyłu myśliwskiej kurtki. Heris

spojrzała w lustro z mieszaniną rozbawienia i dumy. Rozbawienia, ponieważ ubranie do polowania na lisy wciąż wydawało jej się niedorzeczne: po co zakładać jasne bryczesy, skoro mają galopować na brudnym zwierzęciu przez błoto? I dumy, ponieważ po czterdziestce wciąż miała taką figurę, że w obcisłych spodniach, białej bluzce i ciemniej kurtce wyglądała jak nastolatka.

Pomimo przebytego treningu i zapewnień Cecelii, że jest gotowa, Heris stwierdziła, że chaos panujący w miejscu spotkania niebieskich jeźdźców działa jej na nerwy. Rozglądała się za Neilem, ale zobaczyła tylko niższych rangą pomocników. Oczywiście Neil pomagał zielonym, osobiście wybierał dla nich wierzchowce. Z lekkim niepokojem przyjrzała się dużemu rudemu – kasztanowemu, poprawiła się – wałachowi, którego stajenna prowadziła w jej stronę.

– Tygrys II – poinformowała ją masywna kobieta o skórze ciemniejszej niż Heris. – Pomóc pani?

– Za chwilę. – Heris przeprowadziła kontrolę uzdy i popręgu, tak jak nauczyła ją Cecelia, po czym skorzystała z pomocy i wskoczyła na siodło. Miała nadzieję, że imię stworzenia nie odzwierciedla jego temperamentu.

– Czasami ciągnie – ostrzegła kobieta – ale wtedy trzeba go ostro szarpnąć. Proszę nad nim panować i zachować spokój, a będzie dobrze. Jeśli pani zacznie się z nim siłować, pożałuje tego.

Świetnie. Na pierwszym polowaniu, na którym miała się przed wszystkimi wykazać, dostała wierzchowca stwarzającego problemy – Spojrzała na kobietę, spodziewając się zobaczyć złośliwą satysfakcję, ale jej uśmiech zdradzał szczerą sympatię.

– Proszę się nie martwić. Nie jest zły jak na pierwszy raz, potrafi wszystko przeskoczyć i robi to – nie wolno tylko pozwolić mu biec zbyt szybko, zanim się trochę nie rozgrzeje.

– Dziękuję. Jeszcze jakieś rady?

Tym razem twarz kobiety rozpromienił szeroki uśmiech.

– Cóż... Nie pozwoliłabym mu zwalniać w wodzie. Jeśli wjedzie pani do strumienia, proszę jak najszybciej z niego wyjechać. Koń parsknął i potrząsnął głową, a Heris mocniej ściągnęła wodze.

– Będę uważać – zapewniła. Potem rozejrzała się – prawie połowa jeźdźców siedziała już na wierzchowcach. Miała dość miejsca, by poprowadzić rudego konia – Tygrysa – po niewielkim kole, i zrobiła to, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Powoli uspokajała się. To tylko jeszcze jeden koń, a za chwilę pojedą po prostu na jeszcze jedno pole. Mówiła sobie takie kłamstwa w różnych sytuacjach i zawsze jej pomagały. Tak samo jak „wieczorem będzie po wszystkim”.

Rozdział 10

Drogę wskazywały psy, które unosiły wysoko długie ogony i niecierpliwie nimi wymachiwały. Heris nie potrafiła się zmusić do nazywania ich rufą, dla niej tylko okręty miały rufy. Nie zdążyła im się dobrze przyjrzeć, zanim przemknęły przez bramę i skryły się za płotem. Zamierzała dopilnować, by Tygrys wiedział, kto tu rządzi, jeszcze podczas jazdy stępą.

Kiedy wyłonili się zza rogu stajni, Heris zobaczyła, że obie pozostałe grupy oddalają się na wschód i zachód. Początkujący (jak nazywała ich Cecelia) mieli polować na płaskich, otwartych terenach na wschodzie, gdzie płoty miały mniejszą wysokość, a pseudolisy żyły w gęstych krzewach. Zieloni mieli dla siebie zachodnie wzgórza, których długie zbocza porastały w dole i na szczycie drzewa. Natomiast oni, grupa niebieskich jeźdźców, mieli mieszany teren: niewielkie wzgórza porozdzielane małymi strumieniami, kępy lasów i krzewów, pola wytyczone kamiennymi murami albo rowami lub jednym i drugim.

To na tych terenach powstała pierwsza osada na planecie, którą kupili przodkowie obecnego właściciela. Próbowali szybko zarobić na kopalniach odkrywkowych, by spłacić początkowe inwestycje, ale potem zawalili terraformację średniego poziomu, która miała przekształcić te okolice tak, aby zapewnić ich potomkom miejsce do życia, i zbankrutowali. Zostawili po sobie paskudne jamy kopalni, nieregularne hałdy, stawy i strumienie pełne kwasów i ciężkich metali. Teraz, kilkaset lat później, te tereny wciąż były bezpieczne jedynie dla ludzi, wytrzymałych gatunków roślin oraz zwierząt odpornych na wysokie stężenia metali ciężkich i kwaśną wodę. Na szczęście nadawały się do rekreacji. Tutejszym bogactwem stały się wełna i sport.

Tygrys szarpnął za wędzidło i Heris wróciła myślami do rzeczywistości. Ktoś przekłusował obok – stwierdziła, że ma problemy z rozpoznaniem spotkanych wczoraj ludzi, ubranych dzisiaj w czarne płaszcze i czapki – i rudy koń chciał za nim pobiec. Zareagowała mocnym naciskiem nóg. Wierzchowiec testował ją przez kilka minut, raz próbując kurbetu, innym razem udając spłoszenie, ale nie miała żadnych problemów z utrzymaniem nad nim kontroli.

– Ach, kapitan Serrano! – Jadący obok niej uśmiechnięty mężczyzna był wysokim, kościstym blondynem, który zdaniem Cecelii wołał plotki niż jazdę. Jego koń wyglądał jak karykatura zwierzęcia, którego Neil pokazał Cecelii: był duży, ciemnobrązowy, grubo ciosany i opasty. I jechał niezdarne; nawet Heris to widziała. – Uroczy poranek, nieprawdaż? Jest pani gotowa na Tygrysa? Powiedzieli pani?

– Tak, że ciągnie i że mam nie pozwalać mu wchodzić do wody. – Heris rozejrzała się wokół. Byli blisko końca grupy i czuła poprzez napięte wodze, że Tygrys wcale się z tego nie cieszy.

– Nie musi pani zostawać w tyle – powiedział mężczyzna. Przypomniało jej się, że ma na imię Stef. – W środku grypy będzie w sam raz, po prostu proszę go nie dopuszczać do liderów.

– Tutaj jest dobrze – zapewniła go Heris. – Lubię przyglądać się innym. – Cecelia radziła jej, żeby trzymała się raczej z tyłu, nawet blisko końca, a ona ufała Cecelii znacznie bardziej niż komuś, kto nie umie nawet porządnie siedzieć na koniu.

– Stef, chodź do nas! – zawołał ktoś z przodu, a ona wzruszyła ramionami i pchnęła wierzchowca do kłusu. Po raz setny przypomniawszy sobie, co mówiła Cecelia i co sama czytała o polowaniach.

Psy zostaną puszczane wolno, żeby złapały wiatr – znalazły zapach jednego z pseudolisów – a wtedy zaczną „grać”. Teraz, gdy Heris usłyszała je z oddali, musiała przyznać, że wydawane przez nie dźwięki niewiele miały wspólnego ze szczekaniem. Kiedy psy złapią trop, grupa ruszy za nimi –

ostrożnie – ponieważ pseudolisy, podobnie jak ich przodkowie ze Starej Ziemi, są chytrymi stworzeniami. Nieraz zdarzało się, że wyskakiwały pośród myśliwych albo nawet na ich tyłach, wywołując dzikie zamieszanie wśród koni i psów, dzięki czemu zazwyczaj udawało im się uciec. Należało dać psom czas na wyśledzenie woni, rozplatanie labiryntu tropów ofiary i wypłoszenie lisa na otwarty teren. Dopiero wtedy wszystko zaczynało się toczyć szybciej – a w końcu bardzo szybko.

Zbliżyli się do grupy skarłowaciałych drzew, otoczonych z jednej strony płataniną dwumetrowych krzewów. Jeźdźcy zebrali się i w grupie. Nieliczni cicho rozmawiali, większość sprawdzała popręgi i strzemiona, zachowując milczenie. Heris ostrożnie pomacała nogą i stwierdziła, że popręg Tygrysa da się podciągnąć jeszcze o jedno oczko, tak jak sugerowała stajenna. Wciągnęła głęboko chłodne i wilgotne powietrze poranka, intensywnie przesycone zapachem koni i psów, tak całkowicie różne od powietrza na statku. Gdzieś z przodu i z lewej słyszała dźwięki stada: pędzące łapy uderzające o liście i gałązki, chrapliwe oddechy i od czasu do czasu stłumiony skowyt. Nagle na pole wyskoczyło coś małego, szarego i skoczego – nie pseudolisy, ale pewnie ich ofiary – płosząc dwa konie. Tygrys poderwał głowę, ale Heris utrzymała go w miejscu. Małe zwierzątka przemknęły przez pole, a za chwilę pojawiło się kolejne zwierzę – Heris zdołała mu się dobrze przyjrzeć: było małe i czarne, z puszystym ogonem – i wskoczyło na najbliższe drzewo, skąd posłało w ich stronę gniewne dźwięki, podkreślając je ruchami ogona.

Właśnie zaczęła się zastanawiać, kiedy coś się zacznie dziać, gdy jeden z psów wydał z siebie dziwny jęk, a po chwili dołączyły do niego inne. Straciła je już z oczu, teraz słyszała tylko dobiegające gdzieś z prawej strony ich głosy. Niektórzy myśliwi zaczęli niespiesznie jechać w tę stronę. Inni dopiero zbierali wodze i szykowali się do jazdy. I wtedy rozległ się sygnał rogu. Wszyscy ruszyli.

Przez dłuższy czas jechali stępą lub wolnym kłusem, przedzierając się przez drzewa i krzewy. Tygrys nie sprawiał Heris żadnych problemów. Za linią krzewów natknęli się na kamienny murek; była to pierwsza okazja sprawdzenia umiejętności skakania w polu. Ponieważ Heris jechała blisko końca grupy, musiała dość długo czekać, aż wszyscy pokonali przeszkodę, niektórzy z dużą trudnością. Kiedy przyszła jej kolej, u stóp muru leżało już mnóstwo zrzuconych ze szczytu kamieni, a przeszkoda miała zaledwie pół metra wysokości. Tygrys skoczył, kładąc płasko uszy, i gładko wylądował po drugiej stronie. Teraz pozostali już tylko ci, których wierzchowce odmówiły posłuszeństwa i musieli podejść „do drugiej próby”. Tymczasem pierwsi z jeźdźców pokonywali już przeszkodę na drugim końcu pola.

Przez całą jazdę po polu Tygrys walczył z wędzidłem, a przy skoku przez następny murek wybił się za późno i uderzył o niego przednimi nogami. Heris nie miała problemów z utrzymaniem się w siodle, ale stwierdziła, że jeśli koń będzie przez cały dzień tak uparty, wieczorem będą ją boleć ramiona. Jednak spotkanie z płotem chyba go uspokoiło, bo od tej pory bez protestów jechał za myśliwymi szlakiem wśród rzadko rosnących drzew. Heris nie wiedziała, dokąd się teraz kierują, ale nabrała nieco zaufania do swoich możliwości przetrwania tego dziwnego rytuału.

Szybki kłus Tygrysa spowodował, że znów znalazła się w środku drugiej części grupy, ponieważ większość jeźdźców wolała przeciskać się przez wąską bramę na końcu pola niż przeskakiwać przez kolejny, trochę wyższy murek. Niektórym z tych, którzy próbowali, skok się nie udał – Heris widziała kobietę wspinającą się z powrotem na siodło i mężczyznę biegnącego za spłoszonym koniem, który poruszał się zbyt szybko, by dać się złapać. Za bramą czekał na nich leniwy strumień, rozdeptany przez przekraczające go zwierzęta, i strome zbocze niewielkiego wzgórza. Pamiętając o radzie kobiety ze stajni, Heris mocno ujęła wodze i ścisnęła nogami Tygrysa. Wałach z prychnięciem

wbiegł do wody i zaraz wyskoczył na drugim brzegu. Heris nie mogła sobie przypomnieć, czy ma unikać kłusowania pod górę, czy też w dół zbiega (miała wrażenie, że ktoś mówił coś na ten temat), więc poprowadziła go pod górę szybkim stępem. Tygrys przestał już kłaść po sobie uszy – najwyraźniej zrezygnował z oporu.

Oczekiwała, że wzgórze będzie przypominać odwróconą misę i że ze szczytu sięgnie wzrokiem we wszystkie strony. Ale szybko uświadomiła sobie swój błąd. To tak jakby chcieć zobaczyć ze szczytu platformy załadunkowej na pokładzie startowym szturmowca wszystko, co się dzieje poniżej. Zbocza wzgórza okazały się niemal niewidoczne. Niektóre opadały zbyt stromo, inne ukrywały się pod kępami krzewów lub drzew. Rozejrzała się w poszukiwaniu śladów jadących przodem myśliwych. Zobaczyła mnóstwo odcisków kopyt, ale nie miała pojęcia, które z nich są świeże. Gdzieś w oddali widać było maleńkie wierzchowce wspinające się po zboczu innego wzgórza – ale to nie mogła być jej grupa, byli zbyt daleko. Lekki wiatr szumiący w pobliskich drzewach zagłuszał wszystkie odgłosy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że już od dłuższego czasu nie słyszała głosów psów. Po prostu jechała za ostatnimi jeźdźcami.

Poczuła, że ogarnia ją złość na lady Cecelię. Chyba nie o to chodzi, by trzymać się na końcu grupy ludzi, którzy spadli z koni lub się zgubili. Jak można to nazywać polowaniem? Tylko ci na czele grupy faktycznie polowali, a właściwie to pędzili śladem psów goniących za fałszywym lisem. Wszystko to było takie sztuczne – pozory wierności historii, zmodyfikowanej dla potrzeb współczesnych.

Drżenie konia uświadomiło jej, że nie siedzi na maszynie czy sztucznym zwierzęciu, ale dosiada prawdziwego, żywego stworzenia. Tygrys wyciągnął uszy do przodu i uderzył podkową w ziemię. Spojrzała w tym samym kierunku co on. Maleńkie konie zniknęły już w lesie; była pewna, że są zbyt daleko... ale Tygrys wcale tak nie uważał.

Wydusiła przekleństwo zupełnie nie pasujące do tradycyjnych polowań, jako że miało związek z tym, co robiono jedynie na statkach kosmicznych, i pchnęła Tygrysa do przodu.

– Powiedzieli mi, że lubisz polowanie – rzekła. Zwierzę zastrzygło uszami, jakby ją zrozumiało. – W takim razie znajdź tę cholerną grupę. – Tygrys przyspieszył do kłusu, a gdy zbocze zrobiło się strome, wszedł w galop. Heris ledwie zdążyła pomyśleć, że nie powinna mu na to pozwolić, gdy nagle znaleźli się wśród drzew i musiała uważać na gałęzie.

Wypadli z lasu na pole. Tygrys pokonał wdzięcznym skokiem stojący na brzegu pola płot, przemknął pięcioma susami przez otwarty teren i przeleciał nad kolejnym murem prosto na drogę, której Heris aż do tej chwili nie widziała. Skończyły się drzewa. Jechali teraz w górę kolejnego wzgórza i wokół następnego, a potem przez otwartą bramę w dół, na łąkę. Tygrys ominął kamienistą dziurę pośrodku pastwiska i popędził do wyraźnie znanego mu przesmyku, później w dół kamienistego zbocza, gdzie zwolnił do stępa, gdy zaczęli zjeżdżać między jakimiś ostro pachnącymi drzewami w stronę kolejnego strumienia. Chociaż trochę to Heris przerażało, równocześnie okazało się świetną zabawą – Doszła do wniosku, że niezależnie od tego, czy można to uznać za polowanie, czy nie, o wiele przyjemniej jedzie się szybko niż powoli.

Nie miała pojęcia, gdzie teraz są, ale koń nadal gnał przed siebie, przeskoczył strumyk i wpadł w kolejny las. Nagle Heris znów usłyszała psy; musiała przyznać, że z tej odległości brzmią prawie jak dźwięki rogów. Biegły gdzieś z przodu, poruszając się od lewej do prawej. Chwyciła się mocniej konia, by nie zlecieć z siodła, gdy Tygrys zaczął przemykać między drzewami, zupełnie nie przejmując się jej nogami. Przekonała się, że potrafi nim kierować i nawet ograniczyć jego prędkość, więc przyhamowała go do solidnego cwału zamiast pełnego galopu.

„Granie” psów dobiegało teraz z mniejszej odległości. Kiedy wypadli z lasu, zobaczyła na płaskim szczycie wzgórza psy, pędzących za nimi jeźdźców i wyraźnie widocznego uciekającego lisa. Heris pognęła Tygrysa za jadącymi na przedzie jeźdźcami, choć się jej opierał. Jechali przez niską trawę w stronę czegoś, co wyglądało jak kupa kamieni. Prowadzący skręcili gwałtownie i przeskoczyli przez mur. Tygrys poderwał się w górę i przez chwilę znów widziała psy, plamę brązu, która musiała być lisem, i myśliwych ubranych na czerwono, a potem znaleźli się na następnym polu, tym razem otaczającym grzbiet wzgórza niczym szal. Tygrys wyciągnął się w galopie. Wyprzedził szarego konia, potem czarnego, i przeskoczył wrzoście i kamienie oddzielające pole od następnego.

– Dobra jazda! – dobiegło zza jej pleców, ale nie miała czasu się obrócić. Wcześniejsze wysiłki jeszcze nie zmęczyły rudego konia i teraz próbował wyrwać jej ręce. Prowadzący byli coraz bliżej, a następny skok ustawił ich już w pierwszej linii pościgu. Heris wiedziała, że powinna przyhamować Tygrysa... ale ogarniające ją podniecenie opanowało resztki zdrowego rozsądku. Nie czuła takiej euforii od czasów... Odsunęła od siebie tę myśl. Teraz liczył się tylko ten koń, to pole, następny skok. Wszyscy w grupie ścigali się, sunąc skosem przez pole za psami, przeskakując głęboki rów... Ktoś tam spadł, ale Tygrys przeniósł ją bezpiecznie nad przeszkodą.

Przed nimi leżał kolejny stos kamieni, pod którym schował się lis. Psy kłębiły się wokół, zawodząc, ale nie potrafiły wyciągnąć lisa z bezpiecznej kryjówki. Heris przyhamowała Tygrysa, po czym zmusiła go do krążenia, aż przeszedł w stępa. Był mokry i ciężko dyszał, ale najwyraźniej nie brakowało mu jeszcze sił, tak samo jak jej. Miała nadzieję, że znajdą kolejnego lisa i zrobią to jeszcze raz.

Chciało jej się śmiać ze swojego wcześniejszego nastroju. Nudne? To? Nie. Spełniło się wszystko, co obiecywała Cecelia.

Łowczy zaczęli wzywać psy i zaprowadzać wśród nich porządek. W tym czasie nadjechała reszta niebieskich. Niektórych już знаła, innych jeszcze nie, ale wszyscy chcieli teraz z nią rozmawiać i chwalić za to, jak świetnie sobie poradziła.

– Właściwie to się zgubiłam – wyjaśniła trzeciej czy czwartej osobie, która do niej podjechała – ale potem koń chyba coś usłyszał...

– Ależ to wspaniale – wtrąciła jakaś kobieta. Miała jedną rękę na szynie i Heris zdała sobie sprawę, że widziała ją już podczas kolacji. – Zwykle ci, którzy się zgubią, przez cały dzień wałęsają się bezradnie po okolicy lub poddają się i wracają do domu.

– Na którym wzgórzu pani się zatrzymała? – zapytał jeden z mężczyzn. Heris rozejrzała się, ale nie miała pojęcia. Krajobraz był dla niej tak samo obcy, jak dla nich zapewne gwiazdna mapa.

– Była tam droga przez las – powiedziała powoli. – Potem strumień i mnóstwo ścieżek prowadzących prosto pod górę...

– Gęsie Jajo? Dotarła pani na końcowy bieg z Gęsiego Jaja? – Teraz wyglądali na naprawdę poruszonych. Heris nie rozumiała powodu. Chciała zapytać, ale tylko wzruszyła ramionami.

– To zasługa Tygrysa – oświadczyła. Zresztą był to prawda: wiedział, którędy biec, i przyniósł ją tu bez żadnych poważniejszych obrażeń. Zauważyła, że podobała im się ta odpowiedź. Cecelia mówiła jej, że koniarze szanują ludzi, którzy chwalą wierzchowce i biorą winę za błędy na siebie.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Psy dyszały i wywieszały ozory, niektóre przewracały się na ziemię i tarzały w trawie. Jeźdźcy przeciągali się i popijali z manierek wyciągniętych z sakw przy siodłach. Kilku zsiadło z koni i dyskretnie oddaliło się za stertę kamieni. Konie stały z szeroko rozstawionymi nogami lub chodziły powoli wokół rozmawiających i popijających jeźdźców.

Pojawiło się kilku spóźnialskich na spienionych wierzchowcach, ale około jednej trzeciej grupy zniknęło. Heris zastanawiała się, czy będą szukać innego lisa – sądząc po wysokości słońca, wciąż było wczesnie.

Kiedy polowanie ponownie ruszyło, wszystko potoczyło się już spokojniej niż w czasie pierwszej porannej akcji. Heris miała wrażenie, że to załoga okrętu przygotowuje się do wykonania jakiegoś zadania. Najpierw łowczy poprowadzili psy w dół pola, w stronę kępy drzew blisko strumienia – który, jak zauważyła Heris, tworzył w jednym miejscu niewielką sadzawkę. Jeźdźcy ponownie sprawdzili popręgi i strzemiona. Ci, którzy zsiadli z koni, z powrotem wspięli się na siodła, a rozmawiający umilkli. Ktoś podał Heris bardzo nowoczesną wojskową lornetkę i zaczęła żałować, że sama takiej ze sobą nie wzięła – szczęściarz mógł patrzeć na wszystko w doskonałym powiększeniu i idealnym oświetleniu. Dzięki takiej lornetce mogłaby zobaczyć pchły na lisie, gdyby jakiś się pojawił.

Potem psy złapały kolejny trop. Przy pierwszych dźwiękach rogu Tygrys zadrżał. Heris uspokoiła go, ale teraz postanowiła nie trzymać się na końcu grupy. Myśliwi ruszyli żwawym kłusem. Tym razem nikt nie miał problemu z niskim murkiem i rowem – tak samo jak ona – i mogli kłusować przez las, przyciągani melodią rogów i szczekaniem psów.

Wreszcie wyjechali z lasu i Heris zobaczyła w odległości pięćdziesięciu metrów szkarłatne kurtki i psy. Tygrys nie ciągnął już tak mocno, ale nie zamierzała go hamować – chciała przemknąć przez następne pole tak szybko, jak tylko koń miał ochotę. Przelatywanie nad płotami z dużą prędkością stało się czymś więcej niż tylko czysto fizyczną rozkoszą. Wreszcie była częścią tego polowania. Mogła przyznać, że nie czuła się tak podniecona, tak radosna od czasu, kiedy dowodziła własnym okrętem w walce. Ale tamto uczucie tłumione było troską i świadomością, że ryzykuje życie swojej załogi, ludzi, którzy jej zaufali. Tutaj narażała tylko siebie, nie odpowiadała za innych. Nic dziwnego, że ludzie lubią polowanie... Ale nie miała już czasu o tym myśleć i to też była przyjemna świadomość.

Okazało się, że niezbyt wiele zapamiętała z tej pierwszej prawdziwej gonitwy, gdy próbowała opowiedzieć o niej Cecelii. Pola i lasy przemykały zbyt szybko, aby je zapamiętać. Musiała skupiać się na jeździe, na kierowaniu Tygrysem wśród drzew, musiała przygotowywać się do skoków przez płoty, mury, rowy i strumienie, które pojawiały się na jej drodze za każdym razem, gdy już myślała, że wreszcie może odetchnąć. Miała wrażenie, że jedzie cały dzień – całe życie – kiedy wreszcie usłyszała zmianę tonu psich głosów i krzyki łowczych, i uświadomiła sobie, że psy dopadły lisa pośrodku dolinki między wzgórzami, zamkniętej z jednej strony niewielkim bagnem. Tym razem Tygrys pozwolił się zatrzymać. Siedziała, ciężko dysząc, i miała nadzieję, że nie spadnie z siodła, by lec bezsilnie na ziemi.

W miarę jak nadjeżdżali pozostali myśliwi, odzyskiwała oddech.

– Potrafi pani jeździć – oświadczyła kobieta z unieruchomioną ręką, znów zatrzymując się obok. – Proszę mi nie mówić, że to wszystko zasługa konia, sama na nim jeździłam.

* * *

W gorączce łowieckiej panującej w posiadłości lorda Thornbuckle'a Ronnie zauważył zmiany zachodzące w jego towarzyszach. Buttons, który w ciągu ostatniego roku zrobił się wyraźnie bardziej towarzyski, stał się grzecznym synem pana domu i bez narzekania włączył się w polowanie czerwonych. Sarah po prostu zniknęła, a kiedy o nią zapytał, Buttons spuścił wzrok i wymamrotał coś

na temat przygotowań doślubu. Ronnie żałował, że też nie ma tak wdzięcznej wymówki. Pozostali musieli przejść ocenę głównego instruktora – co zdaniem Ronniego było bardzo upokarzającym doświadczeniem. Raffaele jeździła lepiej, niż się spodziewał, i choć instruktor narzekał na jej formę, ani razu nie spadła z konia i już po tygodniu dopuszczono ją do grupy niebieskich. Tylko on wraz z Georgem i Bubbles musieli odbywać po dwie lekcje jazdy dziennie.

Ronnie nienawidził tych lekcji. Niemal cały czas jeździli stępą lub kłusem, a młodszy instruktor ostrym tonem upominał go za rzeczy, które jego zdaniem właściwie nie miały znaczenia. Instruktor nie był nawet w połowie tak krytyczny w stosunku do Bubbles, co Ronnie uznał po prostu za przejaw faworyzowania członka rodziny. Kiedyś, w drodze do domu, Bubbles również skrytykowała jego jazdę. Kiedy w końcu nie wytrzymał i wygarnął jej, że sama musi być równie kiepska, bo inaczej nie musiałyby tracić czasu na lekcje, trzepnęła go w ramię.

– Mogłabym cały dzień jeździć za psami, durniu. Po prostu opiekuję się wami. Tata powiedział, że byłoby nieładnie z naszej strony zostawić was samych, na czas tych lekcji. – Posłała mu gniewne spojrzenie. – Powinniście być wdzięczni, ale jakoś was nie podejrzewam, że to potraficie.

Ronnie nie czuł wdzięczności. Nie prosił o opiekę. Miała być jego dziewczyną, a zachowywała się tak, jakby tylko jej przeszkadzał.

Ładna, rześka pogoda skończyła się po kilku dniach nadejściem zimnego frontu z chmurami i mżawką. Nie miało znaczenia, jaka pogoda panuje – lekcje i polowania odbywały się zgodnie z planem. Ronnie nienawidził zimnych strużek ściekających mu po plecach i paskudnie przemoczonych butów, i wcale nie chciał się do tego przyzwyczajać. Pal diabli tradycję, czemu nie mogą zakładać na taką pogodę przyzwoitych ubrań, tak jak to robiła Służba Królewska na manewrach?

Każdego wieczoru po kolacji mieszkańcy głównego domu spędzali czas w swoich grupach łowieckich. Zieloni, pośród których znaczącą rolę odgrywała jego ciotka Cecelia, mieli swoje ulubione sale i kąty, podobnie jak niebiescy. Czerwoni traktowali tych gości, którzy jeszcze byli bez przydziału, protekcyjnie, ale znali swoje miejsce w stosunku do pozostałych grup. Bubbles opuszczała swoich towarzyszy, zdaniem Ronniego przesadnie popisując się swoimi umiejętnościami wmieszania się w grupę i białym dekoltem. Jedyne młode kobiety wśród osób bez przydziału – para kuzynek, tak ewidentnie przejętych sytuacją, że czerwieniły się, jeśli ktoś choćby się do nich zbliżył – były dla niego zbyt młode i niezgrabne. Bubbles przedstawiła je jako „Nikki i Snookie, często tu bywały, gdy byłam dzieckiem”, po czym znikła.

Kiedy któregoś wieczoru kapitan Serrano pojawiła się z lisim ogonem („nie ogonem, durniu, kitą!”, wysyczała Bubbles) po pierwszym polowaniu z niebieskimi, Ronnie poczuł irytację. Tego dnia spędził pięć godzin na trzech różnych koniach, jeżdżąc po nudnych kołach i kłusując ponad nudnymi płotkami. Potem powiedziano mu, że jeśli się postara, za kilka dni będzie mógł wyjechać na pole treningowe. A jej – o dwadzieścia lat starszej, jeśli nie więcej – pozwolono pominąć grupę czerwonych i od razu wejść do niebieskich. To niesprawiedliwe. Po raz pierwszy od czasu lekcji na statku pomyślał o zemście, ale oparł się tej pokusie. Nie warto.

Jedyną pociechą w jego nieszczęściu okazała się Raffaele. Któregoś wieczoru George odciągnął ją od grupy niebieskich i w humorystyczny sposób zdał relację z ich lekcji tego dnia. Ronnie poczuł się upokorzony – wcale nie spadał tak często z konia, a George nie wspominał o własnych błędach – ale Raffaele popatrzyła na niego ze współczuciem. Później już każdego wieczoru sama do nich podchodziła, przynajmniej na kilka minut. Raz zapytała, gdzie jest Bubbles, na co Ronnie zareagował wzruszeniem ramion. Więcej już nie pytała, ale zauważył, że rozmawia z nimi obydwoma, a nie tylko z Georgem. A kiedy George został wchłonięty przez grupę starszych mężczyzn, którzy znali jego ojca,

Raffaele dalej przychodziła, rozmawiając z nim cicho, co działało na niego coraz bardziej kojąco. Kiedy w końcu pozwolono mu wyjechać na łowy z czerwonymi (dwa dni przed Georgem – drobne zwycięstwo, którym wcale się nie ucieszył), nie oczekiwał żadnej przyjemności. Poranek był mroczny i zimny, z resztkami wilgotnej mgły, i Ronnie zeszywniał, zanim jeszcze dotarł do stajni. Buttons, wymuskany i radosny, uśmiechnął się do niego, wchodząc na plac, gdzie zbierali się myśliwi.

– Brawo! – pochwalił go nieco za głośno jak na gust Ronniego. – Wiedziałem, że wyprzedzisz George’a. Zresztą to dobry dzień dla złapania zapachu. – Miał na sobie czerwoną kurtkę z insygniami M.F.H. i wyglądał tak, jakby się w niej urodził.

– Och, George też niedługo skończy z lekcjami – zapewnił niedbale Ronnie, rozglądając się wokół. – Gdzie jest Bubbles?

Buttons roześmiał się.

– Odpoczywa. Dzisiaj jedzie z niebieskimi. Uznaliśmy, że George przeżyje jedną lekcję bez opieki członka rodziny.

To przypomnienie wcale mu nie pomogło. Ronnie burknął coś pod nosem i znów się rozejrzał. Stajenny zamachał do niego, więc podszedł i wziął ciemne, ciężkie zwierzę, które przydzielono mu na ten dzień.

– Thumper – powiedziano mu – jest dobry, pewny, godny zaufania i niezbyt szybki. Proszę go bezpiecznie przyprowadzić do domu. – Ronnie zauważył, że nie padło ani jedno słowo na temat jego bezpieczeństwa.

Wyjechali w zimny mrok. Thumper zdawał się uważać, że jego miejsce jest z tyłu stawki, ale Ronnie kopnął go mocno i przesunęli się do środka.

– Nie możesz się doczekać, co? – zapytał ktoś sarkastycznie. Zignorował go. Wszyscy kręcili się po mokrej łące, podczas gdy psy usiłowały złapać trop. Nikt się do niego nie odzywał, ale wiedział, że wszyscy mu się przyglądają. Palily go policzki. Kiedy psy zaczęły „grać”, pchnął Thumpera w ich stronę, ale inni byli szybsi. Pokłusował, trzymając się końca grupy i zbierając na siebie błoto wybijane kopytami innych wierzchowców. Thumper zwolnił, ale Ronnie nie potrafił mieć do niego pretensji. Pomyślał, że dla konia to musiało być gorsze, bo dostawał błotem prosto w pysk, a on tylko po nogach.

Po jakimś czasie jeźdźcy z przodu przyspieszyli do cwału. Ronnie poszedł w ich ślady. Teraz błoto leciało wyżej i widział, jak rozbryzguje się na ziemi tuż przed nim. Z mroku wyłonił się żywopłot i Thumper poderwał się do skoku. Po drugiej stronie czekał rów z wodą. Koń znów wyciągnął się do skoku, a Ronnie kurczowo chwycił się siodła, dzięki czemu tylko lekko się zsunął przy twardym lądowaniu. Udało mu się szybko odzyskać równowagę i pogonił konia po płaskim polu w ślad za pozostałymi. Żałował, że nikt go nie widział – to był najtrudniejszy skok, jaki kiedykolwiek wykonał.

Po paru minutach takiej jazdy poczuł się obolały i brakowało mu tchu. Jechało się znacznie trudniej niż na lekcjach, nawet tych w terenie. Nie potrafił przewidzieć zbliżających się przeszkód. Wydawało mu się, że nigdy nie ma czasu na zaplanowanie podejścia i przygotowanie się do skoku. Choć Thumper zawsze lądował bezpiecznie, nigdy o nic nie zahaczając, wybijał się z silnym szarpnięciem i za każdym razem twardo uderzał o ziemię. Ronnie radził sobie lepiej od niektórych (widział jeźdźców rozciągniętych na mokrej ziemi, biegające luzem konie i ludzi wspinających się na siodła), ale nie potrafił zmusić Thumpera do dogonienia peletonu.

Daleko z przodu znów rozległ się dźwięk rogu. Thumper znał ten sygnał i przyspieszył. Teraz wyprzedzali maruderów, których twarze zdradzały, że polowanie nuży ich tak samo jak Ronniego. Zastanawiał się, po co się tak męczą. Czyżby we wszechświecie było aż tyle władczych ciotek? Zobaczył zbliżający się drewniany płot. Przelecieli nad nim bezpiecznie, ale zaraz pojawił się następny. Przeklinając, Ronnie złapał końską grzywę. Również i tę przeszkodę udało mu się przeżyć. Thumper parł do przodu, aż dotarli na koniec zwalniającej grupy jeźdźców. Okazało się, że psy złapały lisa, choć Ronnie tego nie widział. Ściągnął wodze i wierzchowiec zwolnił do stępa, po czym stanął, ciężko robiąc bokami. Teraz nikt nie zwracał na niego uwagi, personel w czerwonych kurtkach robił coś pośrodku polany, a potem wszyscy zaczęli się śmiać i wiwatować.

Wreszcie tłumek rozluźnił się – jeźdźcy zaczęli powoli zawracać konie.

– Udało ci się dojechać, co? – zapytał ktoś, kogo Ronnie widział w grupie czerwonych podczas kolacji. – Musiałeś być niezłe z tyłu. Szkoda, że nie dotarłeś na czoło, może miałbyś nawet szansę na kite, skoro to twój pierwszy dzień.

– Cóż, dojechałem – odpowiedział. Chciał, żeby to zabrzmiało beztrzesko, ale wyszło raczej jak wyraz niezadowolenia. Mężczyzna odjechał, wruszając ramionami. Thumper westchnął ciężko, po czym lekko potrząsnął głową. Ronnie zauważył, że inni wyciągają z sakw manierki, zaczął więc sięgać do własnej, ale przypomniał sobie, że jej nie zabrał. Nagle zrobiło się ciemno i na jego rozgrzanym karku wylądowały pierwsze krople deszczu.

Do zmierzchu miał już za sobą stanowczo zbyt wiele godzin jazdy, dwa upadki (za każdym razem jakiś uprzejmy nieznanomy łapał Thumpera i wsadzał go z powrotem na siodło) i kompletnie przemókł od deszczu i potu. Piekło go w gardle, ciekło mu z nosa, a kolana i łokcie bolały tak, jakby pojedynkował się z jakimiś potężnymi facetami. Zdołał jednak utrzymać się na grzbiecie Thumpera do chwili doprowadzenia go na dziedziniec; tam zsunął się z konia i zachwiał po wylądowaniu.

– Potrzeba panu pomocy? – zapytała stajenna, rzucając mu szybkie spojrzenie. Zauważył, że już zajęła się Thumperem.

– Spadłem – burknął przez zaciśnięte zęby – ale nic sobie nie połamałem.

– Czyli dobry dzień – skomentowała, odprowadzając konia – skoro nic nie połamane.

Doczłapał do domu, mając nadzieję, że dotrze do łazienki bez spotykania kogokolwiek, ale oczywiście natknął się na George'a, eleganckiego i dowcipnego, z Raffaele u boku.

– Gdzieś ty wleciał, do chlewu? – zapytał George.

Ronnie ucieszył się, widząc, że Raffaele wcale się nie śmieje. Była sucha, czysta, piękna i nie śmiała się.

– Tylko do błotnistego rowu. – Miał nadzieję, że powiedział to niedbale, tak samo jak inni mówiący o takich sprawach.

– Od tygodnia nie zdarzyło mi się zlecieć – zauważył George. – Choć podczas mojej drugiej lekcji naprawdę solidnie padało.

– Tam jest inaczej. – Ronnie rzucił spojrzenie na Raffaele. Nawet się nie uśmiechała, jakby wiedziała, że boli go ramię, i było jej z tego powodu przykro.

– Założę się, że Bubbles i Raffa nie spadły – nie dawał za wygraną przyjaciel. – Prawda?

Raffa lekko się zaczerwieniła, a Ronnie po raz pierwszy zauważył, że te rumieńce wyglądają przy jej ciemnych włosach uroczo.

– Prawie – przyznała. – Mój koń potknął się przy lądowaniu po długim skoku i znalazłam się na

jego szyi...

– Ale nie spadłaś – zagrzemiał George. – Gdyby to był Ronnie, zleciałby na twarz, prawda?

– Przepraszam – wtrącił się. Usiłował zachować spokój, ale w jego głosie brzmiał ton urażonej dumy, czego właśnie chciał uniknąć. – Chciałbym się wykąpać przed kolacją.

– Mam nadzieję – nie darował mu George. – Niewątpliwie tego ci potrzeba.

Wreszcie Ronnie dotarł do swojego pokoju. Nie dość, że cały zimny i deszczowy dzień spędził na niezgrabnym koniu, skacząc przez błoto i skały. Nie dość, że spadł i miał siniaki od pięt po czubek głowy, to jeszcze musiał w drodze powrotnej spotkać niemożliwie eleganckiego George'a, który nabijał się z jego wyglądu. Tego było już za wiele. Ludzie, którzy uważają to za dobrą zabawę, muszą być kompletnie szaleni. No, może poza Raffą, ale w końcu kobiety są inne.

Doszedł do wniosku, że nie może przez całą zimę zajmować się tym nedorzecznym sportem. Musi jakoś się stąd wyrwać i zrobić coś, co sprawi, że nie będzie się czuł jak kompletny idiota.

Rozdział 11

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – wyraził wątpliwość Ronnie.

– Czy naprawdę chcesz kolejny dzień objać się na koniu? – zapytał George. Oczywiście, że nie chciał. Było wystarczająco źle, zanim George zakwalifikował się do polowania, ale potem sytuacja jeszcze się pogorszyła. – Wyglądasz niedorzecznie – kontynuował przyjaciel.

– Wcale nie. – Ronnie wbił w niego gniewne spojrzenie. George ani razu nie spadł z konia podczas swojego pierwszego polowania i uderzyło mu to do głowy. Zdawał się sądzić, że udana pierwsza jazda wystarczy, aby móc objać się i nie nadążyć za grupą nawet i w powolnym pościgu. – Jeżdżę lepiej od ciebie...

– Ale nie tak dobrze, jak twoja wiekowa ciotka czy jej piekielna kapitan. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, że Zawodowi zajmują się jazdą konną. Myślałem, że całe dnie spędzają na polerowaniu broni i musztrze.

Ronnie prychnął.

– Kochają musztrę, prawda? Przynajmniej tu na planecie kapitan Serrano nie może nas budzić po nocach.

– Nie. To przywilej twojej ciotki, która budzi nas przed świtem, byśmy przełknęli obrzydliwe śniadanie i wspięli się na te wielkie, niezgrabne i śmierdzące zwierzęta.

Ronnie miał ochotę zaprotestować, że to wszystko nie jest takie złe, ale Bubbles już zaczęła się śmiać.

– Faktycznie zabawnie wyglądałeś, skarbie, gdy ugrzęzłeś w tym żywopłocie, cały czerwony z wściekłości. – Poklepała go po ramieniu.

Kątem oka zauważył, że Raffa próbuje stłumić chichot i uspokaja Bubbles.

– Dobra. – Ronnie zsunął osłonę do przodu, a pozostali, wciąż chichocząc, zaczęli upychać zapasy w szafkach. Zaczynał żałować, że się na to zgodził, ale jak miałby się teraz wycofać? Wywołał na wyświetlaczu przedstartową listę kontrolną i zaczął sprawdzać system. Oczywiście wszystkim zajmował się komputer, ale on wcale nie był taki beztrojski, jak uważała jego ciotka.

– No dalej, Ron – rzucił George. – Wystartuj wreszcie.

– Kontrola przedstartowa – burknął. George powinien o tym wiedzieć – czy też do końca stracił rozum? Przyjaciel westchnął teatralnie, ale go zignorował. Przeszedł przez całą sekwencję przedstartowa – jak zwykle wszystko było w porządku. Potem wsunął kostkę i sprawdził odczyt: komputer zaakceptował wytyczony kurs i wyliczył zużycie paliwa na podstawie satelitarnych danych pogodowych. – Będziemy musieli raz tankować – poinformował. – Wolicie Bandon czy Calloo?

Chóralny okrzyk świadczył, że wybierają Bandon. Ronnie wprowadził korektę panelem dotykowym, zerknął do tyłu, by upewnić się, że wszystkie luźne przedmioty zostały pochowane, i wcisnął zielony klawisz. Silniki zaskoczyły i komputer przejął ostatnie przedstartowe kontrole zasilania. Od tej pory nie będzie mógł zablokować decyzji komputera. Nie przypominało to królewskiej jednostki szkoleniowej – cywilne modele latały praktycznie całkowicie samodzielnie. Oparł lekko dłonie na orczyku i wystukał ręczny start. Jeśli utrzyma się w dozwolonych przez komputer parametrach, będzie mógł sterować, choć tylko jedną osią. Przez moment rozbawiła go myśl, że aby człowiekowi wolno było sterować maszyną, musi to robić Jak maszyna.

Przynajmniej trochę poćwicz, zwłaszcza że zawsze lubił latać. Przesunął palcami po

wypukłościach orczyka – moc, stery kierunkowe, wysokość. Nie wiedział, czy pozostali to zauważyli, ale mógł sterować ręcznie do chwili, aż pojazd osiągnie pułap pięciu tysięcy metrów na kursie do Bandon.

– Na zewnątrz jest ciemno – zauważyła Raffaele, gdy pojazd wyrównał lot. – Nic nie widać oprócz... – Obejrzała się do tyłu. – Nic oprócz świateł domu.

– Musieliśmy wylecieć przed świtem – zauważył George – inaczej ciotka Ronniego by nas zatrzymała.

Ronnie próbował sięgnąć wzrokiem poza odbicia na osłonie kabiny. Nic oprócz ciemności... Wyłączył wewnętrzne światła i wy tężył wzrok. To samo. Jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś tak czarnego.

– Niedługo wstanie świt – powiedział. – A komputer nie potrzebuje światła. – Zdawał sobie sprawę, że oni doskonale o tym wiedzą – po prostu uspokajał sam siebie. Na szczęście mrok ukrył rumieniec na jego twarzy. Usłyszał za plecami ostentacyjne ziewnięcia mające oznaczać, że pozostali udają sen. Ktoś włączył małą lampkę do czytania, która łagodnie rozświetliła tył kabiny. Ronnie nie zapalił głównych lamp.

Zauważył, że wciąż spogląda w prawo, czekając na świt. I kiedy już stracił nadzieję i doszedł do wniosku, że będzie musiał tkwić w tej ciemnej rurze w nieskończoność, nagły blask rozjarzył horyzont. Wkrótce ujrzał przyćmioną czerwień przybrudzoną plamami czarnych chmur, a potem dziwnie rozmyty krajobraz. Wciąż był ciemny, wciąż nieprzenikniony, ale sprawiał wrażenie, że jest ogromny. Kiedy światło nabrało wreszcie mocy, zobaczył w dole morze, dziwnie jaśniejsze od nieba. Sięgało w stronę wschodzącego słońca, a nad nim wisiały ciemne chmury ze szczytami zabarwionymi blaskiem słońca na różowo.

Ronnie nigdy jeszcze nie leciał wzdłuż wybrzeża o wschodzie słońca i nie miał pojęcia o możliwych kombinacjach zieleni, niebieskiego i fioletu oraz setkach odcieni różowego i złota, powstających dzięki chmurom, morzu i słońcu. Patrzył w dół na ciemny ląd, powoli wyłaniający się z mroku nocy, z brzegiem obramowanym bezbarwnym przybojem, który wkrótce stanie się srebrny i błękitny. Dzięki dobrej pamięci do map zorientował się, że przebyli już prawie jedną trzecią drogi do Bandon i że komputer wkrótce zmieni kurs, oddalając ich od wschodu i kierując ponad zwężającym się pasem lądu i oceanem w stronę grupki wysp. Miał nadzieję, że zdąży najpierw zobaczyć słońce wyłaniające się z morza.

– Tam w dole niczego nie ma – odezwała się Raffaele głosem noszącym ślady senności i niepokoju. – Gdzie jesteście?

– To Przewężenie – wyjaśniła Bubbles, ziewając. – Cudowny poranek, zwłaszcza że nie muszę wspinać się na konia. Nie martw się, Raffa, nie zgubimy się. Pokładowy komputer ma bezpośrednie połączenie z satelitami nawigacyjnymi. Gdybyśmy spadli, ktoś natychmiast by się zjawił.

– Ale ktoś tu musi mieszkać – mruknęła Raffa.

– Dalej na wybrzeżu jest osada biologów badających dzikie zwierzęta – potwierdziła przyjaciółka. – Trzymają tam stworzenia, których nie chcemy mieć na terenach łowieckich.

Pojawiło się słońce, złocąc wszystko tak, jak Ronnie sobie wyobrażał. Kilka minut później skręcili w lewo, oddalając się od wybrzeża, i znaleźli się nad Przewężeniem. Bubbles podała śniadanie składające się z ciastek, owoców i gorącej kawy; wszystko to zwinęła z kuchni przed odlotem. Ronnie przeciągnął się, zadowolony z luźnych spodni, obszernej koszuli i miękkich butów, co było miłą odmianą po mało wygodnym stroju myśliwskim. Zanim skończyli jeść, przelecieli nad

drugim wybrzeżem i znaleźli się nad pomarszczonym błękitnym oceanem. Zmierzali w stronę wysp. Ronnie nie miał nic do roboty, więc obrócił fotel i zaczął słuchać dziewcząt – zastanawiały się, kiedy Bunny pośle kogoś za nimi.

– Mam nadzieję, że to nie będzie ciotka Cece – wtrącił.

– Nie wysłałby jej – zaprotestowała leniwie Bubbles. – Jest gościem. Pewnie będzie to jakiś nudny zarządca średniego szczebla.

– Moglibyśmy powiedzieć twojemu ojcu – zauważyła Raffa – kiedy już tam dolecimy.

Przyjaciółka skrzywiła się.

– Nie wiesz, jaki on jest. Będzie mnie pouczał. Ja się wścieknę. Zaczniemy się kłócić. A potem ja się obrażę albo on to zrobi i w ten sposób stracimy mnóstwo czasu, który mogłabym spędzić na zabawie z wami.

* * *

Kiedy Ronnie uznał, że są już w zasięgu Bandon, przestawił system lądowania na automatyczny. Komputer skontaktuje się z lądowiskiem i sprowadzi ich na ziemię bez ludzkiej interwencji, choć miał nadzieję, że pozwoli mu na „ręczne” lądowanie. Kiedy komputer zapiszczał i kontrolka autoryzacji lądowiska zaświeciła na czerwono, uznał, że lądowisko chce po prostu nawiązać kontakt głosowy. Wydawało się to rozsądnym sposobem obrony przed niechcianymi gośćmi.

– Jakies konkretne hasła? – zapytał.

Bubbles pokręciła głową.

– Nie, po prostu podaj numer śmigacza. Jest na rodzinnej liście.

– Lądowisko Bandon – zaczął Ronnie. – Proszę o pozwolenie na lądowanie i tankowanie, numer 002413.

– Brak zgody. – Metaliczny głos nie wykazywał żadnego zainteresowania negocjacjami. Ronnie wbił wzrok w ekran komputera. Nigdy nie słyszał o cywilnym lądowisku odmawiającym zgody na lądowanie i tankowanie.

Powtórzył swój komunikat, dodając, że mają mało paliwa.

– Brak zgody – odpowiedział po raz drugi głos.

– Unieważnij to – odezwała się zza jego pleców Bubbles. – Podaj im „Landsman 78342”, to osobisty kod ojca.

Ronnie wprowadził kod i wcisnął klawisz transmisji, ale głos powtórzył swoje oświadczenie z takim samym brakiem zainteresowania.

– Dolecimy stąd do Calloo? – zapytał George.

– Z trudem. – Zerknął na odczyt poziomu paliwa. – Ale nie rozumiem, czemu mielibyśmy tam lecieć. To śmigacz Bunny’ego, a Bubbles właśnie podała wewnętrzny kod autoryzacyjny. Jeśli nie chcą go przyjąć, to znaczy, że coś tu jest nie tak.

– No to nie chcemy lądować, jeżeli coś jest nie tak – rzekł George. – Ale co mogłoby być nie tak? Co jest na tej wyspie? – zwrócił się do Bubbles.

Zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

– Cóż... Lądowisko, stacja techniczna i domek lotniskowy rodziny... ale tam nie ma stałego

personelu.

– Tutaj też jest domek letniskowy? – zapytał Ronnie. – To czemu kazałaś mi zaprogramować lot do Whitewings?

– Chcieliśmy być poza zasięgiem. Tutaj jest zbyt blisko – to pierwsze miejsce, gdzie zaczęliby nas szukać.

Ronnie wyrzwał przez przednią szybę. Na morzu widać było porośnięte lasami wyspy o dziwnych kształtach. Z odczytu komputerowego dowiedział się, że do Bandon jest tylko pół godziny lotu. Dostrzegał już w oddali jej charakterystyczne kształty. Calloo, to dalej wysunięta na północ wyspa w archipelagu, leżała daleko po prawej.

– Powinniśmy sprawdzić, co się tu dzieje – zasugerował. – Polecimy na Bandon i rozejrzemy się. – Powinno im wystarczyć paliwa, a jeśli odkryją coś ważnego, może Bunny wybaczy im zniknięcie. Zachowując ostrożność, opuścił śmigacz niżej, tuż nad wierzchołki drzew, po czym przeleciał po krzywej między najbliższą wyspą a Bandon, przemykając tuż obok jakiejś małej wysepki. Nie wyglądał na zewnątrz, koncentrował się na odczytach urządzeń. Jeśli opadnie zbyt nisko, uruchomią się automatyczne zabezpieczenia śmigacza i przechodząc w tryb wodolotu, opuszczą ich na wodę, a to byłoby bardzo żenujące.

George pierwszy zauważył niebezpieczeństwo.

– Uważaj! – wrzasnął. Ronnie obejrzał się, zastanawiając się, w co jego pasażerowie zaczęli się bawić. Raffa jęknęła, wyglądając na sterburtę. Na chwilę przed uderzeniem Ronnie zobaczył dziwny kształt ciągnący za sobą smugę pomarańczowego dymu. Śmigacz wyrwał się szarpnięciem spod kontroli i skoczył w bok. Połowa kontrolki zabłysła czerwienią. Coś zaskwierczało gniewnie w sekcji napędowej, potem przeszło w bolesny jęk i nagle się urwało.

Ronnie chwycił z powrotem orczyk, ale poczuł złowieszczy brak reakcji. Rozpoczął sekwencję lądowania awaryjnego, której nigdy nie spodziewał się używać po zaliczeniu egzaminu z pilotażu. Czy doleczą do wyspy? Prędkościomierz nie działał, podobnie jak wszystkie wskaźniki w tym bloku. Biała plaża i drzewa na brzegu zbliżały się w żółtym tempie. Za jego plecami nikt się nie odzywał. George podniósł się ze swojego miejsca i przepchnął do przodu, zaburzając chwiejną równowagę pojazdu.

– To chyba rakietka sygnałowa – powiedział spokojnie, jakby kontynuował luźną konwersację. – Ten czerwony dym...

– Mamy za ciężki nos – jęknął Ronnie. – A hydraulika nie działa. Użyj swoich stóp, a nie wielkiej gęby.

Ale cokolwiek robił George, niczego to nie zmieniało. Śmigacz opadał w stronę fal.

– Trzymajcie się, dziewczyny – rzucił George w stronę tylnych siedzeń.

– Sam się trzymaj. Staramy się wyciągnąć tratwę – odpowiedziała mu Raffa.

Ronnie jeszcze raz spróbował podciągnąć nos pojazdu do góry, ale śmigacz dygotał jak zdenerwowany pies. Śmigacze nie przeciągają, przypomniał sobie słowa instruktora, ale mogą nieźle się rozbić. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nawet doleczą do lądu, mogą roztrzaskać się o drzewa. Czy w ogóle da się jeszcze manewrować? Najpierw wysokość, potem manewry, przypomniał sobie. Ale nie miał wysokości. Spróbował nieco się unieść. Śmigaczem rzuciło w bok, ale zareagował ociężale. Mógł skręcić wzdłuż brzegu, a te drzewa...

– George! Tam, ci ludzie... – Ronnie nie mógł patrzeć, musiał utrzymać śmigacz w powietrzu najdłużej jak się da. George nachylił się, by spojrzeć, po czym prychnął.

– Są prawie nadzy – zauważył z niesmakiem. – Ale uzbrojeni. Myślę, że to ta wyrzutnia, z której nas trafili.

Ronnie włożył wszystkie siły w próbę skłonienia śmigacza, by nie rozbił się na kępie drzew rosnących najbliżej brzegu.

* * *

Wylądowali i nie zginęli – w tej chwili tylko to się liczyło. Dzwoniło mu w uszach i bolało go całe ciało. Ale żyli i wydostali się ze śmigacza – który wydawał się teraz zbyt mały, by pomieścić tylu ludzi oraz taki ładunek strachu. Bubbles i Raffa, które wykazały się zdecydowanie większym rozsądkiem, niż podejrzewał, wylądowały ze śmigacza wszystkie przydatne przedmioty. Tratwę ratunkową, ich zapasy, wygniecione, ale całe worki z rzeczami.

– Nigdy nie opłaca się kupować tanich toreb – oświadczył George tonem, którym zasłużył sobie na przydomek „wstrętny”, strzepując piasek ze swojego worka i wieszając go na ramieniu. – Ronnie, może pomógłbyś dziewczynom, co?

Ronnie posłał mu wściekłe spojrzenie. Wstrętny George wyglądał tak jak zawsze – świeży, elegancki i wyprasowany na kant. Ani jednego zmierzwionego włosa, ani jednej plamki. Tak samo wyglądał na końskim grzbiecie, i jeśli nawet zleciał na ziemię, nie miał na sobie ani śladu brudu. Tak samo wyglądał podczas upalnej parady. To nie było sprawiedliwie i jego koledzy oficerowie robili różne rzeczy, by zepsuć jego wygląd, ale nic im się nie udawało. „Wrzucić wrednego George’a do łajna – powiedział któryś ze starszych kadetów – a nie tylko się nie przylepi, ale jeszcze zacznie lśnić”.

Teraz, na piaszczystej plaży przy wraku rozbitego śmigacza, Ronnie pomyślał, że dobrze wie, jak on sam wygląda. Bez słowa wziął dwa pozostałe worki, przeszedł parę kroków i upuścił je na piach.

– Co jest? – zapytał George.

– Radiolatarnia – wyjaśnił, wspinając się do wraku. – Musimy włączyć sygnał alarmowy, chyba że planujesz wrócić wpław na kontynent.

– Dałeś mi ją – powiedziała Bubbles. Wyglądała na zmartwioną. – Nie pamiętasz?

Nie pamiętał. Przykucnął na osłonie śmigacza, nagle zdając sobie sprawę, że dziwnie się czuje. Rozejrzał się wokół, mrugając. Morze, piasek, drzewa... To pamiętał. Rozbili śmigacz i jego właściciel będzie wściekły. Kto go rozbił? Śmigacze zaprojektowano tak, by nie było łatwo ich rozbić, a zarówno George, jak i on byli dobrymi pilotami. Przyjrzał się wrakowi, dużej dziurze w sekcji silnikowej i śladom płomieni na zewnętrznym kadłubie.

– Co się stało? – zapytał, choć wiedział, że to głupie pytanie.

– Niech to szlag! – usłyszał głos George’a. – Doznał wstrząsu, nie pamięta, co się stało. Chodźcie, dziewczyny, musimy go stąd zabrać.

Potem słyszał jeszcze, jak Raffa pyta czemu, a Bubbles przypomina George’owi, że ranni nie powinni być ruszani do chwili przybycia personelu medycznego. Później ktoś silniejszy od Rafty i Bubbles ściągnął go z pojazdu i przerzucił sobie przez muskularne ramię. To dopełniło jego hańby: wymiotował śniadanie na nogi George’a i na dłuższy czas stracił świadomość.

* * *

Kiedy się obudził, leżał na plecach i czuł, jak słońce wbija klina między jego powieki, a ktoś gra na jego głowie kolekcją łyżek. Nie miał najmniejszej ochoty się ruszać, marzył tylko o ciszy, mroku i chłodnej, mokrej szmatce na czole. Miło byłoby też usłyszeć wyrazy współczucia. Zamiast tego jedyne rozpoznawalne głosy wydalają się rozgniewane i przestraszone.

– Gdyby mój ojciec wiedział... – To musi być Bubbles odgrywająca swój stały numer z córką tatusia.

– A czemu myślisz, że on nie wie? – zapytał męski głos tonem zdradzającym, że Bubbles nie zrobiła na nim wrażenia. Lub też zrobiła, ale niewłaściwie.

Zapadła cisza.

– Nie sędzę, żeby wiedział, że jego córka bierze w tym udział. – W głosie drugiego mężczyzny było coś znajomego, ale Ronnie nie do końca potrafił to rozpoznać. – Ale z drugiej strony coś takiego, taki numer na jego ulubionej planecie rozrywkowej. Jak mógłby nie wiedzieć?

– Jaki numer? – Ronnie pomyślał, że to musi być Raffaella. Dziewczyna wierzy, że fakty same wszystko wyjaśnią.

Usłyszał kolejny męski głos.

– Och, myślę, że wiesz, panienko. – To „panienko” zjeżyło wszystkie włoski na jego ciele. Chciał się zerwać i wrzucić ten głos do morza, ale nie mógł się poruszyć. – To raj dla myśliwych, prawda? A twój tatuś, albo może jej, to sławny myśliwy, nieprawdaż? W organizowanych przez niego polowaniach chodzi o to, żeby dać zwierzynie szansę, co? Dzięki temu polowanie staje się wyzwaniem, nie?

Pytanie zrobiło na Ronniem bardzo nieprzyjemne wrażenie, jakby pochodziło z kiepskiej kostki przygodowej.

– Polowanie na ludzi – oznajmił pierwszy głos. – Świetnie o tym wiecie, przecież właśnie po to tutaj przylecieliście. – Ronnie usiłował zrozumieć jego słowa. Polowanie na ludzi? On wiedział tylko o polowaniach na zbiegłych kryminalistów albo zagubione dzieci.

– Ale widzicie, to może działać w dwie strony – dodał drugi głos. – W czasie polowania na drapieżniki zwierzę zawsze może odejść w drugą stronę, ale ludzie potrafią być o wiele bardziej niebezpieczni. Kiedyś słyszałem taką historię...

– Wszyscy ją znają, Sid, zamknij się. – Ten przywódczy ton wreszcie przebił się do świadomości Ronniego. Tak samo mówiła kapitan Serrano, gdy wyrzucała go z mostka, czy wtedy, gdy podsłuchiwał, jak opowiadała ciotce Cece o bitwie. Z trudem otworzył oczy i zobaczył pochyloną nad nim ciemną i ponurą twarz. – proszę – odezwał się mężczyzna. – I co my tu mamy, młodzieńcze? Ktoś ty?

– Ronald Vertigern Boniface Lucien Carruthers – usłyszał własne słowa, które brzmiały jak na sesji szkoleniowej w eskadrze. – Królewska Służba Powietrzno-Kosmiczna. – Rozejrzał się wokół, skoro już mógł, i zobaczył wstrętnego George’a, o zdumiewająco schludnym wyglądzie, z kneblem w ustach i wściekłością na twarzy. Bubbles wyglądała na równie rozżłoszczoną. Był ciekaw, czy spróbuje swojego najczęstszego numeru – zrobienia z siebie głupiej blondynki. A Raffa – co do której zaczął mieć nadzieję, że może któregoś dnia stanie się jego Raffaele – siedziała z zupełnie pozbawioną wyrazu twarzą. Nigdy jej takiej nie widział i miał nadzieję, że to się więcej nie zdarzy.

Pochylona nad nim ciemna twarz nadal była ponura.

– Królewskie dupki, co? I pewnie myślisz, że to coś tutaj znaczy?

Ronnie słyszał już to określenie i zignorował je teraz jako poniżej godności rannego oficera.

– A pan? – zapytał, zastanawiając się, które z jego kończyn wciąż są sprawne. – Nie miałem jeszcze honoru...

Usłyszał pogardliwe prychnięcie innych, których jeszcze nie zauważył.

– To prawda, żołnierzyku, nie miałeś honoru. Nawet nie wiesz, czym jest honor.

Z niewielkiej odległości dobiegł go kolejny chichot.

– Chłopaczek rozbija się w śmigaczu i wali w maleńką, biedną główkę, potem wyrzuca flaki i myśli, że wolno mu mówić słowo na H...

– Zamknij się, Kev. Nie mamy czasu na bzdury. – Ciemne oczy mężczyzny oceniały Ronniego. – A ty... powiesz nam prawdę, panie Ronaldzie Vertigernie Bonifacu Lucienie Carruthersie z królewskich dupków. Przecież nie nauczyłeś się latać z tą bandą staruszek, chłopcze. Skąd naprawdę jesteś? – Mocne ręce chwyciły go za uszy i potrząsnęły głową. Do tej pory myślał, że go bolała, ale teraz wiedział, że tylko mu się zdawało. Poczul, jak oczy wypełniają mu się łzami, i ogarnęła go nienawiść do tego mężczyzny. Jego żołądek przypominał mu o sobie i z trudem opanował kolejną falę wymiotów.

– Mówiłam wam – odezwała się Bubbles, zanim zdołał coś powiedzieć. – Jesteśmy z głównego domu, chcieliśmy uciec od polowań na lisy...

– I spróbować zapolować na inną zwierzynę? – przerwał jej inny głos, którego właściciela Ronnie nie widział.

– Po prostu chcieliśmy trochę się rozerwać – rzekł wreszcie. W tej chwili nie obchodziło go, czy zginie, równie dobrze może dostać prawdziwym toporem w głowę, bo i tak czuł się jak po uderzeniu czymś takim. Zdawał sobie sprawę, że mówi słabo i płaczkawie, ale czuł się słabo i płaczkawie. – Moja ciotka Cece – nie znacie jej – i ta jej piekielna kapitan chciały, żebym spędzał każdy dzień na koniu, goniąc jakieś nieszczęśliwie kudłate zwierzątko po zimnych polach pełnych błota i płotów postawionych tylko po to, by konie zrzucały jeźdźców. – Głęboko odetchnął, nikt mu nie przerywał. – Mieliśmy tego dość – dodał, zamykając oczy przed słońcem przebijającym się przez liście. – Chcieliśmy odpocząć. Chcieliśmy się zabawić. Zapytałem Bubbles, czy na tej żałosnej planecie nie ma takiego miejsca, gdzie jest ciepło, sucho i nie ma koni, a ona zaproponowała, żebyśmy polecieли na wyspy.

– Oblo? – Pytanie było skierowane do kogoś innego, kto właśnie się pojawił. Ronnie oddał się kontemplacji swojego bólu głowy i dziwnie bezradnych rąk i nóg. W końcu doszedł do wniosku, że chyba po prostu jest związany albo czymś przyciśnięty, bo mógł poruszać palcami nóg. Z jakiegoś powodu odkrycie, że nie ma uszkodzonego kręgosłupa, wcale nie przyniosło mu ulgi.

– Żadnej broni w pojeździe, tylko rakieta. To na większości planet standardowy sprzęt na wypadek awarii śmigacza. – Oblo przemawiał równie rzeczowym tonem jak pochylony nad nim mężczyzna. – Tylko jedzenie i trochę lekarstw. Na ile mogę stwierdzić bez łączności z siecią, wszystkie dokumenty się zgadzają. ID śmigacza wciąż znajduje się w pamięci komputera; owszem, należy do lorda Thornbuckle'a.

– A nadajnik? – zapytał pierwszy głos.

– Jest z powrotem na pokładzie, sir, tak jak pan polecił. Trudno było ukryć, że go wyciągano, ale może potraktują pękniętą obudowę jako powód, dla którego nie działa. Staralem się jak mogłem.

– Nie wątpię, Oblo.

Ronnie ponownie otworzył oczy i zobaczył, że ciemna twarz patrzy ponad nim w stronę kogoś innego.

– Czemu włożyliście nadajnik z powrotem? – zapytał. – To głupie. Potrzebujemy pomocy.

– Może potrzebujecie – warknął mężczyzna – ale my nie chcemy, żeby przez ten nadajnik myśliwi nas wytropili.

– Wy... nas zestrzeliliście. – Był pewien, choć nie widział broni, która mogłaby tego dokonać.

– Tak. Myśleliśmy, że jesteście myśliwymi, i chcieliśmy was zatopić. W sumie niezła robota, udało ci się doprowadzić śmigacz aż na ląd. – Ciemny mężczyzna odchrząknął i splunął. – Teraz zaczyna mi się wydawać, że nasz wysiłek był niepotrzebny. Ale jeśli o was wiedzą, czekają nas jeszcze większe problemy, jeśli to w ogóle możliwe.

– Och. – Ronniemu nie przychodziło do głowy, co jeszcze mógłby powiedzieć, więc spojrzał na George'a, ale ten był zakneblowany i nie mógł nic dodać.

– Jestem pewna, że mój ojciec o niczym nie wie – przerwała ciszę Bubbles. Jej blond włosy były potargane, loczki wyprostowały się. Przyglądała je dłońmi. – To specjalne miejsce dla dzieci – nawet gdyby robił coś okropnego, nigdy nie zrobiłby tego tutaj.

– Miejsce dla dzieci?

– Obozowaliśmy tu każdego lata, odkąd skończyłam piętnaście lat. Niektórzy młodszy kuzyni wciąż tutaj przyjeżdżają. – Ronnie pozwolił, by głos Bubbles ukołysał go do snu. Już nie chciał być przytomny.

* * *

Kiedy znów się przebudził, usłyszał głos George'a. Biedni durnie, pomyślał leniwie. Powinni byli zostawić mu knebel. Potem zdał sobie sprawę, co pomyślał, i obudził się do końca, zawstydzony. Rozwiązano go (jeśli faktycznie go skrupowano, gdyż nie bardzo pamiętał, tak samo jak i parę innych rzeczy), a kiedy spróbował usiąść, czyjeś ramię podparło mu plecy i dźwignęło za ramiona. Zauważył, że minęło kilka godzin – promienie słońca przebijały się przez gęstwinę drzew pod innym kątem. Ktoś umył mu twarz i nie czuł już na niej wymiocin, za co był bardzo wdzięczny. Pojawiła się brązowa ręka i bez słowa podała mu manierkę z wodą. Przyjął ją i napił się.

Byli tu wszyscy: Bubbles, Raffa i George oraz twarze, które pamiętał z tego koszmaru, gdy leżał płasko na plecach. Teraz, siedząc, rozumiał, że wrogie miny obcych były wynikiem wyczerpania, strachu i niepewności. Zobaczył tylko osiem czy dziewięć osób, ale odgłosy dochodzące z gęstych zarośli sugerowały obecność przynajmniej dwukrotnie większej liczby ludzi.

– Rzecz w tym, Petris – mówił właśnie George – że zarówno Ronnie, jak i ja jesteśmy oficerami Królewskich... – Słyszając chichoty, umilkł i zaczerwienił się.

– Synu – powiedział ciemnoskóry mężczyzna – tak naprawdę rzecz w tym, że my wiemy, jak walczyć na wojnie, a wy nie. Doprowadzilibyście do naszej śmierci, tak samo jak omal sami nie zginęliście razem z dziewczynami. Nie obchodzi mnie, ile błyszczących pasków i orderów nosisz na mundurze galowym ani jak bardzo błyszczą twoje buty. Nie masz zielonego pojęcia, jak utrzymać się przy życiu w trudnych warunkach, a ja wiem.

George rozejrzał się wokół w poszukiwaniu poparcia i zauważył wzrok Ronniego.

– No, wreszcie się obudziłeś. Powiedz im – jesteśmy oficerami i powinniśmy tutaj dowodzić.

Dowodzić? Niby czym? Ciemnoskóry mężczyzna – Petris? – mówił coś o polowaniu na ludzi, ale on nie chciał na nikogo polować. Chciał poczekać, aż będzie w stanie jasno myśleć, a potem wrócić na kontynent. Nagle jego umysł szarpnął jak zabawkowy pociąg przeskakujący na inny tor. To na nich polowano, to o nich chodziło. Ludzie z wyspy próbowali odpowiedzieć tym samym, zapolować na myśliwych. A George sądzi, że powinni tym dowodzić? To śmieszne. Ronnie wzruszył ramionami.

– On ma rację, George. Jesteśmy gorsi od dziewcząt – one przynajmniej wiedzą, czego nie wiedzą. Nam wciąż się wydaje, że wszystko wiemy. – Nie do końca wiedział, co mówi, ale czuł, że mimo tępego łomotu w głowie to ma jakiś sens. – Pan jest... Petris, sir? Zgadza się z panem.

Ciemny mężczyzna posłał Ronniemu pierwsze przyjazne spojrzenie.

– Może to walnięcie w głowę jednak przestawiło twój mózg na właściwe tory. Oblo, daj chłopakowi rację żywnościową. – Ta sama ciemna ręka, która podała mu wodę, trzymała teraz zapiaszczony baton pochodzący z awaryjnych zapasów śmigacza. Wziął go i spróbował. Jego ciało pragnęło słodko-słonego smaku.

– Ronnie, nie możesz pozwolić temu... temu osobnikowi ignorować nasze starszeństwo.

Uśmiechnął się, prawie nie czując bólu głowy.

– Nie pozwalam jemu ignorować mojego starszeństwa. To ja je ignoruję. Pamiętasz, co starszy Jenkins powiedział o młodych durnych kadetach?

– Nie jesteśmy już kadetami. – George wciąż się jeżył. Ronnie po raz pierwszy zobaczył w nim odbicie jego ojca, sądowego wojownika. – Jesteśmy oficerami!

– Jesteśmy więźniami, jeśli chodzi o ścisłość – zauważył. – Daj spokój, George. Spójrz na to w ten sposób: to przygoda. – Petris skrzywił się, ale George w końcu się uśmiechnął. – To takie nasze powiedzenie – próbował wytłumaczyć mężczyźnie. – Zaczynaliśmy razem w szkole wstępnej. George, Buttons czy Diii wymyślali różne rzeczy, a kiedy pozostali mówili, że to szaleństwo i będziemy mieli przez to mnóstwo kłopotów, zawsze mówiliśmy: „To przygoda”.

George zachichotał.

– Pamiętam, od kogo to się zaczęło. Od Artura jak – mu – tam, pamiętasz? Miał kosmyk jasnoniebieskich włosów i upierał się, że go odziedziczył po przodkach. Wpakował nas w jakąś potworną awanturę, a kiedy wezwano nas do dowódcy, powiedział: „Spójrzcie na to w ten sposób, chłopcy: to przygoda”. I wszyscy poszliśmy do dowódcy, szczerząc się jak idioci, po czym dostaliśmy dwukrotnie Wyższą karę niż zwykle.

– To nie jest przygoda – rzekł Petris z naciskiem, który zgasił uśmiech Ronniego. – To wojna. Różnica jest taka jak między karą, którą wtedy dostaliście, a śmiercią. Jeśli tutaj zaczniecie się śmiać w niewłaściwej chwili, zginiecie. I to nie w elegancki i przyjemny sposób. – Patrzył przy tym na George’a, który wciąż wyglądał zbyt nieskazitelnie jak na obecne okoliczności.

– Wiem o tym – stwierdził z irytacją George.

– Więc zachowuj się właściwie. – Petris zwrócił się z powrotem do Ronniego. – A ty, młodzieńcze, skoro w końcu zaczynasz mówić z sensem, postaraj się przeżyć i dorosnąć. – Zerknął na dziewczyny, ale nie odezwał się do nich. Czyżby uważał kobiety za nic niewarte? Widocznie nie zna kapitan Heris.

Zdał sobie sprawę, że wypowiedział jej imię na głos, dopiero wtedy, gdy tamci zareagowali.

– Jakiej kapitan? – Petris znów wyglądał groźnie. Ronnie przełknął resztę batonu.

– Serrano. Heris Serrano. Jest byłym oficerem Zawodowej Służby Kosmicznej, tak jak wy.

– A więc to tym się teraz zajęła. – W jego oczach pojawił się złowieszczy błysk. Ronnie poczuł strach – były to pierwsze emocje, które zobaczył u Petrisa. Mężczyzna wyszczerzył zęby, ale jego uśmiech wcale nie wyglądał miło. – Czyli jednak przeżyła upadek.

– Upadek?

– Odgrywa kapitana jachtu bogatej damy. To w sam raz dla niej.

– O co chodzi? – zapytał George. Ronnie też chciał wiedzieć, ale już oberwał za zadawanie zbyt dużej ilości pytań.

Petris łypnął na niego. – Nie twój...

– Powiedz im – rzucił Oblo. – Czemu nie? Chyba nie chcesz jej bronić.

Petris potrząsnął głową.

– Nie. Ale myślisz, że te chłopaczki z królewskich dupków potrafią to zrozumieć?

– Może się czegoś nauczą – zauważył Oblo. Ronnie wyczuwał napięcie między mężczyznami; był ciekaw, z czego się brało.

– No dobra. – Petris przetarł usta dłonią i usiadł wygodniej, patrząc gdzieś w dal. – Wszystko zaczęło się 04 kampanii Cavinatto, która jest zbyt świeża, żebyście słyszeli o niej na studiach, więc nie próbujcie się wymądrzać na ten temat. Według plotek, to admirał Lepescu wymyślił ten beznadziejny plan, i na ile go znam, nie ma powodu w to wątpić. Gdyby nasza kapitan wypełniła jego rozkazy, większość z nas by zginęła. To był głupi plan i głupi rozkaz.

– Ale... – zaczął George. Petris spojrzał na niego.

– Mam ci znowu założyć knebel? To siedź cicho. Wiem, co myślisz: oficerowie, którzy odmawiają wykonania rozkazów, są zdrajcami i powinno się ich rozstrzelać, tak?

George kiwnął głową, równocześnie wzruszając ramionami z obrażoną miną. Ronnie omal nie roześmiał się w głos, ale powstrzymał go wyraz twarzy Petrisa.

– Takie są przepisy – kontynuował mężczyzna. – Nieważne, jak głupie są rozkazy, oficerowie wykonują polecenia starszych stopniem, a marynarze słuchają oficerów. Przeważnie tak robią i nic się nie dzieje, ponieważ kiedy nie jesteś w walce, głupi rozkaz nie jest w stanie cię zabić. Ale kiedy dochodzi do walki... Każdy kiedyś zginie – w końcu nie jest to najbezpieczniejsza profesja... – Zza pleców Petrisa rozległy się chichoty, ale je zignorował. – Ale masz nadzieję, że twoja śmierć będzie mieć jakiś sens, a nie tylko zmienisz się w krwawą miazgę. – Umilkł na tak długo, że George w końcu poruszył się i zaczął otwierać usta. Ronnie machnął do niego ręką, próbując go uciszyć. W końcu Petris popatrzył na nich i znów zaczął mówić.

– Wiecie, nie chodzi o to, że ktoś wątpił w odwagę Serrano. Brała już udział w walce i miała parę orderów, których nie dostaje się za siedzenie przy konsoli i wciskanie właściwych klawiszy. Odmawiając wykonania rozkazu, by ocalić wielu ludzi, postąpiła cholernie odważnie, i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Ryzykowała swoją karierę, a może nawet życie. Kiedy było po wszystkim i rozpoczęło się dochodzenie, nie próbowała zrzucić winy na innych – przyjęła ją na siebie, tak jak się spodziewaliśmy, znając ją wcześniej. Służyłem z nią na trzech różnych okrętach i wiedziałem – przynajmniej tak mi się wydawało – jaka jest. Groził jej sąd wojenny, zwolnienie w hańbie i może nawet więzienie lub egzekucja, gdyby nie potrafiła dowieść, że admirał Lepescu nie tylko zachował się głupio, ale że nie miał prawa do takiego postępowania. Bałem się o nią. Wiedziałem, że ma wysoko postawionych przyjaciół, ale nie dość wysoko, i że będzie jej cholernie trudno udowodnić,

że admirał wydaje złe rozkazy tylko dlatego, że lubi rozlew krwi.

Znów zamilkł i pociągnął dwa długie łyki ze swojej manierki.

– Serrano, którą znałem, to była kobieta, która potrafiła ryzykować. – Zaczął mówić wolniej, wymawiając każdą sylabę tak, jakby raniła go w usta. – A tymczasem ona skorzystała z okazji i zrezygnowała ze Służby, zwalając winę na swoją załogę. Zostawiła nas samych przed sądem wojennym. Skazano nas i dostaliśmy taki wyrok. – Machnął ręką, wskazując na otoczenie. – Nie Bil przysłała na naszą rozprawę, nie składała zeznań, nie udzieliła nam żadnego pisemnego poparcia. Nic. Zignorowała nas, wszystkich członków załogi, dla uratowania których rzekomo ryzykowała swoją karierę. To nie miało sensu, chyba że odmowa wykonania rozkazu Lepescu wynikała ze strachu albo zobaczyła w tym okazję do opuszczenia Służby...

Ronnie milczał. Pamiętał swoje wrażenia z pierwszego spotkania z kapitan Serrano: wyglądała jak ktoś mocno cierpiący, kto nie chce się do tego przyznać. Pamiętał, jak zbluzgała go wtedy na I mostku, pamiętał także, co podsłuchał, gdy rozmawiała z jego ciotką. Przysiągł sobie wtedy, że któregoś dnia zemści się na niej. Uwięziła go i „oswoiła”, jak to ujęła. Musiał patrzeć, jak uczy się jeździć, a potem poluje, jakby się do tego urodziła, podczas gdy on nienawidził każdej godziny w siodle. Musiał wysłuchiwać, jak ciotka chwali zdolności swojej kapitan, a jego krytykuje za brak umiejętności. Za to też poprzysiągł jej zemstę. Teraz miał okazję się zemścić – i nie musiał nic robić, wystarczyło tylko milczeć.

Napotkał spojrzenie George’a. Pamiętał, że powtórzył mu to, co Serrano powiedziała o swojej przeszłości. Był wtedy zły i bezwstydnie podsłuchiwał, a potem na dodatek podzielił się plotkami. Teraz było mu wstyd, czuł, jak płoną mu uszy.

– To wcale tak nie było – usłyszał własny głos. Petris spojrział na niego, unosząc brwi. – Ona nie wiedziała.

– A skąd ty miałbyś o tym wiedzieć? – zapytał Oblo, zanim Petris zdążył to zrobić.

– Ja... słyszałem, jak rozmawiała z moją ciotką – wyjaśnił Ronnie. Nie odważył się spojrzeć na Raffę, było mu wstyd. – Powiedzieli jej – przypuszczam, że to ten admirał, o którym pan mówił – że jeśli stanie przed sądem, załoga zostanie osądzona razem z nią, ale jeśli zrezygnuje, żadne działania przeciwko jej podwładnym nie zostaną podjęte.

Petris prychnął.

– Już to widzę! Oczywiście, wymyśliła sobie tę historię później, nie chciała się przyznać, że nas sprzedała...

– Nie jestem pewien – przerwał mu Oblo. – Mogło tak być. Pomyśl, Petris: co bardziej pasuje do naszej Serrano?

– Ona nie jest moją Serrano! – rzucił wściekle Petris. Przez chwilę Ronnie bał się, że zaatakuje Oblo. – Do cholery, stary, mogła...

– Mogła zostać oszukana tak samo jak my. – Ronnie zdał sobie sprawę, że Oblo nigdy nie chciał uwierzyć w zdradę Serrano. Mężczyzna zwrócił się do niego. – Oczywiście, chłopcze, to kapitan twojej ciotki, i zdaję sobie sprawę, że ją lubisz i jej bronisz...

– Lubię ją. – George nie potrafił już zachować milczenia. – Tę... tę nadętą, arogancką, autokratyczną kobietę?! Nikt nie mógłby jej lubić. Wiecie, co zrobiła Ronniemu – Ronniemu! – na statku jego własnej ciotki? Spoliczkowała go! Wyrzuciła go z mostka, jakby był jakimś głupim cywilem! A mnie powiedziała, że jestem tylko pajacem, ładną twarzą, i że jestem zbyt głupi, żeby znaleźć lewą nogę...

– George – wtrącił się Ronnie, próbując zachować powagę. – George, daj spokój...

– Nie, Ronnie. – Wyniosłość George’a sprawiała, że wyglądał jeszcze śmieszniej. – Mam już tego dość. Może kapitan Serrano podoba się twojej ciotce, ale nie mnie. Wszystkie te nedorzeczne ćwiczenia awaryjne – nigdy nie widziałem czegoś takiego na żadnym przyzwoitym jachcie. Całe to marudzenie o środku masy, kontrolach awaryjnego komputera nawigacyjnego i o czymś tam jeszcze. Ani trochę się nie dziwię, że ta kobieta już wcześniej wpakowała się w kłopoty. Jest obsesyjnie pochłonięta przepisami i rozkazami. Tego rodzaju ludzie zawsze kiedyś wariują. Doprowadziła ciebie – najprzyzwoitszego z naszej grupy – do podsłuchiwania jej rozmów z twoją ciotką...

– Dość – warknął Petris i George umilkł.

– Teraz chcę usłyszeć od ciebie, Ronnie, tylko zwięźle, co dokładnie słyszałeś i w jakich okolicznościach.

Ronnie znów zebrał się na odwagę.

– Cóż... Zbluzgała mnie i trzy razy budziła nas w środku nocy z powodu ćwiczeń. Chciałem się na niej odegrać. – W tej chwili brzmiało to dość głupio; zdał sobie sprawę, że jego zachowanie było bardzo dziecinne. – Podłączyłem się do systemu nadzoru w gabinecie mojej ciotki. – Doszedł do wniosku, że nie musi mówić Petrisowi o machinacjach z butlami gazowymi i ich skutkach. – Kapitan dużo rozmawiała z ciotką – przeważnie o muzyce i sztuce, czasami o statku albo jeździe konnej. Ale moja ciotka chciała dowiedzieć się czegoś o jej służbie w wojsku i czemu z niej zrezygnowała. Widać było, że kapitan nie chce odpowiadać, ale ciotka potrafi być... przekonująca. I właśnie wtedy powiedziała, że dano jej szansę zrezygnowania ze Służby zamiast sądu wojennego, i obiecano, że jeśli zrezygnuje, nie zostaną podjęte żadne działania przeciwko członkom jej załogi. W przeciwnym razie załoga również zostanie oskarżona i z dużym prawdopodobieństwem skazana. Ona... płakała, Petris, a nie sądzę, żeby często to robiła.

Twarz mężczyzny skamieniała. Ronnie zastanawiał się, o czym myśli. Pierwszy odezwał się Oblo.

– To nasza Serrano, Petris. Nie wiedziała. Zrobiła to dla nas – pewnie nie pozwolili jej wrócić i nam wyjaśnić...

– Tak – wtrącił się Ronnie. – Mówiła, że musiała zrezygnować od razu, w tamtym biurze, i nie mogła wrócić na statek. Najgorsze było dla niej to, że ktoś mógł pomyśleć, że porzuciła swoją załogę, ale przynajmniej jej ludzie byli bezpieczni.

– To ta... żalosna imitacja admirała... – Petris wciągnął głęboko powietrze. Ronnie wyczuł w nim zbyt wielką wściekłość, aby mógł ją wyrazić zwykłymi obelgami. – Mógł to zrobić. Mógł to uznać za śmieszne.

– Nie – rzucił Sid. Ronnie rozpoznał nieprzyjemny głos, który wcześniej zjeżył mu włosy na karku. – Nie wierzę. To kapitan, tak jak mówiłeś wcześniej. Czemu miałyby zrezygnować, skoro niczego nie planowała? Przecież miała przyjaciół, którzy by ją obronili.

– Nie byłeś w jej załodze – warknął Oblo. – Nie masz prawa jej sądzić. – Spojrzał na Ronniego. – Mówisz prawdę. – Było to nie tyle oświadczenie, co groźba.

Chłopak przełknął ślinę, zanim zdołał odpowiedzieć.

– Usłyszałem dokładnie to, co wam powiedziałem. I powtórzyłem to George’owi. Nienawidziłem jej i miałem nadzieję odegrać się na niej. Ale... – Umilkł.

– Ale nie mogłeś pozwolić, żebyśmy dalej wierzyli w to kłamstwo, co? – spytał Petris. Uśmiechnął się; był to pierwszy szczerze przyjazny uśmiech, jaki Ronnie zobaczył na jego twarzy. – Cóż, synu, jak na chłopaczka z królewskich dupków masz zdumiewające poczucie przyzwoitości. –

Westchnął i przeciągnął się. – I o co się założycie – zwrócił się do pozostałych – że admirał Lepescu zaplanował, żeby dowiedziała się o wszystkim wtedy, kiedy będzie już za późno? Wówczas mogłaby dopuścić się czynów, które potem on wykorzystałby przeciwko niej.

– Czy on wie, że ona tutaj jest? – zapytał Ronnie, zaskakując samego siebie. – Czy może wiedzieć, kto ją wynajął i dokąd poleciała?

– Lepescu? Gdyby chciał, mógłby się dowiedzieć, którym widelcem jadła.

Rozdział 12

Heris wyszła spod prysznic, wycierając ręcznikiem włosy. Zastała w pokoju Cecelię siedzącą na krześle przy biurku, już w stroju do polowania.

– Nie wiedziałam, że jestem spóźniona – powiedziała. Jej ubranie leżało przygotowane na łóżku. Jak zwykle wyszła spod prysznic naga; wzruszyła ramionami, gdy zdała sobie sprawę, że już zbyt późno na wstyd. Miała nadzieję, że nie zaczerwieniła się ze złości. Cecelia nie miała prawa wchodzić do jej pokoju bez zaproszenia.

– Nie jesteś spóźniona – odpowiedziała starsza kobieta. – Nie mogę znaleźć Ronniego. Ani George’a. Oraz ich koleżanek. – Nagle jej głos wyostrzył się. – Ta... blizna...

Heris spojrzała na bladą kreskę i znów wzruszyła ramionami.

– Jest stara. – Potem, widząc zdziwienie Cecelii, dodała: – Na pokładach lekkich krążowników nie ma miejsca na zbiorniki regeneracyjne. Jeśli trafią się rany albo oparzenia, zostają blizny. – Założyła skarpetki, potem spodnie do jazdy i uśmiechnęła się. – Uważamy to za ozdobę.

– To barbarzyństwo – mruknęła Cecelia.

– To prawda, ale barbarzyństwo biorące się z konieczności. Czy zrezygnowałabyś z jazdy wyczynowej, gdybyś musiała żyć z bliznami po upadkach?

– No cóż... Oczywiście, że nie. W dawnych czasach mnóstwo ludzi je miało. Ale teraz to nie jest konieczne i...

– Podobnie jak polowanie na lisy – zauważyła Heris, zapinając koszulę i chowając ją w spodnie. – Bardzo niewiele rzeczy jest naprawdę koniecznych, jeśli się nad tym zastanowić. Ty, ja, konie, wszystkie rytuały. Gdybyś po prostu chciała eksterminacji tych lisów, wystarczyłoby rozpylenie specjalnie przygotowanego wirusa. Koniec. Gdybyś po prostu chciała skakać przez płoty, mogłabyś wymyślić znacznie bezpieczniejszy sposób – i nie angażować w to psowatych.

– Psów.

– Wszystko jedno. – Heris usiadła i wciągnęła buty. Już wystarczająco się dopasowały, by nie czuła ich na nogach. Spojrzała w lustro, zawiązała krawat, poprawiła włosy i sięgnęła po kurtkę. – Gotowa? Umieram z głodu.

– Nie słyszałaś, co mówiłam – odpowiedziała Cecelia, nie ruszając się z miejsca. – Nie mogę znaleźć Ronniego i pozostałych.

– Słyszałam, ale nie rozumiem twojej troski. Może wyszli wcześniej. Nie, to raczej mało prawdopodobne. Może jeszcze nie wstali po nocnej orgii w cudzym pokoju...

– Nie. Sprawdziłam.

Heris już otworzyła usta, by powiedzieć, że czworo młodych ludzi, którzy chcieli dłużej pospać, z łatwością mogło znaleźć bezpieczne miejsce w tak dużym budynku z tuzinami sypialni. I wtedy zobaczyła zdenerwowanie Cecelii.

– Naprawdę się martwisz, co?

– Tak. Wczoraj nie polowali. Dzisiaj mieli wyjechać z trzecią grupą, ale Susannah wspomniała, że ich nie widziała. Może pamiętasz, że dzień wcześniej Ronnie opuścił lekcję.

– Ale...

– Znalazłam Buttonsa i go zapytałam. Zaczerwienił się i powiedział, że przedwczoraj Ronnie,

George i dziewczyny pojechali na piknik. Nie wiedział o wczorajszym dniu albo nie przyznał się do tego. I jest jeszcze coś. – Cecelia umilkła. Heris usiadła na skraju łóżka. Znała tego rodzaju napięcie i nie chciała naciskać. – Brakuje śmigacza. Musiałam... przekupić personel Bunny'ego, żeby się tego dowiedzieć. Najwyraźniej Bubbles lubi takie zabawy i nie pierwszy raz zabrała osobisty śmigacz ojca, a personel nie chce, żeby miała przez to kłopoty. Wszystko zataili, więc Bunny o niczym nie wie.

– I nie ma ich już dzień... dwa? Może trzy dni?

– Tak. Zgodnie z rejestrem – prowadzą go po to, żeby mieć pewność, że Bubbles nic się nie stanie – wylecieli trzy dni temu dobrze przed świtem. Podali plan lotu na jakąś wyspę z domkiem letniskowym o nazwie Whitewings. Nigdy tam nie byłam, ale mam mapę. – Podała Heris kostkę danych, którą ta włożyła do czytnika na biurku. – Problem w tym, że wcale ich tam nie ma. To miejsce bez stałego personelu, choć w pełni wyposażone. Oczywiście śmigacz ma przekaźnik satelitarny i sygnał dochodzi stąd. – Cecelia wskazała wyspę położoną znacznie bliżej niż Whitewings. – Tam jest inny domek letniskowy. Michaels, który odpowiada za śmigacze, sądzi, że Bubbles po prostu zmieniła zdanie i postanowiła się ukryć na innej wyspie na wypadek, gdyby ktoś dotarł jej śladem tak daleko.

– Ale pewnie wie o nadajniku.

– Tylko nie spodziewa się, że ja też.

– Aha. – Heris wbiła wzrok w mapę. – Co jest na tej drugiej wyspie?

– Bandon? Tam jest kolejny domek; to takie rodzinne miejsce, choć ma duże lądowisko. Michaels mówi, że rodzina lata tam każdej wiosny. Kiedy dzieci były młodsze, obozowały na jednej z mniejszych wysp, podczas gdy dorośli mieszkali na Bandon. Podobno jest tam bardzo ładnie: zalesiona wyspa, czysta woda, raty. Importowane walenie bawią się z ludźmi. Bubbles zawsze najbardziej lubiła to miejsce na planecie. Na Whitewings jest zimniej, częściej zdarzają się burze.

– A więc sądzisz, że wszyscy opalają się teraz i pływają w morzu?

– Nie. Nie potrafię powiedzieć czemu, ale myślę, że mają kłopoty. I nie bardzo wiem jakie. To bezpieczny świat, na tych wyspach nie ma niczego, co mogłoby im zagrażać – pytałam Michaelsa. Ich komunikatory są niezniszczalne, gdyby potrzebowali pomocy, poprosiliby o nią. Nie mogą mieć żadnych poważnych kłopotów – nie cała czwórka. Ale...

– Powiedz Bunny'emu – zasugerowała Heris. Kiedy wyraz twarzy Cecelii zmienił się, zdała sobie sprawę, że pierwszy raz użyła jego przezwiska. Zawsze był dla niej lordem Thombuckle. Chciała przeproszać, ale Cecelia nie dała jej dojść do słowa.

– Nie chcę tego robić. Jeszcze nie teraz. W tej chwili jest zdenerwowany tym przeciwnikiem polowań, który wprosił się tutaj, podszywając się pod kogoś innego. Nie jest w najlepszym nastroju.

– Ale jeśli jego córka... Zresztą nieważne. Co miałabym zrobić?

– Nie jestem pewna. Pewnie nie ma takiej możliwości, żeby *Delight* mógł nam jakoś pomóc?

Heris walnęła się dłonią w czoło. Głupia. Niemal zmieniła się w cywila, spędzając cały ten czas najeździe konnej.

– Oczywiście – stwierdziła. – Ale czy mogę połączyć się z nim z domu bezpiecznym, kodowanym kanałem?

– Tak, z moją autoryzacją. Lepiej zrobmy to w moim pokoju. Heris zauważyła, że pokój Cecelii jest o połowę większy od jej sypialni i ma jeszcze więcej okien od wschodu – nic dziwnego, że tak

wcześniej się budzi. Jednak komputer biurkowy wyglądał tak samo i Cecelia szybko uzyskała bezpieczne połączenie ze stacją. Podała Heris słuchawki.

– Kapitan Serrano. Proszę o bezpieczne połączenie z oficerem pokładowym *Sweet Delight*.

– Natychmiast, pani kapitan. – Pomyślała, że prawdopodobnie rozmawia z samym zarządcą stacji, ale nie dostała połączenia na wizji. Kiedy ekran się włączył, zobaczyła znajomy mostek, wykrzywiony nieco przez szerokokątną soczewkę, i siedzącą w fotelu pierwszą oficer nawigacji, Sirkin.

– Kapitan Serrano – przywitała ją dziewczyna. Była tylko lekko zaskoczona.

– Chciałabym dostać raport skanu z... powiedzmy... ostatnich pięćdziesięciu pięciu godzin. Czy zarejestrowaliście lot śmigacza z głównego domu do grupy wysp na zachodzie?

Odpowiedział jej szeroki uśmiech.

– Tak jest. Miałam wtedy wachtę. Zaraz wywołam zapis skanera. – Na ekranie pojawił się rejestr w postaci wąskiego paska, z datą i godziną wyświetlaną w czasie lokalnymi standardowym. Wpisy rejestru dotyczyły rozmiarów pojazdu, kursu i kodów rozpoznawczych nadajnika. Sam skan, wyglądający jak płatanina wykresów i cyfr, zgadzał się z rejestrem, poza jednym wyjątkiem.

– Tutaj nadawali – zauważyła Heris, wskazując palcem na skanie. – Połączyli się ze stałą stacją, prawdopodobnie lądowiskiem na Bandon. I ktoś udzielił im odpowiedzi.

– Michaels mówi, że to automat. Tam nie ma nikogo, jeśli nie spodziewają się gości.

– Hmm. A to co? – Heris wskazała na zawijas, którego Cecelia nie potrafiła zinterpretować, i zwróciła się do swojej oficer nawigacyjnej. – Zarejestrowałaś jakiś inny ruch?

– Tak, ale ponieważ nie odebrałam sygnału lokalizatora satelitarnego, przyjąłam, że to tylko loty techniczne czy coś takiego.

– Czy coś takiego – mruknęła Heris. Poczła dziwną satysfakcję i uśmiechnęła się do Cecelii. – Instynkt cię nie zawodzi: rzeczywiście coś się tam dzieje.

– To zapewne przemytnicy – odpowiedziała Cecelia z nieukrywanym niesmakiem. – Nigdy nie widziałam planety bez przemytników. To pewnie załogi poza służbą.

– Nie – wtrąciła Sirkin. – Część z nich to Służba Kosmiczna. Zawodowa, kapitanie, tak jak pani. – Heris skrzywiła się.

– Skąd wiesz? – zapytała.

Młoda kobieta zaczerwieniła się.

– Cóż, właściwie to tak jakby... słuchałam, bo chciałam sprawdzić, na ile dobre są te nowe skanery.

– I złapałaś łączność Floty? – Jeśli tak, Heris musi to zgłosić, choć pewnie jej za to nie podziękują.

– Nie. To był prywatny prom z czarterowego jachtu zadokowanego do stacji numer trzy. Ktoś na dole zapytał, czy na pokładzie jest admirał Lepescu, i z promu odpowiedzieli, że tak.

Heris poczuła, jak krew w jej żyłach nagle zastąpił lód. Chciała zapytać o szczegóły, ale Cecelia położyła rękę na jej ramieniu.

– Chcę tam polecieć.

– Czemu? – Myśli Heris krążyły wokół nazwiska admirała i nie potrafiła zrozumieć, po co Cecelia chciałaby za nim lecieć.

– Żeby sprowadzić ich z powrotem, zanim Bunny się dowie. Młodzi. Ronnie i reszta. Nie Lepescu. Heris z trudem zmusiła się do myślenia. Uciekli z domu bez pozwolenia i nikogo o tym nie poinformowali, a lokalizator ich pojazdu wciąż działał. Cecelia chce ich sprowadzić z powrotem. To powinno być proste. Zaczęła uważnie przyglądać się informacjom wyświetlonym przez Sirkin. Jeden szczegół wpadł jej w oko.

– Sirkin, ten nadajnik lokacyjny śmigacza... nie jest na Bandon?

– Nie, kapitanie. Tam jest cała grupa wysp, ta znajduje się trochę na północ od Bandon.

Heris obróciła się do Cecelii.

– Ale domek rodzinny jest na samej Bandon, prawda? Razem z lądowiskiem?

– Tak sędzę. – Na twarzy Cecelii pojawił się wyraz niepewności. – Tak naprawdę to nie wiem, nigdy tam nie byłam. Michaels sugerował, że to na tej samej wyspie.

– Oczywiście mogli się zdecydować na biwakowanie na plaży. – Heris przejrzała pozostałe dane.

– Mówiłaś, że Bubbles obozowała na jednej z pozostałych wysp. To dziwne... Trasa śmigacza nie wygląda normalnie. Można by się spodziewać, że polecą na Bandon, przynajmniej po to, aby wziąć zapasy. Czy wystartowali z pełnym wyposażeniem turystycznym? Czy Michaels będzie to wiedział?

– Mogę zapytać. Myślisz, że planowali wylądować na Bandon, ale tego nie zrobili? Rozbili się?

– Możliwe. – Heris poczuła frustrację. Kiedyś natychmiast dostałaby potrzebne jej informacje, kiedyś wiedziałaby, że jej podwładni dowiedzą się wszystkiego, czego potrzebowała. Ludzie, którym mogła zaufać... Ale przynajmniej są bezpieczni, pomyślała. Przynajmniej wciąż mają siebie nawzajem. Przynajmniej tyle im podarowała.

Być może będzie miała okazję znów zobaczyć Lepescu. Bez udziału Floty. Bez świadków.

– Lepescu – powiedziała pod nosem, nieświadoma, że porusza ustami. – Ty draniu... Co ty tam robisz?

– Pamiętam – podchwyciła Cecelia. – To ten admirał, przez którego miałaś kłopoty.

Heris podniosła wzrok, wyrwana ze wspomnień.

– To admirał, przez którego o mało co wszyscy nie zginęliśmy – poprawiła z naciskiem. – Kłopoty były w sumie bez znaczenia. – Teraz mogła to już powiedzieć. – Pytanie brzmi: po co tu przyleciał? Napsuć mi jeszcze krwi? Mógł bez trudu dowiedzieć się, kto mnie wynajął i dokąd lecimy, ale nie rozumiem po co... albo co może zrobić gorszego, niż już zrobił. Poza tym..

– Bunny go nie zaprosił – oświadczyła Cecelia. Miała dostęp do listy gości w osobistej bazie danych Bunny'ego i przejrzała nazwiska w terminalu. – Według tej listy, nigdy tego nie robił, podobnie jak żaden z krewnych Bunny'ego. To kolejny intruz.

– Tutaj? Nie, bo Sirkin mówiła, że transmisję skierowano do promu lądującego w Bandon.

– Gdzie nikogo nie powinno być – przypomniała jej Cecelia. – Nawet nie wiedziałam, że tamtejsze lądowisko może przyjmować promy.

– Czym statkiem przyleciał? – Heris zdawała sobie sprawę, że Cecelia nie może tego wiedzieć, i skierowała to pytanie do Sirkin, która przez cały czas utrzymywała połączenie.

– Wiem tylko, że to jacht czarterowy z Dismis, *Prairie Rose*. Musiałabym mieć autoryzację, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– My to zrobimy – zdecydowała kapitan. – Ale przekaz pozostałym, że mają monitorować nadajnik tego śmigacza oraz wszelki ruch w okolicy tej wyspy i sąsiednich wysp. Chcę mieć identyfikatory pojazdów, zapisy rozmów, wszystko.

– Tak jest, kapitanie. Już się robi.

– I proszę się przygotować na możliwość odbioru mojego sygnału ze śmigacza lub innego lekkiego pojazdu. Razem z lady Cecelią osobiście sprawdzimy ten nadajnik. – Dopiero kiedy to powiedziała, spojrzała pytająco na swoją pracodawczynię, ale ta kiwnęła głową. Właściwie to szaleństwo. Powinny powiedzieć gospodarzowi i pozwolić mu, aby przydzielił im ochronę. Ale myśl, że może spotkać się z Lepescu bez świadków, wsączała w jej myśli słodki jad. Dzięki autoryzacji Cecelii będzie mogła stanąć z nim twarzą w twarz – nieproszonym intruzem – i zażądać odpowiedzi, których wcześniej jej odmówiono. Na chwilę zamknęła oczy, wyobrażając sobie jego zaskoczenie i przyjemność płynącą z zaciśnięcia dłoni na jego szyi...

– Heris? – Cecelia dziwnie na nią patrzyła. Właśnie podobny wyraz twarzy kolegów z Akademii po raz pierwszy zasygnalizował jej, że odziedziczyła po rodzicach dar dowodzenia i bezwzględność decyzji.

– Ja tylko myślę – rzuciła, wracając do wcześniejszych rozważań. To szaleństwo, niemal równie wielkie jak rozkazy, których wykonania odmówiła. Nie miała pojęcia, co się tam dzieje, wiedziała, że Lepescu jest niebezpieczny w każdych okolicznościach – a jednak była gotowa polecieć niczym na południowy piknik. Jakby nic im nie groziło i chroniły je konwenanse grupy Bunny’ego. Ale Lepescu do niej nie należał. Po co tutaj przyleciał? Co robi, kiedy ją zobaczy? Ilu nielegalnych gości przebywa na tej wyspie i czemu Ronnie i Bubbles nie zadzwonili?

– W najgorszym razie – Cecelia znów przerwała jej rozmyślenia – znajdziemy rozbity śmigacz i wszyscy będą martwi. Inaczej zadzwoniliby, gdyby potrzebowali pomocy. – Jednak sądząc po jej głosie, wcale nie miała pewności.

– Hmmm. – Heris wyciągnęła z torebki notatnik i stylus. – Musimy to sobie zaplanować. Najgorsza ewentualność – wszyscy są martwi. Druga – są ranni, potrzebują pomocy medycznej. Naprawdę powinniśmy zabrać kogoś do pomocy. Lokalną ochronę, lekarza lub dwóch...

Cecelia okazała się nieugięta.

– Nie chcę. W końcu to mój siostrzeniec. Jeśli zdołam wyciągnąć go z tego tak, żeby Bunny o niczym się nie dowiedział...

– Czy wzięłaś pod uwagę, że możemy napotkać opór? – zapytała Heris. Widząc zaskoczenie Cecelii, dodała: – Opowiadałam ci o Lepescu. Jeśli jest tu bez zaproszenia, to znaczy, że dzieje się coś złego. Słyszałam różne historie o nim i jego kolesiach...

– Ale co mogłoby się dziać? Przecież tu nie ma żadnych żołnierzy, którymi mógłby dowodzić. Czekać, chyba nie myślisz, że chce przeprowadzić inwazję czy coś takiego? Przejąć posiadłości Bunny’ego? – Cecelia wyglądała na przestraszoną.

– Nie, nie sędzę. – To nie ma najmniejszego sensu, by średniego szczebla admirał narażał się tak potężnej rodzinie, zresztą nie mógłby dokonać inwazji bez wojska, a trudno byłoby uznać pasażerów jednego promu za wystarczające wsparcie. Heris zastanawiała się przez chwilę. – Czekać... Pamiętasz tę kobietę, Kettlegrave?

– I tę plotkę o krwawych sportach?

– Tak. Mówiła... że polowanie na lisy prowadzi do strasznych rzeczy, że osoby polujące na niewinne zwierzęta są równie chętne do polowania na ludzi...

– To absurd! – prychnęła Cecelia. – Bunny jest równie łagodny jak jego przydomek.

– Bunny tak, ale Lepescu zdecydowanie nie. A jeśli prowadzi tu jakieś nielegalne polowania, korzystając z sezonu polowań na lisy jako parawanu? Oczywiście nie na ludzi, ale na coś innego,

czego Bunny by nie zaakceptował. – W chwili, gdy to mówiła, przypomniała sobie, że Lepescu należał do tajnego klubu oficerów. Jej nie zaproszono do wstąpienia do klubu, ale Perina Sothanousa tak. Odmówił, jednak dotrzymał przysięgi i nigdy nie rozmawiał o tym, czego się dowiedział. Słyszała jednak, jak kiedyś mówił, że to jest „naprawdę chore – uważają, że jedynym prawdziwym sportem jest wojna”.

– Masz paskudne myśli – zauważyła Cecelia.

– Wiem, ale to ma sens. Mówiłaś mi kiedyś, że Bunny ma jakieś rzadkie i cenne okazy zwierząt, które traktuje jak zwierzęta domowe. A gdyby Lepescu chciał na nie zapolować? Polecimy uzbrojone, licząc się z możliwością napotkania kłopotów. To jedyny rozsądny plan.

– Uzbrojone?

– Oczywiście. Lepescu jest niebezpieczny i nie przyleciał tu sam. Nie wiemy, w co wpakowała się młodzież, a musimy być w stanie wydostać stamtąd i ich, i siebie. – Ale najprawdopodobniej nie zdołają tego zrobić same. To czysta głupota. Z punktu widzenia wojska to samobójstwo. Śmigacz mógłby z łatwością pomieścić osiem, nawet do dziesięciu osób – czy nie powinny zabrać ze sobą jakiejś pomocy? Nie – nie mogła wydawać poleceń personelowi Bunny’ego, zresztą i tak nie miałyby do nich zaufania. Tęskniła za utraconą załogą, za Oblo i Petrisem, którzy stanęliby za nią w każdej sytuacji. Oprócz rozprawy, przypomniała sobie. Zrobiliby to, odpowiedziała sama sobie, to ja nie chciałam ich na to narażać.

Otrząsnęła się z tych myśli, wydała Sirkin ostatnie polecenia i rozłączyła się. Będzie musiała to zrobić sama, nie ma innego wyjścia. Przynajmniej może przygotować Cecelię na to, co im grozi.

– Strzelby – rzuciła. – A jeśli potrafisz strzelać z łuku...

– Oczywiście – zapewniła nieco zszokowana Cecelia. – Ale czemu...

– Tak jest ciszej. – Heris znów wyciągnęła notatnik i zaczęła coś w nim zapisywać. Zapasy. Muszą przyjąć, że nie będą mogły skorzystać z Bandon, czyli potrzebują jedzenia, lekarstw, amunicji do zabieranej broni, sprzętu ochronnego i łącznościowego, jaki tylko zdołają zgarnąć – spojrzała na ścienny zegar – w ciągu połowy standardowej godziny. To szaleństwo. Powinny powiedzieć Bunny’emu i użyć do tego jego personelu.

– Czy nie powinniśmy wziąć czegoś większego od standardowego śmigacza? – zapytała Cecelia.

– A co mamy? – Heris wpisała do notatnika szacunkową kubaturę oraz masę potrzebnego wyposażenia i sprawdziła sumę. Będą też musiały zdjąć stroje do polowania na lisy albo zabrać coś ze sobą i przebrać się po drodze.

– Myślałam o śmigaczu zaopatrzeniowym. Mogłybyśmy wziąć więcej zaopatrzenia, a gdyby któreś z nich zostało ranne...

– Dobry pomysł. Pozwolą ci go wziąć?

Cecelia wyglądała na urażoną.

– Oczywiście, że tak. Od lat jestem przyjacielem rodziny. Michaels ucieszy się, że ktoś sprawdza, co się dzieje z młodzieżą.

– Dobrze. W takim razie weź tę listę – Heris podała jej notes – i niech załadują to najszybciej jak się da. Tymczasem ja spakuję swoje rzeczy i to, czego jeszcze będziemy potrzebować.

– Broń – skrzywiła się Cecelia.

– Tak, broń. – To mógł być problem. Cecelia nie wzięła na polowanie na lisy żadnej broni, a mały pistolet Heris z pewnością nie wystarczy.

Tego ranka zieloni zbierali się w Kamiennym Domku, więc personel głównego domu był trochę mniej zajęty. Administrator uniósł brwi, gdy Heris powiedziała mu o broni, ale przyjął wyjaśnienie, że lady Cecelia chce odnaleźć siostrzeńca, tak jakby to było zupełnie normalne, że starsza pani rusza uzbrojona na poszukiwanie krewnych.

– W sezonie Senedor i Clio mają tu swój sklep – poinformował ją administrator, mając na myśli znaną firmę handlarzy bronią. – Przypuszczam, że mogą mieć wszystko, czego potrzeba lady Cecelii.

– Dziękuję. – Heris przypomniała sobie, że widziała logo S&C na jednym z niewielkich kamiennych budynków przy handlowej ulicy, gdzie mieli swoje punkty siodlarze, szewcy, krawcy i handlarze koni.

Lokalny przedstawiciel firmy Senedor & Clio przywitał ją z uśmiechem.

– Lady Cecelia, tak? Czyżby teraz postanowiła zapolować na słogonie? Pani jest jej kapitanem? Wygląda pani na wojskowego.

– Owszem, eks. – Heris nie wdawała się w szczegóły. Po drodze wymyśliła dobrą historyjkę. – Proszę posłuchać: kupuję dwa zestawy, płacę za nie osobno. Jacht lady Cecelii jest bardzo słabo wyposażony w broń, a uzbrojenie załogi jest żałosne. – Prawdę mówiąc, załoga nie miała żadnej broni. – W końcu udało mi się ją przekonać, że w niektórych miejscach trzeba uzbroić załogę w coś więcej niż tylko muszkiety z rodzinnego muzeum.

Mężczyzna roześmiał się.

– Wielu arystokratów właśnie tak myśli – że nie będzie im potrzebna prawdziwa ochrona.

– I większości zapewne nie jest potrzebna. Ale wie pan, że lady Cecelia jest zupełnie inna. – Mężczyzna kiwnął głową. – Tak więc... zamierzam dopilnować, żeby nie została gdzieś porwana.

– Hmm. Nie mamy tu na dole zbyt wielu takich rzeczy – zauważył. – Ale zobaczmy... tutaj. – Hologram w katalogu wyświetlił coś, co wyglądało jak karabiny i broń maszynowa piechoty szturmowej. Heris miała nadzieję właśnie coś takiego znaleźć. – Robi je Zechard, który, jak pani dobrze wie, zaopatruje Flotę. Nasze oczywiście przechodzą dodatkowe testy fabryczne. Mamy po dziesięć tuzinów każdego z tych modeli na górze, na stacji domowej, i moglibyśmy dostarczyć broń wprost na jacht lady Cecelii. *Sweet Delight*, prawda?

Heris była ciekawa, czy Lepescu wie, że gdzieś na stacji domowej jest ponad sto sztuk wojskowych karabinów i broni szturmowej, od niepamiętnych czasów nazywanych MIAZG. Według jednego z instruktorów, miał to być akronim z pierwszych liter innych wyrazów albo nazwa powstała przez jakiś błąd komputera. Siły szturmowe zaś żartowały, że broń nazywa się MIAZG, ponieważ robi miazgę ze wszystkich, którzy staną na jej drodze. A ile broni jest na innych stacjach? Nie zapytała, tylko uśmiechnęła się do sprzedawcy.

– To może być problem – powiedziała. – Przynajmniej w tej chwili. Zapewne słyszał pan, że mamy na pokładzie stałą załogę?

– Tak, dlatego pomyślałem...

Potrząsnęła głową.

– Zarządca stacji nie był z tego powodu szczęśliwy, a lady Cecelia jest pewna, że nie spodoba mu się pomysł uzbrojenia tej załogi w nowoczesną broń. Oczywiście są nieszkodliwi. Jest ich garstka i większość z nich nie wiedziałaby nawet, jak tego użyć. – Dotknęła hologramu, powodując migotanie obrazu. – Ale poleciła zebrać broń tutaj i na jej odpowiedzialność przetransportować ją tuż przed odlotem. Uważa też, że taka broń mogłaby wyglądać zbyt... – Heris spojrzała znacząco na sprzedawcę – autentycznie. Wie pan, to by zepsuło kolorystykę dekoracji czy coś takiego.

Zastanawiałam się, czy nie ma pan niewielkiej ilości broni, którą dałoby się przerobić tak, by przypominała trochę wyglądem broń myśliwską.

Oczy mężczyzny rozbłysły.

– Ach tak. Proszę. – Obraz w katalogu zmienił się na coś z łożem z polerowanego drewna zamiast stopu z włóknami węglowymi, cywilnym celownikiem i gniazdem komputerowym. – To dokładnie to samo, ale jakieś dwieście gram cięższe. Jest droższy...

– Doskonale – oświadczyła stanowczo Heris. – Dwadzieścia karabinów i pięć automatów. – MIAZG też został upiękaszony drewnem, choć nie wyszło to tak dobrze. Jednak mógł uchodzić za broń, jaką wielu turystów nosiło na dziewiczych planetach.

– Nie mam tylu gotowych – odpowiedział mężczyzna. Widząc jej zmarszczone brwi, czym prędzej dodał: – Ale to nie potrwa długo. Dzisiaj jest polowanie i obaj moi technicy są wolni. Za kilka godzin...

Ale one nie miały kilku godzin.

– Ile ma pan gotowych? – zapytała Heris. – Chcę pokazać milady, jak to będzie wyglądać.

– Jeśli nada się brazyliowiec i deviański orzech, mam przygotowanych kilka ślicznotek. – Zniknął na zapleczu i po chwili wrócił z dwoma karabinami i jednym automatem. Łoża karabinów zdobiły zielone i niebieskie wzory brazyliowca, prawdopodobnie pochodzącego z plantacji na tej planecie, a MIAZG pobłyskiwał żółtoszarymi słojami deviańskiego orzecha. Heris pogładziła broń palcami: karabiny okazały się jedwabiste w dotyku, a automat nieco szorstki, co zapewniało solidny uchwyt niezależnie od warunków. Podniosła każdą sztukę broni po kolei, sprawdzając wyważenie.

– Jeśli chce je pani przestrzelić – zauważył mężczyzna – nasza strzelnica jest na tyłach...

– Chwileczkę. To nie wszystko, pamięta pan? Mam wybrać na osobiste konto lady Cecelii, a nie konto jachtu, osobistą broń dla niej. – Przejrzała katalog i pozwoliła sprzedawcy zaprezentować przedmioty, które sobie upatrzyła. Lekkie strzelby myśliwskie z optyką dzienną i nocną, celownikami na podczerwień i łączami komputerowymi do konfiguracji, broń optyczną o wąskiej wiązce, którą można również wykorzystać do sterowania statkiem, sprzęt ochronny... Sprzedawca zdawał się uważać za naturalne, że kapitan zamawia broń również dla siebie, ale nie odważyła się umieścić na liście kamizelek i hełmów dla młodych ludzi.

Kiedy skończyła, mężczyzna zaprowadził ją na wewnętrzną strzelnicę. Poszła za nim, starając się nie zdradzić pośpiechu. Z pewnością Cecelia nie zdoła załadować śmigacza w takim czasie, jaki jej wyznaczyła. A poza tym nie można zaufać broni, której osobiście się nie sprawdziło.

Kiedy wszystkie egzemplarze okazały się działać doskonale, czego się spodziewała, wróciła do sklepu i rozejrzała się wokół.

– Skontaktuję się z panem, gdy lady Cecelia zatwierdzi dobór drewna na łoża, i mam nadzieję, że przekonam ją do kupienia pancerzy również dla załogi. Będziemy ich używać w najbliższych dniach. Potrzebuję też amunicji...

– Proszę. – Wyciągnął pudła magazynków. – I zapewne wózek na broń?

Heris kiwnęła głową, zadowolona, że nie musi za to wszystko płacić. Kostka kredytowa Cecelii powędrowała do czytnika, a cała broń została elegancko ułożona na osłoniętym wózku, który wyglądał jak miniaturowy śmigacz.

– Proszę zakodować – rzekł sprzedawca. Heris przyłożyła dłoń do czytnika z boku wózka, a ten zapiszczał. – Nie otworzy się dla nikogo innego – wyjaśnił mężczyzna. – Będzie jechał za panią. Jeśli

będzie pani chciała, żeby gdzieś został, proszę przyłożyć dłoń i powiedzieć „stój”. Ale radziłbym nie zostawiać go luzem – gdyby został skradziony, ktoś mógłby się włamać do środka. Wedle prawa teraz to pani odpowiada za tę broń.

– Dziękuję. – Heris wyciągnęła kostkę Cecelii. Nawet nie spojrzała na sumę. Przypominało jej to remont w stoczni Floty.

* * *

W drodze do hangarów śmigaczy Heris znów zaczęła się zastanawiać. To, co zamierzała zrobić z lady Cecelią na śmigaczu zaopatrzeniowym, w zasadzie niczym się nie różniło od tego, czego zażądał od niej i załogi admirał Lepescu... i wtedy odmówiła. Czemu teraz tak chętnie wkracza w oczywistą pułapkę? Jeśli wtedy nie chciała zaryzykować z załogą profesjonalistów, czemu teraz naraża życie bogatej starej damy? I jak to świadczy o jej lojalności wobec pracodawczyni?

Jeśli spróbuje i zawiedzie, Lepescu pokona ją drugi raz – zmusi ją do grania w jego grę, czego nie mogła uniknąć jako oficer... ale teraz ma inne możliwości.

Jeśli tylko pomyśli. Jeśli będzie miała czas. Jeśli zdoła przekonać swoją szefową, która jest jeszcze bardziej uparta, choć mniej jadowita, niż admirał Lepescu.

Oczywiście, mogłaby spróbować rozegrać to inaczej i powiedzieć Bunny’emu, nawet jeśli lady Cecelia by ją za to zwolniła. Ale tak właśnie postąpiła poprzednio i to się nie sprawdziło. Teraz nie zamierza powtórzyć tego błędu.

Jeśli jej podejrzenia okażą się prawdziwe, tym razem to Lepescu znajdzie się w pułapce, a nie ona. Może wygrać, stosując własną strategię, i dowieść, że miała rację.

Ale musi przekonać Cecelię.

Rozdział 13

– To wyspa, na której jesteśmy – powiedział Petris, wskazując ją na mapie. Właśnie przeżyli pierwszą noc. Ronnie czuł się już dużo lepiej i ignorował tępy ból głowy. Zdołał utrzymać w żołądku pierwszy baton żywnościowy, tak samo jak kolejny tego ranka, i sądził, że ma już za sobą najpoważniejsze skutki wstrząsu. – Mniej więcej osiem kilometrów na pięć. To wzgórze ma jakieś dwieście dwadzieścia metrów wysokości. Od zachodu jest najbardziej strome, ale nigdzie podejście nie jest trudne, poza tym małym wąwozem tutaj... Zbocza porasta las, który w dole, bliżej wody, ma gęste poszycie. Pełno tu śladów zabawy niczym w dziecięcym ogrodzie.

– Mówiłam, że często tu obozowaliśmy – wtrąciła się Bubbles. – Moi kuzyni też. Ostatni raz byłam tutaj jakieś... pięć lat temu. Biwakowaliśmy na tej wyspie, gdy dorośli mieszkali na Bandon. Przypływaliśmy tu małymi żaglówkami. Wymyślił to mój ojciec – a raczej wyczytał w jakichś starych książkach o Anglii na Starej Ziemi.

– No cóż, teraz to nie jest letni obóz. – Petris gwałtownie uciął i jej wspomnienia.

– Pamiętasz może, czy jeszcze ktoś korzystał z tej wyspy? – zapytał Oblo.

– Nie. – Bubbles zmarszczyła nos. – Prawdę mówiąc, każdego roku musieliśmy po sobie sprzątać. Chciałam, żeby ktoś to za nas robił, ale tata upierał się, żebyśmy to my „się pobawili”, jak to nazywał.

– Czyli polowania albo odbywały się gdzie indziej, albo jeszcze ich nie było – zauważył Oblo. – Ciekawe, kiedy się zaczęły i czy twój ojciec zatrudnił kogoś, kto to wszystko urządzał. Musiałby to być ktoś, kto by znał potencjalnych klientów.

Bubbles zmarszczyła czoło.

– Próbuję myśleć. Tata wspominał, że zatrudnił nowego nadzorcę terenów zewnętrznych, gdy Vittorio Zelztin przeszedł na emeryturę, ale nie pamiętam szczegółów. Nie wydawało mi się to ważne.

– Nie tak ważne, jak utrzymanie się przy życiu – rzucił Petris. – Musimy szybko się stąd zabrać. – Odczekał chwilę, aż Ronnie zapyta o powód, po czym kontynuował. – Sprowadzają nową zwierzynę gdy ze starej grupy pozostanie przy życiu tylko dwóch ludzi. To właśnie dzięki nim poznaliśmy niektóre ich praktyki i od nich dostaliśmy trochę broni. Zwierzyna ma dwa dni wolnego, a potem znów zaczyna się polowanie. Co cztery dni dostarczają nam racje żywnościowe w ustalonym miejscu na zachodzie wyspy i wtedy jesteśmy bezpieczni. Nie polują dłużej niż czternaście standardowych godzin dziennie. Problem w tym, że nie wiemy, które czternaście godzin. Jeśli nie trzymamy straży, potrafią zjawić się tutaj, zanim się zorientujemy.

– Nasi poprzednicy powiedzieli, że przez pierwszy tydzień polują tylko za dnia. To pozwala im wyeliminować, jak twierdzą, głupich i nieudolnych. Potem zaczynają się polowania w nocy. Oni mają sprzęt do poruszania się po ciemku, my nie. Jeśli polują całą noc, następnego dnia dają nam spokój, ale zazwyczaj polują tylko pół nocy. Na przykład od zachodu do północy albo od północy do wschodu. Jesteśmy tu już kilka tygodni, więc polują na nas prawie każdej nocy. Ostatniej nocy tego nie robili – przypuszczam, że czekali, żeby sprawdzić, czy ktoś za wami nie przyleci.

– Jeśli mają czujniki Barstowa, czemu po prostu nas nie znajdą i nie skasują? – zapytał George.

– Nie używają Barstowów – wyjaśnił Petris. – Według nich to „niesportowo”. Dziadki mówią, że jeśli ktoś wymyka im się przez cały miesiąc, używają Barstowów, aby go znaleźć – ale to prawie nigdy się nie zdarza.

– Ale wiedzą, że my tu jesteśmy, i będą chcieli wyeliminować świadków – czy tym razem nie użyją Barstowów?

– Miałem nadzieję, że o to nie zapytasz. Mogą. A jeśli to zrobią, koniec naszego szczęścia. Nie możemy zbudować osłony, która ukryje nas przed skanerami Barstowa i przelotami na niskich wysokościach. Wyspa nie jest dostatecznie duża, a lasy wystarczająco gęste.

– Ten ostatni przelot – odezwała się Raffa – to mogła być próba ratowania nas, ale nas tam nie było. – Ronnie nie wiedział o przybyciu śmigacza, który zawisł nad wrakiem, po czym odleciał.

– Mogli chcieć nas uratować, zanim skontaktowaliśmy się ze zwierzyną – zauważyła Bubbles. Patrząc na nią, Ronnie nie mógł uwierzyć, że nie zostało w niej nic z bezmyślnej blondynki. – Teraz wiedzą, że poznaliśmy ich tajemnicę, i będą chcieli nas wszystkich zabić i upozorować jakiś wypadek, a potem uciec. Ale jeśli nawet uciekną, zostaną ślady...

– Czyli jedyną logiczną z ich punktu widzenia rzeczą jest dodanie naszych nazwisk do listy zwierzyny i kontynuowanie polowania. – Raffa zadrżała. – To mi się nie podoba. Ale jeśli nas zabiją, też pozostaną dowody, kiedy w końcu ktoś przyleci nas szukać.

– Chyba że spróbują złapać waszą czwórkę – zauważył Petris – i potem zabić was w taki sposób, który da się jakoś wytłumaczyć. Mogą na przykład spróbować broni chemicznej albo pozbawić was przytomności, wsadzić w śmigacz – nawet wasz własny – i zrzucić na skały. Jeśli wszyscy zginiecie, może nikt się nie zorientuje, co się tutaj dzieje. Dziadki mówią, że normalnie nie używają chemii, ale teraz mogą.

Ronnie uniósł głowę. Chyba coś usłyszał... Petris też nastawił uszu.

– Śmigacz – rzucił Oblo. – Zajmę się tym.

– Codziennie planujemy jakieś działania – mówił dalej Petris, jakby nic się nie stało. – Musimy. Inaczej to po prostu byłoby bieganie i czekanie na śmierć. Jedyna nadzieja w... zapolowaniu na myśliwych.

– Atakujecie ich? – zapytał George. – Was jest więcej, prawda? Ilu jest myśliwych?

– Mniej, ale mają broń. Nie możemy ich zaatakować otwarcie, ale zastawiamy pułapki. Czasami udaje nam się ich przestraszyć. Według dziadków, oni to lubią. To ich zmusza do większej ostrożności i kombinowania. A co do tego, ilu ich jest, to różnie bywa. Jestem pewien, że nie widzimy codziennie tych samych. Jeśli odbywa się to jak polowanie na grubego zwierza, w Bandon jest większa grupa myśliwych i polują na zmianę. Chciałbym móc ich zabijać, ale jak dotąd jeszcze tego nie potrafimy.

– A w ogóle komuś się to udało? – zapytała Raffa.

– Tak słyszałem – potwierdził Petris. – Ale nie wiem, w co wierzyć. Dziadki, których tu mamy, nie do końca są wiarygodni. Ponoć zdradzali już grupy, które zbyt dobrze sobie radziły. Na przykład znaleźliśmy na ciele Sida lokalizator.

– Ale nie zabiliście go – zauważył George. – Czemu?

– Czy ty zabijasz wszystkich, którzy kiedyś mogą cię skrzywdzić? – Petris wyglądał na zdegustowanego. – Trochę rozsądku, chłopcze. Każdy, kto przez to przeszedł, dysponuje potrzebną nam wiedzą, nie możemy sobie pozwolić na utratę kogokolwiek. On wie, że my zdajemy sobie sprawę, że może nas zdradzić, i że ma największe szansę na przeżycie razem z nami – przynajmniej na razie.

– To ilu was tu w sumie jest?

– Nie twoja sprawa. Jak czegoś nie wiesz, to nie powiesz. Ale odkąd tu jesteśmy, straciliśmy tylko dwóch; dziadki mówią, że to znacznie lepiej niż zwykle. No dobrze, zrobimy tak. – Petris nachylił się nad mapą. – Musimy rozdzielić waszą czwórkę, bo to głównie was będą chcieli dopaść. Nie możemy im pozwolić złapać całej waszej grupki. Im dłużej to będzie trwać, tym większa jest szansa, że któreś z was przeżyje, by o wszystkim opowiedzieć. Równocześnie nie mogę was wszystkich chronić. Moi ludzie by na to nie poszli, zresztą i tak nie jestem w stanie. Panie będą musiały pójść tutaj... – wskazał na mapie wąwóz – chyba że odnajdziesz te kryjówki, które pamiętasz. – Spojrzał na Bubbles.

– Żałuję, że Kell tak bardzo upierał się przy zachowaniu tajemnicy – odpowiedziała. – Jestem pewna, że gdzieś tu jest jaskinia... – Petris zignorował jej słowa. Oświadczenie o istnieniu jaskini, której nie widziała na własne oczy, nie zrobiło na nim wrażenia.

– Chcecie, żebyśmy poszły tam same? – zapytała Raffa i zbladła.

– Tak byłoby najlepiej – potwierdził niemal łagodnie Petris. – Ten wąwóz jest trudny do pokonania i jest tam dużo kryjówek. Oni idą skrajem wąwozu i pilnują obu jego końców, ale nie widzą wszystkiego. Jeśli ukryjesz się pod skałą, to będzie najbezpieczniejsze miejsce, jakie mogę ci zaproponować.

– Chcę coś zrobić – oświadczyła Raffa – a nie chować się pod kamieniem i dygotać ze strachu.

– Nie mamy żadnego przeszkolenia – zwróciła jej uwagę Bubbles. – Nawet nie umiemy tyle co Ronnie i George. Najlepsze, co możemy zrobić, to nie wchodzić im w drogę.

– Nie. – Raffa spojrzała na Ronniego; poczuł, jak ściska mu się serce. Wiedział, że dziewczyna myśli o nim.

– Wy dwaj – Petris kiwnął głową w stronę Ronniego i George'a – możecie się przydać albo nie. Nie jestem w stanie tego stwierdzić, dopóki nie zobaczę was w działaniu. Spróbujemy ich przekonać, że weszlście w las na północ od strumienia i kierujecie się w stronę szczytu. To bardzo nierówny teren. Chcę, żebyście teraz tam poszli i zostawili trochę śladów, jakbyście kogoś lub coś ciągnęli. Zostawcie też jakiś drobiazg, który mógłby wam wylecieć z plecaka. Nie ma mowy, żeby ukryć, co się stało z waszym śmigaczem, ale mogą nie zdawać sobie sprawy, że się spotkaliśmy. Jeśli skierujecie się w tamtą stronę, a my zostaniemy, aby pilnować południa i wschodu, to będzie znaczyć, że od nas uciekacie. Może w to uwierzą.

* * *

W innych okolicznościach mogłaby to być przyjemna popołudniowa wycieczka wąwozem. Bubbles chwilami zapomniała o zagrożeniu – las pachniał tak świeżo, jak pamiętała – ale potem wspinaczka na skały zmusiła ją do pełnego skupienia. Czysty strumyk wciąż ciurkał ze zbiornika do zbiornika, a czerwono-złote płazy uciekały przed nią do wody, wydając podniecone skrzeki. Kilka skał zostało przemieszczonych sezonowymi zalewami wody – rozpoznała jeden z kamieni po dziwnej inkluzji – ale większość trasy wydawała jej się znajoma.

Wyżej na zboczu owiał ją wiatr, targając włosy. Nareszcie widziała większy kawałek nieba i oprócz woni skał i kwiatów docierał do niej zapach morza. Idąca za nią Raffa nic nie mówiła. Bardzo jej to odpowiadało; mogła połączyć wspomnienia, odrzucone niedawno jako zbyt dziecinne, z nowymi doświadczeniami. W końcu zatrzymała się zmęczona na szerokiej płaskiej wychodni, w miejscu, gdzie wąwóz skręcał na południe, oddalając się od brzegu. Oglądając się do tyłu, widziała

wyłącznie kępy zieleni maskującej kształty samej wyspy. Raffa opadła na kamień, dysząc, i odgarnęła włosy z karku.

– Byłaś tu co roku? – zapytała po chwili.

– Przez wiele lat, kiedy przyjeżdżał mój wujek Gene z kuzynami. Przypuszczam, że tak naprawdę matka chciała pozbyć się nas z domu, żebyśmy nie przeszkadzali ważniejszym gościom. Wszyscy razem potrafiliśmy być dość hałaśliwi. – Uśmiechnęła się szeroko. – Kiedy tu obozowaliśmy, dzieliliśmy się na dwie grupy i bawiliśmy się w polowania, o których czytaliśmy albo które widzieliśmy na starych kostkach.

– My jeździliśmy do domu ciotki Kąty, a potem konno na wzgórze. Na Negaire nie ma takich ładnych wysp.

Bubbles zadrzała.

– Zimno i mokro przez cały rok, prawda? Chyba nie obozowaliście pod gołym niebem.

Raffa kiwnęła głową.

– To lepsze niż ten upał. Udawaliśmy, że jesteśmy stepowymi nomadami, ale głównie mieszkaliśmy w jaskiniach. Była tam taka jedna duża, oddalona o jakiś dzień jazdy, i druga mniejsza, po drugiej stronie wzgórza. Malowaliśmy potwory na ścianach, a jeden z kuzynów próbował nas namalować, ale mu to nie wyszło.

– Jaskinia. – Bubbles spojrzała ponuro w wodę. – Chciałabym wiedzieć, czy Kell mówił prawdę. Powiedział, że jest dość duża, ale nie chciał nam zdradzić miejsca. Świnia. Wciąż taki jest, uwielbia sekrety i nie chce się nimi dzielić. Jeśli to prawda, to nie ma tu lepszego miejsca na kryjówkę.

– Jesteś pewna, że nie wiesz, gdzie mogłaby być?

– Wiem tylko, gdzie jej nie ma. Szukaliśmy, ale nie znaleźliśmy jej w najbardziej prawdopodobnych miejscach – tam w górze albo w dolinie między tym wzgórzem i następnym. Czemu myślisz, że powinniśmy jej poszukać?

– Gdybyśmy ją znalazły, byłoby znacznie bezpieczniej niż ukrywać się pod skałą. No, lepiej już chodźmy, zamiast tu siedzieć i rozmawiać.

– Wejdziemy prosto na grzbiet wzgórza – oświadczyła Bubbles, prowadząc w górę zwązającego się wąwozu. – Mam nadzieję, że wciąż jest tam stary szlak i parę znanych mi kryjówek.

Skały w kształcie grubych słupów, od dwóch do trzech metrów wysokości, ciągnęły się w nierównych rzędach jak próchniejące zęby.

Zagłębienia między nimi porastały kolczaste powoje i krzewy. Na samym grzbiecie wycięto kręty szlak. Bubbles nie potrafiła powiedzieć, czy zrobili to myśliwi, czy ich ofiary, ale teraz to nie miało znaczenia. Będą musiały szybko go przebyć, bo myśliwi niewątpliwie o nim wiedzą.

Policzyła słupy. Gdyby tylko pamiętała... Trzy wysokie jeden niski? Dwa wysokie, a potem dwa – może trzy – niskie? Trzy. Przepięła się między dwiema niższymi skałami – czy pięć lat temu była aż tak chuda, czy skały się przesunęły? – po czym przykucnęła i wślizgnęła się pod olbrzymi wrzosiec. Zagięte kolce zgrzytały na jej plecaku, gdy przeciskała się głębiej, sunąc nosem niemal tuż przy pachnącej wilgocią ziemi. Poprzednio wydawało jej się, że tu jest więcej miejsca...

– Musisz przejść pod tym – tego nie przetnie nic oprócz piły mechanicznej! – zawołała do Raffy.

– Wolę kuca i step – mruknęła Raffa, ale tylko raz jęknęła, gdy kolce zaczepiły o jej włosy. Wsunęła się do środka bardzo sprawnie jak na kogoś, kto okazywał pogardę dla wysiłku fizycznego. – Mam coś zrobić z wejściem?

– Nie. – Bubbles zanurkowała w kępę grubych zdrewniałych łodyg i zaczęła macać. Kiedyś schowała tu w niewielkiej dziurze pudełko, ale teraz nic nie widziała. Pod gęstymi liśćmi wrzośca było bardzo ciemno.

– Zewnętrzne gałęzie szybko opadną i zamaskują wejście. Często się tu chowałam i chłopcy nigdy mnie nie znaleźli. – Niewielka dziura, w której lata temu ukryła pudełko z przydatnymi drobiazgami, była teraz znacznie szersza i głębsza. To nora. Usiłowała sobie przypomnieć, jakie zwierzęta tu mieszkają. Nic jadowitego, nic dużego ani niebezpiecznego. Poza myśliwymi. Zdała sobie sprawę, że w tym miejscu, gdzie tak namacalnie przypominało jej się bezpieczne dzieciństwo, zapomniała o nich na kilka minut.

W końcu Bubbles znalazła swoje pudełko zagrzebane w opadłych liściach. Jak to dobrze, że się uparła, że chce mieć prawdziwe pudełko terenowe, takie, które powinno wszystko wytrzymać.

– Zapomniałam o nim, kiedy byliśmy tu ostatni raz – wyjaśniła. – Spieszyliśmy się – miałam pierwszy razjechać do St. Eleanor – a kiedy wreszcie przypominałam sobie, że je zostawiłam, nie było już czasu na powrót. – Pudełko nie miało zamka, tylko haczyk, teraz zapchany ziemią. Próbując go otworzyć, Bubbles złamała paznokiec. Zaklęła pod nosem. Pewnie w środku nie będzie niczego cennego – spleśniała kanapka i jakieś zabawki – ale coś kazało jej otworzyć pudełko.

– Daj, ja spróbuję – zaproponowała Raffa. Bubbles oddała jej pudełko i zaczęła ssać złamany paznokiec. Raffa wydłubała gałązką ziemię blokującą haczyk, po czym na niego splunęła. Kiedy popchnęła haczyk, zamknięcie ustąpiło z cichym skrzypnięciem. – Proszę – powiedziała, oddając pudełko. – Ty je otwórz, jest twoje.

Bubbles poczuła dziwny opór przed otwarciem go, równie dziwny jak odczuwana przed chwilą determinacja, by właśnie to zrobić. To głupie, pomyślała. W pudełku nie może być nic naprawdę przydatnego – to nie jest wyposażenie awaryjne śmigacza. Po prostu śmieci, które przypomnia jej, jak głupim była dzieckiem. Przez chwilę zmagala się z wieczkiem, zapominając, że pudełko zamyka się hermetycznie. Wreszcie pokrywka odskoczyła, odsłaniając zapomniane skarby z dzieciństwa.

Fioletowa muszla w kształcie stożka. Spleciona z trawy bransoletka – zaczerwieniła się, przypominając sobie, kto ją splótł i dlaczego. Mały czarny owal, całkiem gładki – to plastikowy uchwyt patelni, stopiony przez Kella nad ogniskiem. Pojedynczy arkusz ogniw słonecznych, gotowy do rozłożenia na słońcu, gdyby miała coś do naładowania. Kawałek wyblakłej wstążki; doskonale pamiętała jej odcień purpury. Gwizdek, zawinięty w folię baton spożywczy, tubka maści pierwszej pomocy i paczka bandaży, elegancko zwinięta żyłka z dwoma haczykami i garścią obciążników. Oraz mały srebrzysty nadajnik kierunkowy z linką do zawieszania na szyi.

– Czy to... – zaczęła Raffa.

– Tak. I będzie działać. – Spojrzała na wskaźnik poziomu naładowania. Tak jak się spodziewała, utrzymał ładunek. Te dobre nadajniki zawsze trzymały, a tata dawał im tylko dobre. Zresztą miała ogniwa słoneczne. – Możemy wezwać pomoc. – Podniosła się, podniecona, waląc głową w sterzące z gałęzi wrzośca kolce. Jej oczy wypełniły się łzami, ale znieruchomiała. To było jedyne wyjście – gwałtowne szarpnięcie pozbawiłoby ją połowy włosów na głowie. W tym czasie, gdy Raffa ją uwalniała, ona sama zastanawiała się, czy mogą już używać nadajnika. Nie miały szans na łatwy ratunek, tak samo jak niełatwo było wyrwać się kolcom.

– Gdybyśmy mogły dostać się na Bandon – zauważyła – i ukraść im śmigacz, gdy będą polować na pozostałych...

– Na Bandon jest ich więcej – przypomniała Raffa. – Jeszcze się nie ruszaj. Masz kolec wbity w

skórę. Czy te kolce pozostawiają w ciele jakieś kawałki?

– Czasami pozostawiają i wtedy to ropieje. Wyciągnij wszystko, co możesz. – Trochę ją zaskoczyła zwinność palców Raffy i umiejętność zachowania spokoju. Czy to ta sama Raffa, która tak obsesyjnie wszystkim się martwiła?

– Proszę – oznajmiła w końcu Raffa. – Nie sędzę, żeby jakieś kolce zostały, ale jeśli podasz mi tę tubkę maści – dzięki – to mogę na wszelki wypadek posmarować te parę miejsc, które trochę krwawią. Odganiaj od nich muchy, dobra?

– Ile czasu minęło? – Bubbles włożyła wszystko z powrotem do pudełka i zamknęła wieczko. Zdała sobie nagle sprawę, że powinny pomyśleć o tym, gdzie spędzą noc. Zbocze w dole, po zachodniej stronie wyspy, jeszcze przez jakiś czas będzie oświetlone. Ciekawe, dokąd pójda myśliwi? Tu w górę, szlakiem? Innym zboczem?

– Możemy tu zostać? – zapytała Raffa, jakby widziała kłębiące się w głowie Bubbles myśli. – Nie widać nas, ale jeśli mają jakieś czujniki...

– Nie znam lepszego miejsca, w każdym razie nie mamy czasu go szukać. – Bubbles wyjrzała przez gałęzie na zachód. Były wystarczająco wysoko, by mogła sięgnąć wzrokiem ponad lasem aż do morza. Po niebie przesuwały się chmury, ciągnąc po zboczu cienie niczym wielkie dłonie głaszczące drzewa. – Przede wszystkim musimy trzymać się z dala od Petrisa i pozostałych. Któryś z myśliwych może wrócić.

– Och... – Raffa wstrzymała oddech dokładnie w chwili, gdy Bubbles uświadomiła sobie, że jeden z cieni nie przesuwa się w górę zbocza. Był mały, regularny i sunął szybko pod wiatr; opuścił się w dół zbocza, a następnie poleciał wzdłuż grzbietu.

– Spuść wzrok – poleciała i sama też tak zrobiła. Teraz, gdy pojazd znalazł się pod wiatr, usłyszały cichy szum silnika śmigacza.

Wrzosiec dawał dość dobrą osłonę był stary, splątany i zbyt gęsty dla ludzkiego wzroku. Z drugiej jednak strony widać było w słońcu, że między liśćmi jest wiele dziur. Przez chwilę Bubbles miała wrażenie, że ma na plecach coś błyszczącego, co na pewno zdradzi ich obecność – i że musi to zdjąć. Ale nie miała siły się poruszyć. Leżała tylko, niemal nie oddychając i drżąc ze strachu.

Cień śmigacza przesunął się po nich niczym zimna ręka po karku, po czym oddalił się. Słyszała, jak odlatują na północ, w stronę krańca wyspy, ale nie odważyła się poruszyć.

– No tak – szepnęła Raffa. – Są tutaj. I to nie jest zabawa.

– Nie. – Kamieniste zachodnie zbocze porastała rzadka roślinność, nie mogły więc liczyć na to, że nikt ich nie zauważy, zanim dotrą do lasu. Będą musiały zostać tu do czasu, aż śmigacz gdzieś wyląduje. A jeśli tego nie zrobi? Nie pomyślała wcześniej, że myśliwi mogą równie dobrze zostawić kogoś w powietrzu, zwłaszcza w tego rodzaju sytuacji awaryjnej.

– Jak to jest, że ludzie na kostkach rozrywkowych nigdy nie potrzebują ubikacji? – zapytała Raffa.

– No, masz rację. – Teraz, gdy Raffa poruszyła ten temat, ona sama poczuła gwałtowną potrzebę. – Teraz nie możemy stąd wyjść – stwierdziła. Zanurkowała głębiej pod krzak wrzośca, gdzie wymacała kolejne zagłębienie, osłonięte przez małe drzewo, które zostało przewrócone przez wiatr, a potem porosły je pnacza.

– Należało znaleźć jakieś miejsce, zanim tu przyszłyśmy – zauważyła Raffa.

– Masz rację – zgodziła się Bubbles, przepychając się obok grubych łodyg i korzeni wrzośca. W północnym rogu ich kolczastego schronienia, gdzie gałęzie, podążając za światłem, wzniosły się

dostatecznie wysoko, by można było siedzieć z wyprostowanymi plecami, kryło się kolejne udoskonalenie jej dziecięcej kryjówki: starannie wkopana w ziemię standardowa ubikacja kompostująca. W tamtych czasach uważała, że jej rodzice przesadnie przejmują się zanieczyszczeniami – któregoś lata wszyscy zostali zabrani do domu na dwa tygodnie całodniowych wykładów z ekologii, tylko dlatego, że grupa kuzynów powodowanych entuzjazmem dla wierności historycznej wykopała prawdziwą latrynę. Wszyscy musieli się nauczyć listy chorób, którymi mogli się zarazić, i cykli życiowych niezliczonej liczby pasożytów, zanim pozwolono im wrócić na wyspę. Ojciec powiedział, że mogą dostać tyle prefabrykowanych toalet, ile tylko zechcą, ale muszą ich używać. Odgrzebała pokrywę, odmówiła krótką modlitwę do jakiegoś bezimiennego bóstwa w podzięce za to, że nie dobrało się do niej żadne zwierzę, i uniosła ją.

– Proszę bardzo – oświadczyła z satysfakcją. – Wszystkie domowe wygody, nawet usuwanie zapachów. – Ponieważ już była na miejscu, skorzystała jako pierwsza z ubikacji i od razu poczuła się dużo lepiej. Raffa poszła w jej ślady, odetchnęła z ulgą i zamknęła pokrywę.

– Gdybyś jeszcze mogła nam tu wykopać odpowiednią jaskinię...

– Przykro mi. Próbowalam, ale pod kilkoma calami ziemi jest lita skała. Myślę, że powinniśmy teraz odpocząć. O zmierzchu mogłybyśmy zejść na dół, jeśli będziemy wystarczająco ostrożne.

* * *

Upchnięta w gorącym, pełnym wilgoci mroku pod wrzoścem, Bubbles nie spodziewała się, że usnie, a jednak tak się stało. Obudził ją chrzęst butów gdzieś w pobliżu. Wokół panowała całkowita ciemność i przez chwilę nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie jest. Potem wróciły wspomnienia. Uświadomiła sobie, że dłoń ściskająca jej kostkę musi należeć do Raffy. Sięgnęła i dotknęła jej, i przyjaciółka złapała ją teraz za rękę. Miała wrażenie, że oddech uwiązał jej w płucach. Kroki zbliżały się niespiesznie. Panika sprawiła, że w uszach dudniło jej własne serce i nie potrafiła stwierdzić, jak daleko jest źródło dźwięku. Potem jakiś głos wymamrotał coś, czego nie rozumiała. Po chwili rozległy się ciche trzaski i umysł podpowiedział jej, że prawdopodobnie pochodzą z komunikatora, a to znaczy, że idzie myśliwy. Wiedziała. Palce Raffy były zimne. Zadrżała, ale zmusiła się do pozostania na miejscu. Znowu usłyszała chrzęst butów na nierównej ścieżce i przekleństwo, gdy przestrzeń między kamieniami okazała się dla idącego za wąska. Gałęzie wrzośca poruszyły się, jakby myśliwy wsadził w nie patyk. Uścisk Raffy nagle przybrał na sile. Czy coś widziała ze swojego miejsca? Wreszcie kroki zaczęły się oddalać, powoli cichnąć. Raffa rozluźniła uścisk, ale nadal trzymała jej rękę.

Bubbles znów zaczęła oddychać. Pomimo leżącej pozycji zakręciło jej się w głowie. A gdyby spała... i coś się jej przyśniło... albo chrapałaby? Jej koleżanki z internatu mówiły, że chrapie. Kiedy już myślała, że może coś bezpiecznie powiedzieć, znowu usłyszała jakiś dźwięk. Nie tak głośny jak poprzednio, jakby stopy odziano w coś bardziej miękkiego niż buty. Trzy kroki, przerwa. Cztery, kolejna przerwa. Dwa... Ktokolwiek to był, znajdował się tuż przy szparze, którą wsunęły się pod krzew. Bubbles znów znieruchomiała, usiłując nie oddychać.

Nagle rozległ się trzask broni i ktoś cicho krzyknął. Bubbles usłyszała odgłos padania ciała i chrapliwy oddech przy akompaniamencie stłumionych jęków. Potem rozległ się stukot twardych butów i ktoś zatrzymał się w pobliżu. Bubbles zauważyła blask światła latarki.

– Mam jednego – oznajmił głos, tym razem głośno i zrozumiale. Pomyślała, że mówi do komunikatora. – Sądząc po tatuażu, to jeden z dziadków. – Komunikator zatrzeszczał i coś

odpowiedział. – Dobra. Przyniosę identyfikator. Żadnego śladu pozostałych. – Bubbles usłyszała kliknięcie pokrywy komunikatora, a potem stęknienie, gdy mężczyzna nachylił się, aby odłożyć broń i obejrzeć ciało.

Wtedy...

– Ja też mam jednego – wydyszał drugi mężczyzna chrapliwym głosem. Myśliwy jęknął, potem głośno wciągnął powietrze i Bubbles usłyszała odgłos padania kolejnego ciała. Światło zgasło. Potem zapadła cisza, poprzedzona jeszcze kilkoma głośnymi sapnięciami.

Pierwszy raz w życiu Bubbles zazdrościła tym przyjaciom, którzy wyznawali jakąś religię: przynajmniej mieli bóstwo, do którego mogli się modlić lub je przeklinać.

– Nie możemy tu zostać – oznajmiła cicho. Zaskoczyło ją brzmienie własnego głosu – był tak spokojny, jakby siedziała w bawialni matki i rozmawiała o pogodzie.

– Dotknął mnie kijem – poskarżyła się Raffa – kiedy grzebał we wrzościu.

– Nie możemy tu zostać – powtórzyła Bubbles. – Zaraz kogoś przyślą. – Przez szczelinę między skałami dotarł do nich zapach krwi i czegoś jeszcze gorszego. Jej żołądek zaprotestował.

– Jak mamy iść? Niczego nie widać.

– Musimy. Jak wyjdziemy spod krzaka, nie będzie tak ciemno. Obróć się i daj mi przejść.

– Nie wyjdiesz chyba tędy? – Z głosu Raffy znikł spokój, pozostał tylko czysty strach.

– Chcę wziąć jego broń – wyjaśniła Bubbles. – I komunikator i nocne gogle.

– Ale wtedy będą wiedzieli, że ktoś tu był po jego śmierci – zauważyła Raffa. Bubbles znieruchomiała. O tym nie pomyślała. Teraz wróg może po prostu przyjąć, że ranna zwierzyna zabiła nieostrożnego myśliwego. Jeśli ona coś weźmie, będą wiedzieli, że ktoś jeszcze się tu pojawił.

– I tak wiedzą, że tu jesteśmy – przypomniawszy. – Będą polować, dopóki nas nie znajdą. A jego rzeczy zwiększą naszą szansę ucieczki. Zostań tutaj – później będziemy schodzić w dół.

Wyrzała spod gałęzi. Światło gwiazd delikatnie rozjaśniało kamienne słupy, w oddali błyszczało morze. Bubbles zatrzymała się w szczelinie między skałami, nasłuchując. Niczego nie słyszała. Po chwili zobaczyła płataninę ciemnych kształtów, które musiały być ciałami mężczyzn. Szybko, zanim znów opadł ją strach, wyszła na ścieżkę. Pośliznęła się, a kiedy się podparła, trafiła dłonią w coś ciepłego, mokrego i śmierdzącego. Stłumiła odruch wymiotny i wytarła dłoń o leżące ciało. Zaczęła obmacywać zwłoki, w każdej chwili spodziewając się strzału, który ją zabije, bądź syku paralizującego gazu.

Trupy wciąż były ciepłe i dotykane ich napełniało ją obrzydzeniem. Myśliwy miał zawieszoną na szyi gogle – musiał je ściągnąć przed zapaleniem latarki. Poczula na nich wilgoć. Krew? Odcięła je nożem i poszukała latarki. Zaryzykowała jej zapalenie. Gogle były umazane krwią, więc wytarła je koszulą myśliwego. Potem znalazła komunikator i karabin. Dłonie miała całe umazane krwią, a jedna noga pozostawiała krwawe ślady. Zgasła latarkę i cicho zawołała Raffę.

– Wyjdź stamtąd. Jeśli wrócę, zostawię ślady. Zejdziemy ze ścieżki trochę dalej i zostawimy sobie tę kryjówkę na później, jeśli jeszcze będziemy jej potrzebować. Weź moje pudełko. – Schowała komunikator do kieszeni.

Rozległ się szelest i Raffa wyłoniła się z obydwojema plecakami, Bubbles podała jej karabin i sama założyła gogle. Teraz bez pomocy latarki widziała wystarczająco dobrze, by dokończyć płądrowanie torby martwego łowcy. Miał w niej dodatkową broń ze składaną kolbą. Wzięła ją wraz z jego igłowcem oraz nożem martwego dziadka. Niestety, myśliwy nie miał drugiej pary gogli

wzmacniających światło. W końcu spróbowała wytrzeć krew z rąk i nogi, aby zostawić jak najmniej śladów.

Poprowadziła Raffę drogą na południe. Żadna z nich nie miała wątpliwości, kto powinien prowadzić – to była jej wyspa i to ona powinna w miarę możliwości chronić przyjaciółkę. Dawno temu po zachodniej stronie zbocza wydeptano mnóstwo ścieżek, i z tego, co pamiętała, można było stąd dojść niemal w dowolne miejsce. Pokonała kolejną kupę kamieni, przedarła się przez pnącza i znalazła drogę prowadzącą w dół. Wzmocniony obraz pokazywał nierówne zbocze pokryte kamieniami i niskimi krzewami. Kiedy idąca za nią Raffa zapytała, co widzi, zamiast odpowiedzi podała jej gogle. Bez nich czuła się jak ślepa.

– Sama zobacz. Wybierz drogę, trzymaj się przy ziemi i nie spiesz się. Musimy być cicho.

– Ty ich potrzebujesz. – Raffa oddała jej gogle, ale Bubbles nie chciała ich przyjąć.

– Teraz twój a kolej, a ja powinnam znać to miejsce. Pójdę pierwsza. Nie idź za blisko. – Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Na chwilę mocno zacisnęła oczy, a kiedy je otworzyła, stwierdziła, że jest w stanie zobaczyć co większe kamienie. Zaczęła powoli i ostrożnie schodzić w dół, starannie stawiając stopy i sprawdzając podłoże przed przeniesieniem ciężaru ciała z jednej nogi na drugą. Pamiętała, że kiedyś przeczytała należący do brata podręcznik o tego rodzaju rzeczach – wtedy ją to bawiło. Wyobrażała sobie eleganckiego George’a czołgającego się w ciemnościach, liczącego kroki i zbierającego brud na nienaganne spodnie. I proszę, teraz sama to robi... Spod jej stopy poturlał się z cichym grzechotem kamyk. Znieruchomiała. Przez chwilę słyszała tylko własny puls. Zrobiła kolejny krok w dół, potem następny. Coraz bardziej zbliżała się do bezpiecznej linii drzew.

Rozdział 14

– Proszę, proszę... Witam panienkę. – Nie był to głos, który chciała usłyszeć. – Wędrując tak po ciemku, możesz sobie zrobić krzywdę. Lepiej podaj mi rękę. – Plama czerni oderwała się od drzew i ruszyła w jej stronę, zgrzytając butami na kamieniach. Zauważyła wąską smugę blasku, która mogła pochodzić od odbijającego się w lufie broni światła gwiazd.

– Nie... – Nie mogła mówić, strach pozbawił ją powietrza w płucach.

– No chodź, złotko – powiedział mężczyzna. Nie potrafiła określić, jak daleko od niej się znajduje. Dwa metry? Trzy? – To twój śmigacz rozbił się po drugiej stronie wyspy? Twój tatuś wysłał nas, żebyśmy cię odnaleźli. – Jakoś nie mogła w to uwierzyć. Doszła do wniosku, że jeżeli będzie udawać, że o niczym nie wie, może nie zabije jej od razu. A jeśli sądzi, że jest sama, to znaczy, że nie widział Raffy i może dziewczynie uda się uciec.

– Pan jest... z jednego z zewnętrznych patroli? – zapytała.

Usłyszała pewny siebie śmiech.

– Tak jest, złotko. Wszystko będzie dobrze. Po prostu chodź ze mną. Po raz trzeci tej nocy Bubbles usłyszała z bliska śmierć. Tym razem odgłos uderzającego pocisku dotarł do niej na moment przed głośnym trzaskiem dochodzącym z góry, gdzie ukrywała się Raffa. Uderzenie rzuciło mężczyznę do tyłu, gdzie wylądował w niskich zaroślach. Kilka luźnych kamieni sturlało się z łoskotem w dół pochyłości. Bubbles zaczęła wymiotować. Tego było już za wiele.

– Nic ci nie jest? – usłyszała głos Raffy.

– T.tak. – Jej ciało skreśliło się po raz ostatni, po czym powoli uniosła głowę. – Ja... nie wiedziałam, że potrafisz strzelać.

– Ciotka Katy nas nauczyła. Dawała nam nagrody. – Sądząc po jej głosie, Raffa również walczyła z mdłościami. Bubbles była zawstydzona. To ona powinna tu przewodzić, a całkiem się rozsypała. Zmusiła się do wstania i przeszła chwiejnie kilka kroków do miejsca, gdzie Raffa schylała się nad umierającym mężczyzną.

– Myślałam, że szybciej umierają – mruknęła, próbując wcześniejszego spokojnego tonu. – Tak jest na kostkach. – Oddech mężczyzny brzmiał okropnie, chrapliwie i nierówno. Bubbles cieszyła się, że nie widzi jego twarzy.

– Masz. – Raffa wcisnęła jej w dłonie parę gogli. – Teraz obie będziemy lepiej widziały. Zabierzemy też jego broń i komunikator. – Mówiła szybko, nieco niepewnym głosem. – Zobaczyłam go wtedy, gdy zaczęłaś już schodzić. Nie odważyłam się zawołać...

– To dobrze.

– Chciałam zawołać, żebyś odeszła bardziej w prawo i zrobiła mi miejsce. Byłam taka przerażona... – Przez chwilę obejmowały się, mając ochotę płakać, ale zdawały sobie sprawę, że nie ma na to czasu. – Musimy iść – oznajmiła w końcu Raffa, odsuwając się. – Zaraz tu przyjdą.

Bubbles z trudem wyprostowała się pod dodatkowym ciężarem. Obie miały teraz po dwa karabiny, igłowiec, komunikator i więcej noży, niż mogłyby użyć. Gdyby zdołały to dostarczyć Petrisowi... Ale nie mogły. Szybko, nie zważając na hałasy, ukryły się w lesie.

W dzieciństwie raz czy dwa próbowali chodzić po wyspie w nocy. Oczywiście z pochodniami. Zrezygnowali, poza wycieczkami po plaży, po tym jak ktoś – Bubbles nie pamiętała kto – złamał nogę w kostce, próbując wspiąć się na wzgórze. Musieli wezwać pomoc, a dorośli strasznie krzyczeli, że

nie mają dość rozsądku, by po ciemku trzymać się z daleka od śliskich skał. Buttons, ich przywódca, zabronił im nocnych wycieczek, a Bubbles nie miała nic przeciwko temu, bo wołała spać w nocy niż drzemać w dzień.

Teraz, mając na nosie gogle do widzenia w ciemności, cieszyła się z osłony nocy. Widziała dość dobrze, by unikać zwieszających się gałęzi, kolczastych krzewów i innych niebezpieczeństw, a z doświadczenia wiedziała, że nikt bez gogli nie ma szans jej zobaczyć. Oczywiście myśliwi je mieli... ale ona też.

Wkrótce zwolniła i znów zaczęła nasłuchiwać. Na chwilę się zatrzymała. Burczenie w brzuchu przypomniało jej, że nic nie jadła. Usłyszała, że Raffa grzebie w swoim plecaku, a potem dobiegły ją odgłosy picia. Woda. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spragniona, i sięgnęła do własnego plecaka, usiłując zachować przy tym ciszę. Gdzie jest głośny wiatr, gdy go potrzeba? Woda ulżyła jej gardłu i spłukała paskudne pozostałości wymiotów. Znów poczuła głód. Dotknęła ramienia Raffy, a kiedy ta się zbliżyła, powiedziała cicho:

– Zjedzmy coś. – Widziała kiwnięcie głowy koleżanki równie wyraźnie jak w dzień.

Miały awaryjne racje żywnościowe ze śmigacza w postaci tubek gęstej pasty o smaku tłuszczu, cukru i soli. Bubbles połknęła połowę zawartości swojej tubki i wsadziła resztę do kieszeni. Ponownie ruszyła, tym razem wolniej, próbując przypomnieć sobie układ terenu po tej stronie wyspy. Jak daleko doszły na południe i gdzie leży bagno? Czy powinny ruszyć z powrotem na północ w nadziei dotarcia do bardziej pofałdowanych terenów?

W lesie wokół nich nic się nie ruszało. Z dzieciństwa pamiętała stada ptaków i mnóstwo małych zwierząt – jaszczurek, niegroźnych węży i ziemnych krabów. Kiedyś wystraszył ją tutaj żółw – był tak wielki, że chciała na nim usiąść, myśląc, że to lśniący brązowy kamień. Poszycie było bardziej ubogie niż kiedyś i nie miały żadnych problemów z marszem między drzewami. Zbocze pod ich stopami było coraz bardziej płaskie, a drzewa coraz wyższe, tak że nawet przez gogle nie mogła zobaczyć ich koron. Za każdym razem, gdy Bubbles zatrzymywała się, by nasłuchiwać, czuła, jak trzęsą się jej nogi. Zdawała sobie sprawę, że muszą odpocząć.

Nagle Raffa klepnęła ją w ramię i wyszeptała:

– Chyba słyszę wodę.

Bubbles zaczęła nasłuchiwać poprzez łagodny szum wiatru w liściach. Tak. Rytmiczny delikatny szmer łamiących się fal i cisza...

– Masz rację. Ale mogą mieć kogoś na plaży. – W takim razie dokąd teraz iść, na południe czy północ? Ze zmęczenia i strachu nie potrafiła jasno myśleć. Wyruszyła w drogę, mając nadzieję znaleźć starą kryjówkę, potem pomyślała o jaskini Kella... ale teraz... chciałyby po prostu wiedzieć, gdzie są i jak daleko stąd do jakichś bezpiecznych miejsc.

– Proponuję północ – rzekła Raffa, jakby czytała jej w myślach. – Dalej od ich obozu. – Przez chwilę Bubbles chciała zaprotestować. Mają teraz broń i gogle do patrzenia w nocy. Są równie niebezpieczne jak myśliwi. Ale tak naprawdę wcale nie – w końcu są tylko niewyszkolonymi i bardzo zmęczonymi dziewczętami. Lepiej trzymać się jak najdalej od obozu myśliwych.

– Słusznie – zgodziła się z przyjaciółką i skrzyły w prawo, oddalając się od plaży. Maszerowały najciszej jak potrafiły, zatrzymując się co kilka minut, by rozejrzeć się wokół. Marsz przybrał charakter nierealnego snu: dziwaczny krajobraz, który w goglach wyglądał przerażająco, cisza, wyczerpanie zmuszające do skupienia się nawet na najprostszyc ruchach. Kiedy pojawiło się potężne drzewo, które Bubbles pamiętała z dzieciństwa, weszły w jego gęsty cień i zatrzymały się.

– Musimy odpocząć – zdecydowała – póki jedna z nas może jeszcze czuć. Ty śpisz pierwsza.

– Dobra. – Raffa usiadła i oparła się o drzewo. Bubbles też się oparła, ale nie usiadła, żeby nie zasnąć. Wyciągnęła z kieszeni tubkę z resztką racji żywnościowej i zjadła ją, popijając wodą. Bolały ją nogi, a paski plecaka zdawały się palić ramiona, ale bała się go ściągnąć. Co się stanie, jeśli będą musiały uciekać?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nawet nie sprawdziła, czy zdobyta broń jest naładowana. Zaczęła ją oglądać. Nie przypominała karabinu, którego uczyła się używać, i nie potrafiła znaleźć małej dźwigniki – miała jakąś nazwę, ale nigdy nie potrafiła jej zapamiętać – do zwalniania magazynka. Wreszcie wymacała coś wstającego z łoża i wcisnęła. W powietrzu pojawiła się cienka czerwona linia sięgająca do sąsiedniego drzewa i karabin zaczął cicho brzęczeć. Desperacko wcisnęła z powrotem przełącznik – światło znikło i brzęczenie ustało. Rozejrzała się wokół, pewna, że ktoś musiał zobaczyć światło, ale nic się nie poruszyło i nie dobiegł jej żaden dźwięk. Po chwili jej serce przestało próbować wyskoczyć z piersi i zaczęła się zastanawiać, co to było. Nie interesowała się bronią, nauczyła się strzelać tylko z powodu polowań na słogonie i dlatego, że ojciec upierał się, że powinna to umieć.

Czerwone światło przywodziło na myśl kamery w wydziale artystycznym, dalmierze czy wskaźniki celu... więc to mogło być coś takiego. A brzęczenie... To mógł być silniczek automatycznej regulacji ostrości. Ostrożnie obmacała całe łożo. Małeńka klapka osłaniała gniazdko z bolcami. Może to złącze jakiegoś komputera? Znalazła jeszcze trzy przyciski lub pokrętła, ale ich nie ruszała. Celownik... Uniosła strzelbę do ramienia i spróbowała przez niego spojrzeć, ale przeszkadzały jej w tym gogle. Rozejrzała się wokół, ściągnęła je i spojrzała w celownik. Dawał jaśniejszy obraz niż gogle, w kolorze ostrej zieleni, zamiast rozmytego żółto-zielonego. Wymacała pokrętła na celowniku, ale ich też nie ruszała. Założyła z powrotem gogle.

W jej kieszeni błysnęło małe migające światełko, które w goglach wyglądało jak światło latarni. Bez gogli było prawie niewidoczne. To komunikator, który zabrała pierwszemu myśliwemu, migał w sekwencji dwa na trzy. Kiedy spojrzała na Raffę śpiącą pod drzewem, okazało się, że w jej kieszeni również miga światło w sekwencji dwa na dwa. Nie pomyślała, że komunikatory mogą zawierać lokalizatory, ale teraz wydawało się to oczywiste. Jeśli nie odpowie za pomocą właściwego kodu, myśliwi będą wiedzieli, gdzie ich szukać.

– Raffa! – Dziewczyna natychmiast się obudziła.

– Co? – zapytała.

– Musimy się ich pozbyć. – Miała ochotę się rozplakać. Była taka zmęczona, nie spała... Raffa przytuliła ją.

– Wrzucimy je do wody. Niech myślą, że próbowałyśmy popłynąć.

– Ale oni mogą być na plaży! – Usłyszała we własnym głosie ledwie powstrzymaną histerię. Dłoń Raffy mocniej zacisnęła się na jej ramieniu.

– Żyjemy, a dwóch z nich zginęło. Dwie nieuzbrojone, niewyszkolone dziewczyny z wyższych sfer przeciwko wyszkolonemu myśliwemu ze sprzętem do widzenia w nocy, a kto ma teraz broń? Przetrywamy, a oni WSZYSCY zginą, tylko nie zacznij teraz histeryzować. Głęboko oddychaj.

Bubbles zrobiła tak, jak jej poleciła, aż zabolały ją zębra.

– Racja. Przepraszam.

– To żaden problem – ja się przespałam, ty nie. Teraz chodźmy na brzeg; jeśli ktoś tam będzie, rozwalimy go.

– Nawet nie potrafię sprawdzić, czy broń jest naładowana – powiedziała cicho Bubbles. – Próbowałam sprawdzić i włączyłam coś, co świeciło na czerwono i brzęczało.

– Naprawdę? To mi wygląda na celownik Maseter. Daj, sprawdzę, co to jest. – Raffa wzięła od niej strzelbę, zrobiła coś, czego Bubbles nie dostrzegła z powodu panującego mroku, i oddała ją z powrotem. – Pełny magazynek, nabój w komorze. Naciśnij spust, kiedy będziesz chciała w coś trafić.

– W takim razie chodźmy. – Bubbles skręciła w lewo, w stronę brzegu. Tak jak pamiętała, duże drzewo stało zaledwie kilkaset metrów od wody. Po kilku minutach zauważyła, że migające światełka na komunikatorach zgasły, ale to jej nie uspokoiło. Była pewna, że sygnał pozostawiony bez odpowiedzi sprawi, że zaczną ich szukać. Dobrze, że przynajmniej mają gęstą osłonę drzew aż do samej plaży.

W miarę jak zbliżały się do wody, było coraz więcej światła i coraz wyraźniej widać było przez gogle. Równocześnie poszycie gęstniało, jak zawsze na skraju lasu, choć na szczęście nie aż tak, by musiały się przedzierać. Kiedy Bubbles wyrzała zza krzewów na plażę, mogła sięgnąć wzrokiem przynajmniej na sto metrów w każdą stronę. Nikogo nie widziała... choć ktoś mógł ukryć się w krzakach, tak samo jak one. Wiała łagodna bryza od morza i niewielkie fale uderzały o brzeg, przetaczając maleńkie kamyki w głąb plaży.

– Czy tutaj jest głęboko? – zapytała Raffa. – Czy nie będą mogli ich znaleźć?

– Tu jest stromy spadek. Czasami wyciągaliśmy tutaj łodzie na brzeg. Daj mi to. – Raffa podała jej komunikator, a Bubbles jeszcze raz rozejrzała się, potem ściągnęła plecak i zaczęła ostrożnie iść w stronę brzegu. Kamyki grzechotały pod jej stopami. Musiała na nie uważać; przypominała sobie, ile razy pośliznęła się tutaj i upadła. Nie chciała do tego wszystkiego jeszcze przemoknąć.

– Rzuć je! – mruknęła za jej plecami Raffa. Czowała się jak idiotka, rzucając komunikator w morze. Pierwszy wcale nie poleciał daleko, ale wylądował z pluskiem. W następny rzut włożyła więcej wysiłku i plusk był jeszcze głośniejszy, choć komunikator wcale nie doleciał dalej. Z wielkim trudem dotarła z powrotem do linii drzew.

– Musimy się stąd oddalić – zauważyła Raffa – a potem twoja kolej na odpoczynek.

Szły przez pół godziny, zanim znalazły kolejne miejsce zapamiętane przez Bubbles, gdzie odnoga centralnego grzbietu dochodziła aż do wody. Z tego miejsca aż do północnego skraju wyspy nie było plaży, tylko pionowa ściana skał.

Kiedy się położyły – tym razem żadna z nich nie mogła stać – Bubbles natychmiast usnęła. Spodziewała się, że będą ją męczyć koszmary, ale kiedy się obudziła, niczego nie pamiętała. Obok spała Raffa zwinięta niczym kot, z dłonią na karabinie. Bubbles ziewnęła, przeciągnęła się i pomasaowała kość biodrową, na której leżała. Po spaniu na ziemi nigdy nie bolały jej plecy, ale biodra zawsze protestowały, jeszcze od czasów obozowania na wyspie. Usiadła. Raffa otworzyła jedno oko i powiedziała:

– Nie mów mi, że jest rano.

– Jest rano. – Chyba że przespały cały dzień, ale nie czuła się aż tak wypoczęta. Zresztą światło było coraz jaśniejsze i liście przybierały barwę zieleni. Znów się przeciągnęła, wyginając plecy w łuk, po czym się podniosła. Było cicho, jedynie liście nad ich głowami szeleściły, głaskane przybierającą na sile poranną bryzą. Ramiona miała zeszywniałe i obolałe od pasków plecaka. Raffa ziewnęła i jęknęła cicho, przeciągając się.

– Nienawidzę poranków – rzuciła. Potem otworzyła szeroko oczy i usiadła. – A więc to wszystko prawda.

– Co? – Bubbles wiedziała, o co chodzi, ale sama nie była pewna, czy w to wierzy.

– My. Tutaj. Ostatnia noc. – Raffa spojrzała na własne dłonie. – Krew.

– Tak. – Bubbles zauważyła już paskudne ślady na własnych dłoniach. – Powinnyśmy były się umyć po dotarciu na plażę. – Spodnie też miała brudne i czuła smród własnego ciała. Raffa wyglądała równie fatalnie z ciemnymi włosami sklejonymi w brudne strąki w spodniach pełnych plam z zaschniętej krwi i ziemi.

– Nie muszą nas widzieć – stwierdziła Raffa. – Mogą nas wysledzić po zapachu. I to bez psów.

– W takim razie umyjmy się – zaproponowała Bubbles, choć nie miała pojęcia, w jaki sposób. Na pewno nie mogły rozpalić ognia i zagrzać wody do mycia. Musiały także znaleźć źródło pitnej wody. Chwyła plecak i wstała, krzywiąc się, gdy wylądował na jej ramionach. – Chodź, siedzenie tutaj i narzekanie nic nam nie da.

Raffa wstała, otrząsnęła się, przeczesowała włosy palcami i w końcu podniosła swój plecak i broń.

– Wiem, wiem. Jak brzmiało to motto regimentu chłopców? „Naprzód po chwałę” czy coś równie bezsensownego? – Założyła plecak na jedno ramię i stęknęła. – To waży dwa razy tyle co wczoraj. Nie krzyw się, chcę od razu ponarzekać, żeby później mieć spokój. Zauważ, że w nocy w ogóle nie narzekałam.

– Racja. W takim razie ty narzekaj rano, a ja będę to robić w nocy, czy kiedy mi tam odbije, i w ten sposób razem wypełnimy całą dobę.

– I zostanie nam jeszcze czas na przeżycie, pozabijanie myśliwych i uratowanie wszystkich. Hurrra. – Raffa ruszyła, po czym się obejrzała. – A swoją drogą, dokąd teraz idziemy?

– Pomyślałam o wodzie – odpowiedziała Bubbles. – Najpierw woda, potem jakieś miejsce do ukrycia się.

– Jak ostatnio – zauważyła Raffa, tym razem z uśmiechem. – Kryjówka w pobliżu ścieżki, żebyśmy mogły zdobywać broń i zaopatrzenie martwych myśliwych.

Pomimo przechwałek, kiedy już ruszyły, maszerowały bardzo ostrożnie. Nie ustalając tego wcześniej, szły w pewnym oddaleniu, tak żeby mogły się nawzajem widzieć, i na zmianę zatrzymywały się, by nasłuchiwać i oglądać się do tyłu. Nic nie zwróciło ich uwagi, oprócz ciszy, którą podkreślał jeszcze szum liści w górze. Niebo rozjaśniło się i wiedziały, że jest już pełny dzień, choć szły w cieniu góry. Zbocze zaczęło opadać, więc Bubbles skrzyła w głąb lądu; pamiętała, że tam jest mały strumień w zagłębieniu między ostatnim wzniesieniem głównego grzbietu i osobnym wzniesieniem na północnym skraju wyspy. Przez lata dzieci zrobiły na jego szlaku do morza wiele basenów i jeziorok. Strumień sięgał zaledwie do kostek, i to zaraz po deszczu, ale może w którymś ze zbiorników znajdą dość wody, by przeprać ubrania. Nawet jeśli wszystkie zapory rozleciały się od czasu ostatnich obozów, powinno tam być dość luźnych kamieni, by wzniesć nową tamę. Nie zajęłoby to wiele czasu.

W końcu trafiły na jeden z większych zbiorników. Ktoś naprawił tamę – przypuszczalnie więźniowie – i wznosił ją tak wysoko, że woda sięgała przynajmniej do pasa. Po powierzchni pływały zwiędłe liście i gałązki. Bubbles ruszyła w stronę strumienia, kładąc Raffie ukryć się. Na drugim końcu zbiornika zauważyła coś błyszczącego. Był to foliowy pakiet z oderwanym jednym końcem, porzucony przez nieostrożnego myśliwego. Odetchnęła z ulgą... i wtedy zobaczyła martwego płaza, obracającego się powoli w wodzie z wyciągniętymi nogami. Kolejny leżał na brzegu. Z narastającym przerażeniem zdała sobie sprawę, że unoszące się na wodzie „liście” tak naprawdę są ciałami martwych płazów, owadów i ryb. Wycofała się, osłaniając usta dłońmi.

– Co? – zapytała z za jej pleców Raffa.

– Trucizna. Zatruli strumień. – A jeśli ten strumień, to i wszystkie – zapewne także źródła. Po chwili przerażenia opanował ją gniew. To było jej miejsce, jej dzieciństwo, spędziła tu niezliczone godziny, leżąc na brzuchu i przyglądając się kolorowym płazom, rybom i błyszczącym niebieskim i zielonym motylom, które przylatywały tutaj, aby się napić.

– Ci... Nawet nie potrafię znaleźć dostatecznie obraźliwych słów. – Wszystkich znanych sobie obelg używała w powszechnych sytuacjach: gdy koledzy upili się i zwymiotowali na nią albo koleżanki zdradziły komuś jej tajemnice – ale nie przypuszczała, że powinna oszczędzać przekleństwa na coś znacznie gorszego. – Jak oni mogli... – Jak ktokolwiek mógł tak zniszczyć coś, co wiązało się z jej dzieciństwem.

– Trudno byłoby to ukryć w przypadku śledztwa – zauważyła zamyślona Raffa. W tej chwili Bubbles mogłaby ją znienawidzić. Oczywiście, to nie jej wyspa. Nigdy nie widziała jej takiej, jaką ona ją zapamiętała. – Chodzi mi o to – kontynuowała Raffa – że pewnie chcieli nas uspić czy coś takiego. Te zwierzęta to tylko przypadek.

– To jest najgorsze. Mają powód, żeby nas zabić. Kiepski, ale powód. Ale zabicie tego wszystkiego przypadkiem, tak mimochodem...

– Nie powinniśmy tu zostawać. Pewnie często sprawdzają te miejsca.

– Racja. Musimy iść w górę strumienia. – Tam też ktoś mógł być, ale Bubbles musiała wiedzieć, czy wszystko zatruli. Musiała. Ciekawe, jak to zrobili. Zrzucając truciznę ze śmigacza? Lądując po kolei przy każdym strumyczku? A może ktoś szedł tej nocy przez las i przeszedł obok nich, gdy spały, nie widząc ich? Zadrzała. Lepiej o tym nie myśleć. Zaczęło do niej docierać, że Raffa ma rację. Te same związki chemiczne mają różny wpływ na ludzi i zwierzęta – środek, który tylko uspiłby ludzi, mógł przypadkiem pozabijać płazy albo ryby. Ale i tak czuła złość. Miała wrażenie, że jest o całe dekady starsza niż dzień wcześniej, niż nawet poprzedniego wieczoru.

W miarę jak posuwały się w górę, robiło się coraz bardziej stromo i wąsko. Znalazły kolejny strumień pełen martwych płazów i ryb. Wokół nie widziały żadnych żywych istot. Wyżej strumień się rozdzielał. Po lewej stronie woda bulgotała w wąskim korycie, po prawej tworzyła – w czasie deszczów – na sięgającej do pasa skalnej półce miniaturowy wodospad. Teraz jedynie warstwa wilgotnego mułu wskazywała, że czasami płynęła tutaj woda.

– Tędy – zdecydowała Bubbles, podciągając się na kamienistą grań. – Nie możemy wziąć wody z tego strumienia, ale tam może być jakieś źródło, które przeoczyli.

– Ale wiesz, że tam na pewno jest źródło? – Raffa siadła na półce i podciągnęła nogi.

– Nie, wolałam wąż na zachodzie, gdzie mogłam oglądać wschód słońca i rosły jeżyny. A nasz obóz mieścił się na wschodnim brzegu, na południe od miejsca, gdzie się rozbiliśmy. Czasami mieliśmy trzy albo cztery obozy, w zależności od tego, ilu kuzynów przyjechało. Kev i Burlin zastawiali pułapki na tym końcu grzbietu, a potem siedzieli tutaj i naśmiewali się z nas.

– No, nie chciałabym ich tu mieć ze sobą.

– Cóż... Silvia w końcu naskarzyła na Burlina i wszystko się skończyło. Jemu zawsze jakoś udawało się tak zrobić, że razem z Buttonsem czuliśmy się winni. Gdyby wyspa była ciekawsza, może nie przychodziłyby mu do głowy takie rzeczy.

– Jak Stanley, mój kuzyn, który zawsze o wszystko obwinał swojego kuca. Ale kiedyś przyprowadził go ze śladami bata na grzbiecie i tego już ciotka Katy nie puściła mu płazem.

Wspinały się korytem wyschniętego strumyka, uważając, by nie zostawiać śladów w wilgotnym

błocie. Bubbles rozglądała się za jakimiś znakami mogącymi wskazywać na obecność myśliwych, ale nieliczne ślady mogli równie dobrze zostawić zdesperowani więźniowie. Zaczynało jej brakować tchu – wspinaczka po coraz bardziej stromym zboczu nie była łatwa – ale na szczęście okazało się, że są już blisko grzbietu. Strumień nagle skręcił, prowadząc je do wąskiej rozpadliny osłoniętej drzewami i porastającymi zbocza paprociami. Rozpadlina kończyła się gładką ścianą obwieszoną gęstymi pnączami. Ziemia była tu wilgotna, choć nie widać było żadnego źródła.

– Cóż, tutaj nie ma wody – rzekła ponuro Bubbles i usiadła. Jej nogi nagle odmówiły posłuszeństwa i zapiekły ją oczy, choć nie potrafiła płakać.

Raffa przykucnęła obok niej.

– Przynajmniej jesteśmy dobrze ukryte. Jeśli będziemy siedzieć cicho, nie znajdą naszych śladów. Nie znajdą nas też od tyłu.

Bubbles kiwnęła głową – nie potrafiła nic powiedzieć przez zaciśnięte gardło. Ostrożnie odłożyła na bok karabin i zdjęła z ramion plecak.

– Powinnyśmy coś zjeść – zasugerowała Raffa. – Nie jadłyśmy śniadania.

– Ale nie bez wody. Przynajmniej tak piszą w książkach. – Na wspomnienie jedzenia żołądek Bubbles nagle o sobie przypomniał. Poczowała, że mogłaby zjeść trzy posiłki na raz.

– Mamy trochę wody – przypomniała Raffa. – A co z tropikalnymi owocami i takimi rzeczami? Mają w sobie wodę.

– Nie widziałam żadnych owoców. Albo jest niewłaściwy sezon, albo więźniowie wszystko zjedli. – Bubbles oparła się o skałę, nie przejmując się owadami, i zamknęła oczy.

– No wiesz! Nie możesz się poddać!

– Ale mogę odpocząć. – Bubbles nie otwierała oczu. – Tylko chwilę. – Nie była pewna, co czuje, poza wyczerpaniem i głodem, i w tej chwili nie obchodziło jej, czy nie przyjdzie tutaj cały oddział myśliwych.

– No dobrze – rzekła Raffa. – Ale ja się nie poddam. – Bubbles usłyszała, jak przyjaciółka się porusza, a potem rozległo się szuranie plecaka na kamykach. – Choć miękkie miejsce do oparcia bolących pleców nie jest złym pomysłem. Aaaa! – Westchnienie ulgi przeszło w stłumiony okrzyk. Bubbles otworzyła oczy. Przyjaciółka leżała na plecach, ukryta aż do pasa pod kosmatą zasłoną z pnączy; wyglądała tak, jakby wpadła w skałę. Sądząc po odgłosach, próbowała coś powiedzieć. Bubbles złapała ją za nogi i pociągnęła.

– Nic ci nie jest? Potrzebujesz pomocy?

Raffa wyczołgała się wężowymi ruchami spod zasłony z pnączy, plując ziemią.

– To cud, że nie rozbiłam sobie głowy.

– Co to jest, jakieś zagłębienie?

– Otwór. Jaskinia!

– Jaskinia?

– Tak. Słyszałam kapanie wody. Chodź. – Raffa porwała swój plecak i zaczęła przepychać go przez zasłonę z roślinności.

– Czekaj, będą wiedzieli, że tam weszliśmy. – Bubbles przyglądała się połamanym gałązkom pnączy i wygniecionemu mchu w miejscu, gdzie odpoczywała. Jeśli ktoś tu trafi – a pewnie tak będzie – zacznie uważnie się rozglądać i na pewno nie przeoczy jaskini.

– Musimy upozorować, że tu odpoczywałyśmy, a potem poszłyśmy dalej – zaproponowała Raffa. – Chodź, wepchnij tam plecak i karabiny. To najlepsze miejsce, żeby się ukryć.

Bubbles wzruszyła ramionami, ale posłuchała. Nie miała lepszego pomysłu, a jeśli Raffa znalazła w środku wodę, to na pewno nie jest zatruta. Jej przyjaciółka weszła w ślad za rzeczami i obwieściła, że w środku jest mnóstwo miejsca i będą mogły ukryć się razem ze sprzętem. Wreszcie wyczołgała się z powrotem.

– Teraz maskowanie – powiedziała. – Byłyśmy nieostrożne, bo nam się wydawało, że tu już nikt nie dotrze. Zrobmy trochę śladów prowadzących w obie strony. Po tych zgniecionych paprociach widać, że w tym miejscu odpoczywałyśmy. Właściwie mogą nie wiedzieć, że jesteśmy we dwie, więc może ja zrobię wszystkie odciski?

– Nie, bo mogłyśmy zostawić ślady w jakimś innym miejscu – zaprotestowała Bubbles. – Gdybyśmy miały stąd odejść, to którędy? Chyba z powrotem do góry – przyszłyśmy tu szukać wody, nie znalazłyśmy jej i poszłyśmy w górę, do źródła... – Wyszły z wąskiego jaru i zaczęły robić ślady na bardziej stromym zboczu. Na szczęście zasłona z pnączy, pod którą Raffa dwukrotnie przechodziła, sprawiała wrażenie nienaruszonej.

Bubbles zastanawiała się właśnie, co zrobić ze śladami u wejścia do jaskini, które wyglądały tak, jakby ktoś ciągnął ciało po ziemi, gdy nagle gdzieś z góry usłyszała strzał, a potem następny. Nie próbowała sprawdzać, kto strzela ani czy ją zobaczył. Szarpnęła się do tyłu... i zamarła. Dłoń Raffy zacisnęła się na jej ramieniu prawie równie mocno jak poprzedniej nocy. Czy naprawdę minęła tylko jedna noc?

Choć zbliżało się południe, wewnątrz jaskini niewiele było widać. Gęste pnącza zatrzymywały prawie całe światło z zewnątrz, w środku było chłodno i wilgotno. Bubbles położyła się na płaskim kamieniu pokrytym cienką warstwą mokrego błota. Gdzieś w głębi jaskini słyszała odgłosy kapania wody do jakiegoś zbiornika. Zimna kropla spadła jej na kark. Podskoczyła.

– Powinnyśmy odsunąć się od wejścia – powiedziała cicho Raffa. – Na wypadek, gdyby je zauważyli.

– Spróbujmy gogli. – Bubbles odnalazła swoje i założyła. Bliższe partie jaskini tworzyły niezbyt jasne plamy, od strony wejścia padał ostry blask. Czarna płaska plama kilka metrów w głąb pieczary musiała być wodą. Po lewej stronie skalna ściana schodziła prosto do wody, po prawej rozciągała się płaska półka niknąca w mroku. Nawet gogle nie pozwalały dostrzec sklepienia, a kiedy Bubbles sięgnęła ręką w górę, niczego nie wymacała.

Raffa powoli podniosła się na kolana i poczołgała w prawo. Bubbles również się wycofała. Nigdy nie lubiła jaskiń i nie przypuszczała, że światło tak szybko w nich niknie. Przesunęła gogle na czoło i ciemność przywarła do jej twarzy, jakby chciała przebić się do czaszki. Z drżeniem zsunęła okulary na oczy i zapatrzyła się w słaby blask dochodzący od strony wejścia, jakby chciała go zapamiętać na zawsze.

* * *

– Zastrzelili kogoś! – George chwycił Ronniego za ramię.

– Strzelali do kogoś – zauważył. – Nie wiesz, czy go trafili.

– Ale gdzieś tam są dziewczyny, wiesz o tym.

Wiedział. Zamykając oczy, widział twarz Raffy i czuł zapach jej włosów.

– Są w wąwozie. Gdzieś tam się schowały. A myśliwi nie strzelaliby tak od razu do dziewczyn. – Żałował, że to powiedział, ta myśl wcale nie była pocieszająca.

– Może Bubbles próbowała walczyć. Czasami potrafi być nieobliczalna.

– Petris mówił, że wysłał jednego z dziadków w górę ścieżki. To mógł być on. A myśliwy mógł spudłować. Nie jesteśmy nawet pewni, skąd dobiegł strzał. – Ale nie miał wątpliwości, że skądś wysoko na grani, na południe od nich. Czyli zdecydowanie za blisko dziewczyn. Myśliwi mieli przyjść tutaj i wpaść w pułapkę, którą przez całe popołudnie przygotowywali razem z Georgem. Leżeli teraz tuż obok jednego z wyraźniejszych szlaków przechodzących przez dolinę, między głównym masywem i północnym wzgórzem.

Czas ciągnął się jak guma. Ronnie nie ufał zegarkowi George'a. Jego zegarek nie przeżył rozbicia śmigacza, więc i George'a mógł być uszkodzony. Zdawał sobie sprawę, że brak zaufania do zegarka jest równie głupi i niebezpieczny, jak brak wiary w instrumenty w samolocie... no ale w końcu przeszedł wstrząs mózgu. Czas nie płynął jednak normalnie, świecące wskazówki zdawały się przez całą wieczność trwać bez ruchu. Poczul irytację. To on miał wstrząs i to nie on powinien teraz uspokajać George'a.

Usłyszał kolejny strzał, tym razem dalej. Poczul dreszcz. W trakcie odprawy Petrisa wydawało mu się, że wie, gdzie wszyscy powinni być, przynajmniej na początku. Teraz stwierdził, że nie potrafi sobie przypomnieć, kto powinien być na południe od grzbietu, a kto od zachodu. Czuł się chory i równocześnie śpiący, wciąż chciało rnu się ziewać.

– Powinniśmy to sprawdzić – odezwał się George. – To musi być gdzieś blisko nich.

– Jeśli pójdziemy na górę, zaprowadzimy do nich myśliwych. – Ronnie próbował mówić zdecydowanym tonem, ale nawet dla niego jego własny głos brzmiał słabo i niepewnie. – Petris powiedział żebyśmy zostali tutaj, więc zostaniemy.

– On nawet nie jest oficerem – rzucił George, ale się nie ruszył. Ronnie zeszywniał w pół ziewnięcia. Usłyszał jakiś rytmiczny dźwięk. Jakby ktoś szedł, ale celowo nierówno. Parę kroków, przerwa, kilka kolejnych kroków, znowu przerwa... Pomimo strachu Ronnie uśmiechnął się do siebie. Ostrzegano ich przed tym błędem. Sam go popełniał, gdy robił trzy lub pięć kroków w tym samym czasie, co sprawiało, że odgłosy powtarzały się równomiernie niczym w wahadle. Ta osoba zmieniała przerwy między krokami, ale nie okresy marszu. Jeśli będą mieli szczęście, piechur może niedługo wejść w ich zasięg.

Umysł Ronniego dryfował. Pomyślał, że ma za sobą fatalny dzień, a jednak nie czuł się tak źle jak powinien. Zdawał sobie sprawę, że ma to jakiś związek z uderzeniem w głowę. Długie upalne popołudnie po rozdzieleniu z dziewczynami, kiedy Petris próbował wymyślić, co z nimi zrobić i gdzie ich umieścić, a pozostali buntowali się, domagając się ich śmierci bądź pozostawienia ich gdziekolwiek i ucieczki... to było piekło, ale dla niego dość odległe. Jak długo nie musiał mówić i niczego robić, tak długo inni mogli robić wszystko, na co tylko mieli ochotę.

Rozdział 15

– Nie możemy tego zrobić same. – Heris włożyła w swój głos cały autorytet dowódcy.

– Już to przerabialiśmy. Nie chcę zawracać głowy Bunny’emu.

– Lady Cecelio. – Ten oficjalny ton wreszcie do niej dotarł i kobieta zaczęła słuchać. – Pamiętasz, czemu musiałam odejść z wojska?

– Tak, ale jaki to ma związ...

– Tutaj mamy dokładnie to samo. Jeśli polecimy tam same, we dwójkę – a ty nie masz absolutnie żadnego doświadczenia wojskowego – bez właściwego zwiadu, bez wsparcia i planu, będzie to dokładnie tak samo głupie jak rozkazy Lepescu. Szczerze mówiąc, to samobójstwo i nie przyłożę do tego ręki.

W oczach Cecelii krył się mord.

– Myślałam, że już to ustaliliśmy i zgodziłaś się na wszystko.

– Tak, ale wtedy nie myślałam rozsądnie. Na myśl o możliwości zaciśnięcia rąk na szyi Lepescu zupełnie się zapomniałam. Ale nie mam prawa narażać życia twojego i twojego siostrzeńca oraz pozostałych, by zaspokoić swoją chęć zemsty. Nie wiemy, co nas tam czeka i w jakim są stanie, i nie mamy wsparcia ani pomocy medycznej. A jeśli zginiemy, co stanie się z młodzieżą?

Przez chwilę Heris miała wrażenie, że Cecelia eksploduje: zaczerwieniła się, potem zbladła i zeszywniała. W końcu otrząsnęła się lekko i wypuściła głośno powietrze.

– Przypuszczalnie masz rację. Dlatego właśnie przyszedłam do ciebie. To jak, chcesz, żebym powiedziała Bunny’emu?

– Myślę, że powinniśmy obie do niego pójść. Może chce potwierdzenia od Sirkin z *Delight* – zresztą ja wciąż chcę wziąć w tym udział.

– Dobrze. – Nie sprzecząc się więcej, Cecelia zadzwoniła do głównego technika. – Michaels, kapitan Serrano uważa, że nie powinniśmy tam lecieć same. – Heris zauważyła, że mężczyzna lekko się odprężył. Miał więcej rozsądku niż one obie, ale za mało odwagi, by to powiedzieć.

– Tak, milady?

– Zamierzam powiadomić o wszystkim lorda Thornbuckle’a, ale muszę mu też powiedzieć, że wiedziałeś, iż Bubbles wzięła śmigacz. – O tym Heris nie pomyślała. W jakie kłopoty go wpakują? Miała nadzieję, że nie za duże.

– Nie sądzę, żeby należało jeszcze komuś o tym mówić – kontynuowała Cecelia, jakby udzielała lekcji małemu dziecku. – Jestem pewna, że jego lordowska mość wkrótce się z tobą skontaktuje.

– Tak, milady.

– No dobrze. Teraz musimy znaleźć Bunny’ego, zanim zacznie się to przekłete polowanie. Mamy szczęście, że Kamienny Domek jest z tej strony posiadłości.

Wszyscy myśliwi siedzieli już na koniach, gotowi do wyjazdu; między nogami koni kręciły się psy. Heris była pewna, że tylko Cecelia mogła tak szybko i po cichu ściągnąć Bunny’ego z konia i zaciągnąć go do budynku.

– O co chodzi? – zapytał, gdy tylko zamykające się drzwi stłumiły odgłosy koni i psów. Cecelia wyjaśniła zwięźle i jasno, tak jak zrobiłaby to sama Heris: odkrycie, że młodzi ludzie zniknęli, raport Michaela o tym, dokąd polecieeli, i dane z nadajnika zebrane przez *Sweet Delight*, wskazujące, że

znaleźli się na wyspie koło Bandon. Potem wspomniała o nieproszonych gościach, którzy zdaniem Heris mogli tutaj nielegalnie polować. Lord Thornbuckle spojrzął na kapitan.

– Zna pani tę osobę? – Heris nigdy jeszcze nie słyszała, żeby ktoś w taki sposób wymawiał słowo „osoba”. Prawie jak seniorzy w Akademii zwracający się do kadetów.

– Tak, znam – potwierdziła. – Przez niego odeszłam z wojska. Ma złą reputację – ale w tej chwili istotne jest tylko to, że znalazł się tutaj bez pańskiego zaproszenia.

– Tak, rozumiem. Chwileczkę. – Wszedł, zostawiając Heris i Cecelię same. Po chwili wrócił. – Powiedziałem Clemowi, żeby przejął dzisiejsze polowanie. Nie ma sensu, żeby czekali. Buttons wyjechał już z grupą niebieskich. Każę go sprowadzić z powrotem – zaczął coś wystukiwać na osobistym komunikatorze. Heris widziała go dotąd tylko na polowaniu i podczas kolacji. Zawsze wydawał jej się przyjazny, ale nieszczególnie stanowczy, poza sytuacjami, gdy jakiś dureń podjechał zbyt blisko psów. Przydomek Bunny dobrze do niego pasował, biorąc pod uwagę jego lekko głupawą minę. Teraz jednak zobaczyła kogoś przywykłego do wydawania poleceń w sytuacjach kryzysowych, kogoś, kogo tytuł ma znacznie więcej sensu niż przezwisko.

– Sir, jeszcze jedno... – przerwała mu. Uniósł brew, ale kiwnął głową, by mówiła dalej. – W tym domu musi być ktoś, kto z nimi współpracuje. Ktoś, kto ich ostrzeże, jeśli poleci pan w tamtą stronę.

Kiwnął głową.

– I nie może to być Michaels, bo wiedział o Bubbles, a ci, którzy tam są, nie wiedzieli.

– Miejmy nadzieję. – Lady Cecelia patrzyła ponuro. – Nie kontaktowali się z domem, a ich śmigacz nie wylądował na zwykłym lądowisku.

– Która wyspa? – zapytał lord Thornbuckle. – Czy pani statek zdołał to ustalić? – Wywołał mapę, która wyświetliła się zielonymi liniami na ścianie sali.

– Ta – wskazała Heris.

– Ulubiona wyspa Bubbles – zauważył. – Dzieci obozowały tam wielokrotnie, córka zna każdy jej metr. Zastanawiam się, czy po prostu nie chcieli tam się ukryć.

– Gdyby nie ten nielegalny prom i fakt, że na Bandon jest Lepescu... – zaczęła Cecelia.

– Mamy nadzieję, że na Bandon, a nie na tej wyspie – wtrąciła się Heris, znów wskazując mapę.

– Tak. Musimy przyjąć, że tam jest i nie planuje niczego miłego. Była pani wcześniej oficerem Zawodowej Służby Kosmicznej, kapitan Serrano?

– Tak jest, sir.

– Proszę więc podzielić się ze mną profesjonalną oceną. Z czym mamy tu do czynienia i jakie są pani zalecenia?

Heris poczuła się jak młodszy oficer na odprawie u admirała.

– W tej chwili brakuje nam istotnych informacji – zaczęła. – Wiemy, a raczej mamy powody podejrzewać, że na Bandon znajduje się admirał Lepescu. Prom, który przywiózł go na planetę, mógł pomieścić do pięćdziesięciu osób, ale ponieważ przyleciał z czarterowego jachtu, możemy przyjąć, że nie było ich tylu. Jeśli skonfigurowano go pod kątem wygody pasażerów, prawdopodobnie mieści około dziesięciu ludzi. Nie wiemy, ile przelotów promu na wyspę i z powrotem wykonano, ani nie znamy liczby przywiezionych ludzi. Jednak można założyć, że raczej nie chodzi o sprowadzenie sił inwazyjnych.

– Czemu, pani kapitan?

– Zarówno z przyczyn praktycznych, jak i w związku z charakterem admirała Lepescu, sir. Inwazja

na zamieszkaną planetę jest trudna, a w tym wypadku wymagałaby współudziału zbyt wielu pańskich pracowników. Ma pan na orbicie cztery stacje, dodatkowe satelity komunikacyjne i nawigacyjne oraz rozproszoną na całej planecie zaawansowaną technologicznie populację. Najeźdźca musiałby przejąć kontrolę nad komunikacją i nie dopuścić do rozesłania alarmu. Pańska milicja musiałaby zostać przekupiona lub pokonana w bitwie, a z tego, co o niej słyszałam, są lojalni i twardzi, a także doskonale wyposażeni. W tej chwili ma pan tutaj tysiące oficjalnych gości oraz ich załogi i służbę – dzięki temu łatwiej jest potajemnie dostać się na planetę, ale za to trudniej poradzić sobie z tymi wszystkimi... – Zaczęła szukać jakiegoś słowa, które nie obrażałoby uszu lorda.

– Trudnymi osobami? – podsunął z uśmiechem lord Thornbuckle.

– Tak jest, sir. Poza względami praktycznymi chodzi o charakter Lepescu. On jest człowiekiem, który woli innego rodzaju działania.

– Hmm. Mówiła pani, że przez niego odeszła z wojska?

– Tak, zmusił mnie do tego. – Kiedy wyraz twarzy lorda Thornbuckle nie uległ zmianie, Heris zdała sobie sprawę, że będzie musiała powiedzieć coś więcej. W jej głosie pojawił się gniew.

– Sir, on traktuje wojnę jak sport. Jego zdaniem stawianie żołnierzy w ekstremalnych sytuacjach jest czymś w rodzaju zawodów; żeby ująć to jego słowami: „zobaczmy, na co ich stać”. Do niedawna mógł to robić, narażając wyłącznie załogę własnego okrętu, ale dwa lata tętenu został awansowany na admirała i dostał dowodzenie grupą uderzeniową. Niewątpliwie słyszał pan o akcji na Cavinatto. Rozkazał, by mój statek i pozostające pod moimi rozkazami siły lądowe wykonały frontalny atak na silnie broniony kompleks księżycowy. Obronę można było przełamać w inny sposób – właściwie na kilka innych sposobów, które wraz z pozostałymi kapitanami zaprezentowaliśmy jako alternatywę. Ale on nalegał, by to zrobić w taki sposób, który najprawdopodobniej okazałby się nieskuteczny – nawet zdaniem komputerów bojowych – i niewątpliwie pochłonąłby mnóstwo ofiar.

– Czy to legalne? – zapytał lord Thornbuckle.

– Absolutnie tak. Umiejętność podejmowania przez admirała prawidłowych decyzji jest oceniana później, na podstawie wyników. Nie musi przyjmować rad od nikogo poza własnym zwierzchnikiem, a nasza grupa operowała z dala od kogoś wyższego stopniem. Lepescu pracował na to latami.

– Rozmyślnie naraził całą operację na klęskę?

– Nie. Choć ja wydałabym inne rozkazy, jego polecenia nie były pozbawione sensu. Nasza akcja dywersyjna była bardzo ważna, ale nie musiała być samobójcza.

– Czy ten admirał miał wcześniej do pani jakiś uraz? Wydaje się, że musiało tak być.

– Nie jestem pewna. – Właściwie wiedziała, ale nie mogłaby skazać nawet Lepescu wyłącznie na podstawie osobistych przekonań. – Rzecz jednak w tym, że ostatecznie złamałam jego rozkazy. Mój statek i siły naziemne zaatakowały kompleks księżycowy i przejęły nad nim kontrolę, ale zrobiłam to na swój sposób. – Widząc zmianę wyrazu jego twarzy, Heris ponuro kiwnęła głową. – Tak jest: świadomie odmówiłam w czasie bitwy wykonania rozkazu przełożonego. To się kwalifikuje do postawienia przed sądem wojennym, i prawdę mówiąc, tego się spodziewałam. Wiedziałam, jak poważny to jest zarzut, w końcu moja rodzina służy w wojsku od pokoleń. Sądziłam, że mam dowody, które ocalą przynajmniej moją załogę, i wydawało mi się to lepsze od śmierci kilku tysięcy ludzi tylko dlatego, że admirał Lepescu lubi „dobrą walkę”. Była nawet szansa, że sąd stanie po mojej stronie – mała, ale była.

– I co wtedy?

– Wtedy zaoferowano mi możliwość zrezygnowania ze służby wojskowej w zamian za

nietykalność dla moich oficerów i załogi albo sąd wojenny dla wszystkich. Dane skanu zniknęły, w czasie walki zdarzają się takie wypadki. Miałam starszych oficerów, których kariery skończyłyby się na zawsze po sądzie wojennym, nawet gdyby wygrali. Takie piętno pozostaje na zawsze. Wiedziałam też że niektórzy członkowie załogi sami wydaliby na siebie wyrok przed sądem. Zawsze zdarzają się ludzie, którzy nie potrafią milczeć, nawet dla własnego dobra. Więc zrezygnowałam ze Służby.

– Nie powiedziałaś mi – wtrącił Cecelia – czego od ciebie zażądał.

– Nie uznałam tego za istotne – stwierdziła Heris. W jej głowie kotłowała się cała reszta – co Lepescu powiedział do niej i o niej. Tchórz. Głupia suka. Typowa kobieta, nadaje się tylko do rozkładania nóg. I jeszcze więcej, ale tego nigdy nikomu nie powtórzysz. Kto by to zrozumiał?

– A więc na podstawie pani słów – rzekł lord Thornbuckle – można sądzić, że admirał Lepescu raczej narazi kogoś innego na niebezpieczną sytuację, niż zaryzykuje własne życie?

Heris postanowiła być uczciwa.

– Nie jest tchórzem, sir. Kiedy dowodził własnym statkiem, zdobył uznanie za odwagę. Ale równocześnie ma ambicje polityczne i towarzyskie. Z przyjemnością będzie polował tuż pod pańskim nosem, ale nie zaryzykuje otwartego ataku na tak potężnego przeciwnika.

– A co z wzięciem zakładników?

– To jest możliwe. Zwłaszcza gdyby znalazł się w pułapce.

– Myśli pani, że to on kieruje tym, co się tam dzieje?

– Nie wiem. Ma przyjaciół, którzy polują... – Szybko opowiedziała o klubie, o którym słyszała mnóstwo plotek.

– I co by pani zalecała?

– Proponuję udać się tam z takimi siłami, by opór nie miał sensu – ale pojawia się problem zmowy. Jeśli dowiedzą się, że pan tam leci, mogą wystartować promem i uciec.

– Nie, jeśli ich załoga jest w domu gościnnym – zauważył lord Thornbuckle. – To akurat łatwo będzie – sprawdzić, wszystko jest w rutynowych raportach. – Przez cały ten czas wystukiwał rozkazy na swoim komunikatorze. – Jest tu królewski minister – Pathin Divisti – ale nie chciałbym angażować w to Korony, jeśli tylko da się tego uniknąć. Poza tym przyleciał na polowanie, nie ma tutaj żadnego personelu.

Heris miała nadzieję, że jej twarz nie zdradziła jej myśli. Uważała ministrów Korony za szczególne przypadki biurokratycznej niekompetencji, których zmagania o władzę skutkowały nieoczekiwanymi zmianami w budżecie Służb.

Cicho zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Służący, którego Heris prawie nie zauważyła, otworzył, wpuszczając w pełni uzbrojony oddział milicji. Lord Thornbuckle uśmiechnął się do niej.

– Kapitan Serrano, proszę zapoznać kapitana Siginda z sytuacją, podczas gdy ja będę ściągał dodatkowe informacje.

Heris wyszła na zewnątrz. Myśliwi odjechali już jakiś czas temu i tylko z oddali dobiegały ciche odgłosy szczekania psów. Kapitan Sigind był szczupłym, surowym, o dekadę młodszym od niej mężczyzną, którego wyraz twarzy nie uległ najmniejszej zmianie, gdy dowiedział się, że odprawę ma przeprowadzić kobieta w stroju myśliwskim. Heris zapoznała go z sytuacją. Na koniec mężczyzna kiwnął głową.

– Oczywiście znam Bandon i niektóre większe wyspy w okolicy. Nie odwiedzałem tego miejsca od kilku lat, ale tak to wygląda. – Wyciągnął mapnik i zaczął przerzucać mapy. Po chwili wyświetlił

Bandon w standardowym wojskowym formacie, z liniami topograficznymi i barwnymi oznaczeniami różnych typów roślinności. – Ładowisko jest tutaj... Promy lądują bardziej w głębi lasu. Kiedy powiększali ładowisko, oczyścili też trochę miejsca wokół domu na małe śmigacze. Tam jest trawa, a nie utwardzana nawierzchnia. Dobrze byłoby wiedzieć, ile osób jest w domu i na drugiej wyspie.

– Wiem, że to pasażerowie jednego promu, ale nie wiadomo, czy skonfigurowano go dla cywilów, czy dla wojska.

– Ach. Pani jest wojskowym? – Kapitan miał czujne i bystre oczy.

– Eks. Zawodowa Służba Kosmiczna.

– Jakieś doświadczenie w walce naziemnej?

– Nie, nie osobiście. To...

– Powód, dla którego nie rzuciła się pani w to jak ostatni dureń. Słusznie. – Kiwnął energicznie głową. – Ale rozumie pani nasz problem...

– Oczywiście. Musi pan wiedzieć, ilu ich jest, jakie mają uzbrojenie i kto z pracowników lorda Thornbuckle'a jest po ich stronie.

– Niewątpliwie zarządca terenów zewnętrznych – stwierdził. – Jestem tego pewien, bo to on odpowiada za kontrolę tych placówek. Musieli mieć jego kody, żeby aktywować nadajnik Bandon do wylądowania promu.

– I ktoś na stacji – zauważyła Heris. – Tej, z której wystartował prom z jachtu czarterowego, bo z tego, co wiem, nie wolno tutaj używać prywatnych promów.

– Racja. Ale wracając do Lepescu – mówi pani, że jest członkiem jakiegoś klubu myśliwskiego? Większość myśliwych stosuje ograniczenia dotyczące broni, jakiej używają. Czy pani może wie coś na ten temat?

– Nie wiem – przyznała Heris. Otworzyły się drzwi i pojawił się lord Thornbuckle. Koścista twarz, którą dotąd uważała za pogodną, teraz daleka była od łagodności.

– Pełne rejestry lotów promów z ostatnich trzydziestu dni – warknął. – Z tej stacji, przy której dokuje czarterowany jacht, wyleciało dwukrotnie więcej niż zwykle promów. Większość rzekomo zabierała zaopatrzenie dla domku na Bandon. Niezbyt często zaopatrujemy Bandon promami, a już zdecydowanie nie promami spoza planety. I na pewno nie o tej porze roku. Jeden z satelitów komunikacyjnych zarejestrował tę samą rozmowę, którą wyłapała pani oficer, kapitan Serrano, a także to... – Podał jej paski wydruków, na które tylko rzuciła okiem. Nie potrafiła aż tak szybko czytać, a on nie przestawał mówić.

– Zwolniłem tamtejszego zarządcę stacji i zastąpiłem go starym Hauganem – wiem, że on przynajmniej jest lojalny. Zawiesiłem wszelkie loty promów i komunikację, tłumacząc to problemami z zasilaniem na stacji. Jeśli dobrze zrozumiałem, jest tam mniej niż dwadzieścia osób, które przyleciały takimi samymi promami jak ten, którym przybył Lepescu. Wszystkie oprócz jednego wróciły na stację. Miała pani rację, kapitan Serrano, skonfigurowano je dla celów cywilnych i mogą zabrać do dziesięciu pasażerów – a brały ich mniej.

Tu są ostatnie zdjęcia satelitarne Bandon i przyległych wysp – trochę przeszkadzają chmury, chyba wczoraj przeszła tam burza.

Heris pochyliła się nad nimi razem z kapitanem milicji. Trzy ujęcia Bandon w odstępach pięciominutowych i po dwa każdej z przyległych wysp. Najpierw obejrzelili Bandon. Na końcu pasa startowego stał prom orbitalny, w pobliżu nie widać było żadnych innych pojazdów. Na dwóch

zdjęciach na płycie postojowej stały zaparkowane trzy śmigacze, a na ostatnim tylko dwa. Droga między domem a lądowiskiem poruszała się mała kropka, którą kapitan zidentyfikował jako elektryczny samochód. Porównując zdjęcia, stwierdzili, że wyjechał z domu w stronę lądowiska, a potem jeden ze śmigaczy wystartował.

Na wyspach od wschodu, zachodu i południa – w sumie czterech – kapitan nie zauważył nic ciekawego, choć nad wyspą od wschodu wisały, częściowo ją przesłaniając, niskie chmury. Ale na wyspie od północy – gdzie obozowały dzieci, wtrącił lord Thornbuckle – zobaczyli to, czego szukali.

Na wschodniej plaży stał śmigacz z otwartym włazem. Drugi śmigacz był zaparkowany na południowym końcu wyspy, a kolejny był kilkaset metrów od plaży, jakby leciał. Nie widzieli niczego na środku wyspy, widok przesłaniały chmury.

– Oczywiście mamy dalsze zdjęcia – wtrącił gospodarz. – Możemy też zrobić zdjęcia radarowe oraz w podczerwieni. Ale wydaje mi się, że to powinno wystarczyć.

– Zgadza się, sir. – Kapitan milicji zamknął na chwilę oczy. – Będziemy potrzebowali całej milicji z gospodarstwa i tych z Przewężenia. Sprzętu do działań nocnych i dziennych, pełnych pancerzy i broni do tłumienia zamieszek... – Urwał, słysząc zbliżający się stukot końskich kopyt na bruku. To Buttons jechał na złamanie karku na spienionym koniu. Służba podbiegła, by przejąć wierzchowca, a on zeskoczył na ziemię i wbiegł po schodach na portyk.

– Co się stało? Bubbles nic nie jest?

Ojciec spojrzał na niego ostro.

– Co wiesz o Bubbles?

– Wzięła śmigacz i poleciała z pozostałymi do Whitewings na kilka dni. Prosiła, żebym ją krył. Co się stało?

– Nie wiemy. Ich śmigacz wylądował na tej małej wyspie na północ od Bandon, na której obozowaliście w dzieciństwie. Nie byliśmy w stanie skontaktować się z nią, a pani kapitan Serrano ma powody podejrzewać, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Co mam robić?

– Będiesz moim przedstawicielem w grupie ratunkowej. Spodziewamy się napotkać opór...

– Opór?

– Kapitan Sigind wszystko ci wyjaśni. Będziesz potrzebował osobistego wyposażenia.

– Start za trzydzieści minut, sir – wtrącił kapitan milicji.

– Dobrze. – Buttons ruszył do budynku; tak samo jak ojciec, w niczym nie przypominał teraz niezbyt mądrego młodzieńca, którego Heris знаła. Kapitan Sigind przyjrzał się jej w zamyśleniu.

– Chce pani polecieć?

– Oczywiście, że lecimy... – zaczęła lady Cecelia, ale kapitan nie odrywał spojrzenia od twarzy Heris. Wzruszyła ramionami.

– To pańska operacja, a ja nie znam terenu, całej sytuacji ani pańskich ludzi. Jeśli znajdzie pan jakiś kąt, gdzie nie będziemy przeszkadzać, polecę – ale nie zamierzam się wtrącać.

– Heris! – Lady Cecelia dźgnęła ją w plecy kościstym palcem. – Mamy broń!

– Mamy broń, milady – zgodziła się – ale pani brak przeszkolenia, a ja od lat nie brałam udziału w działaniach na powierzchni planety. Jesteśmy tam zbędne i możemy nawet przeszkadzać. Kapitan Sigind sam musi zdecydować.

Szacunek przeważał nad wcześniejszym niezdecydowaniem.

– Dziękuję, kapitan Serrano – odparł kapitan. – Cieszę się, że pani to rozumie. Jeśli zgodzi się pani wraz z lady wypełniać nasze rozkazy, jestem pewien, że znajdzie się dla pań miejsce.

– Mamy prawie załadowany śmigacz towarowy – wyjaśniła Heris. – Włącznie z osobistymi pancierzami dla mnie i lady Cecelii oraz przyzwoitą bronią.

– Dobrze. W takim razie mogę wysłać z paniami oddział – powiększoną grupę medyczną. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę się oddalić. Zostało tylko dwadzieścia pięć minut.

Heris ruszyła w stronę hangarów śmigaczy, prowadząc za sobą Cecelię. Musiały jeszcze przebrać się w ubrania, które przygotowała dla nich Cecelia, w przeciwnym razie będą wyglądać w strojach myśliwskich jak idiotki. Chociaż właściwie, pomyślała, po tym fioletowym mundurze nie powinno mnie to ruszać. Wiedziała, że to nie z powodu stroju czuje się źle. Po prostu zawsze miała swoje miejsce i obowiązki. Teraz jej obowiązkiem było trzymać się na uboczu, nie pakować w kłopoty i chronić przed nimi Cecelię. Nie czuła się z tym dobrze.

* * *

– Żałuję, że nie mogłam wziąć konia – mruknęła Cecelia.

Heris obejrzała się na nią. Cecelia nie była przyzwyczajona do tego, że ktoś ją pogania. Pośpiech i krzątanie oraz potrzeba przebrania się w ciasnej łazience w hangarze śmigaczy odarły ją z opanowania i zareagowała wyrzuceniem z siebie potoku narzekań. Osobisty pancierz, który Heris kazała jej założyć, sprawiał, że wyglądała nedorzecznie.

Heris nie zgadzała się z nią – nic nie wygląda tak nedorzecznie, jak dziury w ciele. Jej własny pancierz sprawiał dziwne wrażenie, był trochę inny niż egzemplarze wojskowe, ale miała nadzieję, że będzie równie skuteczny. Jeszcze większą nadzieję miała na to, że nie będzie potrzebny. W komorze towarowej śmigacza zaopatrzeniowego zebrano jedzenie, broń, narzędzia, amunicję, ubrania, sprzęt medyczny i plastikowe zbiorniki z wodą. Towarzyszyło im czworo medyków, z czego dwóch z milicji. Na pokładzie nie zmieściłoby się nawet siodło, nie mówiąc już o koniu.

– Konie? Na tę wyspę? I na co by się przydały?

– Zawsze mówiłam, że wojna nie byłaby taka zła, gdyby można było na nią pojechać na koniu. – Cecelia wzruszyła ramionami. – Chociaż nie wiem, czy potrafiłabym jeździć w czymś takim.

– Zginęłabyś po pierwszym kroku – zauważyła Heris. Czuła, jak napinają się jej mięśnie. Zawsze tak się działo, gdy zaczynała się akcja, i nie potrafiła nic z tym zrobić. Śmigacz zaopatrzeniowy, który nie wymagał pilota, trzymał się spory kawałek w tyle za pojazdami przewożącymi milicję. Medycy rozmawiali cicho między sobą, zerkając na Heris, jakby sprawdzali stopień jej napięcia. Zmusiła się do otwarcia zaciśniętych dłoni i położenia ich luźno na kolanach jakby wcale się nie denerwowała.

– To jest wyspa pokryta lasem – zauważyła Cecelia. – Konie poruszają się szybciej niż ludzie.

– Ale są doskonałym celem. – Heris nie miała ochoty rozmawiać. Nigdy nie lubiła rozmawiać przed akcją. Wolałaby chodzić po kabinie, sprawdzać plany i oglądać twarze nie należące do jej ludzi, które patrzyły na nią tak samo jak jej podwładni.

– Denerwujesz się – zauważyła cicho Cecelia.

– Nie denerwuję się. – Zaprzeczyła ostrzej, niż zamierzała. Przyjaciółka nie odpowiedziała, ale kiwnęła głową jakby na potwierdzenie swojej opinii. Heris wzruszyła ramionami. – Nie denerwuję

się. Po prostu czuję niepokój. To wszystko nie dzieje się tak, jak przywykłam.

– A jak było, gdy dowodziłaś?

Czuła, że Cecelia próbuje odwrócić jej uwagę, i nie miała nic przeciwko temu. To mogło im obu pomóc.

– Martwiłam się – zawsze się martwimy – o plan. Czy jest wystarczająco dobry, czy czegoś nie pominęłam, czy ludzie nie zginą z powodu mojej głupoty. To samo dotyczy przygotowań – czy dobrze ich wyszkoliłam? Czy nie popełnią jakichś głupich błędów, bo byłam zbyt pobłażliwa? To jest taki trudny moment między decyzją a samą walką. Z tego, co mi mówiłaś, wynika, że na swój sposób ty też to czułaś, startując w zawodach. Gdy jesteś już na trasie, gdy koń galopuje, przestajesz się martwić. Od tej pory po prostu radzisz sobie z kolejnymi przeszkodami.

Cecelia pokiwała wolno głową.

– Nie myślałam o tym w ten sposób – ale właśnie tak było. Każda przeszkoda po kolei, ale zawsze pamiętając o wszystkich następnych.

– O tak. – Heris przez chwilę siedziała nieruchomo. – Nie przerywasz jazdy, dopóki trwają zawody – ostatnia przeszkoda lub ostatni przeciwnik może cię zabić, jeśli nie będziesz uważać aż do samego końca. Natomiast tutaj... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

– Zdziwiłam się, że tak łatwo ustąpiłaś. Bunny pozwoliłby ci – Heris potrząsnęła energicznie głową.

– To nie są moi ludzie, nie znają mnie, a ja nie znam lokalnej sytuacji. Osoba, która nie zna ludzi albo terenu, może doprowadzić do czyjejś śmierci. Jestem wystarczająco dorosła, by pozwolić komuś innemu wykonać pracę, do której został wyszkolony, a sama gryźć paznokcie do czasu, aż będzie po wszystkim.

– Hmm. – Cecelia wyjrzała na zewnątrz. – W tym względzie żołnierze różnią się od jeźdźców. Ja przejęłabym cudzego wierzchowca, gdyby jego jeździec został ranny. Jeśli się jest wystarczająco dobrym...

– To co innego. Ale nie ściągasz jakiegoś nowicjusza z konia tylko dlatego, że twoim zdaniem pojedziesz lepiej. – Cecelia zaczerwieniła się. Heris otworzyła szerzej oczy. – Zrobiłaś to?

– Nie myślałam o tym w ten sposób, ale... – Poruszyła się na fotelu i odwróciła wzrok. – Pieniądze i wpływy to inny sposób ściągnięcia kogoś z konia – zwłaszcza jeśli trener jest przekonany, że Ivan nigdy nie zrobiłby z tym koniem tego samego co ja, a Konkurs Wszechzwiązkowy jest za sześć miesięcy.

Heris zorientowała się, że wyraz jej twarzy zdradził jej myśli, zanim zdążyła się opanować. Cecelia, wciąż czerwona, próbowała się tłumaczyć.

– Nie należało tego robić – i nawet czułam się trochę winna. Dopiero dużo później zdałam sobie sprawę, jak bardzo najlepszym jeźdźcom – nawet mnie – zależy na tym, aby mieć wyjątkowego wierzchowca. Myślałam, że Ivan nie może się utrzymać w wyższej lidze z powodu braku umiejętności. To usprawiedliwiało decyzję trenera i... moje zachowanie.

– Czy to był twój najlepszy koń?

– Nie. Myślałam, że może zastąpić mojego najlepszego konia. To był duży srokacz z Luminaire, którego Ivan znalazł na jakiejś farmie i dosłownie wykupił z uprzęży. Potem przeszedł z nim całe początkowe szkolenie, ale myślałam – wszyscy myśleliśmy – że koń jest tak uzdolniony, że można by z niego zrobić konia konkursowego. Sądziliśmy, że potrzeba mu tylko lepszego jeźdźcy. Później,

kiedy już go dostałam, w czasie drogi na zawody uderzył kopytem w ściankę boksu i rozwalił sobie nogę. Nigdy już dobrze nie skakał. Miałam potem innego wierzchowca. Pewnie uznasz, że los odpłacił mi tym, że koń zrzucił mnie głową do wody – razem z kamerą na kasku.

Heris z trudem powstrzymała się od śmiechu.

– Tej kostki nigdy nie wydali, co?

– Ależ skąd, wydali. Możesz obejrzeć moje nurkowanie razem z różnymi innymi nieudanymi akcjami, a na dodatek zaprogramować symulator na ten sam skok i sprawdzić, czy zdołałabyś utrzymać się w siodle. Czasem mi się to udaje. – Westchnęła. – To był głupi błąd – i szczerze mówiąc, nigdy go sobie nie wybaczyłam. Ale jednak nie potrafiłam wrócić i przeprosić Ivana... a parę lat później zginął w wypadku drogowym, który nie miał żadnego związku z końmi.

Heris zauważyła, że lecące przed nimi transportery zaczynają się rozpraszać. Wiedziała – byli na tyle uprzejmi, by jej to powiedzieć – że zamierzają wylądować dwoma transporterami na Bandon, by zabezpieczyć teren, i dwoma na wyspie z rozbitym śmigaczem. Śmigacz towarowy miał wylądować na Bandon zaraz za pozostałymi. Dostrzegła w oddali kreski wysp, zniekształcone nieco krzywizną przedniej osłony, ale nie potrafiła ich zidentyfikować. Cecelia szturchnęła ją w bok i coś wskazała. Na jednej z wysp promienie słońca odbijały się od czegoś dużego i błyszczącego.

– Prom na lądowisku – wyjaśnił jeden z medyków. Ich dowódca powiedział coś do mikrofonu, po czym obrócił się do Heris.

– Prom nie jest przygotowany do startu, na pasie nie ma niczego z aktywnymi silnikami. Kapitan ma dane satelitarne i sądzi, że na samej Bandon jest koło tuzina ludzi albo jeszcze mniej.

– Dzięki. – Heris tylko tyle zdołała powiedzieć, zanim ścisnęło ją w gardle. Nie chciała siedzieć tutaj z Cecelią, chciała być tam, w akcji. Pojazd zwolnił. Medycy przeszli do tyłu, aby kolejny raz sprawdzić swój sprzęt, ich dowódca został z przodu. Wyłaniające się z morza wyspy porastał las; prześwitujące między drzewami zbocza kontrastowały z błyszczącymi plażami i błękitnym oceanem.

Rozdział 16

- Mamy szczęście – wyszeptała Raffa. Nawet tak cichy głos odbił się echem od skał i wody w jaskini. Bubbles tymczasem walczyła z przerażeniem ogarniającym ją pod wpływem ciemności.
- Raffa znalazła staromodną latarnię ze świeczką i leżącą obok zapalniczkę. Świeca dość słabo rozświetlała przestrzeń wokół nich, a jednak poczuły się o wiele lepiej. Taki mały płomyk w kolorze popołudniowego słońca... Bubbles próbowała oddychać powoli i spokojnie, i po chwili poczuła, jak jej ciało zaczyna się odprężać. Udało im się ukryć, miały światło... i przede wszystkim żyły.
- Myślisz, że to bezpieczne? – zapytała.
- W dzień tak – nie zobaczą tak słabego płomyka po wejściu prosto z dziennego światła. A w nocy musieliby wsadzić głowy przez tę zasłonę z pnączy i może wtedy zobaczyliby odbicie na wodzie. – Raffa odstawiła latarnię z powrotem na kamienną półkę, gdzie ją znalazła. Bubbles zauważyła, że były tam i inne ślady bytności Kella: jego inicjały wydrapane w skale nad półką, rząd muszli i barwnych kamieni, kłęb drutu, zwinięta żyłka z haczykami oraz stosik drewnienek, wszystkie z namalowanymi na białą numerami i przywiązany kawałkami sznurka z ołowianymi obciążnikami.
- Ciekawe, do czego to służy – powiedziała. – Wyglądają jak sławiki do łowienia ryb, ale po co aż tyle? I czemu są ponumerowane? – Tymczasem Raffa badała dalej jaskinię.
- Zobacz, śpiwór czy coś takiego, w każdym razie miękki. Moje bolące kości na pewno to docenią.
- Chciałabym wiedzieć, czy woda jest bezpieczna – mruknęła Bubbles. – Wciąż mamy trochę, ale...
- Możemy poszukać martwych ryb. – Raffa wzięła latarnię ze świecą i zaniósła ją na brzeg jeziora. Woda była krystalicznie czysta. Pod powierzchnią przemknęło coś niemal bezbarwnego. – Ryba – oświadczyła z przekonaniem. – W jaskiniach u mojej ciotki też są takie ryby. Są bezbarwne i uciekają przed światłem.
- Czyli woda nie jest zatruta, chyba że te ryby nie są wrażliwe na tę samą truciznę.
- Raffa roześmiała się cicho.
- A więc jednak czasem uważasz na lekcjach. Maris twierdziła, że musiała ci wbijać do głowy wszystkie odpowiedzi na egzaminy.
- Bubbles prychnęła.
- Maris nie potrafiłaby powiedzieć prawdy nawet wtedy, gdyby Imperium przesłuchiwało ją z użyciem serum. Nie mam nic przeciwko uczeniu się, ale wiesz, jak to jest...
- Raffa kiwnęła głową.
- Nigdy nie zdradzajcie, jak bardzo jesteście bystre, moje drogie, bo ktoś będzie wam zazdrościł. A z drugiej strony mamy pokazywać, jak bogate i ważne są nasze rodziny, jakby tego nikt nam nie zazdrościł. – W słabym świetle latarni Bubbles nie widziała wyrazu twarzy przyjaciółki. – Mogłabym cię o coś zapytać?
- Skoro ukrywamy się w jaskini przed ludźmi, którzy chcą nas zabić, nie sądzę, żeby twoje pytania mogły być bardziej niebezpieczne. – Mimo wszystko Bubbles poczuła lekki niepokój. Chyba Raffa nie spyta o niesławne przyjęcie urodzinowe Cecelii? Już nie chciała przed śmiercią żadnych kłamstw.
- Czemu pozwalasz nazywać siebie Bubbles? – Pytanie było tak nieoczekiwane, że roześmiała się

na głos. Odpowiedziało jej echo. Natychmiast stłumiła śmiech.

– To... długa historia, choć pewnie w sam raz na to miejsce. – Raffa wydobyła z siebie mruknięcie, które mogło znaczyć cokolwiek. – Nadeszła moda na północnoeuropejskie imiona ze Starej Ziemi w rodzaju Cicely, Marilys i Ginewra. Twoje imię, Raffaele jest naprawdę ładne, ale niektóre z nich...

– Mam kuzynkę Boetheę Evangelinę – rzuciła Raffa. – I brata Archibalda Ferdinanda.

– Właśnie. Cóż, matka uległa modzie po tym, jak dość rozsądnie wybrała imiona Gari i Tighe. Buttonsowi przypadło Bertram Harold Scaevola. Myślę, że popełnili błąd, bo Scaevola nie wygląda na brytyjskie imię, ale mama mówiła, że to ważna postać z historii, potem ja się urodziłam. Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

– Komu? Myśliwym? Nie bądź śmieszna.

– No dobrze. Nazywam się Brunhilda Charlotta. Raffie nie do końca udało się stłumić parsknięcie. – Co?

Bubbles poczuła, że się czerwieni.

– Brunhilda Charlotta. Nie musisz się ze mnie nabijać. W każdym razie Buttons jest tylko dwa lata starszy i kiedy mu powiedzieli, że ma siostrę Brunhildę, potrafił powiedzieć tylko „Bulbul”. Matka uznała, że to urocze. Spodobał jej się pomysł nazwania dziewczynki imieniem Bubbles. Potem wyrosłam i w rodzinie zaczęto mnie nazywać „szampańską Bubbles”. Wszyscy uważali, że to urocze... a ja byłam tylko dzieckiem, Raffa, i nie miałam na to wpływu.

– Zaczęłaś więc zachowywać się zgodnie z tym imieniem, co? Tak jak mówiła nam dr Fisher-Wong na zajęciach z psychologii.

To zbyt blisko ocierało się o prawdę.

– Niektóre dzieci są w naturalny sposób radosne i... i...

– Wiem. Wcale nie jesteś taką cizią, na jaką czasami wyglądasz. – Raffa złagodziła te słowa uśmiechem. – A podczas tej wyprawy nie trzęsałaś się jak galareta.

– Cóż... Szczerze mówiąc, sama zaczynam powoli mieć dość Bubbles. Ale zastanów się nad alternatywą. Brunhilda? Co to za imię?

– Skrócona forma Brun nie jest zła. Ciekawe, co to znaczy.

– Z tego, co wiem, Brunhilda to staroziemski odpowiednik sianogłowej. Ale w miarę jak coraz więcej ludzi zaczyna naśmiewać się z Bubbles, to imię brzmi coraz lepiej. Powinnam była je zmienić już lata temu, ale mój kuzyn Kell – ten, który odkrył tę jaskinię – był z rodzaju tych robiących paskudne dowcipy. Tak bardzo dokuczał mi z powodu Bubbles, że udawałam, że je lubię, byleby tylko nie miał satysfakcji.

– Mogłabyś też używać imienia Charlotta. Chara też nie jest zła. Albo Brun.

Bubbles wzruszyła ramionami.

– Ta decyzja nie będzie miała znaczenia, jeśli nie uda nam się przeżyć, a warunkiem przetrwania jest woda, więc myślę, że następnym krokiem powinno być jej sprawdzenie.

– Oczywiście za pomocą twojego przenośnego zestawu chemicznego – zauważyła Raffa.

– Przenośnego zestawu chemicznego Kelly’ego. Tego na półce, której jeszcze nie zauważyłaś. – Ale małe buteleczki i próbówki okazały się niemal puste, zawierały tylko po kilka kryształków nieokreślonych chemikaliów. – Cóż, pozostaje nam intelekt – oświadczyła w końcu Bubbles. – Musimy to przemyśleć. Ryby jaskiniowe żyją.

– W tej chwili.

– Tak. I to wszystko, na czym możemy się oprzeć. Pływają normalnie, nie łykają powietrza i nie unoszą się na powierzchni wody. A to oznacza...

– Słuchaj, cokolwiek to było, musi działać dość szybko – najwyżej w ciągu dnia – bo Petris mówił, że nigdy nie mają problemów z wodą. A więc jeśli jedna z nas się napije... i nic się nie stanie w ciągu doby... to woda jest bezpieczna.

– Ja się napiję. To moja wyspa. – Bubbles nabrała w dłonie wody i szybko ją wypła. Smakowała wyłącznie jak woda. – Nie wypiję dużo – dodała – tak na wszelki wypadek. Jeśli nie ma zbyt wiele trucizny, może tylko mnie uspi.

– Albo sprawi, że zwymiotujesz. Jesteś odważną dziewczyną i nie powinnaś już być obciążona imieniem Bubbles. Wybierz sobie: Brun albo Chara.

Bubbles przysiadła na piętach.

– Przyzwyczaiłam się do B. Spróbujmy Brun. Jeśli jutro nie będzie mi się podobać, nikt nie musi o tym wiedzieć. – A jeśli umrze od trucizny, nikt się nie dowie. Szybko odsunęła od siebie tę myśl.

– Dobra, Brun. No więc jak możemy najbardziej zaszkodzić myśliwym?

* * *

Ronnie nie potrafił stwierdzić, czy łomot w jego głowie jest skutkiem wstrząsu mózgu, czy podniecenia. Regularne, niezbyt równe kroki zbliżały się; słyszał, jak George próbuje ciszej oddychać – potem kroki skręciły w stronę małego strumyka. Usłyszał, jak potracony kamień z głośnym pluskiem wpada do wody, oraz przytłumione przekleństwo. Jeden z czerwono-żółtych płazów szczechnął cicho, prowokując odpowiedź kilku innych. Poczul na uchu gorący i wilgotny oddech George'a.

– Mówiłem ci – mruknął przyjaciel. – Powinniśmy byli zastawić pułapkę przy samym strumieniu.

Miał ochotę odpowiedzieć mu, żeby się zamknął, ale zamiast tego mocno ścisnął palcami nadgarstek George'a. Słyszeli, jak niewidoczny człowiek idzie w górę strumienia, czasami kopiąc kamyczki, a potem dało się słyszeć człapanie mokrych butów po błocie.

– Chodźmy za nim – wyszeptał mu do ucha George. – Może uda się go załatwić.

Albo damy się zabić, pomyślał Ronnie. Jeśli myśliwy ma gogle do nocnej wizji i w pełni wyposażoną strzelbę myśliwską, będą łatwymi ofiarami.

– Czekaj – odpowiedział najciszej jak potrafił. – Niedaleko jest źródło. Może wrócić i wpaść w pułapkę.

Usłyszeli kolejne chlupnięcie, tym razem trochę wyżej w górę strumienia, i odgłos przeciskania się przez krzewy.

– Powinien być ostrożniejszy – wyszeptał George.

– My też – przypomniał mu Ronnie.

George odsunął się; jego westchnięcie było głośniejsze, niż Ronnie uważał za rozsądne. Po jakimś nieokreślonym czasie usłyszeli, że kroki powracają. Ten sam myśliwy? Inny, którego trasa przecina się z drogą tamtego? Któryś z ludzi Petrisa? Ronnie nie wiedział. Włosy na karku zjeżyły mu się; miał wrażenie, że ktoś na niego patrzy, jakby był w świetle punktowego reflektora. Zamrugnął. Żadnego reflektora, nic oprócz ciemności. Człowiek, który schodził z góry, szedł po wodzie – słyszeli

grzechoczące pod jego nogami kamienie i okazjonalne chlupnięcia. Szedł dość szybko, jakby schodził po pochyłości i widział grunt pod nogami.

Minął ich kryjówkę, nie zatrzymując się i nie wracając na wcześniejszą ścieżkę. Najwyraźniej zamierzał iść korytem strumienia aż do jego ujścia.

– To głupie – wyszeptał George. – Jeśli tu zostaniemy...

Ronnie stracił panowanie nad sobą. Zakrył dłonią usta George'a, wbijając paznokcie w jego wargi.

– Chodzi o to, żeby pozostać przy życiu – przypomniał mu cicho. – Więc zamknij się. – Pozostałe godziny ciemności spędzili w lodowatym milczeniu, obaj wściekli. Czasami z oddali dobiegały ich odgłosy strzałów, ale nie słyszeli żadnych krzyków lub czegoś, co pozwoliłoby im zorientować się w sytuacji.

W pierwszym słabym świetle poranka Ronnie odniósł wrażenie, że spokojnie bulgoczący strumień naśmiewa się z ich strachu. Nawet płazy przestały wykonywać swoje zwykłe koncerty. Nie słyszał żadnych dźwięków oprócz lekkiego szmeru wiatru w liściach i szumu wody w strumieniu oraz dochodzącego z oddali poszumu fal. Od dawna nie słyhać było żadnych strzałów. Bolała go głowa, piekły oczy. Czuł się zeszywniały, brudny, obolały... ale żył. Spojrzał na George, który zasnął oparty o drzewo. Może powinienmu pozwolić jeszcze chwilę pospać? Ale właśnie kiedy o tym pomyślał, przyjaciel cicho chrapnął i obudził się, omal się przy tym nie przewracając.

– Przeżyliśmy – przywitał go Ronnie, starając się, aby to zabrzmiało radośnie. Dźwięk własnego głosu wzbudził w jego głowie bolesne echa.

– Przeżyliśmy! – George przetarł oczy. Wyglądał na zmęczonego, ale wciąż był elegancki. – Powinniśmy byli pójść za tamtym facetem. Jak dotąd nie zrobiliśmy niczego pożytecznego. – Spojrzał gniewnie na ich pułapkę. Nawet w słabym świetle poranka widać było, że liście na zerwanych przez nich gałęziach mają już inny kolor niż reszta roślinności wokół. Ronnie nie zdawał sobie sprawy, że mogą tak szybko zwiędnąć.

– To był głupi pomysł, jakiego można oczekiwać tylko po kimś w typie Petrisa.

– Powiedział tylko, żebyśmy zostali w tej okolicy i spróbowali wciągnąć kogoś w zasadzkę. Pułapkę wymyśliłeś już sam.

George posłał mu obrażone spojrzenie, ale milczał. Ronnie zaczął się zastanawiać, czy powinni teraz rozebrać pułapkę, czy może ją zostawić. Z każdą chwilą przybywało światła i coraz wyraźniej było ją widać. Pomyślał, że trzeba by bardzo głupiego myśliwego, by się na nią złapał.

George przeciągnął się.

– Musimy to posprzątać – rzucił. – Teraz już nikt się na to nie nabierze.

– Pewnie nie. – Ronnie miał ochotę położyć się i spać, najchętniej przez pełne dwa dni, a potem obudzić się w czystym i wygodnym łóżku. Nie uśmiechało mu się rozmontowywanie pułapki, szczególnie że nie pamiętał dokładnie, jak przebiegały linki. – A gdybyśmy ją zostawili? Oni ją zobaczą i będą się śmiać, a tymczasem my zrobimy drugą, której już nie dostrzegą.

– Na przykład jaką? – Było to rozsądne pytanie, na które Ronnie nie potrafił odpowiedzieć. – Może wykopie my wilczy dół i zamaskujemy go zwiędłymi liśćmi?

– Może coś w rodzaju wnyków. Wiesz, moglibyśmy zrzucić na nich jakiś głąz. – Ronnie pamiętał, że kiedyś na zajęciach widział coś takiego: pochylona gałąź, obciążona u góry, i kiedy ktoś przechodził...

– A gdzie mielibyśmy znaleźć więcej linki i głąz? – Najwyraźniej George nie widział tej samej ilustracji. Ronnie nie sądził, żeby potrzebowali linki.

– Ja... muszę usiąść – powiedział nagle. Czuł, że jego głowa i żołądek podjęły na nowo wczorajszą walkę. Przyjaciel złapał go za ramię, gdy zaczął osuwać się na ziemię.

– Paskudnie wyglądasz – zauważył. Kiedy Ronnie się położył, jego żołądek trochę się uspokoił, ale nie przestawało mu walić w głowie. Przed jego oczami pojawił się kciuk George’a. – Możesz na tym skupić wzrok? – zapytał. Mógł, ale nie miał ochoty, aby przyjaciel oceniał jego stan. George nie miał przeszkolenia sanitariusza, a co dopiero lekarza. Zamknął oczy. – Przyniosę wody – zaproponował tamten i Ronnie usłyszał jego kroki oddalające się w kierunku strumienia.

Cisza. Poza perkusją w jego głowie otaczała go miła, mroczna cisza. Żadnych brzęczących owadów, żadnych skrzeczących płazów – pamiętał, jak zaskoczyło go, że te małe, mokre ciała potrafią wydawać z siebie tak głośne dźwięki. Delikatny szum morza nie wpływał na ból głowy. Poruszył ramionami; miał nadzieję, że nie dobiorą się do niego żadne gryzące owady. Poczuł, jak jego mięśnie zaczynają się rozluźniać.

Nie zdawał sobie sprawy, że usypia. Kiedy się obudził, słońce przebijało się przez pokrywę liści, świecąc mu prosto w twarz. Wciąż wszystko go bolało, choć już nie tak mocno. Przespał kilka godzin – musiało być blisko południa. George nie powinien był pozwolić mu na tak długi sen. Dźwignął się na ramieniu i rozejrzał wokół. Nigdzie nie widział przyjaciela.

Nadal panowała cisza, ciężka i groźna. Coś musiało być nie tak bo nie byłoby tak cicho. Ronnie usiadł, powoli i ostrożnie, po czym dźwignął się na kolana, wreszcie na nogi. Nic się nie poruszyło. Żadnych ptaków, owadów – nic. Słyszał tylko własny oddech, w ustach czuł kwaśny smak, a wargi miał spieczone. Gdzie jest George?

Poszedł po wodę. Tylko tyle pamiętał. Po krótkiej chwili paniki przypomniał sobie, gdzie jest strumień. Spojrzał na pułapkę – zasłaniające ją liście zdążyły już całkiem zbrązowieć – i najciszej jak potrafił ruszył w stronę potoku.

Zanim zobaczył w dole strumień, dostrzegł odbłysek światła na wodzie spływającej z położonego wyżej zbiornika. Potem ujrzał George’a. Młodzieniec leżał rozciągnięty na ziemi, jakby po prostu upadł, wspinając się z powrotem na górę. Ronnie rozejrzał się w poszukiwaniu wroga, który mógł go zastrzelić... ale nikogo nie zobaczył ani nie usłyszał. Kiedy spojrział ponownie, nie zauważył żadnych śladów krwi, oparzeń ani ran.

Przykucnął i spróbował przemyśleć sytuację. George leży bez ruchu, ale – dostrzegł, że jego plecy się poruszają – oddycha. Może po prostu zasnął? Ale czemu tam? Spojrzał na strumień i zmarszczył brwi. Ze swojego miejsca widział, że na powierzchni wody unoszą się jakieś śmieci. Wstał i zbliżył się do przyjaciela. Rzeczywiście oddychał, oczy miał zamknięte.

– George – powiedział cicho. Wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia. Brak reakcji. Znow rozejrzał się wokół, pewny, że ktoś im się przygląda, ale nikogo nie zobaczył ani nie usłyszał. W bezwładnej dłoni przyjaciela spoczywała butelka z wodą, którą niósł ze strumienia. Przy upadku spadła zatyczka i w środku pozostał zaledwie łyk lub dwa wody. Ronnie wylał ją na twarz George’a, mając nadzieję go obudzić, ale ten skrzywił się tylko i nie poruszył. Znow rozejrzał się wokół i ruszył z butelką do strumienia, by ją napełnić.

Śmieci, które wcześniej zauważył, prąd wody zepchnął w stronę, brzegu. Kiedy je odgarnął, by napełnić butelkę, ujrzał bezwładne nogi i ogony czerwono-żółtych płazów i nieruchome płetwy małych rybek. Martwe. Zaczynały już śmierdzieć. Znieruchomiał z zanurzoną do połowy w wodzie

butelką. Potem cofnął rękę i wylał wodę na ziemię. Przez jego głowę przemykały dziwne strzępy myśli. Mężczyzna, którego słyszeli w nocy. Panująca wokół całkowita cisza. Śpiący George. Martwe zwierzęta. Woda, której dotykał. Miał nadzieję, że zawroty głowy, które nagle zaczął odczuwać, były skutkiem wstrząsu lub strachu, a nie dotykania skażonej wody.

Ten niewidzialny myśliwy w jakiś sposób zatrul wodę, zabijając wszystko, co w niej żyło... i uspiając George'a. A może on umiera? Ronnie rzucił się w stronę przyjaciela i sprawdził puls na jego szyi. Bił powoli, ale regularnie. Potrząsnął go za ramię. Znow żadnej reakcji. Rzucił gorączkowe spojrzenie w górę i w dół strumienia. Pnie drzew, pnącza, krzewy, skały... Żadnych poruszających się sylwetek i dźwięków, których nie powinno tu być.

Ale jeśli trucizna miała uspić każdego, kto napije się wody, to znaczy, że ktoś przyjdzie tutaj, aby zabrać śpiących. Nie może zostawić George'a tak blisko wody, na otwartym terenie. Chwyił młodzieńca mocno pod ramiona i dźwignął. Tępe pulsowanie w głowie przeszło w potężne dudnienie, a zeszywniałe żebra sprawiały wrażenie, jakby ktoś przejechał po nich ostrym nożem. A George przesunął się zaledwie o centymetr, choć zaczął głośno chrapać w charakterystyczny dla niego sposób, tak że dało się go słyszeć nawet z dużej odległości.

– Potrzeba mi... jak-się-to-zwie... – wymamrotał pod nosem Ronnie – czegoś, na czym mógłbym go ciągnąć. – Rozejrzał się. Jego starszy kuzyn miał za sobą okres entuzjazmu dla obozowania w głuszy, ale Ronnie spędził tamte wakacje w szkole muzycznej, rozwijając w sobie odkryty przez matkę talent. Po wysłuchaniu opowieści kuzyna, w tym o niemal kryminalnych napadach na młodszych obozowiczów, pod pretekstem rozwijania talentu – choć wiedział, że nie jest wielki – pozostał w szkole na kolejny semestr. Później kuzyn znalazł sobie inne hobby i Ronniemu udało się uniknąć sześciotygodniowego pobytu w jego obozie. W tej chwili byłby gotów znieść lanie, wrzucenie do lodowatego stawu, narowiste wierzchowce i kłujące owady w pościeli, byle tylko zdobyć trochę praktycznych umiejętności, które rzekomo posiadał Knut. Byle by wiedzieć, jak można przeciągnąć ciężki ładunek bez dźwigu i śmigaczy czy jak zbudować dobrze działającą pułapkę.

Budowa pierwszej wersji noszy ze związanych pnaczy trwała wiele godzin i kosztowała go trzy pęcherze na rękach i swędzącą plamę od soków. Kiedy w końcu ułożył na nich George'a i dźwignął, po niecałych dziesięciu metrach bezwładne ciało rozerwało pnącza. Przeklinając cicho, młodzieniec jeszcze raz zaczął pleść nosze. Nigdy dotąd nie robił niczego poza małym koszyczkiem i nie wiedział, jak należy wykonać sieć, hamak czy coś innego, co mogłoby bezpiecznie utrzymać sześćdziesięciokilogramowe ciało.

Starał się nie zwracać uwagi na głód ani pragnienie, ale ciemność wypełzająca spod drzew w końcu zmusiła go do przerwania pracy. Trzy razy próbował wciągnąć przyjaciela pod górę, ale udało mu się jedynie zostawić wyraźne ślady na miękkiej ziemi.

A teraz było już zbyt ciemno, by coś zobaczyć. Ręce piekły go, swędziały i drżały, a kiedy próbował stać, łapały go kurcze w rękach i nogach. Zataczał się. Czuł potworne pragnienie. Zrobił kilka kroków w stronę strumienia, zanim sobie przypomniał.

Nie panikuj, powiedział do siebie. Myśl. Ale nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mu się to udało. Miał wrażenie, że minęły całe dni. Przez chwilę nie umiał sobie nawet przypomnieć, gdzie jest i dlaczego. A potem go olśniło. Przecież mieli zapasy. Tam, gdzie przygotowali pułapkę, mieli wodę i jedzenie. Ruszył w ciemności, mając nadzieję, że uda mu się rozpoznać, która z ciemnych plam jest właściwym drzewem.

Bubbles pomyślała, że najgorsze jest to, że przez siedzenie w jaskini łatwo jest stracić rachubę czasu. Wypiły trochę chłodnej, czystej wody, zjadły nieco jedzenia, a potem, gdy próbowały rozeznaczyć się we wszystkich pozostawionych przez Kella rzeczach, dzień zmienił się w noc. Mimo gogli niczego nie widziała. Gdyby zostawiły zapaloną świecę, każdy, kto zajrzałby przez zasłonę z pnączy, mógłby zauważyć jej odblask na wodzie.

Sen przychodził niechętnie, ale obie były zmęczone po poprzedniej nocy, więc w końcu usnęły. Nie jestem już Bubbles, pomyślała dziewczyna przed zaśnięciem. Jestem dorosła – jestem inną osobą o imieniu Brun.

Obudził je odgłos spadającego gdzieś kamienia. W ciemności nie potrafiły stwierdzić, jak daleko spadł, ale było jasne, że stało się to wewnątrz jaskini. Bubbles spała z założonymi goglami i kiedy tylko się obudziła, dostrzegła za skalnym występem białą smugę. Dotknięcie dłoni Raffy sprawiło, że omal nie krzyknęła, ale zdołała się opanować. Ścisnęła dłoń przyjaciółki, po czym zaczęła się czołgać do skraju jaskini, aby się rozejrzeć i sprawdzić, jak daleko jest do świtu.

Zbiornik z wodą pluskał miło, jakby padał deszcz. Przedostające się z zewnątrz światło nie było tak jasne jak dzień wcześniej (jeśli to faktycznie było wczoraj, a może przespały całą dobę?), ale było wystarczająco widno, by przekonać się, że w pobliżu jaskini nikogo nie ma. Jeśli ktoś spowodował upadek kamienia, zniknął już z pola widzenia. Zaczęła wycofywać się do środka i wtedy zdała sobie sprawę, że ma mokre kolana – poziom wody w zbiorniku podnosił się. Poprzedniego dnia odległość od skalnego występu do brzegu jeziora wynosiła przynajmniej dwa metry, a teraz tafla wody sięgała do samego wejścia do pieczary. Cofała się dotąd, aż natrafiła stopami na Raffę.

– Chyba pada – powiedziała cicho. Tym razem jaskinia sprawiała wrażenie, jakby tłumiała echo, być może przez spadające do zbiornika krople. – Poziom wody się podniósł.

– Damy radę wyjść? – zapytała Raffa.

– Na razie tak. Przy wejściu nie ma pewnie więcej niż kilka centymetrów głębokości. Wątpię, żeby było jeszcze gorzej – to nigdy nie był duży strumień.

Raffa zdawała się zadowolona.

– Jeśli korytem strumienia zacznie płynąć woda, zmyje ślady naszego wejścia.

– A co ze śladami wyjścia?

– Może nie będziemy musiały wychodzić. Zobaczmy. – Raffa Ponownie zapaliła latarnię i przyjrzały się wodzie, a potem ścianom Jaskini. Mniej więcej na wysokości kolan zauważyły jakąś czarną kreskę. Powyżej dostrzegły jeszcze jedną kreskę, ale rozmytą i znacznie mniej wyraźną.

– To zwykły poziom przyboru, pewnie sezonowy. A ten drugi jest starszy i rzadszy. Czy nie wspominałaś o porze deszczowej?

– Tak, ale teraz prawie nie padają tu deszcze.

– No cóż, w takim razie poziom wody nie powinien sięgnąć tak wysoko. – Raffa wskazała na niższy ślad. Bubbles pomyślała, że dziewczyna jest zbyt dużą optymistką.

– Ryzykujemy życie – zauważyła.

– Mówisz jak Bubbles, a nie jak Brun. Tak czy inaczej, jeśli teraz wyjdziemy, zostawimy po sobie śliczne odciski stóp w miękkiej ziemi. Jak długo trwają deszcze poza sezonem?

– Zazwyczaj tylko parę godzin, ale jak już się zaczną, potrafią przynieść naprawdę dużo wody. –

Bubbles westchnęła. – Wiesz, jeszcze się nie przyzwyczaiłam do bycia Brun. To trochę potrwa. Masz rację – woda nie powinna sięgnąć nawet do tego niższego znaku. A nawet jeśli sięgnie, możemy wejść na te półki, są dość spore i dostatecznie wysoko. A na razie możemy użyć pływaków Kella do oznaczenia brzegu zbiornika; będziemy wiedziały, jak szybko podnosi się poziom wody. – Położyła jeden ciężarek na brzegu zbiornika. Na szczęście miały zapas świec do latarni i nie musiały siedzieć tylko w słabym świetle dochodzącym zza skalnego występu.

Minęło kilka godzin przy akompaniamencie wody kapiącej do dużego zbiornika. Baton koncentratu złagodził głód, ale Bubbles bardzo ucieszyłaby się z ciepłego śniadania. Wilgotny chłód jaskini nie był już przyjemną ucieczką przed upałem na zewnątrz. Poziom wody powoli się podnosił. Co godzinę Bubbles umieszczała na brzegu kolejny obciążnik. Pierwszy leżał już dwa centymetry pod powierzchnią, a ostatni, położony po trzech godzinach, ledwie omywała cienka warstewka wody.

– Udało się – powiedziała Raffa, obejmując z radością Bubbles. A potem usłyszały jakieś głosy. Raffa błyskawicznie zdmuchnęła świeczkę i w jaskini zapadła ciemność. Bały się ruszyć, żeby czegoś nie potrącić i nie zdradzić swojej obecności. Bubbles założyła gogle, ale ciemność ani trochę się nie rozjaśniła.

Potem czerną przeciął jasny promień. Ktoś skierował do środka światło latarki. Od wejścia dobiegł męski głos, wzmocniony i zniekształcony przez echo.

– Nic. Woda sięga do samego wejścia, gdyby ktoś tam wchodził, widzielibyśmy ślady.

– ...wszedł tam, zanim zaczęło padać? – spytał inny głos.

– Mało prawdopodobne. Nic nie ma – żadnych dźwięków ani ruchu – na podczerwieni. – Bubbles pobłogosławiła w duchu grubą skałę oddzielającą je od wejścia i zimną wodę, która zmyła ich ślady.

– ...ta broń?

– Nie. Do tej pory będzie już w trybie podstawowym – nie mają możliwości reaktywowania kodów. Chodźmy. – Światło znikło i głosy ucichły. Bubbles zdała sobie sprawę, że dygocze, i spróbowała głębokich oddechów. O co im chodziło z tym trybem podstawowym? Sięgnęła do ramienia Raffy i obie dziewczyny przytuliły się do siebie z drżeniem. Siedziały tak przez pewien czas, aż obie się uspokoiły.

– Zachowałyśmy się głupio – wyszeptała Raffa. – Nie miałyśmy nawet broni w zasięgu ręki.

– Tak trudno w to uwierzyć – odpowiedziała przyjaciółka. – Wciąż przypominają mi się stare wycieczki obozowe: bawiliśmy się w pościgi, polowania i przemyt... ale to były tylko zabawy, choć wtedy traktowaliśmy je bardzo poważnie. Teraz... to prawda, ale trudno mi o tym pamiętać.

– Zamierzam sprawdzić ten karabin. – Raffa wstała i sięgnęła po broń. – Nie może mieć lokalizatora, bo już by nas znaleźli. Musi chodzić o coś innego. – Bubbles usłyszała ciche odgłosy badania broni, a potem prychnięcie. – Ach, rozumiem. To złącze z boku musi służyć do podłączania komputera – pewnie czipa identyfikacyjnego. To o to chodziło z tymi kodami. Nie działa już żadna z zaawansowanych funkcji – luneta na podczerwień, dalmierz i reszta – ale wciąż będzie strzelać.

– Co to znaczy?

– Że broń nie widzi już w ciemności. Musimy być ostrożniejsze. Ale jeśli uda nam się ich uniknąć, i tak nie będziemy potrzebowały broni.

Bubbles zapomniała o wcześniejszej przyczynie alarmu, ale odgłos spadających kamieni znów jej o tym przypomniał. Coś było razem z nimi w tej jaskini. Wyobraźnia podsunęła jej obraz największych drapieżników na planecie, choć wiedziała, że żadnego z nich nie ma na tej wyspie.

– Co to? – zapytała zdenerwowana Raffa.

– Kamienie – odpowiedziała. – Chyba. – Uniosła broń, choć nie miała w co celować. – Może woda je poluzowała i dlatego spadły.

* * *

Ronnie odnalazł skromny zapas jedzenia i wody, a kilka kęsów i łyków oczyściło jego umysł. Nie może sam ruszyć George'a. Nawet jeśli właściwie splecie pnącza, pozostawi widoczne ślady. Musi znaleźć Petrisa i pozostałych, mimo że złamie w ten sposób jego rozkazy. Wessał się w baton żywnościowy, pozwalając, by cukier i sól otoczki ożywiły go, po czym pociągnął kolejny łyk z manierki. Potem przypomniał sobie, że skoro brakuje mu wody, to nie powinien za dużo jeść.

Powiew wiatru poruszył drzewami w górze, ciepła wilgoć owiała mu twarz. Gdyby tylko nie było ciemno... Gdyby nie bolała go głowa... Gdyby miał kogoś do pomocy... Ale rzeczywistość przypominała mu, że jest sam, w ciemności i obolały – i musi coś wymyślić, bo nikt inny tego nie zrobi.

Wrócił w ciemności do nieprzytomnego George'a, kilkakrotnie potykając się na niewidocznych korzeniach i kamieniach. Jak długo jeszcze będzie działać trucizna? Żałował, że nic nie wie na temat takich środków. Zaczął jeszcze raz pleść pnącza, choć nie miał do tego serca. Nagle poczuł na karku kroplę zimnej wody. Podskoczył. Potem kolejną. Dotarł do niego szum deszczu i gwałtowniejsze porywy wiatru szarpiące koronami drzew.

Skoro pada, pomyślał, to jeśli zdołam przeciągnąć George'a, deszcz zmyje nasze ślady. Wolał nie myśleć, o ile ciężiej będzie ciągnąć przyjaciela przez błoto. Zamiast tego napał na tyczki i ruszył chwiejnie pod górę. Nagle stało się to łatwe. Ruszył prawie biegiem i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że George musiał spaść ze splecionych pnączy. Omal się nie rozplakał, wracając. Tego już za wiele: ból głowy, deszcz, niebezpieczeństwo, odmawiające współpracy pnącza.

Właśnie odnalazł ciało przyjaciela, kiedy zauważył światła na niebie. To był śmigacz z reflektorami skierowanymi na las. Rzucił się do tyłu. Mogli zobaczyć George'a – mają czujniki podczerwieni i gogle do widzenia w nocy – mogli zobaczyć także jego. Przykucnął, trzęsąc się z wyczerpania i strachu. Poprzez szum wiatru i wzbierającego na sile deszczu słyszał silnik śmigacza. Jego szperacz błyskał między drzewami, macając, ale przy strumieniu drzewa rosły bardzo gęsto i światło nie mogło do niego dotrzeć. Przemknęło jednak po leżącym ciele przyjaciela i jego jaskrawym pasie... po czym wróciło i zatrzymało się na nim. Ronnie stłumił jęk. Czemu go nie zdjął? Wiedział, że głupio postąpił, ale teraz było już za późno.

Śmigacz zatrzymał się tuż nad koronami drzew, oświetlając szperaczem ukośne krechy deszczu. Ronnie usłyszał metaliczny zgrzyt i uderzenie otwieranego włazu. Zdał sobie sprawę, że muszą mieć drabinę lub linę do spuszczenia myśliwych bezpośrednio między drzewa. Jeśli tu zostanie...

Odetchnął głęboko i wystartował do biegu przez mrok. W górę zbocza i strumienia, w gęstszy las i bardziej nierówny teren. Jeśli zdoła się ukryć przed skanerem podczerwieni za jakąś skałą, nie zobaczą go. Zwolnił i zaczął przemykać od drzewa do drzewa, korzystając ze słabego blasku reflektorów śmigacza. Nie ma sensu się spieszyć, nie może sobie pozwolić na upadek i narobienie hałasu. Ma parę sekund, zanim ktoś zejdzie ze śmigacza na ziemię i zajmie się szukaniem zbiegów.

Usłyszał odgłosy uderzenia broni (był tego pewien) o drabinę lub sznur. Światło za jego plecami było teraz silniejsze. Odważył się spojrzeć do tyłu. Dostrzegł umieszczony na helmie reflektor,

słabszy niż szperacz śmigacza, ale w zupełności wystarczający do oświetlania na niewielkie odległości. Światło obniżyło się, jakby jego właściciel przykłęknął. Ronnie nie miał wątpliwości, że nad Georgem. Z trudem stłumił chęć ruszenia przyjacielowi z pomocą. Usłyszał charakterystyczny skrzek kiepsko nastrojonego komunikatora, a potem odgłos lądowania na ziemi kolejnego myśliwego. Teraz przy George'u świeciły dwa reflektory. Ton silnika zmienił się, po czym śmigacz wzniósł się w górę i oddalił na wschód. Ronnie usłyszał głosy stłumione przez wiatr i deszcz.

Musi uciekać. Teraz, gdy zajmują się Georgem. To jedyna szansa, żeby nie złapali całej czwórki. Ale nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie musiał zostawić przyjaciela. Zmusił się do ruchu, krok za krokiem oddalał się od świateł. Przepraszam, wyszeptał w duchu do George'a. Przepraszam.

Przeszedł może pięćdziesiąt metrów, gdy usłyszał krzyk. Odruchowo rzucił się do panicznego biegu. Znowu rozległ się krzyk i odgłos uderzenia pocisku o pobliski kamień. Ronnie przewrócił się, boleśnie uderzając się w oba piszczele, ale ponownie poderwał się do biegu. Już za późno na ciszę i ostrożność, teraz tylko prędkość może go ocalić. W górze rozjarzyła się błyskawica, na moment go oślepiając. Próbował biec jeszcze szybciej, ale znów się przewrócił. Wylądował w niewielkim strumieniu. Deszcz siekł go po plecach, gdy wspinał się na brzeg. Znowu się przewrócił i znowu rzucił do ucieczki. Rozległ się kolejny strzał, ale tym razem nie usłyszał uderzenia pocisku. Widocznie błyskawica musiała znacznie bardziej oślepić ludzi w goglach wzmacniających światło.

Ronnie parł z wysiłkiem pod górę, czując jedynie potrzebę ucieczki. Stopy ślizgały mu się po mokrych kamieniach i błocie, deszcz siekł go po twarzy, zlepiał mu włosy i nasyczał wilgocią koszulę i spodnie. Błyskawica za błyskawicą rozświetlały groteskowy krajobraz szarpanej wiatrem roślinności, nierównych skał i deszczu. Biegł teraz dnem strumienia, nie martwiąc się już trucizną, aż dotarł do źródła. Tam obejrzał się i zobaczył migające światła – to myśliwi szli jego dobrze widocznym śladem. Obliznął wargi, wdzięczny za omywającą je czystą wodę. Dokąd teraz?

Następny błysk ukazał w górze, po prawej stronie wąską czarną rozpadlinę. Wspiął się po mokrych skałach, mając nadzieję, że jest dość głęboka, by mógł się schować. Znowu z tyłu dobiegł krzyk i błysk światła. Zapieкло go ramię. Rzucił się na ziemię i ponownie rozejrzał w poszukiwaniu rozpadliny. W świetle kolejnej błyskawicy zobaczył głęboką czarną krechę w skalistym zboczu. Deszcz przybrał na sile. Zmusił się do wstania i zrobienia kilku kroków. A potem zanurzył się w jeszcze ciemniejszy mrok.

Kolejną błyskawicę zobaczył już jako biało-niebieski rozbłysk na ciemnych ścianach. Kulejąc i zataczając się, próbował wejść głębiej. Pod jego stopami płynęła woda. Potykał się na kamieniach, tracąc równowagę, i musiał wtedy zagryzać wargi z powodu bólu ramienia. Potem ziemia skończyła mu się pod nogami i zsunął się w kompletną czerń.

Rozdział 17

George obudził się z zeszywniałym karkiem i bólem głowy. Było ciemno. Noc, pomyślał. Spróbował się przeciągnąć, ale okazało się, że ma ręce związane za plecami. Zamrugał kilka razy i wciągnął głęboko powietrze śmierdzące jakimś płynem do czyszczenia, starym drewnem i kwasem. Poruszył nogami. Okazało się, że nie związano mu nóg. Mógł usiąść, chociaż kręciło mu się w głowie.

Umysł George'a, w którego istnienie jego ojciec zawsze wątpił, zaczął pracować. Nie pamiętał, jak znalazł się w tej sytuacji, ale przyjaciele nigdy nie robili mu aż tak nieprzyjemnych numerów. Zmusił się do sięgnięcia pamięcią do ostatniego wyraźnego wspomnienia. Lot na wyspę. Rozbicie śmigacza. Błady i wymiotujący Ronnie. Obszarpani wyspiarze twierdzący, że są ofiarami polowań na ludzi. On i Ronnie budujący pułapkę z liści i gałęzi. Jakieś dźwięki w mroku. Świt... a potem pustka.

Nie podobało mu się schwytywanie przez Petrisa i Oblo. Ale teraz, kiedy był pewien, że złapali go wrogowie – choć tego nie pamiętał – jeszcze mniej mu się podobało. Został zamknięty w czymś, co pachnie jak schowek na środki czyszczące. Pozostali wciąż muszą być wolni – przynajmniej część z nich – bo inaczej już by zginął.

Odsunął od siebie tę myśl. On, George Starbridge Mahoney, nie zginie. Taka śmierć może się zdarzyć komuś innemu, ale nie młodzieńcowi z dobrej rodziny, którego spodnie nigdy nie tracą kantu. Ucieknie i ostrzeże lorda Thornbuckle'a, a potem uratuje Ronniego i pozostałych. Ale pierwszą rzeczą, jaką musi zrobić, jest zdobycie informacji na temat jego uwięzienia.

Z wielkim wysiłkiem podniósł się na nogi. W ciemności wyjątkowo trudno mu było zachować równowagę. Cofał się powoli, aż jego dłonie dotknęły ściany. Rozpoznał drewno, potem coś jakby papierowego i znów drewno. Posuwał się wzdłuż ściany, szukając narożnika, aż wpadł na półkę, uderzając się boleśnie w łokieć. Poczul uderzenie w plecy, gdy jakiś przedmiot poruszył się na półce i przewrócił.

Pomyślał, że nie powinien pozwolić, by ten przedmiot spadł z półki. Narobi hałasu i sprowadzi tu porywaczy, którzy na pewno są przekonani, że on wie, gdzie ukrywają się pozostali. Mogą nawet być niemili. Nie podobały mu się zajęcia z przesłuchiwania, które uznano za konieczne nawet u Królewskich. Nie chciał mieć nic wspólnego z prawdziwym przesłuchaniem.

Oparł się o półkę, próbując sprawić, by przedmiot poturlał się pod ścianę, ale wtedy cała półka przechyliła się. Twarde puszki z ostrymi krawędziami uderzyły go, a następnie spadły z hukiem na podłogę i roztrzaskały się. Powietrze wypełniły gryzące opary. George zaczął kaszleć. Piekły go oczy, po twarzy ciekły łzy. Odsunął się od półki i wpadł na kolejną przeszkodę: wiadro, które głośno zadzwoniło.

Otworzyły się drzwi i jego oczy poraziło światło. Szarpnął się w tę stronę, ale jakieś niewyraźne postacie pchnęły go z powrotem tak mocno, że nie potrafił utrzymać się na nogach. Upadł na wiadro, boleśnie się uderzając, i usiadł z impetem w kałuży tego, co tak intensywnie pachniało. Czuł, jak płyn wsiąka w jego kosztowne spodnie od Guilsanme.

– Zamknij się! – warknął jeden z cieni, zanim jeszcze zdążył otworzyć usta. – Albo dam ci kolejną dawkę.

Kolejną dawkę. To znaczy, że został uspijony albo zatruty. Nagle przypomniał sobie niewyraźnie strumień i podnoszoną do ust butelkę z wodą. Równocześnie poczuł pragnienie, jeszcze gorsze niż ból głowy.

– Pić mi się chce – powiedział, zaskoczony skrzekliwym dźwiękiem własnego głosu.

Ktoś roześmiał się nieprzyjemnie. George’owi przypomniał się największy szkolny osiłek.

– To fatalnie – rzucił ktoś, chyba ta sama osoba, która wcześniej się śmiała. – Ale już niedługo.

– Nie, czekaj... Jeśli przeprowadzą autopsję, stwierdzą odwodnienie. – W drugim głosie brzmiał lekki niepokój.

– I co z tego? – George próbował zobaczyć coś więcej poza wymierzonymi w niego światłami, ale widział tylko dwie niewyraźne sylwetki. Chyba dwie. – Tak może być po morskiej wodzie.

– Stary kazał się nim zająć do czasu, aż wszystkich złapiemy.

– Ale nie mówił, żeby zdradzić cały plan! – Drzwi zatrzasnęły się. George słyszał podniesione głosy, ale nie rozróżniał słów. Rozejrzał się po schowku. W świetle pojedynczej lampy było tu tak samo ciasno i nieprzyjemnie, jak wskazywały wcześniejsze doświadczenia w ciemności. Pomieszczenie miało mniej więcej dwa na trzy metry, drzwi pośrodku dłuższej ściany i półki po obu stronach. Nad zrzuconą przez niego półką wisały jeszcze dwie z zestawem szczotek, puszek i słoików, a na półkach po drugiej stronie drzwi ustawiono przybory łazienkowe w starannie opisanych pudełkach. Na wieszaku obok wisały miotły i mopy. Miał szczęście, że nie pozrzucał ich, potykając się o wiadro.

Pewnie jest w jakimś domu na sąsiedniej wyspie. Nazywa się Bandon. To tutaj lądowisko odmówiło im zatankowania. To tutaj, według Petrisa, mieszkali w domku letniskowym myśliwi, podczas gdy ich ofiary usiłowały przeżyć na wyspie.

George pokręcił głową, widząc stan swoich spodni. Ucierpiały wskutek wydarzeń na wyspie jeszcze przed zetknięciem się z obrzydliwym zielonym płynem, który wciąż wypełniał jego nos paskudnym smrodem. Nigdy w życiu nie wyglądał tak niechlujnie. Zauważył rozdarcie na rękawie koszuli i podłużną tłustą plamę, jakby na czas podróży tutaj wrzucono go do brudnego luku bagażowego. I pewnie tak było. Ale ze związanymi rękami nie mógł doprowadzić się do porządku.

Mógł za to wstać z kałuży paskudnie śmierdzącego zielonego płynu, który z pewnością nie wpłynie dobrze na jego spodnie. Z tego, co wiedział, ciecz mogła mieć niekorzystne działanie również na jego skórę. Oparł się o ścianę z mopami i wstał. No proszę. Mógłby chwycić mopa i w jakiś sposób użyć go jako broni, gdy następnym razem ci dranie otworzą drzwi. Ale żaden pomysł nie przychodził mu do głowy, a drzwi znów się otworzyły.

– Nikt ci nie kazał wstawać – powiedział głos kojarzący się z paskudnym śmiechem. Światło dwóch latarek skierowanych na jego twarz nie pozwalało mu zobaczyć trzymających je mężczyzn.

– Nie mogłem oddychać – wyjaśnił. – Te opary mnie duszą.

Mężczyzna znów się roześmiał.

– Nie martwiłbym się tym – rzucił. – Ale mówiłeś, że chce ci się pić – no to chodź.

Czy powinien wyjść? Czy to bezpieczne? Ale i tak nie może tu zostać. Ruszył pewnym siebie krokiem, jakby wcale się nie bał, ale zielona ciecz okazała się śliska jak olej. Zachwiał się i oparł o framugę drzwi. Twarde dłonie chwyciły go pod ramiona.

– Żałosny z ciebie pajac, co? – Nie miał czasu złapać oddechu, zanim wypchnięto mu resztki powietrza z piersi uderzeniem pięści. Poleciał na ścianę. Zarzucono mu na głowę jakiś materiał, po czym duże i silne dłonie w rękawiczkach szarpnęły go.

Próbował zorientować się na podstawie dźwięków – szurania obutych stóp, odgłosów oddychania – w jakich byli pomieszczeniach i jak daleko szli. Poruszali się korytarzem, ale nie potrafił ocenić

odległości; przeszkadzało mu w tym popychanie go, uderzanie o ścianę i wykręcanie związanych rąk.

W końcu usłyszał odgłos otwierania drzwi – chyba takich na zawiasach – i wepchnięto go do środka, po czym ściągnięto mu z głowy szmatę. Zatoczył się i upadł na twardą, zimną podłogę, a zaraz potem usłyszał trzask zamka w drzwiach.

Przez chwilę leżał w ciemności, rozpamiętując nowe siniaki i zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Wreszcie pragnienie skłoniło go do poszukiwań. W tym pomieszczeniu pachniało inaczej, było czystiej i chłodniej. Jak w łazience, pomyślał. Podniósł się na kolana i przez chwilę próbował posuwać się w ten sposób, ale po kilku niezgrabnych ruchach zaczęły go boleć kolana i zdał sobie sprawę, że będzie musiał wstać.

Tym razem eksploracja została uwieńczona sukcesem. Znalazł drzwi, przez które został wepchnięty, a obok nich panel sterowania światłem i wentylacją. Chłodne białe światło ukazało łazienkę – sądząc po wyposażeniu, niewątpliwie dla personelu. Rząd umywalek z lustrami powyżej – skrzywił się na swój widok – wisiał nad rzędem ubikacji. Kilka czystych szklanek ustawionych na umywalkach zdawało się z niego naigrawać. Jak ma odkręcić wodę? Albo jak podstawić szklankę?

Zmagania zajęły mu trochę czasu. Zamontowane w umywalkach urządzenia do oszczędzania wody były łatwo dostępne dla osób, które miały wolne ręce. Żeby sięgnąć do kontrolki, George musiałby wspiąć się na umywalkę. Bał się, że wtedy cały rząd umywalek odpadnie od ściany i spowoduje powódź. Nie mógł też pić, ponieważ umywalek nie wyposażono w korki, aby którąś z nich napełnić wodą. Będzie musiał wziąć szklankę i ustawić ją pod kranem, a potem wspiąć się na umywalkę i puścić wodę z nadzieją, że szklanka stoi w dobrym miejscu. Następnie będzie musiał wyciągnąć szklankę z umywalki, ustawić ją na brzegu tak, by sięgnąć ustami, i wreszcie się napić.

Zajęło mu to mnóstwo czasu. Stłukł dwie szklanki i pokaleczył sobie palce. Już chciał się poddać, uznając, że lepsze jest pragnienie niż te zmagania, ale upór sprawił, że próbował dalej. Letnia woda, której pół szklanki zdołał wreszcie wypić, zanim naczynie przechyliło się i reszta zawartości wylała się na jego szyję, smakowała zdumiewająco dobrze. Niemal czuł, jak jego mózg nasącza się wodą i wraca do pracy. Teraz wreszcie potrafił myśleć o tym, co zrobić, aby wrócić do własnej roli w tym żalonym przedstawieniu, będąc jak zawsze czystym i nienagannym.

Zamknięcie w łazience miało swoje dobre strony. Mógł skorzystać z jej wyposażenia. Ale zatrzymał się w pół drogi do klozetu. Jak ma ściągnąć spodnie, skoro ma ręce związane za plecami? Szarpanie za pasek od tyłu nic nie da, stworzono go z myślą o tym, aby mógł wytrzymać olbrzymią siłę.

Później o tym pomyśli, to nie jest duży problem. Jeszcze nie. Z drugiej strony będzie musiała mu wystarczyć wypita już woda, nie ma sensu tracić energii na jeszcze parę łyków.

* * *

– Naprawdę powinniście się zastanowić nad aspektem prawnym – odezwał się George. Burczało mu w brzuchu. Jedzenie, którym zajadało się pospiesznie dwóch mężczyzn, pachniało cudownie. Nie dano mu żadnego jedzenia, choć obiecano mu je „tuż przed kąpielą”. Zamiast tego miał okazję zaznać wątpliwej przyjemności czyszczenia wszystkich toalet w budynku za pomocą trzymanej w ustach szczoteczki do zębów. Nie chciał się zgodzić, ale mężczyźni nie dali mu wyboru. Bolały go siniaki, a ramiona łupały z powodu wykręconych do tyłu i związanych rąk.

– Na przykład? – zapytał szczuplejszy z mężczyzn. – Myślisz, że to trafi przed sąd czy jak? – To on

tu był tyranem, to on po kilku godzinach szydzenia i popychania opuścił mu w końcu spodnie, by mógł skorzystać z toalety. Ten potężniejszy, o paskudnym wyglądzie i z blizną na policzku, okazał się szorstki, ale nie brutalny. W ciągu ostatnich godzin to szczupły mężczyzna korzystał z każdej okazji, aby zadać mu ból, nie zostawiając żadnych śladów.

– Zapewne – odpowiedział George. Było mu strasznie niewygodnie rozmawiać ze związanymi rękami. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo była mu pomocna żywa gestykulacja, której nauczył się od ojca. – Mój ojciec doprowadza większość spraw przed sąd i z pewnością kogoś pozwie, gdy zginę. – Poczul dumę z faktu, że udało mu się to powiedzieć bez drżenia.

Mężczyźni roześmiali się i spojrzeli po sobie.

– Biedny lord Thornbuckle – mruknął ten mniejszy. – Na pewno się zmartwi.

George wbił wzrok w przestrzeń nad nimi, co najbardziej przypominało jego zwykłą pozę.

– Och, spodziewam się, że mój ojciec będzie również jego reprezentował. To zapewne będzie zbiorowy pozew. Uszkodzenia, zaniedbania...

– Nonsens – rzucił szczupły mężczyzna, gryząc tosta. Potem z pełnymi ustami dodał: – I nie myśl, że możesz nas przestraszyć swoim ojcem. Znałem już lepszych prawników niż twój tatuś.

George roześmiał się niedbale.

– Wątpię. Nawet nie wiecie, kim jest mój ojciec.

– Chyba nie jest w tej samej lidze co... eee... Kevil Starbridge Mahoney, co?

George roześmiał się w głos, tym razem z prawdziwą rozkoszą.

– Moi drodzy, to jest Kevil Starbridge Mahoney, a jeśli go znacie, to wiecie, jak nieubłaganie będzie ścigał każdego, kto skrzywdzi jego rodzinę. Jestem George Starbridge Mahoney.

Zapadła cisza. Szczupły mężczyzna zawzięcie żuł, a masywny rzucał nerwowe spojrzenia na George'a i swojego towarzysza. W końcu ten pierwszy przełknął i odsunął się od stołu. George poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić.

– Nie wierzę ci – oświadczył tamten. – I nie lubię kłamców. – Mówił cicho, z wystudiowanym okrucieństwem, które zapowiadało ból. George miał nadzieję, że jego mina nie zdradza, jak bardzo się boi. Gdyby nie fakt, że siedział, mógłby nie ustać na nogach.

– Czekaj no – odezwał się drugi. – Mamy nie zostawiać śladów, pamiętasz?

– Nie zostawię. – Szczupły uśmiechnął się do George'a. – No dobrze... To jak się niby nazywasz?

– George Starbridge Mahoney – powtórzył. I tak dostanie lanie – tak samo było ze szkolnym gorylem, który bił niezależnie od tego, co się powiedziało – więc równie dobrze może mówić prawdę. A jeśli zajmą się nim i jego przeszłością, może nie zapytają, gdzie ukrywają się pozostali. Przygotował się na razy, ale mężczyzna nadal siedział. Wsunął za to rękę do kieszeni i wyciągnął z niej rękawiczkę.

– Jesteś pewien? – Założył rękawiczkę i postukał nią w głowę George'a, by zademonstrować, że w czubkach palców jest coś twardego. – W takim razie pewnie słyszałeś o sprawie Viilgas kontra kolonia Robertsona.

– To jest wbrew etyce rozmawiać o tych sprawach poza miejscem pracy – zacytował George. Palec w rękawiczkę stuknął go za uchem, więc szybko się odsunął. – Ale... oczywiście czasem rozmawiało się o tym w domu. – Cała sprawa już dawno się zakończyła, włącznie z apelacjami, więc co mu szkodzi przyznać się, że o niej wie? To właśnie wtedy pojawiły się groźby pod adresem rodziny i tata nalegał, żeby nikt nie wychodził z domu bez eskorty. – Pamiętam groźby – wydusił z

siebie, gdy palec dźgnął go za drugim uchem.

– Ale miałem wtedy tylko osiem lat.

– Aha. Czyli teraz masz...

– Dwadzieścia trzy. – Czy naprawdę minęło już piętnaście lat? Nigdy nie zapomni bomby w dostawie warzyw, która zniszczyła kuchnię i tak wystraszyła kucharkę, że natychmiast przeszła na emeryturę. Oczywiście nic jej nie groziło – ojciec zażądał, aby cała służba opuściła dom na czas zagrożenia.

– A groźby odniosły jakiś skutek? – Palec dźgnął go pod szczęką, chwilowo tylko lekko.

– Bomba w warzywach zniszczyła wszystkie kafelki na ścianach.

– Zdał sobie sprawę, że choć mężczyzna nie wygląda staro, mógł być w to zamieszany. Ile trzeba mieć lat, by przysyłać bomby w dostawach jedzenia? Może wcześniej zaczynał. Może chciał się zemścić...

– Ale jaki był... prawdziwy skutek?

Tego też nigdy nie zapomni. Był wystarczająco duży, by zauważyć rozbieżności między oficjalnymi wiadomościami a tym, co jego ojciec powiedział koledze w gabinecie.

– Odpowiedz na pytanie – polecił mężczyzna. Znowu dostał ostre dźgnięcie w szyję. Bolało bardziej, niż się spodziewał.

– Kolonia Robertsona zapłaciła odszkodowanie – rzekł ponuro.

– Ojciec mówił, że tak duże, że będą musieli na nie pracować przez pięćdziesiąt lat, rezygnując w tym czasie z wszelkich podróży międzyplanetarnych. Slocumb i DeVries dostali kasację umysłów. Viilgas zginął, ale ukryli ten fakt, żeby jego potomkowie mogli dostać pieniądze.

– Hmm. Wiesz na ten temat więcej niż przeciętny młody człowiek. W takim razie powiedz mi jedno: co twój ojciec – zakładając, że faktycznie nim jest – robi z rękami, kiedy podchodzi do stołu sędziowskiego?

George próbował odtworzyć w pamięci znajome gesty. Trudno je naśladować, mając związane obie ręce. Czy to była lewa ręka, czy prawa? W końcu sobie przypomniał.

– Lewa ręka na kieszeni kamizelki, jakby bolało go w piersiach, prawa trzyma brzeg żabotu.

Szczupły mężczyzna odwrócił się na chwilę, by spojrzeć na swojego towarzysza, po czym znów spojrzał na George'a.

– No dobrze... Nawet jeśli jesteś synem Mahoneya, czemu miałyby to nas obchodzić?

– Sam pan wie, jaki on jest. Zwietrzy gdzieś pieniądze i natychmiast za nimi rusza.

– Nie jestem bogaty – rzucił mężczyzna i wrócił do stołu. Nałożył sobie kolejny talerz jajecznicy i kielbasek, a George'owi znów zaburczało w brzuchu. – Czemu miałbym się martwić? Pójdzie za tymi, którzy mają majątek.

– Nie odpuści nikomu, kto był w to zamieszany – zauważył George. Coś w tonie rozmówcy kazało mu sądzić, że udało mu się wywrzeć wrażenie. – Bogaci wynajmą własnych prawników, ale czy zapłacą też za waszych adwokatów?

– Nie próbuj mnie straszyć – warknął szczupły mężczyzna. – To się nie uda. – Ale powiedział to jakoś bez przekonania i o chwilę za długo patrzył na masywniejszego kolegę. George zrozumiał, jak musi się czuć jego ojciec na sali sądowej, gdy jakaś zmiana w zachowaniu bądź twarzy przeciwnika zdradzi mu, że zdobył punkt. Zawsze uważał, że prawo jest nudne – wszystkie te stojaki z kostkami

danych, godziny z kaskiem na głowie – i nigdy dotąd nie czuł czegoś takiego, jak ogarniająca go właśnie fala podniecenia.

Ale potem szczupły spojrział na niego i uczucie triumfu zniknęło. Ten człowiek zbyt lubi zadawać ból, by z tego zrezygnować, nawet kosztem własnego bezpieczeństwa.

– Gdybym uciekł – rzucił szybko – mógłbym wezwać lorda Thornbuckle’a. Gdybyście chcieli, mielibyście czas na ucieczkę, a ja zeznałbym, że mi pomogliście. Prawdziwymi kryminalistami są ludzie, którzy to wymyślili. Mój ojciec byłby po waszej stronie.

– To jest myśl – odezwał się masywny mężczyzna. – Wolałbym, żeby Mahoney stanął po mojej stronie zamiast mnie przesłuchiwać.

– Gdyby do tego doszło... – Szczupły spojrział na George’a w taki sposób, że zrobiło mu się zimno. – Jeśli nic z niego nie wyciągniemy...

George miał nadzieję, że wzruszenie ramion wyszło mu dość swobodnie.

– Nie wiem, gdzie są pozostali. Możecie mnie zmusić do powiedzenia, gdzie ich widziałem ostatni raz, ale gdyby wciąż tam byli, zostaliby złapani. Przecież jestem tutaj przynajmniej dobie. – Tak naprawdę przypuszczał, że minęły dwie, bo czemu wepchnęli go na jakiś czas z powrotem do schowka pod ziemią i wypuścili tylko raz, na czyszczenie łazienek na piętrze? Bardzo usilnie próbował nie myśleć o jaskini, o której wspominała Bubbles. Nie wiedział, gdzie się mieści, i bardzo się z tego cieszył. Zresztą i tak może ich tam nie być.

– Więcej – rzucił masywniejszy z mężczyzn i uciszył gestem drugiego.

– W końcu ktoś zauważy, że nas nie ma, i zaczną nas szukać. Bez trudu przekonają Michaela, by powiedział, że poleciliśmy do Whitewings, ale nas tam nie ma i będzie oczywiste, że w ogóle tam nie dotarliśmy. Zresztą nadajnik w śmigaczu wciąż działa. Jeśli ktoś sprawdzi rejestry satelitarne...

– On ma rację – zauważył potężny mężczyzna, tym razem z pełnym przekonaniem. – Należało ich złapać, gdy tylko śmigacz się rozbił. Ktoś musi zacząć ich szukać; to prawdziwy cud, że jeszcze nikt się tutaj nie zjawiał. Od początku nie było szans na złapanie wszystkich pasażerów...

– Ryzyko – przerwał mu szczuplejszy. – Nasz admirał właśnie to lubi, nie pamiętasz? Im większe ryzyko, tym większe wyzwanie. Ale jeśli udałoby się nam z tego wywinąć, a wina spadłaby na niego... to takie ryzyko mi się podoba. – Posłał George’owi uśmiech, któremu daleko było do szczerości. – Chyba rozumiesz, że chcemy być wolni i bez zarzutów?

– Oczywiście – zapewnił. Syn takiego ojca nie mógłby przeoczyć podtekstów.

Szczupły mężczyzna kiwnął głową do większego.

– Sprawdź na górze – polecił. – Nie chciałbym natknąć się na admirała, choć mówił, że nie wróci, aż będzie po wszystkim albo wyciągniemy coś z tego tutaj...

* * *

George miał nadzieję, że po drodze do centrum komunikacyjnego uda mu się zobaczyć świat na zewnątrz, ale okazało się, że pomieszczenie mieści się na parterze. Przeszli dwa drugie jasnoszare korytarze i minęli przeszklone drzwi... i nawet nie zauważył, czy na zewnątrz jest dzień, czy noc. Szczupły mężczyzna przełączył jakieś klawisze na głównym panelu, włączając ekrany i wzbudzając ciche brzęczenie głośników.

– Przekaz satelitarny do głównego domu? – zapytał. – Czy na stację orbitalną?

– Spróbowałbym do domu – odparł George. – Tak będzie szybciej, tam są ludzie, którzy mnie znają.

– No to masz. Możesz nadawać.

Na chwilę George'a ogarnęła panika, ale po paru sekundach przypomniał sobie numer ich smigacza. Wcisnął klawisz i zaczął mówić.

* * *

Heris, która siedziała w śmigaczu zaopatrzeniowym razem z Cecelią i drużyną medyczną, natychmiast rozpoznała głos George'a. Och, czyli nic im się nie... – zaczęła Cecelia, ale Heris złapała ją za rękę i kobieta natychmiast umilkła.

– ...uwięzieni i w niebezpieczeństwie – mówił George. – Uzbrojeni ludzie polują zarówno na nas, jak i na przebywających na wyspie skazanych więźniów. Myśliwi zatruli wodę. Potrzebujemy pomocy. Jestem w domu na Bandon, śmigasz rozbił się na... na wyspie na północ od Bandon. Bądźcie przygotowani na... – Jego głos nagle się urwał. Heris zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, i wypuściła powietrze. Jak temu młodemu durniowi – właśnie jemu – udało się uciec z Bandon? Kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał inaczej: to wciąż był George, ale zmieniony w ciągu tych paru sekund. – Proszę wziąć pod uwagę, że uzyskałem pomoc dwóch ludzi pracujących wcześniej dla myśliwych: Svaagarta Iklinda... – Heris zeszywniała. Kolejny Iklind? Jakiś krewny? – i Kursy Dahona. Bez nich nie mógłbym przekazać tych informacji.

Zapadła cisza. Szum smigacza i szepty siedzących w pobliżu osób nie pozwalały stwierdzić, czy kanał pozostawał otwarty, czy wyłączono nadawanie. Heris zamknęła oczy. Ciekawe, pomyślała, co zrobi kapitan milicji Sigind. Wiedziała, co sama pomyślałaby o takim przekazie, który, oczywiście, musiał również usłyszeć Lepescu i jego zbiry – jeśli sami tego nie przygotowali. Zaczęła odtwarzać usłyszane słowa, nawet te zagłuszone przez głos Cecelii. „Myśliwi”. Co George miał na myśli, mówiąc o „skazanych więźniach”?

Spodziewała się, że Lepescu z bandą swoich zbirów będzie polował nielegalnie na jakieś rzadkie zwierzęta, liczyła się z tym, że będzie niebezpieczny dla grupy szalejącej młodzieży. Ale... polowanie na skazańców? Na ludzi? Zadrzała.

– Heris? Co się stało? – Cecelia położyła rękę na jej ramieniu. Nie widziała własnej twarzy, ale reakcja Cecelii uzmysłowiła jej, jak musi wyglądać. Starsza kobieta cofnęła się, jakby przestraszona. Pozostali zerkali na nią, a jeden wręcz otwarcie się gapił.

– To... – Dosłownie zabrakło jej słów. Wreszcie przepchnęła powietrze przez ściśnięte gardło i powiedziała: – On rzeczywiście poluje na ludzi. Nie na zwierzęta.

– Kto?

– Lepescu. – Jej umysł gorączkowo składał w całość wszystkie informacje. – Przywiózł tu skądś skazańców... – Czy to mogą być skazańcy ZSK? Znów zadrzała na myśl o żołnierzach – tych ze statków – na których Lepescu polował, jakby byli dziką zwierzyną. Zresztą wcale nie byłoby lepiej, gdyby chodziło o innych ludzi, których zabrał z więzień. Żołnierze przynajmniej wiedzą, jak się bronić, i mają większą szansę na przeżycie. Słyszała, jak inni mówią coś cicho, tak samo jak ona zaszokowani i wściekli. – To niemożliwie! – zaprotestował ktoś, a ktoś inny dodał: – Musiał oszaleć, lord Thornbuckle rzucił jego skórę do psiarni. – Chętnie dodałaby więcej, ale w tym momencie śmigacz skręcił i rzuciło ją na ramię Cecelii. Obróciła się, by wyjrzeć przez przednią szybę.

Pierwsze pojazdy zaczęły już opadać do lądowania.

– Nie mogę w to uwierzyć – odezwała się Cecelia. – Polowanie na ludzi... Wiem, że go nienawidzisz za to, co ci zrobił – co próbował zrobić w bitwie z twoją załogą – ale nie mogę uwierzyć, że mógłby być tak szalony, by myśleć, że ujdzie mu to na sucho. Zwłaszcza tuż pod nosem Bunny’ego.

– Pewnie myślał, że dzięki temu wszystko jest bardziej... niebezpieczne. Zagrożenie ze strony ludzi, na których poluje, to za małe ryzyko. Mówiłam ci, że uważa zwykłe polowania za poniżające, bo nie są wystarczająco niebezpieczne, i że najbardziej odpowiednią zwierzyną dla prawdziwego mężczyzny jest człowiek.

Cecelia zastanawiała się nad tym w milczeniu, podczas gdy ich śmigacz opadał równomiernie w stronę lądowiska Bandon, na którym już stały dwa śmigacze milicji. Heris doceniała jej milczenie, choć wiedziała, że nie potrwa długo. Zbyt dobrze знаła swoją pracodawczynię.

– Nie wydaje mi się – oświadczyła w końcu Cecelia oficjalnym tonem, którego Heris nie słyszała u niej od tygodni – żebym chciała poznać tę osobę. Przynosi hańbę swemu mundurowi.

– Tak. – Heris przygotowała się do lądowania. Oddziały milicji opuściły już pojazdy i znikły, poza jednym człowiekiem, który wskazywał im pozycję na lądowisku. Wylądowali bezpiecznie, wokół panowała cisza. Heris nie potrzebowała ostrzeżenia dowódcy drużyny – wiedziała, że cisza potrafi być zwodnicza.

Drużyna medyczna przeprowadzała po cichu jakąś procedurę kontrolną, zapewne przypominali sobie, jaki sprzęt znajduje się w którym plecaku czy coś takiego. Powietrze pachniało świeżością i wilgocią i było przesycone kompletnie innymi zapachami niż lasy i pola w pobliżu głównego domu. Zatrzeszczał komunikator i Heris podskoczyła. Denerwowała ją nieznajomość lokalnych kodów, brak orientacji w sytuacji, brak własnego miejsca w akcji. Medycy przeszli na tył śmigacza. W chwili, gdy śmigacz znów poderwał się w powietrze, ich przywódca zameldował:

– Znaleźli dzieciaka, jest ranny. – Cecelia wydała stłumiony okrzyk przerażenia. Heris złapała ją za rękę i ścisnęła, dopóki kobieta nie odzyskała rumieńców.

– George – powiedziała. – Muszą mieć namyśli George’a. To on jest na tej wyspie.

Wylądowali przy samym domu i medycy szybko wybiegli na parking. Heris i Cecelia ruszyły za nimi. Nikt ich nie zatrzymywał i po chwili weszły do pokoju, w którym leżał George, już pod opieką medyków. Na tablicy kontrolnej nadajnika leżał trup, ktoś inny dyszał chrapliwie, zasłonięty przez dwóch medyków. Cecelia oparła się o ścianę i popchnęła Heris do przodu.

– Dowiedz się – poprosiła. – Zrób to dla jęgo ojca.

Chociaż ojciec George’a zupełnie jej nie obchodził, ruszyła ostrożnie przez spryskaną krwią i zaśmieconą odpadkami medycznymi podłogę do miejsca, skąd mogła chłopaka zobaczyć. Żył i oddychał samodzielnie, choć podpięto mu do nosa rurkę z tlenem. Był brudny i blady, starszy i równocześnie młodszy, niż go zapamiętała. Zetknęła się z tym w lazarecie na własnym statku. Leżenie w czystych piżamach nadawało żołnierzom wygląd dzieci, ale to, przez co przeszli, dodawało im wielu lat.

– Co mu się stało? – zapytała cicho.

– Dostał się w sam środek strzelaniny – wyjaśnił jeden z medyków, nie podnosząc głowy. – Pocisk małego kalibru trafił go w brzuch, ale nie ucierpiał żaden ważny narząd. – Co wcale nie znaczyło, że dobrze się czuje czy wyzdrowieje, a jedynie to, że powinien dotrzeć żywy do szpitala i nie umrzeć po drodze. W sam środek strzelaniny... Może tak, pomyślała, a może nie. Może ktoś chciał się pozbyć

świadka. W otoczeniu Bunny'ego musi być więcej niż tylko jeden zdrajca. Heris przyglądała się medykom, którzy zdawali się pracować równie szybko i kompetentnie, jak najlepsi znani jej lekarze, po czym spojrzała w oczy George'a.

– Pani kapitan... Gdzie jest Ronnie?

– Zapewne na drugiej wyspie. Milicja już tam poleciała. Nic mu nie będzie. – To wcale nie musi być prawda, ale George nie potrzebował teraz całej prawdy.

– Nie mów teraz – polecił medyk i położył ostrzegawczo rękę na jego ramieniu. – Musisz leżeć spokojnie.

– Jaskinia – powiedział chłopak z wysiłkiem, patrząc Heris w oczy. – Mogą być w jaskini. Bubbles mówiła... – Rozległ się jęk, gdy medycy zrobili coś, co go bardzo zabolowało.

– Rozumiem – zapewniła Heris, bardziej po to, żeby go uspokoić. – Bubbles wie o jakiejś jaskini, w której mogą się ukrywać. Wszyscy?

– Nie... Ronnie jest... ranny.

Medyk spojrzał gniewnie na Heris.

– Nie powinien mówić. Proszę go zostawić. Ma też inne obrażenia. – Heris spojrzała w dół i zobaczyła, że pod rozcinaną teraz koszulą chłopaka widać potężne siniaki na boku. Być może miał złamane żebra.

– On... strzelił do mnie – wydusił George, wrywając się medykowi. – On...

– Już wszystko dobrze – zapewniła go. Później będzie czas, aby się dowiedzieć, kogo miał na myśli, mówiąc on. Sądząc po szklanym spojrzeniu jego oczu, dali mu jakieś środki usypiające i nie będzie już potrafił jasno myśleć. Miała nadzieję, że miał rację z tą jaskinią. – Wszystko będzie dobrze. – Medycy przenieśli George'a na nosze i wywieźli go z pokoju. Leżał cicho, z zamkniętymi oczami. A jej umysł pędził jak szalony. Jaskinia, o której wiedziała Bubbles. Czy Lepescu też o niej wie? Ronnie ranny, nie w jaskini. Jakiego rodzaju są te rany? Jeśli został ranny, czemu go nie złapali? I znów: czy Lepescu wie o jaskini? Czy wiedzieli o niej inni, na których polowano? Czy wie o niej kapitan milicji, a jeśli tak...

Wróciła co Cecelii, która nie była już tak blada jak w chwili, gdy tutaj weszły.

– George został postrzelony, ale powinien przeżyć, zakładając, że Bunny ma w swoim szpitalu dobry oddział urazowy.

– Bardzo dobry – zapewniła Cecelia. – Szybka jazda na koniach nie jest bezpiecznym hobby. – Jej głos brzmiał trochę niepewnie, ale go kontrolowała.

– Jak dotąd nie stracił żadnych ważnych organów – dodała. – Słyszałaś, co mówił?

– Nie... Właściwie nie.

– Na wyspie jest jaskinia. Bubbles wiedziała o niej i George sądzi, że właśnie tam się ukrywają. – Odczekała chwilę, żeby się upewnić, że Cecelia zrozumiała. – Czy kapitan milicji będzie o niej wiedział? Czy kiedyś o niej słyszał?

– Jaskinia? Nie. Ja nie słyszałam. I nie wiem o nikim innym, kto by wiedział, poza dziećmi, które tam obozowały.

– Trzeba o niej powiedzieć kapitanowi. Jeśli tam faktycznie jest jaskinia, mogą się w niej ukrywać – czy to młodzież, czy myśliwi, czy ci, na których polowano. – Heris rozejrzała się wokół. Ktoś zabrał stąd trupa i rannego, a jedyny pozostały na miejscu medyk upychał w torbie sprzęt. – Nie możemy połączyć się z nim przez radio, bo Lepescu też by się dowiedział. Jeśli właśnie tam

ukrywają się młodzi...

– Polecimy tam i mu powiemy – oświadczyła Cecelia.

– Tak, ale... – Heris miała wątpliwości. Powiedziano im, żeby zostały tutaj i nie pakowały się w kłopoty, i zgodziła się na to. Rozejrzała się w poszukiwaniu dowodzącego.

Gdy go znalazła, zajętego zorganizowaniem transportu do szpitala dla George'a i drugiego ranego, nie miał ochoty jej wysłuchać.

Heris nie miała pojęcia, co znaczą insygnia na jego kołnierzu, ale zachowywał się jak sierżant służbista.

– Kapitan kazał paniom tutaj zostać – burknął. – I zostaniecie. Nawet nie wiecie, gdzie jest ta jaskinia, czy dzieciaki w niej są i czy ktoś jeszcze o niej wie.

– Dlatego właśnie... – zaczęła Heris, ale uciszył ją ruchem ręki.

– Kapitan ma dobre mapy wyspy i jeśli tam jest jakaś większa pieczara, będzie o niej wiedział. Tam jest cholerny bałagan... – Umilkli spojrzeli na nią ponuro, jakby podstępnie wydobyła z niego tę informację. – To, że dowodziła pani statkiem kosmicznym, nie znaczy, że ma pani prawo teraz rządzić. Kapitan Sigind polecił, żeby zatrzymać panie tutaj, i właśnie zamierzam to zrobić. A teraz proszę zejść mi z drogi, żebym mógł się zająć swoją pracą.

Heris przełknęła jego słowa, mimo że miała więcej lat doświadczenia niż ten mężczyzna lat życia.

– Przepraszam – powiedziała bardzo cicho. Nie ma sensu kłócić się z tego rodzaju ludźmi. Najlepiej go ominąć, a to można zrobić, znikając mu z oczu.

Rozdział 18

Księcia bawił pomysł wyjazdu na polowanie ze starszymi mężczyznami, politycznymi kumplami jego taty. Wiedział, że zaprosili go, by przypodobać się ojcu, ale i tak uważał to za pasjonujące. Nielegalne, ale pasjonujące. Oczywiście odwiedzał tę planetę już wcześniej, na zaproszenie lorda Thornbuckle'a. Wszyscy prędzej czy później przylatywali tutaj i jeździli niezliczone godziny na dużych, śmierdzących i wrednych zwierzętach w pogoni za mniejszymi śmierdzącymi i wrednymi stworzeniami. Właściwie było to głupie słyszał, jak inni – włącznie z tą grupą – naśmiewają się z tego na osobności. Ale lorda Thornbuckle'a to nie obchodziło. Mógł sobie na to pozwolić.

Ale tym razem to było coś innego. Cóż może być pasjonującego w pogoni za małym, niewinnym stworzeniem, które stworzono za pomocą biotechnologii tylko po to, by je gonić i zabijać? Tak posiedział admirał, a on przyznał mu rację. Inna zwierzyna – duża i bardziej niebezpieczna – gwarantowała większe ryzyko. Mój chłopcze, powiedział admirał (brzydził się jego ręką na swoim ramieniu, ale wiedział, że musi to wytrzymać), jest tylko jedna zwierzyna warta wysiłku. Pokaż, na co cię stać, dowiedź swojej siły, a przy okazji wykończ paru bezużytecznych kryminalistów. Później urządzimy wielkie przyjęcie. Z mnóstwem dziewczyn.

Nie spodziewał się, że będzie go z tego powodu dręczyło sumienie. Czuł się niepewnie, gdy czytał raporty o koloniach karnych, które zdaniem jego nauczyciela powinien poznać. To okrutne zamykać kogoś i przez całe lata zmuszać go do ciężkiej i niebezpiecznej pracy w paskudnym otoczeniu. Zabicie kogoś kulą w głowę było w porównaniu z tym aktem łaski. Wyraził taką opinię w niejednej rozmowie. Kiedy wyobraził sobie siebie w roli więźnia, doszedł do wniosku, że wolałby raczej zginąć w walce niż powoli umierać z nudów i przepracowania. Ale kiedy przyszło zaproszenie na to polowanie, poczuł podniecenie na myśl o jego nielegalnym charakterze i wiążącym się z nim prestiżu. Okazało się, że pragnie wzbudzać szacunek admirała Lepescu i senatora Bodina.

Mimo wszystko kiedy zabił pierwszą ofiarę, zaskoczyła go jego własna reakcja: mdłości i poczucie winy, zawstydzienie, niechęć do dotknięcia wytatuowanego ucha, które musiał odciąć, by zdobyć uznanie myśliwych. Zrobił to, ale obiecał sobie wtedy, że ograniczy się tylko do jednego. To musi wystarczyć, by dowieść jego umiejętności, pokazać, że nie jest tylko zepsutym utracjuszem, który wdaje się w sprzeczki z powodu śpiewaczki operowej (cytując ojca).

Tak więc po pierwszym zabójstwie bardzo łatwo przyszło mu zbyt długo grać w karty, za dużo pić i twardo spać, gdy ktoś pukał do drzwi. Wstał późnym rankiem po „krwawym przyjęciu”, jak to nazywali... i stwierdził, że dom jest cichy i prawie pusty. To mu odpowiadało. Bolała go głowa, a jego trofeum – ucho w słoju z utrwalaczem – wyglądało obrzydliwie. Popatrzył na nie ponuro, po czym zadzwonił po leki i śniadanie. Później wrócił do łóżka i zasnął, obiecawszy sobie, że znajdzie jakiś sposób uniknięcia dalszych polowań.

Ale teraz coś się stało. Nie wiedział co. Lepescu wyciągnął go z łóżka późnym popołudniem i uparł się, że znów musi polecieć z nimi na polowanie, czy tego chce, czy nie. Posłuszeństwo wobec starszych sprawiło, że znalazł się w śmigaczu, zanim zdążył zaprotestować, a wtedy było już za późno na sprzeciw. Wylądowali na wyspie i Lepescu zaczął mu mówić, dokąd ma iść i co robić, ostrym tonem, którego zapewne używał wobec swoich podwładnych we Flocie. Zanim zdążył odpowiedzieć, admirał zniknął.

Tej nocy księżę chodził po wyspie zły i zmęczony, nie znajdując niczego poza kałużami. W jednej z nich nawet wylądował i tylko szyty na zamówienie strój myśliwski uchronił go przed przemoczeniem. Słyszał jakieś strzały, ale były wystarczająco daleko, by go nie przestraszyć. O

świcie pojawił się Lepescu i wręczył mu zestaw żywnościowy.

– Musimy szybko wszystkich wyłapać – powiedział. – Nikt z nas nie wróci, dopóki tego nie zrobimy.

– Czemu? – zapytał książę. Na zestawie umieszczono zdjęcie tarty cebulowej, a on ich nie cierpiał. Miał ochotę na bułeczki z miodem sarmonowym, kielbaski i melona.

– Po prostu tak zrób – warknął Lepescu i odmaszerował wojskowym krokiem. Zmęczony i głodny książę usiadł i zjadł swoje wspaniałe śniadanie. Nie poszedł jednak za Lepescu i nie patrolował przydzielonego mu sektora wyspy. To przestało być zabawne czy podniecające, a stało się wyłącznie nudne, więc gdy tylko ktoś się pojawi, będzie nalegał na powrót do wygodnego łóżka na Bandon. Dopiero sporo po południu odnalazł go jeden ze służących, sprawiający wrażenie wojskowego; przyniósł mu dwa kolejne pakiety żywnościowe, butelki z wodą i ostrzeżenie. Ma zostać na wyspie, nie pić tutejszej wody, nie kontaktować się z nikim za pomocą komunikatora i strzelać do każdego, kogo nie da się zidentyfikować.

Książę był mocno zirytowany. Książętom nie robi się takich rzeczy. Nawet potężni gracze polityczni – nawet admirałowie – nie robią takich rzeczy swoim książętom. To miała być przygoda, a później dziewczęta i szansa na długie lata wspomnień i przyjaźni z ludźmi, którzy dowiedli, że są prawdziwymi mężczyznami. Teraz to przestało już być przygodą i od dłuższego czasu nikt nie wspominał o obiecanych dziewczynach. Nic nie powiedział służącemu, który odmaszerował niemal takim samym krokiem jak Lepescu, tylko zjadł wspaniały obiad, a później równie wspaniałą kolację i położył się w końcu tam, gdzie siedział (chroniony doskonałą peleryną), aby spać tak długo, jak będzie miał ochotę. A jeśli dopadną go kryminaliści, tym lepiej: głowa Lepescu wyląduje na szafocie.

Obudził go deszcz uderzający w osłonę jego schronienia i zapach mokrych liści. Dobrze. Nikt nie będzie łąził w czymś takim, a Lepescu będzie musiał pozwolić mu spać. Grzmoty i błyskawice nie przeszkodziły księciu w dalszym śnie.

* * *

Takiego admirała Lepescu, jaki obudził go w ociekającym wodą mroku po burzy, jeszcze nigdy nie widział. Mając teraz przed sobą jego zimne i wściekłe oblicze oraz szare oczy, w których czaił się potworny głód, bez trudu mógł uwierzyć w drastyczne plotki na jego temat. Awantura za niewypełnienie rozkazów wystraszyła go, a pogarda na twarzy admirała wzbudziła wstyd. Chciał przeproszać i tylko zasady wbijane mu do głowy od wczesnego dzieciństwa powstrzymały go przed tym.

– Nie rozumiem problemu – odrzekł sztywno, gdy Lepescu przerwał swoją tyradę. – To tylko kryminaliści...

– Nie musisz rozumieć – warknął admirał. – Musisz słuchać. – Potem, jakby nagle przypomniał sobie, z kim ma do czynienia, dodał: – Wasza Wysokość.

– Ale skąd ten pośpiech? Twierdził pan, że będziemy tutaj cztery lub pięć tygodni, a minęło dopiero...

– Ktoś wie o polowaniu – wyjaśnił admirał. – Na pewno nie chciałbyś, książę, by twój udział stał się powszechnie znany. Wiesz, jak wpłynęłoby to na twoją karierę. A bez twojej pomocy nie możemy ich wszystkich dorwać, zanim zostaniemy odkryci. Ktoś na pewno rozpozna Ser Smitha.

– Ale niewątpliwie... – zaczął książkę, jednak powstrzymał go wyraz twarzy Lepescu. – Dobrze – rzucił, próbując sprawiać wrażenie zdecydowanego, a nie przestraszonego. – Z przyjemnością pomogę. – Już w chwili, gdy to powiedział, zdał sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało, i poczuł, że czerwienieją mu uszy. Wciąż nie rozumiał, dlaczego nie mogą po prostu polecieć z powrotem na Bandon, wsiąść na prom lecący na stację orbitalną i znaleźć tam chętne dziewczęta, ale wiedział, że nie może o to zapytać Lepescu. Nie teraz.

Wraz ze świtem skończył się deszcz, choć chmury wciąż trzymały się grzbietu wzgórze i z ziemi podniosła się mgła. Gdzieś po drugiej stronie góry słońce mogło już przebijać się przez mgłę, ale nie tutaj. Książkę westchnął, wcisnął przycisk na pakiecie z posiłkiem i poczekał na jego podgrzanie. Pomyślał, że znów zapaskudzi sobie buty. Nienawidził błota. Cała ta wyprawa zaczynała wyglądać jak jeden wielki błąd, a nie przygoda. Mieli tu być w porze suchej, gdy nie będzie ryzyka ujawnienia ich obecności... a tymczasem jest mokry, ubłocony i grożą mu kłopoty z ojcem. To za wysoka cena za rozwalenie paru bandytów (a raczej jednego).

Mimo wszystko postanowił wykonać polecenie i ruszył przez zachodnią stronę wyspy. Nie włączył komunikatora, nie chciał, by rozpraszały go dochodzące przez niego wieści. Dwukrotnie zobaczył jakiś ruch, a ponieważ sprzęt nie rozpoznał myśliwego, strzelił w tym kierunku. Raz odpowiedziano mu ogniem. Znalazł dwa ciała kryminalistów bez uszu. Plan Lepescu – zagnanie bandytów do wnętrza wyspy, gdzie teren robił się coraz bardziej nierówny – nie miał dla niego sensu, ale mimo to szedł dalej. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Ruszył w górę korytem strumienia, ponieważ tak było mu łatwiej.

* * *

Grzechot spadających kamieni odbił się echem w całej jaskini. Bubbles była pewna, że jest wystarczająco głośny, by słyszeć go było na zewnątrz. Czyżby myśliwi znaleźli inne wejście? A może to Petris próbuje je odnaleźć?

– Musimy się stąd ruszyć – powiedziała. – Może znajdziemy jakieś lepsze miejsce, bo tutaj jesteśmy w pułapce.

– Dobry pomysł – zgodziła się Raffa. – Będziemy musiały zabrać świece i zaznaczyć drogę.

– Nie możemy, ktoś mógłby pójść po śladach.

– Skąd mieliby wiedzieć, kiedy zrobiono te znaki? Nie możemy pójść w głąb jaskini i nie wiedzieć, jak mamy wrócić.

– Racja. – Bubbles podniosła swój plecak i włożyła do niego wszystkie rzeczy Keva, które się zmieściły. Resztę musiała zabrać Raffa. Gogle dały jej niewyraźny obraz wnętrza jaskini i ciągnącej się po lewej stronie skalnej półki. Poniżej widziała gładką powierzchnię wody. Sprawdziła trzymanego w rękach karabin, upewniając się, że w komorze jest nabój, i przewiesiła go przez ramię. To przygoda, powiedziała sobie. Tak jak kiedyś, ale tym razem to wyjdzie tak jak trzeba.

Ruszyła skalnym korytarzem, żałując, że nie ma dość odwagi, by zapalić kwiecę. Kiedy dotarła do pierwszego zakrętu, przestała cokolwiek widzieć. Oparła się o wilgotną ścianę. Przed sobą miała całkowitą czerń. Woda kapiała do zbiornika jednostajnym rytmem. Gdzieś w oddali spadł kolejny kamień. Raffa dotknęła jej ramienia, a ona podskoczyła.

– Myślę, że teraz już możemy bezpiecznie zapalić świecę – powiedziała Raffa. – Nikt jej nie zobaczy od strony wejścia.

– Ale światło może odbijać się od wody – zauważyła Bubbles – i ktoś ukrywający się w ciemności je dostrzeże.

– Tak, ale jeśli nie będziemy miały światła, w końcu zejdziemy z półki – nie możemy cały czas wymacywać drogi.

– Wiem. – Znów głęboko odetchnęła. Ciemność napierała na jej oczy i twarz, niemal czuła chwytające ją kosmate łapki. To śmieszne. Nigdy dotąd nie bała się ciemności. Przesunęła gogle na czoło, żeby nie oślepił jej nagły błysk, i zaczęła pstrykać zapalniczką. Wreszcie zamigotało słabe żółte światło. Lekko oświetlona twarz Raffy wyglądała dziwnie, groźnie i w jakiś sposób podniecająco. Bubbles odsunęła od siebie tę myśl – nie ma czasu na myślenie, trzeba działać. Rozejrzała się. Były w wąskim, krętym i niskim korytarzu. Na przeciwległej ścianie zobaczyła rozmazany rysunek, zapewne nakreślony przez Kelly’ego. Wyglądał jak żaglówka z papieru. Zaczęła oświetlać pobliskie ściany. Kolejny rysunek, który tym razem przypominał drzewo, był umieszczony blisko czarnej szczeliny, która mogła być jakąś niszą albo innym korytarzem. Woda w centralnym zbiorniku sięgała do wszystkich ciemnych wejść, jakby właśnie stamtąd wypływała.

– Łódź oznacza wodę – oświadczyła w końcu Bubbles. – Woda płynie w dół, dociera do morza...

– To droga wyjścia? – zapytała Raffa.

– Wiemy, gdzie są drzewa. Nad tą jaskinią, ale pełno tam myśliwych. – Odwróciła się i ruszyła w dół drogą, która, jak miała nadzieję, prowadziła do morza.

Nagle usłyszały grzechot kamieni, teraz wyraźniejszy, dochodzący z oznaczonej drzewem szczeliny, a potem plusk. I krzyk.

– Światło! – warknęła Raffa, ale Bubbles już zdążyła je zdmuchnąć. Obie dziewczyny przytuliły się do siebie z bijącymi sercami. Bubbles widziała unoszące się w mroku czerwone i żółte plamy; to pewnie powidok płomienia świecy, pomyślała. Pluski były coraz bliższe. Bubbles odniosła wrażenie, że słyszy chrapliwy oddech i szuranie butów po kamieniach. Poczła na uchu ciepły oddech Raffy.

– Musiał zobaczyć światło.

Nie wolno im się poruszyć – na pewno by je usłyszał. Musi mieć broń z wyposażeniem do polowania w ciemności. Bubbles zdała sobie sprawę, że nadal ma gogle na czole, więc zsunęła je na oczy, ale w tym miejscu jaskini było za mało światła. Znów zaczęła na nią napierać czerń. Nienawidzę jaskiń, pomyślała.

– Nienawidzę jaskiń – rozległ się gdzieś niedaleko męski głos, któremu towarzyszył grzechot kamieni i plusk wody.

– Ronnie! – wykrzyknęła cicho Raffa. – To Ronnie!

Bubbles zajęła się ponownym zapaleniem świeczki w latarni.

* * *

Ronnie był cały mokry. Jego ubranie było oblepione gliną, a twarz zszarzała z wyczerpania. Chwiał się lekko w słabym świetle latarnianej świeczki.

– Nie jesteście myśliwymi – wychrypiał.

– Raffa. Bubbles – przypomniawszy mu Raffa słodkim głosikiem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej uczuć. – Nie pamiętasz? – Podeszła do niego ostrożnie, jakby był kruchym

ornamentem, który może się rozpaść pod jej spojrzeniem.

– Tak... – Jego głos osłabł. Trząśnięcie, jakby za chwilę miał upaść. Wokół jednego oka miał ciemną plamę. Bubbles zobaczyła zadrapania i rany na jego twarzy i dłoniach.

– Musisz wyschnąć i coś zjeść – rzekła. – Chodź, Raffa, zaprowadźmy go w suche miejsce. – Stał po kostki w wodzie, o krok od półki – ale jej nie widział, bo oczywiście cały czas szedł w ciemności.

Osuszenie dużego, bardzo mokrego i bardzo brudnego młodzieńca w wilgotnej jaskini okazało się znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Nie miały dla niego żadnych suchych ubrań i nie było czym go wytrzeć. Jedzenie – to zabrane ze sobą z pierwszej kryjówki – trzymał bezradnie w ręce, jakby nie pamiętał, do czego służy.

W końcu obie dziewczyny rozebrały go, zmagając się z mokrymi zapięciami i stawiającym opór materiałem, po czym użyły każdego dostępnego kawałka suchych ubrań do wytarcia go. Skórę miał zimną i równie nieprzyjemną w dotyku jak mięso z chłodni. Siedział skulony, dygocząc, i sprawiał wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z ich obecności. Bubbles podgrzała baton spożywczy nad świecą, aż zaczął skwierczeć i intensywnie pachnieć, po czym oderwała kawałek palcami.

– Proszę – powiedziała z naciskiem. – Zjedz to. – Otworzył usta, więc wsunęła jedzenie do środka. Poruszył lekko szczęką i przełknął.

– Ja to zrobię – zaoferowała się Raffa. – Ty pilnuj. – Ściągnęła koszulę i osłoniła nią ramiona Ronniego. Nawet nie spojrzał na jej nagość. Bubbles odwróciła wzrok, wstając.

Pilnuj. Dobry pomysł, ale jak? Potrzebowały światła świecy, ale przez to same stawały się widoczne. Musiały rozmawiać, więc można je było usłyszeć. Bubbles poszła z powrotem na skraj jaskini i wyjrzała. Dzięki goglom widziała na wodzie odbicie słabej smugi światła wpadającego do pieczary.

Trudna sytuacja. A jednak w ciszy wypełnionej cichym mrużeniem Raffy namawiającej Ronniego do jedzenia i kapaniem wody do jeziora, w prawie całkowitej ciemności, czuła się bezpieczna. Jakby przycupnęła w olbrzymiej dłoni. Pamiętała to uczucie z wycieczek na wyspę, gdy wyczuwała ziemię pod stopami jako czyjaś obecność. Jej koleżanki z klasy mówiły, że to głupie.

Tutaj znów czuła się sobą. Była prawdziwa. Nie tak jak wśród ludzi. Tutaj powróciła do czasów dzieciństwa, gdy uczyła się pływać na falach wśród syren, wspinać na skały i kopać rowy. Tutaj była małą dziewczynką nazywaną Bubbles, która uważała, że jest bohaterką jakiejś baśni... Poczowała, jak na jej twarzy pojawia się uśmiech. Była taką chłopczycą, jak mówili jej mama i bracia. Ale chłopczyce dorastają.

Choć nie zawsze, pomyślała. Ciotka Ronniego na przykład nie dorosła.

– Bubbles, już mu lepiej. Chodź.

Natychmiast zauważyła, że Raffa zapomniała użyć jej nowego imienia, do którego – jak teraz czuła – ma pełne prawo. Ale teraz nie czas na przejmowanie się tym. Wycofała się w stronę światła świecy, ściągając gogle z oczu. Raffa przysiadła obok Ronniego i Bubbles pomyślała, że z tej strony niewątpliwie jest mu ciepło. Na twarzy chłopaka wreszcie odbijały się jakieś uczucia: przygnębienie i troska.

– Złapali George’a – powiedział.

– Jak?

– Zatruli wodę. Pewnie nie wiecie...

– Wiemy – ucieła Bubbles. – Widziałyśmy. To dzięki temu znalazłyśmy tę jaskinię – szłyśmy w górę strumienia, szukając bezpiecznej wody. – Głos Ronniego wciąż brzmiał niepewnie i nie wiedziała, czy powinny skłaniać go do mówienia. Cokolwiek stało się z Georgem, to już przeszłość. Ale on odsunął ramię Raffy i zaczął opowiadać. Nie była wcale pewna, czy wszystko dobrze zapamiętał. Ile razy tracił przytomność albo usypiał? Gdzie dokładnie byli? Nie miał pojęcia, gdzie wleciał do jaskini, poza tym, że było to „w górę strumienia” od tego miejsca, w którym zostawił George’a.

– Nie martw się – próbowała go uspokoić Raffa. – Nic nie mogłeś poradzić, ale wszystko będzie dobrze.

Oczywiście wcale nie będzie. Gdyby Raffa chwilę pomyślała, wiedziałaby o tym. Ronnie pewnie wiedział, ale pozwalał, aby dziewczyna go ukołysała. Ona, Bubbles, wie, że nie wszystko będzie dobrze. Myśliwi mogli utrzymywać George’a przy życiu do czasu złapania reszty, ale zbyt wielu ludzi już zginęło. Zbyt wiele się zdarzyło. Niezależnie od tego, jak to się skończy, nic nie będzie takie jak dawniej.

– Musimy pomóc George’owi – oświadczył Ronnie. Głos miał chrapliwy, jakby się przeziębził. – Musimy wydostać się z tej jaskini. – Spróbował wstać, ale Raffa pociągnęła go z powrotem na ziemię.

– Nie, przynajmniej do czasu, aż myśliwi zrezygnują – odpowiedziała Bubbles. Wiedziała, że tego nie zrobią, ale nie chciała, żeby Ronnie zaczął wrzeszczeć i wyrywać się; mógłby zdradzić, gdzie są.

– Prawdopodobnie i tak zabrali go już na Bandon – dodała Raffa. – Jeśli od razu go nie zabili. – Sądząc po jej tonie, nie potrafiła sobie wyobrazić jego śmierci, podobnie jak Bubbles. George na pewno jest na Bandon, związany jak bohater kostki przygodowej, żeby później ktoś mógł go uratować i oddać w ręce przyjaciół. W kostce to ona, Bubbles, byłaby jego dziewczyną – blondynką, która przywita go ognistym pocałunkiem, zanim zabrzmie końcowa muzyka.

Problem w tym, że nie pragnęła śmierci George’a, ale nie miała też ochoty zostać modelową blondynką. Teraz jest Brun, a nie Bubbles, i jak dotąd Brun nie ma jeszcze swojej roli. Odsunęła tę myśl na bok, do późniejszej analizy, i rzuciwszy spojrzenie Raffie, zabrała się za pocieszanie Ronniego, aby nie zrobił czegoś głupiego.

* * *

Odcisnięte w błocie ślady prowadziły do stromego urwiska, gdzie spod gęstej zasłony z pnączy wypływała woda. Książę poczuł się bezpiecznie, otoczony porośniętymi roślinnością ścianami, choć zdawał sobie sprawę, że tu też może czaić się niebezpieczeństwo. Ktoś w górze z łatwością mógłby go zastrzelić. Ale był zmęczony, głodny i zły. Bolały go nogi. Krople wody z mokrych liści spadały mu na kark. Co mogło się stać? Gdzie są obiecane dziewczyny?

W samotności i ciszy mógł przeanalizować swoje uczucia. Dawno temu – w każdym razie takie miał wrażenie – chodził do szkoły z chłopakami, którzy znali się od lat, podczas gdy on do tej pory był izolowany na dworze. Ktoś pomyślał, że fajnie będzie zażartować kosztem księcia, zmuszając go do spóźnienia się na pobudkę. Ethar Krinesl, przypominał sobie. W ciemną, deszczową noc wyciągnięto go z łóżka, obiecując spotkanie z dziewczynami z pobliskiej szkoły. Przemykał się przez kampus, pokonywał błotnistą fosę, a tymczasem (jak się później dowiedział) pozostali chłopcy zszywali jego ubranie, aby nie mógł rano się ubrać. A niewyraźna postać, która pojawiła się w

ciemności i z chichotem zgodziła się go pocałować, okazała się starszym bratem Ethara, Potimem. Na dodatek Ethar rejestrował wszystko na kostce.

Choć wspomnienie było bolesne, poczuł się lepiej. Teraz rozumiał, co się dzieje. Wszyscy pozostali mężczyźni są starsi i tworzą ścisłą klikę. To wszystko jest żartem, sprawdzają. Po jakimś czasie, gdy uznają, że został dostatecznie poniżony, ujawnią się i przyjmą go do grupy, tak jak to zrobił Ethar ze swoją bandą. To irytujące, ale zrozumiałe. Książę poczuł dumę, że wszystkiego się domyśli, że okazał się bardziej dojrzały niż ci zachowujący się tak dziecinnie starsi mężczyźni. Powinni byli zdawać sobie sprawę, że nie spanikuje, przecież już zabił człowieka i dowiódł swej wartości. Pewnie usunęli mu z drogi kryminalistów i wcale nie narażali go na niebezpieczeństwo. A może bandytów wcale nie uzbrojono. Byłoby to nieeleganckie zachowanie, ale za to rozważne.

Nagle usłyszał głos dziewczyny. Cichy, ledwie słyszalny, ale mógł należeć wyłącznie do dziewczyny – ukrytej gdzieś niedaleko i wydającej czułe odgłosy. A więc jednak dotrzymali obietnicy – dziewczyny rzeczywiście były elementem całej zabawy. Rozejrzył się wokół.

Znów usłyszał głos; dobiegał wprost ze wznoszącej się przed nim skały. Potem zauważył dwa duże odciski butów, częściowo ukryte pod pnączami. Poczuł ogarniające go podniecenie. Jaskinia. To tam musi być grotą pełną obiecanych mu dziewczyn, ukrytych do czasu zakończenia niebezpiecznej części polowania. Ale on je odnalazł – i może nawet przed innymi myśliwymi. Podszedł, ostrożnie podniósł zasłonę z roślinności i zajrzał w mrok. Okazało się, że stoi na skraju sporego jeziora. Wyciągnął z kieszeni gogle wzmacniające światło i po ich założeniu wsunął głowę do jaskini. Na powierzchni wody widać było słabe odbicia światła. A więc najwyraźniej ktoś był w środku. Wyczuwał zapach ciepłego jedzenia i znów słyszał ludzkie głosy, zniekształcone przez kamienne ściany i wodę.

Czyżby uwięzili dziewczyny na jeziorze? Nie, pewnie przez cały ten deszcz podniósł się poziom wody, a dziewczyny siedzą gdzieś w środku, bezpieczne i suche. Wyobraził sobie skalne szczeliny i wnęki wymoszczone kolorowymi poduszkami i dywanami oraz nagie nimfy kąpiące się w czystych podziemnych jeziorach i strumieniach. Mając na oczach gogle, powinien bezpiecznie odszukać do nich drogę, a sięgająca do kostek woda nie powinna stanowić żadnej przeszkody dla jego butów.

Teraz, gdy polowanie zostało już zakończone – albo prawie zakończone – nie widział powodu, by nie wchodzić do jaskini. Po usunięciu wiszących pnączy ujrzał duży otwór. Dzięki większej ilości światła wpadającego do wnętrza mógł nawet bez gogli obejrzeć pierwszą komorę. Teraz jeszcze wyraźniej słyszał zniekształcone kobiece głowy. Pomyślał, że pozostali myśliwi będą zaskoczeni, gdy odkryją, że znalazł to miejsce sam, jeszcze przed zaplanowanym rozpoczęciem imprezy. Teraz widział, że odciski butów widoczne u wejścia prowadzą w głąb jaskini. Oczywiście jeśli ktoś pójdzie za nim, będzie wiedział, że wszedł do środka, ale przecież on przed nikim się nie ukrywa – a już z całą pewnością nie przed nieuzbrojonymi bandytami.

Z powodu światła wpadającego zza pleców nieco źle widział. Niektóre miejsca były zbyt jasne, inne pełne niewyraźnych odbić i musiał wymacywać drogę. Postanowił więc iść w lewo, zostawiając sobie wolną prawą rękę, w której trzymał broń. Nie żeby jej potrzebował, tego był pewien. Dziewczyny mogą się przerazić na jego widok, ale ma plakietkę potwierdzającą, że jest myśliwym, a później... Potknął się o coś i stłumił przekleństwo. Zabawniej będzie podkraść się do nich. Zapach gotowanego jedzenia przybrał na sile.

Oślepiło go nagłe odbicie światła, więc ściągnął gogle, mrugając. Teraz nic nie widział. Stojąc nieruchomo w ciszy, słyszał szmer przepływającego strumyka. Po paru chwilach jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności i zobaczył słaby poblask światła odbijającego się od wody. Skradał się przez mrok, zadowolony z siebie, pewny, że wie, co za chwilę zobaczy. Światło przybrało na

sile. Wymacał drogę wokół skalnego załomu i...

W pierwszej chwili poczuł rozczarowanie – a jednak nie był pierwszy. Jakaś ciemnowłosa dziewczyna siedziała obok pierwszego szczęściarza i obejmowała go ramionami. Książę zdążył się jeszcze zastanowić, czemu woli ją od hojnie obdarzonej przez naturę blondynki, po czym następna myśl wywołała falę słusznego gniewu. To Ronnie!

– Ty ohydny draniu! – krzyknął. – Co ty tu... – Umilkł, gdy uświadomił sobie, że dwa czarne otwory przed jego twarzą to wyloty luf strzelb myśliwskich, takich samych jak jego broń. Obie dziewczyny, blondynka i czarnowłosa, trzymały je pewnie w rękach. – Wy też jesteście myśliwymi? – zapytał z nerwowym uśmiechem.

Ronnie obrócił głowę w jego stronę i wtedy książę zobaczył podbite oko i twarz pełną siniaków.

– Na świętą ciotkę – jęknął Ronnie głosem, który wcale nie przypominał jego zwykłego głosu. – To książę.

– Gerel? – zapytała blondynka. Przyjrzała mu się uważnie, ale nie opuściła broni. Nawet gdy kiwnęła głową, lufa strzelby nawet nie drgnęła. – Faktycznie. Wiecie co? Jego też nie ma na liście.

Książę wciągnął głęboko powietrze. Cokolwiek się tu dzieje, nie może być częścią planu.

– Żądam, by natychmiast mi wyjaśniono, o co tu chodzi – oświadczył stanowczo. – Jestem tutaj na zaproszenie... – Nagle jednak zdał sobie sprawę, że nie może dokończyć tego zdania. Ronnie mógłby to komuś przekazać i sytuacja stałaby się kłopotliwa. – Mógłbyś przedstawić mnie tym... eee... młodym damom – powiedział zamiast tego.

Ronnie wydobył z siebie coś w rodzaju chrapliwego szczeknięcia, co może miało być śmiechem, ale zabrzmiało żałośnie. Ciemnowłosa dziewczyna dotknęła jego ramienia, nie opuszczając broni. Blondynka zaś roześmiała się głośno.

– Przedstawić mnie? Na bogów, Gerel, tańczyłeś ze mną już w szkole wstępnej.

– Nie przypominał sobie, żeby z kimś takim kiedykolwiek tańczył.

Ta dziewczyna w wymiętych spodniach i koszuli, z włosami odgarniętymi za uszy, sprawiała wrażenie o pięć do dziesięciu lat starszej od niego; wyglądała na kogoś poważnego i nawet niebezpiecznego.

– Bubbles – powiedziała w końcu. – Córka lorda Thornbuckle’a. Teraz mnie sobie przypominasz?

Bubbles. Ronnie. To wszystko nie ma sensu. Jeśli to Bubbles – a przypuszczał, że tak, choć nie poznawał jej w tym ubraniu i fryzurze – to nie może być jedną z tych dziewczyn, o których wspominał Lepescu. Te dziewczyny były... inne, z innych rodzin niż dzika siostra Buttonsa, Bubbles.

– Raffaele? – zapytał niepewnie.

– Oczywiście – potwierdziła brunetka.

Jej głos rzeczywiście przypominał głos Raffy. Książę przełknął ślinę i poczuł, że musi usiąść.

– Nie rozumiem – oznajmił.

– Masz jakąś plakietkę identyfikacyjną – zauważyła Bubbles. – Co to jest?

Zapomniał o jaskrawym znaczkach na kołnierzu, który wysyłał sygnały do innych myśliwych.

– To? Pozwala innym myśliwym rozpoznać mnie.

– Innym... myśliwym. – To znów Raffaele. Jej głos brzmiał ponuro, wcale nie tak jak głos bystrej dziewczyny o radosnym uśmiechu, który zapamiętał z zeszłorocznych bali. – Lepiej odłóż strzelbę – powiedziała, nie używając ani jego imienia, ani tytułu. To go zaniepokoiło, choć nie bardzo wiedział

dłaczego.

– Jeśli należycie do nas... – To też nie ma sensu. Znał pozostałych myśliwych, wszyscy byli w domku. Na pewno nie widział tam dziewczyn ani Ronniego.

– Myślałem, że wysłano cię gdzieś za karę – zwrócił się do chłopaka.

– Odłóż broń – poleciła Bubbles. Kiedy na nią spojrział, poczuł niemal fizyczne uderzenie emanującej od niej wściekłości. – Już – dodała.

– Ależ to niedorzeczne – zaprotestował. – Jestem księciem, jesteśmy przyjaciółmi. Czemu miałbym...

– Ponieważ w ciebie celuję – wyjaśniła Raffaele. – Tak samo jak Bubbles. I ponieważ stoisz tu z taką samą plaketką jak ludzie, którzy próbowali nas zabić.

– Zabić was? Czemu?

– Rzuć to! – wrzasnęła nagle Bubbles. Jej głos odbił się od ścian jaskini i powrócił zniekształconym echem. Gdzieś zagrzecotały kamienie, jakby sam głos wystarczył do skruszenia skał. Książę niejasno uświadomił sobie, że to jego broń upadła ze stukotem na kamienie. – Gerel, ty idioto – powiedziała znacznie ciszej. – Założę się, że przyprowadziłeś tu za sobą pozostałych.

* * *

Heris aż kipiała w środku. Oczywiście, że nie ma prawa dowodzić, ale to chyba powinno być oczywiste, że ustalenie miejsca pobytu młodych ludzi jest niezwykle ważne. Wyprowadziła Cecelię z pomieszczenia. Musi być jakiś sposób... Może udałoby się przejąć śmigacz...

Rozdział 19

– Przepraszam panią. – To był młody milicjant, którego szczerą twarz mogła wzbudzać zaufanie. Heris kiwnęła mu głową.

– Tak? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Mówiła pani, że wie, gdzie może być panienka. Potrzebowała chwili, żeby go zrozumieć. Panienka? Oczywiście, chodzi o Bubbles.

– Nie jestem pewna – odparła. – Czemu pan pyta?

– Zabrałbym panią, żeby mogła pani powiedzieć kapitanowi – wyjaśnił mężczyzna. – Jeśli pani chce...

Oczywiście, że chciała, ale czemu ten mężczyzna pragnie jej pomóc?

– A co z pańskim szefem? – zapytała.

Zaczerwienił się, ale i uśmiechnął.

– Cóż, wie pani... Bortu właśnie dostał awans. Jeszcze nigdy nie brał udziału w czymś takim.

To faktycznie mogło wszystko wyjaśniać. Ale z drugiej strony... Heris spojrzała na Cecelię.

– Co o tym myślisz? Ten... Jak się pan nazywa?

– Dussahral, proszę pani.

– Ten człowiek mówi, że może nas zabrać na drugą wyspę na spotkanie z kapitanem. Chcesz z nami polecieć?

– Oczywiście – zapewniła z przekonaniem Cecelia.

– Dzięki. – Heris uśmiechnęła się do milicjanta. – Niech pan znajdzie śmigacz, a my tymczasem wstąpimy do... – Kiwnęła głową w stronę jakichś drzwi w korytarzu.

– Tylko proszę się pospieszyć. Na wypadek, gdyby Bortu czegoś się domyślił.

– Tylko chwila, słowo. – Obie kobiety ruszyły do łazienki.

– O co tu chodzi? Nie muszę...

– Owszem, musisz. Potrzeba nam kilku minut na przygotowanie planów, a poza tym nigdy nie idzie się do walki z pełnym pęcherzem.

– Nie idziemy do walki, po prostu lecimy na wyspę, aby powiedzieć kapitanowi milicji, gdzie szukać Ronniego.

Heris złapała pracodawczynię za ramię i obróciła ją do siebie.

– Posłuchaj. Lecimy na niebezpieczny teren, gdzie ludzie strzelają do siebie – prawdopodobnie trzy różne grupy ludzi i wszyscy do siebie strzelają – ale jeśli ty znasz lepszą definicję walki, to powiesz mi, gdy po powrocie będziemy bezpiecznie wygrzewać się w wannach. W tej chwili bardzo ryzykujemy, ponieważ nie ma powodu, żeby ufać Dussahralowi.

– Ale on chce nam pomóc.

– Tak powiedział. Ale czy pomyślałaś o tym, że Lepescu też może chcieć się dowiedzieć o tej jaskini? A jeśli ma wśród milicjantów agenta, który bardzo chciałby mu o tym powiedzieć?

Cecelia zmarszczyła brwi.

– Czemu miałyby być tak głupi, by trzymać się przegrywającej strony? Bystry agent przyczaiłby się, żeby zobaczyć, co będzie dalej.

– Nie wszyscy agenci są bystrzy. Dussahral może być całkowicie niewinny i lojalny wobec Bunny’ego, ale... – Heris weszła do kabiny i mówiła dalej przez zamknięte drzwi. – Ale jeśli nie jest, potrzebujemy dobrego planu. Zabierzemy naszą broń. On będzie uważał, że z naszej dwójki to ja jestem bardziej niebezpieczna. Jeśli mnie zaatakuje, musisz go zastrzelić.

Cecelia również weszła do kabiny. Heris usłyszała skrzypnięcie deski.

– Ja? Nigdy nikogo nie zastrzeliłam. Tylko zwierzynę.

– Nowe doświadczenia odmładzają. Musisz, nie będzie się tego po tobie spodziewał. Po prostu trzymaj na wszelki wypadek pocisk w komorze i nie zastrzel mnie przez pomyłkę. – Heris wyszła z kabiny i umyła ręce. Kiedy Cecelia również wyłoniła się ze swojej kabiny, miała dziwny wyraz twarzy.

– Oddajesz swoje życie w moje ręce.

Kapitan wzruszyła ramionami.

– Ty oddajesz mi swoje wraz ze statkiem. Zresztą zabieram cię w bardzo niebezpieczne miejsce i ty też możesz zginąć. Pamiętaj o tym, gdy zaczniesz się zastanawiać, czy naprawdę powinnaś strzelić. – Potem uśmiechnęła się. – Hej, nie martw się. Mam pod ubraniem pancerz osobisty. On o tym nie wie, co będzie bardzo pomocne. I nie gap się na niego, jakbyś go o coś podejrzewała. Niech myśli, że jesteś tylko bezradną starą kobietą, która martwi się o siostrzeńca.

Cecelia prychnęła i jej policzki odzyskały zwykłą barwę.

– Teraz już wiem – rzekła – w jaki sposób dowodziłaś statkiem. – Wyszyły na zewnątrz ramię przy ramieniu, jakby nie miały nic lepszego do roboty niż pozwiedzać okolicę, a strażnicy stojący przy drzwiach uśmiechnęli się do nich i ukłonili.

Kiedy dotarli na parking, Dussahral właśnie wtaczał jeden ze śmigaczy na miejsce dla pojazdu zaopatrzeniowego. Sprawiał wrażenie spiętego i podnieconego, ale można to było łatwo wytłumaczyć. Heris uśmiechnęła się i przyjęła jego pomoc przy wsiadaniu do pojazdu.

– Lady Cecelia powinna usiąść z tyłu – zauważyła. – Na wypadek jakiejś zbłąkanej kuli. – Milicjant kiwnął głową.

– Chce pani prowadzić jako drugi pilot? – W śmigaczu drugi pilot nie miał zbyt wiele do roboty, ale Heris chętnie się zgodziła.

– Będę się rozglądać – powiedziała. – Może uda mi się zauważyć kapitana. – Było to mało prawdopodobne, ale mężczyzna odprężył się, jakby uspokoił go jej brak doświadczenia w operacjach lądowych.

Przelot na drugą wyspę zajął im zaledwie kilka minut; wyglądało na to, że tę odległość dałoby się nawet przebyć wplaw. Heris zwróciła uwagę na ciągnące się wzdłuż wyspy wzgórze, wyższe niż te na Bandon, plaże na południu i wschodzie oraz dwa śmigacze zaparkowane na południowym cyplu. Grupa milicjantów kręciła się wokół czegoś, co wyglądało na ciała. Miała nadzieję, że Cecelia ich nie zauważyła.

– Czy to śmigacz kapitana? – zapytała Dussahrala. – Czy nie powinniśmy tam wylądować?

– Nie, to numer dwa. Kapitan musi być gdzie indziej. Polecę wzdłuż plaży. – Powoli ruszyli na północ. Heris bezskutecznie próbowała przebić wzrokiem zasłonę z gęstej roślinności. Nagle Dussahral dotknął jej ręki i wskazał leżący na plaży śmigacz. Nie należał do dowódcy, numer seryjny wskazywał, że to ten, którym wyleciała Bubbles. Heris zauważyła dziurę w jednym boku; znów miała nadzieję, że Cecelia jej nie dostrzegła. Śmigacz nie wylądował ani też nie rozbił się tak po prostu –

ktoś go zestrzelił. Zrobiło jej się zimno.

Dussahral skręcił śmigaczem w głąb łądu i znaleźli się nad skalistym grzbietem na środku wyspy, gdzie wciąż przewalały się kłęby mgły. W czasie lotu po drugiej stronie wzgórza mężczyzna nagle machnął ręką.

– Tam...coś widziałem. Wyląduję na tej polance.

Heris pomyślała, że polanka mogłaby być doskonałym miejscem na pułapkę, ale oczywiście nie powiedziała tego na głos. Nie dostrzegła też ani śladu śmigacza kapitana. Ale jeśli na wyspie faktycznie jest jaskinia, niewątpliwie musi się kryć gdzieś wśród tych wzgórz.

Dussahral podszedł do lądowania; tak gwałtownie opuścił śmigacz, że Heris wstrzymała oddech. Wylądowali bardzo twardo, aż poczuła uderzenie w czubek głowy... ale dzięki temu mogła zachowywać się tak, jakby była mocno oszołomiona. Przez lekko przymknięte powieki obserwowała, jak milicjant zmienia ustawienia komunikatora śmigacza i przestawia przełącznik transmisji, a potem odsuwa kopułkę kabiny.

– Chodźcie – ponaglił obie kobiety. – Jestem pewien, że widziałem tam sygnał kapitana. – Wskazał teren powyżej. – Pomogę wam. Wie pani, gdzie może być ta jaskinia? – Wszystko to mówił wystarczająco głośno, by zostało wychwycone przez mikrofon komunikatora.

Heris odsunęła jego rękę, jakby nie potrzebowała jego pomocy, po czym celowo niezdarnie wysiadła ze śmigacza. Jej karabin wisiał luźno na ramieniu. Dussahral czekał, aż Cecelia wysiądzie, a Heris miała nadzieję, że twarde lądowanie nie osłabiło refleksu starszej damy i że milicjant okaże się tak głupi, jak dotąd wskazywało jego zachowanie. Będą mogły szybko się go pozbyć i przeszkodzić Lepescu, skoro Dussahral już ujawnił fakt istnienia jaskini.

Mężczyzna prowadził je przez las, w górę zbocza, a potem korytem niewielkiego strumyka. Heris wolałaby od razu go zaatakować, ale miała nadzieję, że zaprowadzi je do Lepescu – może faktycznie dostrzegł jakiś sygnał, którym się kierował – dlatego byłoby głupio działać zbyt wcześnie. Po pewnym czasie milicjant zatrzymał się i wskazał na skalne urwisko. – Tam. Kapitan chyba jest tam na górze. Ja wrócę i będę pilnował śmigacza.

– Nic nie widzę – powiedziała Heris płaczliwym tonem. Faktycznie chciało się jej płakać: nie pomyślała, że milicjant po prostu szukał pretekstu, aby sprowadzić tu śmigacz, którym Lepescu mógłby uciec. Może admirał już w tej chwili odlatywał w jakieś bezpieczne miejsce. – Gdzie? – spytała i przepchnęła się obok niego, dając mu okazję do ataku. I rzeczywiście poczuła mocny uchwyt na ramieniu i wbitą w żebra lufę. Przez chwilę była ciekawa, czy pancierz wytrzyma strzał z przyłożenia, ale mężczyzna przesunął broń w górę, jakby wiedział, że ma osłonę. Oczywiście – widział pancierz lady Cecelii i domyślił się, że ona też go ma.

– Zatrzymamy się tutaj, drogie panie. – Jego głos już nie brzmiał przyjemnie. – Myślę, że admirał Lepescu będzie miał coś do powiedzenia kapitan Serrano.

Cecelia wydała z siebie przerażony pisk i Heris zamarła. Ach, ci cywile. Dussahral prychnął.

– Nie będzie mi pani sprawiać żadnych kłopotów, prawda? – zapytał. – Wiem, że wielkie damy nie chodzą z naładowaną bronią, więc proszę nie udawać, że mnie pani zastrzeli.

– Nie zrobię tego – zapewniła Cecelia z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. – Ja... ja... Nie krzywdź jej.

– Rzuć broń – polecił Dussahral. Heris zaczęła się zastanawiać, czy zdoła sięgnąć do ukrytego w bucie noża, ale uznała, że nie ma szans. Cecelia trzymała niezdarnie swój karabin w ramionach, jakby był jej dzieckiem, skierowany lufą w jej stronę. Heris pomyślała, że pewnie nawet nie ma pocisku w

komorze. Dussahral westchnął. – Słuchaj, damulko. Nie strzelisz do mnie z nienaładowanej broni, nie dam się oszukać. Albo ją rzucisz, i to już, albo zastrzelę także ciebie, a nie tylko twoją koleżankę. – Cecelia nic nie odpowiedziała, a Heris pomyślała, że jej mina idealnie pasuje do powiedzenia „skamieniała ze strachu”. Dussahral przeniósł środek ciężkości z jednej nogi na drugą. Heris spróbowała to wykorzystać, by móc się wyrwać, ale cios w głowę nadszedł za szybko. Nie straciła przytomności, ale zatoczyła się, gdy mężczyzna puścił ją i skierował broń w stronę jej przyjaciółki.

I wtedy karabin Cecelii wystrzelił. Rozległ się paskudny dźwięk uderzenia pocisku w kość, a potem Dussahral upadł. Heris zamarła. Odpowiedział jej twardy wzrok pracodawczyni.

– Mówiłaś, żeby wybrać odpowiednią chwilę. – Na policzkach Cecelii pojawiły się rumieńce. – Chyba mi się udało. – Trzymała karabin pewnie, jakby wcale się nie denerwowała.

– Niech to szlag. – Heris pomacała głowę. Bolała ją, ale żyła i nie została nawet ranna, a tymczasem Dussahral leżał martwy, z kawałkami mózgu rozrzuconymi na sporym kawałku leśnego poszycia. – Tak, udało ci się. Ale przez chwilę myślałam...

– Chciałam, żeby się od ciebie odsunął... a przynajmniej zabrał broń. – Nagle Cecelia zadrżała. – Jeszcze nigdy... tego nie zrobiłam. Nie zabiłam człowieka.

– Doskonale sobie poradziłaś. – Heris podniosła własny karabin i podeszła do przyjaciółki. – Uratowałaś mi życie. – Dopiero teraz pomyślała, jaką głupotą z jej strony było stworzenie Dussahralowi okazji do ich zabicia. Gdyby popełniła ten sam błąd z Lepescu...

– Cieszę się, że to zrobiłam, ale... to takie paskudne.

– Tak, to zawsze jest paskudne. – Heris wzięła Cecelię za ramiona i odwróciła tyłem do trupa, ale ta zaprotestowała.

– Nie. Skoro to zrobiłam, powinnam zobaczyć skutki. – Podeszła do ciała, wokół którego zaczęło już krążyć trochę much. – Ta chwila między życiem i śmiercią jest taka krótka. A nam się wydaje, że mamy całe lata... – Heris nie chciała jej mówić, ile czasem trwa umieranie od ran. Nie teraz. Czeka na nich inna zwierzyna.

– To zdumiewające – kontynuowała Cecelia – jak wielu takich jak ten młodzieńców uważa, że starzy ludzie są słabi psychicznie i łatwo się rozsypują w niebezpiecznych sytuacjach. – Kiedy Heris spojrzała w jej oczy, przebiegł ją dreszcz. Były zimne i bez wyrazu. – A tymczasem my robimy wszystko to, co oni sobie tylko wyobrażają, że może kiedyś zrobić. Przy takiej – czy innej okazji.

* * *

– Ależ to szaleństwo – zaprotestował książę. Mówił to już wcześniej i Ronnie podejrzewał, że nie przestanie tego mówić aż do śmierci. – Nikt by was nie zabił – nie w taki sposób. Dajcie mi połączyć się z admirałem Lepescu, a wróćcie do cywilizacji. – Po tym, jak rzucił broń, dziewczęta niechętnie opuściły własną i pozwoliły mu usiąść. Nie chciał uwierzyć, że naprawdę grozi im niebezpieczeństwo, i wciąż bronił myśliwych.

– A co z pozostałymi? – zapytał Ronnie. – Z załogą Serrano?

– Musiało dojść do jakiejś pomyłki – oświadczył stanowczo książę. – Ci ludzie to kryminaliści, skazani dożywotnio na ciężkie roboty. Dano im możliwość pracy na jakiejś kolonii w zamian za złagodzenie kary. Dla niektórych ludzi to lepsze niż życie w więzieniu.

Ronnie pomyślał, że jeszcze niedawno sam tak twierdził. Spory dotyczące kary śmierci kontra dożywocie były jednym z najczęściej poruszanych w kantynie tematów. Oczywiście nikt z

debatujących nigdy nie spodziewał się, że sam zetknie się z takim problemem.

– To nie są bandyci – zaprotestowała ostro Raffa. – To przyzwoici ludzie, którzy narazili się twojemu admirałowi.

– Wiem, że w niektórych kręgach modne jest buntowanie się przeciwko wymiarowi sprawiedliwości – odpowiedział wyniośle książę – ale wszyscy ci ludzie zostali osądzeni, uznani za winnych i skazani. Myślicie, że trafiliby tutaj, gdyby tak nie było?

Zapadła długa cisza. W końcu przerwała ją Bubbles.

– Szczerze zaskoczyła mnie twoja obecność na tej wyspie. Czy twój ojciec popiera polowania na ludzi? Ostatnio słyszałam, jak beształ mojego ojca za polowania na lisy.

Znowu cisza.

– Cóż, właściwie on o niczym nie wie – przyznał książę, patrząc na swoje buty. Wyglądał na młodszego, niż Ronnie pamiętał, przypominał uczniaka. – Powiniennem być na powietrzno-kosmicznym posterunku na Navernn. Admirał Lepescu mi to załatwił.

– Hmmm. I naprawdę myślisz, że twój ojciec to zaakceptuje, nawet jeśli rzeczywiście są to skazani kryminaliści? Oni zresztą nie są przestępcami, ale zostawmy to na chwilę. – Bubbles odłożyła broń na bok, jakby książę nie stanowił już zagrożenia. Ronnie pomyślał że faktycznie tak jest, jeśli nie liczyć jego uporu. Książę postukał butem w ścianę.

– Zapewne nie. Ale mój ojciec nie musi wiedzieć o wszystkim, co robię, a poza tym absolutnie nie miał nic przeciwko moim kontaktom z pozostałymi członkami klubu. Z ludźmi władzy, z... z...

– Z ludźmi mającymi wpływy – podsunęła mu Bubbles. W jej ustach to słowo zabrzmiało tak, jakby miało małe nóżki przebierające szybko po ziemi.

– Rzecz w tym – wtrącił się Ronnie – że musimy się stąd wydostać i uratować George’a.

– George’a? Wstrętny George Starbridge Mahoney też tutaj jest? Doskonałe. – Książę zachichotał, opierając się o kamienną ścianę. – Nie martwcie się, nikt nie robi George’owi krzywdy, gdy się zorientują, kim jest jego ojciec.

– Wiedzą, kim jest mój ojciec, a mimo to próbowali mnie zastrzelić – zauważyła Bubbles.

Ronnie zdał sobie sprawę, że dziewczyna zmieniła się, tak samo jak oni wszyscy, i to nie w taki sposób, jak można by się spodziewać. Sprawiała wrażenie kogoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę.

– Oczywiście – kontynuował książę, ignorując ją – gdy tylko wrócimy do cywilizacji, będziemy musieli wyrównać rachunki, Ronnie. Nie można tego tak po prostu zostawić – będziemy musieli stoczyć pojedynek.

Ronnie osłupiał.

– Pojedynek? Oficjalny pojedynek?

– Oczywiście, że oficjalny. To nie byłoby konieczne, gdybyśmy się nie spotkali, ale stało się inaczej. A ja ci mówiłem, że jeśli zobaczę cię przed upływem roku, będę na to nalegał. To sprawa honoru.

– Książę wyprostował się i spojrzał na dziewczyny. Bubbles wybuchnęła śmiechem, a Raffa tylko popatrzyła na niego z pogardą. Ronnie nie wiedział, czy powinien się śmiać, czy płakać.

– Słuchaj – spróbował rozsądnej argumentacji. – Ta sprawa jest już skończona. Było, minęło. Ona jest tylko twoja i przykro mi, że to wszystko mówiłem. Nie będę już nigdy zwracał ci głowy, ale...

– Nie zamierzasz chyba stchórzyć przed pojedynkiem, co?

Ronnie poczuł, jak ogarniająca go fala wściekłości cudownie odświeża jego umysł.

– Nie zamierzam udawać, że przebijam cię holograficznym mieczem z powodu głupiej sprzeczki o głupią śpiewaczkę operową, która w tej chwili zapewne śpi z naszymi młodszymi braćmi! Nie dociera do twojej łepetyny, że polują na nas ludzie z prawdziwą bronią, którzy chcą nas naprawdę zabić? Na nas – Bubbles, Raffę, George’a i mnie. Nie zamierzam już bawić się w twoje głupie gierki.

– Honor – oświadczył ksiązę – to nie gra.

– Masz rację, to nie gra. Ale mój honor nie zależy już od tego rodzaju rzeczy, jakimi zajmowaliśmy się w regimencie. Teraz potrafię go inaczej mierzyć.

– Ale co ja im powiem, kiedy wrócę do domu?

– Jeśli wrócisz – rzuciła Bubbles – powiesz im, że dorosteś. O ile to prawda.

Ksiązę pogładził nerwowo wąsy.

– Cóż... Skoro mamy uratować George’a, lepiej ruszajmy. Jeśli jesteście przekonani, że Lepescu jest dla was groźny, jak chcecie dostać się na Bandon?

* * *

– Co teraz? – zapytała Cecelia. – Nie wiemy, gdzie jest kapitan, nie wiemy, gdzie jest jaskinia, i nie mamy już śmigacza.

– Teraz... pomyślimy. – Heris masowała opuchliznę na karku. Czowała się głupio, a nie lubiła tego uczucia. – Z pewnością możemy przyjąć, że Dussahral nie leciał do kapitana, tylko przywiózł nas tutaj, aby Lepescu miał czym uciec.

– Świetnie. – Cecelia wyglądała na głęboko oburzoną. – Dostarczyłyśmy czarnemu charakterowi maszyny, z której może wyskoczyć deus.

– Nie, jeśli tam wrócimy i same z niej skorzystamy – odrzekła Heris. – Oczywiście wyjaśnienie, jak do tego wszystkiego doszło, może nie być proste, ale będziemy się tym martwić, kiedy przyjdzie pora. Tak samo jak pomocni bogowie, Nemesis przybywała z powietrza.

Ruszyła z powrotem w dół zbocza. Tym razem zauważyła, że w korycie strumienia jest całkiem sporo śladów. Niektóre prowadziły w górę, a inne – miała wrażenie, że jest ich zdecydowanie mniej – w dół. Nie była wystarczająco dobra w tropieniu, by wiedzieć kiedy je zrobiono, choć wyglądały na świeże.

Cecelia zatrzymała się i przyjrzała im się uważniej.

– Drogie buty – skomentowała. – Patrz, ta para to YiR. – Heris nic to nie mówiło, pozwoliła więc, by wyraz jej twarzy posłużył za odpowiedź. – Robione na zamówienie, wysoka jakość, jeszcze wyższa cena – wyjaśniła Cecelia. – To nie mogły być ofiary. Widziałam większość rzeczy Ronniego – ma buty od Pierca-Simonsa. Też są drogie, ale nie aż tak. To mogłyby być buty George’a, ale ślady są zbyt świeże.

– Znasz się na tym?

– Poluję – wyjaśniła Cecelia, nie podnosząc głowy. Przesunęła palcami po jednym z odcisków, potem po następnym. – Buty nie należały do dziewcząt ani Ronniego – a to oznacza, że gdzieś tam w górze jest myśliwy.

– Sądząc po tym, że Dussahral tam nas prowadził, to pewnie Lepescu.

– Zauważyłam też, że dwa pasujące do siebie ślady prowadzą w tamtą stronę i z powrotem. To drogie buty, z firm zaopatrujących myśliwych, ale nie tak niezwykle jak para YiR. Te ślady prowadzą tylko w górę. Są tu także jeszcze świeższe ślady Dolstimów – to dwóch myśliwych idących do góry, ale nie razem. Szli niedawno, najwyżej godzinę temu.

– Czyli idziemy do góry?

Cecelia zacisnęła wargi.

– Tak sędzę. Jeśli mężczyźni, którzy poszli w dół, chcieli się dostać do naszego śmigacza, to już go mają. A te ślady prowadzące w górę... Naprawdę jestem ciekawa. Myślałam, że YiR umieszczają ten symbol – wskazała coś, co według Heris wyglądało jak rozgnieciony robak – tylko na butach robionych dla rodziny królewskiej. Czy ten twój admirał Lepescu kradnie buty księżetom? Czy może uważa się za księcia?

– To by mnie nie zdziwiło – odpowiedziała Heris. Już nic nie było w stanie jej zaskoczyć. Kto by pomyślał, że ktoś w rodzaju lady Cecelii będzie się znał na tropieniu? – Chodźmy się przekonać.

Ruszyła w górę strumienia, trzymając broń w gotowości i czujnie się rozglądając. Czy takie podążanie śladami nie jest głupim pomysłem? Może powinny poszukać jaskini, w której mogły się schować dziewczęta i Ronnie, albo kapitana milicji. Ale szły dalej, ponieważ w gruncie rzeczy najbardziej niebezpieczni byli myśliwi. Poczowała ściskanie w żołądku. Wszyscy myśliwi, pomyślała. Wszyscy jesteśmy niebezpieczni.

* * *

Wszyscy myśliwi oprócz dwóch byli już bezpiecznie martwi. Żadnego ryzyka. Dotknął trzymany w kieszeniach przekąszników, uważając, by nie wcisnąć przełączników. Tylko jeden wciąż mu zagrażał, na dodatek najtrudniejszy do zabicia bez narażenia się na odwet. Ale musi to zrobić, chyba że udałoby się go jakoś przekonać do zabicia pozostałych – później można by go szantażować. A jeśli będzie musiał go zabić, przynajmniej nie będzie żadnych świadków.

Transmisja z Bandon go zaskoczyła; mógł przyznać przed samym sobą, że nawet nim wstrząsnęła. Zastanawiał się, czy strażnicy, których tam zostawił, zwrócili się przeciwko niemu. Jeden z nich mógł sprawiać kłopoty. Dobrze, że przynajmniej nie wymieniono jego nazwiska. Może więzień nic o nim nie wiedział. Niedługo już nikt nie będzie wiedział.

* * *

Księżę poprowadził ich z powrotem do wyjścia z jaskini. Nie byli w stanie przekonać go, by tego nie robił, choć próbowali. Kłótnia trwała dłużej, niż się spodziewał. Dziewczyny zdawały się uważać, że ich zdanie znaczy tyle samo, co jego opinia. Bubbles groziła nawet zastrzeleniem go, ale kiedy jej przypomniał, że zastrzelenie członka rodziny królewskiej jest poważnym przestępstwem, spojrzała na Raffę i wzruszyła ramionami. Oczywiście, że nie może go zastrzelić, skoro wie, kim jest, tak samo jak on nie mógłby jej zabić. W końcu należeli do tej samej klasy. I to do niego należała decyzja, co mają zrobić, w końcu to on jest księciem. Czuł się trochę niepewnie, mając za plecami dziewczyny z bronią; na szczęście uparł się, by jęzładowały na wypadek, gdyby któraś się potknęła. Przecież nie chciał, żeby miały kłopoty za przypadkowe postrzelenie księcia. Kiedy już

wyjdą na zewnątrz, na światło dzienne, będą mogły ponownie załadować broń – choć miał nadzieję, że je od tego odwiedzie. Gdyby Ronnie nie był w takim złym stanie (był pewien, że on w takiej sytuacji nigdy nie byłby tak rozdygotany i nie wyglądałby tak niechlujnie), próbowałby je przekonać, żeby to właśnie on niósł jedną strzelbę, ale w tej chwili byłoby to jeszcze bardziej niebezpieczne. A co do niebezpieczeństwa – był absolutnie pewien, że nie będzie im grozić nic poważnego, gdy tylko wyjaśni Lepescu kim są.

Światło migotało, odbijając się od powierzchni wody, która zdążyła już opaść o parę centymetrów. Zmrużył oczy, oślepiony intensywnym blaskiem, i nagle zobaczył jakąś postać wyłaniającą się z cienia tuż przed nim. Zamarł. Kto to może być, w pancerzu ochronnym przypominającym kombinezon kosmiczny, ze strzelbą myśliwską spoczywającą w zgięciu prawej ręki, trzymający coś w prawej, osłoniętej rękawicą dłoni?

– No, znalazłeś ich – rozległ się głos. Książę zadrżał. Lepescu? – Gratuluję. Doskonale. A teraz ich zastrzel.

– Co? – Nie rozumiał. Usłyszał, jak dziewczyny wciągają głośno powietrze, a Ronnie przeklina pod nosem.

– Powiedziałem, żebyś ich zastrzelił. – Kiedy się zawahał, Lepescu machnął strzelbą. – Albo ty ich zastrzelisz – oświadczył głosem lekko zniekształconym przez filtry kombinezonu – albo ja będę musiał zabić także ciebie. Chyba to rozumiesz.

– Ale to są nasi ludzie – wyjąkał książę. Głos lekko mu drżał. – Nie rozumiesz? To córka lorda Thornbuckle’a – nie możesz jej zabić. I Raffaele, i Ronnie Carruthers...

– Myślałem, że go nienawidzisz. Czy to nie on wystawił cię na pośmiewisko z...

– Oczywiście, że tak, ale... nie mogę ich zabić. Nie mogę tak po prostu... zwyczajnie ich zastrzelić. – Zaczął w duchu błagać, by ktoś zastrzelił Lepescu, ale przecież sam się uparł, żeby dziewczyny rozładowały broń. Teraz nie mogły jej załadować. Gdyby spróbowały, Lepescu by strzelił... a on stał przed nimi. Nagle oblał go zimny pot.

– Nie należało dać się przekonać – wymamrotała Bubbles.

– Teraz już za późno na żale – odpowiedziała Rafia. Żadna z nich nie była tak przestraszona jak książę. Żałował, że ich nie widzi. I bardzo żałował, że nie widzi żadnej pomocy.

Lepescu otworzył dłoń, pokazując wąski szary pojemnik.

– Jeśli chcesz, to może być łagodniejsza śmierć – rzekł. – Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie. – Książę zdał sobie sprawę, że strach ma w sobie głębię, z której istnienia nigdy nie zdawał sobie sprawy. To musi być granat gazowy. Usypiający? Paraliżujący? Usiłował zachować spokój. Musi jakoś przekonać Lepescu.

– Ale to moi przyjaciele – stwierdził. – Nie możesz oczekiwać, że to zrobię. Musi być jakiś inny sposób. – To nie może się naprawdę dziać. To musi być żart albo jakiś rodzaj testu. Musi odnaleźć właściwe słowa. – Moglibyśmy po prostu przysiąc, że dochowamy tajemnicy.

– Wątpię. – Nawet przez błyszczącą krzywizną wizjera hełmu widać było, że Lepescu przenosi spojrzenie z jednej twarzy na drugą. – Córka lorda Thornbuckle’a może zdradzić ojcu taki sekret.

– Masz całkowitą rację – rozległ się głos Bubbles zza pleców księcia. – Dowie się, a potem cię znajdzie.

Lepescu uniósł granat w parodii salutu.

– Za twoją odwagę, moja droga. Daj spokój, i tak nie uda ci się zasłonić przyjaciółki, żeby mogła

załadować broń. Ja zdążę zastrzelić księcia i was, zanim wy strzelicie do mnie. Poza tym ja mam pancierz. – Zmieniając ton głosu, znów zwrócił się do księcia. – A co do twojego przyjaciela Ronniego, młodzieniec, który nie potrafi powstrzymać się od przechwałek na temat swoich podbojów miłosnych, nie utrzyma języka za zębami w takiej sprawie, kiedy tylko następnym razem się upije. Ta ciemna dziewczyna... Cóż, szkoda będzie ją zabić, ale tyłu już zginęło, więc cóż za różnica... Masz ich zabić, bo tylko wtedy będę pewien, że we własnym interesie nic nie będziesz mówił. Mam śmigacz, możemy razem uciec. Ja zawsze uciekam. Ale jeśli ich nie zabijesz... obawiam się, że ty też będziesz musiał zginąć. – Po chwili ciszy dodał: – No dalej, czekanie niczego nie zmieni.

* * *

Heris podążała za śladami prowadzącymi w górę wąskiej rozpadliny. W pewnym miejscu jedna para butów zatrzymała się, a inne buty – większe, z innym bieżnikiem – ruszyły dalej. Zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, gdzie już widziała taki wzór, po czym wzruszyła ramionami. Właściwie to nie ma znaczenia.

– Założył inne buty – mruknęła zza jej pleców Cecelia. – Ale dlaczego? – Heris machnęła ręką, żeby ją uciszyć. Musiały być blisko, widziała, że niedaleko rozpadlina się kończy.

Gdyby nie szła po śladach, mogłaby przeoczyć wejście do jaskini, ale trop prowadził wprost do niej. Zasłona z więdnących pnączy, otwór prowadzący w mrok i głos... Nie, więcej niż jeden głos. Była pewna, że jeden z nich należy do Lepescu.

Przyciągnęła Cecelię bliżej i wyszeptała do jej ucha:

– Jest tam, w jaskini, i myślę, że młodzież też tam jest. Zostań z tyłu, bądź gotowa strzelać, jeśli mnie dostanie. I uważaj, żeby ktoś nas nie zaszedł od tyłu. – Cecelia kiwnęła głową, znów miała twarde spojrzenie. Heris podeszła ostrożnie do wejścia do jaskini, tłumiąc chęć zaszarżowania wprost na Lepescu.

Teraz już wyraźnie słyszała jego głos. Przyklękła w błocie i zajrzała do środka. Nie widziała niczego oprócz wody sięgającej prawie do samego wejścia. Głosy dochodziły z lewej strony, zza skalnej ściany. Posłała Cecelii ostatnie spojrzenie i weszła do środka.

Wzrok szybko przyzwyczał się do ciemności. Od strony wejścia wpadało więcej światła, niż sądziła, patrząc z zewnątrz. Przywarła do wilgotnej skały i wyjrzała. Jest. Duża, masywna postać w kombinezonie ochronnym, odwrócona do niej plecami, a dalej cztery twarze, blade na tle czerni za ich plecami. Ten w kombinezonie to musi być Lepescu. Czy może go dostać, nie trafiając pozostałych? Czy pod kombinezonem ma pancierz? I po co mu kombinezon w tak płytkiej wodzie? Czyżby się bał jakiegoś skażenia? Potem zobaczyła jego zaciśniętą lewą dłoń i wstrzymała oddech. Jeśli to granat gazowy...

Przysunęła się bliżej, mając nadzieję, że żaden z młodych ludzi jej nie zobaczy, choć wiedziała, że jest wyraźną czarną plamą na tle światła wpadającego od strony wejścia. Tymczasem Lepescu wciąż mówił.

– No dalej. Czekanie niczego nie zmieni.

Co ma na myśli? I czemu jest ich czworo? Wyteżając wzrok, Heris rozpoznała Ronniego, Bubbles i Raffę. Ale kim może być ten czwarty młodzieniec, z ekstrawaganckim wąsem i błyszczącym kolczykiem? Przyjacielem Lepescu? Zagryzła wargę. Nie uda jej się dostać obu jednocześnie, zanim oni trafią kogoś z pozostałych. Przystawiła karabin na magazynek z alternatywnymi pociskami, które

powinny przebić osobisty pancierz. Są bardziej niebezpieczne dla przebywających w pobliżu osób, ale nie aż tak jak żywy Lepescu.

Gdy jej wzrok lepiej dostosował się do słabego światła, zauważyła, że wyraz twarzy tajemniczego młodzieńca zmienia się z bezgranicznego zdumienia i niedowierzania w ośli upór.

– Nie zrobię tego – oświadczył i opuścił broń. – I myślę, że nie będziesz potrafił wyjaśnić przyczyn mojego zniknięcia. – Heris skorygowała celownik i przesunęła się odrobinę, by usunąć Ronniego z linii strzału. Strzał był w najlepszym razie ryzykowny, rykoszety mogły się okazać paskudnie niebezpieczne.

– Wcale nie – odpowiedział Lepescu. – Owszem, to będzie trudne, ale wcale nie niemożliwe. Szkoda i bardzo żałuję, ale... – Szarpnął się do przodu, z jego kombinezonu ochronnego chlusnęła krew. Przez jaskinię przetoczyło się echo wystrzału oraz uderzenia pocisku, ogłuszając wszystkich i wprowadzając zamieszanie. Lepescu upuścił strzelbę, a z jego lewej dłoni wypadł granat, po czym poturlał się po kamieniach do wody. Heris zamarła – był zbyt daleko, by coś zrobić. Jeśli wyciągnął zawleczkę, już są martwi. Ronnie i księżę skoczyli równocześnie, lądując na granacie niczym dwaj gracze próbujący odzyskać straconą piłkę.

– Uciekajcie! – krzyknął Ronnie do Raffy i Bubbles, ale dziewczyny nawet nie ruszyły się z miejsca. Po pierwszym wstrząsie spokojnie zajęły się ładowaniem broni. Heris przyglądała im się ze zdziwieniem – musiały wiedzieć, że grozi im niebezpieczeństwo, czemu zatem niosły nienaładowaną broń? Potem echo ucichło... a granat nie eksplodował.

Heris podniosła się z kolan i ostrożnie podeszła do Lepescu. Jeszcze żył, choć został śmiertelnie ranny.

– Ty... – zaczął, ale nagły spazm bólu nie pozwolił mu dalej mówić. Głośny oddech i charakterystyczne chrapliwe bulgotanie zdradzały, że jego płuca wypełniają się krwią.

Nie wiedziała, co powiedzieć, choć w jej głowie kotłowały się wszystkie zapamiętane błyskotliwe riposty.

– Tak – potwierdziła w końcu; doszła do wniosku, że w tych okolicznościach nie musi nic więcej mówić. – Z całym szacunkiem, komandor Serrano.

Nawet umierając i wijąc się z bólu, Lepescu miał odwagę, której nie mogła mu odmówić. Jego twarz wyrażała pogardę.

– Czekaj... – wydyszał. – Jeszcze nie... wygrałaś...

Miała ochotę go wykończyć, zacisnąć dłonie na jego gardle, ale nie mogła tego zrobić. Mogła tylko, ruszając się niemal jak maszyna, zabrać mu broń, nie zwracając uwagi na charkot, który po chwili całkiem ucichł.

Cecelia nie mogła zostać na zewnątrz, słysząc strzał, nawet gdyby ktoś przykuł ją łańcuchem do skały. Weszła w mrok i od razu wpadła w kałużę. Wstała, dysząc, i wsparta o skalny występ zasłaniający resztę jaskini obserwowała swoją kapitan, zaszokowana i zafascynowana. Przez chwilę zapomniała nawet o pilnowaniu wejścia. Kiedy wreszcie się obejrzała, stał tam jakiś nieznajomy mężczyzna, brudny, obszarpany i uzbrojony. Za jego plecami zobaczyła jeszcze jednego. Obaj patrzyli na nią złowrogo z bronią przygotowaną do strzału.

– Co... ty tu robisz?! – Cecelia odniosła wrażenie, że w ciszy, która zapadła po zadaniu tego pytania, wisi tuzin niewypowiedzianych przekleństw. Pomyślała, że mężczyzna wygląda bardzo niebezpiecznie i pewnie taki jest. Musi być jednym z tych, na których polują myśliwi.

– Jestem lady Cecelia... – zaczęła, po czym uświadomiła sobie, że mężczyzna wcale na nią nie

patrzy. Wbijał wzrok w Heris.

– Petris... – wykrztusiła kapitan. Jej głos drżał.

– Kapitan Serrano. Heris. – Jego głos nie drżał, podobnie jak lufa jego broni.

– Jesteś z admirałem Lepescu? – W tym pytaniu krył się potworny ból.

Cecelia odwróciła się do swojej kapitan.

– Znasz tego człowieka? Kto to jest? – spytała.

Heris potrząsnęła głową. W tej chwili nie potrafiła mówić. Petris z Lepescu? Czy zawsze był jego agentem? Czy ostatnie słowa tego drania właśnie to znaczyły?

Cecelia zaczęła sięgać ręką do kieszeni po dokumenty, ale zatrzymała się, gdy mężczyzna skierował na nią broń. Ale nie powstrzymało to jej języka.

– Jak już mówiłam, jestem lady Cecelia de Marktos. Przyleciałyśmy tu w poszukiwaniu mojego siostrzeńca Ronniego i jego przyjaciół. Razem z milicją.

– Aha. – Petris wciąż patrzył na Heris. – Ratunek już przybywa. – Zerknął na Cecelię. – Co pani wie o admirałe Lepescu?

Pomyślała o zignorowaniu tego pytania, ale broń w rękach mężczyzny nakazywała ostrożność, a nawet chęć współpracy. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak duży może być otwór wylotowy widziany z tej perspektywy.

– Nie znam go – oświadczyła.

– Nie powiedziała ci? – zapytał, wskazując Heris ruchem głowy.

Cierpliwość Cecelii wyczerpała się.

– Cokolwiek mi mówiła, to nie twoja sprawa, młodzieńcze.

Roześmiał się.

– Nie pani to sądzić – oświadczył. Potem zwrócił się do Heris. – Myślisz, że pracuję dla admirała?

Cecelia zerknęła na nią i zobaczyła na jej twarzy głęboki ból, smutek i rozpacz. Nawet wtedy, gdy opowiadała jej o swojej rezygnacji, nie była aż tak wstrząśnięta.

– Wiem, że zorganizował tu polowanie – rzekła Heris. Jej głos był pozbawiony życia, jakby wydobywał się z grobu. – Z jakiego jeszcze powodu miałby tu być razem z nim personel wojskowy?

– Ty – ze wszystkich ludzi właśnie ty – uwierzyłaś, że mógłbym pracować z tym... tym... Czy ja wyglądam, jakbym z nim był? Czy to jest mundur? – Jego głos przybrał na sile i drugi mężczyzna musiał go uciszyć. – Nie – warknął ostro. – Nie jestem z Lepescu. – Odwrócił się, zaciskając mocno usta.

– Przepraszam, młodzieńcze – wtrąciła się Cecelia – może ty i moja kapitan doskonale wiecie, co się tu dzieje, ale ja nie wiem. Heris powiedziała mi, że admirał to jej stary wróg, którego wolałaby widzieć jedynie na celowniku swojej broni. Kiedy mój siostrzeniec z przyjaciółmi zniknęli i dowiedziałyśmy się, że prawdopodobnie jest tu Lepescu, nabrała przekonania, że ma z tym jakiś związek.

Wydawało się, że w końcu mężczyzna dostrzegł lady Cecelię.

– Pani kapitan? Pani jest jej... eee... pracodawczynią?

– Zgadza się. Kapitan Serrano podpisała ze mną kontrakt zaledwie dwa dni po opuszczeniu wojska.

– A potem? – Spojrzał jej w oczy, jakby chciał wzrokiem wyciągnąć z niej odpowiedź.

– A potem objęła dowodzenie moim jachtem i przyleciałyśmy tutaj.

– Bezpośrednio?

Cecelia opanowała irytację. Sama chciała zadawać pytania, a on wciąż jej w tym przeszkadzał.

– Nie – burknęła, nie dbając o to, czy mężczyzna zauważy, że czuje się urażona. – Nie, choć nie bardzo rozumiem, co to pana obchodzi. Mój poprzedni kapitan dopuścił się zaniedbań, jeśli nie wręcz przestępstwa, nie dokonując konserwacji systemów, i musiałyśmy wykonać awaryjne naprawy systemu podtrzymywania życia.

Mężczyzna obrócił się do Heris; kącik jego ust drżał.

– Nie sprawdziłaś wszystkiego osobiście przed startem?

– Sfalszowano raporty inspekcji – wyjaśniła. – Lady Cecelia była już spóźniona, chciała szybko wylecieć, a ja... – Jej głos się załamał.

– Nie mogłaś się doczekać, żeby uciec – dokończył za nią Petris z sarkazmem. – Wzięłaś od niego łapówkę i uciekłaś...

– Łapówkę?! – Tym razem uciszający gest drugiego mężczyzny był skierowany do Heris. Przynajmniej, pomyślała Cecelia, zniewaga wywołała jakąś żywszą reakcję. – Tak właśnie ci powiedział?

– Nic nie powiedział, ale znam listę oskarżeń.

– Oskarżeń? Przecież ja zrezygnowałam tylko po to, żeby was nie sądzono!

– Czekaj. – Petris nagle opuścił broń. – Czyli to prawda, co usłyszał ten młodzik? – Kiwnął głową w stronę Ronniego. – Chcesz mi powiedzieć, że zrezygnowałaś, żeby nas bronić, i że nie dostałaś żadnej... nagrody?

– Tak. Taki dano mi wybór. Rezygnacja bez żadnych kłopotów dla was albo sąd dla wszystkich. To byłoby niesprawiedliwe narażać was na to wszystko, więc podjęłam taką decyzję. Co masz na myśli, mówiąc o zarzutach?

– A to... bezmatkowiec. – Cecelia przypomniła sobie, że na niektórych planetach to nadal jest obelgą, mimo że obecnie większość ludzi rodziła się w replikatorach macicznych. – Usunął cię z drogi, postawił nas przed sądem, a potem sprowadził nas tutaj, żeby bawić się w te swoje gierki.

Heris patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– To na was polował?! – Petris przytaknął. Heris potrząsnęła głową jak ktoś, kto zaliczył mocny cios, po czym tak gwałtownie odwróciła się w stronę ciała Lepescu, że Cecelia przestraszyła się, iż zaatakuje go gołymi rękami. – Niech cię diabli! Za szybko cię zabiłam! Gdybym tylko mogła... – Zaczęła się trząść i płakać. Zdumiona Cecelia otworzyła usta. Nie wyobrażała sobie, że Heris może stracić panowanie nad sobą.

Petris przeszedł obok niej i chwycił Heris za ramiona.

– On nie żyje. Już tego nie zmienisz.

– Ja musiałam... Musiałam tak zrobić. To niesprawiedliwe! – Obróciła załzawioną twarz w stronę Cecelii. – Odebrał mi statek, zrujnował moją karierę... a teraz jeszcze zabija ich w taki sposób. – Potem spojrzała na Petrisa już suchymi oczami; żal był zbyt głęboki na łyzy. – Przepraszam, Petris. Ja nie... nie wyobrażałam sobie tego. Uwierzyłam, że oni dotrzymają warunków porozumienia.

– Tak – zgodził się poważnie. – Musiałaś to zrobić. Przepraszam, że źle zrozumiałem to, co

zrobiłaś.

– Ilu... ilu zginęło? – zapytała. Cecelia poznała po jej głosie, że ledwie nad sobą panuje.

– Zbyt wielu. Ale już jest po wszystkim.

– Nie jest po wszystkim – zaprotestowała Heris. – Nigdy nie będzie. – Cecelia widziała, jak wraca jej zwykle opanowanie.

– Cóż, już prawie po wszystkim – odezwał się radosny głos od strony wejścia do jaskini. Petris wraz z drugim mężczyzną obrócili się, zaskoczeni, ale odetchnęli z ulgą, widząc charakterystyczne mundury milicji Bunny’ego. Kapitan milicji uśmiechał się do nich. – Chyba że jeden z was jest nikczemnym admirałem Lepescu?

– Admirał Lepescu nie żyje – odpowiedziała Heris. Jej głos zdawał się nie przekazywać żadnych emocji – jedynie proste stwierdzenie faktu.

Kapitan Sigind podszedł bliżej, zerknął na ciało i kiwnął głową.

– Zastrzeliła go pani?

– Tak. Groził im. – Heris kiwnęła głową w stronę młodych ludzi. Ronnie i księżę podnieśli się z ziemi, pozostawiając na niej nieszczęsny granat. Cecelia zauważyła, że Raffa podchodzi do Ronniego, jakby czuła się za niego odpowiedzialna. Bubbles stała nieco z boku, z bronią w rękę, przyglądając się uważnie Heris. Cecelia zaczęła się zastanawiać, czemu, skoro dziewczęta były uzbrojone, po prostu nie zastrzeliły admirała.

Kapitan Sigind przyjrzał się całej grupie.

– To córka lorda Thornbuckle’a i pani siostrzeniec, madame, oraz druga z młodych dam. A kto to jest? – zapytał, patrząc na mocno zmieszanego księcia.

– Pan Smith – wyjaśnił stanowczym tonem Ronnie. – Przyjaciel rodziny.

Kapitan Sigind pozwolił sobie na powątpiewający wyraz twarzy, ale wzruszył ramionami.

– No tak, pan Smith. Zaproszony gość? Przepraszam, ale muszę o to spytać.

– Pan Smith często tu bywał jako gość – wtrąciła się Bubbles. – Mój ojciec to potwierdzi.

– Rozumiem. – Kapitan najwyraźniej miał ochotę dalej drażnić temat, ale zdecydował się na dyskretne milczenie. Cecelia rzuciła szybkie spojrzenie na twarz Heris; jej mina upewniła ją, że pani kapitan ma podobne wątpliwości co milicjant. Niewątpliwie później będzie chciała poznać szczegóły. Kapitan Sigind wzruszył ramionami. – Cóż, możemy jeszcze dzisiaj zabrać was z wyspy i zawieźć do głównego domu... albo możecie spać na Bandon i wylecieć rano – jak wolicie. – Potem powiedział coś do swojego komunikatora; Cecelia usłyszała coś na temat „zabrania ciał” i „ekipy śledczej”, po czym zdała sobie sprawę, że jest bardzo, bardzo zmęczona i musi usiąść.

– A co z Georgem? – usłyszała pytanie Ronniego. A potem zapadła ciemność.

Rozdział 20

Cecelia oprzytomniała chwilę później, zawstydzona, i zobaczyła klęczącego przy niej Ronniego. Pomyślała, że wygląda znacznie gorzej niż ona z twarzą ozdobioną barwnym wzorem sińców, w ubłoconej i mokrej odzieży, blady z wyczerpania i głodu. Rozejrzała się w poszukiwaniu Heris. Jej kapitan rozmawiała z dowódcą milicji, a ten kiwał głową, wpisując jakieś informacje do naręcznego komputera. Potem pojawiło się więcej milicjantów i ciało Lepescu zostało umieszczone w czarnej torbie. Widziała, jak je wynoszą z jaskini.

– Dobrze się czujesz, ciociu Cecelio? – Chłopak był szczerze przejęty, a nie zirytowany omdleniem ciotki.

– Nic mi nie jest – zapewniła i dźwignęła się na łokciach. Była za stara, by mdleć, w jej wieku należy traktować to poważnie i doszukiwać się przyczyn medycznych. – Po prostu jestem głodna. – Było to zgodne z prawdą. Nie jadła tego dnia ani śniadania, ani lunchu. Ronnie rozejrzał się gorączkowo wokół, jakby sądził, że ciotka oczekuje od niego jakiegoś posiłku. – Nie martw się – dodała bardziej cierpko, niż zamierzała. – Zapomniałam o jedzeniu, to wszystko. – Potem spojrzała na młode dziewczęta, które wycierały sobie nawzajem twarze, i stojącego na uboczu młodzieńca. – Jak się...

– Pan Smith – oświadczył Ronnie cicho, ale stanowczo. – To pan Smith. Nie wiem, czy już go kiedyś spotkałaś.

– Och, widziałam go. – Przyjrzała się siostrzeńcowi badawczo, po czym zerknęła na księcia. – Pan Smith, tak? Czy umówiliście się tutaj na spotkanie, żeby kontynuować wasz spór?

– Nie! On tu przyleciał... w innej sprawie. Teraz już zakończonej.

Księżę najwyraźniej wyczuł wzrok starszej pani, gdyż też na nią spojrzał – w słabym świetle jaskini nie była pewna wyrazu jego twarzy – i podszedł do nich.

– Przepraszam – rzekł. – Ronnie, muszę z tobą porozmawiać.

O pojedynku.

– Panie Smith – zwróciła się do niego Cecelia głosem, który nie zawiódł jej przynajmniej od pięćdziesięciu lat. – Nie musi pan z nikim rozmawiać. Biorąc pod uwagę okoliczności, panie Smith – specjalnie podkreśliła to nazwisko – im mniej będzie pan z kimkolwiek rozmawiał, tym lepiej. Bardzo wątpię, by pański ojciec wiedział, gdzie się pan znajduje.

– Cóż, nie wie, ale mimo wszystko...

– Postąpiłby pan mądrze, panie Smith, czekając, aż ojciec wyjaśni pańską sytuację. Nie ma mowy o żadnym pojedynku. Czy to jasne? – Cecelia spojrzała na niego w taki sposób, który zawsze uciszał aroganckich młodzieńców, nawet gdy sama była jeszcze młoda.

Chłopak skurczył się w sobie i rozluźnił zaciśnięte dotąd szczęki. Nawet jego buńczucznie zawinięte do góry wąsy wydawały się nieco oklapnięte.

– Zamierzałem powiedzieć, proszę pani, że odwaga, z jaką pani siostrzeniec rzucił się na granat gazowy, przysłoniła wszelkie nasze wcześniejsze nieporozumienia.

– Ty też to zrobiłeś – zauważył szybko Ronnie.

– Obaj bardzo dobrze postąpiliście – pochwaliła ich Cecelia, pozwalając sobie na uśmiech. – A teraz gdyby ktoś mógł znaleźć mi coś do jedzenia...

Cecelia nigdy nie zastanawiała się, ile czasu zajmuje przewiezienie kilku osób nad niewielkim pasem oceanu. Nigdy dotąd nie musiała też stać w kolejce i czekać. Tym razem jednak musiała, ale dzięki temu udało jej się usłyszeć relację zarówno milicjantów, jak i młodych ludzi. Mimo energii przywróconej jej przez gorący rosół i pół racji żywnościowej z zapasów Bubbles, nie miało to dla niej sensu.

– Lepescu pozabijał pozostałych myśliwych? Czemu?

Heris potarła nos.

– Prawdopodobnie spodziewał się, że jemu samemu będzie łatwiej się stąd wydostać. Bez żadnych świadków i mając przeciwko sobie tylko skazanych przestępców – gdyby któryś z nich przeżył.

– Ale przecież nie mógłby...

– Nie jestem pewna. Przypuśćmy, że w chwili wysłania przez George’a transmisji wciąż jeszcze bylibyśmy na kontynencie. Miałby na realizację swoich planów całe godziny, a nie tylko minuty. Mógłby zabić świadków i zagazować pasażerów śmigacza, a potem wrócić na Bandon i polecieć promem na orbitę. To duże ryzyko, ale on lubił ryzykowne sytuacje. Wolał ryzykować niż poddać się i stanąć przed sądem.

– Ale czemu inni nie mieliby mu pomóc?

– Pewnie by nie chcieli. Ten pan Smith... A przy okazji, czy wreszcie powiesz mi, kim on naprawdę jest?

– Kimś, kogo nie powinno tutaj być – odpowiedziała Cecelia. – Może później... – Spojrzała na milicjantów, chcąc się upewnić, że nie słyszą ich rozmowy.

– Aha. Czyżby syn kogoś ważnego? Tak. – Heris lekko zmrużyła oczy. – W każdym razie pan Smith mówił, że po rozbiciu się śmigacza doszło do pewnego zamieszania, ale admirał nalegał, by mimo to kontynuować polowanie. Mógł się bać, że sojusznicy zwrócą się przeciwko niemu. Gdyby uciekł – i to daleko – znaleźlibyśmy tylko wyspę pełną trupów i nie miałby kto go oskarżyć. Nie musiał wcale wiedzieć, że ja tu byłam i wiedziałam o jego obecności na planecie. – Heris przekrzywiła głowę. – To typowy dla niego śmiały plan.

– Raffa zrelacjonowała mi, co się stało po tym, jak się rozbili – choć nie zna całej historii Ronniego, George’a i pozostałych. Czy oni wszyscy należeli do twojej załogi?

– Nie. To nie było pierwsze takie polowanie. Petris mówił, że tych, którzy przeżyli kilka tygodni łowów, dołączano do następnej grupy, żeby polowanie było „ciekawsze”. – Jej głos stwardniał przy tym słowie. – Ale i tak zbyt wielu należało do mojej załogi. Nigdy nie myślałam... Przysięgam, nie wyobrażałam sobie...

– Oczywiście, że nie. – Cecelia oparła się o skałę i uśmiechnęła. Heris jest sporo starsza od Ronniego i jego przyjaciół, a mimo to wciąż tak podatna na ciosy. Najwyraźniej potrzebuje czyjegoes wsparcia. Ale z doświadczenia Cecelii wiedziała, że żadne pocieszenie nie pomoże Heris zapomnieć o tragicznych skutkach jej decyzji... niezależnie od tego, jak bezinteresowne pobudki nią kierowały. Odwróciła wzrok i zaczęła się zastanawiać, co mogłaby zrobić. Czy zna kogoś w admiralicji?

Zanim Heris i Cecelia znów wylądowały na Bandon, młodzi ludzie – poza Buttonsem, który pozostał na wyspie jako przedstawiciel rodziny – zostali zabrani na kontynent razem z grupą rannych milicjantów i trzema innymi poszkodowanymi. Ronnie wymagał obserwacji szpitalnej, dziewczyny chciały osobiście sprawdzić stan George’a, a Bubbles czekało spotkanie z ojcem. Cecelia postanowiła odprężyć się w luksusach domku na Bandon – gdy tylko zajęto wyspę, przyleciał pełen komplet służby – pozostawiła więc Heris samą. Ta zaś po kąpieli i zmianie ubrania zebrała się na odwagę i poszła sprawdzić, czy członkowie jej dawnej załogi zechcą z nią rozmawiać. Zgodnie z informacją z komputera, zostali umieszczeni w pokojach gościnnych. Kilkoro drzwi było zamkniętych, z aktywną blokadą prywatności, nie próbowała więc przeszkadzać. W końcu znalazła jedno otwarte i cicho zapukała.

Był to pokój Petrisa.

– Ach, kapitan Serrano. – Ten oficjalny ton uderzył ją prosto w serce. – Właśnie miałem iść się wykapać.

– Przepraszam. Ja... – Chciała powiedzieć, że zaczeka, ale nie miała prawa zmuszać go do rozmowy z nią, jeśli nie miał ochoty.

– Przepraszam, że wtedy na ciebie nakrzyczałem – powiedział. – Po prostu nie mogłem uwierzyć...

– To ja przepraszam, że pomyślałam, że mogłeś być z... Lepescu.

– Dowiadywałem się, co z Oblo – wyliże się z tego. Słuchaj, wciąż jestem potwornie brudny. Pozwól mi się wykapać, a potem możemy gdzieś się przejść.

Przynajmniej chce z nią rozmawiać. Heris w milczeniu kiwnęła głową i wyszła. Kiedy wróciła do pokoju, spróbowała się odprężyć, ale jej wzrok wciąż wędrował do okna, skąd widać było wyspę i wylaniające się w oddali z wody inne skrawki lądu. Słońce opadło niżej i barwy morza i nieba zmieniały się z minuty na minutę. Co chwila przelatowały śmigacze. Przypuszczała, że zabierają ciała, przywożą śledczych szukających śladów... Bolała ją głowa. Zdrzemnęła się w fotelu i obudziło ją pukanie do drzwi.

Umyty i przebrany w czyste ubranie Petris bardziej przypominał człowieka, którego pamiętała – i zarazem mniej. Nie miał na sobie munduru, a to był jedyny strój, w jakim go widywała, jeśli nie liczyć łachmanów na wyspie. To właśnie mundur powstrzymał ich przed przyznaniem się, co czuliby do siebie, gdyby sobie na to pozwolili. Spojrzał na nią wyzywająco.

– Jeśli potrzebujesz odpoczynku, możemy odłożyć rozmowę do rana.

Noc z nierozwiązanymi problemami nie przyniosłaby odpoczynku.

– Nie. Jestem gotowa.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się.

– Oto moja ulubiona kapitan. Zawsze gotowa. – Podniósł trzymany w ręce koszyk. – Dostałem już pierwszy posiłek, ale pomyślałem, że lepiej będzie coś zabrać. Tutaj jest tylu kucharzy, że mogliby nakarmić załogę dwóch krążowników. A młody lord jak-mu-tam...

– Buttons – odpowiedziała mu. – Nazywają go Buttons.

– Służba tak go nie nazywa. W każdym razie dał mi mapę i wskazał coś nazywanego „ścieżką morską bryzy”.

Chciała zaprotestować – nie miała pojęcia, dokąd może prowadzić coś takiego – ale zrezygnowała. Po tym, co się stało, nie miała prawa mieć jakichkolwiek zastrzeżeń.

– Co z... pozostałymi?

Petris wzruszył ramionami.

– Chyba większość śpi. Obłó kazał ci podziękować za przybycie nam na ratunek i obiecałem, że to zrobię. Dodał też, że w szpitalu na kontynencie jest pielęgniarka, dla której warto było przejść przez to wszystko. Pamiętasz, jak musieliśmy go wyciągać z tamtej dziury na Sekkis?

Heris uśmiechnęła się, pierwszy raz szczerze rozbawiona.

– O tak. Skóra zabarwiona na fioletowo i cała reszta...

Petris poprowadzi ją korytarzem wyłożonym dywanem, którego ściany obwieszono obrazami kwiatów i ptaków, i znaleźli się na parkingu.

– Młodzieniec mówił, że możemy wziąć śmigacz albo się przejść. Co wolisz?

Było już prawie ciemno – choć nie bardzo wiedziała, czemu miałoby to mieć jakieś znaczenie.

– Przejdźmy się – zdecydowała. – Jeśli to nie jest zbyt daleko.

– Nie. Kawalek w tamtą stronę. – W gęstniejącym mroku poprowadził ją do ścieżki obrzeżonej białymi kamieniami. Ścieżka zakręcała wokół domu, omijała kępę bardzo wysokich drzew, po czym opadała w stronę brzegu. W oddali, nisko nad horyzontem, wisiało w złocistej mgiełce słońce. Morze słało w ich stronę długą smugę blasku. Wyspa po drugiej stronie cieśniny błyszczała białą plażą; resztę kryła ciemna plama drzew.

Szli wzdłuż brzegu, aż dotarli do miejsca, gdzie z piasku wyrastały szare skały, bardzo podobne do tych na drugiej wyspie. Była to granica piaszczystej plaży, dalej rozciągało się kamieniste wybrzeże atakowane przez fale. Zatrzymali się, jakby skały stanowiły faktyczną przeszkodę, choć nawet dziecko mogłoby je z łatwością pokonać.

Petris postawił koszyk.

– Warto by zobaczyć, co nam dali kucharze, póki wciąż jeszcze mamy światło. Ach, prawdziwe jedzenie. – Zaczął rozstawiać pojemniki. Heris usiadła. To nie może być takie proste. Coś musi się stać, musi być jeszcze jakaś kara za jej błąd. Byłoby sprawiedliwie, pomyślała posepnie, gdyby zatrzał jej jedzenie albo rzucił się na nią i ją udusił. Nie chciała, by jej decyzja obróciła się przeciwko nim, ale tak się stało – a od kiedy to dobre intencje są usprawiedliwieniem dla śmierci niewinnych ludzi?

Mężczyzna popatrzył na nią i potrząsnął głową.

– Kapitanie... Heris... – Pomijając wrzask na wyspie, po raz pierwszy wymówił jej imię. – Jesteś mniej więcej tak odprężona, jak nowy działonowy przed pierwszą bitwą. Myślisz, że zamierzam cię zrucać?

– Masz do tego prawo.

– Cóż... Tak, z jednej strony mam, ale z drugiej – nie. – Spojrzał w jej oczy. – Myślę, że ty chcesz, żebym to zrobił, prawda?

Poczuła pod powiekami piekące łzy.

– Ja... nie wiem. Chcę... żeby stało się to, co miało się stać. Wy bezpieczni...

Gniew wyostrzył jego głos.

– Na bogów, Heris, myślisz, że wstąpilibyśmy do Zawodowych, gdybyśmy szukali bezpieczeństwa! I to kosztem najlepszego dowódcy, jakiego kiedykolwiek mieliśmy? Owszem, mogłaś nas uchronić przed zarżnięciem przez tego durnia, ale nie za cenę zrujnowania życia sobie i nam.

– Masz rację – zgodziła się. Nie było sensu zaprzeczać. – Myliłam się. – Dopadł ją ból, którego starała się unikać: myśl o załodze.

O tym nowym dzieciaku z systemów zasilania, który rozpląkał się przy pierwszym liście z domu, o starym macie z medycznego, który kończył ostatni przydział przed przejściem na emeryturę... Co się z nimi stało? Z jej oczu popłynęły łzy; czuła, jak wiatr wysusza je na policzkach. Z trudem próbowała opanować oddech.

Petris przysunął się i objął ją ramieniem, pewnie, a zarazem łagodnie.

– Należało nam zaufać – powiedział, a jego oddech poruszył jej włosy. – Myślałaś, że cię zawiedziemy? – W jego głosie usłyszała, jaki ból im sprawiła – dla niektórych gorszy nawet niż sąd wojenny i publiczna hańba.

– A tymczasem to ja ciebie zawiodłam. Dane skanu przepadły. Powiedzieli mi, że wszyscy staniecie przed sądem wraz ze mną, narażając się co najmniej na zwolnienie ze służby, jeśli nie więzienie.

– A więc zrezygnowałaś. Odeszłaś.

– Tak. – Wszystko do niej wróciło. Wrócił koszmar, który tak często ją nawiedzał w ciągu ostatnich miesięcy. Komisja siedząca za błyszczącym stołem, znajome twarze obce jak maski, kołnierz galowego munduru wbijający się w jej szyję niczym ostrze... – Powiedziano mi – starała się stłumić emocje – że jeśli natychmiast zrezygnuję, nie podejmą żadnych działań przeciwko mojej załodze. Wyciszą wszystko, jakby nic się nie stało. Mówił mi to Sorkangh – przyjaciel mojego ojca, na którego liczyłam, że mi pomoże. Ale skoro on zwrócił się przeciwko mnie... – Potrząsnęła głową. Mówienie o tym nie ma sensu, to niczego nie zmieni. Miała swoje powody i podjęła decyzję, ale teraz jej powody nie mają już żadnego znaczenia. Popełniła błąd, taki sam, jakby źle przewidziała pozycję i siłę przeciwnika.

– Cóż – ścisnął mocniej jej ramiona – jeśli ci to w czymś pomoże, to wiedz, że niecała załoga była tak lojalna, jak powinna. Lepescu miału nas swojego człowieka i to właśnie on usunął dane skanu.

– Skąd wiesz? – Spodziewała się czegoś takiego, ale nie mogła dowieść swoich podejrzeń.

– Pierwszy areszt przejściowy. Przyjaciel przyjaciela – nie mógł wiele dla nas zrobić, ale zdradził, kto i na czyj rozkaz. Już się nim zajęliśmy.

Heris zadrżała. Nie chciała rozumieć jego słów, ale zrozumiała. – Ilu...

– Nie jestem pewien. Dość wcześnie podzielili nas na grupy – byliśmy sądzeni oddzielnie, prawdopodobnie zgodnie z zakresem odpowiedzialności. Słyszałem, że niektórym nie postawiono oficjalnych zarzutów, ale nie wiem, co się z nimi stało. Plotki głoszą, że z tych postawionych przed sądem skazano wszystkich oprócz trzech. Niektórzy zostali zwolnieni, inni zdegradowani albo obcięto im gażę. Około pięćdziesięciu z nas – starszych podoficerów i oficerów – potraktowano jako przykład dla innych i przywieziono tutaj. Pozostali przebywają gdzieś w więzieniu.

– Będę musiała coś z tym zrobić – wyszeptwała Heris.

– Nie bardzo wiem, co miałabyś teraz zrobić. Może jeśli ta sprawa się wyda, zostaną poddani ponownej ocenie, ale niezależnie od działań Lepescu pierwotne oskarżenia wciąż obowiązują.

– Coś wymyślę – zapewniła. – Może lady Cecelia...

– Może. – Nie wyglądał na przekonanego. – Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć. – Spięta się, ale on przez dłuższy czas milczał. W końcu westchnął. – Żałuję, że nie jest zupełnie ciemno. Widzisz... Nie jesteś już moim dowódcą, prawda?

– Prawda. – Heris wzięła coś z koszyka – zrobiło się już na tyle ciemno, że niemal nie widziała jedzenia – i włożyła do ust. Jakieś ciastko serowe. Omal się nie zadławiła.

– Wiesz... Zawsze postępowałaś bardzo profesjonalnie... ale zastanawiałem się, czy czułaś coś... coś takiego jak ja. – Nie patrzył na nią, lecz na ostatnie promienie gasnącego na zachodzie słońca. A potem na gwiazdy. Heris doskonale pamiętała te wszystkie chwile, gdy wolałaby nie być profesjonalistką. Przełknęła trzymane w ustach jedzenie.

– Hmm. Tak. Coś... – Skąd mogła wiedzieć, że podzielał jej uczucia? Oboje traktowali bardzo poważnie swój zawód, ich uczucia nie mogły do niczego doprowadzić, więc lepiej było pozostawić je w ukryciu – a przynajmniej o nich nie mówić.

– I...? – W jego oczach odbiło się szare światło, ostatnie pozostałości zachodu. Heris otworzyła usta, by powiedzieć, jak bardzo jest to niemożliwe, gdy nagle zdała sobie sprawę, że wcale nie. Już nie.

– I... – Wciąż nie potrafił tego powiedzieć.

Wsunęła się więc pod jego ramię.

– Należało mi zaufać – rzekł wreszcie, ale już bez pasji. – To bolało, gdy odeszłaś w taki sposób, bez jednego słowa.

– Tak. Bolało. – Oparła się o niego. Tak przyjemnie było czuć jego rękę na plecach. Bardziej niż przyjemnie. – Bardzo bolało. Ale teraz tu jestem i ci ufam.

– Najwyższy czas. – Przyciągnął ją mocniej do siebie. Nigdy nie chciała sobie wyobrazić – tak naprawdę – jakie to byłoby uczucie. Codzienne życie na statku stałoby się zbyt trudne, gdyby do tego dopuściła. Teraz cieszyła się ze swojej wcześniejszej dyscypliny. Przynajmniej nie dręczą jej żadne porównania z wyobrażeniami, może skupić się tylko na przeżywaniu.

* * *

– Wszystko naprawiłam – oświadczyła Cecelia z zadowoleniem. Jasne poranne słońce złociło jej włosy. Wyglądała rześko i świeżo, pokrzepiona snem i dobrym jedzeniem.

– Co naprawiłaś? – Heris wykapała się i przebrała, gdy wróciła z Petrisem do domu krótko przed świtem; czuła się oszołomiona i odprężona. Zastanawiała się, czy Cecelia to zauważy. Miała własną listę spraw, które Cecelia powinna załatwić, i miała nadzieję, że jej pracodawczyni nie zużyła energii na coś nieistotnego.

– Twoją rezygnację. Przykro mi będzie cię stracić, ale wiem, jak tego żałowałaś. A dowody są oczywiste. Tak więc wszystko im wyłożyłam, a oni zgodzili się przyjąć cię z powrotem. Szczerze mówiąc, całkiem chętnie. Wszyscy wiedzą, że ojciec George'a pozwie Lepescu i jego koleśków, a Zawodowa Służba Kosmiczna chce się od tego zdystansować.

Heris gapiała się na nią, oszołomiona gonitwą myśli. Cecelia załatwiła to w parę godzin, z odległej planety pozbawionej komunikacji pozaukładowej w czasie rzeczywistym? A więc może wrócić? Odzyskać pozycję dowódcy i dobre imię? Poczwała, że serce zaczyna jej walić w piersi, puls dudni w całym ciele, a ręce drżą. Wypełniła ją euforia. Wyobraziła sobie wyraz twarzy ojca i matki. Jak zareaguje jej młodszy brat, wciąż przebywający w Akademii? Tak, pomyślała. Tak.

– Jak? – wyrwało jej się.

Cecelia rozpromieniła się, wyraźnie zadowolona z tego pytania.

– Bałam się, że to zajmie tygodnie, ale pamiętasz może, jak Bunny wspomniał, że jest tu na polowaniu królewski minister? Bunny poprosił mnie o porozmawianie z nim na temat pana Smitha i oczywiście powiedziałam mu o tobie. Wspomniałam, że przejście przez zwykłe kanały wymagałoby twojego pełnego zeznania, a ponieważ jesteś bardzo szczerą osobą, nie mogłabyś, wyjaśniając okoliczności zabicia admirała Lepescu, pominąć udziału pana Smitha.

– Pan Smith – powtórzyła tępo Heris. Niemal zapomniała o tym tajemniczym młodzieńcu. Potem jej umysł obudził się ze wstrząsu. – Królewskie... Mówiłaś o butach. Biorąc poduwagę jego wiek, to oznacza... To chyba nie jest ten, z powodu którego Ronnie miał kłopoty?

Cecelia wyszczerzyła zęby.

– Właśnie ten. Minister oczywiście zgodził się z moją argumentacją i zapewnił mnie, że w tych okolicznościach żadne twoje zeznanie nie będzie konieczne. Zebrano dość dowodów działalności Lepescu, by obalić wyrok bez odwoływania się do komisji czy sądu. Możesz mu zaufać – kontynuowała Cecelia, jakby przewidując wątpliwości Heris. – W sytuacji, gdy stawką jest reputacja pana Smitha, minister zrobiłby znacznie więcej. Na szczęście dla nas minister wymaga specjalnego łącza komunikacyjnego – nie wiem, jak wy to nazywacie, ale jest tutaj takie natychmiastowe, przez jakiś przekaźnik na Court, i był w stanie skontaktować się z odpowiednimi władzami i...

– A załoga? – przerwała jej Heris. Już czuła się oficerem Floty Kosmicznej, już zapomniała o fioletowym mundurze i ostatnich kilku godzinach.

Cecelia kiwnęła energicznie głową.

– Wszyscy zrehabilitowani, czy jak to tam nazywają. Wiedziałam, że chciałabyś tego, więc nalegałam. Także ci, którzy nie trafili na tę obrzydliwą wyspę. – Kiedy Heris nie zareagowała, mówiła dalej. – Wiesz, naprawdę cię rozumiem. Obie jesteśmy arystokratkami, nawet jeśli to nie ten sam rodzaj arystokracji.

– Ja... dziękuję, milady. – Tylko ten oficjalny tytuł mógł w jakimś stopniu wyrazić jej wdzięczność.

– Szkoda mi będzie ciebie stracić – dodała Cecelia znacznie łagodniejszym tonem. – Nie tylko jako kapitana i uczennicę jazdy konnej, ale jako przyjaciółkę. Lubię cię, a to się często nie zdarza. – Potem jej głos znów nabral mocy. – Czy to będzie trudne dla ciebie i Petrisa?

Heris spojrzała na nią, zaskoczona nagłą zmianą tematu rozmowy.

– Petris? Och. – A więc Cecelia zauważyła. Natychmiast opuściła ją euforia, jakby ktoś wyciągnął korek z jej serca. Może wrócić, on też, i mogą służyć na jednym statku... ale nie mogą powrócić do tych ostatnich kilku godzin. Nigdy. Spróbowała wyobrazić go sobie jako cywila... męża... To by go zniszczyło. – O rety – powiedziała, niemal nie słysząc własnego głosu. – Nie pomyślałam o tym.

– To dotyczy większości ludzi w takiej sytuacji – zauważyła Cecelia. – Dlatego o tym wspomniałam, zanim pójdziesz powiedzieć pozostałym. Możesz wrócić... ale nie musisz.

Doprawdy? Przez chwilę nie mogła oddychać, przytłoczona ogromem przeszkód. Nie może zrezygnować z drugiej szansy w ZSK... i nie może zrezygnować z Petrisa. Nie może go poprosić, by zrezygnował ze swojej kariery, odzyskanej w równie cudowny sposób jak jej, ale gdyby oboje...

– Szlag – warknęła. Nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Usiadła gwałtownie, a Cecelia ostentacyjnie zajęła się przygotowaniem czegoś do picia. Po chwili podała jej filiżankę z parującą brązową cieczą. Powinna wiedzieć, co to jest, ale nie rozpoznawała napoju.

– Jako klasyczna stara panna – rzekła Cecelia, nie patrząc na nią – mogę udzielać rad, których tobie wolno nie słuchać. Kochasz tego mężczyznę, a on kocha ciebie. To stało się oczywiste od chwili, gdy zobaczyłam was razem. Nie możecie być oboje w Służbie i żadne z was nie będzie

szczęśliwe jako cywilny partner tego, który pozostanie. Jeśli wrócisz, Heris, upewnij się, że nigdy nie traficie na ten sam statek. Zresztą ty doskonale o tym wiesz.

– Wiem. – Miała wargi jak z drewna. Czy to ten napój? Czyżby miała zemdleć? Nigdy nie mdlała, to byłoby śmieszne. Pamiętała dotyk jego dłoni, brzmienie jego głosu, jego oddech, uderzenia serca, gdy oparła głowę na jego piersi. Chciała tego, chciała bardziej niż czegokolwiek – poza swoim stopniem, statkiem i załogą... a tego nie mogłaby mieć, gdyby wybrała jego.

– Nadal potrzebuję kapitana – przypomniawszy jej Cecelia. – I nowych członków załogi – sama mi o tym mówiłaś. Jeśli zdecydujesz się nie wracać do Służby, będziesz mogła zostać u mnie.

A Petris byłby tylko członkiem załogi na jachcie bogatej staruszki? Nie przypuszczała, żeby miało go to uszczęśliwić. Był równie dumny ze swojej kariery, jak ona z własnej. Nie zgodzi się na mniej.

– Powinnaś go zapytać – zasugerowała Cecelia, jakby czytała w jej myślach. – Wcześniej tego nie zrobiłaś – i sama widzisz, do czego to doprowadziło. Daj mu szansę teraz, gdy sama przez chwilę masz wybór.

Miała rację. Wcześniej postąpiła jak dowódca, podejmując samodzielnie decyzję i nie pytając nikogo o radę – i Lepescu mógł zniszczyć ją, oraz jej załogę. Tym razem go zapyta. Wstała, kiwnęła głową Cecelii i wyszła bez słowa – nie mogła nic powiedzieć – aby poszukać Petrisa.

Stał na brzegu morza i wpatrywał się w wyspę, na której uciekał przed myśliwymi.

– Stąd ładnie wygląda – powiedział, gdy podeszła.

– Tak. – Ścisnęło ją w gardle. Spojrzał na nią badawczo.

– Co się stało?

Nie potrafiła odpowiedzieć, jej oczy wypełniły się łzami. Przyciągnął ją do siebie, przytulił i pocałował w głowę.

– Heris, Heris... – wyszeptał czule.

Przełknęła ślinę, próbując się uspokoić.

– Lady Cecelia interweniowała – wykrztusiła w końcu słabym głosem. – W Służbie.

– Odzyskałaś swój patent? To dobrze. – Uścisk ramion zelżał i wyczuła napięcie w jego głosie. – Miałem nadzieję, że tak będzie. Powinni mieć dość rozsądku.

– Anulują wszystkie kary dyscyplinarne – wyjaśniła. – Wszyscy, którzy przeżyli, zostaną przywróceny na stanowiska z czystą kartoteką. Prawdopodobnie i tak by do tego doszło, ale lady Cecelia...

– Ma znajomości. Cieszę się, że tak ją to obchodzi – musiałaś zrobić na niej wrażenie. – Puścił ją i przeciągnął się. – Cóż, z powrotem w kierat, co?

Heris wbiła wzrok w piasek.

– Nie musimy wracać.

– Co? Oczywiście, że wrócisz. Nie urodziłaś się do dowodzenia jachtem.

– Powiedziała, że powinnam dać ci szansę. Tę, której nie dałam ci poprzednio.

Kiedy podniosła wzrok, Petris patrzył na nią uważnie.

– Co to ma znaczyć? Chcesz powiedzieć...

– Petris. – Świadomie użyła jego imienia. – Petris, mamy wybór. Wiesz, że jeśli wrócimy... nie powinniśmy już nigdy razem służyć. Ale jeśli nie wrócimy...

– Ty to kochasz – przerwał jej. – Twoja rodzina... Admiralicja Serrano... – Słyszała już to

określenie, było nieuniknione w przypadku rodziny, która przez tyle pokoleń rodziła admirała za admirałem. Nigdy nie zastanawiała się, jak mogą wyglądać z dołu, z morza – niczym potężny klif z gwiazdek i medali, bez ani jednego kawałka bezpiecznej plaży. Poczwała się jak kamień oderwany od tej ściany, miotany falą i rozbijany na kawałki, które już do klifu nie pasują.

– Moja rodzina – powiedziała powoli – już zniosła najgorsze: Serrano rezygnuje ze służby zamiast stanąć przed sądem. W taki czy inny sposób pogodzą się z moją decyzją. Nie wiem, co zrobią, ale nie boję się tego. A twoja rodzina?

– Moja? – Teraz znów patrzył na wyspę. – To rolnicy i drobni kupcy ze Świata Vonnegara. Byłem tam wyrzutkiem. Uciekłem, by wstąpić do wojska, jak to często robią dzieciaki. Nie chciałem chodzić za pługiem czy wrywać cebuli, skoro mogłem oglądać gwiazdy. Nie mieliby nic przeciwko temu, ale zrezygnowali ze mnie, gdy powiedziałem wujowi Ethowi, co myślę o rolnictwie. Na pewno nie mógłbym tam wrócić i domagać się ziemi. Ale poza tym... mogę robić to, co chcę. – Rzucił szybkie spojrzenie na jej twarz, potem znów zapatrzył się w dal. – Lubiłem swoją pracę.

– Wiem. Według Cecelii możesz ją odzyskać. Wszyscy zostaniecie oczyszczeni.

– Tak, ale to nie będzie to samo. Nie tylko my, wszystko będzie inne. Niektórzy zginęli i nie mogę o tym zapomnieć.

Heris zrobiło się zimno. Zginęli przez nią, ponieważ odeszła. Wiedziała o tym. Jeśli on nie może zapomnieć, to prawdopodobnie nie będzie też mógł jej wybaczyć, a ostania noc była... jedynie ostatnią nocą.

Znów patrzył na nią, tym razem twardo.

– A jaką mamy alternatywę? Mówiłaś, że jeśli nie wrócimy...

– Moglibyśmy oboje pracować dla lady Cecelii. Na jej jachcie. – Oczywiście powiedział już, że ona nie urodziła się do tego, i oczywiście nie zamierzał też być w załodze jej jachtu, ale musiała spytać.

– Musisz ją bardzo lubić – zauważył – żeby to brać pod uwagę. Co ty... u niej robisz?

– Lady Cecelia podróżuje – wyjaśniła. – Sądząc po zapisach z poprzednich lat, bardzo dużo, a wydarzenia pierwszych paru tygodni mojej pracy dla niej ujawniły, że miała na pokładzie przemytników. Oczywiście bez jej wiedzy.

– Jesteś tego pewna? – To nie do końca było pytanie.

– Tak. Jest uparta, zadufana i ma wiele innych wad, których można się spodziewać u starej, bogatej damy, ale jest szczerą.

– Jak ty – zauważył Petris bez uśmiechu. – Nic dziwnego, że się dogadujecie. Czyli... zostaniesz u niej?

– To zależy. – Mówiąc to, zastanawiała się, czy to zależy wyłącznie od jego decyzji. O dziwo, teraz myślała o powrocie do Służby jako o swego rodzaju porażce. Ktoś inny wygrał za nią bitwę, ktoś inny odzyskał jej patent. Niezależnie od tego, jak zły był Lepescu, niektórzy już na zawsze będą wątpić w jej lojalność, już nigdy nie będzie nieskazitelną Serrano ze znanej rodziny admirałów. Nawet jej rodzina będzie miała wątpliwości. Dopiero w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że mówi na głos, iż wolałaby raczej brać od Cecelii uczciwą pensję, niż odzyskać patent dzięki jej wpływom. A więc może albo zostać z nią, albo poszukać czegoś innego, ale właściwie nie ma powodu jej opuszczać. Przynajmniej do czasu aż zrobi porządek z załogą jej jachtu.

Petris zachichotał.

– Myślę, że wszyscy będziemy mieli te same problemy, ale którzy tak nie uważają, mogą wracać, ale co do mnie... Nie. Myślisz, że lady Cecelia zatrudni nas oboje?

– Czy ty mówisz „tak”?

– Nie, mówię: „tak jest, proszę pani”, bo chyba tak się mówi w cywilu. – Przy ostatnich słowach znów objął ją ramionami – Jak rozumiem, w cywilu nie obowiązują też restrykcje dotyczące fraternizacji?

– Owszem – potwierdziła Heris. – Przynajmniej poza mostkiem – Jej myśli pędziły jak szalone, jak dwaj myśliwi goniący za lisem. Pościg wygrał profesjonalny oficer. – Muszę skontaktować się z Sirkin – to bieżąca wachta – i dać jej znać, że na statek przyłeci zapieczętowany kontener z bronią. Dobrze, że dokonaliśmy pełnego remontu na Takomin Roads. Czy możesz uwierzyć, że cykl siarkowy wychodził dwie kreski poza skalę?

Puścił ją, wybuchając śmiechem.

– Na bogów! Heris – kapitanie – twoja właścicielka powinna trzymać swoje galoty, czy jak tam nazywają je u arystokratów. Broń? Czy ona wie?

– Oczywiście, że wie, płaciłam z jej linii kredytowej. – Ale czy teraz Cecelia zgodzi się na tę broń? Lepiej załadować ją na pokład, zanim zmieni zdanie. Przemysłowcy, którzy umieścili kontrabandę na pokładzie jej statku, muszą się zastanawiać, co się z nią stało. Być może trzeba będzie się bronić. W głębi jej umysłu zamknęły się ostatnie drzwi do przeszłości i już bez bólu stanęła przed przyszłością cywilnego kapitana. Wiedziała, że ból powróci – taki ból zawsze wraca w ciemnych godzinach nocy – ale najgorsze miała już za sobą.

* * *

Należało zachować dyskrecję. Dawna zwierzyna – byli członkowie załogi Heris – odlatywali dwójkami do szpitala na kontynencie, gdzie (jak przypuszczała) zajmie się nimi doskonały personel medyczny Bunny’ego i gdzie zamieszkają w spokoju i luksusie do czasu, aż zdecydują, co chcą robić. Rozmawiała z każdym z nich, ale byli zbyt oszołomieni na długie rozmowy. Rozumiała ich, sama tak się czuła. Zbyt wiele emocji, zbyt głębokie poruszenie. W końcu gdy domek opustoszał, nadeszła jej kolej. Razem z Cecelią i Petrisem wylecieli z wyspy luksusowym śmigaczem, za którego sterami siedział sam Michaels. Nie było żadnych chmur, a pod błękitnym niebem rozciągał się pomarszczony szaroniebieski ocean. Heris wpatrywała się w niego tak intensywnie, że w końcu miała wrażenie, iż jego wzór na zawsze odcisnął się w jej oczach. Zastanawiała się, czemu Petris leci z nimi, a potem – czemu się nad tym zastanawia. I czemu nie mogą ze sobą rozmawiać. Po tej pierwszej nocy nie spodziewała się, że będą mogli się do siebie przytulać... ale nie rozmawiać.

Rozdział 21

Wysiedli ze śmigacza na dużym dziedzińcu przed głównym domem, a nie w hangarach. Było zimno, ostry wiatr gnał po niebie niskie chmury. Heris zadrżała i zapięła kurtkę. Dobrze, że nie trzeba wspinać się pod górę aż z drugiego końca wioski. Kiedy znaleźli się już w domu, zauważyła, że Petris przygląda się głównym schodom z dziwnym wyrazem twarzy, mieszaniną zachwyty i obawy.

– Właśnie tak wyobrażałem sobie dom wielkiego lorda – rzekł w końcu. – Jest zbyt doskonały, jak wersja krążownika Floty z kostki rozrywkowej.

– Trochę przytłacza – zgodziła się Heris, wreszcie mogąc się do tego przyznać. – Sama nie mogłam uwierzyć, że tu naprawdę ktoś mieszka. Ale tak jest. – Zastanawiała się, gdzie jest służba – zazwyczaj przy wejściu stały przynajmniej dwie lub trzy osoby. Ale ci którzy otworzyli drzwi, zniknęli, pozostawiając ich tylko razem z Cecelią.

Jak się okazało, Petris dostał pokój obok jej pokoju, choć pamiętała, że zajmował go ktoś inny. Nie okazała jednak zdziwienia – Cecelia już i tak wyglądała na zbyt zadowoloną z siebie.

– Nie zapomnijcie – zauważyła dama – że Petris będzie musiał zgłosić się do Neila. Dam mu znać, że się zjawisz, dobrze?

Heris spojrzała na Petrisa. On nie miał możliwości skorzystania z symulatora jazdy Cecelii. Ale mimo to uśmiechnął się szeroko.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Heris goniącą na koniu lisa – powiedział. – Choć z drugiej strony przymus nauki niezbyt mi się uśmiecha.

– No cóż. Oczywiście nie muszę wam przypominać o konieczności dochowania tajemnicy.

– Oczywiście.

– Kolacja o ósmej – rzuciła jeszcze Cecelia i oddaliła się korytarzem.

– Twoja pracodawczyni... – zaczął Petris.

– Nasza pracodawczyni – poprawiła go Heris. – Chyba że zmieniłeś zdanie.

– Nigdy nie zmieniam zdania. Chodź no tu... – Wciągnął ją do swojego pokoju, identycznego jak jej sypialnia. – Nie mogę w to uwierzyć! – Przyjrzał się meblom, błyszczącej ogromnej łazience i jej zadziwiającemu wyposażeniu. Obszedł pokój, otwierając i zamykając drzwi do szaf, zaglądając do szuflad wysokich polerowanych szafek. Heris zauważyła ułożone w nich ubrania. – Jestem pewien, że wszystkie będą pasować. Lady Cecelia na pewno tego dopilnowała. Zawsze wiedziałem, że warto było opuścić farmę z cebulą. – Potem znów zajrzał do łazienki. – Mnóstwo miejsca i ciepłe ręczniki. Wyszorować ci plecy, kochanie, czy ty wyszorujesz moje?

* * *

Ronnie uważał, że wszyscy zbyt łatwo przejmują się jego stanem zdrowia. To George został postrzelony i groziła mu śmierć. Wciąż dręczyły go bóle głowy i miał mnóstwo siniaków i zadrapań, ale po nocy spędzonej w szpitalu chętnie wróciłby do polowań. A przynajmniej do życia w znacznie wygodniejszych warunkach.

– Jeszcze czas – oświadczyła pielęgniarka. – Nie wyjdiesz stąd, dopóki lekarz się nie zgodzi, a twoje skany jeszcze nie dają normalnych wyników.

– Nie mam żadnych złamań – zaprotestował. – Pozwoliliście temu facetowi obok wyjść stąd

dwadzieścia cztery godziny po złamaniu nogi...

– Mózg to nie kości – zauważyła pielęgniarka.

Na znak protestu Ronnie zamknął oczy, udając sen, a gdy je otworzył, zdziwił się, widząc ciemność za oknem. Następnego ranka (którego?) obudził się bez śladu bólu głowy i mając świadomość nieco bliższego kontaktu z rzeczywistością.

– Wcale jeszcze z tego nie wyszedłeś – zapewniła go lekarka przed wypuszczeniem ze szpitala. – Myślisz, że tak, ale to jak wychodzenie z jaskini – teraz jest już jaśniej, ale wciąż nie jesteś w pełnym słońcu. Wiem, że to cię zmartwi, ale poinformowałam stajennego lorda Thornbuckle’a, że nie wolno ci jeździć przynajmniej przez dziesięć dni, a potem będziesz musiał przejść badania kontrolne.

– Ale ja nie... – zaczął Ronnie, lecz lekarka uśmiechnęła się tylko i poklepała go po kolanie, jakby był dzieckiem. Biorąc pod uwagę jej siwe włosy i zmarszczki, pewnie właśnie tak go widziała. Wcale nie chciałem jeździć, powiedział sobie cicho. I teraz też nie muszę. – A co z Georgem? – zapytał. Jak dotąd nie powiedzieli mu niczego poza ogólnikami. Przygotował się już na wiadomość o jego śmierci.

– Ten młodzieniec – mruknęła lekarka. – Słyszałam, że nazywają go wstrętnym Georgem.

– Tak – potwierdził Ronnie.

– Doskonale to rozumiem. Może przyjmować gości. Właściwie ma ich teraz na okrągło. Jeśli chcesz go zobaczyć, piętro wyżej i trzecie drzwi po lewej. Wciąż jest na oddziale chirurgicznym, choć właściwie... – Nie kończąc zdania, potrząsnęła głową i wyszła.

Ronnie ubrał się, nie zastanawiając się nad pochodzeniem ubrania, i poszedł na spotkanie z przyjacielem.

George leżał rozparty w łóżku i wyglądał jak reklama firmy medycznej: doskonale ułożone ciemne włosy, zanikające sińce na twarzy – dowód odwagi bez psucia dobrego wyglądu. Ronnie zdawał sobie sprawę, że na każdym innym żółć, zieleń i fiolet wyglądałyby obrzydliwie, ale George’a zdawało się nie opuszczać szczęście.

– Ronnie! – Jego głos brzmiał tak samo, choć może nie tak donośnie jak zwykle. – Zastanawiałem się, kiedy się tu pojawisz. Ominęła cię cała zabawa.

Ronnie wytrzeszczył oczy. Ominęła go cała zabawa? Czyżby nikt nie powiedział George’owi o admirałe, granacie gazowym, księciu i...

– Mój ojciec już tu leci – poinformował go George. Wyglądał dokładnie tak jak zawsze. Zadowolony z siebie. Wstrętny. Ronnie miał ochotę go walnąć, ale nie można bić ludzi leżących w łóżku z raną postrzałową. Czy powinien powiedzieć mu o księciu? Chyba miał to zachować w tajemnicy.

George zmienił wyraz twarzy i przyciszył głos.

– Ja... naprawdę się bałem, kiedy mnie złapali. A ci dwaj... – Kto?

– Strażnicy na Bandon. W ogóle nie widziałem żadnych myśliwych, tylko tych dwóch facetów.

– To oni cię postrzelili?

– Nie. Strzelił do mnie jeden z milicjantów Bunny’ego, i wcale nie przypadkiem. Próbowałem powiedzieć o tym kapitan Serrano, ale nie mogłem się do niej przebić. Stał i przyglądał się twojej ciotce, jakby chciał ją zabić.

– Powiedziałaś Bunny’emu, kiedy tu wróciłeś? – Ronnie miał ochotę zerwać się i natychmiast pobiec, aby szukać ciotki.

– Już wszystko w porządku. To ten sam facet, który próbował zabić twoją ciotkę i kapitan Serrano, kiedy znalazły was w jaskini.

– Aha. – Ronnie usiłował sobie przypomnieć, czy już słyszał o tym człowieku. Niektóre rzeczy pamiętał doskonale: znalezienie nieprzytomnego George’a, próbę zbudowania noszy, burzę, ciepło ciała Raffy w zimnej, ciemnej jaskini, chwilę przerażenia, gdy rzucił się na granat gazowy. Ale nie pamiętał kolejności zdarzeń. Nie mógł sobie przypomnieć, jak długo byli na wyspie, czy spędzili noc na Bandon, czy też przylecieli prosto tutaj.

– Twoja ciotka go załatwiła – powiedział z satysfakcją George. – On trzymał kapitan na muszce.

– Oczywiście – potwierdził Ronnie. Nie znosił luk w pamięci. Pomyślał, że pewnie właśnie tak ludzie czują się na starość. Przypuszczalnie mówił i robił różne rzeczy, o których nie miał pojęcia. Czy powiedział coś głupiego? A jeśli nagadał coś Raffie? Czy to dlatego nie pamięta, by odwiedziła go w szpitalu?

George znów spoważniał.

– Wcale nie jest łatwo być bohaterem. Przynajmniej mnie. Ty...

– Mnie też nie. Wielu rzeczy w ogóle nie pamiętam.

– A ja chciałbym nie pamiętać. – George skrzywił się. – Nigdy w życiu nie byłem tak przestraszony i poniżony, nawet w czasie pierwszego semestru szkoły. – Wyglądał znacznie bardziej po ludzku niż zwykle. – Przynajmniej nie musiałeś szorować żadnego kibla.

– Wy znów o tym! – jęknęła Raffa.

Ronnie odwrócił się do drzwi. Dziewczyna wyglądała tak, jakby nigdy nie opuszczała posiadłości, jak wszystkie wytworne młode damy, które przyleciały na polowanie, a zarazem jak nikt inny w całym kosmosie. Stojąca obok niej Bubbles opierała się o drzwi i szczyrzyła zęby w uśmiechu.

– No, wreszcie nie będę musiała co wieczór trzymać Raffy za rączkę. Wystraszyłeś nas, Ronnie.

– Ja? To George został postrzelony.

– Wszystko, czego potrzebował George, to dobry chirurg, dzień w zbiorniku regeneracyjnym i transplantacja osobowości. Mój ojciec zapewnił pierwsze dwie rzeczy, ale niestety tego ostatniego nie udało się załatwić.

– Pożałujesz tego, Bubbles – pogroził jej George, ale bez przekonania. – Moja reputacja wymaga, abym był wstrętny i nie miał ani jednej zmarszczki.

– Twoja reputacja zależy od twojego ojca – odgryzła się Bubbles. – Bez niego już dawno ktoś wybiłby ci z głowy chęć bycia wstrętnym.

– To nie fair – zaprotestował, ale zaraz się uśmiechnął. – Cóż, przynajmniej częściowo. Ale naprawdę żałuję zniszczenia dobrych spodni.

– Zapewniam cię – oświadczyła kwaśnym tonem Bubbles – że wyjdiesz stąd na bal łowiecki bez żadnych zmarszczek. Jeśli obiecasz trzymać gębę na kłódkę i nie wspominać o panu Smith.

George przybrał niewinny wyraz twarzy, który nikogo by nie oszukał. A już z pewnością Ronniego i dziewczyn.

– Jeśli nie obiecasz – albo nie dotrzymasz słowa – dodała z naciskiem Bubbles – dopilnuję, by przy następnej wizycie ktoś dodał niewłaściwych rzeczy do zbiornika regeneracyjnego, i zrobią ci się zmarszczki w miejscach, o których nigdy nawet nie myślałeś. Trwałe zmarszczki. A wtedy będziesz musiał zostać w tym pokoju, aż umrzesz ze starości.

– A ja – dodała Raffa, podchodząc, by ująć Ronniego za rękę – osobiście zniszczę wszystkie twoje

ubrania i wysłę do twojego krawca certyfikowany list z twoimi nowymi wymiarami. Bardzo nietypowymi wymiarami. – Odegrała postać w ciasnych spodniach i marynarce ze zbyt krótkimi rękawami.

George przewrócił teatralnie oczami.

– Moglibyście mi zaufać. Synowie prawników uczą się zachowywać trochę dyskrecji. – Wszyscy prychnęli. – No dobrze, obiecuję. Żadnych podchwytliwych pytań, aluzyjnych uwag, nic o panu Smith lub jego... hmmm... drugiej tożsamości. Ale jak mam wytłumaczyć swoją nieobecność na szlachetnych polowaniach na lisy?

– Poleciliśmy śmigaczem na piknik i rozbiliśmy się, a ty i Ronnie zostaliście ranni, ratując nas. Bardzo proste i bardzo...

– A co z lady Cecelią i kapitan Serrano?

– Bez związku, poza tym że to lady Cecelia poinformowała Bunny'ego o naszej nieobecności – po prostu tak wyszło. Mamy nadzieję zaliczyć bal łowiecki bez ujawnienia całej tej historii.

* * *

Neil określił sposób siedzenia Petrisa na koniu jako „nieelegancki, ale skuteczny” i natychmiast dopuścił go do polowania niebieskich. Heris nie bardzo miała ochotę na jazdę za psami, ale nie miała wyboru. Gdyby została w domu, natychmiast by to zauważono, już i tak pojawiły się plotki. Cecelia, tłumacząc się wiekiem, mogła wyjeżdżać tylko dwa razy na tydzień, ale Heris musiała przez pięć dni z siedmiu siedzieć na koniu. Czuła, że Cecelia znów – lub nadal – coś szykuje, bo królewski minister zostawał w domu w te same dni co ona.

– Chętnie wróciłabym na statek – powiedziała któregoś popołudnia do Cecelii. Jej koń potknął się przy lądowaniu po skoku, przewrócił i okulał. Heris nabiła sobie przy tym potężnego siniaka na ramieniu. Lis – jeśli w ogóle był – uciekł. Chciała znaleźć się z powrotem na przyzwoitym statku, gdzie duże i ciężkie zwierzęta nie będą zrzucały jej na ziemię, na dokładkę potem na niej lądując. Nie miała złamanej nogi, ale niewiele brakowało.

– Powinnaś pójść do szpitala i spędzić parę godzin w zbiorniku – odpowiedziała Cecelia. – Miałaś twardy upadek i jesteś obolała.

– Będziemy miały zmiany w załodze...

– Nie możesz odlecieć przed kolacją i balem łowieckim. Musimy wytrzymać przynajmniej do końca sezonu, inaczej wzbudzimy podejrzenia. Zauważyłaś, że nikt nie komentuje tego, co się stało?

– Ale...

– Ale pan Smith został bezpiecznie zamknięty. Ponieważ i tak oficjalnie wiemy o jego pobycie tutaj, zaoferowałam, że zawiozę go do domu. Zostaniemy do kolacji łowieckiej i wylecimy następnego dnia. Ja zawsze zostaję na pierwszą kolację. – Heris nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć, bo w przeczytanych przez nią książkach była mowa tylko o jednej kolacji, ale widocznie Bunny urządził to po swojemu. Cecelia poklepała ją po ramieniu, a ona spróbowała się nie skrzywić. – A teraz idź na kilka godzin do zbiornika i poproś Sari o solidny masaż. Neil mówi, że pojutrze Petris trafi do zielonych; do tego czasu będziesz się czuła znacznie lepiej.

Heris nie miała ochoty na masaż, wolała spędzić miłą noc z Petrisem. Choć z takimi siniakami wcale nie byłoby jej przyjemnie.

– Kiedy będzie ta kolacja łowiecka? – zapytała, szykując się do szpitala. Będzie musiała pamiętać, żeby wszystkiemu się przyjrzeć.

– Koniec przyszłego tygodnia. – Cecelia zaskoczyła Heris, wykonując kilka piruetów. Dama zaczerwieniła się. – Może i jestem stara i brzydka, ale nikt nie zabroni mi tańczyć.

Taniec. Heris pomyślała o tańcu z Petrisem i poczuła, że zaczyna się roztapiać. Musi zrezygnować z polowań w przyszłym tygodniu, nie może ryzykować, że coś takiego ją ominie. Może nawet warto będzie spędzić kilka godzin w zbiorniku regeneracyjnym i zająć się ramieniem i nogą.

Kiedy już tam leżała, próbując się odprężyć, nagle przypomniały jej się słowa wypowiedziane przez Cecelię i z wrażenia dosłownie usiadła.

– Przepraszam – rzuciła do technika, który stłumił przekleństwo, choć nie zdołał ukryć wściekłego wyrazu twarzy. – Przykre wspomnienie. – Książę. Cecelia mówiła, że zawiozą księcia do domu. To znaczy... Zacisnęła powieki i zaczęła się zastanawiać. Czy Ronnie zostanie tutaj? Przecież nie może mieć ich obu równocześnie na pokładzie!

* * *

Ostatni tydzień minął błyskawicznie: chłodne, pogodne dni, lodowate noce, wspaniałe jazdy przez otwarte tereny, na których polowała grupa zielonych. Heris opuściła zbiornik nie tylko z wyleczonymi siniakami; podejrzewała, że Cecelia kazała dodać do kąpieli modyfikatory nastroju. A może po prostu stare książki nie kłamały, opisując radość kochanków jadących galopem strzemię w strzemię.

– Galop w dzień... a co w nocy? – mruknął Petris, leżąc z ramieniem pod jej głową. Heris nie odpowiedziała, pytanie wymagało skupienia. Odkryła, że znów potrafią rozmawiać, ale teraz to nie był odpowiedni czas na rozmowę. Później zapytał ją: – Co zamierzasz założyć na jutrzejszy bal?

– Sukienkę – stwierdziła. Czowała, jak wzbiera w niej chichot.

– Sukienkę? To niesamowite. Myślałem, że polujący na lisy idą na bal w skórach i futrach. Albo pelerynach z końskiej skóry czy czymś równie barbarzyńskim. Z czego się śmiejesz? Założysz suknię z futra?

– Nie... ale ci nie powiem. Będziesz musiał zobaczyć. – Kreacja, dzięki której mogła nie pojechać na jedno polowanie, kosztowała ją znaczącą część pensji, której Cecelia jeszcze jej nie wypłaciła. Nie mogła się doczekać widoku twarzy Petrisa, gdy ją w niej zobaczy.

* * *

Heris nie zamierzała czekać aż do dnia kolacji łowieckiej, żeby porozmawiać z Cecelią o zmianach na statku, ale wcześniej jakoś nigdy nie znalazła na to czasu. Ponieważ złożyła obietnicę Petrisowi i pozostałym, musiała się upewnić, że Cecelia zaakceptuje proponowane zmiany, zanim wsiądą na pokład. Kłótnia (była pewna, że do niej dojdzie) musi się odbyć bez świadków. Założyła suknię i pokręciła głową na widok swojego odbicia w lustrze. Gorset z koralików migotał z każdym ruchem różnymi kolorami, a paciorki zdobiące miękkie plisy ciemnoniebieskiej spódnicy sprawiały wrażenie, że skapały z gorsetu. Wyglądała... bardzo nie po wojskowemu. Bardzo nie po wojskowemu.

Zastała Cecelię prawie ubraną; zakładała swój ulubiony bursztynowy naszyjnik na falbanę z

koronki w kolorze kości słoniowej.

– Muszę z tobą porozmawiać o statku – poinformowała ją.

– Co się stało?

– Nic...

– A więc o co chodzi?

– Konieczne jest wprowadzenie pewnych zmian. – Heris przyjrzała się Cecelii. Przez ostatni tydzień kobieta wyglądała na zmęczoną, choć twierdziła, że to nie ma żadnego związku ze statkiem. Minister? Pan Smith? Służba?

– W rodzaju? – spytała cierpko Cecelia. – Och, pewnie będziemy musiały zainstalować kolejny system podtrzymywania życia, aby uwzględnić dodatkowych pasażerów.

– Nie. – Heris zignorowała jej kwaśny ton. – Masz czterech członków załogi, którzy poprosili o zwolnienie. Wszyscy chcą zostać tutaj i już złożyli prośbę o zatrudnienie ich przez lorda Thornbuckle'a. Inni chcą się zwolnić w najbliższej większej stacji. Jedna z kobiet zaszła w ciążę w domu gościnnym – Bates twierdzi, że celowo, bo zalecała się nawet do niego. I jeden z pomocników ogrodnika... Sama widzisz, że nie będziemy przeciążone.

– W takim razie co to za zmiany?

Heris postanowiła nie owijać niczego w bawełnę.

– Uzbrojenie – wyjaśniła. Widząc zdziwiony wzrok i otwarte usta Cecelii, nie dała jej dojść do słowa. – Jesteś bardzo bogatą kobietą, podróżujesz dobrym, luksusowym statkiem. Pamiętaj, że zostałeś już wykorzystana przez przemytników. Co się stanie, jeśli będą chcieli dobrać się do twojego ładunku? Albo zażądają całego statku? Co się stanie, jeśli będą chcieli ciebie!? Miejsca, które lubisz odwiedzać, nie są najbezpieczniejszymi zakątkami kosmosu. Potrzebujemy właściwego uzbrojenia.

– Skoro masz już działonowych, potrzeba ci dział. – A więc Cecelia zrozumiała – albo znalazła kogoś, kto jej to wytłumaczył – kody specjalizacji wojskowych członków jej załogi. Heris przekrzywiła głowę. Cecelia raczej nie może twierdzić, że sprzeciwia się przemocy, zwłaszcza po tym, jak osobiście zastrzeliła bandytę.

– Czy myślisz, milady, że celowo narażam cię na niebezpieczeństwo? – Oczywiście już raz to zrobiła, ale miała ku temu powody.

– Nie. Nie wiem. – Cecelia poruszyła się niespokojnie, splatając długie palce. – Sytuacja się zmieniła. Wcześniej po prostu latałam po kosmosie i dobrze się bawiłam. Teraz, kiedy myślę o locie na Roledre najazdy kwalifikacyjne albo na Kabrice na finały... to dochodzę do wniosku, że to wcale nie jest takie pociągające.

Heris zdławiła uśmiech. Poszło lepiej, niż oczekiwała.

– Jeśli to panią martwi, milady, jestem pewna, że możemy znaleźć jakieś zadanie dla pani statku.

Cecelia zmrużyła oczy.

– Czy to znaczy, że wciąż uważasz mnie za beczynną starą damę?

– Ty tak powiedziałaś, nie ja. Ale pomyśl – jesteś odważna i twarda, a jednak to z twojego statku skorzystali przemytnicy. Czy nie masz równie bogatych starych przyjaciół...

– Właściwie nie – mruknęła Cecelia.

– ...którzy mogą mieć na pokładzie swoich statków gorszych próżniaków niż kapitan Olin? Są inne

rzeczy poza lisami, na które można polować, i inne wierzchowce oprócz koni.

– Ile dział, Heris? Jakiej wielkości? I czy wolno mi zapytać o koszty?

– Nie więcej niż nam potrzeba, nie większe niż to konieczne, i będę strzec twoich zasobów tylko odrobinę mniej niż twojego życia. – Nie przypomniwała Cecelii o kupionej już broni.

– Tak jak na Takomin Roads. Nie, nie zaprzeczaj. Wiem, co zrobiłaś, i zgodziłam się na to. Ale od tej pory chcę brać udział w polowaniu, a nie tylko za nie płacić. Będziesz musiała nadal mnie uczyć i dopuścić do swoich planów.

– Zasłużyłaś na znacznie więcej – oświadczyła z pełnym przekonaniem Heris.

Cecelia odpowiedziała jej uśmiechem.

– W takim razie chodźmy na dół i przetańczmy całą noc – rzuciła. – A co do przyszłości... Zajmiemy się polowaniem. – Chwyciła Heris pod ramię i poprowadziła ją korytarzem do głównych schodów, u stóp których czekał Petris w oficjalnym stroju wieczorowym. Heris zauważyła, że w miarę jak schodziły ze schodów, wyraz jego twarzy zmieniał się: od zaskoczenia, poprzez rozbawienie, aż do zachwytu. – Hej-ho, hej-ho, hej-ho, na łowy by się szło...

– Ależ drogie panie! Cóż za niestosowna beztroska! – Uśmiechnął się i podał każdej z kobiet jedno ramię. – Rozumiem, że załatwiłaś sprawę? – spytał Heris.

– Ona nigdy nie powinna była zostać oficerem w wojsku, Petris – odpowiedziała Cecelia ze słodkim uśmiechem. – Urodziła się po to, aby być piratem. Spójrz na nią.

– Zrobię znacznie więcej – wyszeptał Petris do ucha Heris. – Później...

Zgiełk nie pozwolił jej odpowiedzieć. Wysokie sale rozbrzmiewały mnóstwem głosów, a schodami przybywali kolejni goście w swoich najlepszych wieczorowych strojach. Bunny, który wyglądał tego wieczoru równie głupio jak wtedy, gdy pierwszy raz go zobaczyła, rozmawiał z gośćmi, przechodząc od jednej grupy do drugiej. Na widok Cecelii podszedł do niej z wyraźnym pośpiechem.

– Tak się cieszę, że mogłaś zostać na balu – powiedział, kłaniając się. – Możemy mieć drobne problemy.

– Doprawdy? – Cecelia uniosła brwi.

– Pan Smith. Znów wymknął się służącemu ministra.

Znów? Heris nie zdawała sobie sprawy, że pan Smith już wcześniej uciekał.

– Oświadczył, że nie pozwoli, abyśmy wysłali go do domu jak niegrzecznego uczniaka na jachcie starej damy, której kapitan przypomina smoka. – Bunny uśmiechnął się, jakby omawiali dzisiejszą gonitwę, ale oczy miał zimne i pełne złości. – Jak wiecie, minister nie wyraził zgody na umieszczenie go pod strażą... ale nie wie o tym, że umieściłem na nim znacznik lokacyjny. Dureń uciekł w lasy. Kapitan Sigind wkrótce sprowadzi go z powrotem. Chciałbym go uspić i natychmiast wysłać promem na statek, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Mogę go odizolować w lazarecie stacji.

Rysy Cecelii zeszywniały.

– Masz prawo zamknąć go w lokalnym więzieniu. O chlebie i wodzie. Głupi chłopak!

– Milady, ponieważ mamy na pokładzie dyżurną wachtę – wtrąciła się Heris – możemy go wprowadzić na jacht prosto z promu. Im mniej osób go zobaczy, tym mniej będą o nim rozmawiać.

– Dobrze. Zrób to. – Cecelia była jeszcze bardziej rozżłoszczona niż wcześniej. Potem wyraz jej twarzy zmienił się, pojawiło się zdumienie i ulga. Heris obejrzała się i zobaczyła Ronniego, George'a, Bubbles i Raffę. Towarzyszył im masywny mężczyzna, którego podobieństwo do George'a

wyrażało się bardziej zachowaniem niż rysami twarzy. Bunny obrócił się i gestem zaprosił ich do siebie.

– Dobrze widzieć was już na nogach. Także i ciebie, Ser Mahoney.

– Nie traktuj mnie tak oficjalnie, Bunny – odpowiedział starszy człowiek – bo zacznę się zastanawiać, czy czegoś nie knujesz.

– No dobrze, Kevil. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że potraktowałem to bardzo poważnie.

– Wiem, co się stało, i wiem, że potraktowałeś to poważnie. Rozumiem, że twoja córka też brała w tym udział. – Poklepał Bubbles po ramieniu, a Heris ze zdziwieniem zauważyła, że dziewczyna bardzo się zmieniła. Pewnie nikt jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tej zmiany – może nawet ona sama.

– I oczywiście siostrzeniec Cecelii. Ci dwaj zawsze pakują się we wszystkie kłopoty razem. – Kevil Mahoney miał szkolony głos, który z łatwością potrafił przekazywać sprzeczne komunikaty. Heris zauważyła, że George i Ronnie zaczerwienili się, ale nie powiedzieli ani słowa. Prawnik nachylił się do Bunny'ego i spytał cicho: – A pan Smith? Jak się miewa ten szanowny młodzieniec?...

– Wkrótce uda się do domu – wyjaśnił gospodarz i spuścił wzrok.

– Transport został już przygotowany.

– Aha. Cóż, szczerze mówiąc, nie interesują mnie plany podróży pana Smitha, przynajmniej nie tego wieczoru. Cieszę się, że jestem tutaj w tak miłej chwili, a obaj chłopcy zostali zwolnieni ze szpitala i mogą w tym uczestniczyć. – Kevil Mahoney uśmiechnął się, lekko uklonił i odszedł. Usłyszeli, że woła jakiegoś znajomego, po czym zniknął w tłumie.

– Ja obiecałem – odezwał się zaniepokojony George – a mój ojciec?

– Dość – mruknął Bunny. – Pora na kolację i nie pozwolę jej zepsuć jakimiś spekulacjami. Kapitan Serrano, czy może mnie pani zaszczyścić swoim towarzystwem?

Heris zupełnie się tego nie spodziewała. Zerknęła na Cecelię, która przecież stała od niej wyżej w hierarchii uznawanej przez tych ludzi, ale starsza pani uśmiechnęła się tylko i kiwnęła głową. Po chwili zaskoczenia Petris zaoferował Cecelii ramię, a ona przyjęła je z kolejnym uśmiechem.

Heris miała nadzieję, że nie widać, jak bardzo jest zmieszana. Bunny poprowadził ją przez tłum; słyszała szepty, które musiały być komentarzami na temat tego niezwykłego zdarzenia. W chwili gdy dotarli do progu jadalni, rozbrzmiały fanfary. Heris omal nie podskoczyła, a Bunny zachichotał.

– Nie chciałem pani przestraszyć, pani kapitan, ale taka jest tradycja – wyszeptał.

Gdy weszli do jadalni, Heris zauważyła, że jego żona stoi obok Buttonsa. Uzmysłowała sobie, że uczestnikom ostatnich wydarzeń przydzielono partnerów, którzy usprawiedliwialiby posadzenie ich u szczytu stołu. Żona Bunny'ego z Buttonsem, George z Bubbles, Ronnie z jakąś starszą damą i Raffa z równie leciwym mężczyzną.

– To moja ciotka Trema – przedstawił ich Bunny – i wuj mojej żony. Oboje są przygłusi i odmówili przyjęcia implantów. Uwielbiają uczestniczyć w kilku kolacjach łowieckich w roku, później siedzą na balu i przesyłają sobie nawzajem jadłowite uwagi na osobistych terminalach. Ekscentryczni, ale nieszkodliwi. – Petris w towarzystwie lady Cecelii też niewątpliwie zasłużył na miejsce przy stole rodzinnym. Ojciec George'a siedział na drugim końcu stołu ze starszą krewną u boku i jedną z niezdatnych kuzynek po drugiej stronie.

– Czy dostrzega pani teraz zalety – kontynuował Bunny z lekkim uśmiechem – reputacji ekscentryka i osoby anachronicznej?

– Rzeczywiście – przyznała Heris.

Rozejrzała się po wielkiej sali. Trębacze we wzorzystych tunikach byli gotowi do poprowadzenia uroczystości. Większość gości zajęła już miejsca, ale Bunny czekał, aż jakiś niezgrabny osobnik, który przewrócił swoje krzesło, usiądzie. Potem kiwnął głową trębaczom, a ci ponownie unieśli do ust swoje instrumenty.

Uczta rozpoczęła się przy grzmocie trąbek i jazgocie dud. Cecelia nachyliła się do Heris za plecami Petrisa.

– To mniej więcej równie autentyczne jak lisy, ale za to bardzo zabawne – szepnęła.

Bunny mrugnął do niej i Heris zaczęła się odprężyć. Mogło być gorzej... i byłoby, gdyby Cecelia jej nie powiedziała, a ona nie przekazała informacji Bunny'emu, i gdyby obie z Cecelia nie potrafiły dobrze strzelać. Wszyscy mogli być w tej chwili martwi.

Postanowiła przestać o tym myśleć i cieszyć się przedstawieniem. Tace pełne egzotycznego jedzenia, którego pochodzenia nawet nie potrafiła się domyślić. Służba w barwnych liberiach. I muzyka. Kiedy spróbowała jedzenia, resztki ponurych myśli zniknęły.

– Nie miałem okazji z panią porozmawiać – rzekł Bunny gdzieś między zupą a rybą. – Od pani powrotu bardzo dużo tu się działo.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że pan Smith sprawia kłopoty.

– Tak. Choć nie z tego powodu panią zaprosiłem, może dobrze będzie mieć panią tutaj, gdy zostanie odnaleziony. Jeśli jest pani pewna, że wysłanie go na jacht lady Cecelii nie będzie zbyt dużym problemem.

– Nie, jeśli tylko będę mogła połączyć się z jachtem.

– Oczywiście. Mój dług wobec pani nieustannie wzrasta. Nie wiem, czy faktycznie ten sport sprawia pani przyjemność, ale proszę pamiętać, że zawsze będzie tu pani mile widzianym gościem. – Pod przyjemnym tonem i spokojnym wyrazem twarzy Heris wyczuwała napięcie i furię. Przez kilka chwil jedli w milczeniu. Potem Bunny westchnął i wrócił do rozmowy, jakby jej nie przerywał. – Bubbles... mówiła, że chce z panią porozmawiać.

– Ze mną?

– Tego rodzaju doświadczenie każdego może zmienić. A ona zawsze była najmłodsza i najbardziej dzika – więc oczywiście i zmiana musi być największa.

– Powiedziała, o co chodzi?

– Nie do końca. Myśli, że pani – ponieważ była pani w wojsku – lepiej ją zrozumie.

Heris nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby w tych okolicznościach powiedzieć. Ciekawa była, co takiego zdaniem Bubbles mogłaby zrozumieć – i faktycznie rozumiała, ale wcale nie tak, jak dziewczyna by chciała. Nie miała też ochoty wtrącać się do spraw tej rodziny, zwłaszcza teraz.

– Na pewno się myli – zapewniła gospodarza. – Ale oczywiście porozmawiam z nią.

– Muszę przyznać – kontynuował Bunny, odcinając plaster pieczeni na srebrny talerz – że zanim lepiej panią poznałem, nie uznałbym pani za najlepszą powierniczkę dla mojej córki.

– Kobieta z wojska? – zapytała lekkim tonem Heris.

– Niezupełnie. Admiralicja Serrano jest dobrze znana... – Spojrzał jej w oczy.

Heris była zaskoczona i zapewne było to po niej widać.

– Moja rodzina? Uważają, że przyniosłam im hańbę – czemu więc ma pan coś przeciwko nim?

– Wolę panią – odpowiedział Bunny, pomijając milczeniem resztę odpowiedzi.

Odsunął na bok półmisek z mięsem. Coś zapiszczało obok jego talerza; podniósł mały srebrny przedmiot i przyłożył go do ucha. Po chwili mocno zacisnął szczęki. Aby się na niego nie gapić, zajęła się swoim talerzem. Siedzący u jej drugiego boku Petris rozmawiał z Cecelią.

Bunny dotknął lekko jej nadgarstka.

– Możemy mieć problemy – rzekł. – Pan Smith pozbył się lokalizatora. Kapitan Sigind go znalazł, ale nie znalazł pana Smitha. Zablokował już hangary śmigaczy i inne środki transportu, ale pan Smith jest utalentowanym jeźdźcem.

– Przecież nie wyjdziemy szukać po ciemku tego durnia na koniu! – wybuchła Heris.

– Nie, ma pani rację, nie zrobimy tego. Milicja już się tym zajmuje, ale jeśli ochwaci tę skradzioną klacz, powieszę jego skórę na ścianie. Nie wiem, jak Zarejestrowany Embrion mógł wyrosnąć na kogoś tak głupiego.

– On przyjdzie tutaj – odpowiedziała po chwili namysłu. – Po prostu chce się zabawić. Tu jest przyjęcie, chce w nim uczestniczyć. Jest jak Ronnie przed tymi wszystkimi wydarzeniami. Wymyślił sobie jakieś przebranie...

Przerwał jej jakiś trzask, a potem rozległ się stukot kopyt na twardej nawierzchni. Zanim ktokolwiek zdążył podnieść się z miejsca, ktoś popchnął do środka wysokie drzwi balkonowe. Stał w nich zamaskowany mężczyzna w stroju bardziej udziwnionym niż ktokolwiek w tej sali. Bufiaste bryczesy pod tartanowym kiltem, białe rajtuzy, buty ze sprzączkami, dublet, koszula z szerokimi rękawami, krótka peleryna i dziwny kłęb aksamitu i piór na głowie. Wyglądał tak, jakby splądrował magazyn z kostiumami. W jednym ręku trzymał wodze spłoszonego konia, w drugim nagi miecz. Ktoś zaśmiał się nerwowo. Bunny siedział sztywno wyprostowany. Starsza dama, której partnerował Ronnie, wstała gwałtownie od stołu.

– To niedorzeczne. Cóż za żalosne pomieszanie epok. Żaden z tych młodzieńców nie ma szacunku dla prawdy historycznej. Cóż to za pomysł, by założyć kilt na bryczesy! Z jakiego wieku niby to ma być? – Miała bardzo donośny głos osoby, która od lat nie słyszy własnej mowy. Spojrzała na Bunny'ego. – Jeśli to twoja niespodzianka, młody Branthcome, to jest zdumiewająco mało śmieszna.

Bunny'emu odebrało mowę. Heris wpatrywała się w zamaskowanego mężczyznę. Miała pewność – nikt inny na planecie nie zrobiłby czegoś takiego. Czy to nie wąsy wystają spod skraju maski? Co powinna zrobić? Muszą go złapać, ale równocześnie ukryć jego tożsamość. Niektórzy z tu obecnych na pewno osobiście znają księcia. Czy mogą razem z Petrisem obezwładnić go, nie ściągając mu maski z twarzy? Zauważyła służącego próbującego obejść konia, ale przestraszone zwierzę wyrywało się i kopało i służący musiał się wycofać.

– Wiem, że tradycja nakazuje, by zamaskowany nieznajomy porwał z takiego przyjęcia piękną damę. – Głos mężczyzny niewątpliwie odpowiadał głosowi pana Smitha. Heris rozejrzała się po sali. Minister zbladł, ale większość gości była rozbawiona. Już powracał szum konwersacji. Służący, którego wcześniej Heris dostrzegła, znów się pojawił. Zamaskowany mężczyzna obrócił się i podał mu wodze. – Masz, trzymaj mojego wierzchowca. – Zaskoczony służący wykonał polecenie. Intruz wszedł do jadalni, zbliżył się do rodzinnego stołu i złapał Raffaele za nadgarstek. Potem ukłonił się Ronniemu i rzekł: – Ukradłeś mi śpiewaczkę, teraz ja odpłacę ci tym samym.

– Oszust! – Ronnie poderwał się na równe nogi, ściągnął maskę z twarzy mężczyzny i wyrwał mu miecz z ręki. Rozległy się szmery zdziwienia. To niewątpliwie pan Smith. – Udajesz księcia, bo wszyscy wiedzą, że się z nim pokłóciłem... ale jesteś tylko zwykłym mechanikiem.

– Puść moją rękę – zażądała Raffaele tonem, jakim zwracano się do ludzi stojących niżej w

hierarchii społecznej.

Pan Smith posłuchał; sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Ale ja jestem księciem...

– Jesteś... kretem – oświadczył Ronnie. Raffaele potarła nadgarstek i odwróciła wzrok, ostentacyjnie ignorując intruza. Heris zdała sobie nagle sprawę, do czego zmierza Ronnie, i zdumiało ją, że potrafi tak szybko myśleć. Czekwała na wskazówkę, którą powinien dać w takiej sytuacji. – Niech ci się nie wydaje, że nie widziałem, jak gapiałeś się na Raffę na jachcie mojej ciotki. Tylko dlatego, że masz podobne włosy, wzrost i wiesz, jak zrobić sobie makijaż, myślałeś, że zdołasz udawać księcia. – Potrząsnął ramieniem mężczyzny. – Spójrz na siebie! W tej sali jest pełno ludzi, którzy go znają – nie pomyślałeś o tym? Naprawdę sądziłeś, że oszukasz ludzi przez ukrycie swojej twarzy? Słyszałeś, co powiedziała ciotka lorda Thornbuckle’a? My wiemy, jak ubierać się w stroje z epoki – a ten zestaw, który masz na sobie, jest... nedorzeczny. Żałosny. – Spojrzał na Heris. – Kapitan Serrano, muszę się poskarżyć na zachowanie członka pani załogi.

Heris wstała.

– Masz całkowitą rację. Żałuję, że nie rozpoznałam go w tym przebraniu, ale nigdy go nie widziałam w innym stroju niż pokładowy kombinezon. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Petris... – On również wstał. – Dopilnujemy, żeby ten... osobnik – nie potrafiła wymyślić na poczekaniu żadnego nazwiska, a „pan Smith” było teraz zbyt niebezpieczne – nie przeszkodził więcej w zabawie, i pozwolę sobie oświadczyć, że jego umowa o pracę zostanie trwale rozwiązana.

– Ale ja jestem... i to było wszystko, co mogłem znaleźć...

– Cisza! – Bunny w końcu odzyskał głos, a kiedy mówił głośno, słyszano go z dużej odległości nawet wśród zgiełku polowania. Wszyscy umilkli. – Nalegam, by moja milicja odprowadziła tego osobnika do portu promowego i aż na pokład pani jachtu, lady Cecelio. Czy mam rację, że mogą tu wchodzić w grę zarzuty wykraczające poza moją jurysdykcję, włącznie z podszywaniem się pod członka rodziny królewskiej? – Spojrzał na Kevila Mahoneya, a ten potwierdził jego słowa skinieniem głową. – W takim razie nie chcę trzymać go na tej planecie dłużej niż to konieczne. Kapitan Serrano, poinformuj pani swoją wachtę?

– Z przyjemnością.

Wciąż protestujący pan Smith został obezwładniony i odprowadzony przez milicję, a Heris zadzwoniła na jacht i przygotowała jego odosobnienie. Ronnie wciąż stał u końca stołu, a kiedy wszyscy ucichli, spojrział na Bunny’ego, prosząc o zgodę na zabranie głosu. Gospodarz kiwnął głową.

– Większość gości wie, że zostałem wygnany na rok po kłótni z księciem. Tylko niektórzy z państwa wiedzą więcej na ten temat. Chciałbym wyjaśnić, skąd miałem pewność, że to nie książę pojawił się tu w przebraniu. Kiedy dowiedziałem się, dokąd ciocia mnie zabiera, zmartwiłem się i sprawdziłem, jakie są plany księcia. Został przydzielony do placówki Królewskiej Służby Powietrzno-Kosmicznej na Nawern... – Ronnie spojrział na ministra, który nagle przybrał bardzo czujny wyraz twarzy. – Z pewnością każdy z państwa może sprawdzić ten przydział i to potwierdzić. A ten człowiek – nawet nie znam jego nazwiska – wpadł mi w oko na jachcie, ponieważ faktycznie przypomina nieco księcia i próbował kręcić się wokół Raffaeli.

– Ale czy jesteś pewien, że to nie był książę udający technika środowiskowego? – zapytała jakaś siedząca w rogu kobieta.

– Oczywiście – zapewnił Ronnie. – Przysięgliśmy sobie pojedynek w razie, gdybyśmy zobaczyli

się przed upływem roku. Myśli pani, że obaj bylibyśmy takimi tchórzami, by się z tego wycofać? Ten... ta osoba nie wiedziała nawet, jak trzymać miecz. – Wyglądał na rozżłoszczonego. Raffa poklepała go po dłoni i chłopak usiadł. Wszyscy niemal jak na komendę powrócili do nastroju kolacji łowieckiej i balu, ignorując całe to wydarzenie, a Bunny polecił służbie wnieść kolejne danie.

* * *

George stał oparty o lustrzaną ścianę sali balowej, znów w ponurym nastroju. Ronnie i Raffa zdawali się nie słyszeć muzyki, choć płynęli w jej rytm jak liście na powierzchni rzeki. Kapitan Serrano i Petris... Chciałby móc z nich zażartować, ale nie potrafił. Przeszli tak wiele, zasługiwali na bijące z nich szczęście. Szkoda tylko, że Bubbles zwróciła się przeciwko niemu. Tworzyliby dobrą parę, był tego pewien. Lubił ją, a skoro Raffa odeszła do Ronniego... Blondynki zawsze podkreślały jego ciemną urodę.

To niesprawiedliwe. Ze wszystkich osób tutaj zebranych tylko księżę i on nie mogą się cieszyć przyjęciem. I chociaż miał więcej szczęścia niż księżę i przebywa tutaj, a nie gdzieś pod strażą, nie ma z kim dzielić tego wieczoru. Przez jakiś czas przyglądał się wirującym na parkiecie parom, po czym coś przykuło jego uwagę. Jego ojciec. I ciotka Ronniego. Rozmawiali, śmiali się i najwyraźniej dobrze się bawili. Przemknęli obok i Cecelia mrugnęła do niego. Jego ojciec i ta stara... Ale, prawdę mówiąc, nie jest taka zła. Właściwie całkiem dobrze tańczy. Po prostu nie chce jej mieć za macochę, ciotkę, czy cokolwiek mogą mieć na myśli razem z ojcem. Wspólnie byli zdecydowanie zbyt sprytni i nigdy nie miałyby już szans na żadne numery z Ronniem. Odwrócił się, gotów ruszyć na dłuższy spacer, i omal nie wpadł na jakąś dziewczynę idącą w jego kierunku.

– Ty jesteś... George Starbridge Mahoney, prawda? Syn Kevila Mahoneya? – Wiedział, co zrobić z takim spojrzeniem.

– Tak. To ja.

– Ktoś mi mówił, że nazywają cię wstrętnym, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że jesteś miły. – Miała orzechowe oczy i puszyste włosy w rudobrazowym kolorze, którego nie potrafił nazwać. Było w niej coś takiego, co sprawiało, że miał ochotę ją chronić, coś więcej niż tylko drobne nadgarstki i dłonie czy szczupłą twarz. – Nie znasz mnie – dodała niemal nieśmiało. – Jestem jedną z kuzynek; widywałeś mnie na polowaniu, ale zazwyczaj całą utaplaną błotem.

– Powinienem był sięgnąć wzrokiem przez błoto – odrzekł z galanterią. Lubił być uprzejmy. – Zechciałabyś zatańczyć? – Poprowadził ją na parkiet.

– Uwielbiam bale łowieckie – powiedziała dziewczyna. Zawirowali. Tańczyła lekko jak lis skaczący przez płot, by ukraść drób z kurnika. Przez chwilę George zaczął się zastanawiać, które z nich jest myśliwym. Uznał jednak, że to nie ma znaczenia, może ona też tego nie wie.

– Ja także – odpowiedział i poprowadził ją obok ojca i ciotki Ronniego, ciesząc się z ich reakcji. – Ja także.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Podziękowania.	3
Rozdział 1.	4
Rozdział 2.	17
Rozdział 3.	35
Rozdział 4.	49
Rozdział 5.	64
Rozdział 6.	79
Rozdział 7.	95
Rozdział 8.	113
Rozdział 9.	131
Rozdział 10.	146
Rozdział 11.	158
Rozdział 12.	175
Rozdział 13.	188
Rozdział 14.	201
Rozdział 15.	214
Rozdział 16.	227
Rozdział 17.	241
Rozdział 18.	255
Rozdział 19.	267
Rozdział 20.	285
Rozdział 21.	299